

HARI KUNZRU

Impresjonista

Wspomnij, że umiem się zmieniać błyskawicznie. Wszystko się odbędzie jak wtedy, gdy po raz pierwszy rozmawiałem z tobą pod wielkim działem Zam-Zammah...

Jako chłopak w stroju białych ludzi... gdy po raz pierwszy podchodził do Domu Cudów. Za drugim razem byłeś Hindusem. Jakież będzie trzecie wcielenie?

Rudyard Kipling, Kim
(przeł. Józef Birkenmajer)

CZEŚĆ I

PRAN NATH

Pewnego popołudnia, kilka lat po nastaniu nowego stulecia, czerwony pył, będący kiedyś żyzną górską glebą, wiruje w powietrzu. Opada na jeźdźca, który mozolnie bnie przez wąwozy, przecinające tereny po południowej stronie gór. Wysusza mu gardło, pokrywa ubranie, zatyka pory różowej, złanej potem angielskiej twarzy.

Jeździec nazywa się Ronald Forrester i jest specjalistą od pyłu. A raczej od walki z pyłem. Członków europejskiego klubu w Simli ciągle bawi żart ukuty od jego nazwiska: Forrester the forester. Parę razy próbował wyjaśnić swoim hinduskim podwładnym w departamencie sens tego dowcipu, ale nie zrozumieli. Uznali, że jego nazwisko pochodzi od wykonywanego zajęcia. Sahib Drzewiarz. Jak sahib Inżynier czy pan Sędzia.

Sahib Forrester walczy z pyłem za pomocą drzew. Spędził w górach siedem lat. Objeżdżał wzgórza zżerane erozją, sadił ochronne pasy młodych drzewek, uczył wieśniaków, jak chronić glebę, i wprowadzał rozporządzenia zabraniające wycinki lasu i wypasu bydła bez stosownego zezwolenia. Dlatego najlepiej ze wszystkich rozumie ironię swojej obecnej sytuacji. Nawet teraz, na urlopie, praca towarzyszy mu na każdym kroku.

Pociąga łyk słonawej wody z manierki i wypręża się w siodle, gdy koń potyka się, by zaraz potem odzyskać równowagę i strącić w dół kamienie, które podskakują po stromym, jałowym zboczu. Jest późne popołudnie. Przynajmniej upał zelżał. Nad głową wiszą ołowiane chmury, brzemienne monsunem, który nadejdzie lada dzień. Forrester pragnie, by nadszedł jak najszybciej.

Przyjechał w te strony właśnie dlatego, że brak tu drzew. Na placówce, rozparty na werandzie rządowego bungalowu, pomyślał kiedyś przewrotnie, że bezdrzewna okolica świetnie nadałaby się na wypoczynek. Ale teraz wcale mu się tu nie podoba. To niegościnna ziemia. Nawet dla roślinności. Z wyjątkiem rzadko rozsianych poletek, pracowicie nawadnianych przez wieśniaków za pomocą sieci rowów i kanałów, jedynymi roślinami są kępki kłującej poźółkłej trawy i karłowate cierniste krzewy. Ten wyschły krajobraz działa na Forrestera przygnębiająco.

Każdego ranka, kiedy słońce zaczyna ogrzewać namiot, sny Forrestera nabierają marszowego tempa. Sny o drzewach. Regimenty himalajskich cedrów, miarowo pnące się w górę i schodzące w doliny niczym angielscy żołnierze, tyle że przystrojone w igły. Nim, sal i palisander. Baniany o mackowatych korzeniach i ciemnym listowiu, przesłaniającym błękit nieba. Pojawiają się nawet angielskie drzewa, których nie widział od lat. Dęby o przedziwnych kształtach i wierzby płaczące mutują w rytmie powolnego kroku paradnego, gdy przewraca się z boku na bok. Przez te sny zlewa go pot, trawi niepokój, chwyta gniew, że lasy, jego lasy, przeobraziły się w coś rozedrganego i głupawego. W widowisko towarzyszące głównemu

przedstawieniu. W drzewną komedię muzyczną. Zanim zdoła się ogolić, czerwonawe strużki potu zmieszanego z pyłem zaczął spływać mu z czoła. Forrester wie, że nikogo nie może za to winić. Tylko siebie. Wszyscy naokoło twierdzili, że to nieodpowiedni czas na wyprawę na południe.

Gdyby go spytać, miałby kłopot z odpowiedzią na pytanie, co tu właściwie robi. Być może przyjechał tu z przekory, ponieważ o tej porze roku wszyscy ruszają na północ zażyć chłodu wzgórz. Spędził trzy tygodnie, jeżdżąc bez celu to tu, to tam w poszukiwaniu czegoś. Tyle że nie jest do końca pewien, czego szuka. Czegoś, co wypełni pustkę. Do niedawna życie wśród wzgórz zupełnie mu wystarczało. Naturalnie samotne. W przeciwieństwie do niektórych kolegów Forrester rozmawia ze swoimi podwładnymi i szczerze interesuje się ich życiem. Ale różnice rasowe trudno pokonać, poza tym nigdy nie był towarzyski, nawet w czasie studiów. Stąd wieczny dystans między nim a innymi.

Zwyczajni mężczyźni nadaliby tej pustce kobiecy kształt i poświęcili urlop polowaniu na żonę podczas herbatek i rozgrywek polo w Simli. Tymczasem Forrester, człowiek skomplikowany i małomówny, postanowił sprawdzić, jak wygląda życie bez drzew. I odkrył, że za nim nie przepada. Przynajmniej jakiś postęp. Dla Forreстера najlepszy sposób na życie to oddzielić rzeczy lubiane od nielubianych. Sęk w tym, że zawsze znajdował tak niewiele do wpisania po stronie pozytywów. Przemierza więc wąwozy i pustkowiec barwy khaki, marząc o drzewach i czekając na coś - cokolwiek - co wypełniłoby mu duszę.

To coś znajduje się nie dalej niż o milę w linii prostej, choć wzięwszy pod uwagę pofałdowanie dzikiej drogi, odległość jest ze dwa razy większa. W miarę jak słońce zniża się ku zachodowi, Forrester dostrzega refleksy światła tańczące na metalu i różową plamę odbijającą od brązowej ziemi. Zatrzymuje się i patrzy, nieruchomiejąc w siodle niczym kawalerzysta podczas defilady. Czuje niezrozumiałe dla siebie zaciskanie się szczęk. Od półtora dnia nie widział żywej duszy. Stopniowo rozróżnia postacie. Wieśniacy, z wyglądu radżputowie, prowadzą wielbłądy. Eskortują przesłonięty tkaniną rozkołysany palankin, niesiony na ramionach przez czterech z nich.

Zanim pochód zbliżył się do Forreстера na odległość głosu, słońce prawie już ginęło za widnokretem. Krwawa czerwona poświata w pojedynku z ciężką ołowianą chmurą. Forrester czeka. Jego koń przestępuje z nogi na nogę na brzegu wyschniętego strumienia. Mężczyźni dźwigający palankin zatrzymują się w pewnej odległości i stawiają swój ładunek na ziemi. W ogromnych różowych turbanach, z przesadnie długimi wąsiskami, taksują spoconego Anglika jak kupcy szacujący wartość wołu. Osiem par czarnych oczu, zaciekawionych i niewzruszonych. Ręka Forreстера mimowolnie wędruje ku szyi.

Do przodu przesuwają się chudy, blade mężczyzna w średnim wieku, w dhoti i przybrudzonej białej koszuli, z czarnym parasolem pod pachą. Przypomina urzędnika kolei albo prywatnego nauczyciela. Jego wygląd kłóci się z tą jałową krainą. Najwyraźniej to on przewodzi grupie. I najwyraźniej jest niezadowolony, że jego słudzy nie czekali na polecenie zatrzymania się. Przepchnąwszy się naprzód, nisko kłania się Forresterowi, który w odpowiedzi dotyka brzegu swego topi. Już ma przemówić w hindi, gdy nieznajomy wita się z nim po angielsku.

- Znosi się na deszcz, prawda?

Obaj patrzą w niebo. Jakby na potwierdzenie tych słów, wielka kropla spada na twarz Forrester'a.

Ogień i woda. Ziemia i powietrze. Medytuj o tych przeciwieństwach i pogódź je. Zwiń ciasno, a potem pośliznij ruchem spiralnym w głąb mrocznego tunelu, by na nowo połączyły się w jedną całość z innymi przejawami wielkiej jedności rzeczy, nazywanej Bogiem. Myśl może wędrować w ten sposób, prześlizgiwać się od części ku całości, miękko niczym wysmarowana olejkami rękami masażysty. Amrita żałuje, że nie może oddać się myśleniu na zawsze. To byłaby prawdziwa słodycz! Ale Amrita jest tylko kobietą i „zawsze” nie będzie jej dane. Z braku nieskończoności rozciągnie czas, który ma, przędąc z niego cieniutką nić.

Wewnątrz palankinu jest gorąco i duszno. Zapach jedzenia, zastarzałego potu i wody różanej miesza się z innym - ostrym i cierpkim. Ręka Amrity kolejny raz sięga po małą szkatułkę z drzewa sandałowego, wypełnioną ciemnymi kulkami. Amrita patrzy na swoją rękę, jakby patrzyła na węża pełznącego po kamiennej posadzce - z obojętnością graniczącą z odrazą. Tak, to jej ręka, lecz tylko teraz, przez chwilę. Amrita wie, że nie jest swoim ciałem. Ów krabokształtny obiekt, manipulujący kluczykiem przy zamknięciu szkatułki, a potem zajęty kleistymi kulkami czarnej żywicy, należy do niej, jak należą szal czy biżuteria.

Wstrząs. Zatrzymali się. Słyszą jakieś głosy. Amrity to cieszy. Ma dziewiętnaście lat i odbywa ostatnią podróż w życiu. W tej sytuacji każda zwłoka jest powodem do radości. Połyka kolejną kulkę opium, czując na języku ostry smak żywicy.

Jak co roku wiatr wiał jednostajnie z południowego zachodu, niosąc ponad równiną ładunek ciężkiego powietrza, by na koniec z całym impetem uderzyć o góry. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu wlatywały ku niebu powietrzne leje. Tam, schłodzone, przybierały nad

szczytami postać wirującej skondensowanej masy. Teraz owe wiszące ogrody chmur osiągnęły punkt, w którym nie utrzymają się dłużej na niebie.

Przychodzi deszcz.

Najpierw spada w górach. Niewyobrażalna furia wody. Zaskoczeni na otwartej przestrzeni pasterze i drwale osłaniają głowy szalami i biegną w poszukiwaniu schronienia. Potem, jak w reakcji łańcuchowej, chmura za chmurą, ulewa przetacza się przez pogórze, zalewając ogniska, bijąc w dachy, wywołując uśmiech na twarzach ludzi, którzy wybiegają z domów powitać wodę, wyczekiwaną od tak dawna.

Wreszcie nadciąga i nad pustkowiem. Kiedy zaczyna padać, Forrester słucha akurat paplaniny niechlujnego bramina i dobiega go własny poirytowany głos, że to istotnie dobra pora i dobre miejsce na rozbić obozu. Moti Lal czuje się chyba urażony jego obcesowością, ale Forresterowi nie to w głowie. Wbił wzrok w palankin i gderliwą służącą krzątającą się wokół haftowanych zasłon. Pasażerka w środku nawet zza nich nie wyjrzała. Forrester zastanawia się, czy nie jest chora. A może jest bardzo stara.

Wkrótce deszcz pada już miarowo. Grube krople rozbryzgują się w pyle jak małe bomby. Wielbłądy pomrukują niezadowolone podczas pętania im nóg. Służba uwija się przy bagażach. Moti Lal wytrwale podtrzymuje konwersację, gdy Forrester zsiada z konia i zaczyna go rozkulbaczać. Moti Lal tutaj nie rządzi, o nie, on jest tylko zaufanym sługą rodziny. Spadł na niego obowiązek odprowadzenia młodej pani do domu jej wuja w Agrze. Zdaje sobie sprawę, że to się może wydać dziwaczne, ale okoliczności są wyjątkowe.

Wyjątkowe okoliczności? O czym ten przeklęty dureń mówi? Forrester pyta, skąd są, i mężczyzna podaje nazwę małej miejscowości, leżącej przynajmniej dwieście mil na zachód od miejsca, w którym się znaleźli.

- Idziecie pieszo całą drogę?

- Tak, panie. Młoda pani mówi: tylko iść.

- Czemu, na miły Bóg, nie pojedziecie koleją? Agra leży o setki mil stąd!

- Niestety, pociąg wykluczony. Wyjątkowe okoliczności, pan rozumie.

Forrester nie rozumie, ale w tej chwili o wiele bardziej obchodzi go rozstawienie namiotu, zanim deszcz przybierze na sile. A wzmaga się z każdą sekundą. Moti Lal unosi w górę parasol i trzyma go nad Anglikiem, gdy ten wbija kołki w ziemię. Stoi na tyle blisko, że przeszkadza, nie zapewniając rzeczywistej ochrony. Forrester klnie pod nosem, a w jego głowie kołocze się jedna myśl: kobieta w palankinie jest młoda.

Krople deszczu skapują z sufitu wprost na jej kolana, znacząc czerwony jedwab ciemnymi kręgami. Amrita podnosi twarz i wysuwa język. Słyszy gwałtowny szum ulewy. Na zewnątrz jest ciemno i może właśnie dlatego Amrita odczuwa chłód. Chcąc odpędzić to wrażenie, wyobraża sobie żar. Przywołuje wspomnienia spacerów po dachu domu ojca w porze letniej. Wyraźnie czuje, jak rozgrzane powietrze muska jej ramiona i twarz. Słyszy głuche odgłosy trzepania dywanów i świst mioteł, którymi służące zamiatają kurz z posadzek. Lecz żar prowadzi do myśli o ojcu, do wspomnień o okrążaniu stosu pogrzebowego, o kąpanie lejącym ghi do ognia, więc Amrita wraca do ciemności i chłodu. Krople wody spadają jej na czoło, policzek, język. Wkrótce deszcz wlewa się do środka ciągłą strugą. Nasiąknięte zasłony zaczynają łagodnie uderzać ją z boku. Wzmaga się wiatr i jak dotąd nikt po nią nie przyszedł. Nikt nawet jej nie zawiadomił, co się dzieje. Bez matki i ojca teraz ona jest panią. Gdyby jeszcze potrafiła stanowczo domagać się szacunku dla siebie.

Amrita otwiera szkatułkę, osłaniając ją przed wodą. Zostanie dostarczona wujowi i to będzie koniec. Wuj pisze, że znalazł jej męża. Przynajmniej, jak powiedziała pewna stara kobieta, Amrita przybędzie na miejsce z godnym posagiem. Jest bogatsza od innych dziewcząt. Powinna dziękować Bogu.

W ciągu pół godziny kurz zmienił się w błoto. Namiot na niewiele się zdał. Forrester przemókł do suchej nitki. Wdrapuje się na wzniesienie i ogarnia spojrzeniem górzyste pustkowie, poprzecinane wijącymi się dolinami. Żadnego schronienia. Gdy wiatr szarpie jego tropikalnym hełmem, a widlasta błyskawica rozcina niebo na znikające w jednej chwili kawałki, Forrestera opanowuje myśl, że chyba jednak postąpił głupio. Jego czerwono-brunatny świat okrył się szarością, strugi wody przesłoniły horyzont. A pośrodku tego wszystkiego on i żadnego drzewa wokoło. Jest najwyższym punktem na tym pustkowiu i czuje się obnażony. Spoglądając przez ramię na swój namiot rozbity na dnie głębokiego wąwozu, zastanawia się, ile jeszcze potrwa ta nawałnica. Hindusi ciągle biedzą się nad schronieniem dla siebie, szamocząc się z linami i kołkami. Ku zdumieniu Forrestera, palankin stoi w tym samym miejscu, w którym go zostawili. Gdyby mu nie powiedziano, że jest inaczej, przysięgłby, że w środku nie ma nikogo.

Wkrótce wąwozem płynie już struga mętnej wody, oddzielając wojskowy namiot Forrestera od hinduskich konstrukcji z brezentu i bambusa. Rozpalenie ognia nie wchodzi w rachubę, toteż tragarze, zbici w smętną gromadę, kucają na ziemi niczym stadko ptaków palących bidi. Moti Lal wdrapuje się na wzniesienie z zamiarem wciągnięcia Forrestera w

kolejną banalną pogawędkę, po czym za jego plecami schodzi po zboczach i kuca u wejścia do namiotu. Przyparto do muru Forrester poddaje się wreszcie i odzywa:

- Kim właściwie jest twoja pani?

Moti Lal posepnieje.

Zawsze była krnąbrna, nawet za życia swojej matki. Ojciec nie poświęcał jej uwagi, nie interesowało go jej zachowanie. Zbyt pochłonięty przeliczaniem pieniędzy, świata nie widział poza oprawnymi w płótno księgami rachunkowymi. Służący przychodzili do kantoru z doniesieniami, że córka rzuciła filiżanką w odźwiernego, że odmówiła jedzenia, że widziano ją, jak rozmawia z kobietą z Bikaneri w miejscu kremacji zwłok. Rankiem służąca wyczesywała piasek z jej włosów, jakby dziewczyna spędzała noc na pustkowiu.

Przynosiła wstyd rodzinie, ale skoro pan postanowił tego nie zauważać, obowiązek wzięcia jej w karby przypadł głównemu kanceliście. Początkowo Moti Lal używał słów. Kiedy jednak w szkatułce z biżuterią znalazł lepka bryłkę czarnej żywicy, wywlókł Amritę na dziedziniec i obił rzeźbionym kosturem służącym do odstraszenia małp. Trzy dni przesiedziała zamknięta w pokoju. Zaprzątnięty myślami o finalizowanej właśnie transakcji, pan spytał, kto tak płacze w jego domu. Usłyszawszy, że to Amrita, wydawał się zaskoczony. „Czegoś jej potrzeba?” - zapytał wtedy.

Zniknęła zaraz po odryglowaniu drzwi. Wróciła z błędnym wzrokiem, plotąc coś o drzewach i rwącej wodzie. Moti Lal nigdy nie odkrył, kto podał jej narkotyk. Stopniowo traciła zainteresowanie czymkolwiek innym. Zapadła na zdrowiu, przestała się odzywać. Jakby powędrowała do innego świata. Musiał mocno nią potrząsać i uderzyć w twarz, nim zrozumiała, co się stało z ojcem.

Zabójca pozostawił kawałek drutu mocno zaciśnięty wokół szyi ofiary. Ciało znaleziono na wysypisku śmieci poza granicami miasta. Podeszwy stóp zwrócone w niebo przypominały dwie ryby z bladymi brzuchami. Nikt nie wydawał się zaskoczony. Lichwiarze nie budzą sympatii. „Rozumiesz? - krzyczał Moti Lal - rozumiesz? Zostałaś całkiem sama”.

Teraz zbliża się powódź. Ziemię pochłonie woda, ale Amrita - niczym Manu, pierwszy człowiek - będzie unosić się na powierzchni oceanu i ocaleje. W złączonych dłoniach wypełnionych deszczem widzi maleńką rybkę, która wije się i trzepocze. Amrita okaże jej współczucie. To znak. Przybył do niej sam Pan. Choć przemarznięta do kości, Amrita wie, że mała rybka uzbrojona w róg oznacza ocalenie.

Nie przyszli po nią. Wnętrze palankinu, zasłony, poduszki nasiąkają wodą, która spływa

ciągłym strumieniem po drewnianej konstrukcji. Amrita nie ma szala, a cienkie sari przylepione do ciała nie daje najmniejszej ochrony. Nie spodziewa się, że przyjdą. Moti Lal jej nienawidzi, chce, żeby umarła. Niby dlaczego miałby jej pomóc? Powinna się ruszyć, ale to i tak wszystko jedno. Powódź jest nieuchronna, a kiedy nadejdzie, poniesie ją, a pozostałych zagarnie.

Z nadejściem czasu podróży Moti Lal zamknął dom, kosztowności spakował do waliz i wyprawił przodem z jednym ze sług. Na ulicy czekały wozy, by powieźć je na stację oddaloną o trzy dni drogi od miasta. Sklepikarze przysiedli obok swoich wag i odpluwając betel do rynsztoka, pokazywali palcem każdą rzecz zamordowanego kaszmirskiego lichwiarza, jego kobierce, jego wagi. Woły machały ogonami, woźnice skrobali się po głowach. Wszystko było gotowe. Tyle że dziewczyna nie chciała jechać.

Moti Lal zbił ją, a ona leżała na ziemi, powtarzając, że się zabije. Moti Lal zbił ją znowu i oświadczył, że wszystko mu jedno, czy Amrita umrze, czy nie, ale dał słowo jej wujowi, że dowiezie ją do Agry, gdzie zostanie wydana za męża. Amrita odparła, że nie ma wuja w Agrze, a małżeństwo nic dla niej nie znaczy, skoro i tak niedługo umrze. Moti Lal okładał ją, póki nie opadł z sił. Kiedy twarz Amrity opuchła, a jeden z zębów się obluźował, powiedziała, że pojedzie, byle nie koleją. Moti Lal w końcu ustąpił.

Ustąpił i od tygodni przemierza kraj, zlany potem spływającym po łysiejącej czaszce, podczas gdy Amrita leży nieruchomo w swoim zamknięciu i oddaje się wizjom. Każdego dnia, wsuwając stopy w zakurzone klapki, Moti Lal coraz wyraźniej dostrzega absurd tej sytuacji. Jest poważanym człowiekiem, z pozycją i dyplomem, a wędruje niczym żebrak. Każdego dnia, gdy kuca do porannego wypróżnienia, przechodzi mu przez głowę, że ta dziewczyna ma silniejszą wolę niż on. Nie dba o to, czy umrze. Jakby mu urągała. Może więc zasługuje, żeby ją zostawić na pastwę ulewy i chłodu. Jeśli umrze z zimna, taka widać wola Boga. Wtedy Moti Lal wsiądzie do pociągu, odda się lekturze jakiejś broszury, wypije herbatę ze szklanki, wiedząc, że wszystko już za nim. W głowie mu się nie mieści, że ta uparta dziewczyna nie raczy nawet zwlec się ze swoich leży i schronić tam, gdzie jest sucho. Jeszcze nie widział, żeby woda lała się z nieba z siłą krwi chlustającej z otwartej rany.

Cały świat staje się przeszłością. Nie ma już nic prócz rwącej spienionej wody spływającej z gór. Wraz z nią nadchodzi przyszłość, niesiona z pniami drzew i czerwonym

błotem zmytym ze zbocza. Woda wali z niewiarygodną prędkością, jakby ponaglana potężną ręką, wdziera się w głąb jałowej ziemi z impetem armii, wypełnia wąskie szczeliny, aż dociera do wąwozu, gdzie klęczy Forrester, usiłując wcisnąć poluzowany kołek namiotu z powrotem w nasiąknięte podłoże. Forrester podnosi wzrok i tuż przed sobą widzi wielką białą ścianę.

- O Boże! - woła, nadając jej imię. W tej samej chwili zagarnia go żywioł.

Palankin rozlatuje się jak dziecięca zabawka. Amrita uśmiecha się, gdy noc eksploduje gwałtownym pędem, potęgą, za którą tęskniła, odkąd sięga pamięcią. Wielbłądy szarpią się i ryczą, ginąc w wodzie jeden po drugim podczas rozpaczliwych prób oswobodzenia się z pęt. Ludzie i ładunki, wciągnięci w odmęty, bezładnie płyną z prądem. Przez moment Moti Lalowi udaje się utrzymać parasol w dłoni. Stoi w spienionej wodzie sztywno wyprostowany, z miną „właśnie zaczyna padać”. Po chwili znika w kipieli. Już tylko parasol kołysze się na powierzchni. Moti Lal czuje, jak woda wypełnia mu płuca. Nachodzi go dokuczliwa myśl o wydatku na nowy parasol. Jeszcze jeden koralik przesunięty na liczydło, jeszcze jedna kolumna zliczonych cyferek, uwieczniona pociągnięciem pióra, i Moti Lal tonie. Cały świat staje się przeszłością.

To powinien być koniec. Ale w kanwie każdego wielkiego wydarzenia znajdzie się niteczka drobnych cudów. Forrester natrafia na jakiś przedmiot. Spieniona woda huczy wokół jego klatki piersiowej, lecz nie sięga głowy, nosa, ust, pozwalając swobodnie oddychać. Kiedy drobne dłonie chwytają go za przeguby i pomagają wydostać się z kipieli, Forrester przestaje rozumieć, co się z nim dzieje. Traci kontakt z rzeczywistością.

Gramoli się na jakąś pochyłość i pada na czworaki, z trudem łapiąc oddech. Powoli dociera do niego, że wokół jest sucho i ciemno. Wstaje. To wylot jaskini. I znowu dotyk palców. Wzdryga się, lecz po chwili, już opanowany, pozwala złapać się za nadgarstek. Nieznana ręka prowadzi go w głąb jaskini. Forrester drugi raz pada na kolana. Nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Próbuje uregulować oddech. Bez skutku. Gdy z ciemności wyłania się ogień, nabiera przekonania, że umarł.

Miejscowa bogini-matka stoi przed nim w świetle ognia nadziemskiego i dzikiego. Od stóp do głów umazana błotem. Splątane włosy zasłaniają jej twarz. Jest naga, zupełnie naga. Forrester klęka, czerwienieje i odwraca oczy, porażony widokiem piersi zwieńczonych ciemnymi brodawkami, rzeźbą brzucha, niewielką kępką wijących się włosów łonowych. A wszystko to o wiele bardziej prawdziwe niż dziewczęta zaludniające jego bezsenne noce w górach. Dziewczęta z kartek pocztowych, delikatne jak koronki. Wychylają zza parasolek mlecznobiałe buzie o zaróżowionych policzkach i pytają: mój drogi, nie zechciałbyś przejść się do ogrodu?

Forrester już wie. To zjawia. Zginał w powodzi, a teraz stoi przed nim widmo, jeden z

tych bytów przywoływanych podczas seansów spirytystycznych. Tyle że ta bogini wydaje się rzeczywista. Uformowana przez powódź z surowej gliny. Forrester zastanawia się, czy to nie on ją stworzył, nie on nadał jej kształt podczas bezsennych nocy i tułaczki po pustkowiu. Może jest tak, zadumał się, że jeśli czegoś nam bardzo brakuje, potrafimy sprawić, by zaistniało.

Ona zbliża się do niego i zaczyna rozpinąć mu koszulę. Forrester czuje palce zmagające się z guzikiem, dotyk mokrych włosów na swoim policzku, wyraźną, intensywną woń kobiety, mułu i olejku do włosów. Przesuwa dłońmi po jej skórze, rzeczywistych skaleczeniach i zadrapaniach od kamieni i gałęzi, i wie już na pewno, że ta zjawą nie jest jego wymysłem. Kobieca postać odgarnia włosy z twarzy i patrzy mu prosto w oczy. W tej samej chwili Forrester pojmuję, że jest całkiem odwrotnie. On jej nie stworzył. To ona stworzyła jego. Nie ma i nigdy nie będzie miał żadnego celu prócz tego, jaki ona mu wyznaczyła.

Gdy trzaskający ogień osusza skórę Forreстера, ona zdejmuję z niego ubranie. Nawet go nie dziwi, że znalazł się w jakimś ciepłym, zasnutym pyłem miejscu z mosiężnymi naczyniami na wodę i stertą chrustu starannie ułożonego pod jedną ze ścian. Na zewnątrz szaleje nawałnica, a w jaskini drobne kobiece dłonie zamykają się na jego członku, po czym ściągają go na ziemię w płataninie rąk i nóg.

Powódź pochłania wszystko i wszystkich prócz Amrity. Woda osacza ją, obłapia, zdiera z niej sari, miota nią na wszystkie strony niczym ogromny, rozwścieczony pies. Wtem zwalnia uścisk. Amrita wysuwa się z jej objęć. Drży, gdy wiatr owiewa jej nagą skórę. W gasnącym świetle przepływa obok niej strumień ludzi, zwierząt i kosztowności, rzeczy należących do ginącego świata, który odchodzi w niebyt.

To dawny świat. Ona jest matką nowego. Wpatruje się badawczo w ciemniejący nurt, po czym wyciąga z topieli mężczyznę o skórze barwy perły. Mężczyzna sapie jak niemowlę. Odgłos jego ciężkiego, urywanego oddechu podnieca ją.

Amrita odciąga na bok perłowego mężczyznę. Nad ich głowami zamyka się sklepienie. Mężczyzna pada na ziemię. Amrita rozgląda się wokół. Jest wszystko. Wszystko, czego im trzeba. Matka nowego świata kuca z krzesiwem i hubką w rękach, rozpala ogień i uważnym spojrzeniem obrzuca swoje znalezisko. Twarz i włosy mężczyzny są wyprane z koloru, jasne i czyste jak mleko. Ma na sobie kompletnie mokry europejski strój. Amrita zaczyna go rozbierać. Wydaje się taki bezradny, gdy unosi ręce, by pomóc przy zdejmowaniu koszuli, i gdy wspiera się na jej ramieniu, wyplątując się z szortów barwy khaki.

Jest nagi i mimo swej bezradności piękny. Amrita wodzi palcem po jego biodrze, potem

wzdłuż linii włosów rosnących poniżej pępka. Powolotku, niepostrzeżenie dłonie mężczyzny zaczynają odwzajemniać jej dotyk. Amrita robi coś, co do tej pory istniało tylko w jej wyobraźni, i pociąga go za sobą na ziemię.

Ich seks jest nieporadny i gwałtowny. Bardziej przypomina walkę, gdy obydwoje tarzają się po ubitej ziemi. Kończą szybko, a potem długo leżą spleceni w uścisku, ciężko dysząc. Niezwykle uczucie cielesnej bliskości każe im zacząć od nowa. Robią to jeszcze dwa razy, w kotłowaniu rąk i nóg, by wreszcie zastygnąć w rozkosznym, nieruchomym odurzeniu. Ogień zaczyna dogasać, a pot i pył nadają ich ciałom identyczną rdzawobrunatną barwę. Barwę ziemi.

Leżą w bezruchu, póki ogień całkiem nie gaśnie. W tej samej chwili przez głowę Forrestera przebiega nagły impuls. Początkowo prawie nieodczuwalny, wzmagą się, niosąc jakąś potencjalną groźbę. Forrester próbuje go zidentyfikować. Bezskutecznie. Czuje, że ma to coś wspólnego z obowiązkami zawodowymi i rozporządzeniami India Office. Ów impuls, coraz silniejszy, coraz bardziej namacalny, wzbudzający panikę, każe mu zerwać się z miejsca i chwiejnym krokiem ruszyć tyłem w stronę wyjścia. Wie, że musi stawić czoła temu impulsowi albo przynajmniej dopatrzeć się w nim jakiegoś kształtu i sensu. Być może to nie ma nazwy; to bezimienne coś, co dręczy zagubionego człowieka, który osiągnął już swój jedyny cel. Ale cokolwiek to jest, sprawia, że Forrester błędnym wzrokiem spogląda na dziewczynę, nie mając pojęcia, gdzie jest i co tu robi. Wie tylko jedno - że właśnie całkiem odmienił swoje życie i nie potrafi przewidzieć, dokąd go to zaprowadzi. Odwraca się na pięcie i wychodzi z jaskini ku wodzie, która przeistoczyła się w rwącą czerwoną rzekę. Kiedy przeciera oczy i rozprostowuje plecy, próbując zapanować nad przerażeniem, z radością dostrzega zbliżający się znajomy kształt. Młody cedr himalajski, wyrwany u samej nasady, płynie ku niemu w dół zalanego wąwozu, trzepocząc gałęziami, jakby próbował coś powiedzieć. Drzewo wygląda na tak przepełnione mądrością i doświadczeniem, że śmiało mogłoby zagrać hymn narodowy. Forrester wydaje z siebie nieartykułowany okrzyk, macha ręką jak przy zatrzymywaniu taksówki i wskakuje do wody. Wartki nurt porywa go natychmiast. Ostatni obraz Forrester, jaki widzi Amrita, to pokryty mulem tułów unoszony prądem, kontynuujący podróż, którą ona przerwała mu kilka godzin wcześniej.

*

W 1918 roku Agra jest trzystutysięcznym miastem wciśniętym w zakole Jamuny. Szeroka, leniwa rzeka płynie na południowy wschód, by połączyć się z Gangesem i wraz z nim wpaść do Zatoki Bengalskiej. Agra, jedno z niezliczonych miast przytulonych do brzegów rzeki, jest mrowiskiem kupców i rzemieślników, które zyskało sławę około pięciuset lat temu, gdy Mogołowie, przybysze z północy, wybrali to miejsce, by wznosić na nim grobowce, malować miniatury i śnić o nowych krwawych podbojach.

Gdybyście, na podobieństwo asa przestworzy Indry Lal Roya, mogli wyrwać się spod działania siły grawitacji i ujrzeć świat z góry, zobaczylibyście Agrę jako zwarte kłębowisko, wir glinianych cegieł i piaskowca. W południowej części miasta labirynt uliczek urywa się nagle, przechodząc w sieć brytyjskich kwater wojskowych pod nazwą British Cantonment. Kwatery (w oficjalnej korespondencji twardo skracane do Cantt.) składają się z geometrycznych elementów, przypominających drewniane klocki dla dzieci. Tworzą racjonalny układ alejek, placów apelowych i koszar dla żołnierzy, narzucających miejscowym prawo Jego Królewskiej Mości Jerzego V. W północnej części obszar wojskowy ma swoje lustrzane odbicie w rzędach pobielanych bungalowów dla cywilnych urzędników państwowych z rodzinami. Planowa geometryczność tego miejsca z czasem uległa zatarciu. W indyjskim żarze kanty złagodniały.

Pępkiem Agry jest fort, czyli długie na milę mury w kształcie okręgu, z bezdusznego czerwonego piaskowca, zamykające w swoim wnętrzu plątaninę pałaców, meczetów, zbiorników wodnych i gmachów publicznych. Tuż obok biegnie most kolejowy, po którym przyjeżdżają do miasta pasażerowie ze wszystkich stron Indii. Ożywiony tłum na stacji Fort nigdy nie rzednie, nawet wczesnym rankiem. Jest częścią imponującego planu rozbudowy kolei, marzenia o unifikacji, której imperialni pomysłodawcy zaczęli nadawać realny kształt. Smugi dymu ulatujące z lokomotyw nad zamglonymi od gorąca polami i zbiegające się na zatłoczonych peronach to część spektaklu rozgrywanego na całym subkontynencie. Tak jak sto trzy tunele, przebite w górach na trasie do Simli, dwumilowy most na Gangesie w Biharze czy pale długości stu czterdziestu stóp wbite w błotnistą ziemię Suratu, ścisk na stacji Fort obwieszcza potęgę Anglików, technologów sprawujących kontrolę nad całym Indiami.

Miasto tak tętniące życiem jak Agra jest silnie naznaczone przez śmierć. Głównie z winy Mogołów, którzy w przeciwieństwie do obecnych władców o zacięciu technicznym wiele myśleli o przyszłym życiu i o tym, co zginęło dla nich bezpowrotnie, przechodząc z tego życia do następnego. Na każdym kroku pozostawili przepastne meczety, zimne pomniki nieobecności. Za fortem, gdzie zakręca rzeka, stoi Tadź Mahal. Mimo całego ogromu

marmurowego piękna, mimo ulgi, jaką w skwarny dzień przynosi chłodna posadzka i ciemne wnętrza, jest to przygnębiające miejsce żałoby autokraty które pochłonęło czterdzieści milionów rupii i kto wie ile istnień ludzkich. Władca Szach Dżahan kochał Mumtaz-i Mahal. Teraz dowód bólu po jej stracie wznosi się na obrzeżach miasta, stworzony wysiłkiem nieprzeliczonych rąk, otoczony regularnym ogrodem, gdzie wyznaczają sobie spotkania kochankowie epoki pary. Pomimo wszelkich starań miłość ciągle odmawia swego zwycięstwa i w oczach zakochanych widać zadumę i melancholię.

Jak to się nieraz zdarza, nad miastem zawisło widmo śmierci. Tym razem zabójcą nie jest obleżenie czy głód, lecz epidemia grypy, krocząca przez świat w pochodzie na wschód, zrodzona w jakiejś tajemniczej kupie odchodów za obozowiskiem amerykańskiej armii. Zanim opuści Agrę, zabierze z sobą jedną trzecią jej mieszkańców. Jedną trzecią wszystkich szewców, garnarzy, tkaczy jedwabiu i metaloplastyków na bazarach; jedną trzecią kobiet tłukących praną białynę o płaskie kamienie nad brzegiem rzeki; jedną trzecią spośród sześciuset rąk w oczyszczalni bawełny; jedną trzecią skazańców pracujących przy wyrobie dywanów w miejskim więzieniu; jedną trzecią wszystkich rolników dostarczających swoje produkty na lokalny rynek; jedną trzecią bagażowych śpiących na peronach między jedną zmianą a drugą; jedną trzecią małych chłopców grających w zabójczego dla goleni krykieta, odbijających piłkę na swoich spalonych słońcem podwórkach. Radżputowie, bramini, chamarowie, jatowie, banjowie, muzułmanie, katolicy, członkowie Arya Samaj i wierni kościoła anglikańskiego padną ofiarą tej samej sekwencji zmęczenia, potów, gorączki i wreszcie ciemności.

Na świecie epidemia pochłania więcej istnień niż masakra, która właśnie dogasa w Europie. Tutaj zawisa jak wyziewy nad płataniną uliczek przylegających do ulicy Drummond w części miasta zwanej Johri Bazaar, gdzie mieszczą się sklepiki jubilerów. Niczym pilot Roy, wlokący za sobą smugę czarnego dymu nad dalekim Londynem, spada w sam środek pomoru, na wielki, okazały dom, odgradzony od zgiełku ulicy wysokim ceglany murem. Omija kawałki rozbitego szkła wieńczącego szczyt muru, by runąć na niski, płaski dach, gdzie rozparty na lekkim łóżku chłopiec miarowo porusza ręką ukrytą w spodniach piżamy.

Pran Nath Razdan nie myśli o śmierci. Wręcz przeciwnie. Bazary mogą być wyludnione, korytarze szpitala Thomason przepelnione zwłokami, ale ani jedno, ani drugie zupełnie go nie dotyczy. On ma piętnaście lat i jego wygodny świat wyznaczają ściany rodzinnego domu. Jedyne dziecko znakomitego adwokata Pandita Amara Nath Razdana jest spadkobiercą fortuny wartej wiele lakh rupii i przyszłym właścicielem dachu, na którym właśnie spoczywa, wraz z dziedzińcami i ogrodami, chłodnymi, wysokimi pokojami, mieszkaniami dla służby oraz nowoczesnym węzłem sanitarnym na modłę europejską. Czeka ją

na niego jeszcze inne domy, czeka parę wiosek, interes z pu-cybutami w Lucknow, czekają udziały w firmie wytwarzającej jedwab. Przyszłość maluje się obiecująco.

Z westchnieniem spogląda na wypukłość w piżamie z jedwabnej surówki. Obiecująco. Pieniądze i tak są najmniej ważne. Wszyscy go kochają. Do ojca nie docierają żadne skargi. Uśmiechnięci służący wspinają się na górę z wodą do kąpieli. Kiedy cioteczki przychodzą z wizytą, szczypią go w policzki i gruchają jak podniecone gołębicę. Pran Nath, jaki śliczny! Jaki jasny! Idealny Kaszmirczyk!

Pran Nath jest bezsprzecznie bardzo ładny. Jego włosy mają leciutki odcień miedzi i lśnią w słońcu, przypominając ludziom wzgórze. W oczach widać domieszkę zieleni. Wydatne kości policzkowe powleka niczym bęben cenna skóra; nie brązowa, nawet nie śniada, lecz biała. Karnacja Prana Natha jest źródłem dumy dla wszystkich. Jej bladość nie ma nic wspólnego z paskudnym niebieskawym odcieniem Angrezi schodzącego ze statku czy z szarawym kolorytem umierającego. To idealna mleczna biel, biel marmurowych ornamentów wykonanych przez mistrzów w Tajganj. Kaszmirczycy pochodzą z gór i zawsze mają jasną karnację, lecz karnacja Prana Natha jest zupełnie wyjątkowa. To dowód wyższości rodowej krwi, cmokają zachwycone ciotunie.

Krew jest ważna. Jako kaszmirscy pandici, Razdanowie należą do jednej z najwyższych i najbardziej elitarnych kast w Hindustanie. W całym kraju (co skwapliwie przypomni wam każdy członek tej społeczności) pandici znani są ze swej mądrości i kultury. Książęta często powierzają im godność ministrów. Mówi się, że to Kashmiri Pandit pierwszy spisał Wedy. Guru rodziny Razdanów potrafi wyrecytować ich rodowód, cofając się o paręset lat, aż do czasów sprzed najazdu muzułmanów, kiedy to musieli opuścić dolinę i rozpocząć nowe życie na równinach. Krew usztywniająca wybrzuszenie w piżamie Prana Natha jest najwyższej próby. Ma gwarancję jakości.

Pran Nath nie jest sam na dachu. Czoło młodziutkiej służącej podjechało ku górze, odsłaniając miękką gładką skórę i wypukłość kręgosłupa. Dziewczyna się poci, jej skóra lśni w słońcu. Niedbale trzyma w jednym ręku miotłę, wciągając w nozdrza intensywny zapach surowej cebuli, dolatujący z sypialni pana. Pod jej spranym sari Pran Nath dostrzega wyraźny zarys pośladków, co dało mu pierwotny impuls do poluzowania spodni piżamy. Tak się jakoś dzieje, że samo patrzenie już nie wystarcza. Dziewczyna nie stoi daleko. Mógłby ją złapać, pociągnąć na poduszki. Jasne, byłaby awantura, ale ojciec wszystko załagodzi. Przecież to tylko służąca.

Tymczasem Gita zupełnie nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia. Zagapiła się na małpę i wyobraża sobie, jak byłoby wspaniale, gdyby zwierzę przemówiło. Może przybywa tu z

polecenia jej księcia, który przykazał czuwać nad Gitą. Może urosnie do gigantycznych rozmiarów, posadzi ją sobie na włochatym ramieniu i uniesie do pałacu, gdzie odbędzie się wesele, uświetnione występami śpiewaków i tancerzy. Jeśli małpa nie jest posłańcem księcia, mogłaby chociaż zmienić się w tego ślicznego chłopca, który sprząta u grubego aptekarza. Jeśli nie zmieni postaci, może przemówi i przepowie jej przyszłość. A jeśli nie jest małpim wróżbitą, to mogłaby przynajmniej pozwolić jej zapomnieć o bólu w plecach, zamiast siedzieć, drapać się po jaskrawoczerwonym zadzie i raz po raz szczyryć zębiska. Gita prostuje się i ociera pot z czoła. Jak zwykle czeka ją jeszcze sporo pracy.

Co do małpy, to nie ma zamiaru przybierać innej postaci. Pozbawiona królewskich koneksji i mocy jasnowidzenia, wykazuje przemożne zainteresowanie silną wonią cebuli bijącą w nozdrza. Cebule są jadalne. Małpa przycupnęła na rozpadającym się kawałku muru. Wyciąga łeb w kierunku niewyraźnej postaci majaczącej w otwartym wejściu, niepewna, czy to też coś jadalnego, czy raczej zwiastun niebezpieczeństwa.

Owa postać to Anjali, służąca, która stara się pozostać niezauważona. Całe szczęście, że przyszła. Czują przez skórę, że dzisiaj nie powinna spuszczać córki z oka. Patrzenie na tego wyuzdanego chłopaka! Jeśli tylko dotknie włosa na głowie jej małej Gity, zapłaci za to. To nie są czece pogrózki. Służąca Anjali wie różne rzeczy o Pranie Nath Razdanie. Wie nawet więcej niż on sam. Jeden ruch, a powie wszystko.

Anjali wychowała się w domu lichwiarza na skraju pustyni. Parę lat starsza od córki lichwiarza, została jej służącą, gdy podrosła na tyle, żeby zaplatać włosy i utrzymać w ręku żelazko. Widziała, jak jej młoda pani odsuwa się od świata, i dbała o nią, gdy ta leżała bezwładnie na łóżku, sparalizowana niewidzialnymi wytworami własnej wyobraźni. Służące traktowały szaleństwo Amrity jako przejaw świętości objawiającej iluzoryczną naturę tego świata. Niektóre kobiety starały się nawet dotknąć jej szat przy podawaniu herbaty. Anjali do nich nie należała. Bała się tej dziewczyny. Gdy próbowała napoić ją wodą albo zmusić do przełknięcia odrobiny dalu, wyciągała rękę przed siebie, trzymając się możliwie najdalej od łóżka. Miała się na baczności przed złymi duchami, które mogłyby przejść na nią z nawiedzonego ciała. Na wieść o tym, że będzie towarzyszyć Amricie w drodze do Agry, czym prędzej pobiegła do chiromanty Usłyszała, że ma się strzec wody.

Ocalała chyba dzięki tej radzie. Po nagłej powodzi pozostała przy życiu ona i dwóch tragarzy. A przynajmniej tak im się wtedy wydawało. Brnąc zalanym wąwozem w poszukiwaniu innych ocalałych, dotarli do jaskini rabusiów, gdzie natknęli się na Amritę w koszuli khaki i krótkich spodniach. Nagie ciało Anglika wyciągnęli z wody parę mil dalej na południe. Nietrudno było sobie wyobrazić, co zaszło.

Amrita mamrotała jakieś wiersze o drzewach, o wodzie. Anjali ubrała ją w sari i przywróciła jej przyzwoity wygląd, cały czas powtarzając zaklęcia odstrasżające złe moce. W kieszeni koszuli znalazła nieczytelny dokument ze zdjęciem nieżyjącego Anglika. Dyskretnie ukryła je w fałdach ubrania. Po dotarciu do stacji Fort w Agrze wagonem trzeciej klasy nie traciła czasu. W nowym domu podzieliła się szokującą wiadomością ze służbą. Dziewczyna jest zhańbiona. Na pewno ją odeślą.

Wuj zamknął dziewczynę w pokoju na górze, a sam zwołał braci i kuzynów na naradę. Potem jeden z nich wezwał Anjali i wręczył jej srebrną bransoletę, parę ciężkich kolczyków i kolczyk do nosa.

Anjali zrozumiała, że ma milczeć. Znaleźli Amricie męża, Razdana, i nie chcą słyszeć o żadnych przeszkodach na drodze do tego małżeństwa. Gdyby ktoś spytał ją o zdanie, Anjali powiedziałyby, że ten związek od początku naznaczony był fatalizmem. Często widywała dziewczynę nago. Przyjrzała się jej uważnie. Amrita miała pieprzyk z prawej strony, tuż pod piersią. Ten znak, zdradziła szeptem ogrodnikowi, jest bardzo czytelny. Panna młoda długo nie pożyje.

Pechowym panem młodym okazał się poważny młodzieniec o imieniu Amar Nath, który właśnie rozpoczął praktykę adwokacką. Należał do towarzystw propagujących higienę, rodzimą tradycję, czystość kulturową, ochronę krów i sumienne przestrzeganie praktyk religijnych. Ostatnio opublikował w „The Pioneer” artykuł, w którym poruszył temat zgubnego wpływu podróży zagranicznych na kastowość i stanowczo sprzeciwił się idei opuszczania indyjskiej ziemi.

Studia nie pozostawiły Amarowi Nathowi wiele czasu na zdobycie ogłady towarzyskiej. Podczas pierwszego spotkania z narzeczoną wydusił z siebie ledwo parę słów, a potem na długo wbił wzrok w czubki swoich butów, aż znudzone przyzwoitki zarządziły koniec podwieczorku. Oczywiście Amrita nie odezwała się ani słowem. Po jej twarzy przemyczał tylko cień uśmiechu. Była piękna, co bardzo pomogło. I na pierwszy rzut oka nie zdradzała oznak szaleństwa. Amar Nath był posłusznym synem. Jego podeszłych wiekiem rodziców martwiło, że nie interesuje go nic prócz książek i moralności. Uwierzyli więc zapewnieniom wuja Amrity i wymogli na synu ożenek. Rozpoczęto przygotowania do ślubu.

Uroczystość odbyła się bez zakłóceń o wyznaczonej wcześniej pomyślnej godzinie. Kapłani poprawnie wyrecytowali mantry. Panna młoda, przystrojona biżuterią przez młode kobiety z jej nowej rodziny, uśmiechała się skromnie. Nieprzeliczonej gęstwie krewnych rozdano słodycze. A pan młody prezentował się całkiem nieźle na czele orszaku weselnego. Było jednak coś, co wzbudziło silny sprzeciw Anjali. Szafir w naszyjniku panny młodej.

Szafiry to podstępne kamienie. Choć załamują szkodliwe promienie Saturna, potrafią je również skupiać.

Amara Natha na pewno zdumiał zapach żony w łóżu małżeńskim. Anjali, która powędrowała do ich domu za swoją panią, późnym wieczorem słyszała jego zaprawione zaskoczeniem sapanie i swawolne odgłosy dobiegające zza okna i wznoszące się ku dachowi, na którym leżała. Jak później zauważyła w rozmowie ze sprzedawcą paan, ten poważny młody człowiek na pewno nie spodziewał się, że jego cicha narzeczona przejmie inicjatywę. Szczęście dla niej, że był taki niedoświadczony. Każdy inny na jego miejscu nabrałby podejrzeń, I choć plotki o przygodach panny młodej dotarły nawet do hidźrów, którzy przyszli wyśmiewać gości weselnych, Amar Nath i jego rodzina byli zbyt dumni, aby dawać posłuch paplaninie eunuchów i służby. Ze świeżo poślubioną żoną u boku młody mąż wrócił do rozmyślań o nie rozstrzygniętej kwestii granic i znaczeniu Persów w edukacji chłopców z dobrych rodzin. Przez dziewięć miesięcy, a może trochę mniej, młody mąż brał udział w rozmaitych posiedzeniach i spotkaniach, młodej żonie urósł brzuch, a Anjali utkała wokół siebie misterną pajęczynę domysłów i pogłosek. Aż wreszcie któregoś popołudnia dziedziniec rozbrzmiał przeraźliwym krzykiem. Amrita zaczęła rodzić. Fatalny wpływ szafiru i znamienia dawał o sobie znać.

Astrologa wezwano na długo, zanim Pran Nath przyszedł na świat. Rodzina umieściła go pod wentylatorem na zacienionej werandzie, gdzie czekał, popijając herbatę z cukrem i kurczowo ściskając w ręku szkatułkę z wykresami.

Przyszło mu czekać bardzo długo.

Wypił herbatę. Starannie ulokował na stole szkatułkę. Zjadł owoce, obrawszy je ostrożnie nożem. Odmówił kolejnej porcji herbaty. Wstał, przeciągnął się i z satysfakcją poczuł, jak kręgi wracają na swoje miejsce przy wtórze lekkiego chrupnięcia. Uprzejmie odmówił wody sodowej z limonką. Krzyki rodzącej niosły się echem po całym ogrodzie.

Później astrolog wybrał się na krótką przechadzkę. Wąchał jaśmin i cieszył się cieniem drzew. Ogrodnik podlewał klomb obsadzony delikatnymi białymi liliami i gość przystanął, by pochwalić jego pracę. Twarz ogrodnika zajaśniała dumą. Potem obaj zamilkli, wsłuchani w coraz rozpaczliwsze jęki i łkania dochodzące z pokoju matki.

Kiedy słońce skryło się już za dachami, astrologowi zaproponowano, by się położył i odpoczął. Tym razem nie odmówił, choć trudno mu było zasnąć. Zajmował się wprawdzie narodzinami i ich znaczeniem, jednak samo zjawisko zawsze budziło jego niepokój. Krew i ból. Kobięca domena, niedostępna mężczyźnie, nawet będącemu znawcą Jyotish, dla którego

większość tajemnic jest jasna i zrozumiała. Wolał traktować narodziny jako fakt matematyczny, dostoyny przemarsz planet i konstelacji przez wyraźnie określone domy, sektory bezkresnej przestrzeni podzielonej siatką umownych linii. Parkosyzmy bólu, bieżanina słuźących, krwawe, okropne sceny, jakie niewątpliwie rozgrywały się w pokoju na górze, to wszystko sprawiało mu wielką przykrość. Nieprzyjemnie było myśleć o planetach szarpiących łonem tej nieszczęsnej kobiety. Zawsze wyobrażał sobie wpływ gwiazd jako coś eterycznego, subtelnego.

A potem zapadła złowieszca cisza. W napięciu wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z gęstniejących ciemności. Hałaśliwe brzęczenie owadów, skrzek papug przekrzykujących się w gałęziach drzew. I nic więcej. Nic człowieczego. Niedługo potem zjawiła się słuźąca z lampą oliwną. Postawiła ją na stole. Zewsząd zleciały się ćmy i zaczęły bić w szklaną osłonkę płomienia.

- Dziecko się urodziło - oznajmiła z dziwnym wyrazem triumfu na twarzy. - Chłopiec. Matka nie żyje.

Astrolog z rezygnacją pokiwał głową. Potem spojrział na zegarek, otworzył szkatułkę, wyjął pióro i papier i zabrał się do pracy.

Wykres okazał się bardzo dziwny. I straszny. Gwiazdy tworzyły nieregularny, przeraźający układ. W modelu ich oddziaływania brakowało równowagi. Wszystko zbaczało w stronę pasji i zmiany. Astrologowi taki rozkład wydał się nieprawdopodobny. Siły biegnące we wszystkich kierunkach, zgubny wpływ Księżyca i Saturna wróżyły najrozmaitsze przeobrażenia. To był wykres bez żadnych stałych elementów. Wykres pełen kłamstw. Astrolog zajrzał do swej księgi, by sprawdzić wyniki, pokrywając wyliczeniami papier nakrapiany brązowymi cętkami.

Przyszłość chłopca była niejasna. Astrolog nie potrafił przewidzieć żadnej ze zwykłych rzeczy - ani długości życia, ani perspektyw małżeńskich, ani pomyślności materialnej. Układy wyłaniały się po to tylko, by zniknąć przy próbie określenia innego aspektu koniunkcji. Planety przemykały przez kolejne domy, zawieszane między pozycją przyjazną a wrogą. Widoczne możliwości po chwili gineły z oczu. Astrolog nigdy dotąd nie był tak zdezorientowany.

Być może (choć nie dałby za to głowy) przez ten chaos wiodła jakaś droga. Jeśli tak, była z pewnością bardzo pokrętna. Jakim cudem tyle fałszu mogło prowadzić ku własnemu przeciwieństwu, ku rozwianiu iluzji? Podniósł głowę i spojrział na prostokąt światła na piętrze. Dziecko pozna, co to cierpienie i strata. Czy naprawdę powinien mówić o tym ojcu? Ten człowiek właśnie oplakuje żonę. Na stole martwe ćmy ułożyły się w mandalę u podstawy lampy. Astrolog pomyślał o zmarłej kobiecie. Po jego ciele przebiegł dreszcz.

Po powrocie służąca zastała go nad nowym, starannie rozrysowanym wykresem, obrazującym pomyślną przyszłość, długie życie, synów i sukcesy w interesach. Porwany na strzępy pierwszy wykres leżał w szkatułce, ukryty przed wzrokiem innych.

Kiedy astrolog przyniósł panu horoskop nowo narodzonego syna, Pandit Razdan wyglądał na zadowolonego. Wszyscy i tak wiedzą, że astrologowie mówią swoim klientom to, co tamci chcą usłyszeć. Jeśli czyjaś broda płonie, zawsze znajdzie się ktoś, kto ogrzeje sobie przy niej ręce. A kto daje napiwek zwiastunowi ziej nowiny? Po ujrzeniu noworodka o białej skórze Anjali wiedziała, że wisi nad nim fatum.

Dziecko stękało i kwiliło, gdy tymczasem jeden z chłopców pobiegł na miejsce kremacji po kapłana, a akuszerki paliły w ogrodzie skrwawione prześcieradła. Wydawało się, że nikt nie poświęcił zmarłej matce ani jednej myśli. Zajmowało ich jedynie jak najszybsze usunięcie ciała. Ta dziewczyna była wynaturzeniem, czynnikiem drażniącym naskórek sprawnie funkcjonującego domostwa. Zawiązała się cicha zgoda co do traktowania jej jak zjawy, tymczasowego fenomenu, który po prostu zniknął.

Anjali podzielała pogląd, że śmierć Amrity była najlepszym rozwiązaniem. To cud, że jej pani przetrwała tak długo. Rodzina nie posiadała się ze szczęścia po narodzinach syna. Jaki duży! Jaki zdrowy! Ale Anjali, patrząc na chłopca, nie mogła zapomnieć o jego prawdziwym pochodzeniu, o dziewczynie z bramińskiego rodu zhańbionej przez bladolicę mężczyzną z fotografii. I potrafiłaby trzymać język za zębami, gdyby tylko dziecko nie okazało się takim potworem.

To stało się jasne już wtedy, gdy Pran Nath był mały. Pluł na innych, kopał, a gdy ktoś ośmielił się go ukarać, wpadał w szał. Dostawał piękne ubrania, które darł na strzępy, i mnóstwo zabawek, które rozbijał w drobny mak. Prezenty miały mu zastępować rozmowy z ojcem, odbywane niezmiernie rzadko i przypominające raczej ostre napomnienia, żywcem wyjęte z książki porad domowych. „Utrzymuj włosy w czystości, by uniknąć pasożytów”. „Zapamiętaj różne sposoby zaczynania listów”.

Kiedy Pran Nath skończył sześć lat, zatrudniono nauczyciela, pod którego okiem chłopiec miał odebrać moralną, intelektualną i fizyczną edukację, opisaną przez Amara Nath Razdana w artykule Głos w sprawie naprawy hinduskiego systemu wychowania. Nauczyciel opuścił dom po tygodniu z nogą złamaną w kostce. Twierdził, że to jego podopieczny podstawił

mu nogę i spowodował upadek ze stromych schodów. Po nim przyszli następni. Żaden z nich nie wytrzymał dłużej niż parę miesięcy. Bezpośrednio po kontuzjowanym pedagogu nastąpił byty wojskowy w stopniu sierżanta, który załamał się, znalazłszy sekretną kolekcję drogich jego sercu listów miłosnych spalonych na popiół. Potem byli: zezowaty Bengalczyk; Sindhi, rozmiłowany w Keatsie i ze skłonnością do alkoholu; paru przerażonych studentów uniwersytetu, a nawet pewien Anglik, który zrezygnował po pierwszej lekcji i oświadczył, że jego noga więcej w tym domu nie postanie.

Anjali przypisywała porażki nauczycieli pochodzeniu chłopca i gotowa była każdemu dowieść swoich racji. Choć początkowo Pran Nath znajdował obrońców, wykruszali się jeden po drugim, zrażeni jego arogancją i niewybrednymi psikusami. Stwierdziwszy, że chłopiec jest całkiem bystry, wkrótce przekonywali się, że używa swego sprytu głównie po to, by niszczyć ich własność albo podrzucać im coraz to nowe paskudztwa, które znajdowali w jedzeniu, we włosach czy w pościeli. Jego talent mimiczny - kolejna potencjalna zaleta - znajdował ujście w okrutnym parodiowaniu chromego czokidara albo sposobu, w jaki syn krawca, chłopiec z zajęczą wargą, je dał. Próbowali wyperswadować mu takie zachowanie, ale przypominało to karmienie mały solą. W końcu jeden po drugim zgodzili się z Anjali, że Pran Nath to istny dopust boży.

Mimo to ciągle pozostawał jedynym synem. Cokolwiek powiedział czy zrobił, z definicji było doskonałe. Z ojcem zagrzebanym w księgach, bez matki, bez brata czy choćby nagrody pocieszenia w postaci siostry, do której mógłby się zwracać w razie potrzeby, był samotny. Służba zbiorowo zagryzała wargi. Pran Nath nie zwracał uwagi na ich niechęć, głęboko przeświadczony, że jest pępkiem świata. Owo przekonanie wpływało z zachwyków okazywanych przez członków dalszej rodziny, ale po kilku latach nawet oni zaczęli się od niego odwracać. Dumne z Prana Natha ciotki jedna po drugiej umierały albo zaprzestawały odwiedzin. Stryj miał wylew, spowodowany - jak szeptano między sobą - przez Prana Natha, który pewnej nocy imitował pod jego oknem głos jakiegoś dzikiego zwierza.

Kiedy Pran wyciąga rękę w stronę córki Anjali, podstawy jego świata są bardziej nietrwałe, niż mu się wydaje. Wzbierają potężne siły, gotowe w każdej chwili objawić swą moc. Jeśli jego palce dotkną obiektu, ku któremu dążą, bieg rzeczy ulegnie przyspieszeniu. Na razie ta chwila ma w sobie jakiś zastygły wdzięk, pozorny spokój bliski rzeczywistej synchronii, nie wiedzieć czemu przesycony zapachem surowej cebuli.

*

Pod koniec wojny znakomity adwokat pandit Amar Nath Razdan jest już dumnym autorem dwustu siedemdziesięciu sześciu artykułów opublikowanych w rozmaitych czasopismach, od broszur wydawanych przez Stowarzyszenie Młodych Kaszmirczyków po gazety ogólnokrajowe. Jego zainteresowania są niezmiernie rozległe. W sprawach polityki skłania się ku wyważonemu nacjonalizmowi opartemu na przekonaniu o potrzebie zachowania tożsamości każdej z grup społecznych. Co do religii, przynależy do konserwatywnego skrzydła wspólnoty kaszmirskich panditów, identyfikujących status społeczny z wartościami etycznymi i surowo potępiających wszelkie próby łagodzenia kastowych obostrzeń. W ważnej kwestii dbałości o zdrowie jest zagorzałym i niestrudżonym orędownikiem rygorystycznego przestrzegania zasad higieny osobistej, przekonany o konieczności jej oficjalnego wspierania rozporządzeniami lokalnych władz, może nawet działalnością inspektorów opłacanych z kasy Ministerstwa Zdrowia. W kwestii etykiety boleje nad zanikiem kanonów dobrego wychowania. Co do języka, jest zdeklarowanym przeciwnikiem zaśmiecania go wulgaryzmami, przekleństwami i slangiem. Literaturę starożytną przedkłada nad dzieła autorów nowożytnych. W malarstwie i sztukach plastycznych kieruje się tymi samymi upodobaniami. Potrawy powinny być, jego zdaniem, niewyszukane i pożywne; należy unikać fanaberii, nowinek kulinarnych i nadmiaru przypraw. W kwestiach stroju głosi zasadę skromności i wystrzegania się krzykliwych wzorów, szczególnie szaleńczych kombinacji kratek i pasków.

Ci, z którymi pandit Razdan dzieli się swoimi opiniami, na ogół słuchają go uprzejmie i uważnie. A jeśli w sądzie widać czasem, jak w trakcie którejś ze słynnych rozwlekłych mów końcowych Razdana jego adwersarzom i niektórym ze słuchaczy głowa raz po raz opada na piersi, a oczy się zamykają, zazwyczaj przypisuje się to panującej spiekocie, ciężkostrawnej diecie czy innej rzeczy nie mającej najmniejszego związku z trwającą przemową.

Wnikliwy obserwator, który przez lata śledził publikacje pandita Razdana, dostrzeże w nich wspólny wątek. Jeszcze łatwiej dostrzec go tym, którzy piorą jego ubrania, zamiatają podłogi czy przygotowują dla niego pożywne posiłki, pamiętając o unikaniu nadmiaru przypraw. Pandit Razdan panicznie boi się wszelkich zanieczyszczeń. To jego wróg numer jeden, przeciwnik, z którym toczy codzienną walkę w różnych dziedzinach życia. Utrzymaniu szczelnej granicy między własną osobą a brudem świata zewnętrznego poświęca większość swego czasu, energii i serca.

W 1918 roku czterdziestoletni pandit Razdan zaczyna dzień według wzorca przestrzeganego od prawie dziesięciu lat. Zanim ostrożnie podniesie się z łóżka, obrzuca pokój bacznym spojrzeniem w poszukiwaniu przeszkód czy niebezpieczeństw, które mogły pojawić

się w nocy. Upewniwszy się, że teren jest czysty, wstaje, odmawia krótką modlitwę i kieruje się do ubikacji. Tam spędza w kucki przynajmniej dziesięć minut, wydalając zawartość okrężnicy i badając rezultaty. Jeśli wyniki obserwacji nie budzą niepokoju, Razdan przechodzi do łazienki.

Tam najpierw upewnia się, czy podłoga jest czysta, a szczególnie odpływ w odległym kącie. Sprawdza, czy obok naczyń na wodę albo mebli nie czai się robactwo lub inne stworzenia, po czym staje na niskim drewnianym podeście obok balii i polewa sobie głowę siedmioma lotami wody, a następnymi siedmioma całe ciało. Potem kuca i zawartość jednej loty ostrożnie wylewa na genitalia, pomagając sobie palcami przy fałdach skóry i owłosionych miejscach. W zasięgu jego ręki zawsze leży nowa kostka mydła w papierowym opakowaniu. Razdan zręcznie ją wyłuskuje, potem namydla i spłukuje całe ciało ruchami tak precyzyjnymi i uroczystymi, jak kolejne fazy pogrzebu według ceremoniału wojskowego.

Golenie wymaga dostarczenia gorącej wody w ściśle określonym momencie. Sługa Razdana uważa to za swój najważniejszy obowiązek w ciągu dnia. Ostrzenie brzytwy zajmuje mu nie mniej niż dwie minuty. Dwie następne minuty trwa przygotowanie piany. W tym czasie jego nagi pan wykonuje ćwiczenia zalecane po kąpeli, których szczegółowy opis zawarł w rozprawie „Po czystości i pobożności czas zadbać o prawidłowe krążenie krwi”.

Po spełnieniu tej powinności pan otrzymuje brzytwę sprawdzoną uprzednio palcem sługi i może przystąpić do golenia. Ta czynność jest niezwykle precyzyjna i wymaga od pandita Razdana wielkiego opanowania. Pod żadnym pozorem nie powierzyłby golenia swemu słudze. Brzytwa jest ostra, ucho bardzo blisko, a posadzka zawsze zdradliwa, mimo że od balii dzieli go duża odległość. W tej kwestii pandit Razdan nie dowierza nawet samemu sobie. Czasem wyobraża sobie, że nie panuje nad ręką i w niekontrolowanym odruchu przeciąga brzytwą po gardle. Kiedy taka myśl przelatuje człowiekowi przez głowę, dokończenie golenia wymaga żelaznej woli.

Tuż przed wybuchem wojny pandit Razdan rozwiązał najtrudniejszą część powyższego problemu. Zapuścił brodę. Ale ciągle wymaga ona przycinania i nawet ten zabieg najeżony jest niebezpieczeństwami. Każdego ranka trudy golenia doprowadzają Razdana niemal do płaczu, mimo to zawsze je przewycięża. To tylko jedna spośród wielu drobnych bitew, jakie stacza co dnia.

Ubieranie wiąże się z wytrząsaniem butów na wypadek, gdyby w środku skryły się skorpiony, oraz wołaniem o świeży strój, gdyby przygotowany na dziś upadł na posadzkę lub uległ zanieczyszczeniu kroplą olejku do włosów. Jednocześnie Razdan usiłuje kontrolować oddech i uspokoić rytm walącego serca. W przerwach poszukuje na ciele oznak choroby. Jeśli dopatrzy się czegoś niepokojącego, każe słudze wezwać lekarza. Służący gorliwie wybiega z

pokoju, by spędzić kilka minut na schodach, zaciągając się bidi. Pandit Razdan nigdy nie pyta, dlaczego lekarz nie przychodzi. A symptomy niezmiennie znikają, gdy jego uwaga kieruje się ku czemuś innemu.

Pandit Razdan pilnuje, by w sędzie zawsze mieć mydło, wodę i czyste ręczniki. Nie zapomina o zapasowym komplecie ubrań. Posiłki jada według niezmiennego rytuału, jeśli więc ma nieszczęście odbywać podróż, gruntownie bada przynależność kastową potencjalnego kucharza. „W dzisiejszych czasach upadku - pisze w przychylnie odebranym komentarzu do „Niebezpieczeństw współczesnej kuchni” - jeśli nie chcemy narazić na szwank swej duchowej pomysłowości, stajemy przed smutną koniecznością przywdziania policyjnego hełmu w celu sprawdzenia przydatności kucharza”.

Pandit Razdan unika ściskania dłoni angielskiemu sędziemu okręgowemu. Zyskał tym sobie opinię radykała. Tymczasem prawdziwy powód tej niechęci nie ma nic wspólnego z polityką. Zasadza się wyłącznie na wstręcie do dotykania pozakastowego zjadacza wołowiny, który hołduje wątpliwym zwyczajom. Kiedyś pewien młody angielski prawnik ochoczo postąpił ku Razdanowi i uściśnął mu dłoń, zanim ten zrobił cokolwiek, by temu zapobiec. Rozprawa trwała prawie trzy kwadranse, a wstrząśnięty całym zajściem pandit, zamknięty w męskiej ubikacji, zapamiętane szorował ręce, by zmyć z nich piętno tego dotknięcia.

Kiedy nadchodzi epidemia grypy Amar Nath Razdan ma wrażenie, jakby sam wszechświat wyzwał go na pojedynek. Trudno znaleźć coś, co przerażałoby bardziej. Pierwsza ofiara, jaką widzi, to mieszkaniec ulicy leżący na poboczu w otoczeniu płaczących krewnych. Twarz trupa jest wykrzywiona, sina i opuchnięta. Nieco później, gdy przestają obowiązywać dotychczasowe nakazy przyzwoitości, pandit Razdan ogląda umierającą Angielkę, wynoszoną z jednego z domów w dystrykcie dla urzędników państwowych. Jej twarz jest tak samo sina jak twarz tamtego człowieka. Choroba zaciera różnice rasowe. Załamanie się systemu społecznego przeraża pandita Razdana niemal tak mocno jak śmierć.

Po tygodniu od zarejestrowania w mieście pierwszych przypadków hiszpanki chorują i umierają już tysiące. W Ameryce i Europie grypa zdążyła pochłonąć miliony istnień. Wiadomo, że chorym niewiele można pomóc. Krążą pogłoski o transportowcach przemierzających Atlantyk, które docierają do portów przeznaczenia w połowie puste, z ludźmi dziesiątkowanymi przez chorobę. Szerzy się panika, pustoszeją bazy. Z odległych okręgów nadchodzą opowieści o wymarłych wioskach i kolumnach zaprzężonych w woły wozów znajdujących przy drogach, z martwymi woźnicami na kozłach. Kiedy szpitale i zenany już nie wystarczają, bogate rodziny urządzają prowizoryczne oddziały dla chorych we własnych domach. Mimo przynależności do rozmaitych towarzystw dobroczynnych, pandit Razdan

odmawia pójścia w ich ślady. Przystępuje do pisania artykułu pod roboczym tytułem: „Dwadzieścia metod zapobiegania chorobom przenoszonym drogą powietrzną”, ale zanim wstępna wersja jest gotowa, autora ogarnia zwątpienie. Przestaje wierzyć, że „nadludzkie akty dbałości o czystość”, dobrze przewietrzane pomieszczenia czy bawełniana maseczka na twarzy skutecznie uchronią go przed chorobą.

Powszechnie uważa się, że grypa trzyma się blisko ziemi, więc przez jakiś czas pandit wypełnia swoje obowiązki z grzbietu konia. Pożyczona klacz stoi osiodłana na dziedzińcu domu. Kiedy Razdan wkracza na ulicę, jest już poza zasięgiem szkodliwego wpływu. Jako że nie sposób wjechać na koniu do budynku sądu, pandit Razdan spisuje wcześniej swoje mowy i posyła z nimi do środka sługę. Gdy ten biega po schodach w górę i w dół, jego pan siedzi na koniu, obserwowany w całym swym majestacie przez dzieci i brytyjskiego sierżanta policji, bynajmniej nie rozbawionego tym widokiem. Pożar w dzielnicy slumsów zmusza Razdana do wizyt w tej części miasta. Odrzuca zaproszenie do niskich domków i rozmawia z ich mieszkańcami z wysokości końskiego grzbietu, z chusteczką przytkniętą do twarzy. Trwa to cały tydzień, aż jakiś łobuz ciska w konia kamieniem. Trafione zwierzę zrzuca jeźdźca wprost do mętnej kałuży, w której z całą pewnością aż roi się od wszelkich chorób. Po długotrwałym szorowaniu Razdan zawiera innym sposobom. Przerzuca się na regularne kąpiele stóp w wyciągu z gorczycy oraz płukanie gardła smrodliwymi miksturami na bazie chlorowanej wody sodowej, konopi i kwasu borowego. Postanawia okadzić dom. Każe sługom przygotować rozgrzane węgle, po czym posypać je siarką i spryskać melasą. Gęsty i duszący niebieskawo-zielony dym napelnia pokoje obrzydliwą wonią.

Nocami Razdanowi śni się zaraza. Obrzękłe twarze i odgłosy kaszlu prześladują go na ulicach, gdzie domy i sklepy zdają się zlewać z sobą, zatracać indywidualny kształt, dotknięte jakąś własną niepowstrzymaną architektoniczną chorobą. Ludzie ze snu są przerażający i nierozróżnialni. Pod wpływem spojrzenia albo dotyku zamazują się i przechodzą jeden w drugiego - kobiety w mężczyzn, czarni w białych, wysocy w niskich. Wydaje się, że epidemia zaciera wszelkie istniejące różnice, zlewając cały świat Razdana w jedną straszliwą bezkształtną masę.

Zza drzwi sypialni pandit Razdan domaga się lekarza tak długo, póki sługa nie wypełni jego żądania. Medyk zjawia się w masce na twarzy i staje w progu pokoju. Ordynuje pandicie jakiś drogi lek i radzi unikać zanieczyszczonego powietrza oraz skupisk ludzkich. To ostrzeżenie jest zupełnie niepotrzebne. Większości zgromadzeń i procesji i tak zakazano. Pracę sądów zawieszono na mocy rozporządzenia okręgowego inspektora sanitarnego. Informację o tym przyniósł Razdanowi młodszy kancelista, ale Razdan nie wpuścił go do domu.

Pewnego ranka podczas kąpieli, przezornie wydłużonej teraz do jednej godziny, Amar Nath Razdan zaczyna odczuwać zawroty głowy. Próbuje przezwyciężyć strach chwytający go za gardło, lecz im bardziej z nim walczy, tym bardziej mu ulega. W końcu wraca do łóżka z nadzieją, że zawroty miną. Ale jest coraz gorzej. Po godzinie przychodzi ból głowy, dojmujące, wyraźne pulsowanie między oczami, zwiastujące nieuchronną śmierć kościotrupim chrobotem. Po dwóch godzinach, mimo wypicia sporej ilości wody, pandit Razdan jest rozpalony, zaczyna gorączkować. Przeciąga palcem po górnej wardze i czuje wilgoć.

Z upływem kolejnych godzin jego przerażenie jeszcze się wzmacnia. Ból, dotąd przeszywający głowę, ogarnia całą rękę i nogi, daje o sobie znać szarpaniem w krzyżu. Pobielone ściany i otwarte okiennice sypialni zdają się odzwierciedlać zagrożenie. Przemieszczają się szyderczo w polu widzenia Razdana, jakby trawione tą samą co on gorączką, ożywione jej wpływem. Około południa pandit Razdan krzykiem wzywa służących.

Amar Nath Razdan ma w zanadrzu ostateczny lek przeciw grypie, środek zaradczy zachowany na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Mniej więcej godzinę później wkracza do sypialni procesja służących z wiadrami cebuli i z emaliowaną wanną. Nie dbając o nakazy skromności, pan zrzuca z siebie ubranie i nago wskakuje do wanny, jedna z młodszych dziewcząt wybiega z pokoju. Dopiero łagodna perswazja skłania ją do powrotu. Służba sieka cebule i wrzuca je do wanny. Każda cebula znaleziona w spiżarni jest teraz tutaj. Prawie cały dom zajął się krojeniem. Stopniowo chude ciało pandita Razdana ginie pod cebulową powłoką. Wystają tylko czubki kolan i głowa. Cebule są tak mocno zgniecione, że pandit Razdan pływa w ich mięszu i soku. Na koniec słudzy ciasno owijają wannę białą tkaniną, której końce wiążą pod głową swojego pana, co upodabnia go do cebulowej mumii, ciasno spowitej płótnem i zlanej potem. Z załzawionymi oczami służący wychodzą karnie z sypialni i zamykają za sobą drzwi, pozwalając działać cudownemu lekarstwu.

Teoria kuracji cebulowej jest bardzo prosta. Cebula to ostre warzywo, znane ze swych palących właściwości. Wywołuje wydzielanie łez i potu. Jedna surowa cebula wystarczy, by odstraszyć niepożądanych rozmówców czy oczyścić wnętrze z nadmiaru wszelkich humorów. Hiszpanka jest jedną z najbardziej wilgotnych chorób znanych ludziom, co czyni z cebuli potężną broń. Pandit Razdan ma nadzieję wygnać z ciała chorobę, składając bakcyła w ofierze oczyszczającemu ogniovi zbawiennego warzywa. Dodatkowo chrupie garściami swoje lekarstwo w rozpaczliwej walce ze śmiertelnym przerażeniem ogarniającym jego rozdygotane ciało.

Taki sposób zmierzania się z własną chorobą wybiera Amar Nath. Choroba jest prawdziwa. Największe obawy tego chimerycznego hipochondryka stają się rzeczywistością,

ściskającą jego czaszkę obręczą bólu. Amar Nath bębni palcami w klatkę piersiową. Coraz bardziej rozstrojony umysł podpowiada mu, że uda się zebrać z ciała bakcyle grypy jak małe owady. Poci się obficie. Ściany sypialni migoczą, a gorączka wprawia jego ciało w drżenie niczym młoteczek uderzający w strunę.

Gdzieś z oddali dobiegają go krzyki, odgłosy jakiegoś przewracanego mebla. Słyszy syna, słyszy Anjali, jak wymyślają sobie nawzajem. Odwraca głowę, próbując zrozumieć słowa. Ale dźwięki docierają do niego jakby z drugiego końca świata. Zanurzony w cebulowej brei, Amar Nath Razdan jest adwokatem w swojej ostatniej sprawie.

*

Gita z krzykiem zbiega ze schodów na dziedziniec, a jej matka (ucieleśnienie fatum, przeznaczenia, sprawiedliwości, karmy i reszty potężnych bezosobowych sił, które miazdzą podobnych mrówkom śmiertelników) okłada Prana po nerkach kijem do odstraszania małp. Gdy Pran zgina się w pół, Anjali sprytnie kieruje swoją broń ku jego kolanom i łokciom. Każdy celny cios wywołuje nagły i przeszywający parkosyzm bólu.

Zwycięstwo Anjali jest szybkie i całkowite. Spodnie od piżamy, skłębione wokół kostek Prana Natha, krępują ruchy i uniemożliwiają stawianie oporu. Kiedy Pran pełnie po ziemi, usiłując skryć się pod czarpai, Anjali obrzuca go siarczystymi przekleństwami, łapie za ucho kleszczowym chwytem palców zaprawionych wieloletnim łuskaniem grochu i siekaniem okry i wlecze przed oblicze ojca.

Puka do drzwi, zza których dochodzi złowieszczy chłopot.

- Panie?! Jesteś tam, panie?

Odpowiada jej cisza. Anjali niecierpliwie naciska klamkę. Drzwi ustępują. Cebulowy odór bucha ze środka z taką siłą, że z oczu Anjali ciurkiem zaczynają płynąć łzy. Amar Nath Razdan jest w kąpieli od trzydziestu godzin. Chory, teraz już bezsprzecznie i nieodwołalnie chory, zlany potem i wstrząsany dreszczami jak przy nagłym paroksyzmie, z głową wystającą z nad białych zwojów niczym główka przedwcześnie urodzonego dziecka, z przekrwionymi oczami i nieprzyjemnie zaczerwienioną, pomarszczoną skórą, wygląda jak marynata, co jest właściwie bliskie prawdy.

- Umieram - mówi słabym głosem.

- Może i tak - rzuca brutalnie Anjali, narzucając koniec sari na głowę. - Wydaje mi się, że znam przyczynę.

Na twarzy pandita Razdana widać przejęcie. Kawa głową na znak, że Anjali powinna mówić dalej. Wobec powagi sytuacji kobieta unosi rękę ku niebiosom.

- Ten dom - oznajmia z naciskiem - jest przeklęty. Jej panem wstrząsa atak gwałtownego kaszlu.

Jak można mówić choremu człowiekowi, że jego jedyny syn, w którym przez piętnaście długich lat pokładał wszystkie swoje nadzieje, jest bękartem pozakastowego zjadacza nieczystego pokarmu, Anglika mylącego funkcje prawej i lewej ręki? Wyczucie i wrażliwość są dane nielicznym. Anjali nie należy do grona pobłogosławionych tym darem. Nie oszczędza swemu panu niczego. Sączy w jego mózg każdą pogłoskę, każdą plugawą insynuację. Kala

pamięć Amrity nie wprost, unikając wszystkiego, co mogłoby skłonić męża-rozacza do rozgrzeszenia zmarłej żony. Potem roztacza przed nim ponury (choć trzeba przyznać, że niezbyt przesadzony) obraz win Prana, by wyprowadzić z nich kategoriyczny wniosek: chłopiec wykazuje wszelkie oznaki skalanej krwi.

Większość ludzi poprzestałaby na tym, ale dla Anjali to dopiero początek. Objaśnia temat mieszania się ras i wszystkich straszliwych tego konsekwencji. Ze zmieszanej krwi biorą się wszelkie plugastwa naruszające zasady odwiecznej religii. Nic dziwnego, że na Agrę spadła zaraza. Jeśli o nią, Anjali, chodzi, to wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby się okazało, że całą epidemię grypy, dwadzieścia milionów istnień, jakie pochłonęła, świat zawdzięcza Pranowi. Chłopak jest zepsuty do szpiku kości. Na koniec Anjali wyjmuję kartę atutową: sponiewieraną fotografię. RONALD FORRESTER, INDIAN FORE-STRY SERVICIE.

- Teraz powiedz, do kogo jest podobny, panie.

Razdan obraca fotografię w oblepionych cebulą dłoniach. Wpatruje się w sepiową twarz Forrestera, który też bacznie mu się przygląda. Analizuje nos, delikatny rysunek ust. Co do koloru skóry, to równie dobrze mogłaby to być twarz Hindusa. Mężczyzna z fotografii zdaje się posyłać mu błąd, rozmyty przez wodę uśmiech, który wżera się w mózg poprzez gorączkę niczym kwas trawiący metal. Po raz pierwszy od chwili, gdy Anjali przywlokła tu ze sobą Prana Natha, pandit Razdan kieruje wzrok w jego stronę.

Chłopiec klęczy na podłodze. Z rany na skroni cieknie mu krew. Rozzochrany i pochlipujący budzi lekką odrazę. Razdan uzmysławia sobie, dlaczego go unikał. Dotąd wydawało mu się, że to z powodu jego matki. Mówiła sama do siebie. Zawsze kiedy wchodził do pokoju, czuł, że jej przerywa. Mimo publicznych kampanii w obronie czystości obyczajów, od śmierci żony składał na bazarze potajemne wizyty w pokojach na górze pod czerwoną latarnią. Tam kazał kobietom zachowywać się w określony sposób, dotykać miejsc na ciele, które nawet wstydził się nazwać. Syn zawsze przywodził na myśl przykre wspomnienie matki, która zasiała owo ziarno grzechu w jego świadomości. Był dowodem jego zniewolenia zmysłowością.

Nie. To wszystko jest o wiele prostsze.

Czując się jak tonący, pandit Razdan uświadamia sobie, że służąca mówi prawdę. Pran Nath i mężczyzna ze zdjęcia to dwie wersje tego samego wizerunku. Pran Nath nie jest jego synem. Wraz z pojawieniem się tej myśli coś w nim pęka. Jego uporządkowane życie rozlatuje się na kawałki jak ustawiona na sztorc drewniana matryca z literkami w drukarni. Z wyrazem głębokiego zawodu na twarzy wydaje z siebie ostatnie technienie.

- Ojczy? - rozlega się płaczący głos Prana Natha. Ale odpowiedzi nie będzie.

*

Słudzy nawet nie czekają, aż ciało ich pana ostygnie. Wloką Prana Natha w stronę drzwi wejściowych i wyrzucają na ulicę.

Pran leży w ulicznym pyłu. Jego ubranie rozpacza przykrą woń cebuli. Wokół zbiera się tłum gapiów zaintrygowanych niesłychanymi wydarzeniami rozgrywającymi się na ich oczach. Czokidar wywija okutym bambusowym kijem, podczas gdy Anjali powtarza swój wywód o krzyżowaniu się ras. Na koniec oznajmia, że na domiar wszystkiego ten zły chłopak właśnie spowodował przedwczesną śmierć pandita Razdana. Po chwili drzwi zamykają się z trzaskiem, słychać donośny zgrzyt metalowej zasuw.

Pran wstaje i wali w drzwi, znajome drzwi z żelaznymi ćwiekami i zawiasami, z obłazującą niebieską farbą. Tłum lustruje go uważnie w poszukiwaniu oznak jego angielskości. Ludzie wskazują sobie każdą widoczną odmienność, która nagle stała się dla nich zaskakująco oczywista.

- Wpuście mnie! - błaga Pran. - Proszę!

Z drugiej strony drzwi czokidar wrzeszczy, żeby się wynosił.

- Błagam, otwórz! - Odpowiada mu cisza. - Bo przyjdzie mój wujek - krzyczy Pran drżącym głosem - i cię wychłosta. Pożałujesz, zobaczysz!

Ku jego radości słychać zgrzytanie zasuw. Niebieskie drzwi uchylają się lekko. Przez szparę wysuwa się ręka i rzuca na ziemię mały prostokąt w kolorze sepii. Po chwili drzwi znowu się zatrzaszczają. Pran podnosi fotografię i ponownie łomocze w drzwi, krzycząc i prosząc na przemian. Zdezorientowany, odwraca się ku gapiom i nagle staje twarzą w twarz z ludźmi, którzy nie mają najmniejszego powodu, by go lubić. Sprzedawca słodczy, stara kobieta z domu obok, mężczyzna handlujący artykułami sypkimi, chłopiec od aptekarza - na wszystkich twarzach maluje się ten sam złowrogi, nieprzyjazny uśmiech. Pran zaczyna żałować, że płatał ludziom tyle figli.

Z tłumu leci w jego stronę gruda krowiego łajna. Ciepły i mokry pocisk trafia go w kark. Kiedy Pran ściera z siebie maź, następny pocisk obryzguje mu twarz. Pran rzuca się naprzód. Garstka małych chłopców rozpierzcha się na wszystkie strony do wtóru drwiącego wycia. Dorośli śmieją się z pobłażaniem. I wtedy Pran pada jak długi na ziemię, potykając się o czyjaś podstawioną nogę.

Całe popołudnie spędza na czatach w pobliżu domu, z umysłem równie pustym jak jeden z jego zeszytów. Do niebieskich drzwi stukają zastępy ludzi. To członkowie miejscowej

społeczności, którzy na wieść o tragicznej śmierci pandita Razdana przyszli oddać mu hołd. Wszyscy wyglądają, jakby wiedzieli o hańbie Prana. Choć rzuca się ku nim z błaganiami o pomoc, większość z nich nawet na niego nie patrzy. Służba wpuszcza ich pojedynczo. Za każdym drzwiami zamykają się z głuchym łoskotem. Pran nic nie rozumie. Przecież to on: Pran Nath Razdan, śliczny chłopiec, syn i dziedzic. To jakiś koszmarny sen.

Z nadejściem wieczoru kramarze zawieszają lampy nad swoimi towarami, a powietrze napęlnia się wonią gotowanych potraw. Pran zaczyna odczuwać głód i prosi o pakory. Grzebiąc w kieszeni, uświadamia sobie, że nie ma pieniędzy. Z jakiegoś powodu nikt nie chce dać mu jedzenia na kredyt. Nie pomagają nawet tłumaczenia, że wuj wkrótce ureguluje należność. Pran płacze się koło nich przez pewien czas w nadziei, że ktoś się nad nim ulituje. Na próżno. W pustym brzuchu burczy mu coraz głośniejsze. To zupełnie nowe, przerażające uczucie. Posiniaczony i obolały, błąka się po okolicy. Od jego sztywnych ubrań bije smród zaschniętych odchodów. Stanąwszy na rogu pod wysokim murem rezydencji, przywiera doń ciasno, by przepuścić kondukt pogrzebowy. Rozproszona grupka żałobników z lampionami w rękach podąża za marami niesionymi przez sześciu ludzi w białych maskach. Ciało spowite w bawełnianą tkaninę jest obsypane płatkami nagietków. Dwaj wystraszeni korpulentni kapłani uwijają się żwawo na czele procesji, ożywieni pragnieniem jak najszybszego załatwienia sprawy.

- O, nasz wredny mały mieszaniec. Przyszedłeś na mój róg żebrnąć?

Głos jest ochryply, pełen drwiny. Pran spogląda w dół i widzi starego żebraka o uschniętych nogach. Siedzi w tym miejscu, odkąd Pran sięga pamięcią. Jego wymizerowaną twarz przykrywa warstewka kurzu, skóra pokryta bliznami po ospie ma barwę węgla. Przed nim leży miseczka zrobiona ze skórki pomarańczy z kilkoma drobnymi monetami w środku. Pran nie ma odwagi spojrzeć żebrakowi w oczy. Kiedyś w nagłym odruchu ukradł mu miedziaki i uciekł. Wtedy uważał, że to zabawne. Teraz w pomieszczeniu wbija wzrok w ziemię i patrzy na parę groteskowo zwięzionych kikutów, sterczących oskarżycielsko ku górze.

- Pamiętam, jak ukradłeś moją miseczkę i zmusiłeś mnie, żebym cię gonił.

Z gardła Prana wydobywa się dyplomatyczne chrząknięcie.

- Bardzo to było śmieszne - ciągnie żebrak.

Pran kiwa głową. Żebrak ma chyba ochotę na pogawędkę, więc Pran postanawia zadać pytanie, które nie daje mu spokoju.

- Nie masz przypadkiem czegoś do jedzenia?

Żebrak obrzuca go zdziwionym spojrzeniem i mamrocze dwie linijki modlitwy. Pran uznaje, że to oznacza „nie mam”.

- W takim razie skąd mam wziąć jedzenie?

Żebrak wybucha donośnym śmiechem, aż ludzie na ulicy oglądają się za nim. Wali się dłonią po udzie i tupie kikutami o ziemię.

- On jest głodny! - wrzeszczy. - On jest głodny! Wtórzy mu śmiech przechodniów.

- Kiedy przyjdzie mój wujek... - zaczyna Pran, ale śmiech żebraka jeszcze się wzmacnia.

- Co mam robić? - pyta zniecierpliwiony Pran.

Kiedy w końcu żebrak odzyskuje panowanie nad sobą, wykrzywia szyderczo usta.

- Idź jeść ze swoimi ludźmi. Oni cię nakarmią.

- Ale kim są moi ludzie?

Żebrak wydaje się jeszcze bardziej rozbawiony.

- Znajdziesz ich w Telegraph Club. Nie martw się, mały cudaku. Powiem ci, co masz mówić.

*

Post and Telegraph Club nie należy do najbardziej okazałych klubów w Agrze. Mieści się w zwyczajnym wiktoriańskim budynku, funkcjonalnym pudle z czerwonej cegły z kamiennym portykiem doczepionym do frontu niczym zadarty nos. We wnętrzach utrzymuje się zapach smażonych potraw, niemożliwy do usunięcia bez względu na to, z jakim poświęceniem sprzątacze szorują wszystko i pucują. A szorują i pucują mocno, nawet gwałtownie. Zmywają każdą powierzchnię, woskują podłogi, ścierają kurze, aż mdleją im ręce. Ale i tak nigdy nie jest jak trzeba. W pomieszczeniach ciągle unosi się intensywna woń potraw smażonych w ghi. Charakterystyczna woń Indii.

Członkowie klubu mają z sobą wiele wspólnego. Kobiety gustują w sukniach z bawełny zadrukowanej w motywy roślinne. I choć ich jakość pozostawia nieco do życzenia, są zawsze świeże i odprasowane, nawet podczas upałów. Nie są to suknie, jakie niektóre panie zamawiają z katalogu Army&Navy docierającego tu z Kraju raz na sezon. Tamte wyglądane są niecierpliwie, czeka się na nie dwa, czasem nawet trzy miesiące, a kiedy nadchodzą, są owinięte w bibułę szeleszczącą przy otwarciu i roztrzaskującą stęchły zapach jakiegoś magazynu położonego z dala od Strandu. Ich suknie szyje się w domu z materiału kupionego na bazarze. Czasem wkłada się jeszcze pojedynczą bransoletkę z kryształków. Skromną wprawdzie, zawsze jednak bransoletkę. Indyjski wyrób, nie biżuterię z Kraju.

Kobiety noszą kapelusze. Mężczyźni także. Nawet w pochmurne dni. Nawet (jak żartują niektórzy) w pomieszczeniach. Żona pułkownika artylerii widziała to na własne oczy. Żona rezydenta w Bharatpur przysięga, że zobaczyła ich kiedyś (ich, czyli członków Post and Telegraph Club w Agrze) w kapeluszach podczas partyjki brydża.

W pomieszczeniu. Po zmroku. Słońca już nie było na niebie, a oni ciągle siedzieli w tropikalnych hełmach na głowie, jakby odbywali poranną przejażdżkę w środku lata. Żona rezydenta uwielbia opowiadać tę historię. Jej przyjaciółki dobrze się przy tym bawią. Jakie to komiczne, nosić kapelusz w nocy! Mówienie o tym zawsze wywołuje śmiech. Mimo żartów na ich temat mężczyźni i kobiety z Telegraph Club noszą nakrycia głowy przy każdej okazji. Wymyślne, obszerne kapelusze z szerokim rondem, dającym gwarancję, że ich twarze zawsze, ale to zawsze będą ocienione. Słońce to zdecydowanie Zła Rzecz.

Członkowie Agra Post and Telegraph Club sporo aspektów życia zaliczają do kategorii Złych Rzeczy. Taka jest przynajmniej opinia żony rezydenta i jej przyjaciółek. Są bardzo drażliwi. Tak łatwo ich urazić, że właściwie nie da się z nimi rozmawiać. Nie żeby ktoś w ogóle miał ochotę wdawać się z nimi w rozmowę, chyba że Ronnie, Clive, Peter czy inni mężowie, którzy mają ich wśród personelu. Będąc ważną osobistością na kolei i - oczywiście - na poczcie

czy w telegrafii, nie sposób uniknąć z nimi kontaktu. Co, wzięwszy pod uwagę (o czym panie przypominają sobie nawzajem w ładniej pachnących i bardziej ekskluzywnych wnętrzach Civil Service Club) ich okropny akcent, okropne humory i nedorzeczny sposób, w jaki ciągle mówią o Kraju, czyni z nich prawdziwy dopust boży.

Kraj, kochany Kraj! Każdy wie, że nikt z bywalców Post and Telegraph Club nigdy nie był nawet blisko Anglii. Co przydaje im swoistego uroku. Ale generalnie ci ludzie budzą raczej odrazę. W sekrecie żują betel, ich dziewczęta uganiają się za mężczyznami z innych sfer i zamiast usiąść jak należy, kucają, gdy im się wydaje, że nikt nie widzi. Zawsze odgadniesz, kto jest kim. Pochodzenie w końcu daje o sobie znać.

Ach, ci wszyscy okropni mieszkańcy.

W Post and Telegraph Club w Agrze ci wszyscy okropni mieszkańcy zbierają się, by snuć własne opowieści i dawać wyraz swemu obrzydzeniu do tubylców i wstrętnych hinduskich zwyczajów, relacjonować, jak mężowie stanowczo przywołują do porządku swoich pracowników, a żony strofują służbę (jeśli ją mają). Tubylcy są przebiegli, niegodni zaufania i mają skłonność do występku. Ich lubieżność jest wręcz przysłowiowa. Cóż za kontrast z Krajem, północną moralnością i szlachetnością angielskich obyczajów i manier. Oni, społeczność anglo-hinduska, dobrze wiedzą, komu być wiernym. Wiedzą, która strona ich samych jest im bliższa. Noszą nakrycia głowy, czytają wszystko na temat Kraju i unikają słońca jak zarazy, bolejąc nad każdą porcją melaniny produkowanej przez skórę. Tyle że nie nazywają tego melaniną. Nadają jej inne nazwy. Najczęściej brud. Ona ma taką brudną skórę, moja droga. Nikt się do niej nie zbliży. A jej nos. Taki szeroki i płaski. Nie to co twój.

W klubie mogą być sobą. Mogą tańczyć i grać w loteryjkę bez konieczności znoszenia wrogich spojrzeń tubylców albo kpin wymienianych szeptem przez młodszych oficerów zmierzających do Civil Service Club, do którego Anglo-Hindusi mają zakaz wstępu. W tym czasie uszy odpoczywają od żarcików i rymowanek.

Pewna panna imieniem Lucy
wdała się w romans z Hindusem.
Grzech przyniósł owoce,
spłodzili bliźniaki:
dwa czarne, dwa białe i dwa razy khaki.

Ileż to razy Harry Begg słyszał ten wierszyk?

To takie niesprawiedliwe. Kolor skóry, własnej skóry, wrył się w umyśle Harry'ego

Begga jak numer seryjny. Jego skóra ma odcień papieru pakowego. Może odrobinę ciemniejszy. I tak nie najgorzej w porównaniu z innymi. Z dziewczętami nawet mu się układa, choć bez wątpienia większość tych, z którymi się umawia, rzuciłaby go bez namysłu, gdyby jakiś miody domokrażca czy zwykły angielski żołnierz okazał im zainteresowanie. Ze dwie już to zrobiły. Co za cholerna niesprawiedliwość. Kiedyś sprawy miały się inaczej. Skinner, ten Skinner, założyciel bengalskiej kawalerii, z wyglądu przypominał Harry'ego. To samo lord Roberts, który dowodził wojskiem podczas wojny burskiej. Nawet lord Liverpool, tak, sam lord Liverpool, niegdyś premier, był jednym z nich. Jego babka ze strony matki pochodziła z Kalkuty. Tak mówią kroniki. Wystarczy do nich zajrzeć. Dawniej panowało przyzwolenie dla małżeństw mieszanych. Dawniej, za czasów Kompanii, dopóki wszyscy ci biolodzy i ewangeliści nie nastraszyli ludzi ciemną rasą.

Jakiś ulicznik zagaduje Harry'ego w chwili, gdy ten przygarbiony, jakby uginając się pod ciężarem swojej śniadej karnacji, opuszcza klub. Na ulicy migoczą światła. Harry idzie na spotkanie z Jennifer Cash, dziewczyną o delikatnych rysach i cerze barwy pergaminu. Dziś wieczorem może poczuje się wreszcie jak normalny człowiek. Pod warunkiem, że nie pójdą tam, gdzie będą inni mężczyźni - inni, bardziej biali. Tak łatwo mógłby stracić Jennifer. Wystarczy jedna naszywka na naramienniku. Zapłata w funtach, nie w rupiach. Wszystko jest takie kruche. Ale dziś wieczorem serce Harry'ego przepełnia nadzieja.

I wtedy ten mały gnojek rujnuje wszystko.

Łapie go za rękaw, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

- Proszę pana - zaczyna swoją bazarową angielszczyzną - jestem mieszkańcem jak pan. Jestem głodny. Ma pan coś do jedzenia?

Smarkacz ma chyba jaśniejszą skórę niż Harry, choć trudno to dostrzec pod warstwą brudu. I angielską twarz, którą w innych okolicznościach i w innym miejscu można by nazwać piękną. Jej subtelne rysy i bladość wywołują w Harrym furję. Całe dwadzieścia trzy lata drażliwości i zakrywania głowy, dwadzieścia trzy lata usilnych prób pozbycia się piętna brudnego mieszkańca podchodzą mu do gardła. Zuchwalstwo tej twarzy, jej błagalny, a jednocześnie zadowolony wyraz odbierają mu na chwilę mowę.

- Zabieraj swoje brudne łapy, gówniarzu!

Chłopak cofa się o krok. Harry patrzy na niego wytrzeszczonymi oczami. Najgorsze, że chyba naprawdę należą do tej samej rasy. Tyle że Harry, znając dobrze angielski i stwarzając pozory dobrego wychowania, ma trochę więcej szczęścia. Niemniej jednak łączy ich pochodzenie. On i uliczny łobuziak są jak dwie niepełne filiżanki herbaty. To ostatnia rzecz, jakiej mógłby sobie życzyć Harry w pogodny wieczór w drodze na spotkanie z Jenny Cash, gdy

czuje się tak dobrze urodzony i taki biały - biały jak śnieg, biały jak buty do tenisa, biały jak złotowłose aniołek w cholernym niebie. Niech diabli porwą tego gnojka!

W lewej ręce Harry trzyma drewnianą raketę do badmintonu. Macha nią raz i czuje jej ciężar. Niewiele myśląc, wali chłopca w głowę. Ten pada na ziemię. Harry okłada i kopie leżące ciało, wkładając w to całą swoją nienawiść. Powoli dociera do niego własny krzyk: „Niech cię diabli! Niech cię diabli! Niech cię diabli!”. Rozgląda się wkoło i widzi paru swoich. Stoją w bezpiecznej odległości i przyglądają mu się zaintrygowani, z mieszaniną odrazy i litości w oczach. Niektórzy tubylcy robią krok w jego stronę. Wywijając raketą jak szablą, Harry każe im trzymać się z daleka i pilnować własnego nosa.

Kiedy uwaga Harry'ego koncentruje się na tubylcach, oszołomiony ulicznik wykorzystuje okazję i ucieka chwiejnym krokiem, najszybciej jak potrafi. Ogląda się za siebie raz, po czym jego zszokowana, obita, przypominająca ducha twarz znika pośród tłumu. Harry opuszcza raketę i brudną chustką ociera pot z czoła. Ten wieczór można już spisać na straty, i to jeszcze zanim się zaczął.

*

Zdesperowany Pran łomocze do obłazającej niebieskiej bramy rezydencji. Otwiera mu czokidar. Przez mgnienie oka Pran widzi skapany w księżycowej poświacie dziedziniec. Po chwili brama zamyka się z trzaskiem.

Na widok Prana idącego ku niemu na chwiejnych nogach żebrak wybucha dzikim śmiechem przypominającym ryk zwierzęcia. Szeroko otwierając usta, odsłania niewiarygodnie czerwone gardło, które wygląda raczej jak jęcząca się rana. „Śliczny mały książę - śpiewa falsetem bajadery. - Spójrzcie na jego piękny strój! Spójrzcie, jak lśni jego sztylet, gdy przejeżdża obok nas!”.

Pran ma zapłakaną i zakrwawioną twarz. Cuchnące ubranie wisi na nim w strzępach. Każda część ciała boli przy najmniejszym poruszeniu. Kpiarska piosenka doprowadza go do szału. Rzuca się naprzód i kopie miseczkę żebraka. Parę miedziaków rozsypuje się po ziemi.

- Nie nakarmili cię? - pyta żebrak, uchylając się przed ciosem Prana.

- Ty łajdaku! - burczy Pran przez łyzy.

- Taki już jestem - przyznaje żebrak. - Ty też, o ile dobrze pamiętam.

- Jestem głodny! - woła Pran.

- Może powinieneś spróbować gdzie indziej? - proponuje żebrak, przybrawszy teatralną minę dobrego wujaszka. Pran posyła mu wściekłe spojrzenie. Bardzo powoli żebrak podaje mu adres na bazarze jubilerów.

- Idź tam, zrób, co ci każą, a dostaniesz jeść - radzi.

- Niby dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Zrobisz, jak zechcesz. - Żebrak wzrusza ramionami. - Szczerze mówiąc, powinieneś być mi wdzięczny, że w ogóle z tobą rozmawiam.

Z tym stwierdzeniem nie można polemizować. Pran smętnie opuszcza głowę.

- Kłamiesz. Zrobią mi coś złego.

Żebrak zastanawia się przez dłuższą chwilę.

- Masz rację - mówi w końcu. - Skłamałem.

- A widzisz! - Pran triumfuje.

- Ale z drugiej strony - rozważa żebrak głośno - kto wie, czy nie kłamię teraz.

- Jak to?

- Nieważne. Odrobina filozofii. - Żebrak uśmiecha się od ucha do ucha, odsłaniając kostnicę spróchniałych zębów.

Na nic zdają się krzyki ani pochlebstwa. Pranowi nie udaje się nic więcej z niego wyciągnąć. Żebrak drapie pokrytą strupami skórę. Wyłapuje wszy ze skołtunionych włosów.

Posyła w stronę sprzedawców jedzenia, uprząających swój towar, sprośne odżywki, jakie tylko ślina mu na język przyniesie. Jeden z nich szczerzy zęby w odpowiedzi.

- Boże wszechmogący! - woła żebrak ni stąd, ni zowąd. - Zaiste, jesteś sprawiedliwy!

Pran posyła mu miazdzące spojrzenie.

- Powinieneś dziękować Bogu - tłumaczy żebrak. - Daje ci wspaniałą okazję.

I przewróciwszy oczami, rzuca się energicznie w pył ulicy. Jednym wężowym ruchem zsuwa uschnięte kończyny do cuchnącego rynsztoka biegnącego skrajem ulicy, kuca i wydała z siebie imponującej wielkości kupę. Po skończonej operacji kładzie się na ziemi i zasypia. Rysy jego odrażającej gęby nabierają zdumiewającej łagodności i spokoju, który można by nawet nazwać szlachetnym.

Pusty brzuch nie daje Pranowi zasnąć. Pran naciska go w różnych miejscach z nadzieją, że zapełni jakoś tę pustkę. Po pewnym czasie wstaje i rozgląda się za monetami, które wypadły z miseczki żebraka. Bez rezultatu. Pozostaje już tylko myszkowanie wokół zamkniętych straganów. Nie znajduje jednak nic, co by nie zostało zjedzone przez inne wygłodniałe dzieci albo sprytne bezpańskie psy, przekradające się ulicami w poszukiwaniu przekąski. Zrezygnowany, kładzie się nieopodal głośno chrapiącego żebraka.

Próbuje nie myśleć o tym, co się stało. Ojciec nie żyje. I tak nie był jego ojcem. Jego prawdziwy ojciec to Anglik z fotografii, ale on też nie żyje. Czy to czyni go Anglikiem? Pran nie czuje się Anglikiem. Jest Hindusem z kasty kaszmirskich panditów. Wie, kim jest. Czuje to.

Głodny i obszarpany przeprowadza w myślach dogłębną analizę problemu. Jesteś tym, kim się czujesz. A jeśli nie, to powinieneś czuć się tym, kim jesteś. Lecz jeśli jesteś kimś, nie wiedząc, że nim jesteś, to jak się to objawia? Jak czuje się człowiek, nie będąc tym, za kogo się uważa? Jeśli jego matka naprawdę była jego matką, a ojcem był ten obcy Anglik z fotografii, to logiczne, że jest mieszańcem, pół białym, pół czarnym. Nie czuje jednak żadnego związku z tymi ludźmi. Ci ludzie nienawidzą Hindusów. A już na pewno nienawidzą jego. Przypomina sobie unoszenie się i opadanie rakiety do badmintonu, twarz tamtego mężczyzny, gdy kopał go i przeklinał. On, Pran, nie jest taki jak ci ludzie. Nie uważa Anglii za swój dom. Dom jest tutaj, po drugiej stronie niebieskich wrót.

Zanosi się płaczem. W końcu zapada w niespokojny, gorączkowy sen.

Wokół niego miasto nadal tętni życiem. Bezpańskie psy buszują w stosach odpadków i rynsztokach. Policjanci, złodzieje, hulaki, śmieciarze, właściciele dwukółek, bagażowi na dworcu i pozostali ludzie nocy zajęci swoimi sprawami zapełniają ulice, gdzieniegdzie równie tłoczne jak za dnia.

*

Pran budzi się o szarym poranku zmarznięty i zdezorientowany, z widokiem na jakieś nieregularne brunatne kształty, które po chwili okazują się szeregiem kościstych zadków. Tuż przy jego głowie riksarze i kramarze, kucnąwszy w rzędzie nad rynsztokiem, spluwają, gawędzą, czyszczą zęby i opróżniają jelita. Pran czym prędzej odsuwa głowę na bezpieczną odległość i z przerażeniem uświadamia sobie, gdzie jest.

Żebrak ciągle śpi. Niestrudzona mucha spaceruje po jego powiece. Pran człapie ku niemu z rękami przyciśniętymi kurczowo do drżącego tułowia i trąca go dużym palcem u nogi.

- Obudź się. Już rano.

Żebrak nie reaguje. Pran trąca go drugi raz. Znowu nic. Schyla się i szarpie go za ramię. Ramię jest zimne i sztywne. Pran cofa się. Z wolna dociera do niego przerażająca prawda. Grypa potrafi zaatakować bardzo szybko.

Jak reszta świata, Pran nie ma czasu na opłakiwanie zmarłego. W tej samej chwili pod niebieską bramę rezydencji Razdanów podejżdza dwukółka. Wsiada z niej odświętnie ubrany mężczyzna w aczkanie i haftowanej czapce, ze starannie przystrzyżoną brodą, w drucianych okularach na wydatnym nosie. Pran Nath rzuca się ku niemu w szale radości.

- Wujku! Wujku!

Pandit Bhaskar Nath Razdan, młodszy brat zmarłego adwokata, ogląda się za siebie z obrzydzeniem.

- Nie zbliżaj się, podła kreaturo!

Pran Nath staje jak wryty. Wzburzony do granic wuj kurczowo przyciska do twarzy jedwabną chustkę.

- Czokidar! - woła. - Czokidar, gdzie jesteś?

Czokidar ukazuje się w bramie, wymachując łojem. Jego siwe wąsy drżą z oburzenia.

- Czokidar - rozkazuje pandit - usuń ten element sprzed moich oczu. Nie chcę, żeby kręcił się przed bramą i szargał dobre imię rodziny. I dopilnuj, żeby się tu więcej nie pokazywał.

- Tak jest, sir! - odpowiada czokidar z gorliwością weterana. Pran Nath nie czeka na kolejne baty. Ucieka z oczyma pełnymi łez. Teraz wie, że to prawda. Jest na świecie całkiem sam.

Mamrocząc pod nosem i łkając jak pomylenieć, zagłębia się w wąskie alejki targu. Jego zachowanie każe ludziom przypuszczać, że jest chory. Odsuwają się od niego, schodzą mu z drogi, gdy zbliża się ku nim chwiejnym krokiem. Pran przystaje, by popatrzeć, jak jeden ze sprzedawców robi dzalebi. Nad ogromnym rondlem z bulgoczącym olejem wyciska przez

wąski otwór słodkie ciasto, które tworzy na powierzchni esy-floresy. Usmażone zakrętasy wyjmuję z oleju cedzakiem, zanurza w gęstym syropie i znów smaży. Zanurza i smaży, zanurza i smaży. Dżalebi wyglądają bardzo apetycznie. Doprowadzony do ostateczności Pran przypuszcza nagły atak na słodycze, porywa ich całą garść i rzuca się do ucieczki. Ścigany przekleństwami sprzedawcy, pędzi przed siebie co sił w nogach. Wkrótce wściekłe wołanie cichnie. Sukces. W jednej z zacisznych bocznych uliczek Pran łapczywie pochłania swoją zdobycz. Zlizuje polewę z palców, nie dbając o brud. Cukier wprawia go w lekkie odurzenie.

Pokrzepiony, czuje wystarczającą pewność siebie, by stawić się pod adresem wskazanym przez zmarłego żebraka. Dom stoi na końcu wyjątkowo wąskiej i cuchnącej uliczki, znaczonej stosami odpadków i kałużami obrzydliwych cieczy. Frontowe drzwi są solidne, wzmocnione żelazem i grubymi kwadratowymi cwiękami. Takie drzwi trudno sforsować. Pran puka. Po chwili słychać czyjeś człapanie. W otworze pojawia się oko.

- Zamknięte - informuje zachrypły głos.

- Jestem głodny - mówi Pran.

- No to co? - odpowiada głos. - I z tego powodu mam cię wpuścić, kiedy mamy zamknięte?

- Słyszałem, że jeśli tu przyjdę i zrobię, co każecie, dacie mi jeść. Cisza.

- Kto ci powiedział?

Przez głowę Prana przebiega nieprzyjemna myśl, że nawet nie spytał żebraka o imię.

- Nie wiem.

Właściciel głosu zastanawia się przez chwilę. Słychać kaszel, potem brzęk kluczy i trzask otwieranej zasuwy. Zza drzwi wyłania się potężny mężczyzna w kraciastym lungi na biodrach. To jego jedyne okrycie. Wygląda, jakby właśnie skończył poranne ablucje. Całe jego ciało lśni od olejku, lśnią gęste włosy i okazałe czarne wąsiska, zawadiacko podkreślone na końcach. Posmarowany olejkiem gruby brzuch godzi prosto w Prana. Mężczyzna opiera się o nadproże i podkręca koniuszek wąsa kciukiem i palcem wskazującym.

- Wobec tego trzeba ci się przyjrzeć - mówi i urywa nagle, zanosząc się gwałtownym kaszlem.

Pran patrzy na niego badawczo. Spojrzenie mężczyzny posepnieje.

- Odwróć się, głupku! Pokaż, co masz! Zawstydzony Pran odwraca się do niego tyłem.

- Spuszczaj spodnie! - krzyczy mężczyzna z taką gwałtownością, że uwalnia w płucach kolejną porcję flegmy. Dopiero po dłuższych zmaganiach odpluwa ją wprost pod nogi Prana.

Pran mocuje się z wiązaniem spodni. Pozwala im nieznacznie opaść, odsłaniając zaledwie skrawek posiniaczonych pośladków.

- Niżej! - ponagla warkliwie mężczyzna.

Pran z ociąganiem wykonuje polecenie. Mężczyzna charczy i kaszle przez dłuższą chwilę, po czym wydobywa z siebie przychylny pomruk.

- Nieźle. Lepiej wejdź do środka.

Prowadzi Prana przez dziedziniec pełen kobiet. Kobiet piorących ubrania, kobiet czyszczących ryż, kobiet krojących warzywa i wyrzucających obierki na stertę odpadków. Wzdłuż całego górnego piętra biegnie balkon, na którym panuje jeszcze większy tłok. Kobiety pojawiają się i znikają we wnętrzach pokoi, gawędzą w otwartych drzwiach. Dwie młode dziewczyny stoją oparte o balustradę. Trzecia rozwiesza jedwabne płachty sari na sznurze przeciągniętym między przeciwległymi skrzydłami domu. Olbrzym toruje sobie drogę między tym mrowiem kobiet ze znudzoną, lecz dumną miną byka na pastwisku pełnym jałówek.

Pran nigdy dotąd nie widział tylu kobiet w jednym miejscu. Wszystkie są młode i wyjątkowo piękne. Niektóre roznegliżowane. Pranowi kręci się w głowie. Pewnie z głodu, ale to miejsce już wydaje mu się o wiele lepsze niż ulica. Postanawia, że jeśli nie znajdzie nic lepszego, zostanie tu przez jakiś czas.

Nagle zdaje sobie sprawę, że dziewczęta mówią o nim. Te na balkonie wykrzykują coś niepoehlebnego o rozmiarach jego przyrodzenia, a cały dół huczy od uwag na jego temat. Pran czerwienieje z wściekłości i przyspiesza kroku, by nadążyć za olbrzymem zmierzającym w stronę wejścia po drugiej stronie dziedzińca. Mężczyzna, nieświadom przytyków sypiących się ze wszystkich stron, sady naprzód wielkimi krokami i znika z pola widzenia. Pran rzuca przez ramię ostatnie gniewne spojrzenie na dziedziniec i podąża w ślady swojego przewodnika.

Ku jego niezmiernej radości w pokoju, do którego trafia, czeka na niego thali z ryżem i dałem. Gdy łączywie pochłania zawartość tacy, obok toczy się przyciszona rozmowa na jego temat. Gdyby Pran był mniej głodny, mógłby nawet coś z niej podsłuchać. Do potężnego mężczyzny, ubranego już w świeżą kurtę i luźne spodnie, dołączyła kobieta będąca jego całkowitym przeciwieństwem. Gdzie on jest okazały i masywny, ona ma tylko skórę i kości. Jej twarz to szczęki i oczodoły. Ręce przypominają wiotkie gałązki gnące się pod niebezpiecznym ciężarem palców zdobnych w złote pierścionki. Przedziałek znaczy gruba czerwona linia. Żuty betel zabarwił usta szkarłatem. Jej postać nie byłaby dysonansem na stole w prosektorium. Raz czy dwa kobieta wyciąga rękę, by uszczypnąć albo potrzeć skórę na ramieniu Prana, sprawdzając jej stan, jak sprawdza się jakość materiału u krawca. Pran jest zbyt zajęty jedzeniem, by zwracać na to uwagę.

Zachowanie tych dwojga nie budzi zaufania. Obiektywny obserwator (tutaj, jak to zresztą często bywa, bardzo go brakuje) dostrzegłby osobliwy błysk w ich oczach, gdy patrzy

na jedzącego Prana. Jego nadzwyczajna uroda przebija nawet spod grubej warstwy ulicznego kurzu. Mężczyzna i kobieta wydają się niezmiernie zadowoleni. A kiedy Pran wieńczy posiłek głośnym beknięciem, uśmiechają się promiennie, jakby opowiedział im dowcip.

- Mów do mnie Ma-ji - zwraca się do niego kobieta.

- A ja jestem zapaśnik Balraj - mówi mężczyzna.

Kolej na Prana. Przedstawia się i na prośbę Ma-ji opowiada, jak znalazł się na ulicy i jak życzliwy żebrak podpowiedział mu, dokąd iść.

- Więc zostałeś całkiem sam? - pyta Ma-ji.

Pran Nath kiwa smutno głową i przyznaje, że póło członkom rodziny nie zmięknie serce, jest zupełnie sam.

- Żebak nie mówił, czym się zajmujemy? - pyta Balraj.

- Nie, ani słowa. Co tu robicie? - Pran chciałby wiedzieć, dlaczego tyle pięknych młodych kobiet żyje pod jednym dachem.

- To rodzaj instytucji dobroczynnej - wyjaśnia Ma-ji. - Dajemy tym nieszczęsnym dziewczętom dom, a one w zamian pełnią różne posługi i wykonują innego rodzaju lżejsze prace. - Potrząsa głową, by podkreślić szczególny charakter tych zajęć.

- Generalnie nie przyjmujemy chłopców- dodaje Balraj - ale dla ciebie zrobimy wyjątek. Musisz tylko robić to, co ci każą, i pogodzić się z tym, co przyniesie los.

Pran obiecuje, że będzie się starał ze wszystkich sił. Już wyobraża sobie życie pełne kradzionych całusów i innych podniecających zabaw, przeplatanych prostymi czynnościami gońca czy obowiązkiem pilnowania bramy w przypadku niedyspozycji Balraja. Taka perspektywa jest z pewnością o wiele ciekawsza niż pobieranie nauk czy samotna włóczęga po mieście. Wygląda na to, że upadł na cztery łapy.

- Napij się mojego specjalnego lassi - mówi Ma-ji i pogładziwszy Prana po policzku, podaje mu metalowy puchar. - Jest bardzo dobre.

Jogurtowy napój znika w okamgnieniu. Ma-ji i Balraj posyłają Pranowi szeroki uśmiech. Oboje mają sporo zajęć i muszą już iść, ale zanim Pran zacznie dziś pracę, może zechce trochę odpocząć. Podnoszą się z miejsca, zamykają drzwi i zostawiają go samego. Wkrótce Prana ogarnia nieludzkie, straszliwe zmęczenie. Zwija się w kłębek na łóżku i zaraz zasypia.

*

Pran śni o krainie z czapati i twarogu, zamieszkaną przez warzywne dziewczęta z okrą w miejsce palców, piersiami z oberżyny i zuchwałym spojrzeniem groszkowych oczu. Ich stosunki z Pranem są zawstydzające, lecz smakowite. Każdy akt konsumpcji mija w przykładowej harmonii, którą maści dopiero pojawienie się zmarłego żebraka. Umarlak biega wokoło, odrywa kawałki z ciał partnerek Prana i pakuje sobie do zaczerwienionych ust, czym sieje powszechny zamęt. Pran uważa, że dóbr starczy dla wszystkich, i ma szczerzy zamiar podzielić się z żebrakiem, lecz ten rzuca się teraz do skubania jego rąk i nóg. Kiedy Pran nie może dłużej tego znieść, żebrak przeistacza się w Ma-ji, która z pomocą małej służącej usiłuje wcisnąć go w jakiś jedwabny strój.

Pran budzi się z bólem głowy. Nie ma pojęcia, ile czasu spał. Wydaje mu się, że zapadł już wieczór, ponieważ ledwo widzi zarysy pokoju. Jedyne światło rzucają dwie płonące świece i czerwona lampka pulsująca ostrzegawczo w kącie. Pran czuje się dziwnie. Jakby patrzył na świat zza kilku warstw ochronnych. Jego ręce i nogi tworzy teraz jakaś galaretowata substancja, która nie słucha nerwowych poleceń wysyłanych przez mózg. Stan oszołomienia pogłębia jeszcze odbicie w lustrze. Pran widzi, że przyodziano go w jakąś różową szatę z przejrzystego jedwabiu w kwiaty.

- Nie ruszaj głową! - upomina go Ma-ji.

Pran czuje na twarzy żelazny uchwyt kościstych palców. Ma-ji nakłada mu na policzki (nie, to nie może być prawda; a jednak to prawda) r ó ż, a wokół oczu maluje czarne obwódki. Pran usiłuje wyślizgnąć jej się z rąk, ale Ma-ji trzyma go bardzo mocno. Kiedy Pran krzywi się i cofa przed patyczkiem do makijażu, natychmiast dostaje po twarzy. Wreszcie Ma-ji wzywa na pomoc Balraja. Ten wchodzi do środka, kaszląc niczym chory słoń, i unieruchamia Prana zapaśniczym chwytem. Kiedy Pran protestuje, Balraj bezlitośnie pastwi się nad jego szyją, a Ma-ji syczy mu do ucha tonem szokująco dalekim od słodkich nut dotąd słyszanych w jej głosie: „Bądź cicho, mały głupku”.

Pran zaczyna podejrzewać żebraka o kolejny żart.

Wreszcie uwalniają go z uścisku - choć tylko na chwilę - by mógł przejrzeć się w lustrze. W zwiewnym stroju, z szeroko otwartymi oczyma o źrenicach rozszerzonych paroma kroplami belladony w niczym nie przypomina umorusanego chłopca, który niedawno stanął przed bramą domu w bocznej uliczce. Podtykają mu pod nos kolejną czarę lassii. Pran kręci głową, ale Balraj siłą otwiera mu usta, a Ma-ji wlewa mu do gardła całą zawartość naczynia. Potem oboje wychodzą, zamykając za sobą drzwi. Pran zostaje sam.

Próbuje uporządkować myśli. Rozważania, podczas których raz po raz gubi wątek,

błądzi po manowcach, kręci się w kółko, prowadzą go do wniosku, że Ma-ji i Balraj mają wobec niego nieczne zamiary. Jakie? Jest zbyt otumaniony, by tego dociec. Jeśli spróbuje, wpadnie w popłoch. Musi uciekać.

Czując, że porusza się jak w gęstym syropie, Pran sprawdza okno. Choć nie jest zamknięte, znajduje się trzy piętra nad ziemią, a na zewnętrznej ścianie nie ma żadnych uchwytów, których mógłby się złapać. Nawet gdyby były Pran wątpi, czy starczyłoby mu sił, żeby się utrzymać. Zastanawia się, czy nie wzywać pomocy, ale gwar bazaru zagłusza wszystkie inne odgłosy. I tak nikt go nie usłyszy. Rzuca się ku drzwiom. Zamknięte i solidne. Rozgląda się po pokoju w poszukiwaniu użytecznych przedmiotów. Broń? Nie ma. Liny? Nie ma. A może podrzeć prześcieradło na pasy? Prześcieradło. Dobry pomysł. Bardzo dobry.

Pran ściąga nakrycie z łóżka. To spłowiała prostokątna tkanina poplamiona tłuszczem, zdobiona batikowym wzorem ledwo dostrzegalnym w nikłym świetle. Co to za wzór? Pran obraca materiał w rękach, wyczuwając pod palcami jego fakturę. Jest w niej coś niezwykłego. Pran czuje tę tkaninę o wiele wyraźniej niż wszystkie, z jakimi kiedykolwiek miał do czynienia. Jej materialność, namacalność jest tak wyrazista, że zapiera dech. Tak jakby wewnątrz tej niepozornej rzeczy, zwykłego kawałka materiału, kryło w sobie całe światy, a nawet wszechświaty znaczeń. Co to za wzór? Las. Albo grupka roztańczonych dziewcząt. Albo papugi. Tak, to stadko papug, czerwonych i zielonych papug, z których każda potrafi mówić co innego. Nie, nie co innego. W pewnym sensie wszystkie papugi mówią to samo. Tyle że inaczej. Ale jak właściwie mówią papugi? Rozwiązanie tego problemu przyniesie rozwiązanie wszystkich innych. Sens wzoru. Wszystko zawiera się w tej jednej rzeczy. W mowie papug. Odpowiedź jest prosta! Klucz leży w znajomości mowy papug.

Pran uświadamia sobie, że dotknął czegoś istotnego, ale na razie nie ma pojęcia, co to oznacza. Wszystko uległo zmianie. Świat nagle oszalał. Za dużo dzieje się naraz. Parę minut temu czuł się zupełnie inaczej. Był bardziej senny. Tak, czuł senność, nawet gdy go ubierali. Ale po co to robili? Właśnie, po co? Muszą mieć jakiś powód.

Na chwilę w głowie Prana pojawia się odpowiedź. Zawiera pewną ideę, a w niej ukrytą myśl, że jego stan ma coś wspólnego z drugą porcją specjalnego lassi. I kiedy Pran uświadamia sobie, że specjalność specjalnego lassi objawia się w nadzwyczaj dziwny sposób, słyszy zgrzyt klamki. Do pokoju wkracza jakaś postać. Odtąd Pran nie jest już pewien niczego.

W następnych dniach specjalne lassi jest stale obecne w życiu Prana. Wypija je pod przymusem przynajmniej trzy razy dziennie. W rezultacie nigdy nie wie, co przydarza mu się

naprawdę, a co jest urojeniem. Większość doznań jest tak przykra, że Pranowi wszystko jedno, jak ich doświadcza.

Po pierwszej takiej nocy budzi się, przygnębiony i obolały, w nowym miejscu: małym brudnym pokoiku, gdzie jedyne sprzęty to łóżko i emaliowany nocnik. Podłogę przykrywa warstwa kurzu. Przez niewielkie okno widać kawałek popękanego muru, odległego o jakieś piętnaście stóp. Z braku innych obiektów Pran skupia całą uwagę na prostokącie owego muru i ukośnej rysie biegnącej od górnego prawego rogu ku lewej stronie podstawy. Godziny wpatrywania się w mur po kolejnych dawkach lassi przynoszą karuzelę obrazów. Rysa w murze przybiera kształt koryta rzeki, plastra miodu, szczeliny, z której wypływają małe szkieleciki, płataniny ochraniaczy i kijów do krykieta, wirującego portretu króla o blado-sinej twarzy i szafranowych włosach, mrowiska, bazaru, wreszcie tłą dla niezliczonych dramatów miłości, straty, wojny domowej i podboju.

Od czasu do czasu rojenia Prana przerywa czyjeś wejście. Najczęściej przychodzi Balraj. Jego wizyty zawsze wyglądają tak samo. Pobrzękując kluczami, zapaśnik otwiera drzwi, ładuje się do środka, obrzuca Prana nieprzychylnym spojrzeniem załzawionych i zaczerwienionych oczu, odwraca się, wychodzi i dokładnie zamyka drzwi. Czasem przynosi jedzenie albo kolejną czarkę lassi. Czasem przywiązuje Prana do łóżka i smaga skórzanym pasem, kaszląc przy tym i sapiąc. Bicie traktuje jak obowiązek i przyjemność. Robi to metodycznie i bez pośpiechu, z miną bogacza pałaszującego talerz pyszności. Nie zważając na wrzaski Prana, rytmicznie wymierza mocne ciosy, aż jego oddech przechodzi w krótki urywany świst. Wtedy przestaje, s pluwa na podłogę i wychodzi.

Nawiedzają Prana inni ludzie, mniej lub bardziej realni. Przychodzi żebrak, by się z niego naigrawać. Pandit Razdan, by kręcić głową z dezaprobatą i ganić go za nieczyste zwyczaje, za złe towarzystwo, w jakim przebywa. Przychodzi też matka z twarzą przesłoniętą rąbkiem sari, obwieszona ciężką srebrną biżuterią, pobrzękującą rytmicznie przy każdym ruchu. Jej migotliwa jak płomień świecy postać stoi bez słowa, gdy Pran zarzuca ją gniewnymi pytaniami. Zjawiają się inne postacie z szeroko rozdziawionymi ustami, cuchnącym oddechem, z zakrzywionymi nożami w rękach. Pochylają się nad Praniem i zaczynają obdzierać go ze skóry. Najpierw nacinają ciało pod pachami, wokół nadgarstków i kostek, po czym ściągają skórę z pleców jak ciasną kurtkę. Kiedy Pran wyje z bólu, oprawcy podnoszą zdarty kawał skóry ku światłu, które przenika przez nią, rzucając niewyraźną krwawą poświatę. Czasem kaci pojawiają się razem z jego rodzicami, czasem tylko w ich ubraniach: zwaliści mężczyźni skrepowani fałdami ślubnych sari ze złotym szlakiem na dole albo wciśnięci w zapięte pod samą szyję eleganckie aczkany ze stójkami, z których różowe twarze wyrastają niczym miękkie

owoce. Dziewczęta z dziedzina odwiedzą go we trzy, czasem cztery. Krążą wokół jego łóżka i zapraszają do zabawy. Tylko te wizyty sprawiają mu przyjemność, choć zawsze kończą się rozczarowaniem. Dziewczęta znikają natychmiast po złożeniu obietnicy, że otworzą drzwi i go wypuszczą.

Czasem Pran skrobie ścianę paznokciem. Odrywa wtedy płaty tynku i robi małe rysunki przedstawiające sceny widziane za oknem. Odrapana ściana podsuwa wyobraźni nowe obrazy i nowe przygody, co przyspiesza bieg dnia i nocy, rytm następowania po sobie gorąca i chłodu. Kiedy Pran nie skrobie ściany ani nie rozmawia z odwiedzającymi go postaciami, kładzie się i patrzy w przestrzeń, popijając wodę z butelki, którą raz dziennie Balraj stawia na progu. Butelka jest mała i choć Pran stara się, by jej zawartość wystarczyła na dłużej, wieczorem zawsze jest już pusta. Noc oznacza wyschnięte gardło i niepokój, gdy ostatnia dawka lassi przestaje działać.

Wtedy świat za oknem zamiera, a uliczny gwar dolatujący do nagrzonej klitki Prana zdaje się pochodzić z bardzo daleka.

Pewnego dnia Balraj nie przychodzi. Zamiast niego zjawia się Ma-ji w towarzystwie chudego nerwowego człowieczka, który blokuje drzwi, zaciskając pięści, jakby w oczekiwaniu ataku ze strony Prana. Pran leży na łóżku zwinięty w kłębek, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Patrzy na nowo przybyłych z pewną dozą zainteresowania. Nie widział Ma-ji, odkąd ubrała go pierwszego wieczora. Wygląda jak trup. Przypomina wiązkę patyków. Wchodząc do pokoju, zasłania nos perfumowaną chusteczką i wykrzywia twarz. Pran przypuszcza, że smród musi być straszny. Jego nocnik od jakiegoś czasu nie był opróżniany.

Ma-ji podaje Pranowi czarkę lassi.

- Wypij.

Pran posłusznie wypełnia polecenie. Znajomy słono-kwaśny napój spływa mu do gardła.

- Balraj nie żyje - oznajmia Ma-ji bez ceregieli. - Choroba go zabrała.

Po raz pierwszy, odkąd pamięta, może nawet po raz pierwszy w życiu, Pran się uśmiecha. Napinające się mięśnie twarzy przynoszą nowe, nieznane dotąd odczucia. Ma-ji podnosi rękę, jakby chciała go uderzyć, lecz po chwili ją opuszcza. Odwraca się gwałtownie na pięcie i wychodzi.

Po wyjściu Ma-ji Pran wyjmuje ukrytą w pościeli fotografię swojego angielskiego ojca i wpatruje się w nią uważnie, by rysy twarzy, kształt oczu i ust wryły mu się w pamięć. Na drugiej szali jest mnóstwo wspomnień związanych z jego drugim ojcem (Pran nie przestaje tak nazywać Amara Natha): ojciec uważnie ogląda swoje paznokcie, prowadzi pudzę w świątyni,

myje się pod pachami, wzywa służącego, by wydać mu polecenie. Niewielki prostokąt sztywnego papieru nic nie znaczy w porównaniu z wagą tych wspomnień. A jednak tego popołudnia je przyćmiewa. Pran dotyka fotografii jak magicznego przedmiotu, którego moc tkwi w poszczególnych składnikach, w chemikaliach i papierze, nasyconych dobrą i złą energią. Obraca ją w dłoniach ciągle i od nowa. Bada każdy szczegół, urzeczony zagięciem w jednym rogu, zafascynowany odkryciem, że pod pewnym kątem połyskliwa powierzchnia fotografii skupia światło, a wtedy brunatno-żółtawy wizerunek twarzy staje się pozbawioną rysów jasnością, snopem światła, bóstwem, na które nie można spojrzeć wprost. Przez tę jedną chwilę połysk przechodzi w biel, oślepiającą obcą biel, którą nowy ojciec dodał do jego wygodnego niegdyś życia. Pran spędza godziny na nieustannym przechylaniu fotografii pod różnym kątem i łapaniu promieni światła. Transformacja dokonująca się na jego oczach za sprawą nieznacznego ruchu dłoni za każdym razem przejmują go dreszczem i budzi lęk.

Pran nabiera rozpędu, siła odśrodkowa wypycha go na zewnątrz. Ktokolwiek sprawuje tu kontrolę, z pewnością nie jest to on. Właściwie jaki „on”? To kwestia sporna. Jak długo przebywał w zamknięciu? Wystarczająco długo, by wszystko się rozpadło. Wystarczająco długo, by zdolność do atrofii (nazwijmy ją „zdolnością perły”, umiejętnością wydzielenia własnego jestestwa i otoczenia nim jakiegoś początkowego ziarnka) pozostawiła jedynie resztki jaźni, rozproszone w morzu wrażeń w oczekiwaniu na wydobycie ich z pierwotnej zupy uczuć i wspomnień dla ponownego zespolenia. Nie ma już spójnej osobowości. Jest tylko nieokreślona forma Bytu; nic, czego można byłoby dotknąć.

Można myśleć o tym w kategoriach cykliczności, powtarzającego się wciąż od nowa dnia Brahmana. Przed każdym kolejnym aktem stworzenia stary świat musi ulec zagładzie. Pran już rozpadł się na kawałki. Teraz jego fragmenty czekają na kolejny przypadek, który złoży je w nową całość.

Rozlega się szcęk zasuw, dźwięk równie znajomy, co nawoływanie muezina z pobliskiego meczetu, szczelina w murze, nocnik czy kolumna mrówek, którym od dłuższego czasu ściana po lewej ręce służy jako arteria komunikacyjna między jedną mrówczą siedzibą a drugą. Pran nie podnosi głowy.

Dwie wysokie kobiety patrzą na niego od progu. Ma-ji stoi za nimi, wykręcając nerwowo ręce. Jej palce są w bezustannym ruchu jak wijące się robaki. Kobiety przystępują do działania. Nie zważając na fetor i atmosferę rozpacz, od której gęsto w maleńkim pokoiku, stawiają Prana na nogi i, podtrzymując, sprowadzają po schodach na dół.

Goście zrodzeni z płomienia świecy? Apsary? Ile to razy Pran o tym roił? A jednak aromat wody różanej, postękiwanie z wysiłku, palce zaciśnięte mocno na jego ramionach

wydają się rzeczywiste.

Szelest jedwabiu. Ma-ji jak uwięziona w klatce mangusta skrzeczy coś o pieniądzech. Jedna z kobiet odwraca się do niej i mówi z pogardą: „Zostałaś hojnie wynagrodzona”.

Tamto już za nim. Teraz jest plusk wody. Szelest jedwabiu. Nacieranie rozdygotanego ciała. Rozstrojone zmysły Prana atakuje różnorodność, nowość innego miejsca, innego pokoju. Ubierają go w czyste rzeczy, dają obfity posiłek, rozmawiają z nim jak z istotą ludzką. Tamto ma już za sobą. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Jeden drobiazg.

Strój. Szelest jedwabiu. Ciężka zasłona na twarzy. Świat widziany z nowej, niezwyklej perspektywy: zza krat bawełnianej materii. To parda. Kobięcy strój.

- A teraz, kochanie - mówi jedna z jego nowych właścicielek - ruszamy w podróż.

CZEŚĆ II
RUKHSANA

*

Tłum na stacji Fort faluje jak jedno ciało. Urzędnicy w przybrudzonych kołnierzykach, sprzedawcy herbaty i słodczy, żebracy, gazeciarze, kieszonkowcy, brytyjscy żołnierze obsypani potówkami i zachrypnięci od wyśpiewywania sprośnych piosenek, starannie odziani babu, ostrzyżeni młodszy oficerowie, którzy za chwilę zgonią owych hinduskich dżentelmenów z zarezerwowanych miejsc, niezadowolone memsahib przewodzące procesji bagażowych z kuframi umieszczonymi na głowach owiniętych gałganami, trzypokoleniowe rodziny wieśniaków leżących pokotem z głowami wspartymi o bagaż, napuszeni konduktorzy-mieszkańcy sprawdzający listę bagaży albo rozdzielający przedziały, obywatele zaludniający poczekalnie i restauracje dla pasażerów pierwszej, drugiej, trzeciej klasy i dla kobiet, wegetarianie i niewegetarianie, hindusi, muzułmanie, Anglicy - wszyscy kłębią się przemieszani, gdy tymczasem w samym centrum wydarzeń, ukryty we własnym biurze, wielki mistrz niewidocznego gremium, jego eminencja Zawiadowca Stacji, wąsaty i surowy, sprawdza czas przyjazdu pociągu pocztowego albo odjazdu ekspresu i przekazuje tę uświęconą informację swoim podwładnym, którzy nanoszą ją na specjalne formularze w trzech, czterech, w jakiejś niewyobrażalnej dla szarych urzędników liczbie kopii. To na razie sami ludzie. Są jeszcze zwierzęta - bezpieczeństwa psy płaczące się pod nogami, przestraszone ptaki poupychane w klatkach przed podróżą trzecią klasą, krowa dostojnie przeżuująca odpadki; zapachy - potraw smażonych w ghi, dymu z rozżarzonych węgli, potu, smaru i uryny; hałasy - wrzaski sprzedawców, pokrzykiwania, głośnie wywoływanie nazwisk i przeraźliwy gwizd parowozów, przebijający się przez zgiełk tej gęstej ciżby ludzkiej. Hałas jest tak piekielny, że niekiedy modlisz się, by ten rozruchany żywioł zastygł, by w tym ścisku otwarła się dla ciebie przestrzeń, odrobina wolnej przestrzeni, gdzie można swobodnie oddychać i myśleć.

Pośród tego zamętu przebijają się przez tłum trzy zjawy: Pran i jego nowe właścicielki. Zakutane w czarne burki do samej ziemi, oglądają świat zza bawełnianej tkaniny o gęstym splocie, pozostając dla niego niewidoczne. Odzwyczajony od chodzenia, Pran potyka się, nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Opiekunki podtrzymują go mocnym chwytem za łokcie.

Obie wysokie kobiety kroczą naprzód godnie, choć z zalotnym kręceniem biodrami, ani razu nie ocierając się o ludzką gęstwę wokół nich. Idą wzdłuż pociągu, mijają trzecią i drugą klasę, wagon kierownika pociągu i wagon restauracyjny, aż stają przed wagonem pierwszej klasy. Znalazłszy swój przedział, oznaczony stosowną adnotacją napisaną na maszynie, wchodzą po metalowych stopniach i otwierają ciemne drewniane drzwi. W nozdrza bije ostra woń potu i rozgrzanych od upału obić. Bagażowy kładzie dwa niewielkie kufrы na półkę, odbiera należność, kłania się nisko i wychodzi. Przez okno wciskają się do środka ręce. Ich

właściciele proponują kupno orzechów, domagają się jałmużny. Te ręce tkwią w oknie, nawet gdy pociąg rusza. Znikają dopiero wtedy, gdy nabiera prędkości i nie da się już biec obok. Za oknem migają leżące odłogiem żółto-brązowe pola. Wraz z nimi pojawia się uczucie nadchodzącej zmiany.

- Możesz podnieść przesłonę - mówi łagodnie jedna z kobiet.

Pran nie reaguje.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - pytają.

Pran spogląda przez okno wprost w tarczę słońca. Otwiera i zamyka usta, ale nie znajduje słów.

Nadchodzi wieczór. Trzeba zamknąć okna, przez które zaczyna wdzierać się chłód. Pojawia się mężczyzna przyjmujący zamówienia na posiłki. Krzyczy przez zamknięte drzwi, po czym wraca z metalowymi pojemnikami z dałem i czapati, które zostawia na korytarzu. Parda, ścisła i bezwarunkowa, nawet w drodze.

Pran je, co mu przyniesiono, ale nie potrafi tego nazwać. Żaden z obiektów, które go otaczają, nie ma nazwy. To tylko przedmioty, obrazy w oku i dźwięki w uchu. Jakiś ważny element w jego mózgu stracił kontakt z resztą świata i odmawia uczestniczenia w teraźniejszości. Zabłąkana świadomość krąży gdzie indziej, podsuwa obraz dachu wielkiego domu, odgłosy zamiatania. A jednak ciało Prana rejestruje wrażenia. Miarowy stukot kół, konsystencja zupy z soczewicy, stara rana na czole, ból i pustka tygodni spędzonych w zamknięciu - to wszystko dochodzi do niego, puka do drzwi i zaprasza do uczestnictwa w nowym.

Nadchodzi noc. Gorąca herbata z cukrem podana przez okno z tonącego w ciemnościach peronu. Tak gorąca, że trzeba różnych sztuczek, aby zdążyć z wypiciem, zanim sprzedawcy zaczną odbierać puste szklanki tuż przed odjazdem pociągu. Kobiety odsłoniły twarze. Drzemią, raczą się smażonymi przekąskami, prowadzą przyciszoną rozmowę. W pewnej chwili śpiewają razem pieśń w niezrozumiałym dla Prana języku. Obie mają dziwny głos, ochryply, przenikliwy falset drażniący ucho. Po raz pierwszy od początku podróży Pran przygląda im się uważniej. Mają duże, pozbawione urody twarze o silnych szczękach i mocno umalowanych oczach. Pran znów odwraca wzrok.

Mijają godziny, a on siedzi wpatrzony w ciemność za lepiałym się od brudu oknem. Stopniowo doznanie ruchu dodaje mu otuchy. Miarowy stukot tłoków, pęd powietrza to zapowiedź zmiany, nadejścia kolejnego etapu. Powoli coś w Pranie zaczyna krzepnąć. Wraca zdolność perły. Więc jest w podróży. Dzieje się coś nowego. Ciągle jest nadzieja. Tymczasem kobiety spierają się.

- Jak jej damy na imię?
- A jak myślisz?
- Zia?
- Tuhina?
- Noor?
- Rukhsana.
- Kogo tak nazwiecie? - pyta Pran.

Kobiety wybuchają serdecznym, rubasznym śmiechem, ukazując pokryte nalotem zęby i wężowe języki.

- Moja droga, oczywiście ciebie. Rukhsana, nowy hidźra nababa Fatehpuru.

Niektórych pytań lepiej nie zadawać. Inne, skoro już padły, lepiej zostawić bez odpowiedzi. Równowaga, jaką Pran zaczął odzyskiwać, kojący wpływ podróży i wypitej herbaty nagle uleciały. Pran widział hidźrów. To przerażające istoty. Pół mężczyźni, pół kobiety. Przychodzą pod dom, w którym odbywa się wesele, i walą w bębny, przedrzeźniając wchodzących i wychodzących gości. Pojawiają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy rodzi się dziecko. Z lubieżną miną śpiewają sprośne piosenki obwieszczające jego przyjście na świat. Aby się ich pozbyć, trzeba dać im pieniądze. W przeciwnym wypadku rzucą klątwę na dom. Są niedotykalni, prastarzy jak wzgórza, jak niesmaczny żart opowiadany przez ludzi, odkąd na mężnego Ardżunę spadła klątwa, że musi przeżyć rok w ciele magika-hermafrodyty. Ardżuna, potężny wojownik, wędrujący od wioski do wioski, odziany w kobiece szaty i wołający: „A teraz, panie i panowie, jeśli ktoś z was ma bransoletkę, której może użyczyć...”. Niektórzy z hidźrów pilnują zenan w bogatych domach szlacheckich rodzin, towarzyszą kobietom w podróży, są odźwiernymi, policjantami, przyzwoitkami. W bogatych, szlacheckich domach, jak - wszystko na to wskazuje - dom nababa Fatehpuru.

Pran omiata spojrzeniem swoje ciało obyczajnie okutane w czerń. Potem kieruje wzrok ku dwom zbyt wysokim kobietom o ochrypłych głosach, mocnych szczękach i nienaturalnym sposobie chodzenia. Kobiety posyłają mu uśmiech. I raptem Pran przypomina sobie coś jeszcze, coś naprawdę okropnego, co wszyscy wiedzą o hidźrach. Hidźrowie są eunuchami.

Pran odruchowo przyciska dłoń do podbrzusza. Hidźrowie pilnie go obserwują. Uśmiechają się szerzej, jakby czytali w jego myślach.

Ciach, ciach.

Pociąg zmierza na północ. Mija Delhi, Panipat, Ambalę i wjeżdża na terytorium Pendżabu, krainy pięciu rzek i niezliczonych kanałów. Pran wsłuchuje się w stukot kół i wkrótce zaczyna śnić o celi, którą właśnie opuścił, mrówkach, szczelinie na ścianie będącej

źródłem dziwnych i cudownych wizji. Wreszcie nadchodzi ranek. Zamglona pomarańczowa kula słońca wypływa nad ziemię żółtych poletek. Pran przypatruje się małym chłopcom przycupniętym na skraju nasypów; kobietom, które myją włosy przy studniach albo, kołysząc biodrami, niosą na głowie mosiężne naczynia z wodą; mężczyznom idącym za pługami, którzy okładają porykujące bawoły, brnąc przez pola ryżowe zanurzeni po łydki w wodzie. Wszyscy przystają na chwilę, by popatrzeć na pociąg mknący z nadnaturalną prędkością przez ich senny świat.

Rajpur... Ludhijana... Dżalandhar... A potem kolejny peron i tablica z napisem LAHORE. Krzątania przy kufrach, opuszczanie zasłon na twarz. Towarzyszki (towarzysze?) podróży łapią Prana za ramię. Cała trójka wysiada z pociągu.

Przed budynkiem stacji stoi auto, a obok niego wyprostowany jak struna szofer w uniformie, otoczony zgają małych uliczników z rozdziawionymi buziami. To nie jest jakieś tam auto. Owo lśniące metaliczne чудо, przyczajone niczym obcy przybysz w tumanach kurzu przed stacją kolejową w Lahore, to nic innego jak gwiazda tegorocznego paryskiego salonu samochodowego: sprowadzona z Francji za astronomiczną sumę, wyposażona (mesdames et messieurs) w silnik V-12 i hamulce na cztery koła, rozwijająca zawrotną prędkość osiemdziesięciu mil na godzinę, zachwycająco kremowa hispano-suiza H6 z czerwoną tapicerką.

- Czeka na nas? - pyta Pran hidźrów. Ci potwierdzają.

Szofer wkłada kufry do bagażnika, władczy gestem naciska klakson i zapuszcza potężny silnik. Mali ulicznicy pierzchają na boki, gdy auto w tumanach kurzu rusza w drogę po zatłoczonych ulicach. Serce zlanego potem Prana bije radośniej pod grubą burką.

Pod wpływem szalonego pędu odżywa w nim nadzieja, że uda mu się wyprzedzić siły zamętu czyhające na jego krocze.

Lahore zostaje za nimi. Teraz otacza ich otwarta przestrzeń. Pran dostrzega, że obicia siedzeń udekorowane są wizerunkiem gołębia i półksiężyc. Ten sam wzór powtarza się na epoletach szofera i w formie subtelnej inkrustacji na drewnianej tablicy rozdzielczej. Nizinna kraina pól uprawnych stopniowo zaczyna się fałdować, przechodzi w coraz wyższe wzgórza. Auto z turkotem pokonuje wyboiste trakty, zdecydowanie niesprzyjające biciu rekordów szybkości. Wieśniacy przystają, by na nich spojrzeć, a potem klękają lub kłaniają się w pas, gdy ryczący obłok kurzu mija ich pole.

Przejeżdżają przez małe miasteczko i tu wywołują podobną reakcję. Sklepiarze

składają dłonie w geście powitania, przechodnie ustępują im miejsca. Po jakimś czasie hidzra dotyka ramienia Prana.

- Dojeżdżamy do pałacu - oznajmia.

Na końcu długiej alei udekorowanej szpalerem osobliwych białych posągów stoi kolosalna budowla, drażniąca różowa fatamorgana naszpikowana wieżyczkami. Kiedy hispano-suiza z warkotem podjeżdża bliżej, z różu wyłaniają się inne odcienie, biel, błękity, z rzadka plamy innych kolorów: tu szmaragdowy romb, tam pasek jasnej czerwieni. Kilka centralnie położonych bulwiastych kopuł (trudno powiedzieć, ile dokładnie ich jest) wyrasta ponad skomplikowanym układem ścian, usianych tu i ówdzie blankami, przyporami, dekoracyjnymi balustradami, urnami i innymi osobliwościami, które umieszczono tam nie wiedzieć po co. Po obu stronach zespołu kopuł wzbija się w niebo jakieś pół tuzina strzelistych wież i minaretów. Niektóre są zwieńczone radzpućkami kopułami, inne lśniącymi złotymi półksiężycami, a jedna nawet gotycką iglicą. Od frontu szeroki, posypany żwirem podjazd prowadzi ku imponującym schodom, na przemian czarnym i białym. Hispano-suiza podjeżdża przed boczne wejście ukryte u stóp wyniosłej ściany w wąskie paski, na której szczycie umieszczono okazałą figurę kobiety z obnażonymi piersiami i trójzębem w ręku. Tutaj szofer wyskakuje z auta i otwiera pasażerom drzwi.

*

W krytycznym szkicu o architekturze Indii, zatytułowanym „The Eighth Lamp”, G.H. Dalrymple pisze: „Szkodliwa dla zdrowia, przesłodzona mieszanka motywów europejskich i orientalnych charakteryzująca Nowy Pałac w Fatehpur każe pechowemu gościowi zastanowić się, czy nie można było powołać się na jakąś ustawę albo przepis, by nie dopuścić do powstania tak demonicznego tworu”. Dalrymple, uczeń Ruskina, miał nieszczęście spędzić tam trzy tygodnie w 1895 roku jako gość czternastego nababa. Nie miał, jak pisze, „najmniejszej ochoty” na zgłębianie historii budowl, która tak popsowała mu nastrój. Gdyby wykazał odrobinę zainteresowania, dowiedziałby się, że do powstania pałacu przyłożyło rękę aż trzech architektów.

Pierwszy z nich, szkocki góral, sporządził komplet szkiców i makiet, biorąc za wzór styl rezydencji magnackich, bardzo wówczas popularny w jego rodzinnym kraju. Jednakże subkontynentalne Balmoral żadną miarą nie odpowiadało wyobrażeniom trzynastego nababa. Miejsce szkockiego górala zajął miłośnik stylu Andrei Palladia. Nakazano mu połączyć to, co najlepsze w tradycji Europy i Azji. Za odpowiedni wzorzec nabab uważał Pawilon Królewski w Brighton, uosabiający miłą dla oka angielską wersję stylu indyjskiego. Budowla nie przypominała wprawdzie niczego z rzeczywistych Indii, ale to w oczach nababa było akurat zaletą i wyróżniało ją spośród okazałych pałaców w stylu florenckim, indyjsko-saraceńskim czy radżpuckim, wznoszonych przez innych ówczesnych władców. Nowy architekt otrzymał polecenie stworzenia budowli na wzór Pawilonu, tyle że innej. Nabab bowiem nie chciał uchodzić za naśladowcę. Jednym ze sposobów uniknięcia takich posądzeń było, co zasugerował architektowi, zdecydowane powiększenie rozmiarów pałacu w stosunku do pierwowzoru. Nabab widział kiedyś Pałac Buckingham, który ku jego niepomiernemu zdumieniu okazał się znacznie mniejszy od rezydencji wielu ostatnich indyjskich władców. Nowy Pałac miał być dużo okazalszą wersją Pawilonu, bardziej orientalną niż indyjską, a nade wszystko miał robić wrażenie na Anglikach, którzy otrzymają zaproszenie do królestwa nababa na przejażdżki konne czy polowanie. Dla jasności życzenia nababa utrwalono na piśmie.

Zadanie przerosło siły drugiego architekta, człowieka o wątłym zdrowiu i wyrafinowanym smaku. Narysował setki projektów, zagustował w opium i bajaderach, a pewnej nocy usiadł przy biurku i strzelił sobie w łeb z inkrustowanego srebrem pistoletu, który podarował mu nabab w dniu zawarcia umowy. Pozostałe po nim papiery uporządkowano i przedstawiono trzeciemu architektowi, syfilitycznemu włoskiemu awanturnikowi nazwiskiem Tacchini, który brak rzeczywistych kwalifikacji nadrabiał niepomiernym, jeśli nie fanatycznym zapalem.

Za punkt wyjścia Tacchini przyjął plany sporządzone przez samobójcę, a od szkockiego górala zapożyczył kilka elementów, włączając w to przypory i iglicę, będącą pomniejszoną kopią iglicy katedry w Chartres. Z podręcznika „Podstawy stylów w architekturze” wybrał prawie wszystko, co mu przypadło do gustu. Tym sposobem drogę do Nowego Pałacu utorowały sobie chimery, urny, islamskie łuki, mogolskie mozaiki oraz liczne kopie greckich i rzymskich rzeźb. Nabab był zachwycony. Z radością zamówił barwne marmury z Ferrary, witraże z Oksfordu, a do układania mozaiki zatrudnił weneckich robotników, kierowanych przez kuzyna architekta.

W trakcie budowy zachowanie Tacchiniego stawało się coraz bardziej ekscentryczne. Prócz wprowadzenia zmian w projekcie, czego najbardziej skrajnym przejawem była rokokowa krypta wzorowana na którejś z krypt w Sienie, II Maestro (tak kazał się do siebie zwracać) zaczął kierować pracą w niekompletnym stroju. Wreszcie całkiem wyzbył się ubrania, tłumacząc, że energia twórcza człowieka emanuje przez skórę, więc by uniknąć groźnych skutków estetycznej blokady, należy skórę wyeksponować. Początkowo zrzucano to na karb ekstrawagancji artysty. Tacchini doczekał się nawet pochwały ze strony nababa, który podziwiał ludzi z pasją. Lecz kiedy II Maestro ogłosił, że część mieszkalną dla kobiet będą budować kobiety, również wyzbyte estetycznych blokad, wezwano lekarza. Ten stwierdził trzecie stadium syfilisu. Tacchini znalazł się w zakładzie zamkniętym, gdzie zmarł po paru latach. Przed śmiercią wykrzykiwał szczegółowe przepisy na desery. Wydaje się, że w swoim szaleństwie cofnął się do poprzedniego etapu życia, kiedy pracował jako mistrz cukierniczy w Trieście. Zresztą pałac, trwały pomnik Tacchiniego, w opinii wielu osobliwie przypomina ogromny różowy lukrowany tort.

Hidźrowie wprowadzają Prana do wnętrza tortu, a może bezy, trójwymiarowego wytworu chorego umysłu, gry w chiński labirynt, utrwalony w kosztownym importowanym kamieniu. Jego obecność nie budzi zdziwienia. Przestronne korytarze podzielone na mniejsze tworzą paranoiczną płataninę szczerzych tras prowadzących ku ciemnym zaułkom z alkowami na końcu, drzwiami obwiedzionymi mosiądzem albo ślepyimi ścianami, w których na pewno ukryte są sekretne klamki, jeśli tylko wiedzieć, gdzie nacisnąć. Pran mija z hidźrami strażników w liberii, wspartych na staromodnych pikach, idzie po schodach na górę, potem długim krętym korytarzem o ażurowych ścianach z marmuru. Między kunsztownie wyrzeźbionymi sylwetkami ptaków i kwietnymi motywami prześwitują większe przestrzenie. Rozległy hol, komnata, gdzie władca urządza przyjęcia, sala audiencyjna kolejno potęgują odgłosy rytmicznych kroków, które w kamiennych wnętrzach brzmią niczym pochod stada słońi. Kolejni strażnicy, monstualne drzwi, brzęk kluczy, zgrzyt łańcuchów i przed Pranem otwiera

się zenana, część pałacu przeznaczona dla kobiet.

Pran nie widzi żadnych odsłoniętych kobiecych ciał. Ale w powietrzu unosi się obiecująca woń olejku różanego. Ściany pomieszczenia, w którym się znalazł, wyłożone są połyskliwymi kaflami w rozmaitych odcieniach różu. Z sufitu zwisa żyrandol z różowego szkła. Na drugim końcu widać zabezpieczone kratą wejście.

Dobiega stamtąd szmer fontanny i dźwięczny kobiecy śmiech. Jednak hidźrowie nie pozwalają Pranowi pójść ani kroku dalej w tym kierunku. Zamiast tego prowadzą go ku następnym schodom i wspinają się z nim na szczyt wieży, gdzie wita Prana chłodny powiew wiatru i zapierający dech w piersiach widok wzgórz.

*

Khwaja-sara, przełożony hidżrów w Fatehpurze, siedzi pod baldachimem i ponad różowymi blankami pałacu wpatruje się w wyschłe zimowe pola. Zasuszony, owinięty w sari z szerokim złotym szlakiem na dole, przygotowuje skomplikowane paan. Przed nim stoi inkrustowana mosiężna taca, na niej miseczki, a w każdej z nich inny składnik. Khwaja-sara starannie wybiera odpowiedni liść, pociera go odrobiną tego, szczyptą tamtego, dodaje troszkę papki z kokosa, parę kropli soku z limonki, całość okrasza kilkoma czerwonymi kawałeczkami betelu, a potem ostrożnie zwija liść i zręcznym ruchem wypycha nim sobie policzek. Pran obserwuje tę scenę, stojąc przy schodach.

- Podejdz bliżej, moje dziecko. Niech ci się przyjrzę. Pran postępuje naprzód. Khwaja-sara taksuje go wzrokiem.

- Kim jesteś, Rukhsana? - pyta, sepleniąc. - Chłopcem czy dziewczyną?

- Chłopcem.

- Naprawdę? Jesteś pewna? Spójrz na swój strój.

Zmieszany Pran omiata spojrzeniem burkę spowijającą jego ciało. I wtedy dostrzega coś strasznego. Na tacy między miseczkami leży długi, groźnie zakrzywiony nóż. Khwaja-sara podąża za przerażonym wzrokiem Prana, podnosi nóż i przeciąga zagiętym palcem po ostrzu.

- Nie możecie mnie zmusić, żebym został - szepcze Pran chrapliwym głosem. - Chcę stąd wyjść. Przywieziono mnie tu wbrew mojej woli.

To był błąd. Khwaja-sara zrywa się na równe nogi, szeleszcząc jedwabnym sari, i zaczyna wymachiwać zakrzywionym nożem.

- Wola? - strzyka czerwonym sokiem betelu w twarz Prana. - W o l a?! Twoja wola się nie liczy.

- Proszę...

- Nie masz prawa prosić! Jesteś niczym, rozumiesz? Niczym! Hidżra wykonuje parę wypadów z nożem na wysokości bioder. Jak na tak wiekową istotę, jest całkiem zwinny. Pod Pranem uginają się nogi.

- Spytaam jeszcze raz - sepleni Khwaja-sara złowrogo. - Kim jesteś?

- Jestem Pran Nath... - zaczyna Pran i urywa, gdy Khwaja-sara wymierza mu policzek.

- Nie! - warczy. - Spróbuj jeszcze raz. Kim jesteś?

- Jestem... - Kolejny policzek.

- Nie! Jeszcze raz!

Sytuacja się powtarza, aż Pran (który próbował odpowiedzi w rodzaju: „Błagam”, „Nie bij mnie”, a nawet „Rukhsana”) mamrocze w końcu: „Niczym”.

- Dobrze. A ja kim jestem?
- Khwaja-sara.
- Co za bezczelność! - Kolejne uderzenie w twarz.
- Nie wiem! Nie wiem!
- Teraz dobrze.

Pran jest zdezorientowany. To jak lekcja, tyle że na odwrót. Dla Khwaja-sary im mniej wiedzy, tym większa mądrość.

- Pamiętaj, jesteś niczym. Niczym. A teraz, Rukhsana, ile jest płci?
- Dwie?

- Głupia! Tysiące! Miliony! - ożywiony Khwaja-sara zaczyna płaść po dachu niczym podstarzała tancerka. Śmiertelnie przerażony Pran nie spuszcza oczu z ostrza noża pobłyskującego w świetle lamp.

- Niektórzy ludzie - mówi Khwaja-sara - są godni pożałowania. Zaczyna śpiewać swoim piskliwym głosem:

To śmiertelne ciało nie da mi wolności,
nigdy nie pozwoli mi odejść.
Jedwabne więzy
łączą je mocno z moją duszą.

- Co za idiotyzm! Wystarczy jedno cięcie, tylko jedno cięcie.

- Khwaja-sara wywija nożem. - To ostrze jest kluczem. Otwiera wrota ku nieskończoności ciała, cudownej nieskończoności płci. Kiedy tylko wyrwiesz się z krępujących cię więzów, możesz tańczyć, możesz latać!

Khwaja-sara zaczyna biegać po dachu z rozpostartymi rękami niczym nietoperz o postrzępionych jedwabnych skrzydłach, prezentując pogrążającym się w mroku poletkom i wzgórzom własny taniec bezmiernej wolności.

- Możesz myśleć, że jesteś tylko jedna. Możesz myśleć, że nie podlegasz zmianom. A przecież my wszyscy jesteśmy równie zmienni jak powietrze! Uwolnij się, uwolnij własne ciało, a będziesz wielością! Miriadami! Nie ma na to nazwy, Rukhsano. Nazwy to przejaw głupoty języka, wielkiej głupoty. Czy można wstrzymać bieg rzeki? Czy można zatrzymać chmurę?

Khwaja-sara przestaje kręcić piruety i, na powrót wiekowy, wolno zmierza w kierunku Prana z nożem w ręku.

- To naprawdę doskonały pomysł. Nie powinnaś się bać. Mimowolnie osłaniając krocze dłońmi, Pran cofa się aż na skraj wieży, gdzie zatrzymuje go niski murek. Khwaja-sara kuśtyka w jego stronę. Obwiedzione czarnymi obwódkami oczy, odbijające od pomarszczonej, uróżowanej twarzy, przewiercają Prana na wskroś. Na tej twarzy widać walkę o wyciszenie gwałtownych emocji. Potrząsanie długimi włosami i nerwowe ruchy ręki czynią z niej oblicze kobiety. Gdy Khwaja-sara kaszle, jego twarz staje się męska, by zaraz potem złagodnieć i nabrać zupełnie innych cech, ulotnych i zmiennych cech istoty bez nazwy.

- Wielka szkoda, że zanim uwolnimy cię spod tyranii twojej płci, musimy zająć się innymi sprawami. Jesteś Rukhsana, co oznacza, że jesteś niczym. Przywieziono cię tutaj, żebyś służyła interesom Fatehpuru. I masz wypełniać swoje obowiązki bez szemrania. Jeśli tak będzie, nagroda cię nie minie. Jeśli nie - Khwaja-sara macha nożem - zginiesz. A teraz pójdziesz ze mną. Pokażę ci twojego nowego pana.

*

Khwaja-sara prowadzi Prana przez labirynt korytarzy. Docierają do ogromnego holu. Nie jest to jedna z tych sal balowych, od których roi się w pałacu jak od bąbelków powietrza w musie truskawkowym. To sala audiencyjna, tak prosta i ascetyczna, że mogłaby z powodzeniem przynależeć do zupełnie innej budowli. Reprezentuje tradycyjny styl mogolskich założycieli tego niewielkiego królestwa. Na jednej ze ścian z chłodnego białego marmuru umieszczono rząd łukowatych okien, przez które wpada do środka łagodny powiew. Kołysane wiatrem płomienie ozdobnych mosiężnych lamp wiszących u sufitu rzucają cienie na twarze pięćdziesięciu zgromadzonych tu dworzan. Ci owijają się szczelniej szalami i w zadumie ćmią długie fajki. Dyskretni słudzy czekają w cieniu z nowymi porcjami węgla, tytoniem o aromacie jabłek, winem w dzbanach o cienkich, długich szyjkach i słodyczami na srebrnych tacach.

Mężczyźni mają na sobie bogate stroje. Ich turbany wysadzone drogocennymi kamieniami i ciężkie naszyjniki pobłyskują w żółtawym świetle lamp. Ale żaden z nich, nawet ziewający brat usadowiony z zagranicznymi przyjaciółmi w końcu podpartej filarami sali, nie mógłby przyćmić nababa, który ma na sobie siedem sznurów pereł, a na palcu rubin wielkości przepiórczego jajka, подарowany niegdyś jego przodkowi przez władcę Aurungzeba. Choć nabab Murad - Niewolnik Boga, Ojciec i Matka Poddanych, Obrońca Prawdziwej Wiary i Tarcza Królestwa - jest jeszcze młody, ma zapadnięte oczy i czoło znaczone głębokimi bruzdami. Bardziej niż ciężar pereł na szyi przytłacza go melancholia, którą świadomie bądź nieświadomie roztacza wokół siebie. Nabab wydaje się niemal pozbawiony cielesności. Przypomina ducha. Jego smutek wnosi nastrój żałoby. Zgromadzeni sprawiają wrażenie zadumanych nad przeszłością, co upodabnia ich do postaci zaludniających perskie miniatury. Z wyrazem spokoju na twarzy zastygli w ceremonialnych pozach, niczym kwietne motywy z czerwonego i czarnego marmuru, tworzące szlak biegnący przez wszystkie ściany.

Recytujący zebrany swój najnowszy wiersz mirza Hussein wyczuwa tę atmosferę, którą (takie są boskie wyroki) oddają wersy ułożone na dzisiejszą okazję:

Każdy zakątek pałacu spowija cień
i tylko moje serce goreje w ciemności...

Wśród zgromadzonych przebiega szmer uznania.

Jak długo jeszcze, o mirzo, wytrwasz,
wyrzekłszy się nadziei, pożegnawszy radości?

Zgodnie z wymogami konwencji, mirza kończy ostatnią strofę, wymieniając własne imię. Słuchacze odgadują ostatnie słowo utworu i deklamują je razem z poetą. Po chwili chór głosów przechodzi w głośnie pochwały. Poeta dziękuje lekkim skinieniem głowy. To chwila bliska ideału. Twarz nababa ożywia przelotny uśmiech. To on zwołał mushairę. Miłość do poezji jest jedną z niewielu przyjemnych rzeczy, jakie w tych czasach upadku zostały takiemu władcy bez władzy jak on. Dworzanie czują chyba to samo co ich król. Jedyne umundurowani Anglicy z tyłu sali pozostają niewzruszeni. Anglicy, których różowe twarze i nakrochmalone mundury burzą złudzenia o mogolskiej świetności. Anglicy i Firoz, młodszy brat nababa, który pstryka palcami na służącego i ze zde gustowaną miną bawi się sztywnym kołnierzykiem sprowadzonej z Londynu koszuli.

Chóralnie recytowane słowo jest pierwszym dźwiękiem, który dociera do Prana, gdy Khwaja-sara prowadzi go przez ostatni dziedziniec oddzielający ich od zgromadzenia.

- Zaraz ujrzysz nababa - szepce hidźra. - Cokolwiek będzie się działo, masz stać nieruchomo i milczeć. Rozumiesz?

Pran kiwa głową. Wchodzą do sali łukowatym wejściem i przystają w cieniu obok służącego, który wyprostowany jak struna balansuje trzymaną na dłoni tacą z przystawkami. Tymczasem jakiś mężczyzna o wymizerowanej twarzy zaczyna czytać poemat napisany wykwintnym i podniosłym urdu.

Dlaczego porzucasz przybytek mego serca?

Dlaczego opuszczasz najbezpieczniejszą przystań?

- To nabab, do którego teraz należysz - szepce Khwaja-sara. Pran przypatruje się jego pełnym melancholii oczom, nerwowym ruchom ręki podczas czytania. Dwuwiersz płynie za dwuwierszem, a Khwaja-sara szeptem wyraża swój podziw.

- Wspaniały z niego poeta - mruczy pod nosem bardziej do siebie niż do Prana.

Pran przenosi wzrok na zgromadzone osobistości. Bogactwo ich strojów, surowe rysy, dumna postawa robią na nim niezwykle wrażenie. Mimochodem unosi dłoń do twarzy, by pogłodzić nieistniejące wąsy.

Jak zgubiłem drogę do swego ogrodu

i nieszczęsny wpadłem w tę zasadzkę?

- A tam - mówi Khwaja-sara - jest człowiek, dla którego przywieźliśmy cię do Fatehpuru.

Pran podążył za spojrzeniem hidżry i spotyka wzrok starszego mężczyzny z brodą barwioną henną, w szatach jeszcze obficie wysadzanych klejnotami niż szaty jego sąsiadów. Khwaja-sara wskazuje gestem Prana. Mężczyzna odpowiada lekkim skinieniem głowy.

- To on?

- Nie, to jest diwan, któremu masz okazywać najwyższy szacunek. Mówię o tym, który siedzi z tyłu. Ten gruby Anglik.

Usadowieni w rzędzie cudzoziemcy przysypiają na trzciniowych krzesłach, jedynych w sali. Towarzyszy im elegancki, ubrany po europejsku Hindus o gładkich, lśniących od pomady włosach. Większość to młodzi mężczyźni w urzędniczych uniformach. Jeden z nich, jasnowłosy właściwie jeszcze chłopiec, krzywi się na widok Khwaja-sary jakby pod wpływem nagiego bólu. Obok niego siedzi rumiany mężczyzna w średnim wieku z głową zwieszoną na piersi. Wygląda na to, że smacznie śpi. Bezwstydnik.

- On?

- Tak. To, moje dziecko, przeklęty major Privett-Clampe, tutejszy brytyjski rezydent. Ma wielką władzę i jest beznadziejnie głupi. Na okrągło źłopie dzin. I w rękach takiego człowieka spoczywa los naszego ukochanego królestwa. Na szczęście, droga Rukhsano, ten człowiek ma pewną słabość.

- Słabość?

- Tak. Lubi ładnych chłopców. Takich jak ty.

*

Po zakończeniu mushairy przynoszą Pranowi posiłek, a potem ubierają go w niebieskie jedwabne sari.

- A teraz - oznajmia Khwaja-sara - pewni ludzie chcą cię obejrzeć. Idziemy.

Zapaliwszy lampę, wiedzie Prana na górę schodami z kutego żelaza do części pałacu reprezentującej wynaturzoną wersję francuskiego baroku. Połączone gzymsy biją po oczach z narożników i sufitów. Spiralne motywy liści i nieco nieprzyzwoite zakrętasy oplatają ogromne lustrzane paneau wypełniające każdą płaską powierzchnię. Gdziekolwiek nawet podłoga wyłożona jest lustrami, tworząc zdradliwe dla chodzących podłoże.

Khwaja-sara wprowadza Prana przez wysokie podwójne drzwi do sali pogrążonej w niemal całkowitych ciemnościach. Siedzi tam grupka mężczyzn. Ich twarze oświetlają tylko dwie lampki o przyciętych knotach, rzucające słabą pomarańczową poświatę. Pran rozpoznaje sterzącą brodę i haczykowany nos diwana. Drugi mężczyzna to szczupły dworzanin w druczianych okularach i okazałym turbanie. Trzeci to ów miody blondyn, Anglik, który w trakcie mushairy wydawał się podenerwowany. Teraz wygląda jeszcze gorzej. Sklejone od potu włosy przylegają mu do czaszki, a nienaganna wcześniej warstwa pokrywającej je brylantyny spływa po policzkach, co nadaje młodzieńcowi wygląd polakierowanej drewnianej marionetki. Bluzę munduru ma rozpiętą do pasa. Łapczywie zaciąga się papierosem.

- Jezu Chryste! - woła na widok Prana. - Nie żartowaliście. To szaleństwo. Nie możecie tego ode mnie wymagać.

Te słowa są skierowane do diwana, który kwituje je wzruszeniem ramion. Młody dworzanin wybucha śmiechem.

- Z całym szacunkiem, panie Flowers - mówi - ale możemy.

- Świnia z pana, fotografie - prycha Anglik. - Powinienem...

- Powinien pan? - pyta dworzanin uprzejmie.

Anglik wydaje z siebie jęk i chowa głowę w ramionach opartych o blat stołu.

- Pstryk, pstryk - chichocze dworzanin.

- Idź do diabła! - odpowiada Anglik przytłumionym głosem, nie unosząc głowy.

Khwaja-sara zwraca się do Prana.

- Poznaj pana Jonathana Flowersa, pracownika wspaniałej instytucji, Indian Political Service. Jest jednym spośród świetnych podwładnych majora Privett-Clampe'a. Gdy major cię o to spyta, masz powiedzieć, że to Jonathan Flowers przyprowadził cię tutaj i ukrył w zenanie. Rozumiesz?

Pran kiwa głową.

- Jezu Chryste! - powtarza Anglik bliski łez. Diwan obrzuca Prana chmurnym spojrzeniem.

- To on? Mam nadzieję, że jest wart tych pieniędzy. Gdzie go znaleźliście?

- W Agrze - sepleni Khwaja-sara.

- No proszę - mówi fotograf z zadowoleniem w głosie.

- Właścicielka burdelu zapewniała, że dobrze go wyuczyl.

- Bardzo ładny, nie da się ukryć.

- Kazałem przywieźć najlepszego, jakiego znajdą.

Pran czuje, że zaschło mu w ustach. Wpatruje się kolejno w twarze rozmawiających. Bliźniacze szkła okularów fotografa, gładkie policzki Flowersa, klejnot na turbanie diwana. Widok każdego z nich sprawia mu przykrość. Poza strefą przyćmionego światła lamp ciemność skrywa kolejne lustra. Dodatkowe źródła światła niekoniecznie poprawiłyby sytuację.

Flowers znowu zabiera głos:

- Nie możecie mnie do tego zmusić. Fotograf kręci głową.

- Powtórzmy jeszcze raz, panie Flowers. Od jak dawna służy pan w misji? Od ośmiu miesięcy? Od dziewięciu? Ma pan tu całkiem wygodne życie. I zawsze ochoczo korzysta pan z gościnności księcia Firoza. Polo, tenis, polowania, specjalne filmy na przyjęciach. Jest pan kawalerem. Ma pan pewne potrzeby. To całkiem zrozumiałe. Ale pańskie upodobania są dość szczególne. Widzę, że trzeba odświeżyć panu pamięć.

W rękach fotografa pojawia się duża koperta. Mężczyzna wyjmuje z niej plik zdjęć. Pran nie widzi, co przedstawiają, ale Flowers reaguje na nie bardzo gwałtownie. Zaczyna jęczeć żałośnie i walić czołem o blat stołu. Diwan patrzy na tę scenę z odrazą i mamrocze coś w urdu o prawdziwych mężczyznach, mężczyznach tylko z nazwy i o małych dziewczynkach.

- Pstryk, pstryk - powtarza fotograf, spoglądając z dumą na zdjęcia, które są niewątpliwie jego dziełem. - To wygląda bardzo niehigienicznie - zauważa. - Czy przypadkiem indyjskie prawo nie zabrania takich rzeczy? No, ale skoro wy tam jecie i podcieracie się obiema rękami... Przypuszczam, że jedno prowadzi do drugiego.

- Dobra, dobra - mruczy Flowers. - Tylko zabierz te przekłete zdjęcia. Zrobię to.

- Oczywiście. Powie pan majorowi Privett-Clampe'owi, że postarał się pan o chłopca. Będzie czekał w pokoju chińskim. Proszę pamiętać, żeby powtórzyć dokładnie to, co kazaliśmy. Będziemy wszystko słyszeć.

Flowers wstaje od stołu. Fotograf idzie za nim.

- Dotrzymam panu towarzystwa, panie Flowers. Muszę wziąć swój sprzęt.

Diwan przypieczętowuje tę rozmowę energicznym splunięciem na podłogę.

*

Pranowi nie podoba się to, co widział i słyszał w pokoju lustrzanym. Nie wygląda na to, by tym ludziom leżało na sercu jego dobro. Może pomylili go z kimś innym. Może powinien odejść. Sugeruje to Khwaja-sarze, ale ten bije go w twarz i ostrzega, że jeśli Pran spróbuje uciec, i tak go dopadną. Pran postanawia, że zostanie. Gdy przez pałacowe wnętrza zmierzają z powrotem do zenany na jednym z korytarzy powstaje tumult. Khwaja-sara ciągnie Prana za sobą i razem kryją się za marmurowym dyskobolem naturalnej wielkości. Mija ich w pędzie całkiem naga dziewczyna na rowerze. Europejka. Lusterko przy kierownicy jej roweru kołysze się niebezpiecznie. Goni ją grupa mniej lub bardziej rozebranych kobiet i mężczyzn. Z jakiegoś powodu kilka kobiet ma na głowie wojskowe czapki: kepi, czako, furażerki i bermyce gwardii królewskiej, które z halkami i pończochami tworzą dziwną kombinację. Wszyscy krzyczą naraz i każą dziewczynie wracać z ich koką. Ciemnowłosa mężczyzna z resztkami krawatu na szyi trzyma w ręku dubeltówkę.

- Zestrzelę ją z tego roweru! - ryczy na całe gardło. - Złaźcie mi z drogi! Muszę wycelować!

Pośród rozbawionego towarzystwa jest książę Firoz, wsparty dla utrzymania równowagi na ramieniu zdeorientowanego służącego.

- Nie bądź głupi, De Souza! - cedzi słowo po słowie. - Jeśli ją trafisz, rozsypie wszystko!

Wesoła kompania rusza dalej, rozkrzyczana i rozchichotana. Pusta butelka po Don Perignon toczy się za nimi po korytarzu. Na twarzy Khwaja-sary maluje się odraza.

- Widzisz, z czym musimy tu walczyć? - mruczy pod nosem nie tylko do siebie, ale i do Prana. - I temu szczeniakowi się wydaje, że może rządzić Fatehpurem...

W zenanie Khwaja-sara kuca przy niskim stoliku zastawionym różnymi garnczkami i słojami. Długimi, małpio zręcznymi palcami sięga po moździerz i tłuczek. Szczypta po szczypcie wysypuje do moździerza substancje z różnych pojemników. Potem idzie w ruch tłuczek i po jakimś czasie powstaje mialki czerwony proszek. Pran nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Wtórjuje mu szelest sari. A gdyby tak się schował? Albo zszedł na dół po zewnętrznej ścianie?

- Co za dzieciaka mi tu przywieźli? - biadoli Khwaja-sara. - Dlaczego wszystko muszę robić sam?

Z przepastnych fałd swego ubrania wydobywa małą sakiewkę. Gdy zanurza rękę w obszernym czarnym szalu, jego pleć zdaje się zanikać, cofać, pozostawiając neutralną istotę o nieokreślonej tożsamości. Pran zastanawia się, czy Khwaja-sara może stać się niewidzialny,

jeśli moc znikania z pola widzenia jest bardziej zaawansowaną formą androginii. Gdyby nie ręce, to coś przed nim byłoby niewyraźnym kłębem gałganów.

Jeden zręczny ruch i Khwaja-sara trzyma w palcach małą perłę. Wrzuca ją do móździerza i rozdrabnia.

- To jest - bardziej mówią jego gesty niż słowa - asha, napój książąt. W tym naczyniu utarłem trzydzieści siedem składników. Zabrało mi to więcej czasu, niż powinno się poświęcać komukolwiek spoza rodziny królewskiej, nie mówiąc już o takiej nędznej sierocie jak ty. Teraz wypij.

Pran waha się. Ciągłe ma w pamięci efekty działania specjalnego lassi Ma-ji. Ale na widok zakrzywionego noża, który pojawia się w ręku hidzry zmienia zdanie. Asha ma ostry, słodko-gorzki smak. Całkiem przyjemny.

W chińskim pokoju wcale nie ma porcelany, jedwabiu i obrazków z wizerunkami smoków czy pań z parasolkami, jak Pran się spodziewał. Chiński pokój jest pozbawiony okien i całkiem czarny. Ściany, podłogę, sufit i tych parę mebli, które tam stoją, polakierowano lub pomalowano na ten sam smolisty kolor. Przy biurku stoi proste drewniane krzesło. Na biurku leżą przybory do pisania, stare słowniki i stos małych, błyszczących tabliczek z chińskimi znakami po jednej stronie i angielskimi literami po drugiej, przypuszczalnie pamiętka po jakiejś grze w słówka. Centralne miejsce w pokoju zajmuje złowieszczo obszerne łóże.

Początkowo Pran nie jest skonsternowany sytuacją. Asha rozgrzewa go od środka, powodując silne, niemal zwierzęce doznanie dobrego samopoczucia. Pełen animuszu przemierza pokój dużymi krokami, choć sari krępuje nieco jego zawadiackie ruchy. Pewność siebie traci dopiero w ostatniej chwili na dźwięk gmerania kluczem w zamku.

Do pokoju wkracza Flowers w towarzystwie majora Privett-Clampe'a. Twarz majora promienieje bezmiernym szczęściem.

- Och, mój chłopiec - mówi gardłowym głosem. - Mój drogi, kochany chłopiec.

- Jak mam ci dziękować? - teraz chrypi do Flowersa. Obaj są kompletnie pijani.

- To drobiazg.

Przez krótką chwilę na twarzy majora maluje się niepokój.

- Ale nie powiesz nikomu, dobrze? Gdyby ktoś się dowiedział, no wiesz, moja żona...

- Jasne, że nie powiem. A teraz, przyjacielu, zostawiam was tutaj. Kiedy będzie po wszystkim, ktoś po niego przyjdzie.

- Świetnie - mówi major.

Flowers pospiesznie wychodzi i zamyka drzwi. Pran i major zostają sami.

Major Privett-Clampe jest mężczyzną w średnim wieku. Ma rudawo-blond włosy, przypadłość wielu Europejczyków z północy kontynentu. Kolor włosów tak bardzo zlewa się z barwą skóry, że granica między jednym a drugim jest dziwnie zamazana. Ten zakłócony koloryt uwydatniają jeszcze gęste wojskowe wąsy. Major ma na sobie ten sam mundur, co podczas mushairy. Jego medale i lakierowane oficerki błyszczą wyzywająco w słabym świetle. Opięta czerwona góra i spodnie wyglądałyby o wiele lepiej na młodszym mężczyźnie i pewnie w odległej przeszłości dobrze leżały na samym majorze. Jednakże czas nie obszedł się z ich właścicielem łaskawie. Lata obfitych śniadań dzień w dzień oraz porto i cygara po kolacji sprawiły że teraz ciało majora niebezpiecznie rozpiera uniform. Alkohol też nie pomógł jego wyglądowi. W trakcie służby major - jak wielu innych żołnierzy Imperium - stopniowo przesuwiał porę pierwszej wieczornej szklaneczki dżinu na coraz wcześniejszą godzinę. Odkąd przeniesiono go z armii do służby dyplomatycznej, ta pora regularnie nadchodziła około dziewiątej rano.

- Kochany chłopiec - powtarza major. Rozpina guzik i uwalnia tłuste podgardle z krępujących je więzów ciasnego kołnierzyka. - Przeprowadzili cię do mnie. - Upojony szczęściem chwili, macha rękami niczym szalony dyrygent i zmierza w stronę Prana.

Wobec takiego obrotu spraw taktowniej będzie teraz, zająć się bliżej historią i geografią księstwa Fatehpur, tematem fascynującym, który w dużym stopniu umknął uwadze uczonych Pendżabu. Księstwo zajmuje wąski pas ziemi długości dwustu i szerokości około sześćdziesięciu mil. Większość jego powierzchni to pola uprawne, choć we wschodniej części stopniowo przechodzą one w poszarpaną skalistą równinę. Na południowym wschodzie, niedaleko Grand Trunk Road, leżą bagniste tereny usiane niewielkimi jeziorami, obfitujące w rozmaite gatunki ptaków. Uznane kiedyś za najmniej produktywną część księstwa, jeziora Fatehpuru odgrywają obecnie decydującą rolę w jego życiu politycznym i społecznym. Istnienie takich wymarzonych terenów łowieckich sprawia, że rozmiłowani w strzelaniu brytyjscy oficjele i inne użyteczne dla księstwa osobistości gorliwie starają się wydebić zaproszenie na polowanie. Z oczywistych względów zaproszenia o wiele łatwiej dostają ci, z których Fatehpur ma jakiś pożytek. W gabinetach zastępcy gubernatora, agencji stanu Pendżab i innych tego typu instytucji wiadomo o tym doskonale, choć nikt tego głośno nie mówi.

Głównym skupiskiem ludności Fatehpuru jest miasto Fatehpur. Mimo iż położone w pewnej odległości od szlaku handlowego Grand Trunk Road, który przebiega na południe od

granic księstwa i łączy odległą Kalkutę z Peszawarem, Fatehpur czerpie korzyści z tej lokalizacji. Miejscowi tkacze wymyślili kiedyś szczególny rodzaj bawełnianego materiału w kratę, który upowszechnił się w całych północnych Indiach. Konkurencja w postaci materiałów z fabryk Manchesteru zniszczyła miejscowe tkactwo, lecz Fatehpur nadal tętni życiem. Reszta poddanych nababa, mieszanka muzułmanów, sikhów i hindusów, zamieszkuje liczne małe wioski. Ich majątek jest znaczny, przynajmniej w porównaniu z wieśniakami w mniej fortunnych miejscach, na przykład w dotkniętym klęską głodu Biharze czy nawiedzonym powodzią wschodnim Bengalu. Dzięki takim warunkom kolejni nababowie mogli nakładać na poddanych wysokie podatki bez groźby utraty ich umiarkowanej życzliwości.

Choć rodzina panująca wywodzi się od założycieli Fatehpuru, księstwo powstało zaledwie dwieście lat temu. Na ziemi, gdzie liczni radżpucy władcy mogą pochwalić się rodowodem sięgającym zamierzchłych czasów i rządzą tym samym terytorium od tysiąca lub więcej lat, ten fakt czyni z monarchów Fatehpuru śmiechu wartych parweniuszy.

Wczesne lata królestwa spowija mrok. Wiadomo jednak, że tysiąc sto dwadzieścia dwa lata po ucieczce proroka Mahometa z Mekki do Medyny i mniej więcej dwa lata po śmierci Wielkiego Zdobywcy, cesarza Alamgira, jeden z pomniejszych mogolskich generałów Ala-u-din Khan znalazł się pośród wzgórz Pendżabu na czele oddziału konnicy. Padłszy ofiarą dworskiej intrygi w Delhi, został wysłany z misją spacyfikowania sikhów, którzy mimo różnorodnych metod perswazji, z torturowaniem i ścięciem ich dziewiątego guru włącznie, z niezrozumiałych powodów ciągle odmawiali przejścia na islam i uznania władzy Mogolów.

Przemierzając konno wzgórza, generał Ala-u-din doszedł do wniosku, że stracił upodobanie do wojaczki. Z natury dyplomata, w gruncie rzeczy nigdy nie lubił walczyć i swój udział w zbrojnych starciach ograniczał do minimum. Przychodziło mu to tym łatwiej, że po śmierci władcy zapanował chaos. Przestały napływać rozkazy. I posiłki. Chodziły słuchy, że w Delhi trwa bezpardonowa walka o władzę, a armia w Pendżabie już dawno poszła w rozsypkę. Pozbawiony kontaktu z resztą dowódców, Ala-u-din ograniczył się do sporadycznych potyczek i napadów na karawany. Przez kilka miesięcy on i jego ludzie zadowalali się wędrówką po żyznych okolicach i uwalnianiem wieśniaków od zapasów ziarna oraz żywego inwentarza.

To było zdrowe życie na świeżym powietrzu. Bez trudu można sobie wyobrazić, że generała - podobnie jak wiele pokoleń brytyjskich żołnierzy po nim - cieszyły rześkie poranki w Pendżabie i obfitość zwierzyny. Tego dnia, gdy uświadomił sobie, że wojna przestała go bawić, natknął się na chatkę mędrca. Święty mąż pobłogosławił go, zaprosił do środka i powiedział, że jeśli generał nie ma ochoty dłużej wojować i nie chce brać udziału w orgii zdrad i trucicielstwa w Delhi, powinien założyć własne księstwo. Plan wydawał się rozsądny. Pełen

nadziei Ala-u-din Khan zrównał więc z ziemią chatkę świętego i nazwał to miejsce Fatehpur („miasto zwycięstwa”), ogłaszając się jego pierwszym nababem.

Początkowe stulecie istnienia Fatehpuru było bardzo burzliwe. Położenie królestwa - na tradycyjnym szlaku najazdów prowadzącym z Afganistanu - nie wróżyło nic dobrego. Jedynie ciężki haracz zapłacony perskiemu Nadir Szahowi, późniejszym afgańskim i sikhijskim łupieżcom, niedobitkom mogolskiej armii i Marathom, pozwolił nababom Fatehpuru utrzymać w stanie nienaruszonym, jeśli nie własną dumę, to chociaż terytorium. Kiedy w 1876 roku królową Wiktorię ogłaszano cesarzową Indii, jedenasty nabab Fatehpuru wziął udział w uroczystościach i zapewnił swemu państewku dowód uznania w formie jedenastu salw armatnich oraz zapewnienia, że odtąd jego następcy będą zajmować miejsce blisko szczytu ogromnego stołu, przy którym zasiadają ważne osobistości podczas wszystkich oficjalnych wydarzeń w Indiach Brytyjskich, od najskromniejszej herbatki w departamencie zdrowia po wzniosłą imperialną audiencję.

W tych dniach, gdy nabab Fatehpuru przybywa na terytorium znajdujące się pod bezpośrednią jurysdykcją Brytyjczyków (kilka mil w górę traktu) lub do innych księstw, posyła naprzód służbę, by dopilnował wystrzelenia jedenastu salw. Bez salw nie ma wizyty. Jakkolwiek prawdziwy to zaszczyt, nabab Murad nie potrafi zapomnieć, że daleko mniejszy niż dwadzieścia jeden salw na cześć bajecznie bogatego i znakomitego nizama Hyderabadu, choć miło pomyśleć, że więcej niż dziewięć należnych nababowi Loharu, sąsiedniego mużułmańskiego księstwa, z którym nabab Murad prowadzi szlachetną rywalizację.

Budowa Nowego Pałacu, położonego w pewnej odległości od dzisiejszego miasta Fatehpur, była najbardziej ambitnym przedsięwzięciem dynastii Khanów. Khanowie odpowiadają również za brytyjską obecność w księstwie. „Kolosalne i szaleńcze” wydatki, jakie pochłonęła budowa (tych określeń użył sir Percival Montcrieff, pierwszy rezydent), nasunęły brytyjskim urzędnikom radosne przypuszczenie, że nababowie Fatehpuru wkrótce okażą się niezdolni do sprawowania władzy i tym samym dadzą im pretekst do aneksji księstwa „dla dobra ludu”. I tak, trzynasty nabab został zmuszony do zaakceptowania stałego nadzoru administracyjnego, który od tego czasu trwa nieprzerwanie. Choć oficjalnie nabab Murad nadal jest władcą, nie może nawet zawiązać sobie sznurowadeł bez zgody przedstawiciela Korony - majora Privett-Clampe'a. Major ma prawo założyć weto przeciwko wizytom nababa w Europie, powstrzymać wydatki na nowe auta, meble, klejnoty, konie do gry w polo czy samolot w imię realizacji nieefektywnych pomysłów brytyjskiej administracji w rodzaju aprowizacji szpitala czy stałego zaopatrywania wioski Fatehpuru w wodę pitną. Nie można lekceważyć opinii majora. Jedno jego słowo, jeden rozkaz grozi poważnymi następstwami ze zmianą

sukcesji włącznie. Major Privett-Clampe to naprawdę potężny człowiek.

Szczęśliwie dla Prana asha przytępia zmysły. Choć doznanie jest przykre - jakby ktoś wbijał mu młotkiem kłodę w siedzenie - przychodzi z oddalenia. Informacje o bólu napływają do mózgu niczym kartki z wakacji. Krótkie, spóźnione i miłosiernie skrywające prawdziwe uczucia nadawcy. Z głową wciśniętą w przykurzoną pościel Pran nie widzi purpurowej twarzy mężczyzny, który mozoli się za jego plecami. Lecz jego świadomość rejestruje fakt, że w rytm posuwistych ruchów następuje miarowy płask pośladek i kolejny głośny okrzyk. W miarę jak podniecenie majora rośnie, myśliwskie nawoływanie „tally-ho!” ustępuje miejsca komendzie: „Dawaj-dawaj!”, czemu wtórują trzaski i skrzypienie łoża, walczącego o zachowanie własnej integralności.

Niektórzy mogą odczuwać pokusę, by widzieć w tym przede wszystkim sprawę polityczną. To przecież pierwszy osobisty kontakt Prana z machiną rządów Imperium. Sadyści, matki mimozowatych dziewcząt służących albo ludzie o mściwej naturze będą woleli nazwać to kosmiczną sprawiedliwością. Powszechnie uważa się, że nasze postępowanie w obecnym życiu przynosi owoce dopiero w życiu następnym. To swoisty niezawodny inkarnacyjny system punktacji karmicznej, który decyduje o naszym miejscu w ewolucyjnej tabeli i albo strąca nas ku pozycjom zamiatacza ulic, psa czy ryby, albo winduje ku braminizmowi i ostatecznie ku wyzwoleniu z cyklu działania i cierpienia. W przypadku Prana procedura uległa nadzwyczajnemu przyspieszeniu.

Pijany, niemłody, o słabym sercu i z chroniczną zadyszka, major Privett-Clampe nie jest tytanem seksu. Dlatego od czasu do czasu potrzebuje chwili wytchnienia. W trakcie jednej z takich przerw Pran odwraca się i widzi, jak w jednorodnej ciemności przeciwległej ściany pokoju chińskiego pojawia się wyłom. Po chwili przez powstałą szparę wsuwa się do środka najpierw obiektyw aparatu fotograficznego, a za nim ręka z małą metalową rynienką ze sproszkowanym magnezem. Zgodnie z oczekiwaniami major postanawia wznowić operację, ale obficie zlany potem wykonuje nagły manewr taktyczny. Wyswobodziwszy się z munduru, rzuca go w odległy kąt z grzmiącym okrzykiem: „View halloo!”. W chwili gdy fotograf właśnie szykuje się do zrobienia zdjęcia, widok przesłania mu fruwający mundur majora. Zaskoczony mężczyzna traci równowagę i spada ze stołka, rozsypując proszek na ubranie.

Chłodny powiew wokół pach stanowi podniecie, jakiej major potrzebuje, by dokończyć dzieła. Dochodzi z okrzykiem mrozącym krew w żyłach. W miarę jak cichnie burza hormonów, zaczyna krytycznie oceniać sytuację. Co on, u licha, wyprawia? Niepewność prowadzi do

wyrzutów sumienia, wyrzuty sumienia do poczucia winy, a poczucie winy do paniki. Major Privett-Clampe zapina guziki najszybciej, jak potrafi, i nakazuje sobie odwrót z pola bitwy. Jako człowiek dobrze wychowany postanawia, już wychodząc, uczynić jakiś gest pod adresem swego partnera. Serdeczny uścisk ręki byłby jednak nie na miejscu.

- Dobra robota, chłopcze! - woła burkliwie. - Tak trzymać!

Gdy za majorem zamykają się drzwi, z otworu w przeciwległej ścianie bucha oślepiający blask, który rozświetla ciemności niczym nocny ogień artyleryjski okopy. Obraz fotografa desperacko próbującego zrzucić z siebie płonące ubranie przykrywa zaraz dym, który spowija też Prana szarą gryzącą chmurą.

*

W miarę jak asha przestaje działać, Pran czuje coraz większą odrazę. Oszołomiony i obolały leży na łożu, usiłując otoczyć się pancerzem i odciąć od tego, co właśnie zaszło. Po jakimś czasie wyrywają go z otumanienia dwaj hidźrowie i prowadzą z powrotem do zenany, gdzie fotograf z dziurą wypaloną w ubraniu na wysokości klatki piersiowej klóci się z diwanem.

- Ty partaczu! - Diwan pieni się ze złości. - I co my teraz zrobimy?

- Nic nie widział - rzuca warkliwie fotograf i ostrożnie gładzi osmaloną brodę. - Jestem pewien. Poza tym chłopiec mu się podobał. Powiemy Flowersowi, żeby znowu go przyprowadził.

Khwaja-sara krąży wokół i ucisza klótników. Pran wchodzi za swoimi przewodnikami do ciasnej alkowy, gdzie rzuca się na nędzne łóżko i zapada w niespokojny sen. W przeblyskach świadomości próbuje zrozumieć, co go spotkało. Jakim zrzędzeniem losu wyniosły syn trafił z dachu rezydencji swego ojca do nędznej alkowy w Fatehpurze? Niczym mały chłopiec wkłada rękę między uda. W tej chwili przynajmniej ta część jego ciała jest bezpieczna. Co do reszty, nie ma najmniejszej pewności.

Następnego ranka hidźrowie znajdują mu zajęcie. Pran zaczyna od zamiętania podłóg. Brzeg niewygodnego sari ciągnie mu się po ziemi, czoli podjeżdża wysoko, odsłaniając plecy i linię kręgosłupa. Potem poleruje mosiądze, szoruje garnki, wybiera kamyki z ryżu. Nigdy dotąd nie zamiatął podłogi. Nigdy dotąd nie szorował garnków. Stopy, które masuje (stopy hidźry ze srebrnymi łańcuszkami i długimi szponiastymi paznokciami), przypominają każdym poruszeniem, że całe jego życie stanęło na głowie. Dławiony wstydem, Pran jest tak wstrząśnięty, że nie potrafi się skarżyć. Z każdym machnięciem miotły Pran Nath Razdan rozplywa się, niknie, a jego miejsce zajmuje cicha i uległa Rukhsana.

Każdego dnia Pran spodziewa się ponownego wezwania do chińskiego pokoju. Nic takiego jednak nie następuje i w ciągu kolejnych tygodni jego życie ogranicza się do ciasnych i zatłoczonych pomieszczeń dla eunuchów. Nie ma wstępu ani do mardany, skrzydła pałacu przeznaczonego dla mężczyzn, ani do zenany, ściśle kobiecych kwater. Jako Rukhsana krąży pomiędzy światami.

Po drugiej stronie różowego portyku leży raj kobiet i szemrzącej wody. Mieszka ich tam setka, od staruch po niemowlęta płci żeńskiej. Niektóre z kobiet to żony i konkubiny nababa. Inne to pokojówki albo służące, potomkinie kobiet przybyłych do Fatehpuru jako część wiana, urodzone tu i stanowiące własność nababa. Nieliczne są żonami dworzan, lecz wołały życie w zenanie niż za murami pałacu. Są i takie, które znalazły się tu z racji szeroko pojętych

rodziny zobowiązań. Wdowy, dalekie kuzynki, dawno zapomniane ciotki ściągną do pałacu, by dożyć swoich dni w komnatach wokół chłodnego dziedzińca zenany. Pokojówki biegają za swoimi paniami, a hidźrowie za wszystkimi. Tuż przy zenanie żyje mrowie służących, strażników, szpiegów, moralistów, pochlebców i rozjemców gotowych na każde skinienie swoich pań. Ich falset przecina powietrze niczym ostrze nożyczek tkaninę.

Mija czas. Nocą Pran leży z szeroko otwartymi oczami w swojej maleńkiej alkwie bez drzwi obok sypialni Khwaja-sary i snuje plany ucieczki. Nie wie jednak, od czego zacząć. Jego sytuacja wydaje się beznadziejna. Po północy dobiega jego uszu cienkie pochrapywanie starszego eunucha. Miarowy jamb świstów i rżenia szarpie mu nerwy i nie pozwala jasno myśleć. Dokąd pójść, gdyby ucieczka się udała? Musiałby przemierzać kraj bez przyjaciół i bez pieniędzy. Jaką ma gwarancję, że gdzie indziej będzie lepiej niż tutaj? Każdej nocy myśli Prana w martwej ciszy Fatehpuru krążyć wokół tego samego niczym młynek modlitewny.

Pałacowe wnętrza pulsują melancholią. Melancholia promieniuje z serca pałacu, z zenany gdzie rytm życia wyznaczają wizyty nababa. Nieregularne i niespodziewane, zawsze przebiegają wedle tego samego wzorca. Pierwszą oznaką wielkiego wydarzenia jest posłaniec, który wpada na dziedziniec w kwaterach hidźrów. Z miejsca ktoś pędzi bić w gong do salki na piętrze, skąd przez okratowane okno widać dziedziniec prowadzący ku zenanie. Wkrótce niewielkie pomieszczenie rozbrzmiewa donośnym dźwiękiem i działając niczym rezonator, wysyła mieszkankom zenany sygnał do rozpoczęcia gorączkowych przygotowań. Z chwilą pojawienia się samego nababa w otoczeniu paru czobdarów i straży przybocznej gwar cichnie.

Pran dyskretnie zerka wtedy przez kratę w pokoju z gongiem. Szczupły mężczyzna w bogatych szatach nie wygląda na władcę. Jedwabie, wysadzone klejnotami pantofle z Dżodhpuru, sznury pereł i pierścienie z kamieniami wielkości jajka wydają się raczej częściami składowymi wyjątkowo kosztownego stroju niż rzeczywistymi oznakami władzy. Straż przyboczna jeszcze pogłębia to wrażenie. Zgraja potężnie zbudowanych Pathanów z brodami barwionymi henną góruje nad nababem i czyni go jeszcze drobniejszym. Kiedy ich pan jest w środku, Pathanowie pełnią wartę u wejścia. Drapiąc się, puszczaają oko do hidźrów, którzy nie zostają im dłużni.

Po wyjściu z zenany nabab jeszcze mniej przypomina władcę. Nigdy nie bawi tam długo i zazwyczaj wraca prawie biegiem, jakby ktoś go stamtąd wyrzucił. Na jego znękanej twarzy maluje się wtedy smutek i troska. To wyraz twarzy mężczyzny, który nie stanął na wysokości zadania. Gdy Pathanowie trącają się znacząco łokciami, a hidźrowie wbijają wzrok

w podłogę, atmosfera przygnębienia w pałacu gęstnieje.

Pran traci nadzieję. Tkwi w sidłach Fatehpuru. Nie w jego sercu, lecz we wnętrznościach, niczym kamień żółciowy albo coś połkniętego przez pomyłkę. Jest sam, wykorzeniony, jego los nikogo nie obchodzi. Na wieść, że wieczorem Flowers znów przyprowadzi majora do chińskiego pokoju, rozbija lustro i jednym z odłamków głęboko przecina nadgarstek.

Ktoś słyszy brzęk szkła. Wkrótce Prana otacza grupka hidźrów. Opatrują mu ranę, poją gorącą herbatą. Przez moment Pran ma nadzieję, że położą go do łóżka albo zabiorą do medyka. Niestety, wloką go do chińskiego pokoju, gdzie jak przedtem Flowers wprowadza majora Privett-Clampe'a i zamyka za sobą drzwi. Gdy leżący na łożu Pran toczy wokół nieprzytomnym spojrzeniem, pijany major idzie ku niemu chwiejnym krokiem, bełkocze: „Mój śliczny chłopiec”, krzywi się i pada jak kłoda na ziemię. W pokoju zalega grobowa cisza. Wdzięczny losowi Pran traci przytomność. Powraca do rzeczywistości pod wpływem krzyków fotografa, który z głową w otworze ściennym każe zdjąć majorowi spodnie. Przebudzony hałasem major dostrzega fotografa, zanim ten zdążył zamknąć otwór. Zaskoczony sytuacją, nie pamiętając, gdzie jest, Privett-Clampe szuka po omacku klamki i wytacza się na korytarz, który omyłkowo bierze za wychodek. Ulżywszy sobie, parę minut później wyrusza na poszukiwanie swojego kierowcy.

Następnego dnia Flowers donosi, że major nie pamięta żadnych szczegółów minionego wieczoru. Siedział jednak w biurze przy opuszczonych żaluzjach i wyszedł stamtąd tylko raz, by poprosić Flowersa na długą rozmowę o konieczności zachowania bezwzględnej dyskrecji przy żonie. Flowers uważa, że obecny stan ducha majora nie pozwala na proponowanie kolejnego rendez-vous.

Pran może chwilowo odetchnąć. Hidźrowie zaczęli traktować go lepiej, co prawdopodobnie należy przypisać jego próbie samobójczej. Odzywają się łagodnie, pozwalają brać udział w niektórych wydarzeniach w życiu zenany. Pran może spacerować po dachu. Pomaga przygotowywać kąpiel dla księżnej. Ustawia srebrne naczynia z olejkami, loty wypełnione wywarami z ziół, kosz z perfumowanym węglem, nad którym pani będzie suszyć włosy. Pewnego popołudnia zezwalają mu nawet wyjść z pałacu. Okazją po temu staje się obowiązek budzący największe przerażenie hidźrów: eskortowanie zenany podczas wycieczki.

Przed głównym wejściem stoi sznur rolls-royce'ów. Szoferzy czekają wyprostowani w liberiach z szarej serży obszywanej fatehpurskim różem. Panie i ich służki wsiadają do pierwszych sześciu aut o przesłoniętych oknach, by ściśle reguły pardy były przestrzegane nawet w trakcie jazdy. Kufarki, plecione koszyki, sprzęt do badmintonu i eunuchy tłoczą się w następnych czterech limuzynach. Kiedy już dla wszystkich i wszystkiego znajdzie się miejsce, a hidźrowie przyniosą pozostawione w pałacu grzebienie, ozdoby, lekarstwa i szale, kawalkada uroczyście rusza naprzód.

Celem podróży jest cichy brzeg rzeki otoczony drzewami. Po przyjeździe na miejsce mieszkanki zenany wyskakują z aut niczym żołnierze piechoty z eszelonu i w ciągu kilku minut opanowują cały teren. Zawisa siatka do badmintonu, staje kolumna krzesełek i stolików, a formacje pudełek z prowiantem i dzbanków z herbatą krążą po reducie wzniesionej z koszyków. Kiedy oddział śmielszych kobiet wyrusza na przechadzkę, hidźrowie muszą biec na czele pochodu z gwizdkami i czerwonymi flagami, dając sygnał wieśniakom, by chylili głowy ku ziemi, gdy mijają ich pałacowe kobiety bez zasłon na twarzach. Jedno ukradkowe spojrzenie ma dla wieśniaka większą wartość niż jego życie. W trakcie przemarszów hidźrowie zwijają się jak w ukropie, lecz przez większą część dnia utrzymują jedynie ścisły kordon wokół sektora wyznaczonego dla zenany.

Pranowi jest dobrze nad rzeką. Płatanina pałacowych wnętrz rodzi w nim niepewność, wywołuje wciąż nowe uczucia i odcienie zagubienia. Wspomnienia z Agry zacierają się coraz bardziej. Pran z trudem wyobraża sobie życie poza Fatehpurem. Nad rzeką w nieunikniony sposób powraca myśl o ucieczce, lecz coś w miejscowym krajobrazie czyni ten pomysł absurdalnym. Łatwiej myśleć o terażniejszości. Łatwiej leżeć na brzegu i obserwować pałacowe kobiety.

Mijają godziny. Pran zauważa, że w zenanie istnieją dwie wyraźnie różniące się od siebie frakcje. Pierwsza składa się głównie z młodych kobiet, miłośniczek badmintonu, skupionych wokół jednej z młodszych konkubin nababa. Do drugiej należą starsze kobiety. Zgromadzone przy bufecie, wybierają co lepsze kąski i plotkują pół-szeptem. W powietrzu wyczuwa się atmosferę wzajemnej wrogości. Jedna z dziewcząt, która przyszła po herbatę, nagle pada z filiżanką jak długa. Jej zajęte grą przyjaciółki biegną z odsieczą i oskarżają starsze kobiety o podstawienie dziewczynie nogi. Przez chwilę sytuacja wygląda groźnie, ale hidźrom udaje się rozdzielić zwaśnione strony. Pran jest zdezorientowany. Dopiero Yasmin, najmłodszy z pałacowych hidźrów, udziela mu wyjaśnień. I wtedy mnóstwo innych spraw związanych z życiem w Fatehpurze staje się dla Prana zrozumiałych.

- Dzieci - szepcze Yasmin. - Synowie. A co innego? Nabab odwiedza zenaną, ale nic mu

nie wychodzi. Starsze kobiety twierdzą, że to wina młodszych. Młodsze zwalają winę na niego. Czasem nabab wpada we wściekłość, ale i to mu nie pomaga, (ego ojciec zmarł prawie dziesięć lat temu, a Fatehpur ciągle nie ma następcy.

- Co się stanie, jeśli umrze, nie mając syna?

- Tron przejdzie na jego brata. Wtedy Firoz zbuduje hotele, kolej, lotnisko i kino i ustanowi prawo, że wszyscy muszą chodzić w spodniach i wierzyć w nowoczesność. - Yasmin wygląda na podnieconego taką perspektywą, ale powściąga swój entuzjazm. - Źle się stanie - dodaje uroczystym tonem. - Firoz kocha tylko te rzeczy, które przysyłają z Europy w skrzyniach. Jeśli zostanie nababem, wyda majątek na to wszystko, a piękna tradycja Fatehpuru zginie bezpowrotnie.

- Czy nabab nie może wyznaczyć kogoś innego na swojego następcę?

- Jest chłopiec, którego chce adoptować, ale żeby to zrobić, musi mieć zgodę Brytyjczyków. A oni go nie lubią. Mówią o nim, że jest przeciwko ich rządowi, że chce stworzyć muzułmański kalifat i zabić wszystkich niewiernych.

- A chce?

- Jasne. Brytyjczycy wolą Firoza, bo nosi krawat i obiecał, że pozwoli im zbudować fabryki.

A zatem major Privett-Clampe może zdecydować o losach sukcesji. Wszystko staje się jasne.

Pstryk, pstryk.

*

W następnych tygodniach Pran musi polegać na własnym rozumie. Stopniowo pałacowa polityka przestaje być dla niego tajemnicą. Księżę Firoz otacza się coraz to nowymi, licznymi Europejczykami. Czasem jego gośćmi bywają brytyjscy urzędnicy, najczęściej jednak są to playboye i wyzwolone kobiety, towarzystwo biorące udział w nieustającym party w komnatach księcia. Trudno sobie wyobrazić większe przeciwieństwo frakcji Firoza niż frakcja nababa. Władca i jego zwolennicy żyją modlitwą i prowadzą przyciszone rozmowy o Mahdim, który pewnego dnia zrobi porządek z wszystkimi wrogami islamu i rozpędzi ich na cztery wiatry. Toczą dyskusje o świętych miejscach pielgrzymek na Środkowym Wschodzie i wstąpieniu na tron Amira Amanullaha w Afganistanie. Wieczorami muzyka jazzowa z gramofonu konkuruje z nawoływaniem muezina. Atmosfera gęstnieje, a hidźrowie wykonują swoje obowiązki z nisko spuszczonej głowami, pełni obaw o przyszłość.

I wtedy Flowers przesyła wiadomość, że Privett-Clampe ma ochotę na ponowne spotkanie z Pranem. Ku przerażeniu spiskowców major nie chce jednak przyjść do chińskiego pokoju. Życzy sobie, by chłopca przywieziono do jego rezydencji. Teren rezydencji jest strzeżony. Nie ma czasu na układanie nowego planu. Khwaja-sara niechętnie pakuje Prana do jednej z limuzyn nababa, syczy mu na ucho, że ma robić wszystko, co major mu każe, a potem zdać dokładną relację. Tym razem nie będzie żadnych zdjęć.

Siedziba majora leży w pewnej odległości od murów miasta. Jak na szacownego reprezentanta Korony przystało, major Privett-Clampe mieszka w godnych warunkach. Na paru akrach ziemi, z oddaniem podlewanej przez armię ogrodników i obsadzonej angielskimi kwiatami, stoi dwupiętrowy dom w stylu Tudorów. Wzniesiony na przełomie stuleci, przypomina wiejską rezydencję, przytulną i okazałą jednocześnie, którą gracz giełdowy albo właściciel nieźle prosperującej fabryki mógłby zbudować dla swojej nagle wzbogaconej rodziny. Gdzieś w zakamarkach tego domu, w jednym z licznych gabinetów używanych sporadycznie przez sekretarzy i młodszych urzędników, w bezpiecznej odległości od części domu nawiedzanej regularnie przez żonę, major Privett-Clampe zorganizował spotkanie ze swoim młodym gościem.

Prana wysadzają z samochodu w pewnej odległości od tylnego wejścia. Jeden z hidźrów prowadzi go do bocznych drzwi i puka. Odpowiada mu gardłowy głos. Major siedzi za biurkiem w rozchełstany mundurze, spod którego wystaje okrągły brzuch. Na głowie ma pomietą koronę z zielonej bibuły, pozostałość po religijnych uroczystościach obchodzonych tego dnia przez Brytyjczyków. Poci się obficie. Tania farbka spływa z bibuły i barwi mu czoło. Przed nim stoi kubek i w połowie pusta butelka miejscowej whisky (Highland Paddock,

wyprodukowana w Kalkucie przez słynnych braci Banerjich).

- Woda sodowa się skończyła - komunikuje, gdy hidżra zostawia ich samych.

Pran zastanawia się, czy ma po nią pójść. Wskazuje na drzwi. Major kręci przecząco głową.

- Nie, nie trzeba. Już i tak cholernie dużo wypilem. Pran stoi, oczekując w napięciu dalszego ciągu.

- Nie jestem złym człowiekiem - mówi major, ocierając swój kulfoniasty nos wierzchem dłoni. - Ani degeneratem. - Nagle wali pięścią w stół. - Na Boga! Jak ja mam z tobą rozmawiać?! W co oni cię ubrali?! Masz być chłopakiem, a nie jakąś przekłętą dziewczuchą!

Przez chwilę zbiera myśli.

- Jest w tobie coś z Anglika. To widać. Skąd... Nie, nie chcę wiedzieć. - Nalewa sobie kolejną porcję whisky. - Wesołych świąt - mówi. - Wesołych świąt - powtarza, jakby analizował znaczenie tych słów. Milknie na moment, po czym ku zaskoczeniu Prana oznajmia: - Mam dla ciebie prezent.

Na podniszczonym trzcinowym fotelu przy oknie leży spora paczka zawinięta w szary papier. Major niecierpliwie daje Pranowi znak, żeby ją rozpakował. W środku jest komplet angielskich ubrań: krótkie spodnie, biała bawełniana koszula, wełniane podkolanówki z podwiązkami do podtrzymywania. Prócz tego krawat i czapka, dosyć stare, w jednakowe niebiesko-bordowe prążki.

- Teraz przynajmniej nie będziesz wyglądać jak uciekinier z cyrku. Na co czekasz? Ubieraj się.

Kilka minut później Pran przypomina już angielskiego ucznia, tyle że bez butów. Gołe deski podłogi kłują w stopy. Ubranie leży jak ulał, choć kołnierzyk trochę uwiera.

- Dobrze - mruczy major. Oczy mu jaśnieją. - Bardzo dobrze. Koniec z tymi pogańskimi ciuchami. Wiesz, to były moje barwy. Barwy szkolne. Trzeba grać przynajmniej w jednej najlepszej drużynie, żeby zdobyć taki krawat. - Zawiesza głos dla większego efektu. - Ja grałem w czterech.

Pran kiwa głową na znak, że jest pod wrażeniem.

- To były dobre czasy - ciągnie major. - Wspaniałe czasy. Chciało się żyć. Stój prosto!

Pran prostuje się i zastanawia, dokąd to wszystko prowadzi. Privett-Clampe drżącą ręką nalewa sobie kolejną porcję, jeszcze większą niż poprzednia. Krople whisky padają na blat obciążony zniszczonym marokinem.

- W twoich żyłach płynie trochę krwi białego - major wraca do przerwanej wątku, machając kubkiem w stronę Prana. - Więcej niż trochę, to pewne. Trening pomoże ci to

zrozumieć. Chodzi o to, mój chłopcze, że musisz się nauczyć jej słuchać. Ona woła do ciebie, przebija się przez hinduską krew, wzywa, żebyś wyrabiał swoją stanowczość. Jeśli posłuchasz jej głosu, dobrze na tym wyjdiesz.

Majorowi przypada do gustu ta idea. Klnąc pod nosem i mruczając, przetrząsa biurko, wreszcie wstaje i sięga ku półce z książkami. Opierając się o ścianę dla zachowania równowagi, znajduje to, czego szukał: cienki tomik w niebieskiej oprawie. Podaje go Pranowi.

- Czytaj. Strona sto dwudziesta szósta.

Z głębokim westchnieniem opada z powrotem na krzesło. Książka okazuje się zbiorem wierszy. Jest podniszczona i poplamiona atramentem. Wygląda jak wypisy szkolne, należące do tej samej fazy życia majora co czapka i krawat. Pran otwiera ją na wskazanej stronie i zaczyna czytać na głos.

The boy stood on the burning deck

Whence all but he had fled...

Privett-Clampe prycha gniewnie.

- Whence, nie vence, gamoniu! Jeszcze raz!

Tec boy stood on the burning deck

Whence all but he had fled...

- Nie! Stój prosto, chłopcze! I mów tak, jakby to była prawda. Właśnie o to mi chodzi. Musisz umieć słuchać, chłopcze! Słuchać głosu własnej krwi!

The boy stood on the burning deck

Whence all but he had fled;

The flame that lit the battle's wreck

Shone round him o'er the dead.

- Boże, ratuj! O'er, nie oh-ear! Jeszcze raz!

Recytacja trwa. Pran zaczyna, major przerywa mu krzykiem, Pran zaczyna od nowa, major znów krzyczy. Stopniowo Pran pojmuje, co to znaczy mówić „dobitnie” i „z pasją”. W

każdą kolejną zwrotkę wkłada coraz więcej żaru, coraz więcej serca, aż dobitność i pasja jego recytacji poruszają tak bardzo, że z piersi majora wyrywa się okrzyk „tally-ho!”. Upchnięty pod blatem biurka jęczy, unosząc się i opadając na obrotowym krześle. Gdy Pran kończy ostatnią strofę, major bezwładnie osuwa się na krzesło z nieobecnym wyrazem twarzy znaczonej zielonymi smugami.

- Możesz już iść - rzuca. - Dobra robota, mój chłopcze. Tak trzymać!

- Poezja? - obrusza się diwan. - Co ten dzieciak plecie? Jaka poezja?

- The boy stood... - zaczyna Pran.

Diwan wali pięścią w stół. Tonące w półmroku barokowego pokoju lustra ślą złowrogie błyski.

- To twoja wina! - ruga fotografa. - To było proste zadanie.

- Moja?! To wina tego dzieciaka. Za mało się stara. Co ze sztuczkami, których wyuczył się w Agrze? Właściciele burdeli uczą ich tam, co robić z językiem. Tak mi przynajmniej mówiono. Może gdyby spróbował tego...

- Nie możemy wziąć innego chłopca? Przecież widać, że ten się nie nadaje.

- Ale majorowi się podoba - wtrąca Flowers, dotąd przysłuchujący się rozmowie z głową ciężko wspartą na rękach.

- Więc czemu się do niego nie dobrał?

- A skąd ja mam to wiedzieć?! Major nie mówi mi o takich rzeczach. Wiem tylko, że chłopiec ma przychodzić raz w tygodniu. Ten stary hipokryta miał czelność powiedzieć, że chce doskonalić jego umysł.

- Umysł?

- Tak powiedział. Zrobił się bardzo podejrzliwy. Wczoraj przy wszystkich nazwał mnie degeneratem. Moja kariera wisi na włosku.

Nikt nie wydaje się zbyt przejęty Flowersem i jego karierą. Khwaja-sara jest praktyczny.

- Przynajmniej możemy znaleźć jakieś miejsce na aparat w jego gabinecie.

- A może napisać list? - proponuje zdenerwowany fotograf. - Czy to by nie wystarczyło?

- Musimy mieć zdjęcie - ucina diwan. - To jedyna rzecz, w jaką wierzą ci Angrezi.

I tak zaczynają się cotygodniowe wizyty Prana u majora Privett-Clampe'a. Pran wdziewa wtedy szkolny mundurek, deklamuje wiersze i obserwuje harce gospodarza pod biurkiem. Deklamuje dobitnie i żarliwie. Za każdym razem słyszy od majora zachętę: „Tak trzymać!”. Stopniowo jego angielski akcent staje się coraz lepszy. Pran uczy się porywających fragmentów dzieł wiktoriańskich poetów o męstwie i świętym obowiązku dotrzymywania słowa. Poezja rozczarowuje go swoją napuszoną apoteozą przemocy i ciężkim rytmem, ale ponieważ Pran domyśla się, że ma ona jakiś związek ze znaczeniem Privett-Clampe'a i Brytyjczyków w ogólności, pilnie się w nią wsluchuje z nadzieją zgłębienia jej sekretu.

Tymczasem spiskowcy usiłują znaleźć sposób na przemycenie fotografa do rezydencji. Ale kiedy jeden z psów majorowej Privett-Clampe dopada go w rabatkach swojej pani, fotograf stanowczo odmawia kolejnych prób. Przekonuje swoich współników, że skoro major (którego wedle słów Flowersa zżera poczucie winy za pijackie ekscesy) nigdy nie dotyka Prana, a tylko dokazuje na krześle do wtóru myśliwskich okrzyków, to nie ma co fotografować. Ich plan i tak wziął w łeb.

*

Życie w pałacu toczy się swoim rytmem. Nabab ciągle składa wizyty w zenanie i opuszcza ją chyłkiem, zatroskany i przybity. Ożywia się tylko wtedy, gdy dosiada swojej ulubionej białej klaczy i wyrusza na jedną z częstych parad na placu w Fatehpurze. W dni parad rażno komenderuje swoimi podwładnymi, dumnie macha batem i stąpa sprężystym krokiem. Nabab kocha swoją niewielką armię. Nie skąpi grosza na ćwiczenia, a od czasu do czasu sam wprowadza zmiany w umundurowaniu. Niewielkie - tu galon, tam lampas, ale krawcy w Kalkucie dwa razy do roku otrzymują zamówienie na nową dostawę mundurów dla Fatehpuru. Nabab jest tak dumny ze swoich żołnierzy, że kiedy w Europie wybuchła wojna, zapomniał o własnej niechęci do Brytyjczyków i obstawał przy wysłaniu armii Fatehpuru do Francji. Jego entuzjazm szybko osłabł. Na wieść, że kawalerzyści będą musieli zsiąść z koni i walczyć w okopach, a co gorsza włożyć jednolite mundury khaki, wycofał ofertę. W rezultacie siły zbrojne Fatehpuru nigdy nie wzięły udziału w walce. To także kwestia tradycji. Władcy Fatehpuru zawsze przedkładali dyplomację nad przemoc. Niedawno zakończona wielka wojna o cywilizację ominęła księstwo ku wielkiemu żalowi majora Privett-Clampe'a. Wkład nababa w wysiłek wojenny ograniczył się do jednorazowego daru: trzech starych rolls-royce'ów, które według niego mogły być przydatne do transportowania żołnierzy.

Aby nie dać się przyćmić wojskowym parodom starszego brata, książę Firoz organizuje własne widowiska. W innych okolicznościach spędziłby większą część roku w Europie, lecz wojna i restrykcyjna polityka finansowa majora Privett-Clampe'a zmuszają go do pozostania w Indiach. Firoz nie posiada się ze złości, ale robi dobrą minę do złej gry. Oznajmił z przekazem, że skoro Mahomet nie może pojechać na

Riwierę, Riwiera musi przyjechać do Mahometa. Wygląda na to, że jego gościom odpowiada zmiana scenerii. Parę lat wcześniej Firoz urządził swoje komnaty w modnym wówczas stylu Art Nouveau. Teraz śmigają po nich rozbawione cyklistki i gra się w lacrosse, co w naturalny sposób czyni spustoszenie we wnętrzach i nieuchronnie prowadzi do burzliwego spotkania z majorem Privett-Clampe'em, który odrzuca prośbę o zwiększenie funduszy na nowy wystrój książęcych komnat.

Choć Firoz przewyższa brata rozrzutnością, to on jest niekwestionowanym faworytem brytyjskich urzędników. Nabab, mimo samochodów, poezji i mundurów, pozostaje mogolskim księciem, typem tradycyjnego władcy, który nie wykazuje wielkiego zainteresowania nawadnianiem, pomiarami kartograficznymi czy racjonalnym rozdziałem zasobów rolniczych. Dla brytyjskich autorów raportów z Fatehpuru jest oczywiste, że nabab woli jadać na podłodze z metalowej thali niż przy stole zastawionym elegancką miśnieńską porcelaną trzymaną w

pałacu na użytek gości. Dostrzegają w jego oczach pasję, gdy recytuje perskie dwuwiersze albo obraca w dłoniach perskie dzieło sztuki. Dobrze wiedzą, że w głębi serca uważa ich osiemdziesięcioletnie panowanie na jego ziemi za swoisty przerywnik, historyczny epizod rozgrywający się pod islamskim półksiężycem.

Firoz z kolei ma bzika na punkcie nowości. Choć cierpi na tym wrażliwość Brytyjczyków, bardziej nastrojonych na przeszłość niż przyszłość, czują, że postawa Firoza harmonizuje z duchem czasów, w jakich przyszło im żyć. Nic tak nie odzwierciedla nowoczesności księcia, jak prywatne kino, które zorganizował w mniejszej z dwóch sal balowych. Parę razy w tygodniu prowadzi brazylijskich karciarzy, amerykańskie aktorki, kierowców rajdowych, lotniczki i niewydarzonych młodszych synów do ciemnego pomieszczenia, gdzie szukając po omacku butelek z martini i rozlewając ich zawartość dookoła, oglądają komedie Macka Sennetta. Kiedy kolejny tort łąduje na twarzy Fatty Arbuckle'a, a Carol czy Clara udają, że nic nie wiedzą o cudzej ręce pod spódnicą, Firoz omiata wzrokiem ciemną salę i utwierdza się w przekonaniu, że nie jest zastraszonego tubylcem nieświadomym postępu na świecie.

W dniu, w którym goście grają w polo, tenisa i polują, jest jedna czynność, która brata przedstawicieli wszystkich pałacowych frakcji: od najbardziej sztywnego Anglika po zepsutego dandysa i od najzagorzalszego mogolskiego dworzanina po nieśmiałą dziedziczkę. Masakra łownego ptactwa nad jeziorami Fatehpuru przynosi ukojenie, jest skomplikowanym rytuałem wyciszającym gwałtowne emocje, które rządzą życiem w pałacowych murach, i zawsze dostarcza radosnych przeżyć. W tym wydarzeniu może nawet brać udział jedna, czasem dwie kobiety z zenany. Tym sposobem trafia na polowanie Pran, mając okazję po raz pierwszy przyjrzeć się słynnej pani majorowej Privett-Clampe.

Jak zwykle wszystkim rządzi protokół. Od żon rozmaitych osobistości fatehpurskiej polityki oczekuje się wspierania mężów w najbardziej koronkowej działalności: w budowaniu porozumienia. Właśnie dlatego - choć pani Privett-Clampe jest dwukrotną zwyciężczynią Annandale Ladies Cup i strzelała wszędzie, od Gilgit po Bharatpur - raz na jakiś czas musi znosić poniżenie wynikające z reguł pardy. Kobiece stanowisko strzeleckie jest usytuowane nad Sułtan Jheel, największym jeziorem w Fatehpurze, w sporej odległości od reszty stanowisk. Przed ciekawskim wzrokiem (i kaczek, i ludzi) osłania je przemyślna kombinacja parawanów. Z zewnątrz wygląda zupełnie jak jedna z kęp wysokiej trzciny porastającej mokradła. Tymczasem jest równie dobrze zaopatrzona, jak inne królewskie stanowiska. Stoją tam płócienne krzeselka, paliki na wierzchnie okrycia i kapelusze, skrzynki pełne napojów oraz stół z przegródkami na naboje i śrut, a wszystko, by umilić i ułatwić poranne strzelanie. Zawilości

religii powodują pewne komplikacje. Z oczywistych względów pałacowi mężczyźni nie mogą zajmować się ładowaniem broni i przynoszeniem zdobyczy. Zastępują ich specjalnie przygotowane służące i gderliwi hidźrowie.

Dla Charlotte Privett-Clampe (zwanej Charlie) przebywanie w otoczeniu gromady facetów w sari jest zaledwie odrobinę łatwiejsze do zniesienia niż widok kobiet w spodniach dla jej ojca. Angielska kobieta w Indiach dźwiga na swoich barkach ciężkie brzemie, a pani Privett-Clampe nigdy nie uchylała się od odpowiedzialności, szczególnie gdy szło o dobro Misji Cywilizacyjnej Imperium. Kiedy całe towarzystwo dociera nad jeziora, gdzie następuje rozdział miejsc, majorowa nie ma pretensji, że mężczyźni z pozostałymi Europejkami idą przejść na swoje stanowiska, a jej mąż wypija przyjacielskiego łyka whisky z pułkownikiem kawalerii Hodsona. Zamiast tego zaciska zęby i próbuje nawiązać rozmowę z księżną Zią i Ami-ną, młodszymi żonami nababa. Żadna nie ma zdania na temat pogody. Żadna nie mówi językiem, który dałoby się nawet przy sporej dozie dobrej woli uznać za angielski. Pani Privett-Clampe obawia się, że czeka ją bardzo długi dzień.

Surowa memsahib w średnim wieku, sadząca wielkimi krokami w asyście dwóch kobiet z pałacu, napawa Prana grozą. Nawet księżna Zia, znana ze swego przykrego usposobienia, wygląda na zastraszoną i niepozorną przy atletycznej sylwetce, której głowa, zwieńczona podniszczonym tropikalnym hełmem, wyrasta półtorej stopy ponad głowy towarzyszek. Gdy tubalny głos pani Privett-Clampe rozbrzmiewa nad cichym jeziorem, Pran zastanawia się, czy major nie woli chłopców ze strachu przed własną żoną. Zwrócenie się do takiej kobiety o seks nie wydaje się roztropnym posunięciem.

Seksualne igraszki nie zajmują wysokiej pozycji na liście ulubionych rozrywek Charlotte Privett-Clampe. A już z pewnością stoją o wiele niżej niż strzelanie do kaczek czy polowanie na lisy. Ona i Cus nie mają dzieci. Charlie nigdy nie czuła z tego powodu rozgoryczenia czy smutku. Swoje uczucia macierzyńskie przelała głównie na dwie strzelby myśliwskie, które trzyma teraz pod pachami. Po przybyciu na miejsce krąży przez chwilę wokół stanowiska, wciągając głęboko w płuca wilgotne powietrze poranka i dopasowując ochraniacz na ramię. Z pałacowej pokojówki, która pełni funkcję ładowniczego, krzywi się na jej marny urdu i wygląda na bardziej obytą z kosmetykami niż nabojami, na pewno nie będzie żadnego pożytku. Przy odrobinie szczęścia może uda się jednak ustrzelić parę dzikich kaczek, na razie latających beztrząsco nad głową.

Pran nie kryje niepokoju na wieść, że to on ma szukać trafionych ptaków. Jego niepokój jeszcze wzrasta, gdy Yasmin wpycha go do wąskiej, płaskodennej łodzi i popycha na jezioro naprzeciw stanowiska strzeleckiego.

- Mogą nas zabić - mówi Pran do młodego hidżry, który walczy z zielskiem blokującym drogę.

- Bardzo możliwe - odpowiada Yasmin ponuro. - Księżna Amina fatalnie strzela. A księżna Zia może strzelić nisko dla zabawy.

Pran popada w przygnębienie, lecz nie ma czasu na rozmyślania. Nad jeziorami rozbrzmiewa dźwięk gwizdka. Na ten sygnał naganiacze wszczynają niemiłosierną wrzawę. W niebo wzbija się stado bekasów, a na brzegu rozpętuje się piekło, gdy dwadzieścia pięć strzelb usiłuje strącić je na ziemię. Pran odruchowo przywiera do dna łodzi, omal nie wrzucając Yasmin do jeziora.

Przez następne dwie godziny skulony ze strachu wyciąga z wody ubite ptaki. Czasem pod dyktando Yasmin podrzyna gardła jeszcze żyjącym. Dręczy go straszliwa myśl, że będzie następnym celem, choć Yasmin przytomnie zauważa, że on, jako sternik zmuszony do stania w łodzi, jest narażony na większe niebezpieczeństwo niż Pran. Gdy słońce wzbija się wyżej, ich ręce i ubrania cuchną już ptasią krwią, co czyni śmierć tych istot jeszcze bardziej rzeczywistą i namacalną.

Tymczasem państwo Privett-Clampe - każde na oddzielnym stanowisku - bawią się doskonale. Sułtan Jheel jest siedliskiem rozmaitych gatunków wędrownych ptaków wodnych, a dzisiaj niewiele z nich ocali życie. Bekasy i gęsi padają gęsto, lecz najgorszy los spotyka kaczki. Śmierć dosięga kaczek krzyżówek, cyranek, kaczek rdzawogłowych i płaskonosych. Łódź Prana szybko wypełnia się stosem pierzastych trupów. Na stanowisku kobiecym Charlie deklaruje obie żony nababa, które nie potrafią się skupić na strzelaniu, gdy dzielna amazonka ruga swoją przestraszoną ładowniczą i na bieżąco komentuje ich dokonania okrzykami w rodzaju: „Hura! Psiakość! Fatalnie!”, aż księżna Zia zaczyna zadawać sobie pytanie, dlaczego Anglicy nie wysyłają na wojny swoich żon zamiast synów. Na innym stanowisku major, zawsze bardziej powściągliwy od żony, strzela miarowo i bez pośpiechu, kwitując entuzjastyczne okrzyki swego ładowniczego: „Świetny strzał, sahib!” dyplomatycznym chrząknięciem. Za każdym razem rzuca ukradkowe spojrzenia w stronę pułkownika Cartera, upewniając się, czy ten widzi jego kolejny wyczyn. Carter widzi, a jakże, choć ze stoickim spokojem udaje, że jest inaczej.

Majorowi dzień ptasiej rzezi niesie wytchnienie, przynosi ulgę w coraz bardziej pogmatwanym życiu. Augustus Privett-Clampe jest człowiekiem, którego egzystencja była kiedyś uporządkowana i kontrolowana, możliwa do dokładnego obejrzenia z każdej strony

niczym manierka u pasa albo strzelba, której miłe ciepło czuje teraz przez skórzaną rękawiczkę. Gdyby zajrzeć do jego akt w India Office, znajdzie się w nich jedynie zapis kolejnych osiągnięć. O alkoholu i pederastii ani słowa. Dlaczego w takim razie major sięga po pierwszą whisky o dziewiątej rano? Dlaczego zaniedbuje lojalną żonę i oddaje się przyjemnościom z chłopcem mieszańcem? Dlaczego godzinami przesiaduje w gabinecie, a jego myśli (zgodnie z wzorcem zachowań przegranych mężczyzn) krążą wokół służbowego rewolweru w zamykanej szufladzie biurka?

Pod skwarnym słońcem północno-zachodniej granicy wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Młody Privett-Clampe, świeżo przybyły do Indii w służbie królowej, spoglądał na ośnieżone szczyty gór Pir Panjal i czuł, że jest w raju, którego nie chce opuszczać. Garnizon w Abbotabad był wymarzoną miejscem dla młodego oficera, szczególnie z przydziałem do tak szacownego pułku jak 1. Pułk Kawalerii Pendżabu Księcia Alberta. Peszawar, Pindi i Simla leżały w niewielkiej odległości od garnizonu i choć samo Abbotabad niczym szczególnym się nie wyróżniało, w kasynie oficerskim niebiesko-purpurowe bractwo urządzało wesołe zawody (w trakcie których cywile zostawali bez spodni, za to z podbitym okiem, krzesła i stoły szły w drzazgi, a miesięczne wydatki boleśnie wzrastały), na które dowódca nie tylko spoglądał przez palce, ale do których wręcz zachęcał.

Jako człowiek Daly'ego (tak ich ciągle nazywano od czasów nababa, gdy byli po prostu kawalerią Daly'ego) miał swobodę działania. Po zakończeniu porannego apelu nie było nic do roboty prócz korzystania z życia. Okolica obfitowała w zwierzynę, więc naturalną kolejną rzeczą Privett-Clampe odkrył w sobie zamiłowanie do polowania na dziki.

Nic, ale to nic na świecie - co dwudziestotrzyletni Privett-Clampe powtarzał każdemu, kto zechciał go słuchać - nie mogło równać się ze wspianym towarzystwem w Abbotabad Tent Club. Dowódca zasłynął z oficjalnego uznania czwartku za początek weekendu, dzięki czemu liczni miłośnicy polowania na dziki z włócznią mieli więcej czasu na doskonalenie swoich umiejętności. Gorąco pragnął, by któryś z jego podwładnych wygrał Kadir Cup. Przez jakiś czas faworytem wydawał się właśnie młody P.-C. Wszystko, co miało związek z polowaniem na dziki, odpowiadało usposobieniu młodego oficera - od ciężaru bambusowej włóczni, długiej na dziewięć stóp, po zakrzywione groźnie kły wiszące nad łóżkiem w jego kwaterze. Twierdził, że nic nie porwało go równie mocno, jak okrzyk przewodnika: „Woh juta hai!”, gdy potężny odyniec znieacka wyskoczył z ukrycia.

Kiedy Privett-Clampe nie znajdował wdzięcznych słuchaczy w kasynie oficerskim, po apelu chronił się pod moskitierą, gdzie bohaterские wyczyny z polowania przybierały postać jednoosobowego teatru cieni. Palce odgrywały rolę jeźdźców ustawionych pomiędzy flagami

na starcie i czekających na sygnał do rozpoczęcia gonitwy. Szelest wysokiej trawy, przez którą brnęli naganiacze dżgający zarośla długimi dragami, ginął wśród głośniego poświstywania. Po takim wstępie przedstawienie nabierało większej dynamiki. Pięść uderzała o wnętrze otwartej dłoni, gdy dzik robił pierwszy udany unik. Niemiłosierne trzeszczenie łożka wtórowało coraz bardziej szaleńczej galopadzie, gdy zwierzę gnało niezagrożone przez pół mili, a prowadzący wyciągał się w siodle, sprawdzając, czy gra jest warta świeczki. Za mały okaz? Może samica? Potem opuszczenie włóczni, długi wydech, gwałtowne zatrzymanie konia i kolejna próba. Czyżby odynieć? Tak! (W tym momencie aż się prosiło o okrzyk). Po „Dalej-dalej-dalej!” trzeba było pędzić co koń wyskoczy. Miarowe i donośne skrzypienie łożka zwracało uwagę kolegów porucznika, którzy czasem wtykali głowy do środka, wyobrażając sobie coś zupełnie innego, i wybuchali gromkim śmiechem na widok P.-C. w roli dzika. Zwierz powoli opadał z sił, ale robiąc uniki, chytrze wciągał swego prześladowcę w coraz trudniejszy teren, najeżony niewidocznymi na pierwszy rzut oka pniami, zagajnikami ciernistych krzewów czy kępami tamaryszku, gdzie jeździec ledwo wybronił się przed upadkiem do rowu albo na dno wąwozu. Dopiero kiedy koń dzielnego młodego łowcy galopował resztką sił, zostawiwszy innych daleko w tyle, dzik odwracał się i zaczynał szarżować. Wtedy nadchodził upragniony moment zniesienia włóczni i wbicia jej w ów punkt między łopatkami, nagle szarpnięcie ramienia, gdy czuje się w nim cały ciężar trafionej zdobyczy. Po tej porywającej chwili był czas na pospieszne wypicie szklanki zimnej herbaty i powrót za linię, aby zacząć wszystko od nowa. Nic nie budziło podobnych emocji. Nic na świecie.

Po zakończeniu pierwszego sezonu w Abbotabad młody P.-C. otrzymał klubowy guzik (za dziesięć pierwszych trafnych rzutów). Nie wygrał jednak Kadir Cup. I choć lepszy o włos okazał się rywal z konnicy Skinnera, drugie miejsce wystarczyło, by stać się bohaterem pułku i zyskać dozgonną sympatię dowódcy. Życie było cudowne. P.-C. przeszedł twardą szkołę. Nauczył się, że pewność daje tylko mocna pozycja w siodle. Będąc zbyt często po złej stronie grotu kapitana kawalerii, Privett-Clampe znajdował coraz większą przyjemność w polowaniu na dziki. Donośne bicie końskiego serca podczas galopu po

nierównym terenie, ekscytująca świadomość, że jeden błąd może spowodować upadek i krwawą jatkę, zapierające dech w piersiach połączenie gwałtownego zamachu i przeraźliwego kwiku, gdy „Zły” nadziewał się na dziewięć stóp twardego bambusa - każda z tych rzeczy przypominała mu, że jest mężczyzną, góruje nad resztą i jest panem życia i śmierci innych stworzeń.

To samo poczucie władzy widział Privett-Clampe na twarzach swoich dumnych Pathanów podczas porannego apelu. Wysocy, dobrze zbudowani, chorobliwie czuli na punkcie

własnego honoru Pathanowie nie mieli sobie równych. Ich młody dowódca - jak wszyscy oficerowie armii, którym przyszło służyć w Indiach - zgłębił sztukę rozpoznawania bojowej przydatności przedstawicieli rozmaitych grup i ras subkontynentu indyjskiego. Po sromotnej klęsce sipajów stało się jasne, że bramini są przebiegli i niegodni zaufania, że marni z nich żołnierze w porównaniu z najzwyczajszym muzułmaninem znad Cangesu, który z kolei nie umywa się do urodzonych wojowników, jakimi są sikhowie i Pathanowie. Anglicy czuli do nich nieodpartą sympatię. Rekrutując niemal wyłącznie sikhów i Pathanów, zapewnili sobie generację lojalnych żołnierzy, świadomych swojej uprzywilejowanej pozycji w hierarchii i gotowych na wielkie poświęcenia w jej obronie. Różnice między poszczególnymi grupami były tak wyraźne, że dostrzegał je nawet nowicjusz na indyjskim gruncie. W porównaniu z dzielącym włos na czworo kalkuckim babu czy bojaźliwym Kaszmirczykiem Pathan był bezsprzecznie najdzielniejszym i najwierniejszym człowiekiem, choć, niestety, nie wolnym od wad. Brutalni wobec swoich kobiet Pathanowie mieli szczególną skłonność do pederastii, ale armijna dyscyplina nigdy na tym nie cierpiała. Kilka razy Privett-Clampe prowadził swoich Pathanów w góry. Palili wtedy wioski w odwecie za bandyckie napady w rejonie granicznym albo urządzali oblawy na koniokradów. Wszystko działo się na długo przed nastaniem ery zmechanizowanego zabijania i okopów, gdy walką rządziły honor i dobre obyczaje. Privett-Clampe (i ci, którzy kiedykolwiek dzielili z nim kwaterę, stół czy przedział w pociągu) nigdy nie zapomni dnia, w którym doszło do strzelaniny między jakimś oddziałem piechoty a Wazirami ukrytymi po przeciwnej stronie doliny. Jeden z wrogów zawołał wtedy, że Anglicy mierzą za nisko, i wstał, by wiedzieli, gdzie strzelać. To był Pathan, któż by inny. Najwspanialszy, najbardziej honorowy człowiek w Imperium, nawet gdy występował w charakterze wroga Jej Królewskiej Mości.

Privett-Clampe oddał się swoim Pathanom i dzikom bez reszty. Na uprzejme zapytania żony dowódcy garnizonu o plany małżeńskie odpowiadał zawstydzony, że ich nie ma. Znosił jej dociekania cierpliwie, choć z ponurą miną rannego, którego czeka operacja w szpitalu polowym. To była jego typowa reakcja na problematykę kobiecą. Relacje z płcią przeciwną wymagały według niego nadludzkiej cierpliwości.

Dla klanu starszych swatek zawiadujących życiem towarzyskim w garnizonie młody myśliwy był zbyt smakowitym kąskiem, by pozwoliły mu umknąć. Urządzały podwieczorki, których jedynym celem było znalezienie Augustusowi żony. Dręczyły nieszczęśnika częstymi piknikami, podczas których młode łowczynie świeżo przybyłe z Southampton usiłowały złapać go na zalotne spojrzenia pięknych oczu rzucane zza parasolek i wdzięczne omdlenia w odpowiednim momencie. P.-C. pomagał im wstać, otrząpywał z kurzu i ku ich rozczarowaniu

po dżentelmeńsku zwracał przyzwoitkom w nienaruszonym stanie.

Gdy zawisła nad nim groźba, że matrymonialna koteria straci do niego cierpliwość i napiętnuje jako pomyleńca, Augustus spotkał Charlotte Lane. Jeśli nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, to zachwyty na pewno. Zauważył ją, gdy pokonywała na koniu zdradliwy rów. Znalazła się jako gość na polowaniu urządzanym przez Peshawar Yale Hounds. Privett-Clampe był cenionym członkiem tego klubu. Powszechnie uważano, że w purpurowym mundurze z jasnoniebieską stójką wygląda doskonale. Uderzyło go, jak świetnie dziewczyna poradziła sobie ze skokiem. Gdy koń odbił się od ziemi i wyciągnął w powietrzu, przyłgnęła do jego szyi, by płynnie wyprostować się w siodle, kiedy zwierzę wylądowało po drugiej stronie rowu. Privett-Clampe'a urzekła elegancja tego skoku, o czym nie omieszkał jej powiedzieć wieczorem w klubie.

Zapoczątkowane pod znakiem konia zaloty nabierały rumieńców. Do polowań Augustus i Charlotte dodali rozgrywki polo, biegi śladem kawałków papieru rozrzuconych przez współzawodników, wrywanie lancą kołków z ziemi w galopie. Każde takie wydarzenie było pretekstem do spotkania, które zawsze wyglądało na przypadkowe. Stali potem oboje naprzeciw siebie, z rękami w kieszeniach, kołyszając się w przód i w tył na obcasach swoich wysokich butów. Nie byli dobrymi tancerzami, ale ku wielkiej radości Privett-Clampe'a okazało się, że młoda dama jest równie świetnym strzelcem, co amazonką. Kiedy zobaczył, jak z odległości stu pięćdziesięciu jardów trafia czarnego jelenia, pomyślał, że to musi być miłość. Charlotte była wysoka i smukła, miała duże dłonie i burzę jasnych włosów, upchniętych zazwyczaj pod tropikalnym hełmem. P-C. cenił te przymioty równie wysoko, jak dobry galop albo ładne pęciny u kuca do gry w polo. Nigdy nie zastanawiał się, co Charlotte ma pod ubraniem, i dopiero pod wpływem nauk Johnny'ego Balcombe'a zaczął przemyśliwać, jak, gdzie i kiedy ją pocałować.

Pierwszy pocałunek okazał się kompletną klapą. GUS przygotowywał się do niego w nerwowym podnieceniu, jak do bezpośredniego starcia z wrogiem. Na miejsce ofensywy wybrał bujany fotel stojący na werandzie na tyłach Abbotabad Club. Rozciągała się stamtąd imponująca i stosownie romantyczna panorama gór. Poza tym weranda zapewniała możliwość odwrotu na wypadek fiaska całego przedsięwzięcia: bezpośredni dostęp do ogrodu i sali bilardowej. GUS przypuścił szturm wieczorem, w końcowej fazie pożegnalnego przyjęcia na cześć kumpla, towarzysza gry w polo, który dostał nowy przydział. Mimo przewagi, jaką daje zaskoczenie, i uśpionej czujności wroga w postaci Charlotte po kilku szklaneczkach napoju nieco wzmocnionego alkoholem, GUS był w pełnej gotowości bojowej.

Uraczył ją paroma frazesami (podpowiedzianymi przez Johnny'ego) o pięknie dzikiej

przyrody i aromatycznej woni wieczoru. Wyobrażał sobie, że po takim wstępie jego intencje staną się dla przeciwnika jasne i oczywiste. Przypuścił więc frontalny atak, równie gwałtowny, co źle wymierzony, i huknął czołem w grzbiet nosa swojej lubej. Zawartość szklanki chlusnęła na nową suknię, z nosa Charlotte zaczęła kapać krew. Oboje czuli się upokorzeni. GUS natychmiast skapitulował, ale Charlotte, wysłana do Indii przez matkę w jasno określonym celu, nie zamierzała tak łatwo rezygnować. Mocno złapała Gusa za szyję i przyciągnęła ku sobie. Mimo mnóstwa dymu, sygnałów ostrzegawczych i działań zaczepnych obie strony osiągnęły porozumienie. Tydzień później GUS i Charlotte ogłosili zaręczyny, a trzy miesiące później w kościele anglikańskim w Peszawarze odbył się ich uroczysty ślub.

Noc poślubna nie odbiegała od pierwszego pocałunku. Po kilku nieudanych próbach wdrapania się na mury twierdzy GUS postanowił wziąć ją siłą, na co rozjuszona Charlotte wysadziła go z siodła, uznając rzecz całą za obrazę i czyste wykorzystywanie. Jako ludzie nie chowający długo urazy, państwo młodzi szybko sobie wybaczyli i zaczęli zachowywać się w łóżku bardzo przyzwoicie. Kolejne tygodnie przyniosły nieznaczny postęp, ale że GUS i Charlotte nigdy nie stawiali tych spraw na pierwszym miejscu, w następnym roku podczas długich wakacji w Kaszmirze żyli już równie cnotliwie jak brat z siostrą.

Ostatni obraz odbity w oczach każdej trafionej kaczki to lśniąca tafla Sułtan Jheel, naznaczona ciemnymi punktami stanowisk strzeleckich rozmieszczonych regularnie na brzegach. Ptaki opadają do wody ruchem spiralnym, z gwałtownym trzepotem skrzydeł ociekających krwią. Pran zgarnia je do łodzi. Zabijaniu nie ma końca. Kiedy jego ręce są już skąpane w ptasiej krwi, a w łodzi brak miejsca, osuwa się wyczerpany na stos ptaków i wspiera głowę na ciepłej jeszcze poduszce z ich martwych ciał. Yasmin idzie w jego ślady. Trzyma w rękach drąg, którego koniec wlecze się za nimi w wodzie. Ponad ich głowami trwa masakra, a echo nieregularnych wystrzałów rozchodzi się po jeziorze.

Pozbawiona sternika łódź dryfuje, by po jakimś czasie znaleźć się w niebezpiecznej bliskości stanowiska brytyjskich oficerów. Bystrzejsze oczy, być może oczy zjaw widywanych czasem przez wieśniaków ponad trzciniami, dostrzegłyby drapieżny wyraz twarzy majora Privett-Clampe'a. Ta sama drapieżność maluje się na twarzach reszty uczestników polowania, choć najbardziej u Charlotte Privett-Clampe. To mocno zaciśnięte usta, błysk w oku, który wzmagą się jeszcze w chwili pociągania za spust. Gdy nabab bierze od ładowniczego broń i strzela, jego wargi wykrzywają się w grymasie okrucieństwa. Nawet towarzyszki księcia Firoza, bardziej nawykłe do przyjemności tańca, igraszek w łazienkach nocnych klubów czy w

ciemnych zakątkach ogrodów w trakcie przyjęć, dziwnie podnieca każde szarpnięcie broni po strzale i ciężar rozgrzanej lufy w rękach. Nikt nie odczuwa tego z większą intensywnością niż major, któremu strzał musi zastąpić wszystko inne i jest jedyną ucieczką przed dręczącymi go popędami.

W pierwszym okresie małżeństwa Privett-Clampe przeżywał najszcześniejsze dni swojego życia. Czuł, że dana mu jest doskonałość ludzkiej egzystencji, że z żoną u boku zazna radości nieprzerwanego ciągu polowań na dziki i dowodzenia Pathanami. I właśnie wtedy (czyż mogło być inaczej?) spotkało go nieszczęście. Niczym bohaterowie szekspirowskich tragedii, które w szkole tak śmiertelnie go nudziły, młody P.-C. nosił w sobie pewien rys tragizmu. Jednak w przeciwieństwie do postaci Szekspira nie było to jakieś wyjątkowo dramatyczne pęknięcie osobowości. Skrzętnie skrywane przed światem, ujawniało się w postaci bliżej nieokreślonej aury powagi, którą roztaczał wokół siebie, gdy prowadzona rozmowa wydawała mu się bezcelowa lub wprawiała w zakłopotanie. Jego twarz posepniała, a po chwili rozjaśniał ją promyk głębokiego namysłu. Cokolwiek Privett-Clampe wtedy mówił - nawet jeśli było to tylko zamówienie następnej kolejki nimbu-pani - zawsze brzmiało jak ostatnie słowo w toczonej dyskusji.

Za sprawą tej uderzającej właściwości Privett-Clampe zyskał reputację człowieka o błyskotliwej inteligencji. I choć nie była to opinia w pełni zasłużona, nie starał się jej dementować. Zresztą, czy ktoś na jego miejscu postąpiłby inaczej? Taką słabostkę wybaczyłby każdy; każdy prócz renesansowego dramaturga syfilityka. A jednak ten drobiazg stał się powodem wygnania Privett-Clampe'a z rajy Abbotabad i wciągnął go w grzęzawisko niepewności, od której już nigdy nie potrafił się uwolnić.

Do upadku Privett-Clampe'a przyczyniła się rozmowa z jakimś Wiggsem, a jego bezpośrednim powodem stało się kichnięcie. Wiggs nie był mile widzianym gościem w kasynie oficerskim. Polityka i kobiety należały tam do tematów zakazanych. Tymczasem Wiggs, adwokat z praktyką, uważał, że termin „polityka” dotyczy tylko działalności partyjnej, a on mówił o szkodach wyrządzanych przez agitację nacjonalistyczną albo o klubach na terenie Indii. Teoretycznie miał rację. Jednak przez „politykę” oficer pierwszej pendzabskiej kawalerii rozumiał „wszystko, co nudne”, a ta definicja doskonale opisywała naturę monologu pana Wiggsa. Wiggs domagał się, by każdy buntownik, każdy kolporter wywrotowych broszurek i każdy nadęty babu był wysyłany na Andamany i tam dożywał swoich dni. Choć zasadniczo słuchacze dzielali tę opinię, wywód Wiggsa przyjęli z kamienną obojętnością. Jak stół długi

i szeroki, uważnie oglądano paznokcie i przygryzano nastroszone wąsy. Privett-Clampe ze swoją poważną i skupioną miną nawet nie zauważył, że wystąpienie Wiggsa zmierza ku końcowi. Był zbyt zatopiony w słodkich marzeniach o biskopie, o który w Indiach bardzo trudno.

I wtedy kichnął.

Owo kichnięcie zwróciło na niego uwagę Wiggsa, który nerwowo rozglądał się za sprzymierzeńcami pośród nagłego chłodu wiejącego od bywalców oficcerskiego kasyna. Dostrzegł zamyśloną twarz i pomyślał, że oto wreszcie trafił się człowiek, który docenia przenikliwość i trafność jego argumentacji. Privett-Clampe, bezrozumna marionetka losu, podniósł głowę i napotkał wzrok Wiggsa. Przyszło mu na myśl, że powinien rzucić jakąś uwagę. Powiedział: - Tak, racja - i pokiwał głową ze szczerym zrozumieniem.

Tym przypieczętował swój los. Ku jego przerażeniu Wiggs (który miał na koncie jakieś sprawy w Delhi) dopadł go podczas przerwy na papierosa. Oświadczył tonem nieprzyjemnie mrocznym i tajemniczym, że tak utalentowany młody porucznik jak Privett-Clampe kompletnie się tu marnuje. Privett-Clampe, który wcale nie uważał, by w Abbotabad zmarnowała się choćby odrobina jego talentu, dyplomatycznie nie zaprzeczył. Serdecznie podziękował rozmówcy, zczekał na stosowny moment i czmychnął. Skąd mógł wiedzieć, że samotne rozmyślania w czterech ścianach pokoju gościnnego zrodzą w Wiggisie (człowieku wprawdzie pozbawionym talentów towarzyskich, lecz wpływowym) postanowienie wyciągnięcia pomocnej dłoni do młodego porucznika? Skąd mógł przypuszczać, że myśl natychmiast zamieni się w czyn i przybierze formę listu, w którym znajdzie się wzmianka o „młodym człowieku obdarzonym przenikliwym rozumem politycznym, wyczulonym na problemy regionu”? Któż mógł przypuścić, że adresat listu - niejaki pułkownik Brightman - umieści nazwisko młodego zdolnego w notatce, która po jakimś czasie trafi na biurko samego sir Davida Handleya-Scotta? Komu przeszłoby przez głowę, że sir David po chwili namysłu stwierdzi, że to przecież członek PVH, i zaznaczy jego nazwisko czerwonym ołówkiem?

Choć nikt się tego nie spodziewał, tak się stało. Trzy miesiące później Privett-Clampe awansował do stopnia kapitana i został przeniesiony do Indian Political Service, gdzie miał objąć jedną z najbardziej intratnych posad w całym Imperium. Każdy inny mężczyzna urządziłby z tego powodu fetę. P.-C. był przerażony.

Czekała go praca za biurkiem.

Uznał, że zaszła jakaś pomyłka. Jednak bez względu na to, jak bardzo się skarżył, ile razy zwracał się do dowódcy, pisał do Londynu czy wyzywał po pijanemu Wiggsa od wścibskich ulizanych świń, nikt nie brał go poważnie. Wszyscy byli przekonani, że

Privett-Clampe stroi sobie żarty, albo składali jego reakcję na karb nagłej utraty wiary w siebie.

Nie było rady. W wieku dwudziestu dziewięciu lat kapitan Privett-Clampe wkroczył w świat papierkowej roboty i intryg w Simli jako negocjator w szatańsko powikłanych kontaktach Korony z setkami lokalnych państweczek. W IPS liczył się tylko protokół i spryt. Nieudana próba wbicia noża w plecy komu trzeba i kiedy trzeba przy jednoczesnej skrupulatności w przestrzeganiu zasad pierwszeństwa i tradycji mogła przynieść opłakane skutki. Jedno potknięcie, jedno niewłaściwe słowo i incydent gotowy. Trudno się było w tym wszystkim rozeznaczyć. Privett-Clampe odkrył, że jego praca chodzi za nim jak bezpański pies, uparcie dając o sobie znać nawet podczas najbardziej udanych łowów czy zawziętych rozgrywek polo. Po roku na jego twarzy pojawiły się pierwsze bruzdy. Privett-Clampe zaczął regularnie sięgać po whisky.

Gorzej, że kombinacja nudy i wymogu tajemnicy w nowej pracy oddaliła go od żony. Prostolinijna Charlotte nie rozumiała, co GUS robi z papierami, które każdego wieczora przynosił z ponurą miną do ich bungalowu. Jej pytania doprowadzały go do rozpacz. Jak miał powiedzieć żonie, że spędza całe dni w strachu, sprawdzając pospiesznie nagryzmołone wykazy, które wetknął do kieszeni munduru?

Charlotte wybrała najlepsze rozwiązanie. Rzuciła się w wir zajęć burra memsahib, terroryzując służbę i dokładnie kontrolując wydatki kucharza. Ogrodnik musiał starać się jeszcze bardziej, by delikatne angielskie kwiaty zechciały rosnąć w gorącym klimacie. Krawiec musiał szyć panu ubranie szew po szwie według starego modelu, zużywając mniej materiału, niż potrzebowałby do przykrycia pleców dziecka.

W miarę upływu lat było coraz gorzej. Mimo braku predyspozycji do tej pracy i powszechnej opinii, że w IPS mogą zabłysnąć tylko najbardziej utalentowani, ciągle była to tylko praca biurowa, w której nadzwyczajna punktualność i imponujący stos dokumentów po jednej i drugiej stronie biurka wystarczyły, by kariera Privett-Clampe'a rozwijała się pomyślnie. Gdyby o tym wiedział, prawdopodobnie zacząłby się celowo spóźniać albo kłaść nogi na biurko za każdym razem, gdy na horyzoncie zjawiał się jego przełożony. Niestety, Privett-Clampe niczego takiego nie zrobił i jego akta personalne pozostały bez zarzutu.

Wreszcie oddelegowano go do jednego z większych radżpuckich księstw. Ku niemiłemu zaskoczeniu brytyjskiej zwierzchności miejscowy maharadża wykazywał szczególne upodobania seksualne. Oskarżono go o serię gwałtów. Privett-Clampe'owi przyszło zgłębiać intymne szczegóły życia władcy, gdzie istotną rolę przypadła argentyńskim tancerzom (tango!), chartom rosyjskim i pewnemu pułkowemu rymarzowi z Dżajpuru. GUS był wstrząśnięty. Im głębiej kopał, tym gorzej to wyglądało. Angielskie kobiety. Angielskie psy.

Musiał mieć pod ręką słownik francuski, bez którego nie byłby w stanie rozszyfrować raportów. Kiedy się zorientował, że zamiast dać facetowi solidną nauczkę, musi załagodzić sprawę, z rozpaczy wziął udział w gigantycznej popijawie.

Być może tak się musiało stać. Charlotte i GUS już dawno zaprzestali prawie wszystkich wspólnych przyjemności. Kontener z tuzinem butelek whisky przywiózł jeden z kumpli wprost z Glen-jakiegoś tam. Tamtego roku codzienne obowiązki zostawiały Privett-Clampe'owi niewiele czasu na łowy. Z głową pełną cuissade, frottage i soixante-neuf trafił do miejscowego domu publicznego. Spozstrzegawcza burdelmama wyczuła jego brak zainteresowania dziewczętami i zaprowadziła go do pokoju z chłopcem.

Nazajutrz, pełen obrzydzenia do siebie, Privett-Clampe złożył prośbę o powtórny przydział do kawalerii. Prośbę oddalono. Regularna gra w tenisa i poranne przejażdżki konno nie tłumili złowieszczonego przecucia nadchodzącej zguby. Lubieżne myśli, dziwacznie przemieszane ze wspomnieniami z łowów i lat szkolnych, nie dawały mu spokoju. Jediną rzeczą, która trzymała je w ryzach, było picie. Pewnego wieczora Privett-Clampe wypił jednak za dużo i znów trafił do burdelu. Błędne koło ruszyło. Ostateczny cios osiągnął Privett-Clampe'a podczas gry w polo. Niefortunny upadek z konia zakończył się złamaniem nogi. Noga zrosła się źle i pozostała sztywna. O powrocie do kawalerii nie mogło być mowy. Trzydziestodwuletni Privett-Clampe uświadomił sobie ze zgrozą, że resztę życia spędzi za biurkiem.

Charlotte zorientowała się, że mąż popija. I szczerze ubolewała, że stary kawalerzysta nie znajduje już takiej radości w konnych przejażdżkach. Sądziła jednak, że nie powinna z nim o tym mówić. Miała swoje życie. Prowadziła dom, działała w towarzystwie dobroczynnym, które ratowało stare kawaleryjskie konie przed żalosnym końcem w fabryce kleju i transportowało je na pastwiska w okolicach Rawalpindi. P.-C. widział w tym jedynie tani sentymentalizm. Ich role ustaliły się raz na zawsze niczym czwartkowy wieczorny posiłek, składający się niezmiennie z jagnięciny i puddingu.

Z wybuchem wojny zaświtała w ich sercach nadzieja. Skoro Ojczyzna jest w potrzebie, może kapitanowi uda się uciec z za biurka? W odpowiedzi na list Privett-Clampe'a, oferującego swoje usługi na scenie teatru działań wojennych w Europie, Londyn awansował go i przeniósł do Fatehpuru. Privett-Clampe podarł notatkę z informacją o awansie i napisał znowu. Tym razem poprosił o wysłanie do Palestyny, co ze względu na jej położenie (w połowie drogi do Ojczyzny) było wyjściem kompromisowym. Ku jego żalowi nadeszło pismo z potwierdzeniem awansu i rozkazem bezzwłocznego stawienia się na nowej placówce.

Dla majora Privett-Clampe'a Fatehpur leży na końcu świata. W miejscu, gdzie diabeł

mówi dobranoc. Jego personel to grupa młodych mężczyzn z Indian Civil Service, jak Flowers. Ich arogancja płynąca z zarozumialstwa i zwyczaj posługiwania się w rozmowie łacińskimi sentencjami sprawia, że major czuje się jeszcze bardziej osamotniony niż przedtem. W nakrochmalonych gorsach i nienaganych surdutach bardziej przypominają mu stado brodzących ptaków niż istoty ludzkie. Gdy leczy porannego kaca, sam widok choćby jednego z nich stojącego w drzwiach z papierami pod pachą wywołuje świerzbienie wskazującego palca. Ze swej strony podwładni majora wyraźnie dają do zrozumienia, że ich kwalifikacje (si parna liceret componere magnis) są o wiele wyższe niż kwalifikacje Starego Morsa, i widzą (pro pudor!) wyraźne oznaki delirium tremens, gdy ich szef z trudem zapala fajkę podczas porannej odprawy.

Nasączony miejscową whisky, Mors zrezygnował z walki z własnymi skłonnościami. Sięgnął dna, pozwalając, by Flowers, którego nie znosił i uważał za najgorszy gatunek zniewieściałego gryzpiórka, przedstawił mu ślicznego chłopca. Clive (tak nazwał go na własny użytek) wprowadził istny zamęt w jego myślach i uczuciach. Major zupełnie nie wie, jak sobie z tym poradzić. Jedno nie ulega wątpliwości. Privett-Clampe ma romantyczny stosunek do chłopca. Tłumaczy sobie, że jego pragnienie jest wolne od chęci wykorzystania. Jedną z niewielu rzeczy, jakie zapamiętał o starożytnych Grekach, to ich wspaniała tradycja miłości między dojrzałym mężczyzną a chłopcem. Własny pijacki mozół jawi mu się teraz w lepszym świetle. Wie już na pewno, że w żyłach młodego człowieka płynie angielska krew, co wzmacnia wolę bycia mentorem, przewodnikiem po pułapkach i niebezpieczeństwach życia.

Niechęć Clive'a do rozmowy wprawia majora w zakłopotanie. Privett-Clampe czułby się lepiej, gdyby chłopiec nie robił wrażenia, że jest tutaj, bo musi. Major wyobraża sobie wspólne wypadki w góry. Mógłby nawet nauczyć chłopaka strzelać! Przypuszcza, że większość jego młodych podwładnych z IPS i prawie wszystkie osobistości w pałacu wiedzą, co się dzieje, mimo to widzi potrzebę utrzymywania sprawy w tajemnicy. Z upływem tygodni poczucie winy w majorze wzrasta. Tłumione kolejnymi szklaneczkami whisky przekonanie, że robi coś złego, dręczy go coraz bardziej.

Z nastaniem upałów Privett-Clampe rzadziej każe się Clive'owi odwracać, a częściej czytać na głos. Ku swemu zdumieniu, po latach niemal całkowicie pozbawionych lektury chętnie zwraca się ku słowu pisanemu. Tyle że jego wybór nie ma nic wspólnego z nudnymi i bombastycznymi nonsensami (Tolstoj, pożałuj się Boże! Czysty bolszewizm!), tak lubianymi przez kumpli z IPS. On zdecydowanie woli „Jorrock's Jaunts and Jollities”. Dobry rym też jest nie do pogardzenia. Wszystko z wyraźnym metrum i poruszającą treścią. Często każe Clive'owi recytować „Gunga Din” albo „Szarzę lekkiej brygady”, gdy sam czyni pedagogiczną

powinność w jego spodniach.

W końcu rzeczywistość zaczyna przystawać do szlachetnej fantazji Privett-Clampe'a. Ustaje nawet gmeranie w spodniach. Akcent Clive'a tak bardzo się poprawia, że majora zadowala samo patrzenie na swego protegowanego, gdy ten, wyprostowany, deklamuje wybrane fragmenty.

- O tak - mamrocze wtedy. - Dobitniej. Właśnie tak.

*

Warkot projektora. Snop białego światła pada na ekran w zaciemnionej sali balowej, rozjaśniając tuzin modnych i pustych głów - gładkich, z trwałą, ostrzyżonych na chłopczyce, wypomadowanych. Książę Firoz i jego wyjątkowi przyjaciele bezwładnie zapadli się w fotelach obitych czerwonym pluszem. Tylko fryzury nie doznały uszczerbku. Wszystko po niedawnych harcach: sporcie i seksie, a może modnej kombinacji obu rozrywek. Jak Riwier, to Riwier. Cokolwiek to było, już skończone. Teraz słudzy zbierają rozrzucone staniki i florety, przygotowując salę do jednego z głośnych pokazów filmowych księcia Firoza. Świta w liberii łagodną perswazją rozdziela odurzone tancerki rewiiowe i splecionych z nimi w uścisku, wyczerpanych przyjemnością spadkobierców wielkich armatorów, podnosi dziewczyny z podłogi, doprowadza do porządku i holuje w stronę foteli. Mimo niedoskonałości stroju - przekrzywionych opasek na włosach, szali w nieładzie - ciągle są zniewalająco i onieśmielająco ponętne. Właśnie ów dar zachowania pięknego wyglądu, nawet pod wpływem najmocniejszych trunków, na jakie stać Firoza, wyróżnia je spośród tłumu modnych kokietek i to za jego sprawą znalazły się w Fatehpurze. Dziś wieczorem przechodzą same siebie, ponieważ Firoz obiecał specjalny pokaz.

Tak, sir, Cornwell Birch przyjechał. Prosto z Miasta Aniołów. Z najnowszymi dokonaniem przemysłu filmowego. Cornwell Birch w stroju uosabiającym wyobrażenia krawca Angeleno na temat wieczorowego ubrania w tropikach (garnitur z żółtego jedwabiu i zielone kamasze), zaciągający się gigantycznym cygarem. Cornwell Birch, który na Ellis Island zmienił nazwisko z Burcz. Ktokolwiek przedstawił go księciu Firozowi, powinien spalić się ze wstydu. Nie ma jednak wątpliwości, że za ich sprawą coś się zaczęło dziać. Birch przyjeżdża do Fatehpuru pokazać swoje najnowsze dzieło i coś nakręcić, może coś w rodzaju kroniki filmowej dokumentującej sceny z życia w pałacu maharadży. Najczęściej jednak chodzi o wyjątkowe filmy, o których wolałby publicznie nie mówić, chyba że ktoś przy stole poręczyłby za resztę.

Birch pyka cygaro i jednym uchem słucha opowieści wzburzonego Firoza o miejscowej polityce. O polityce w bardzo szczególnym ujęciu. Dla Firoza polityka to po prostu rozdział funduszy, a ściślej rzecz ujmując, jego funduszy (żałośnie niskich w stosunku do rzeczywistych potrzeb), oraz pytanie, czy kiedykolwiek uda mu się dobrać do kapitału zamrożonego w książęcych włościach. Wtedy mógłby zrobić z niego jakiś użytek. Na przykład sprawić sobie spinki do mankietów. Albo akwarium. O wiele łatwiej byłoby mu dostać wszystko, czego potrzebuje (nie wie, co to mogłoby być, wie jednak, że czegoś na pewno mu potrzeba), gdyby został nababem. A jego brat robi trudności. Potężny Miecz i Wielka Tarcza Fatehpuru! Władca

Niezdolny do Erekcji Prawdziwie Godzien tego Imienia! Firoz wie to z pewnego źródła. Może jednak nie akwarium. Może jakieś uzdrowisko z gorącymi źródłami i personelem w białych uniformach. Tak czy siak, żeby kiedykolwiek miał szansę na prawdziwe pieniądze, jego brat impotent nie może otrzymać zgody na adopcję dziedzica.

I tu wkracza na scenę prawdziwa polityka.

Według najświeższych informacji do Fatehpuru przybywa za trzy dni brytyjski rezydent na Pendżab sir Wyndham Braddock z lady Aurelią. Zamierzają ustrzelić tygrysa, najeść się i rozerwać na koszt księstwa Fatehpur. Wizyta czysto protokolarna. Nie ma wątpliwości, że Murad poprosi o zgodę na adopcję, a sir Wyndham skonsultuje się w tej sprawie ze swoim człowiekiem w Fatehpurze. Tym sposobem cała materialna przyszłość Firoza spoczywa w rękach tego żalostnego bałwana Privett-Clampe'a. W innej sytuacji Firoz wcale by się nie martwił. Wszyscy wiedzą, że Brytyjczycy marzą o pozbyciu się Mu-rada. Sęk w tym, że Firoz nie jest pewien, czy Privett-Clampe go poprze. Fatalnie się złożyło, że ostatnio pokłócili się o nowy wystrój książęcych komnat. I o kupno sterowca. Na litość boską, przecież kupiec twierdził, że jest Szwajcarem!

Jest jednak sposób, żeby wszystko poszło po myśli Firoza.

- Facet najwyraźniej lubi chłopców - ciągnie zaaferowany. - Wiem od Neda Flowersa. Co mi podsunęło świetną myśl. Jean-Loup! Jesteś tam?

Jest. Siedzi w tylnym rzędzie. Jean-Loup - gibki galijski młodzian o wydatnych kościach policzkowych, wyciągnięty z marsylskiego rynsztoka, pociecha marynarzy, gotów zrobić wszystko bez wyjątku z każdym bez wyjątku, pod warunkiem że... No cóż, właściwie bezwarunkowo. Po prostu to robi. Ktoś obudził się u jego boku w Cannes, ktoś inny na jachcie w pobliżu Antibes. W końcu wylądował tutaj, choć, o ile Firozowi wiadomo, równie dobrze mógłby znaleźć się gdzie indziej. Twierdzi, że ma dwadzieścia jeden lat. Większość daje mu siedemnaście. Kogo by to zresztą obchodziło, gdyby nie wieczna wypukłość w obcisłych ponad miarę spodniach.

- Jean-Loup, pomyślałem, że zrobisz coś niewiarygodnie pokręconego z majorem Privett-Clampe'em, a ty, drogi Cornwellu, sfilmujesz całą akcję. Zagrozę, że pokażę film sir Wyndhamowi, jeśli ta stara świnia nie poprze mnie jako następcy mojego brata! Co o tym myślisz?

- O czym? - pyta Privett-Clampe, który właśnie wszedł, wsparty na ramieniu żywo gestykulującego Flowersa.

- Nie mogłem go powstrzymać - krzywi się Flowers.

- Cześć, chłopaki - bełkocze wstawiony major. - Flowers powiedział, że puszczać

film. Jeszcze tego nie widziałem. Pomyślałem, że przyjdę i zobaczę, co to takiego. Macie coś przeciwko?

- Ależ skąd, panie majorze - odpowiada zadowolony Firoz. - Jak miło pana widzieć. Jean-Loup! Dotrzymasz panu majorowi towarzystwa.

- Rukhsana? Wstawaj! - Yasmin szarpie Prana za ramię. - Chcą cię widzieć.

Zaspany Pran wchodzi do ciasnego pokoju Khwaja-sary, gdzie zastaje diwana i fotografa zatopionych w rozmowie. Bliska wizyta sir Wyndhama Braddocka powoduje w tej części pałacu taki sam zamęt, jak w skrzydle należącym do księcia Firoza. Nabab chce wiedzieć, czy nie będzie żadnych problemów z adopcją. To sprawa najwyższej wagi. Jeśli uzna swego małego kuzyna za następcę, Firoz nie zrobi z księstwa swojej skarbonki. Na razie nabab nie ma co do tego pewności.

- Chłopcze - zwraca się Khwaja-sara do Prana - czas, żebyś pokazał, co umiesz. Gra toczy się o wielką stawkę. Honor księstwa. Twoje bezpieczeństwo. Major Privett-Clampe jest z księciem Firozem. Mamy szansę zadziałać. Musisz zwabić go znowu do pokoju chińskiego. Wreszcie będziemy mogli dokończyć tę sprawę.

Zanim Pran obudził się na dobre, jego opiekunowie zdążyli odziać go w mundurek i wyprowadzić na długi korytarz pokryty porysowanym parkietem. Na samym końcu korytarza są podwójne drzwi, zza których syczy się światło i dobiega śmiech. Eskorta znika. Pozostawiony sam sobie, Pran zachodzi w głowę, co ma teraz robić.

Podchodząc bliżej drzwi, wyraźnie słyszy burkliwy głos majora.

- Wykluczone. Nie martw się. O'Dwyer zajmie się wszystkim.

- Ale - to głos Firoza - ci podżegacze mają poparcie. Zwiodą mnóstwo ciemnych ludzi. W Fatehpurze powinniśmy dać im silny odpór.

- Święta racja. Dlatego potrzebowaliśmy wsparcia sił Rowlatta. Trzeba dać draniom nauczkę. To jedyny sposób.

Pran zagląda do środka. Sala jest zaciemniona. Przed ogromnym białym ekranem stoi kilka rzędów z rzadka rozstawionych foteli. Z tyłu sali rzuca światło buczący projektor, na który sługa zakłada szpulę filmu. Widać wyraźne pozostałości przyjęcia. Butelki szampana na podłodze, parę ciał w malowniczych pozach na fotelach. Pran zauważa kilka znajomych twarzy - Latynos, naga cyklistka i dziwacznie ubrany mężczyzna, który zjawił się dziś rano. Major Privett-Clampe siedzi pośrodku. Rozdęty cień między patykowatymi postaciami. Nikt nie widzi, kiedy Pran chyłkiem wślizguje się do środka.

- Proszę bardzo - mówi księżę Firoz, nalewając Privett-Clampe'owi szkockiej.

- Dzięki, stary - odpowiada major nerwowo. Radość, że może spróbować importowanej whisky Firoza, maści niebezpieczna bliskość młodego Francuza. Privett-Clampe nigdy specjalnie za Francuzami nie przepadał, a tymczasem ręka tego francuskiego młodzieńca właśnie spoczęła na jego udzie.

Na tle oświetlonego ekranu ich sylwetki tworzą komiczny kontrast. Głowa Jean-Loupa wsparta o ramię majora, kanciasty profil Firoza grożący przekłuciem baloniastych policzków i kulfoniastego nosa Privett-Clampe'a. Pran ostrożnie posuwa się naprzód. Nogi wplątują mu się w jakiś szczegół damskiej bielizny. Ratując się przed upadkiem, odruchowo przytrzymuje się fotela, który z łoskotem uderza w sąsiednie siedzisko. Pran przypada do ziemi. Serce wali mu jak młotem.

- Obudziłeś się, De Souza? - woła księżę. - Właśnie zaczynamy pokaz najnowszego odkrycia pana Bircha.

Pran leży w bezruchu. Firoz wyrzuca z siebie stek przekleństw. Potem słycać wycie i dźwięk tłuczonego szkła. Najwyraźniej Firoz cisnął w operatora butelką po szampanie.

- Co ty wyprawiasz, durniu?! Czemu się tak grzebiesz?! Operator bąka przeprosiny w urdu.

- Mów do mnie po angielsku! Nie znoszę tego małpiego języka!

- Przepraszam, sahib!

Księżę Firoz prosi zebranych o wybaczenie. Pran wychyla głowę zza foteli w ostatnim rzędzie. Gdy operator próbuje uruchomić projektor, Privett-Clampe znów mówi o polityce. Pran nie rozumie wszystkiego. Coś o obronie Indii, marszach, protestach i aresztowaniu bez procesu. Reszta gości nie wykazuje najmniejszego zainteresowania. Jedyne Firoz słucha uważnie, a przynajmniej sprawia takie wrażenie, choć od czasu do czasu wierci się w fotelu, jakby wołał robić co innego.

Kiedy oczy przyzwyczajają się do ciemności, Pran dostrzega inne osoby - posępnego francuskiego chłopca, który kręci się wokół

Pathanów, Flowersa, skandalizującą szwedzką tancerkę, o której kobiety z zenany czytały w ilustrowanych magazynach.

- No! - krzyczy Firoz, gdy igła gramofonu z trzaskiem opada na płytę i salę wypełniają pierwsze takty dramatycznej muzyki fortepianowej. Pran wystawia głowę znad oparcia fotela. Na rozświetlonym ekranie pojawia się napis:

SYLWIA

ALBO

NIEDOLE BIAŁEJ NIEWOLNICY

Firoz zaczyna bić brawo. Jedno z nieruchomych dotąd ciał w ostatnim rzędzie podnosi się i przeciera oczy.

- To wyjątkowa rzecz! - zapowiada Birch. - Tylko na specjalne pokazy!

Pran nigdy przedtem nie widział filmu. Urzeczony migoczącymi obrazami, podnosi się z podłogi i siada w jednym z książących foteli z wysokimi oparciami. Zapomina, gdzie jest. Zapomina o grożącym mu niebezpieczeństwie. Ludzie na ekranie wyglądają jak duchy, jak wyprane z kolorów wspomnienia. Pran zastanawia się, jak dali się namówić do pokazania tak intymnych szczegółów własnego życia.

Sylwia, bohaterka filmu, jest młodą imigrantką przybywającą do USA. Niemal natychmiast po zejściu na amerykański ląd wyluskuje ją z tłumu przybyszów młody mężczyzna w słomkowym kapeluszu. Obiecuje, że zrobi z niej sławną aktorkę, i zawozi ją do wysokiego domu z cegieł. Pran jest zdezorientowany. Przecież Sylwia już występuje w filmie! No, ale rzecz dzieje się w Ameryce, a tam wszystko może być inaczej. Wkrótce staje się jasne, że młody mężczyzna wcale nie kręci filmów. Łotr czyha na cnotę Sylwii. Zamyka ją w pokoju ze starą kobietą o wykrzywionych ustach i czarnych obwódkach wokół oczu. Pran sympatyzuje z bohaterką. Po jakimś czasie wraca mężczyzna w kapeluszu (który układał jakiś plan ze swoimi wąsatymi kumplami). Niewiele czasu potrzeba, żeby pozbawić Sylwię wierzchniego ubrania.

- Dobry Boże! - w głosie majora słychać przyganę. Birch wybucha śmiechem.

- Spokojnie, majorze! To dopiero początek.

Birch ma rację. Stopniowo Sylwia zostaje bez niczego, z wyjątkiem czarnych pończoch. Kiedy młody mężczyzna sam zaczyna się rozbierać, major Privett-Clampe traci panowanie nad sobą i, przejęty zgrozą, zrywa się na równe nogi. Przez chwilę stoi, z trudem utrzymując równowagę i zasłaniając niemal cały ekran. Półprzytomny mężczyzna w ostatnim rzędzie, De Souza, czy ktokolwiek to jest, bełkocze coś niezrozumiale i macha ręką, nakazując majorowi usiąść.

- Jak oni mogli... To obrzydliwe. - Major najwyraźniej nie wierzy własnym oczom.

- Powiedzieli mi, że dalej robi się jeszcze ciekawiej. Birch obiecuje pikantne sceny, gdy Sylwia wpadnie w ręce trzech paskudnych Arabów. Kontrast między jasną skórą a ciemną jest...

Książę Firoz przekroczył granicę. Choć major opił się whisky swojego gospodarza, choć w żyłach gospodarza płynie książęca krew, choć to było nie było gospodarz, on-

Privett-Clampe - nie może czegoś takiego tolerować.

- Ty łajdaku! - wrzeszczy i już ma zdzielić księcia pięścią, gdy jego uwagę przykuwa scena na ekranie. Mężczyzna w kapeluszu nie ma na sobie nic prócz markowego nakrycia głowy. Stojąc bokiem do kamery, zbliża się ku Sylwii z groźnie wzwiedzionym członkiem. Privett-Clampe opada na fotel niczym sflaczały balon i śledzi dalszy rozwój akcji. Siedzący za nim Pran otwiera usta ze zdumienia.

Scena spółkowania dobiega końca. W następnej pojawia się jeszcze jedna branka. Widok dwóch białych kobiet w niebezpieczeństwie przywołuje najczarniejsze wspomnienia związane z maharadzą i le vice Anglais. Major znów zrywa się na równe nogi i wykrzykuje pod adresem Firoza oskarżenia o najróżniejsze niegodziwości, jawnie mieszając wypadki na ekranie z wydarzeniami w Fatehpurze. Głuchy na prośby księcia, by usiadł i napił się jeszcze whisky, zaczyna usuwać z drogi fotele i zmierza do wyjścia. Pran za późno przypomina sobie, że miał być dyskretny. Nim zdążył się ukryć, staje twarzą w twarz z majorem.

- Clive? Co ty tu robisz?!

Księżę Firoz odwraca głowę, usiłując przebić wzrokiem ciemności.

- Kto to jest, do cholery?

- Ja - bąka Pran i ucieka.

*

W Fatehpurze panuje gorączkowa atmosfera. W brytyjskiej rezydencji Charlotte szykuje huczne przyjęcie pod gołym niebem. W pałacu, gdzie państwo Braddock się zatrzymają, dworzanie nababa przygotowują przegląd wojsk i oficjalną audiencję, a służba Firoza dopracowuje program umilenia czasu gościom, którzy mają nabrać przekonania o wysublimowanym smaku księcia, jego rozwadze i zdolności rządzenia.

Dostojnym gościom należy się takie przyjęcie. Sir Wyndham Braddock - członek IPS, kawaler Orderu Imperium Indyjskiego, Jego Wysokość Rezydent Pendżabu - to imperialny półbóg. Jego podróżom po dwudziestu pięciu podległych mu księstwach zawsze towarzyszy moc podarunków, rozrywek, audiencji i tak uroczysty, że niemal nadziemski ceremoniał. Iście platońska forma uprawiania polityki. Tego roku sir Wyndham zostawił sobie Fatehpur na koniec. Nadchodzi czas upałów, gdy Brytyjczycy stają się rozdrażnieni i niezdecydowani. Wygląda na to, że trzeba go będzie zabawiać jeszcze troskliwiej niż zazwyczaj. Auta kursują między Lahore i Fatehpurem, wożąc zaopatrzenie. Służba poleruje srebra i szkło. Od takich drobiazgów bardzo wiele zależy.

We frakcji nababa panuje głębokie przygnębienie. Już za późno, by zmusić Privett-Clampe'a do spełnienia ich warunków. Firoz zostanie następcą. Czeka ich europejski horror linii produkcyjnych i szczerzenia zębów w uśmiechu. Diwan nie panuje nad sobą i wymierza Pranowi cios. Pran pada na lustrzaną podłogę w sali barokowej; widzi krople krwi spływające z rozbitej wargi i gromadzące się wokół jego głowy.

W innym miejscu pałacu przyjaciele robią wszystko, by uspokoić Firoza. Dom Miguel De Souza, któremu kac ścisną kleszczami skronie, jest pewien, że wszystko pójdzie dobrze. Firoz nie wierzy w brednie tych pasożytów. Dobrze? Łatwo być zblazowanym, gdy się dysponuje majątkiem rozrzuconym na trzech kontynentach i milionem sztuk bydła mięsnego, gryzącego trawę w dalekim Mato Grosso. Dobrze? Czy on ma pojęcie, jak niepewne są finanse Firoza?

De Souza dochodzi do wniosku, że jeśli zachowanie Firoza się nie zmieni, będzie musiał zamówić jajeczną miksturę na kaca. To powinno pomóc. Zresztą, co szkodzi zapytać? W odpowiedzi Firoz ciska w niego (celnie) szklaneczką whisky z wodą sodową. De Souza robi unik. Jedna z kobiet, znana ze wschodnich tańców (szwedzka gwiazda „Rytuału Siwy”, pokazywanego wszystkim koronowanym głowom w Europie), piszczy i wybiega z sali. Firoz konstatuje, że jej nerwy nie są w najlepszym stanie. Ktoś musi ją znaleźć, zanim wpakuje się w kłopoty.

Jeszcze przed świtem nabab z oczyma zlepionymi snem każe szoferowi przygotować

samochód. Wsiada ze swymi zmartwieniami do tylnej części wozu, osłoniętej kotarami. Auto podskakuje na wyboistej drodze, a wraz z nim pasażer na obciążonym skórą komfortowym siedzeniu.

Fatehpur jest spowite poczuciem winy, wywołanym historią sprzed wielu lat. Pewnego lata stary nabab wydał więcej niż zwykle i zabrakło mu funduszy na zakup nieoszlifowanego rubinu, który pokazał mu pewien radzpucki jubiler. Kamień skupiał światło tak, jak nabab sobie wymarzył. Z przyczyn politycznych pożyczkę trzeba było wziąć w tajemnicy. Nabab zwrócił się o nią do obcego hinduskiego bankiera z kasty czaranów. Warunki pożyczki były bardzo korzystne. Rubin zmienił właściciela i został czym prędzej umieszczony pośród innych kamieni zdobiących turban władcy. Obecny nabab nadal przywdziewa go na oficjalne okazje. Ten rubin symbolizuje skrywany wstyd. Wstyd, ponieważ byli też inni wierzyciele, wielu innych wierzycieli, a czaran mieszkał w dalekim Mewarze. Wstyd, ponieważ stary nabab zadłużył się ponad miarę i nie wywiązał z płatności, święcie przekonany, że nie ma w tym nic złego.

Wstyd, ponieważ czaran hołdował starej rygorystycznej tradycji własnej kasty i na wieść, że nie zostanie spłacony, przygotował truciznę i popełnił rytualne samobójstwo. Na łożu śmierci zdążył jeszcze złapać syna za kołnierz, przyciągnąć ku sobie i słabnącym głosem przekląć rodzinę, która sprowadziła hańbę na jego dom.

Klątwy rzucone na łożu śmierci działają najsilniej. Ale co było treścią tamtej klątwy? Oto pytanie. Tylko krewni czarana znają szczegóły. Krążą jednak pogłoski, że ród nababa wymrze w tym pokoleniu. I raczej wszystko na to wskazuje. W ostatnich latach panował nieurodzaj. Astronomowie zauważyli niepomyślne koniunkcje Księżyca i Wenus. No i rzecz mniej rzucająca się w oczy, która wychodzi na jaw dopiero w ustronnych zakamarkach kobiecych kwater. Sflaczały szczegół w spodniach od piżamy. Lodowate palce losu zaciskają się wokół jąder nababa, hamując erekcję i wypływ spermy, od której zależy przyszłość Fatehpuru. Nad spowitą w jedwabie męskością nababa zawisło fatum.

Nabab zmierza do odległej, ukrytej między wzgórzami wioski. Jego kłopot kuli mu się między nogami niczym małe chore zwierzątko. Gdy ciemności nocy ustępują, wielkie brytyjskie auto z rykiem silnika pnie się koleinami ścieżki wydeptanej przez bydło, prowadzącej ku chatce jedyne prawdziwego świętego, który zamieszkuje Fatehpur. Tam Najwyższy Władca, Pogromca Ciemności i Prawdziwy Miecz Islamu rzuca się na ziemię w pokłonie przed ślepym biedakiem, dotyka jego zrogowaciałych stóp i błaga o zdjęcie klątwy.

Charlie Privett-Clampe też jest już na nogach. Pracowity dzień rozpoczyna przejażdżką na Brandywine. Po krótkim galopie zjawia się z powrotem, umyta i gotowa do śniadania.

Pierwszy kucharz jeszcze nie zdążył wejść do kuchni. To tylko drobna zwłoka. Wkrótce grzanki i herbata są gotowe, a burra memsahib nadzoruje rozpakowywanie filiżanek i spodeczków, srebra stołowego i talerzy. To pierwszy etap przygotowań do jutrzejszego przyjęcia. Dwie setki gości do nakarmienia i napojenia na trawniku. Trudne zadanie. Ale dla

Charlie Privett-Clampe to nie pierwszozna. Radzi sobie przy takich okazjach jak mało kto.

Byłaby już w wirze przygotowań, gdyby nie ten nieznośny Firoz. Zjawia się zniecka w towarzystwie wystrojonych mieszaićów, z fantazyjnie zapakowanym prezentem, i nalega, żeby GUS od razu go rozpakował. Tymczasem cholerny GUS zabarykadował się w pokoju razem z wiadrem, wygląda jak ofiara wypadku kolejowego i nie wpuszcza do środka nawet chłopca, który pomaga mu się ubierać. Wobec takiego obrotu rzeczy konieczność ugoszczenia obłudnego księcia spada na żonę. Charlie musi rzucić wszystko, częstować gości napojami i zabawiać rozmową, gdy dodatkowo zatrudnieni pomocnicy najwyraźniej się objają. Co za natręt z tego Firoza!

Gdy słońce wznosi się wyżej, diwan odkrywa, że brakuje prochu na salwę honorową, a czerwony chodnik jest gdziegdzie wytarty i powinien być wymieniony. Potem przypomina sobie żenującą skłonność lady Aurelii do kleptomanii i zarządza, by z sali audiencyjnej usunąć wszystkie niewielkie przedmioty.

W zenanie dominuje problem: „Co na siebie włożyć?”. Jej mieszkanki biegają za nowymi i trudno osiągalnymi kosmetykami. Legion krawców rozłożył się obozem na zewnętrznym dziedzińcu. Wszystkim robota pali się w rękach, jakby od tego zależało ich życie. Niektórym z nich naprawdę tak powiedziano. Tyle zamieszania, tyle zachodu, a przecież nikt i tak nie ujrzy nowych strojów. Dla kobiet z zenany sens strojenia się leży bardziej w przygotowaniach niż w samym włożeniu nowych szat. W dogodnym dla siebie momencie Khwaja-sara ujmuje podbródek Prana w upierścienione palce, uważnie przygląda się jego rozciętej wardze i komunikuje ostro, że teraz Pran musi się naprawdę skoncentrować. Wybór jest prosty, a Khwaja-sara nie będzie się powtarzać. Przed Pranem ostatnia próba. Jeśli skusi Privett-Clampe'a, a im uda się zrobić odpowiednie zdjęcie, dostanie pieniądze i będzie mógł odejść. Jeśli mu się nie uda, nikomu już nie będzie potrzebny. Między poszczególne słowa wkrada się znacząca i złowroga cisza. Z dreszczem przerażenia Pran uświadamia sobie, że nie ma wyboru.

Popadłby w jeszcze większe przygnębienie, gdyby przypadkiem natknął się na pewnego młodzieńca. Jean-Loup krąży po pałacowych korytarzach w celowej wędrówce bez celu. Podejrzewa, że ma rywala. Jean-Loup nienawidzi rywali. Rywale Jean-Loupa dostają za

swoje. Nożem. Szuka więc ładnego chłopca w angielskim szkolnym mundurku. Już niedługo przestanie być taki ładny.

Przed południem nabab wychodzi z chatki mędrca z lżejszym sercem. Święty mąż oznajmił, że mimo zła wyrządzonego przez rodzinę nababa w przeszłości, nie jest wolą Allaha pozbawienie go tronu. Usiedli obaj, po czym starzec położył rękę na dotkniętej słabością części ciała, co wcale nie było takie nieprzyjemne. Zapewnił Murada, że wkrótce odzyska potencję. Władca bierze z sobą niewielki stożek z gazety, w którym jest mieszanka ziół. Święty poinstruował go, że ma myśleć o sobie jak o tygrysie. Jeśli posłucha tej rady, wkrótce poczuje w żyłach moc swoich przodków. Odprawia go machnięciem ręki i pochyła się, by zebrać złote monety, które wdzięczny monarcha rozsypał przed nim na ziemi.

Słońce stoi w zenicie. Major Privett-Clampe rozpakowuje prezent i na widok oprawionej fotografii władcy Imperium mówi: „Miło z waszej strony”. Dobry i bezpieczny prezent. Wyraźna wskazówka, po czyjej stronie leży sympatia ofiarodawcy. Książę Firoz gorąco pragnie przeprosić, szczerze przeprosić. Major na pewno zrozumie, przebaczy i zapomni. Wczorajszy wieczór? Niewypał. Pożałowania godny brak gustu. Major mruczy coś burkliwie i podaje prezent słudze. Firoz odchodzi z tymi samymi wątpliwościami, z jakimi przyszedł. Gdyby nie wypił tyle poprzedniego wieczoru...

Książę spędza mało przyjemne popołudnie, oglądając nowe propozycje Bircha. „Chińczyk i dziewczyna”, „Trzy murzyńskie służące”, „Wiejski ogier”, „Jazzowa Godiva” i najnowszy film z serii o boyach hotelowych, którą udostępnia bardziej krytycznej klienteli. Ale księcia Firoza bardziej interesuje teraz nowy projekt Bircha. Zdjęcia z polowania. Z polowania na tygrysa.

Dzień gaśnie powoli. Ciemność zaczyna wyzierać z kątów, spowija korytarze. Na zewnętrznym dziedzińcu zenany wyłania się z cienia jaskrawa pomarańczowa plama. Krawcy już dawno skończyli. Wszyscy powinni spać. Ale Jean-Loup ciągle krąży wokół. Rzuca niedopałek na podłogę i zgniata go robionym na zamówienie butem w kolorze współgrającym z ubraniem. W ciągu dnia wszystko stało się jasne. Ten mały głupek ukrywa się w zenanie. I właśnie schodzi senny po schodach do latryny, zbierając fałdy spódnicy. La mignonne! Jean-Loup jest wdzięczny losowi. Już zaczynał się nudzić.

Czas na ripostę. Jean-Loup wyciąga z niewidocznej kieszeni brzytwę i otwiera ją. Ostrze lśni złowrogo, gdy bawi się nią zręcznymi palcami. To właśnie nazywają marsyjskim chwytem. Pran wlecze się krok za krokiem i drapie po tyłku. Teraz zajmuje go wyłącznie własny pęcherz. Jean-Loup przyspiesza, zbliża się do niego i zachodzi od tyłu. Nagle widzi światło i słyszy jakieś głosy. W ich stronę zmierza grupka ludzi. Jean-Loup czym prędzej

chowa się za kolumną.

Niczego nieświadoma siódma kawaleria składa się z nababa i dwóch zaspanych służących z pochodniami w ręku. Władcy się spieszy, w lędźwiach odczuwa niezwykle podniecenie. Ledwo zauważa małego hidżrę składającego pokłon na ziemi. Jego myśli krążą wokół ciekawszych spraw. Te kobiety zaraz coś zobaczą. Prawdziwą wielkość! Zróbcie przejście! Co za radość krzyżeć na ciemnym dziedzińcu i widzieć zamieszanie wywołane własnym nadejściem. Nic tak nie działa jak niespodziewana wizyta w środku nocy.

Lila Bai, młodsza żona, ma wyjątkowo gwałtowne przebudzenie. W drzwiach stoi nabab. We własnej osobie! Wywar z ziół świętego mędrca wywołał widoczny efekt. Widzicie? Damasceńska stal. Lila Bai dobrze wie, co dalej. Nie zdążyła nawet błagać o litość, gdy nabab przykrył ją własnym ciałem. Dzisiejszej nocy jest niezrównany, dobrze o tym wie. Najlepszy. Wywar uczynił go jednak bardzo hałaśliwym. Ale dziś słowa zastępuje r y k. Nabab musi ryczeć. Grzmiący odgłos płynie z głębi gardła, rozciąga mu szczęki, wstrząsa klatką piersiową. To nienormalne. Ale działa. Naprawdę działa! Przy akompaniamencie potężnego ryku władca szczytuje. Każda kropla królewskiego wytrysku jest na wagę złota i ma znaczenie polityczne. Nabab przygważdża Lila Bai i ciężko dyszy z twarzą ukrytą w załamaniu jej szyi. Lila Bai pociera mu plecy. Nabab dochodzi do siebie, upomina żonę, by nigdy więcej w niego nie wątpiła, dwa razy daje jej w twarz i wychodzi, niezmiernie z siebie zadowolony. Udało mu się!

*

Sir Wyndham Braddock uśmiecha się i macha. Lady Aurelia uśmiecha się i macha. Drobni brązowi ludzie uśmiechają się i machają papierowymi Union Jackami, wpatrzeni w przystrojonego słonia paradującego ulicami ich miasta. Orkiestra maszerująca za słoniem gra „Brytyjskich grenadierów” z wyraźnym nosowym zawrozczeniem. Sir Wyndham krzywi się. Nigdy nie przywyknie do miejscowych orkiestr.

Na ulicach tłummy. Ludzie siedzą na dachach. Wdrapali się na markizy, zwieszają nogi z parapetów. Sir Wyndham patrzy wokół nerwowo. Siedząc w rozkołysanym howdah, czuje się zagrożony. Obserwuje okna i gęsty falujący tłum, trzymany w ryzach przez wywijających bambusowymi kijami policjantów. Nabab wyprowadził na ulice imponującą liczbę obywateli. Całkiem prawdopodobne, że odgórnym nakazem. Jak wszystkim miejscowym władcom, i temu nieobca musi być sztuka niewolenia swoich poddanych.

Gdyby to było możliwe, sir Wyndham odwołałby tę wizytę. Sytuacja w Pendźbie pogarsza się. Mimo to nie mógł się wycofać. Przygotowania trwały od miesięcy. I musi przez to przejść, nawet jeśli jazda na słoniu sprawia, że czuje się jak pusta butelka na szczycie spadzistego dachu. Reprezentuje Koronę, a Korona musi być postrzegana jako nieustraszona. Koniec dyskusji. Sir Wyndham zastanawia się, co w Fatehpurze wiadomo na temat wczorajszych wydarzeń. Służby wywiadowcze rozmawiały z pracownikami poczty i telegrafu. Możliwe, że do księstwa przeniknęły informacje o wieczornej akcji Dycera w Amritsarze. Możliwe? Co za nieudolność. To znaczy, że prawie pewne. Kimkolwiek są członkowie Kongresu Narodowego w tym maleńkim księstwie, już wiedzą. A to oznacza, że mogą sprawiać kłopoty. Co za dzień na wizytę!

Sir Wyndham nie wie dokładnie, co się stało w Amritsarze. Tylko tyle, że wbrew zakazowi zgromadzeń odbywał się tam jakiś wiec. I że Dycer wkroczył bez pardonu. Dwustu zabitych, jak mówią pierwsze raporty. To musiała być naprawdę krwawa jatka. Wszyscy wiedzieli, że to kiedyś nastąpi. Nawet tubylcy.

Uśmiech i machnięcie.

Naprzeciw niego siedzi lady Aurelia ze zneruchomiałą twarzą. Drobne kropelki potu lśnią na jej wysokim białym czole. Lady Aurelia Godnie Znosi Przeciwności. Sir Wyndham pochyła się naprzód i dotyka jej kolana.

- Minty? - mówi łagodnym głosem.

Cisza. Najwidoczniej Minty ma jeden ze swoich Dni.

Uśmiech i machnięcie.

Przez lata sir Wyndham nauczył się rozumieć żonę. Minty nigdy nie mówi o swoich

odczuciach. Oczekuje, że inni się tego domyśla. Teraz męczy ją upał i, jak przypuszcza mąż, zdejmuje strach. W takich sytuacjach należy Dać Jej Spokój. Oto jak sir Wyndham organizuje sobie rozumienie własnej żony. Nagłówki z trzech słów. Szpalta dla każdego z jej różnych stanów, od Śpi Jak Zabita po Nagły Atak Histerii.

Przynajmniej udało im się utrzymać Gandhiego z dala od Pendżabu. A większość innych grubych ryb tego ruchu przytrzymano profilaktycznie z dala od granic stanu. Powzięto stanowcze kroki. W tych czasach taka odpowiedź wystarczy. To tylko kwestia zachowania zimnej krwi.

Uśmiech i...

Nagle słysząc jakiś terkot i trzask. Gwałtowny. Przeszywający powietrze. Sir Wyndham instynktownie schyla głowę. Lady Aurelia idzie w jego ślady, gubiąc przy okazji kapelusz. Przez chwilę ich głowy prawie się stykają. Sir Wyndham wie, co się dzieje. Ktoś rzucił z tłumu granat ręczny. To próba zamachu. Ale ani on, ani Minty nie są ranni, a kornak patrzy na nich z kpina w oczach. Jego pięty ściskają potężnego wierzchowca za uszami.

W howdah dominuje zapach świeżej farby i słoniowego łajna. Sir Wyndham powoli wraca do pozycji wyjściowej. Hałas nie ustaje. To sztuczne ognie. Ktoś zapalił sztuczne ognie. Grupa mężczyzn tańczy w tłumie z wysoko uniesionymi rękami. Utworzyli między ludźmi wolną przestrzeń, w której fajerwerki z sykiem i pióropuszem dymu ulatują w niebo. Sir Wyndham przeklina w duchu swoją bojaźliwość. Serce łomocze mu w piersi. Minty majstruje przy spince z masy perłowej, która przytrzymała kapelusz. Nie patrzy na męża. I nie spojrzy. Trzeba Pilnować Porządku. Jeszcze jedna z jej ról. Sir Wyndham prostuje przekrzywiony hełm i postanawia zaryzykować spojrzenie za siebie. Chce sprawdzić, czy ktoś z ich świty zauważył jego tchórzostwo. Z drugiego słonia Vesey saltuje z żartobliwą miną. Jasna cholera! Za tydzień będą o tym mówić w każdym kasynie oficerskim i każdej świetlicy w Lahore. Reprezentant Korony kryje się przed fajerwerkami. Niech to szlag!

Uśmiech i machnięcie.

Przypomina sobie, że ma zadanie do spełnienia. To się więcej nie powtórzy. Nie okaże słabości. W rytm kołysania się howdah sir Wyndham czuje narastające objawy fizycznej słabości. Z każdym ruchem szarego cielska stąpającego w stronę pałacu żołądek podchodzi mu do gardła. Prostuje się, boleśnie świadom ciężaru odznaczeń na piersi.

Ma zadanie do spełnienia. Musi się uśmiechać i machać. Może z boku takie zachowanie wyda się śmieszne, ale dla brytyjskich interesów w Indiach ma żywotne znaczenie. Już przy wielu stołach sir Wyndham wyjaśniał wagę swojego wystawnego stylu życia, podróży, prezentów, wycieczek, polowań. Żadna z tych rzeczy nie służy jemu osobiście. Jeśli ktoś uzna,

że szacunek mu okazywany wynika z jego osobistych zasług czy talentów, będzie w opałach. Zboczy z właściwego kursu. Wpadnie w pułapkę manii wielkości. Na tym stanowisku jest się po prostu odbiciem, magicznym odbiciem wicekróla, który z kolei jest magicznym odbiciem samego władcy Imperium Brytyjskiego.

A z wystawnością trzeba się pogodzić. To wszystko.

Minąwszy miasto, procesja dociera do dziedzińca obok szkaradnego pałacu przypominającego tort weselny. To pierwsza wizyta sir Wyndhama w Fatehpurze, więc widok gigantycznej budowli jeszcze pogarsza mu samopoczucie. Pałac wygląda jak twór chorej wyobraźni zrodzony w malignie. W miarę zbliżania się do niego sir Wyndham mógłby przysiąc, że czuje jego pulsowanie. Powiększony gruczoł. Wielka różowa narośl. Minty też patrzy z ręką przytkniętą do kapelusza, jakby chroniła go przed gwałtownym podmuchem wiatru. Ten jeden jedyny raz w trakcie jazdy mąż i żona wymieniają spojrzenia. Z ich oczu wyziera to samo przerażenie, natychmiast przesłonięte udawaną obojętnością. Stawanie twarzą w twarz z wszelkimi przejawami niekontrolowanego szaleństwa, które trzeba ukrócić, to ich zadanie tu w Indiach.

Na placu, z wszystkich najgorszych rzeczy, czeka na nich następna orkiestra. Wojskowa orkiestra kobziarzy. Odziani w szare bluzy i - czy aby na pewno? ależ tak - różowe kilty, wydobywają z instrumentów chrapliwe i przeraźliwe dźwięki, będące odległym wspomnieniem „Skye Boat Song”. Orkiestra krocząca w procesji zaczyna grać głośniej. Następuje zderzenie obu melodii. Siedzisko sir Wyndhama i lady Aurelii na grzbiecie słonia wyrasta z powodzi irytujących dźwięków niczym szczyt góry. Sir Wyndham jest pewien, że niektórzy muzycy korzystają ze sposobności, by wzbogacić wykonanie o własne pomysły. W powstałym zgiełku dają się słyszeć tryle i radosne rytmy bębnów. Przez chwilę wydaje się, że każdy gra co innego, aż po kilku końcowych zawodzeniach instrumentów dętych orkiestra z procesji milknie. Kobziarze niczym rój rozwścieczonych pszczół przejmują panowanie nad rozprażonym placem i oznajmiają ten fakt zwycięskim buczeniem.

Salwa armatnia. Dwadzieścia jeden wystrzałów na powitanie. Powitanie jego, sir Wyndhama, nie jako Wyndhama Braddocka, lecz jako cień króla. Cień wzdryga się bezwiednie przy każdym wystrzale, usiłując nie dać nic po sobie poznać. Wkrótce pojawia się przeciwwaga dla przykrych wrażeń. Duma, odrobina dumy w sercu, że on, Wyndham, może się równać pod względem liczby salw powitalnych z każdym maharadzą.

Z okna na piętrze Pran przygląda się Braddockom, jak wspomagani przez innych zsiadają ze słonia przy pałacowej Bramie Słoni. Na podwyższeniu oczekuje ich delegacja. W otoczeniu straży przybocznej i służby w dobranych kolorem strojach stoi nabab. Ma na sobie

nadzwyczajną niebiesko-białą szatę z oryginalnej szkockiej tkaniny. Jest obwieszony sznurami pereł oraz szarfami i gwiazdami orderów. Na jego białym turbanie pyszni się ogromny krwistoczerwony rubin. Szaty diwana nie ustępują przepychem szatom nababa. Firoz podkreśla własną elegancję połyskliwym garniturem. Obok stoją major i pani Privett-Clampe. On z czerwoną twarzą w białym mundurze służbowym, ona w letniej sukni, sztywno wyprostowana jak jej mąż. Wszyscy ślą gościom wdzięczne uśmiechy.

Kiedy pochylony sir Wyndham gramoli się z howdah, dostrzega buty nababa i diwana. Na górze przepych i ozdoby, na dole zwykle czarne pantofle.

„Uprawnieni do noszenia munduru wkładają mundur służbowy w kolorze białym. Nieuprawnieni do noszenia munduru wkładają frak. Wszyscy hinduscy mężczyźni bez fraka wkładają buty z lakierowanej skóry”.

Zwykle czarne buty. W trakcie płaśów dygnitarzy, którzy usiłują zejść po wąskich schodkach z platform na słoniach w kolejności zgodnej z nakazami etykiety, sir Wyndham próbuje wyczytać coś z wyrazu twarzy nababa i diwana. Zrobili to rozmyślnie? Czy tymi butami chcą z niego zakpić? Jaki mieliby cel? Uświadamia sobie, że ktoś zadał mu pytanie. Księżę Firoz stara się nawiązać konwersację. Sir Wyndham przeprosza za nieuwagę.

Siedzą na barwnie udekorowanej trybunie, przed którą defilują siły zbrojne Fatehpuru w swoich mundurach jakby wprost z Rurytanii. Różowych. Czemu tyle różowego? Privett-Clampe nachyla się ku niemu i mówi coś obraźliwego o ich defiladowym kroku. Nabab pochyla się ku niemu i wypowiada dumną uwagę o ich mundurach. Sir Wyndhamowi nie daje spokoju myśl o butach. Wreszcie nie wytrzymuje. Odwraca się do siedzącego w tylnym rzędzie Veseya i szepcze mu na ucho:

- Ich buty... Nie uważasz, że coś się za tym kryje?

Niemal natychmiast żałuje tych słów. Na twarzy Veseya pojawia się zakłopotanie, a zaraz potem z trudem skrywane rozbawienie. Ten jego przeklęty studencki dowcip!

- Ich buty, sir?

- E, nieważne.

Defilada dobiega końca. Czas na napoje chłodzące. Sir Wyndham sączy wodę sodową z cytryną i mówi „tak, bardzo” wszystkim, którzy tłoczą się wokół niego. Wyjątkowo gorliwa gromada. Nikt nie pozwala nikomu dojść do słowa. W powietrzu panuje jakaś szczególna atmosfera. Jest w tych konwersacjach coś, co sprawia, że sir Wyndham czuje się nieswojo. Przynajmniej ma z głowy oficjalną część powitania. Teraz nie powinno mu już nic grozić.

Zmierzają ku sali audiencyjnej. Między filarami w obszernym holu wiszą haftowane kotary. Nad marmurową posadzką dmucha lekka bryza, niosąc ochłodę rozgrzanym angielskim

policzkom i wywołując uśmiech na spoconych twarzach. Gdy goście zajmują miejsca, do zmęczonych uszu sir Wyndhama dolatują strzępki rozmów.

- Dam panu nazwisko mojego krawca w Londynie - mówi książę Firoz do Vesey.

- To było w Borders - mówi Minty do pani Privett-Clampe. - A może podczas rozgrywek tenisowych w Retreat?

- Nabab-sahib zapoczątkował wiele reform - mówi diwan. Cisza. Mówi pan do mnie? Bardzo przepraszam. (Co za fatalny akcent!)

- Lochinverarie - mówi pani Privett-Clampe. - Jestem pewna, że to było podczas kolacji w Lochinverarie.

- Będę księciu bardzo zobowiązany - mówi Vesey.

- Tak, bardzo - mówi sir Wyndham, sadowiąc się w śmiesznym ludwikowskim fotelu. Starannie naśladuje niedbałą pozę nababa: jedna stopa wsparta o podnózek, ręce na połączonych poręczach. Czuje na sobie spojrzenia pałacowych kobiet stojących gdzieś na galerii. Niewidzialnych kobiet za ażurowymi ścianami z marmuru. Od czasu do czasu widzi na górze jakiś cień, jego ucho łowi ledwo dosłyszalne szepty.

Następuje prezentacja miejscowych dygnitarzy. Minister skarbu, wojskowi i ustawowi członkowie rady królestwa, podskarbi królewski, komisarz do spraw robót publicznych. Sir Wyndham ściska dłonie albo wykonuje powitalne gesty, składając ręce i dotykając nimi czoła. Obok niego nabab ściska, obejmuje, kiwa głową. Za plecami niewidoczni podwładni przestępują z nogi na nogę. Sir, pozwoli pan sobie przedstawić starszego inspektora sanitarnego, szefa policji, nadzorcę więzienia, szefa Departamentu Lasów i Jezior. Hinduscy dżentelmeni w butach z lakierowanej skóry.

Po zakończeniu prezentacji ostatniego młodszego urzędnika w Wydziale Handlu Tymczasowo Połączonym z Ministerstwem Cei Vesey wręcza sir Wyndhamowi telegram.

- Właśnie przyszedł z Simli - szepcze.

Telegram informuje, że podczas wiecu Dyer bez ostrzeżenia otworzył ogień do tłumu. Najnowsze dane mówią o pięciuset ofiarach śmiertelnych. Sir Wyndham starannie składa depeszę i chowa ją do kieszeni.

*

W gościnności, jak we wszystkim, powinna istnieć równowaga. Nas przyjmują i my przyjmujemy. Po durbarze następuje rytualne pożegnanie i krótka rozłaka przed rewizytą. Sir Wyndham (nie w imieniu własnym, lecz Anglii) będzie podejmował nababa w siedzibie rezydenta. Potem nadejdzie chwila przyjęcia na dwieście osób na trawniku za budynkiem. Wielkie wyzwanie.

Przybycie nababa ma godną oprawę. Poprzedza go tuzin dworzan. Za nim podąża pięćdziesięciu królewskich kawalerzystów. Tym razem w różowych spodniach, niebieskich bluzach i (to nowość) różowych futrzanych czapkach. Na nieliczne angielskie kwiaty, kurczowo trzymające się życia na rabatkach wzdłuż podjazdu, opada czerwony kurz, wzbity przez limuzynę nababa. Nielicznych nacjonalistów zbitych w gromadkę przy bramie wjazdowej utrzymują w bezpiecznej odległości czokidarzy w mundurach khaki. Kierowca oddaje honory, otwiera drzwi i stopa w zwyczajnym czarnym bucie dotyka żwiru. Nabab wysiada z auta. Przychodzi czas na schody.

U podnóża schodów stoją dwaj umundurowani adiutanci. Trzaskają obcasami w idealnej synchronii (jak oni to robią?) i eskortują nababa do połowy schodów - dokładnie na jedenasty stopień, gdzie Vesey (nie jako Vesey, lecz przedstawiciel władzy stanu Pendżab) wita go i prowadzi przez pozostałych dziesięć stopni. Nieparzysta liczba schodów była tematem długotrwałej wymiany memorandów. Do rozstrzygnięcia znaczenia terminu „połowa drogi” potrzebne było orzeczenie sądu rozjemczego w Simli, który rozwiął niepokój co do politycznych implikacji nierównego podziału schodów. Na szczycie schodów stoi sir Wyndham, który prowadzi nababa na krótkim odcinku między frontowym portykiem a salonem, gdzie oferuje nababowi orzeźwienie - „Może jeszcze wody sodowej z cytryną?” - i spotyka się z odmową. Tę krótką chwilę dającą możliwość nawiązania bliższego kontaktu (rozmowa, wymiana spojrzeń, zadane półgłosem pytanie: „Co tak naprawdę słyhać?”) skutecznie mąci obecność sześciu dworzan. Trzech z nich niesie buławy w kształcie pawich piór, pozostałych trzech ogony jaków, osadzone w gustownych srebrnych rączkach, wszyscy z marsowym czołem, licującym z powagą sytuacji. Sir Wyndham ze stoickim spokojem ignoruje ich obecność i dyplomatycznie chrząka.

- Wasza Wysokość pozwoli za mną.

Idą do ogrodu. Kiedy pojawiają się na werandzie na tyłach rezydencji, zgromadzeni witają ich oklaskami. Nabab i sir Wyndham pozwalają sobie na uśmiech. I machnięcie ręką.

Trzeba zejść do gości. Czekają Hindusi i Anglicy. Angielscy mężczyźni i angielskie kobiety. Hinduskie kobiety? Nie. Wszyscy gawędzą zbici w małe grupki, przypominając

gigantyczną kulturę zarodników hodowanych na pożywce regularnie podlewanego trawnika Privett-Clampe'ów. Kelnerzy w białych rękawiczkach krążą między gośćmi ze srebrnymi tacami. Orkiestra usadowiona przy nowym balkonie, architektonicznej innowacji pani Privett-Clampe, gra lekką muzykę klasyczną. Z boku stoi długi stół, uginający się pod ciężarem angielskich i indyjskich potraw, curry, kawałków kurczaka, różnych rodzajów sałatek ryżowych, dań wegetariańskich i niewegetariańskich. Wszystko kompromisowo przyprawione pod kątem rozmaitych upodobań kulinarnych. Charlie pracowała bez wytchnienia. Musiała zapobiec opóźnieniom i podaniu jajek na twardo z widocznymi śladami palców, dopilnować, by do napojów zamiast cukru nie wsypano soli. Wygląda na to, że jej się udało. Dziś obędzie się bez incydentów, a przynajmniej bez incydentów z powodu menu.

Kiedy sir Wyndham i nabab schodzą po schodach do ogrodu, natychmiast wpadają w wir rozmów. Sir Wyndham nie może sobie znaleźć miejsca. Trudno mu znieść bliskość tylu ludzi. Dlaczego wszyscy mówią równocześnie? Na dodatek pilnują jedni drugich! Jest coś niezdrowego w atmosferze Fatehpuru. Łatwo można to stwierdzić, przyglądając się ludziom obecnym na przyjęciu. Tyle kamer! Hałaśliwy Amerykanin co rusz przerywa mu rozmowę i każe się odwrócić albo przybrać jakąś pozę przed kamerą. Traktuje go jak manekin. Fateh-purski książę w idiotycznym żółtym stroju i ciemnych okularach macha mu przed nosem innym aparatem. Europejskiej menażerii też nie brakuje. Piją bez umiaru, a potem wymykają się parami do rezydencji. Obok przechodzi biały chłopiec w nonsensownym w tym miejscu szkolnym mundurku. Skąd się tu, u diabła, wziął?

- Wiem - mówi nabab z łobuzerskim uśmiechem na twarzy - że zastanawia pana bezgłośny tupot małych stopek.

Sir Wyndham nie rozumie aluzji nababa.

- Cisza. Żadnego tupania. Brak wyczekiwanego niecierpliwie syna.

- Ach, tak - odpowiada ciągle zdezorientowany sir Wyndham. Syn? I wtedy przypomina sobie bliższe informacje o Fatehpurze, które zgłębiał wczorajszego wieczoru. Brak syna. Nabab musi jeszcze zostawić po sobie następcę. Tymczasem służby wywiadowcze twierdzą, że władca strzela ślepymi nabojami.

- Cóż, sir - ciągnie nabab - być może już niedługo usłyszysz pan wspaniałą nowinę!

Słowa starszego brata robią piorunujące wrażenie na księciu Firo-zie, który upuszcza kieliszek i rozlewa szampana na swój uroczysty strój. Na twarz nababa wypływa szeroki uśmiech. Opanowuje go nieodparte pragnienie, by wymknąć się z przyjęcia i spróbować swoich sił z jeszcze jedną czy dwiema konkubinami. Od lat nie czuł się tak jak w tej chwili.

- Tak - mówi z roztargnieniem sir Wyndham, któremu Vesey daje jakieś znaki. -

Bardzo.

- GRRRRHHAWW! - ryczy nabab.

Wszystkie głowy zwracają się w jego stronę. Sir Wyndhamowi chwilowo brakuje odpowiedzi.

Pran szuka wzrokiem sprawcy hałasu. Krąży ostrożnie między gośćmi, udając, że świetnie się bawi. Nagle serce podchodzi mu do gardła. Ktoś mocno łapie go za ramię. Fotograf.

- No, Rukhsana, do roboty.

Pran nie zdążył nic powiedzieć, odepchnięty na bok przez Dom Miguela De Souza w towarzystwie jego dwóch czarujących przyjaciółek, których imiona jakoś mu umknęły. Cała trójka przedziera się przez tłum z rewiovymi melodiami na ustach i nerwowym ożywieniem ludzi, którzy od przedwczoraj nie zaznali snu. Idąc w ich ślady, fotograf popycha Prana w kierunku majora Privett-Clampe'a. Zająwszy pozycję, z której roztacza się imponujący widok na bar, major prowadzi rozmowę z Veseyem. Ten przypomina człowieka daremnie szukającego ucieczki.

- Złośliwa Bestia - opowiada major - uwielbia pędzić wprost na pułapkę, a potem robić gwałtowny unik. To jej ulubiony trik. - Ożywienie majora jest wymuszone. Privett-Clampe nie czuje się najlepiej. Od rana nie wypił ani jednego drinka, zaczyna drzeć na całym ciele. Wsparłszy się na Veseyu, zamyka na moment oczy. Kiedy je otwiera, wszędzie widzi różowe i szare robaki.

- Cholernie ciekawe, stary - mówi Vesey klepiąc majora po plecach - ale służba nie drużba. Czekają na mnie, muszę iść.

Privett-Clampe kiwa głową. Jego też oblaży. Całe ciało. Chwiejnym krokiem dociera do baru. Przy czwartym kieliszku szampana robale zaczynają pełzać wolniej.

- Kobieta - zagaduje major gościa w srebrnej marynarce - może łapać świnię na placu, ale do zabicia zwierza w zaroślach trzeba prawdziwego mężczyzny.

- Czarujące - mruczy Jean-Loup.

W rezydencji De Souza i dziewczęta próbują pocieszyć księcia Firoza. Firoz jest przekonany, że wszystkie wysiłki szlag trafił. Rozchmurz się, stary! Weź trochę prochów na poprawę nastroju! Parę nerwowych pociągnięć nosem i w Firozie narasta silniejsze niż kiedykolwiek postanowienie, że nawet jeśli jego przeklęty brat dokonał rzeczy niewyobrażalnej i poczał potomka, to dziecko nigdy przenigdy - Bóg mu świadkiem, że nie żartuje - nie zasiądzie na tronie Fatehpuru.

- A może byś się uspokoił? - sugeruje De Souza, zaniepokojony zachowaniem księcia.

Mija ich diwan w pełnym pędzie. Szuka nababa. Kiedy przebiega obok De Souzy, połami szaty wytrąca mu buteleczkę z ręki.

- Ej! Wysypałeś naszą kokę!

Imelda (to Imelda, prawda?) nie jest dziś w nastroju i nie potrafi docenić takich kiepskich kawałów. Zdejmuje but i ciska nim w głowę diwana, znikającego już z pola widzenia. Chybia. Kremowy but na wysokim obcasie przelatuje obok turbanu niedoszedłego celu, zatacza widowiskowy łuk nad werandą i ląduje w ogrodzie, trafiając Jean-Loupa w tył głowy. W Jean-Loupie natychmiast odzywa się instynkt ulicznego zabijaki (nie jesteś szybki, już po tobie, nie?). Odwraca się na pięcie w poszukiwaniu napastnika.

Diwan jest zmuszony spytać Charlie Privett-Clampe:

- Widziała pani Jego Wysokość?

- Nie, do jasnej cholery, nie widziałam! - Po tych słowach oddała się szybkim krokiem z posiniałą ze złości twarzą. Choć wyżej postawionym należy się szacunek, choć bez hierarchii społecznej zapanowałby chaos i choć w pewnych sytuacjach udawanie, że się czegoś nie widzi, jest cnotą, są pewne granice i niektórych rzeczy nie można tolerować bez względu na osobę sprawcy.

Na widok szarżującej w jego kierunku pani Privett-Clampe sir Wyndham błędnie. Te sytuacje wyczuwa już z odległości pięćdziesięciu kroków. Minty znowu pokazała, co potrafi. Zgniatą najświeższy telegram w małą kulkę - telegram donoszący, że według najnowszych szacunków liczba zabitych w Amritsarze sięga ośmiuset, a miejscowa prasa twierdzi, że jest dwukrotnie wyższa - i postanawia zapobiec katastrofie.

- Mogę w czymś pomóc? - pyta przebiegle tonem pełnym dyplomacji i taktu.

Tym zbija Charlie z tropu. I właśnie o to mu chodziło.

- Nie - mówi w końcu Charlie, usiłując nadać swemu głosowi zdecydowane brzmienie.

- Widział pan Gusa?

- Rozmawia z Amerykaninem. Tym gościem od filmów. Charlie kiwa głową w roztargnieniu i odchodzi.

- GUS? GUS!

- Charlie?

- Co ty wyprawiasz?!

- One są wszędzie, Charlie. Wszędzie.

Charlie nie zwraca na to uwagi. GUS często gada takie bzdury.

- GUS - syczy. - Zamknij się i słuchaj. Chodzi o Braddockową. Zastałam ją w naszej sypialni, jak najbezpieczniej w świecie brała sobie jedno z moich ulubionych kaszmirskich

pudełek. No wiesz, tych z papier mache, które dostaliśmy kiedyś w Gulmarg. Co za bezczelność! Kiedy weszłam, wcale nie wyglądała na przejętą. Nic a nic. Powiedziała tylko: „Jakie śliczne” i wsadziła je do torebki. Nie wiedziałam, co powiedzieć. I tak to wygląda, GUS. Co z tym zrobimy? GUS?

GUS macha rękami.

- Maść - mówi słabym głosem. - Może to by pomogło. Tymczasem w rezydencji stało się coś niezwykłego. Rzadka rzecz.

Jedno z tych spotkań, o których marzy wielu, a które dane są nielicznym. Minty natknęła się na nababa. Oficjalne spotkania to jedno. Człowiek spotykany przy takiej okazji często nie wychodzi poza rolę, jaką gra. Tu i teraz sprawy mają się zupełnie inaczej. Ona zmierza wolnym krokiem w stronę ogrodu, z torebką wypakowaną nowymi zdobyczami. On pędzi przez hol do auta. Choć Minty Braddock nie jest kobietą pierwszej młodości, zwraca uwagę swoją sylwetką. Nabab zauważa długie ramiona, wysokie jasne czoło, niewielkie, ładnie wykrojone usta. Widok nababa wywołuje u Minty lekki wstrząs. Taki srogi młody władca o haczykowatym nosie, ciemnych oczach i z tyłoma klejnotami! A ta brosza! Wprost nie można się oprzeć. Kiedy nabab zbliża się do Minty, bierze ją za rękę i wydobywa z siebie niesamowity nieartykułowany dźwięk, ona wie, że zrobi wszystko, czego on zechce.

- GRROAAH! - mruczy nabab w zagięciu jej szyi.

- Och, Wasza Wysokość! - szepcze Minty, na śmierć zapominając o nakazach etykiety.

- Och!

- Minty?

Nie, to nieprawda! A jednak. To płaczący głos jej męża. Stary poczciwiec stoi za plecami nababa. Zażenowany, przygryza wąsy i udaje, że kaszle, zasłaniając usta ręką zaciśniętą w pięść. Nabab odwraca się i w pierwszym odruchu energicznie potrząsa dłonią sir Wyndhama.

- Doskonale, sir. Naprawdę doskonale.

Sir Wyndham, nawykły do pochwał z przyczyn nie zawsze oczywistych, dziękuje nababowi za życzliwe słowa.

- Zobaczymy się na polowaniu - dodaje, ale mówi już do pleców odchodzącego nababa. Po chwili słychać silnik. Władca Fatehpuru opuszcza przyjęcie w chmurze zwiru wypryskującego spod kół jego auta.

*

Tego popołudnia w Fatehpurze ogólny poobiedni kac nie zakłóca przygotowań do polowania. Na łózkach leżą stroje w kolorze khaki oraz tropikalne hełmy. Lufy strzelb są wyczyszczone i naoliwione. Trwa sprawdzanie latarek, nakładanie rozmaitych specyfików przeciw komarom, pieczołowite napełnianie manierek i pojemników na prowiant. Światło dnia będzie towarzyszyć wszystkim jeszcze przez kilka godzin, ale każdy myśli już o nocy, jaką przyjdzie mu spędzić w lesie.

Nie, nie każdy. Niektórym wcale nie idzie tak gładko. Charlie widzi, że GUS jest jeszcze bardziej bezradny niż zazwyczaj, nie radzi sobie z najdrobniejszymi rzeczami. W sypialni dla gości sir Wyndham nie potrafi wyciągnąć z Minty ani słowa, nawet po wysypaniu z jej torebki imponujących łupów w postaci puzderek, zapalniczek, papierośnic i ozdób z kości słoniowej. W pałacu nabab zniknął w zakamarkach zenany choć piski, ryk i nerwowy kobiecy śmiech pozwalają rozchichotanym sługom zlokalizować położenie władcy. W ubieralni księżę Firoz nie potrafi wybrać między angielską bluzą z paskiem a niemieckim długim płaszczem, podarowanym mu w zeszłym roku przez margrabię Stumpfburga. Niezdecydowanie co do stroju jest u Firoza objawem stresu. Problem zostaje rozwiązany w prosty sposób. Obie rzeczy wylatują przez okno.

Niektórzy myśliwi mają więcej do pakowania niż reszta. Słudzy pana Bircha ostrożnie niosą do jednego z aut skrzynkę będącą kiedyś własnością amerykańskiej armii, oznaczoną czerwonymi napisami OSTROŻNIE! Khwaja-sara filtruje przez muslinową tkaninę jakąś zielonkawą maź. Pran czeka w alkowie, ubrany w nowiutki strój białego łowcy, z wysoko podciągniętymi podkolanówkami i w za dużym kapeluszu, który opada mu na oczy i zmusza do wyginania do tyłu szyi, żeby cokolwiek zobaczyć. Pran usiłował powiedzieć fotografowi o paru rzeczach - że chłopak w srebrnej marynarce najwyraźniej chce go zabić i że druga frakcja wydaje się równie zainteresowana zrobieniem majorowi kompromitujących zdjęć. Nikt go nie słucha. Pran macha nerwowo nogami, wałąc raz po raz piętą w kamienne siedzisko. On wcale nie cieszy się na to polowanie.

Jean-Loup jest na piętrze w pałacu. Pomaga Imeldzie, De Souzie i szwedzkiej tancerce uporać się z resztką proszku na poprawę nastroju. Prawie wszyscy postarali się o jakiś myśliwski element stroju. Kapelusz. Artystycznie wiązany szal barwy khaki. Każde z nich ma strzelbę. To bardzo ważne. Ta paczka uwielbia broń. Broń i kokę.

O piątej po południu przed pałacem stoi sznur aut. Przy jednym z nich dzieje się coś osobliwego. Wokół krąży paru mężczyzn, którzy zaglądają przez okna do środka. Z rozbitego nosa modnie odzianego myśliwego cieknie krew, a jego wrzeszczącej wniebogłosy

towarzyszce ktoś siłą wydziera z ręki broń. Khwaja-sara dyskretnie kieruje kelnera z drinkami na tacy ku konkretnym osobom. Szoferzy otwierają pasażerom tylne drzwi, obiegają auta, zapalają silnik i ruszają, wzbijając kołami tumany kurzu. Pran siedzi ściśnięty obok fotografa w ostatnim aucie kawalkady. Podczas długiej i męczącej jazdy ku lasom Fatehpuru przysypia, gdy jego zacny towarzysz robi mu wykład o honorze księstwa i bajecznej nagrodzie, jaka go czeka za pomoc w przekonaniu tego siostrojebcy Anglika do utrzymania sukcesji nababa.

Kiedy fotograf budzi Prana szarpnięciem za ramię, są zupełnie sami. Reszta konwoju zniknęła. Auto stoi na jakiejś polanie, szofer stoi obok i pali bidi. Otaczają ich strzeliste drzewa wzbijające się w poszarzałe niebo. Słońce musiało zejść zupełnie niedawno. Pran gramoli się z auta i rozprostowuje ścierpnięte nogi, usiłując strząsnąć z siebie długie godziny jazdy w niewygodnej pozycji. Droga przed nimi, która zdążyła już przejść w wąski, poryty bruzdami trakt, zanika zupełnie. Pran usiłuje przebić wzrokiem zieloną ścianę ciemności, gęsty, tętniący życiem świat, znaczony różowymi i czerwonymi plamami kwitnących rododendronów. Wokół pokrytego kurzem auta drzewa rozbrzmiewają głosami ptaków. Śpiewne komunikaty zagłuszają wszystko inne. Przerzywa je dopiero nagły trzask i szelest wywołany przez małą skaczącą z gałęzi na gałąź. Fotograf przygląda się temu z pogardą w oczach. Po chwili zakłada drucziane okulary.

- Chodź - mówi.

Pran zauważa chudego, ciemnego wieśniaka, który zza drzew śle im gest powitania. Mężczyzna umieszcza na głowie części wyposażenia aparatu, po czym daje im obu znak, żeby szli za nim. Fotograf zdejmuje strzelbę z ramienia i trzyma ją przed sobą niczym kij. Ma na sobie myśliwski strój z szetlandzkiego tweedu i pasujący do całości tweedowy turban. Dwa bliźniacze pasy z nabojami przewiesił przez pierś na bandycką modłę. Na widok jego zaciętej twarzy Pranowi ciarki chodzą po plecach. Trapi go myśl, czy przypadkiem plan uwiedzenia majora nie był tylko pretekstem, żeby zwabić go tu i zamordować.

Oliwne lampy pomagają im znaleźć drogę wzdłuż wyschniętego potoku. Zarośla tworzą nad ich głowami ażurowy baldachim. Las rozbrzmiewa okrzykami, trelami i gwarem informującym mieszkańców leśnych ostępów o trzech wędrowcach. W pewnej chwili gdzieś przed nimi wyskakuje z ciemności coś wielkiego. Niewyraźny kształt z trzaskiem przemyka między drzewami. Po upływie pół godziny, gdy fotograf zaczyna już sapać i ocierać rękawem pot z czoła, czyste leśne powietrze przynosi zapach gotowanych potraw. Przed nimi otwiera się polana.

Wokół ognia siedzą mężczyźni w przepaskach na biodrach. Przed każdym z nich stoi ogromny stalowy talerz z ryżem i brejowatym dałem. Mają ciemną stwardniałą skórę.

Miejscowe plemię. Wśród nich są dwie kobiety. Z ciężkimi ozdobami ze srebra w uszach, na kostkach, przegubach i w nosach przycupnęły na uboczu. Szorują garnki i szepeczą między sobą, błyskając zażółconymi białkami oczu. Ich zaciekawione spojrzenia zatrzymują się na nowo przybyłych. Po chwili kobiety zasłaniają twarze końcem sari i wbijają wzrok w ziemię. Fotograf zaczyna wydawać polecenia. Mężczyźni podnoszą się niespiesznie.

Za nimi widać jakieś dwa spore kopce osłonięte gałęziami. Pran obchodzi ognisko i zbliża się ku nim. Wita go donośny chrapliwy głos. Ryk. Przerażony Pran staje twarzą w twarz z parą tygrysów w klatce. Bestie przyglądają mu się leniwie, z językami na wierzchu. Ich wilgotne oczy zdają się ledwo rejestrować jego obecność. W poszukiwaniu wyjaśnienia Pran odwraca się w stronę fotografa. Wszyscy mężczyźni szczerzą zęby w szerokim uśmiechu, jakby zdradzili mu sekret szykowanego kawału.

- Kiedy Angrezi polują - śmieje się fotograf - niektórych spraw lepiej nie zostawiać przypadkowi.

Jeden z tubylców doskakuje do klatki, wkłada rękę między pręty i trąca wielki aksamitny pysk. Uderzony tygrys muska łapą jego rękę z łagodnością kota.

- Nie za bardzo je odurzyłeś? - pyta fotograf. - Będziesz musiał je ciągnąć do stanowisk.

- Nie, sir. Nie. Są wystarczająco przytomne, żeby je ustrzelić. Ci obcy i tak nie zauważą różnicy.

- Racja - mruczy fotograf. Teraz pozostaje jedynie czekać.

Nieco dalej w głębi lasu zasadnicza grupa posila się lekką kolacją. Wokół stoją kosze z pokrywkami. Naczynia do chłodzenia wina. Rozkładane stoliki nakryte białymi obrusami. Książę Firoz wędruje między cudzoziemcami, bardziej cudzoziemski niż jego goście. Nie może usiedzieć w miejscu. Od czasu do czasu rzuca spojrzenie w kierunku pijanego majora, który pałęta się między autami z flaszką w ręce, wstrząsany mimowolnymi drgawkami. Wygląda, jakby... Tak, najwyraźniej mówi sam do siebie. Jean-Loup nie powinien mieć z nim kłopotów. Jeśli po tej głupiej historii z filmem pornograficznym facet go nie zarekomenduje, trzeba będzie wyrzucić na niego presję. Birch przywiózł góry sprzętu i w tej chwili pewnie rozkłada wszystko w jakimś dogodnym punkcie obserwacyjnym. Musi się udać. Chyba że jego przeklęty brat mówi prawdę. Chyba że, Boże uchojaj, udało mu się umieścić porcję swojej niepełnowartościowej spermy w ciele jednej ze swoich kobiet i zapłodnić ją. Firoz uważa, że to nieprawdopodobne. A jednak... Dobrze poinformowane źródła w zenanie złożyły alarmujące doniesienia. Niech to szlag! Teraz żałuje, że nie wybrał innego kapelusza. Ten jest za bardzo

hinduski. Niech to szlag!

Diwan też myśli o zdjęciu. Nie ufa fotografowi, któremu trzeba było przypominać, że czeka go praca po ciemku. A jak twoje urządzenie będzie widzieć w ciemnościach? Och, nad tym się nie zastanawiał. Jedno jest pewne. Gdyby ten idiota zrobił dobre zdjęcie za pierwszym razem, wszystkie zabiegi nie byłyby teraz potrzebne. Poza tym major nie wydaje się sobą. Może jest chory? A i nabab sahib zachowuje się bardzo dziwnie. Zaraz po wyjściu z auta przysunął się do lady Braddock i zrobił coś bardzo nieprzyzwoitego. Otarł się o nią. Naturalnie dobre maniery kazały całemu towarzystwu udać, że nic się nie stało, lecz po minie sir Wyndhama widać, że jest zły. Jego uczciwa angielska żona nie powinna pozwolić nababowi pieścić swoich piersi, nawet jeśli ten stoi wyżej w hierarchii.

Słychać sygnał do wymarszu. Towarzystwo sadowi się na słoniach. Czekają ich jeszcze parę mil wędrówki przez dżunglę. Wszystko przebiega gładko, nie licząc błazeństw szwedzkiej tancerki, która życzy sobie, by jej słoń usadził ją na grzbiecie trąbą. Wreszcie zwierzęta ruszają rozkołysanym krokiem jedno za drugim, zanurzone w wysokiej trawie. Nad ich szarymi grzbietami zawisa ciężka atmosfera spisku, celowych przemilczeń, naprędce przeprowadzanych kalkulacji, nerwowego przebierania palcami, dziwnego przyciągania i odpychania, paranoicznych wyobrażeń. Pod ich wpływem zwierzęta stają się nerwowe i płochliwe. Kornacy dotykają piętami wrażliwych miejsc za uszami swoich podopiecznych i półgłosem dodają im otuchy.

Wysoka trawa przechodzi w las. Towarzystwo zsiada i ostatni odcinek drogi pokonuje na piechotę. Królewski łowczy wyznaczył miejsce, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinien zjawić się tygrys. Wiekowy dworzanin z sumiastymi wąsikami sam kroczy na czele pochodu. Poniżej łagodnego grzbietu wzgórza biegnie wyschłe koryto rzeki. W zakolu jest jeszcze trochę całkiem czystej wody. Właśnie tutaj, mniej więcej półkuliście, rozmieszczono na drzewach drewniane platformy. Obszerne i solidne, wsparte na niższych gałęziach, zaopatrzone są w stołki i miejsca do leżenia.

- Nikt - wykrzykuje nabab pierwsze od paru godzin słowa zrozumiałe dla otoczenia - nie może cierpieć niewygody w gościnie u pana Fatehpuru!

Jego szumną deklarację goście kwitują słabymi oklaskami.

- Niezłe miejsce - zauważa Vesey z afektowanym uśmiechem człowieka, który zastrzelił już jednego czy dwa wielkie koty. Diwan uprzejmie przyznaje mu rację. Sam, niestety, nie znajduje w sobie tyle entuzjazmu dla myśliwskiego aspektu dzisiejszego wieczoru, głównie dlatego, że już wie, co będzie dalej. Około drugiej po północy sir Wyndham ustrzelił dorodnego samca, który w cudowny sposób okaże się o dwa cale dłuższy (od czubka nosa po

koniec ogona) od tygrysa zastrzelonego przez jego poprzednika trzy lata temu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, drugi Anglik powali drugie zwierzę. Taka manipulacja przyniesie rozczarowanie niektórym gościom. Gospodarze hołdują jednak przekonaniu, że polityka wymaga pewnych ofiar. Najważniejsze, by sir Wyndham kojarzył Fatehpur z odniesionym sukcesem. Nawet jeśli nie brać pod uwagę względów czysto dyplomatycznych, brak spontaniczności u diwana wydaje się nieunikniony. Ostatniego żyjącego na wolności tygrysa zastrzelono w Fatehpurze w 1898 roku. Od tego czasu rodzina panująca sprowadza swoje tygrysy z Asamu, gdzie mają ich nadmiar.

Trzy cieleta na wątych nóżkach myśliwi zostawiają spętane przy bajorku. Nacinają im grzbiety nożami na tyle głęboko, by popłynęła krew. Zwierzęta grzebią kopytami w ziemi i ryczą przerażone, jakby wiedziały, że z każdą chwilą las napęlnia się ich nęcącym zapachem. Pod komendą królewskiego łowczego goście wykonują skomplikowany taniec. Trwa rozdział miejsc. Zamieszanie wynika częściowo z cudacznej wymowy nazwisk, tłumionej jeszcze zwisającymi wąsiskami łowczego, a częściowo z niechęci niektórych gości do zajęcia przydzielonych im stanowisk. Choćby pani Privett-Clampe i lady Braddock, które z niezrozumiałych powodów nie kwapią się do wspólnego spędzenia nocy na drzewie. Sir Wyndham zostaje czym prędzej odholowany na najlepsze stanowisko w towarzystwie nababa i księcia Firoza. Privett-Clampe, który ledwo widzi drzewa, więc jakże miałby wdrapać się o własnych siłach po sznurowej drabince na swoją platformę, dociera tam przy wydatnej pomocy Veseya i De Souzy. Ten ostatni odprowadza tęsknym spojrzeniem swoje przyjaciółki, którym przypadło bezpieczne stanowisko z samego brzegu. Zanim myśliwi zajęli miejsca, a drabinki zostały wciągnięte, las spowiła ciemność. Teraz pozostało jedynie czekać.

Pran zasnął. Budzi go fotograf, który wygląda, jakby sam ocknął się przed chwilą. Mówi stłumionym, ochrypłym głosem i wygląda na poruszonego.

- Pospiesz się! - szepcze. - Już jesteśmy spóźnieni.

Po ognisku zostały jedynie żarzące się szczapy. Tubylcy zniknęli, tygrysy razem z nimi. Fotograf zbiera swoje rzeczy i obaj puszczają się szalonym pędem między drzewami. Ostre krzewy czepiają się ich ubrań, łapią za kostki niczym zebrzące dzieci. Pran nie rozumie, po co ten pośpiech, nie rozumie, po co gnają przed siebie. Czuje tylko, że całe jego życie streszcza się w tym jednym akcie - w szaleńczej gonitwie przez lepka, oporną ciemność. Ta myśl rodzi w nim śmiech. Pran biegnie, dysząc i chichocząc jednocześnie, z lekkim sercem, beztroski i niefrasobliwy.

Polowanie na tygrysa wymaga ciszy i cierpliwości. Jeśli wiatr nagle zmieni kierunek i wyczekiwana zdobycz chwyci w nozdrza zapach myśliwego, będzie trzymać się z daleka. Ta reguła nie dotyczy jedynie najbardziej wygłodniałych tygrysów-ludojadów. Podobnie najdrobniejszy szmer może zepsuć wszystko. Nie mówiąc o głośnym chichocie czy strzelaniu korków od szampana. Charlie Privett-Clampe, zadowolona z księżycowego blasku zalewającego wyschłe koryto rzeki i miejsce, w którym tkwi potrójna przynęta, nie chce, by jej szansę na ustrzelenie tygrysa zrujnowało hałaśliwe towarzystwo z ostatniej platformy. Co oni tam wyprawiają? Urządzają cocktail party? Charlie syczy „ciii” jak widz w teatrze, ale kiedy to nie robi na nich żadnego wrażenia, wraca do milczącego rzucania groźnych spojrzeń z nad lufy strzelby i sadowi się wygodnie, usiłując ignorować Minty, która zalotnie czesze włosy.

Nie tylko rozbawione towarzystwo na najdalszym drzewie ma kłopoty z zachowaniem ciszy i spokoju. Niektórzy uczestnicy polowania odczuwają przykre dolegliwości. Ich źródło tkwi w jednej z tych podejrzanych lemoniad serwowanych tuż przed odjazdem. Jej dziwaczny smak został im w ustach, stał się wyraźnie metaliczny. Teraz dołącza do niego coraz intensywniejsze uczucie, dla którego jedynym określeniem jest „świadomość żołądka”. Żołądek każdego z nich (organ, którego istnienia właściciel świadom jest sporadycznie) przypomina o sobie, jest ruchliwy, aktywny, niespokojny. W gronie cierpiących znalazł się Vesey. W brzuchu przewala mu się jakaś błotnista maź, która już na platformie przemienia się w bulgoczące bagno. Żadne zaciskanie nóg czy autosugestia z gatunku „umysł panuje nad materią” nie zapobiegą nieuniknionemu. To tylko kwestia czasu.

- Bardzo mi przykro - zwraca się do Privett-Clampe'a - ale muszę zejść na chwilę.

Księżę Firoz odczuwa coś podobnego, postanawia jednak, że za nic w świecie nie zostawi brata sam na sam z sir Wyndhamem. Na razie prowadzili banalną rozmowę, ale ryzyko, że pod jego nieobecność Murad poruszy temat sukcesji, jest zbyt wielkie. Mimo to kryzys zbliża się nieuchronnie, a Firoz nie przywykł do cielesnego dyskomfortu. Sięga w głąb siebie w poszukiwaniu pokładów cierpliwości i wytrzymałości, które mogły się ostać mimo lat gonitwy za przyjemnościami. Niestety, ich zasoby okazują się bardzo skromne. Nie pomagają ani ukradkowe puszczenie wiatrów, ani popijanie wody małymi łykami. Księżę podciąga kolana do klatki piersiowej i próbuje myśleć o polo, samolotach i innych prawdziwie męskich rozrywkach.

Z minuty na minutę wzmacnia się ruch między drzewami. Myśliwych, głównie z frakcji księcia Firoza, wzywa na dół nagły zew natury. Przy każdym poruszeniu w zaroślach reszta

przykłada broń do oka, zaskoczona bogactwem toczącego się w dżungli życia. Kucnąwszy w kolczastych krzewach, dokładnie na linii strzału sir Wyndhama, Imelda uświadamia sobie, ile godzin jazdy dzieli ją od najbliższej splukiwanej toalety, i zaczyna płakać. Sir Wyndham, który w trakcie trzydziestu pięciu lat służby zagranicznej ani razu nie widział kobiety w trakcie wydalania, obserwuje ją przez celownik z mieszaniną odrazy i fascynacji. Minty też robi takie rzeczy. Boże! Za jego plecami wszczytna się ruch. Nabab zrzucił sznurową drabinę i zaczyna schodzić.

- Wasza Wysokość też? - pyta sir Wyndham.

Nabab nie odpowiada. Niemal natychmiast po jego zniknięciu w ciemnościach księżę Firoz, zwinięty dotąd w pozycji embrionalnej, rozprostowuje się z tłumionym westchnieniem i idzie w ślady brata, zostawiając za sobą smrodliwą chmurę. Sir Wyndham zostaje całkiem sam.

Major Privett-Clampe też jest sam. Vesey i De Souza gdzieś zniknęli, a jego spowija aksamitny pełzający mrok. Świat majora wydrążyły w środku robaki, pozostawiając go zawieszonoego w przestrzeni niczym tłustą rumianą muchę w pajęczej sieci. Tak widzi teraz splątane gałęzie. Wyglądają zupełnie jak pajęczyna. Zwidów przybywa. Kłębią się przed oczami, rozrastają. Nie sposób ich odegnąć. Tylko twarde, uparte wpatrywanie się w jeden punkt przemiana to rozedrgane i wykręcane konwulsjami, upiorne miejsce w typowy układ obiektów w przestrzeni. Ciemność jeszcze pogarsza sytuację. Niebezpieczeństwo czai się wszędzie. Zewsząd dobiega szelest. Najwyraźniejszy zza drzewa na tyłach platformy. Coś tam jest. I patrzy. Major mocniej ścisną strzelbę. Jego myśli biegną ku Four Hundred i Dolinie Śmierci. Jeśli przyjdzie co do czego, nie zawaha się. Ruszy naprzód.

- Czy pani naprawdę musi podśpiewywać? - syczy Charlie do Minty. Miarka się przebrała.

- Raczej tak.

- Jeśli nie zależy pani na upolowaniu tygrysa, mogłaby pani przynajmniej mieć wzgląd na tych, którym zależy.

Minty wzdycha ciężko i przeciągle, co w jej zamyśle ma oznaczać politowanie przemieszane z nudą.

- Och, robi się pani nieznośna. Nic dziwnego, że Augustus tyle pije. Lepiej będzie, jeśli pójdę na spacer.

Charlie nie wierzy własnym uszom.

- Spacer? Jesteśmy w samym sercu dżungli!

- Właśnie. Bardzo romantyczne miejsce. W sam raz na czarującą przechadzkę.

Po tych słowach Minty zrzuciła sznurową drabinę i schodzi. Charlie śledzi jej ruchy na

celownika swojej strzelby, zmagając się z impulsami zgoła nieangielskimi. Ustalony porządek został zakłócony, polowanie zaczyna tracić sens. Charlie czuje się jedyną ostoją porządku w tym miejscu, maleńką wysepką na morzu chaosu, samotną skałą zalewaną gniewnymi falami, na której szczycie łopocze postrzępiony Union Jack.

Fotograf wreszcie zwalnia. Pran słyszy ryk przerażonych cieląt. Dotarli na miejsce. Obaj zerkają zza gęstego listowia w stronę trzech nieszczęsnych zwierząt, które szamoczą się rozpaczliwie na wszystkie strony. Fotograf łapie Prana za kołnierz i wskazuje platformę majora.

- To tam. Idź. Ja ruszę za parę minut. Prana gnębi jedna myśl.

- A co z tygrysami? Już je wypuścili?

- Nie. Jasne, że nie. - Głos fotografa nie brzmi przekonująco. - Przecież nie było żadnych strzałów, prawda?

Trąca Prana otwartą dłonią w głowę i popycha naprzód.

Nadchodzące miesiące przyniosą wiele wersji zdarzeń, które za chwilę nastąpią. Część relacji zostanie podyktowana, część napisana lub zreferowana ustnie przełożonym. Większość z nich będzie różnić się od siebie nawet w kwestiach zasadniczych, lecz biurokratyczna alchemia India Office pogodzi te różnice. W rezultacie powstanie ujednolicona wersja w formie dwustronicowej notatki. Ów dokument, opatrzony ośmioma podpisami (w tym dwóch ministrów) i napisem „Ściśle tajne”, stanie się odtąd dostępny jedynie dla wybrańców, którzy uzyskają stosowne poręczenie ze strony brytyjskiego rządu. Zostanie uznany za oficjalną i ostateczną wersję „Incydentu w Fatehpurze” i nie trzeba chyba dodawać, że rozminie się z prawdą niemal w każdym szczególe. Obecność w lesie uzbrojonych powstańców, polityczny motyw nieudanego zamachu, waleczna i tragiczna w skutkach postawa niektórych brytyjskich oficerów - żadna z tych rzeczy nie odpowiada rzeczywistości. Z wyjątkiem ryku. Wszystkie źródła zgodnie twierdzą, że najpierw było słychać ryk.

Pran słyszy go w trakcie podkradania się pod stanowisko majora. Zastyga w bezruchu. Tygrysy, wypuścili tygrysy, przelatuje mu przez głowę. To jego ostatnia spójna myśl w ciągu nadchodzących minut. Zaraz potem rozbrzmiewają wystrzały, okrzyki, głucho uderzenia, gwałtowny szelest i nagły szum. Z któregoś drzewa wzbija się w górę smuga dymu. Po chwili na niebie eksploduje kula oślepiającego światła.

Z ciemności wyłaniają się osoby dramatu.

Najpierw sam bombardier. Cornwell Birch wie, że gdy w grę wchodzi szantaż, nie ma

szansy na drugie ujęcie. W kwestii tak skomplikowanej jak nocne zdjęcia niczego nie można zostawić przypadkowi. Dlatego postanowił zastosować bardzo efektywną, choć radykalną technikę oświetlenia. Wystrzelił raketę świetlną używaną przez piechotę Wuja Sama na ponurym Froncie Zachodnim. Z pobliskiego drzewa ma doskonały widok na platformę majora Privett-Clampe'a. Niestety, gwiazdy wieczoru tam nie ma. Jest tylko Jean-Loup w pełnej krasie, gotów na zbałamucenie majora - odrobina różu, obcisłe szorty, rozpięta do pasa koszula khaki. Jean-Loup potyka się, zasłaniając oczy przed blaskiem. Z kamerą wspartą o wystającą gałąź Birch klnie na czym świat stoi. Szybko jednak odzyskuje zimną krew (prawdziwie profesjonalne podejście) i kieruje obiektyw ku ziemi.

Na jego oczach rozgrywa się sensacyjna akcja, by użyć hollywoodzkiego terminu. Obiektyw wylapuje nababa, który wyskakuje z zarośli całkiem nagi, jeśli nie liczyć topi na głowie. Jest nabrzmiały i zalany krwią, choć zdaje się, że to krew Minty, która - również naga - biega wokół niego, kurczowo ściskając trafione ramię. Nigdy już nie będzie wiadomo, czy to nabab był źródłem ryku, ponieważ z zarośli wyskakuje też większy z tygrysów. Szybki ruch kamery i już w obiektywie jest książę Firoz, który piszcząc ze strachu, podciąga powalaną bieliznę i zmyka przed ziejącą bestią. Kilka kul trafia w ziemię obok księcia. Odpowiada im ogień, który - co bardzo dziwne - zdaje się być skierowany w stronę platform. I wtedy zza drzew wyłania się nieobecna dotąd gwiazda filmowa. Major Privett-Clampe we własnej osobie. Z obłędem w oczach strzela na prawo i lewo niczym Tom Mix osaczony przez Indian. Z platformy na której jest jego żona, sypie się grad kul. Minty i nabab chronią się przed kolejną serią strzałów. Wygląda na to, że padają one - co chyba zrozumiałe - od strony sir Wyndhama. Ktoś wyje z bólu. Imelda z krzykiem biegnie przed siebie w poszukiwaniu schronienia, zderza się z pniem drzewa i traci przytomność. Ludzi ogarnia panika. I histeria.

Pran przygląda się tej scenie z otwartymi ustami. Za nim fotograf z trudem łapie oddech, potem z niewytłumaczalnego powodu rusza naprzód, być może z nadzieją na zdjęcie. Trafiony zabłąkaną kulą, pada w poszycie. Wygląda teraz jak rozedrgany stos tweedu. Birch posyła w niebo kolejną raketę świetlną, a przy okazji traci równowagę i (czego będzie żałował do końca życia) spada z drzewa, roztrzaskując kamerę. Ktoś woła lekarza. Inne postacie - hinduskie i europejskie - przemykają między drzewami w mniej lub bardziej zdekompletowanych strojach. Pran patrzy na wszystko z dziwnym uczuciem wyobcowania. To, co się dzieje na jego oczach, nie ma z nim nic wspólnego. Fatehpur najpierw wciągnęło go do swego wnętrza, a teraz wyrzuca z siebie. Jak we śnie Pran cofa się o krok. Żadnej reakcji. Nikt nie zauważy. Nikogo to teraz nie obchodzi. Odwraca się, robi kolejny krok, potem następny. Powoli rusza przed siebie, zanurzając się w las.

Za plecami słyszy jakiś trzask. Obraca się gwałtownie. To major, dziki i widmowy w fosforyzującym blasku, z krwawą raną na głowie, z rękami zaciśniętymi na strzelbie tak mocno, że widać bielejące kostki.

- Mój chłopiec - mówi słabym głosem, z widocznym wysiłkiem.

- Nie jestem pana chłopcem - odpowiada Pran.

Oczy majora rozszerzają się jak pod wpływem zdziwienia. Privett-Clampe opada na kolana, wypuszcza broń z rąk i wolno osuwa się na ziemię.

Pran stoi przez chwilę nad martwym cielskiem z białymi kolanami i wystającym brzuchem, celującym w atramentowe niebo. Potem rusza w dalszą drogę. Nie jest sam. Towarzyszy mu czworo świecących oczu. I szmer gorących oddechów. Tygrysy też straciły ciepłość. I jak on odchodzą. Cała trójka zmierza wspólnie ku granicy z Indiami Brytyjskimi.

CZEŚĆ III
BIAŁY CHŁOPIEC

□

Droga prowadząca do Amritsaru wydaje się Jiwanowi Singhowi bardzo spokojna. Mlaskając językiem, wskazuje ją bratu. Niższy o głowę i młodszy o rok Abhay przytakuje z poważną miną. Droga jest pusta. Dzień upalny. Chłopcy machają nogami, mrużą oczy przed słońcem i raz po raz cmokają. Widać wtedy ich zepsute żółtawe zęby, najbardziej rzucającą się w oczy spuściznę po ojcu. Wóz w tumanach kurzu toczy się naprzód z ładunkiem glinianych garnków, które klekoczą przy każdym wstrząsie i każdej koleinie. Bezimienny bawół rodziny Singhów, unieruchomiony między dwoma dyszlami, macha ogonem, zganiając muchy z kościstego zadu.

Kobiety w wiosce mówią, że garncarz Bishen Singh nie grzeszy rozumem, jedyne, do czego się nadaje, to płodzenie synów. Ma ich sześciu; umarło tylko dwóch. To żadna sztuka płodzić dzieci. Wszyscy synowie Bishena Singha mają po nim tępotę i paskudne zęby. Bishenowi Singhowi naprawdę brak piątej klepki. Tylko on mógł wpaść na pomysł wysłania synów na targ do Amritsaru w takiej sytuacji. I tylko synowie Bishena Singha mogli bez jednego pytania zabrać przypadkowego wędrowca, który teraz drzemie obok nich na wozie.

Wóz toczy się wolno do Amritsaru. Sahib, który sposobem mówienia wcale nie przypomina sahiba, budzi się i zaczyna drapać.

- Daleko jeszcze? - pyta.

- Godzina, sahib - odpowiada Jiwan Singh.

Młody nieznajomy kiwa głową, chwyta palcami przód przepoconej koszuli khaki i potrząsa nią, wietrząc lśniąca od potu pierś. Potem znów zapada w sen. Przespał cały ranek. Gdyby nie spał, dostrzegłby niespokojne twarze wartowników przy moście kolejowym albo gruzy ostatniej mijanej wioski, zbombardowanej w odwecie przez samoloty sahibów. I wyczułby złowrogą ciszę. Od samego rana mały wóz zanurzał się w niej coraz głębiej.

Tego rodzaju cisza potrzebuje czasu. Zalegała stopniowo od paru miesięcy, po każdym straszliwym wydarzeniu coraz bardziej złowieszcza. Pendżab to spichlerz Indii Brytyjskich. I nieustające źródło rekrutów. Dla sahibów ta nizinna kraina pól poprzecinanych kanałami nawadniającymi i rzekami o niskich błotnistych brzegach jest wszystkim, a ostatnio czuli, że wymyka im się z rąk. Zaczęło się od pogłosek. Tajne rozmowy Hindusów z Rosjanami i Niemcami. Bolszewizm, bunt - nieuchronne skutki edukacji miejscowej ludności, jak utrzymują zwolennicy rządów twardej ręki. Ulotki rozlepiane w miejscach publicznych. „Bądźcie gotowi zabijać i umrzeć”. Później pojedyncze znaki. Marsz hindusów, do którego dołączyli muzułmanie. Okrzyki: „Mahatma Gandhi ki-jay!”. Tańce na ulicach i bicie w bębny. Religijni wrogowie pijący z jednego kubka. Sahibowie zaczęli liczyć broń i mówić między

sobą, że czas rozmów się skończył. Na domiar złego żołnierzy dziesiątkowała grypa. I tak niewiele było białych twarzy w brunatnym morzu, jakie ich otaczało. Jak Pendżab długi i szeroki, w klubowych palarniach toczyły się dyskusje o mocnym rządzie, zbrojnym uderzeniu, i to zdecydowanym.

Atmosfera gęstniała. Zaczęły się masowe wiece. Babu z Kongresu nawoływali do strajków. Tłum na meczu krykieta wdarł się na boisko, zniszczył bramkę, powyrywał paliki i groźnie nimi wymachiwał. Przyszły nocne aresztowania. Przywódców ruchu narodowego wywieziono poza granice stanu. Inny bezładny rozwścieczony tłum zgromadził się w Aitchison Park, w niebezpiecznej bliskości dworca kolejowego i telegrafu. Ktoś rzucił kamieniem w stronę schludnych rządowych bungalów, skrywających schludne anielskie żony i anielskie dzieci w schludnych ubrankach. Oczywiście żołnierze otworzyli ogień. Wypaloną słońcem trawę zasłały trupy. Od tego się zaczęło.

Wreszcie na rozedrganym z gorąca horyzoncie ukazują się mury miasta. Sahib budzi się, gdy wóz przejeżdża przez bramę Ghi Mandi. Na jego widok angielscy żołnierze otwierają usta ze zdumienia. Jeden z nich podchodzi bliżej z wycelowanym w ich stronę karabinem, ale nie każe im zejść. Jiwan, Abhay i sahib wjeżdżają do spalonego, pogrążonego w ciszy miasta.

- Dalej już pójdę - mówi Pran. - Dziękuję.

Chłopcy kiwają głowami i mlaskają słowa pożegnania. Zostawiają Prana obok kupy gruzów, wypalonego szkieletu Alliance Bank.

Działy się tu straszne rzeczy. Przeróżające. To miejsce pulsuje od wspomnień. Solidne drewniane meble wywlekane na ulicę i oblewane naftą. Wykrzywiona w krzyku i czerniejąca twarz dyrektora banku, pana Thompsona, spalonego żywcem przez wyjąca tłuszczę.

Na widok Prana ludzie przystają, posyłając mu nienawistne spojrzenia. Od prawie dwóch tygodni jedynymi sahibami w mieście są patrolujący je wojskowi. Kobiety i dzieci sahibów przewieziono do fortu Gobind Garh. Skąd nagle ten chłopiec, który spaceruje po ulicach i przygląda się zgliszczom niczym turysta? Ponad okopconymi dachami wyrasta lśniąca kopuła Złotej Świątyni. Niepomny wrogich reakcji przechodniów, Pran zmierza w jej kierunku.

Miasto naszpikowane jest wspomnieniami. Podpalenia i plądrowanie. Po bankach poczta. Potem posterunek policji. Angielskie sklepy na Hali Bazaar. Biali zatłuczeni na śmierć. Pani Easdon, lekarka w szpitalu, smaruje sobie twarz czarnym atramentem i w pośpiechu wkłada sari, gdy na dole w aptece napastnicy rozbijają butelki i gwałcą anglo-hinduskie siostry. Gdzie indziej, w spokojnym mieście Dżalandhar, wieczorne przyjęcie u generała przerywa nadejście telegramu. „Spodziewałem się tego - mówi generał niespokojnemu posłańcowi. - Szykuje się niezła zabawa”. Goście odprowadzają go na werandę Flagstaff House z drinkami w

rękach i machają mu na pożegnanie.

Pran nie zapuszcza się głębiej w Dżalijanwala Bagh. Czuje tu złowrogą aurę nieobecności i mija to miejsce szybkim krokiem. Jedyne ruch odbywa się nad ziemią. To para jastrzębi, które ciągle krążą w powietrzu, choć minął już tydzień. Wejście jest wąskie i prowadzi ku czemuś, o czym Pran nie wie, a czego nie chce oglądać. Rozległy plac, otoczony ze wszystkich stron wysokimi murami, idealny na potrzeby wielkich zgromadzeń.

Tydzień temu... Popołudniowe cienie wydłużały się coraz bardziej, gdy pięćdziesiątytysięczny tłum słuchał przemowy nawołującej do nieposłuszeństwa wobec nowego prawa. Wąskie przejście broniło wozom pancernym dostępu na plac, co wyprowadziło generała z równowagi, gdyż miał nadzieję użyć ciężkich karabinów maszynowych. Panował niemiłosierny upał, a generałowi jak zwykle dokuczał nieznośny ból, z którym nie zdradzał się przed nikim, a który towarzyszył mu od lat. I choć dwukrotnie pogruchotane nogi wysyłały w górę pleców, ku głowie, strumień kłujących szpilek, generał jako dowódca przyjmował za punkt honoru nieokazywanie słabości przy podwładnych. I zamiast się skarżyć, wprowadził na plac pięćdziesięciu uzbrojonych w karabiny sikhów i Gurkhów i ustawił ich w szeregu.

Wydawca Durgas Das stał na podwyższeniu i śledził wzrokiem samolot rozpoznawczy krążący nad zgromadzonymi. Przerwał przemówienie, ponieważ ryk silników całkiem zagłuszał jego słowa. Kiedy żołnierze wbiegali na Dżalijanwala Bagh, popatrzył ponad głowami tłumy i wznosił powalaną farbą drukarską rękę do czoła. Ludzie odwrócili się. Ich wzrok spoczął na intruzach. Żołnierze przykleknęli. Przez krótką chwilę nic nie mąciło ciszy.

I wtedy żołnierze bez ostrzeżenia otworzyli ogień.

Das widział, jak padają pierwsi zabiści; jakby podmuch wiatru powiał po polu kukurydzy i przygiął ją ku ziemi. Ktoś złapał go i ściągnął z mównicy. Jedyne wyjście znajdowało się za linią żołnierzy. Ludzie w panice tratowali się nawzajem, usiłując wspiąć się na mury. Generał rozkazał żołnierzom mierzyć w najgęstszy tłum. Jego ludzie strzelali i przeładowywali broń, strzelali i przeładowywali. W przerwach między salwami, kiedy zmieniali magazynki, panowała martwa cisza.

Zastępca komendanta miejscowej policji stał obok generała i patrzył. „Daje pan tym ludziom nauczkę - powiedział. – Popamiętają na długo”. Generał skinął głową. Jego żołnierze wystrzelili tysiąc sześćset pięćdziesiąt naboí.

Jak zastępca komendanta, generał też myślał o kulach posłanych w tłum w kategoriach pedagogicznych. Z punktu widzenia etyki przedstawiciele ciemnoskórych ras są jak dzieci, a on spełnia najważniejszą powinność białego człowieka w Azji - wytycza jasną granicę. Jego kule przypominały znaczenie słowa „prawo”. Powtarzajcie za mną...

Po mniej więcej dziesięciu minutach generał wydał rozkaz wycofania się. Zanim zasiadł do kolacji, nad placem już krążyły jastrzębie i sępy. Stosy ciał leżały pod ścianami. Studnia w rogu była wypełniona nimi po brzegi. Krewnych, którzy z zapadnięciem ciemności przyszedli na plac w poszukiwaniu swoich bliskich, zaczęły atakować szakale i zdziczałe psy. Od ósmej obowiązywała godzina policyjna. Większość mieszkańców miasta za bardzo bała się konsekwencji jej naruszenia, wobec czego ranni leżeli na placu do rana. Szpital Jubilee prowadzili Europejczycy. Ani jeden ranny nie zgłosił się tam po pomoc.

Nazajutrz palono na stosach po pięć ciał naraz. Ludzie pospiesznie pozbywali się dowodów, że ich krewni brali udział w zgromadzeniu. Nikt nie wiedział, ile osób zginęło. Europejczycy zwołali naradę, w trakcie której naczelny lekarz usiłował przekonać innych o konieczności zbombardowania miasta. Gdyby decyzja należała do niego, dokończyłby dzieła zniszczenia. Po południu generał wezwał hinduskich przywódców do Kotwal. „Jestem żołnierzem - oznajmił warkliwym urdu, do jakiego przywykł na placu apelowym. - Dla mnie pola bitwy we Francji i Amritsarze to jedno i to samo. Chcecie wojny, powiedzcie to wyraźnie. Chcecie pokoju, natychmiast otwórzcie sklepy. Informujcie mnie o wichrzycielach. Będą rozstrzeliwani. Macie słuchać moich rozkazów”.

Pran przyspiesza kroku. Po tygodniu stanu wyjątkowego w mieście panuje smród. Czuć nadpalone drewno. Stosy psujących się odpadków. Słodkawą woń palonych ciał, gryzący zapach zwęglonych sari z jedwabiu, którymi po starciu na proszek można tamować krwotok. Pran widzi w przelocie złoto i wodę na końcu ulicy. To świątynia na wyspie, oblana wodami jeziora. Zastygły w bezruchu krawiec ze zubożniałą twarzą siedzi przed sklepem. Na wąskiej ulicy mija Prana niewielu ludzi. Idą pieszo, ponieważ generał zarekwirował wszystkie dwukółki i rowery na potrzeby armii.

Za rogiem Pran widzi niecodzienną scenę. Trzej postawni angielscy żołnierze o rumianych twarzach idą krok w krok za sikhijskim robotnikiem czołgającym się po ziemi.

- Ruszaj się, brunatne ścierwo! - wrzeszczy sierżant. Mężczyzna tłumaczy, że tu mieszka, i pyta, czemu nie pozwalają mu normalnie iść. Biały nie wykazuje żadnego zrozumienia dla swojej ofiary.

- Stul pysk i na ziemię! No już!

Ale to jego jedyna droga do domu. Czy musi to robić za każdym razem? Jego żona boi się wyjść na ulicę. Miłosierny Bóg wie, że to nie w porządku. W oknach pojawiają się jakieś twarze. Po chwili znikają. Dwaj młodzi szeregowcy idą z drugiej strony i od czasu do czasu trącają sikha karabinami. Jego biała kurta jest usmarowana nieczystościami. Próbuje ominąć następną kupę łajna, ale sierżant wciska go butem w sam jej środek. Mężczyzna w milczeniu

czołga się dalej.

Pran natknął się na kolejną lekcję, tym razem podyktowaną wiarą generała w nietykalność kobiet, której winien strzec każdy mężczyzna. Niestety, nie wszyscy podzielają jego zdanie. Na tej ulicy podczas zamieszek zgwałcono kobietę. Misjonarka panna Sherwood jechała na rowerze (typowa przeklęta misjonarka; starała się „żyć pośród swoich podopiecznych” i patrzcie, do czego ją to doprowadziło), gdy motłoch rzucił się na nią. Generał odwiedził ją w szpitalu Jubilee. Po tej wizycie wezbrała w nim złość. Widział Angielkę, słabą, sponiewieraną Angielkę, owiniętą bandażami niczym mumia, balansującą na granicy życia i śmierci. Chodził tam i z powrotem po szpitalnym korytarzu przesiąkniętym zapachem środków antyseptycznych i łamał sobie głowę nad odpowiednią karą. Przykładną. Współmierną do ogromu winy. W ramach przygotowań do publicznej chłosty polecił ustawić pręgierz na środku ulicy i wydał rozporządzenie, że wszyscy miejscowi, którzy chcą tędy przejść, muszą to zrobić na czworakach. Skoro zachowują się jak zwierzęta, będą traktowani jak zwierzęta. Śmieciarze i nosiwody unikają tego miejsca. Jedynie złapani w potrzask mieszkańcy stawiają czoła żołnierzom. Rynsztoki pełne są śmieci i odchodów parujących w skwarnej słońcu.

- Niech mnie diabli! - woła nagle jeden z żołnierzy. - A ty co tu robisz?

Pran z przerażeniem uświadamia sobie, że mężczyzna mówi do niego. Sierżant i drugi szeregowiec odwracają się w jego stronę równie zaskoczeni, jak ich towarzysze. Zaraz pojmają go i każą czołgać się w nieczystościach jak temu mężczyźnie u ich stóp. Pran nie potrafi wydobyć z siebie ani jednego słowa. Musi uciekać.

- Oszalałeś? - pyta sierżant. - Wracaj na stację albo tam, gdzie cię zakwaterowali. Skąd przyszedłeś?

Pran już rozumie. Biorą go za jednego z nich. Mimo potu, brudnych ubrań nie zmienianych w trakcie pięciodniowej wędrówki, sposobu, w jaki trzyma głowę i ręce, mimo przerażenia na twarzy, wzięli go za swojego.

- Dobrze się czujesz, chłopcze? Gdzie są twoi rodzice?

Pran nie może się odezwać. Mowa go zdradzi. A wtedy wychłostają go przy słupie. Jak to możliwe, że nic nie zauważyli? Czyżby byli ślepi?

- Spójrz na mnie, chłopcze - mówi sierżant. W jego głosie pobrzmiewają łagodne tony, stanowiące dziwny kontrast z ubrudzonym mężczyzną leżącym plackiem u jego stóp. - Wszystko w porządku? Jak się nazywasz?

Pran potrząsa głową bez słowa. Musi coś powiedzieć. Czuje, jak kolor spływa z niego niczym pot. Tak bardzo pragnie, żeby pory jego skóry się zamknęły. Żeby skóra zastygła. Jak biały marmur. Żeby stała się nieprzepuszczalna. Stoi nieruchomo. Najdrobniejszy ruch mógłby

go zdradzić. Ale przecież musi się ruszyć. Inaczej zabiorą go z sobą.

Wskazuje palcem w stronę dystryktu dla urzędników i usiłując naśladować intonację Privett-Clampe'a, mówi:

- Idę tam. Wszystko w porządku.

Żołnierze patrzą na niego uważnie. Mężczyzna grzebie w ziemi zrogowaciałymi piętami.

- Wszystko w porządku. Muszę tam. Natychmiast. Zaczyna iść. Sierżant woła za nim:

- Uważaj na siebie!

Pran odwraca się i kiwa głową. Stara się nie biec, dopóki nie zniknie im z oczu za rogiem. Wtedy nic go już nie powstrzymuje. Jego stopy prawie nie dotykają ziemi. Serce wali mu jak młotem. Mieszkańcy Amritsar patrzają, gdy mknie obok nich z uśmiechem szaleńca na twarzy. Przepelnia go radość. Nie myśli o człowieku na ziemi. Każdy sus oddala go od niego, z każdym kolejnym jardem otwiera się przed nim nowa przestrzeń.

Teraz musi się stąd wydostać. Opuszczając Fatehpur, nie miał konkretnego planu. Nie bardzo wierzył, że mu się uda. Przez pięć dni pokonał szmat drogi. I wreszcie został wessany przez to martwe miasto niczym włos wsysany w odpływ angielskiej porcelanowej wanny. Nie może tu zostać. Zabijają go. Przystaje i pyta jakąś przestraszoną kobietę o drogę na stację kolejową. Kobieta bez słowa wskazuje mu kierunek. Pran biegnie coraz wolniej i wolniej. Labirynt ulic urywa się nagle. Pran widzi wyschłe trawniki Aitchison Park. Za nimi zaczyna się stacja i szeregi urzędniczych bungalowów.

Pran idzie ku białym. Mimo szczęśliwie zakończonego spotkania z żołnierzami, dalszy marsz wymaga od niego wiele odwagi. Zbliżając się do budynku dworca, widzi w oknach worki z piaskiem i angielskich żołnierzy przy stanowisku strzelniczym w samym wejściu. Waha się przez moment. Jak się dostanie do środka? Nie ma wyboru. To jedyny sposób. Nikt go jednak nie zatrzymuje.

Na dworcu kłębi się tłum czekający na ewakuację. Woń potu uderza w nozdrza Prana z siłą pięści. Przestraszeni ludzie tłoczą się na peronach, w poczekalniach, w bufecie, w kasie biletowej. Czarna dziura z materią ściśniętą do granic możliwości. Odór ich ciał, nagle oddzielony od innych odorów Indii, wywiera wstrząsające wrażenie. Jakby wstrętny zapach jednego olejku zabijał aromat innych pachnidła. To zapach Anglików - zachęta dla motłochu, dla potwora do ataku. Większość czekających to kobiety z małymi dziećmi. Koczują tu pewnie od kilku dni. Każda rodzina zaanektowała na swój użytek skrawek podłogi. Niektórzy oddzielili się od sąsiadów prowizorycznymi kotarami z dywanów i pościeli, kierowani instynktem, czysto europejskim instynktem dzielenia świata, porządkowania przestrzeni siatką

południków i równoleżników. Każda rodzina ma na własność niewielkie różowe terytorium, zaznaczone na mapie stacji kolejowej w Amritsarze.

Przedstawiają sobą żalosny widok. Dzieci niemrawo pałętają się wokół matek o zaciśniętych ustach i brudnych twarzach, które na pierwszy rzut oka wydają się maskami symbolizującymi klęskę i niepokój, efekt długich godzin i dni spędzonych pod znakiem niedostatku wody, braku higieny i ciągłej obawy przed śmiercią. Ale z bliska widać, że mimo brudu oczy memsahib jaśnieją. Ich położenie je uszlachetnia. Jedno z Historyą, z ich babkami żyjącymi w czasach rewolty sipajów, z symbolicznym losem Angielek w krajach tropikalnych: cierpieć i trwać na posterunku. Zamieniają się w anioły jakimi chcą je widzieć ich mężowie. Otoczone aureolą świętości. Warte, by przelewać za nie krew.

Kobiety budzą w Pranie niemal taki sam strach, jak strzegący ich żołnierze. Jest przecież intruzem, podrzutkiem w gnieździe. Stara się nie zwracać na siebie uwagi, boleśnie świadom, że wokół nie ma ani jednego chłopca w jego wieku. Prawdziwi angielscy chłopcy są daleko stąd, w szkołach z internatem w Ojczyźnie. Niektóre kobiety zaczynają bacznie mu się przyglądać, najwyraźniej usiłując go sobie przypomnieć. Za każdym razem, gdy Pran czuje na sobie czyjś wzrok, zmienia miejsce. Przez dłuższy czas stoi pod obdartym plakatem. ODWIEDZAJCIE BOMBA) - WROTA INDII.

Kiedy wydaje mu się, że ktoś właśnie rusza w jego kierunku, powietrze przecina ostry gwizd. Pran wychodzi na peron i widzi pociąg wtaczający się na stację. Wszczyna się zamęt. Żołnierze rozprostowują kości i zeskakują z wagonu towarowego zamienionego w skład karabinów maszynowych. Żywność i resztę dostawy rozładowują sikhowie, bacznie obserwowani przez swoich angielskich oficerów, gdy tylko znajdą się w bezpośredniej bliskości kobiet i dzieci. W zamieszaniu Pran wślizguje się do wagonu. Wkrótce przed jego oczami przesuwać się pola uprawne. Pociąg zmierza na południe.

CZEŚĆ IV
BOBBY PIĘKNIŚ

*

Za wysokimi murami bombajskiego domu przycupnął niewielki dziedziniec, odgradzony od południowego zgiełku i chaosu Falkland Road. Krząta się po nim jakiś młodziak z miotłą. Macha nią bezładnie, nerwowo broniąc przed tumanami kurzu nowych spodni o europejskim kroju. To nie jest praca dla niego. To zajęcie dla kobiet służących.

Po kilku minutach uznaje zadanie za wykonane. Rzuca miotłą w kąt, prostuje się i zapala papierosa. Trzyma go z gracją, w jednej chwili zmieniając się ze sługi w uczestnika cocktail party. Dla zwiększenia efektu krzyżuje nogi i opiera się niedbale o mur. Urodzony elegancik. I próżniak.

Mur wygląda, jakby miał się za chwilę rozpaść. Niebezpiecznie zapadnięty pośrodku, wyrasta mniej więcej na wysokość oczu dorosłego człowieka i dzieli ciasne podwórko na dwie nierówne części. Spomiędzy cegieł wykrusza się zaprawa. Same cegły poukładano byle jak jedna na drugiej, bez zbytej troski o efekt końcowy. Żalony stan muru rzuca się w oczy tym bardziej, że budynki po drugiej stronie są mocne i solidne, choć wołają o świeży tynk.

Kiedy chłopak celebrytuje kolejne zaciągnięcie się dymem, zza muru niespodziewanie wylania się brodata twarz białego mężczyzny.

- Robert! - woła brodac. - Co ci mówiłem? Ile razy to ode mnie słyzałeś? Tytoń to narzędzie Szatana, które otwiera mu drogę do naszych serc!

- Tak - odpowiada Robert, z ponurą miną przydeptując papierosa sandałem.

- „Tak” i co dalej?

- Tak, wielbny Macfarlane.

Choć nie łączy ich żadne fizyczne podobieństwo, akcent młodego człowieka jest uderzająco zbieżny z akcentem brodacza, łącznie z afektowaną modulacją głosu, charakterystyczną dla wykształconego mieszkańca nizinnych terenów Szkocji. Wielbny Macfarlane unosi krzaczastą brew, przypominającą małe kosmate zwierzątko, które oddaliło się od stada. Z grymasem na twarzy Robert schyla się, podnosi rozdeptany niedopałek i wsuwa go do kieszeni spodni.

- Bardzo się na tobie zawiodłem - wielbny kontynuuje kazanie, podrygując na czubkach palców po drugiej stronie muru. - Wiem, że nie można oczekiwać od ciebie wzniesienia się ponad pewien poziom. Nic myśl, że nie biorę tego pod uwagę. Ale jesteś inteligentnym chłopcem. Masz wszelkie szanse, by wnieść się ponad ograniczenia, jakimi Bóg w swej mądrości cię obdarzył. Tyle że to wymaga wysiłku. Musisz walczyć, Robercie! Walczyć!

Wielbny Macfarlane mówi coraz głośnie, aż przy wezwaniu do walki jego głos niesie

się przez podwórko z siłą wyrobioną przez lata nauczania na ulicy. Donośność głosu przykuwa uwagę kobiety która pojawia się w drzwiach od strony Roberta. Choć jest Europejką, ma na sobie sari. Młodsza od wielebnego, którego stercząca siwa czupryna świadczy o jakichś sześćdziesięciu latach bojów z życiem, upięła jasne włosy w ciasny kok.

- Czandra? - woła.

- Tak, Ambaji? - odkrzykuje Robert.

- Skończyłeś robotę?

- Tak, Ambaji.

- Czy jesteś mu do czegoś potrzebny? Wielebny Macfarlane mruczy:

- Powiedz jej, że tak. Jest nowa dostawa. Chcę wszystko sprawdzić.

- Jestem, Ambaji.

- Nowe czaszki? Bardzo dobrze. Powiedz mu, żeby cię za długo nie trzymał.

Czandra-Robert odwraca twarz w stronę brodacza i ściany.

- Pani mówi...

- Słyszałem - mamrocze wielebny. - A teraz przejdź na drugą stronę i pomóż mi rozpakować rzeczy. Przyjechały aż z Edynburga.

- Nazwę miasta wymawia z naciskiem, jakby chciał podkreślić jego znaczenie i nadzwyczajność.

Młodziak przeciąga pod mur skrzynię do pakowania. Staje na niej i pokonuje przeszkodę. Po drodze zrzuca obłuzowaną cegłę. Wielebny zakasuje rękawy jak do ciężkiej pracy i prowadzi Roberta do niskiej sali służącej za kościół. Sprzęty są tu proste i surowe. Naprzeciw ciężkiego stołu i pulpitu stoją rzędy ławek bez oparcí. Wzdłuż ścian leżą na półkach stopy śpiewników. Na drugim końcu sali widać podwójne drzwi, zaryglowane grubą drewnianą belką. Przez dwucalową szparę pod nimi sączą się do środka odgłosy miasta: stukot dwukółek, dzwonki rowerów, wołanie przekupniów. Pomieszczenie jest czyste, lecz demonstracyjnie spartańskie. Jedynym ustępstwem na rzecz wygody jest wentylator u sufitu.

- Masz zwracać się do mojej żony jej właściwym nazwiskiem

- warczy Macfarlane. - Nie chcę słyszeć w twoich ustach tego bełkotu, który sobie przyswoiła.

- Tak, wielebny Macfarlane.

- To pani Macfarlane. I nie pozwól, żeby cię nazywała Czan-coś-tam. Robert. Elspeth i Robert. Bardzo stosowne imiona.

Drobinki kurzu wirują w promieniach słońca, gdy obaj przechodzą przez kościół i pną się wąskimi schodami na górę do pomieszczenia, które służy wielebnemu za sypialnię i

laboratorium. Robert zatrzymuje się w drzwiach, podczas gdy Macfarlane sady wielkimi krokami po skrzypiącej podłodze i zamasyście otwiera okiennice. Uliczny gwar wdiera się do środka, a ciemny pokój odsłania chwalebna prostotę.

Wielebny Andrew Macfarlane wierzy, że sprzątanie jest rodzajem pomniejszej modlitwy, służebnej wobec ważniejszych form w rodzaju wiosennych porządków czy gimnastyki. W rezultacie zamieszkuje przestrzeń o idealnych kantach. Setki książek ułożonych w alfabetycznej kolejności na półkach bez śladu kurzu, twarde składane łóżko, zasłane z żołnierską precyzją, podniszczone biurko wolne od niepotrzebnych papierów oraz starannie zamknięte na klucz szafy, pełne niecodziennych przedmiotów badań. Żaden bożek nie hańbi nieskazitelnej bieli ścian, żaden frywolny dywan czy mata nie kalają szlachetnych desek podłogi. Osobista próżność, uwięziona w podróżnym metalowym kufrze wypełnionym ubraniami, dochodzi do głosu dwa razy w miesiącu, ograniczona do maleńkiej powierzchni lusterka używanego w trakcie przycinania brody. Przez resztę czasu lusterko leży odwrócone na umywalce. Gdyby strzyżenie brody odbywało się częściej, wiodłoby do grzechu. U źródeł patriarchalnego wyglądu i niekontrolowanego porostu brody wielebny leży dyktat religijnej profilaktyki, a nie pobbłaszanie samemu sobie czy (Boże uchwaj!) estetyczne upodobania. Jak w przypadku pomieszczenia mieszkalnego, nic, co dotyczy człowieka, nie jest wynikiem ślepego trafu czy niedbalstwa.

A jednak w ten duszny świat Wsaczyła się odrobina uczucia. Zasada braku wizerunków została złamana. Na biurku stoi kupiona na bazarze mosięzna ramka mieszcząca dwie fotografie. Robert, który często bywa w tym pokoju, znów rzuca spojrzenie w jej kierunku. Dwaj młodzi żołnierze piechoty patrzą bezmyślnie w obiektyw aparatu. Dwie różne pracownie fotograficzne. Dwa różne odcienie sepii. Dwaj nieżyjący synowie. Ich twarze budzą w Robertcie nieodmienną fascynację, choć daremnie szukać w nich rysów rodziców. Zastygłe i stanowcze, są grobowcem uczucia, które rządzi życiem tego domostwa. To z ich powodu, Robert wie o tym, Ambaji wzięła go do siebie, a wielebny pozwala mu tu być.

- Miałeś mi pomagać, a nie bujać w obłokach.

Głos Macfarlane'a przywraca go rzeczywistości. Robert pomaga wielebnemu podważyć wieko niedużej skrzyni i odkłada je na bok. Obaj wyjmują rowkowane deseczki oraz kilka małych skórzanych futerałów z kompletem suwmiarek, regulowanych imadeł i ciężkich mosiężnych liniałów, fest też składany ekran na metalowym stojaku, taki jaki Robert widywał podczas projekcji filmów, tyle że czarny.

Macfarlane wyciąga z kieszeni klucz i otwiera jedną z pokaźnych drewnianych szaf. W środku, troskliwie ułożone na półkach, leżą w rzędach ludzkie czaszki. Wielebny patrzy na nie

czule.

- Witaj, moja mała Golgoto.

Schyla się i z samego dołu wyciąga ciężką skrzynię z narzędziami.

- Najpierw złożymy siatkę Lampreya. Trzymaj, a ja dokręcę śrubki.

Kiedy wielebny dociska listewki, Robert podnosi wzrok na martwych ludzi. Martwi ludzie patrzą na niego ze swoich miejsc na półkach. Mimo usilnych starań Robert nie może przywyknąć do tej kolekcji. Pomysł stłoczenia ich w tym miejscu napęłnia go przerażeniem. Mężczyźni i kobiety, którzy kiedyś chodzili tu i tam, jadali kolację, grali na instrumentach czy prowadzili zażarte dyskusje, sprowadzeni do roli naukowych eksponatów. Kiedy zobaczył to pierwszy raz, omal nie krzyknął. „Śmieszne przesady - stwierdził wtedy Macfarlane, w zadumie obstukując kostkami palców głowę Roberta. - Całkiem naturalne dla umysłów takich jak twój”. Robert odsunął się wtedy. Ten gest podziałał na niego deprymująco. Miał wrażenie, że w oczach wielebnego jego własna egzystencja, wypełniona chodzeniem, jedzeniem, sporami, jest tymczasowa; że granicę dzielącą go od eksponatów z szafy bardzo łatwo przekroczyć. Teraz pod ostrzałem spojrzeń pustych oczodołów pomaga Macfarlane’owi naciągać jedwabną nić na drewnianą ramę, tworząc siatkę, którą umieszczą na stojaku przed czarnym ekranem.

- Gotowe - mówi Macfarlane z wyraźnym zadowoleniem. - Nareszcie mam wszystko do studiów fotograficznych z prawdziwego zdarzenia. A tobie, młody człowieku, przypadnie w udziale zaszczyt bycia pierwszym obiektem moich badań.

Robert kurczy się pod wpływem tych słów. Asystował już wielebnemu i choć zajęcie nie jest ani trudne, ani przykre, zawsze czuje się wtedy nieswojo. Kilkakrotnie przeprowadzali eksperyment, który Macfarlane nazywa „podążaniem śladami wielkiego Mortona”. Napęłniali czaszki drobnym ołowianym śrutem po same brzegi, potem przesypywali go do szklanych zlewek z podziałką. Tym sposobem odkryli, że czaszka kobiety z plemienia Naga ma mniejszą pojemność niż czaszka rolnika z Biharu. Czaszka kajasthy z Gudżaratu mieści więcej niż czaszka biharczyka, a czaszka tybetańskiego pasterza ma większą pojemność niż czaszka kajasthy, rolnika z Biharu, kobiety Naga czy rybaka z Orissy. Wszystkie te odkrycia są, zdaniem wielebnego, dowodem na wielkość wielkiego Mortona, choć rozmiary czaszki Tybetańczyka wydają się go drażnić. Na żadnym z etapów tej pracy pomoc Roberta nie wydawała się konieczna. Jego rola polegała głównie na wysłuchiwaniu teorii wielebnego, czerpanych z bogatego księgozbioru o tematyce antropologicznej, zgromadzonego w ciągu trzydziestu lat pracy misyjnej.

Okazuje się, że dzięki niepodważalnej metodzie kranioometrii można wyjaśnić brytyjską

dominację imperialną w świecie. Wyniki pomiarów pojemności czaszek wybranych przedstawicieli indyjskich plemion dają, zdaniem wielebnego Macfarlane'a, podstawy do wniosków natury bardziej ogólnej: że istnieje ścisły związek między rozmiarem mózgu a stopniem rozwoju cywilizacyjnego i racjonalnym myśleniem w różnych częściach świata. Zajmujący dół drabiny mieszkańcy południowej Jawy czy Hotentoci niewiele różnią się od małych człekokształtnych pod względem pojemności (a także budowy twarzy i szczęki). Grupa hindustańska, do której należała większość właścicieli czaszek z kolekcji wielebnego, plasuje się w górnej połowie drabiny. Na szczycie jest Europejczyk, któremu czaszka o pojemności stu cali sześciennych daje o wiele większe możliwości rozwoju mózgu niż pogrążonym w mrokach barbarzyństwa Peruwiańczykom (dziewięćdziesiąt jeden cali sześciennych) czy dzikusom z lasmanii (osiemdziesiąt sześć cali sześciennych). Stąd wzięło się Imperium. Wielebny oczywiście przyznaje, że metoda mierzenia pojemności czaszki jest prymitywna i przestarzała, ale teraz doczekał się przyrządów, które wzniosą jego dociekania na wyższy poziom.

Ustawia Roberta bokiem do siatki, unieruchamia mu szyję i plecy w stalowych kleszczach, to samo robi z jedną wyciągniętą ręką, po czym umieszcza aparat na statywie i robi serię zdjęć. Chłopakowi to nie w smak, więc Macfarlane krzyczy na niego, by przestał się krzywić. Wreszcie Robert się uspokaja. W wizjerze jego marmurowo-biała skóra niemal lśni na tle czarnego perkalowego ekranu. Kształtny nos, wąskie, zacięte usta Roberta wydają się wielebnemu dziwnie czyste rasowo. Jak na takiego mieszańca, niewiarygodnie czyste. Prawdę powiedziawszy, aż za czyste. Prawie europejskie.

- No no, znakomicie - mruczy. - Robercie, twoje skażone pochodzenie jest właściwie niewidoczne.

Wielebny uwalnia Roberta z imadeł i sadza na krześle. Teraz może użyć swoich nowych przyrządów do pomiarów głowy. Kąt twarzowy wynosi dziewięćdziesiąt trzy stopnie, nos jest silnie wysklepiony i wąski, oczy nieznacznie uniesione w kącikach, co zdradza azjatyckie pochodzenie obiektu badań, szczęka przyjemnie cofnięta w przeciwieństwie do wystającej szczęki murzyńskiej czaszki, uwiecznionej na ilustracji w księdze „Rasy ludzkie na Ziemi” Notta i Gliddona. Ten interesujący tom wielebny podaje teraz Robertowi, a sam spisuje wyniki pomiarów. Robert wertuje księgę, patrzy na wizerunki szlachetnej greckiej rzeźby, potem na powykrzywiane, czarne jak sadza twarze ciemnoskórych i czuje - co zresztą często mu się zdarza - osobliwą ulgę z powodu swego podobieństwa do pierwszej, a nie drugiej ilustracji.

Jak niemal większość księgozbioru wielebnego, księga „Rasy ludzkie na Ziemi” jest bardzo stara. Oprawa ze świńskiej skóry popękała i zapleśniała po latach przebywania w

klimacie monsunowym. Robert wodzi palcami po wybrzuszeniach na okładce, całkiem rad z obrotu spraw}'. Nadejście siatki Lampreya i przyrządów pomiarowych oznacza, że obsesyjne zamiłowanie wielebnego do mierzenia ludzkiego ciała skieruje się z martwych ku żywym. Kiedyś wiązało się to z nieprzyjemnymi wyprawami do szpitala św. Jerzego i powrotem przez zatłoczone ulice z paczkami owiniętymi w szary papier. Czuł się wtedy jak wampir albo morderca.

Gdy Robert rozmyśla o śmierci, Macfarlane zapisuje uwagę o „niecodziennej świetlistości białej skóry badanego” i zastanawia się, czy przypadkiem piękno i delikatność rysów, ich niezwykła doskonałość nie kwalifikuje Roberta jako jeden z typów przestępczych, wyodrębnionych przez znakomitego Lombrosa. Skłonność do występku u mieszkańców jest przecież dobrze udokumentowana w obu Amerykach, a pod osobliwie niedostrzegalnym pochodzeniem Roberta mogą skrywać się wszelkiego rodzaju społeczne tendencje. Wskazywałyby na to jego przesadna dbałość o wygląd i upodobanie do tytoniu. A kształt jego nosa (nieco orli) i uszu (wydatne guzki, bardziej widoczne w lewym uchu niż w prawym) to przecież, według włoskiego antropologa, znamiona urodzonego przestępcy. Wielebny zastanawia się przez chwilę, czy nie byłoby mądrze oddalić chłopca, który zjawił się w misji nie wiedzieć skąd. Z drugiej jednak strony mieszka z nimi od ponad roku i przez ten czas nie doszło do żadnych incydentów. Poza tym jest bystry. Chyba nawet bardziej niż Duncan w tym wieku. A już na pewno bystrzejszy od Kennetha.

Macfarlane natychmiast odsuwa od siebie tę nielojalną myśl. Lepiej nie myśleć o tym wcale niż w taki sposób. Postanawia, że będzie, jak jest. Chłopiec zostanie, nawet jeśli to tylko mieszaniec.

- Dobrze. Dzisiaj nie ma już czasu na lekcje. Możesz odejść. Jutro przepytam cię z Eneidy i listu świętego Pawła do Koryntian. Jeśli będziesz mówił z moją żoną, przypomnij jej, że kategorycznie zabraniam wszelkich kontaktów z tą Pereirą. Chyba wybiera się do niej dziś wieczorem. Liczę, że do tego nie dopuścisz. Rozumiesz?

- Tak, wielebny Macfarlane.

Robert rusza w dół po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Równie szybko przeskakuje mur i wbiega do domu po drugiej stronie dziedzińca. W niewielkim saloniku udekorowanym rycinami i wazonami kwiatów natyka się na Elspeth Macfarlane, która kroi warzywa ze służącą imieniem Shobha. Obie kobiety podnoszą wzrok, gdy Robert wpada do środka.

- Wychodzisz, Czandra? - pyta Elspeth.

- Tak, proszę pani.

- Tylko nie na długo. Będziesz mi potrzebny. O ósmej odprowadzisz mnie do pani Pereiry.

- Wielebny powiedział...

- Wiem, co powiedział. Jak twoja czaszka?

- Bardzo dobrze, Amba... to znaczy pani Mac... Bardzo dobrze. Jestem prawie Anglikiem.

Elspeth piorunuje go wzrokiem.

- To znaczy Szkotem.

- Moim zdaniem, powinieneś być zadowolony, że jesteś Hindusem. W końcu w mniejszym lub większym stopniu nim jesteś. To bardzo wzniosłe. Z wiarygodnego źródła wiem, że prawie we wszystkich poprzednich wcieleniach byłeś Hindusem. Tylko raz byłeś Egipcjaninem i raz mieszkańcem Merkurego. Pamiętaj, że masz wrócić przed ósmą.

- Tak, Ambaji.

Czandra-Robert znika w swoim pokoju. To niewielka mansarda obwieszona zdjęciami z ilustrowanych magazynów. Amerykańskie gwiazdy filmowe, politycy, żołnierze, dżokeje, znani pisarze i artyści, artystki kabaretowe, damy z towarzystwa i gracze w krykieta przemieszani z obrazkami o tematyce religijnej. Ganapati, Vivekananda, święty Franciszek, Budda, Siwa Nataradża. Wokół umywalki wiszą pocztówki z brytyjskimi widokami. Hyde Park Corner, jezioro Windermere, popołudnie w New Forest, Balmoral z lotu ptaka. Gdzieś spomiędzy natłoku twarzy wygląda zbiorowa fotografia wycięta z periodyku „The Harvest”, przedstawiająca misjonarską herbatkę w Hampstead Heath. Pan i pani Macfarlane są ledwo widoczni między postaciami w półtonach. Stoją z tyłu, trzymając w dłoniach filiżanki na spodeczkach.

Przez kilka minut Robert leży na wznak z rękami pod głową i wpatruje się w swój gwiazdozbiór. Kiedyś wymyślił sobie zabawę. Mruży oczy albo otwiera je i zamyka bardzo szybko, a wtedy twarze z fotografii zamazują się i nakładają na siebie, dając początek twarzom nowym, jeszcze ciekawszym, jeszcze bardziej fascynującym. Zaczyna się bawić, ale po chwili przypomina sobie, że jeśli dziś chce trochę zarobić i wrócić punktualnie na ósmą, musi zaraz wyjść. Podrywa się z łóżka, staje przed prostokątem lustra zawieszzonego na drzwiach i starannie przyczesuje gęste włosy. Potem nakłada na palce odrobinę wosku, przesuwa dłońmi po włosach i znów sięga po grzebień. Gdy odwraca głowę, promień światła wydobywa z lśniącej czerni delikatny miedziany poblask. Robert zrzuca sandały, wkłada skarpetki w romby, spod łóżka wyciąga parę czarnych skórzanych butów. To ciężkie, starannie wykonane buty, rzadko widywane na hinduskich stopach, a już nadzwyczaj rzadko na stopach przedstawicieli

niższych klas. Zastanawia się nad krawatem i kołnierzykiem, ale że czas nagli, rezygnuje z tego pomysłu. Zbiega ze schodów i śmiga do wyjścia, odprowadzany karcącym spojrzeniem kobiet w saloniku.

Na ulicy przystaje jeszcze przed podwójnymi drzwiami kościoła, nad którymi widnieje łuszczący się napis:

NIEZALEŻNA SZKOCKA MISJA DLA POGAN

Falkland Rd. Bombaj.

Indie Pastor - wielbny A.J. Macfarlane

„Czyż pozwolimy im umrzeć w ciemności, skoro sami poznaliśmy światło Boga?”

Część tekstu jest nieczytelna, zapaćkana czerwoną i żółtą farbą, pozostałościami po ubiegłorocznym święcie Holi, kiedy to rozbawieni Hindusi omal nie wzięli misji szturmem (w nastroju zabaw)', ma się rozumieć). Robert wyjmuje coś z kieszeni. Zegarek na rękę z brązowym skórzanym paskiem. Ukradkiem spogląda przez ramię, by się przekonać, czy żadne z Macfarlane'ów nie wyszło za nim, zakłada zegarek na przegub, chucha na tarczę i poleruje ją o spodnie. Teraz jest gotów. Jego wyjściowy wizerunek jest kompletny. Miody, elegancki mężczyzna wkracza na swoje terytorium. Bobby Piękniś, księżę najbardziej znanej spośród dzielnic czerwonych latarni, bagna moralnego Indii: Falkland Road.

Falkland Road przechodzi wieczorną transformację od chaosu dnia do chaosu nocy. Zmiana rytmu jest subtelna, być może nawet niewyczuwalna dla postronnego obserwatora. Uliczni przekupnie ciągle odbywają swój mozolny marsz w górę i w dół ulicy, oferując lodowatą wodę, owoce, przekąski i bidi. Ręczne wózki, dwukółki, rowery i czarne auta z przeraźliwie dzwięczącymi klaksonami ciągle torują sobie drogę wśród posepnego tłumu, rozjeżdżając odpadki i wciskając je w ziemię. W powietrzu nadal dominuje woń smażonej cebuli i lampek oliwnych. I oczywiście główna atrakcja ulicy: dziewczęta na schodach i drewnianych balkonach ciągle piszcza słowa zachęty i obrzucają inwektywami każdego, kto wpadnie im w oko. Ale w miarę jak gaśnie światło dnia i słabnie upał, ulicę zapełnia nowy rodzaj ludzi. Mężczyźni zbici w gromadki przy kramach z paan są bardziej rozwichrzeni, a ich rozmowy pełne sekretów. Kobiety, zwyczajne kobiety, rzadkie zjawisko w ciągu dnia, całkiem zniknęły. Pojedynczy przechodnie przemykają chyłkiem bez rozglądania się na boki. Spieszą

do domów, by przy kolacji opowiedzieć żonom, co się zdarzyło w ciągu dnia. Falkland Road biorą teraz we władanie grupki trzymających się za ręce chłopców, którzy z oczyma błyszczącymi od taniego araku wolnym krokiem mijają szeregi otwartych drzwi. Ich pikantne żarty to przybierają na sile, to cichną, w zależności od tego, czy w pobliżu są dziewczęta, czy zabijaki o chmurnym spojrzeniu, szukający zaczepki albo okazji łatwego zarobku.

Robert wkracza w ten świat żwawym krokiem mieszkańca miasta, rzucając ukradkowe spojrzenia na prawo i lewo. Nie wie, dokąd idzie. Nie musi tego wiedzieć. Sens i cel tej wędrówki jak zawsze zostaną mu wyjawione bez szczególnego wysiłku z jego strony.

- Bobby? Bobby!

Maria Francesca woła go z okna pierwszego piętra Goa House. Obok niej stoi nieznana mu dziewczyna. Maria opiera się o rozchwianą balustradę. Jej pełne, dorodne piersi wylewają się z obcisłej bluzki.

- Witaj, Mario! - Robert macha do niej ręką.

- Witaj, Piękny! Dobrze, że cię widzę! Jeden z klientów chce butelkę! Polecisz na róg? Czeka, zrzucę ci pieniądze!

Maria zawija kilka monet w gałganek, wiąże go na supeł i rzuca wprost w ręce Bobby'ego niczym ukochana rzucająca kokardę swemu ukochanemu. Bobby idzie do straganu po alkohol. Reszta będzie dla niego.

Dziesięć minut później, roztaczając wokół zapach rumu Marii i aromat jej wody różanej, który przeszedł na niego po dziękczynnym uścisku, otrzymuje następne zlecenie. Tym razem z jednego z droższych domów. Anglo-hinduskie dziewczęta mamy Paul tak sumiennie zabawiały młodego brytyjskiego marynarza, że teraz ktoś musi go bezpiecznie odholować na statek. Mama Paul wciska Bobby'emu parę monet do ręki. Byle tylko facet nie padł na ulicy albo nie przyszło mu do głowy, że został okradziony, i nie przyprowadził policji pod jej drzwi.

- A został okradziony? - pyta Bobby zuchwale i patrzy na bezwładną postać na podłodze salonu.

Mama Paul podnosi rękę, jakby chciała wymierzyć mu policzek, i krzywi usta.

- Na imię mu chyba Norman, ale trudno zrozumieć, co mówi. Marynarz jest tak pijany, że ledwo trzyma się na nogach. Po wyjściu na ulicę okazuje się, że nie pamięta, gdzie stoi jego statek.

- A nazwa? Jak się nazywa statek? - docieka Bobby, uginając się nieco pod ciężarem mężczyzny.

- A kogo to obchodzi? Mnie nie.

- Rano zmienisz zdanie.

Ta uwaga była niemądra. Marynarz rzuca Bobby'emu wojownicze spojrzenie i próbuje stanąć o własnych siłach.

- Ty gnojku!

Bobby puszcza go, a wtedy mężczyzna wpada na jakiegoś przechodnia i wszczyna krótką, bezładną bójkę. Tak przebiega reszta drogi. Zanim marynarz zostaje przywleczony na nabrzeże, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stoi jego statek, zegarek Bobby'ego („prezent” od innego pijanego wilka morskiego) pokazuje za kwadrans ósmą. Cholera! Bobby puszcza się pędem w stronę misji. Pani Macfarlane jest nieco bardziej spostrzegawcza od męża. Już zaczyna podejrzewać, że związki jej sługi z sąsiedztwem misji są bliższe, niż powinny.

Od tamtego wieczoru, gdy Robert pojawił się na progu misji z pytaniem, czy mógłby pracować w zamian za jedzenie, zmienił się, i to bardzo. Przedstawił się wtedy innym imieniem, twierdził, że jest Anglikiem i potrzebuje pomocy. Elspeth Macfarlane nie uwierzyła mu. Było jasne, że chłopak jest mieszańcem, bękartem jakiegoś brytyjskiego żołnierza, dorastającym na ulicy. Ale ponieważ był bardzo ładny i miał ogładę, nakarmiła go ryżem i dała w saloniku, a po półgodzinie przyglądania mu się w trakcie jedzenia przekonała samą siebie, że potrzebuje służącego. Hołdując hinduskim zwyczajom, postanowiła dać mu imię księżycy, który akurat zaglądał przez okno. Kiedy przybysz umył talerz, powiedziała mu, że może zostać.

Czandra zainstalował się w pokoiku na górze, a ona ze zdumieniem odkryła, jak wielką przyjemność sprawia jej obecność młodego mężczyzny w domu. Tupot nóg na schodach, widok szczupłych przedramion wspartych o stół, gdy czytał książkę, nawet stęchły zapach brudnej pościeli, którą przynosił do prania, wywoływał w niej nagły skurcz, ból połączony z miłością. To były oczywiście najzupełniej niestosowne uczucia. Rojenia głupiej kobiety. On przecież nie był jej synem. Jej synowie nie żyli.

Kiedy mąż zorientował się, co narobiła, chwilowo zapomniał o chrześcijańskiej cnotcie miłosierdzia i zażądał, aby powiedziano młodemu darmozjadowi, że ma natychmiast opuścić ten dom. Ale jako że od lat nie rozmawiał z żoną, zapoznanie jej z własną opinią nie było proste. I tak Czandra został. Po kilku miesiącach ukradkowej obserwacji chłopca zza swego śmiesznego muru Andrew zaczął zlecać mu rozmaite zadania i pouczać w sprawach moralności, aż przeszedł do lekcji łaciny, historii i gramatyki angielskiej.

Mimo szczyrych chęci Elspeth nie potrafi się gniewać, gdy Czandra przybiega bez tchu, spóźniony przynajmniej o dziesięć minut.

- Gdzie byłeś? - pyta, pakując rzeczy potrzebne u pani Pereiry.

- Poszedłem... Poszedłem się przejść. Na Apollo Bunder. Obejrzeć statki.

- Za dużo czasu tam spędzasz. Nie masz nic lepszego do roboty? Żadnej nauki? W pokoju posprzątane?

- Tak, Ambaji. Nie. Tak. Nic.

- Spóźnimy się na spotkanie.

- Przepraszam.

Elspeth kręci głową. Oboje wychodzą do domu pani Pereiry. Po drodze pani Macfarlane obserwuje, jak Czandra łowi obrazy i dźwięki Falkland Road. Paru sklepikarzy skinęło mu głową na powitanie. Ten chłopak jest jak kameleon. Zdaje się chłonać wszystko, czego dotknie. Kiedy zjawił się u nich, był taki niezdarly, taki obcy. Teraz jest częścią tego miejsca. Skręcają już w Grant Road, gdy Elspeth dostrzega zegarek, wyglądający spod jednego z eleganckich białych mankietów. Nie po raz pierwszy martwi się o niego.

Pani Pereira mieszka w bok od Grant Road w domu za murem. Na niewielkim podwórku powyginane drzewo nim skrywa przed ciekawskim wzrokiem ludzi jej konszachty z zaświatami. Sąsiedzi nie pozwalają dzieciom zbliżyć się do jej drzwi. Gdyby za bardzo hałasowały, stara wiedźma mogłaby rzucić na nie urok. Czasem ktoś odważniejszy przychodzi do niej po radę. Reszta biegnie do konkurencji odczyniać uroki, które jakoby na nich rzuciła. I na nic się zdadzą wyjaśnienia, że pani Pereira nie jest czarownicą, lecz naukowcem. Na nic się zda powtarzanie, że to nie żadne hokus-pokus, tylko przekaz nadziei. W tych dniach zamiast wyjaśniać, pani Pereira woli wznieść się ponad plotło. Jej reputacja ma też dobre strony, między innymi możliwość zachowania prywatności. Umysł tej kobiety zaprzętają wniosłe sprawy. W zaciszu udekorowanego zielonymi kotarami salonu pani Pereira pokonała śmierć.

Bobby idzie za panią Macfarlane na trzecie piętro. Gdy jego chlebodawczyni puka do drzwi, czeka o krok za nią. Przez drzwi sęczy się śpiew. Elspeth patrzy na Bobby'ego oskarżycielsko. Spotkanie już trwa. Spóźnili się. Słysząc dźwięk odsuwanej zasuwki. Mabel, córka pani Pereiry, prowadzi ich do środka. Jej matka, zwałista kobieta o ziemistej cerze, spowita w wyblakłą szatę z żółtego jedwabiu, intonuje z obecnymi melodyjną pieśń. Machając w powietrzu opuchniętymi palcami, niczym dyrygent, robi kwaśną minę na widok spóźnialskich i gestem zaprasza Elspeth do kręgu. Bobby zamierza wyjść i poczekać na zewnątrz, ale ku jego zdumieniu Elspeth patrzy na gospodynię i po otrzymaniu niemej zgody daje mu znak, że ma zostać. Nigdy przedtem tego nie robiła. Bobby przestępuje z nogi na nogę. Nie jest do końca pewien, czy chce wziąć udział w eksperymencie.

Śpiewający ludzie zgromadzeni wokół stołu pani Pereiry tworzą barwną mieszankę. Wysoki Anglik w średnim wieku stoi wyprostowany jak struna, z rękami założonymi do tyłu, wyrzucając z siebie słowa jak podczas perfekcyjnego wykonania szkolnej piosenki. Wytworny

młody Hindus obok niego bez przerwy przesuwając palcami po nakrochmalonym kołnierzyku. Milcząca, wymizerowana Mabel o zapadniętych oczach ukradkiem rzuca mu tęskne spojrzenia. Na prośbę matki kręci korbką gramofonu. Wszyscy śpiewają:

Krąg aniołów w radosnym tańcu
niesie pokój ludziom na ziemi.
Śmierć z życiem się bratu,
strach znika, świat się weseli...

Inna Europejka najwyraźniej nie zna słów. W skupieniu marszczy łuki brwi, podkreślone czarnym ołówkiem. Z jej uszmiłkowanych ust wydobywają się pojedyncze słowa. Jakby dla wyrażenia gorliwej chęci pełnego uczestnictwa kobieta lekko kołysze się w takt muzyki. Bobby ma wrażenie, że już ją kiedyś widział; to było gdzieś na ulicy. Kiedy igła gramofonu przeskakuje na środek, pani Pereira podnosi ją i kładzie na tarczy kolejną ciężką, szelakową płytę. Z mosiężnej tuby dobiegają trzaski. Gramofon znów budzi się do życia, przewodząc grupie przy drugiej pieśni.

Mądre duchy, wskażcie drogi;
tym, co w ciemności zbłąkali.
Światłem wiedzy przegnamy trwogę,
waszą mocą wspomagani...

Po czterech czy pięciu równie miernych poetycko zwrotkach (Bobby wymamrotał jeszcze mniej słów niż owa młoda biała kobieta) pani Pereira chowa płytę i z lekkim sapnięciem sadowi swe cielsko na drewnianym krześle u szczytu stołu.

- Osiągnęliśmy harmonię. Atmosfera jest pozytywna. Witam nowo przybyłych. Mademoiselle Garnier i...

- Czandra - wtrąca pani Macfarlane.

- Czandra. Witajcie. Proszę wszystkich o zajęcie miejsc. Czandra, usiądź po mojej lewej ręce. Panie Arbuthnot, proszę usiąść po prawej. Mabel obok Czandry. Teraz pan Shivpuri. Tak, dobrze. Mademoiselle Garnier między panem Shivpurim a Arbuthnotem. A teraz Mabel, moja droga, czy mogłabyś zgasić lampę?

Dziewczyna wstaje i przykręca lampę stojącą na kredensie. Płomień w kloszu maleje i gaśnie. Pokój pogrąża się w ciemnościach. Ktoś kaszle. Mademoiselle Garnier chichocze

nerwowo.

- Proszę, żebyście złączyli ręce. Oprzyjcie je płasko na stole, jakbyście chcieli wcisnąć je w blat. Nie trzymajcie się za nie, po prostu połóżcie jedną na drugiej. Pomiędzy nami będzie krążyć wielka moc, więc przypomnę wam zasady. Złamanie ich grozi poważnymi konsekwencjami, szczególnie dla mnie, ponieważ to w moje ciało wejdzie duch zmarłego. Proszę, żebyście pod żadnym pozorem nie przerywali kręgu. Pamiętajcie, żadnych gwałtownych ruchów czy zapalania światła. Podkreślam z całą mocą. W pokoju nie może być żadnego światła.

Pani Pereira przeciąga samogłoski. Wydłużone słowa opływają strumieniem stół. Ich brzmienie koi, ale i niesie świadomość czyhającego niebezpieczeństwa. Są jak woda sącząca się przez tamę.

- Trzymajcie ręce złączone, a stopy mocno wsparte o podłogę. Stopy na podłodze są bardzo ważne. Razem będziemy stanowić baterię ładowaną energią psychiczną. Stopy wsparte o podłogę są naszym łącznikiem z ziemią. Proszę więc, żebyście ich nie odrywali. Żadnego krzyżowania nóg czy unoszenia. To bardzo ważne. Możecie się odzywać, ale jeśli jakiś duch zwróci się przeze mnie do was, doradzam uprzejmość. Nie sądzę, by w tym pokoju były jakieś niedowiarki, więc jestem pewna, że nawiążemy prawdziwy kontakt, ale pamiętajcie: uprzejmość, uprzejmość i jeszcze raz uprzejmość. Bardzo ważne. Powtarzam jeszcze raz: pamiętajcie, że to, co robimy, jest niebezpieczne. Jeśli przerwiecie krąg, grozi mi zasiedlenie przez złego ducha. A teraz wprowadzę się w trans i wezwę swojego ducha-przewodnika.

Bobby czuje się nieswojo. Z jednej strony tłusta i spocona ręka pani Pereiry wciska jego rękę w stół. Z drugiej koścista i sucha dłoń Mabel robi to samo z jego drugą ręką. Bobby czuje pod palcami szorstki blat stołu. W ciemnościach medium oddycha coraz ciężiej i szybciej.

- Błękitna Perło! Błękitna Perło! Słyszysz mnie? Wzywa cię Rosi-ta. Błękitna Perło, przybądź. Rosita pragnie nawiązać łączność.

Bobby usiłuje przebić wzrokiem ciemności. Na próżno. Ręka pani Pereiry naciska teraz jeszcze silniej, omal nie gruchocąc mu kości. Bobby chce cofnąć dłoń. Powietrze jest duszne i cuchnące. To chyba odurzające perfumy medium. Woń taniego piżma utrudnia mu oddychanie, wdziera się do gardła i nozdrzy.

- Błękitna Perło! Błękitna Perło! Czy to ty?

W ciemności rozlega się szereg gwałtownych stuków. Zgromadzeni poruszają się podnieceni na swoich miejscach. Głos pani Pereiry staje się gruby i niewyraźny.

- Błękitna Perło?

Kolejna seria stuków. I niski głos.

- To ty, kochana Rosito? Wzywałaś mnie? To ty przywołujesz mnie ze światła?

Z gardła pani Pereiry wydobywa się bulgot.

- Patrzyłam na twój krąg z góry. Moi bracia i siostry z królestwa światła są bardzo radzi z twoich poszukiwań.

Głos pani Pereiry znów jest wyraźny.

- Dziękuję ci, Błękitna Perło. Dziękuję. To dla nas wielki zaszczyt.

- Mam wiadomość dla jednego spośród was. Dla kogoś, kto wprawia w ruch wielkie maszyny.

Pan Arbuthnot woła podekscytowany:

- To o mnie! To ja, Błękitna Perło. Arbuthnot, inżynier na kolei. Co chcesz mi powiedzieć?

- Mam wiadomość od kogoś, kogo straciłeś.

- O Boże, od Davida? Rozmawiałaś z Davidem? Co mówi?

- David jest obok mnie. Nie ma jeszcze wystarczającej mocy, by przemówić w swoim imieniu. Mam ci powiedzieć, że w królestwie światła wszyscy go szanują. Chce, żebyś wiedział, że nad tobą czuwa.

- Wielkie nieba! Dziękuję ci. Dziękuję. Widziałaś tam jego matkę? Czy Thomasina jest z nim?

- Tych dwoje się połączyło. Ślą ci swoje błogosławieństwa. David jest już wolny od wszelkiego cierpienia. Narodził się tam w górze z lodowatych wód. Zmagał się z falami i jest bohaterem. Teraz i na zawsze. Wyrwał się z cyklu narodzin i śmierci.

- Och, dziękuję ci. Dziękuję.

Panu Arbuthnotowi łamie się głos. Bobby słyszy tłumione łkanie. Tę smutną chwilę przerywa nagły trzask. Błat stołu kołysze się i podskakuje niczym dzikie zwierzę. Obok Bobby'ego pani Pereira oddycha ciężko jak podczas wyczerpujących ćwiczeń fizycznych. Dziwne, że jej wdechy i wydechy zdają się dochodzić gdzieś z okolic jego kolan. Zmieniła ułożenie ręki. Teraz jej nadgarstek boleśnie przygważdża palce Bobby'ego.

- Uwaga! - To głos Mabel, niespodziewanie donośny i niespokojny. - Nie przerywajcie kręgu! W moją matkę wszedł inny duch.

Zgromadzeni wydają okrzyk trwogi.

- Czuwajcie nad nią! - woła Mabel. - Strzeżcie jej!

Stół unosi się nad podłogą, aż ręce Bobby'ego lądują niemal na wysokości jego nosa. Po chwili mebel z łoskotem opada na ziemię. Z gardła pani Pereiry znów dochodzi nieartykułowany bulgot.

- Uważajcie! - krzyczy Mabel. - To młody duch, który nie zna własnej mocy!

Stół nieruchomieje. Przez minutę czy dwie słychać w salonie jedynie ciężki oddech medium. A potem rozlega się delikatny, ledwo słyszalny dźwięk dzwoneczków. Pani Pereira zaczyna mówić cienkim dziewczęcym głosikiem, przerywanym gwałtownymi atakami mokrego kaszlu.

- Tralala! To ja!

Zebrani siedzą bez słowa.

- Hej! Ale heca, ale heca! Czemu u was tak ponuro?

Pan Shivpuri przerywa milczenie.

- Duchu, kim jesteś? Powiedz nam, proszę - mówi drżącym z niepokoju głosem.

- Kim jestem? Kim? Sobą, to jasne! Aleś ty głupi!

- Spytam jeszcze raz. Kim jesteś?

- Nazywają mnie Małą Orchideą, idioto. Jestem młoda od początku świata. Lubię zabawę! Bardzo lubię! Zabawmy się razem!

- Duchu, powiedz, proszę... - To mademoiselle Garnier. - Czy tam jest pięknie?

- Pięknie! Pięknie! Wszystko jest światłem i szczęściem. Wszystko jest radością, tralala!

- Duchu - ciągnie mademoiselle Garnier - czy jest tam może ktoś z Charleroi?

Panią Pereira wstrząsa nagły atak kaszlu. Bobby czuje poruszenia jej obfitego ciała na krześle. Znów słychać odległe dzwonki i stół zaczyna podskakiwać.

- Proszę... - mademoiselle Garnier wydaje się zrozpaczona. - Charleroi, duchu. Widziałeś kogoś stamtąd? Powiedz, proszę...

Mademoiselle Garnier dozna rozczarowania. Mała Orchidea więcej się nie odezwie. Po kolejnej serii dzwoneczków i wstrząsów do salonu wraca głos Błękitnej Perły.

- Doprawdy, na duchowych częstotliwościach panuje dziś wieczór niezwykle tłok. Złoty łańcuch między dwoma światami manifestuje się z niezwykłą siłą. Są tu jeszcze dwa duchy zabrane w kwiecie wieku. Młodzi żołnierze szukają matki.

- O Boże - szepcze Elspeth. - Czy to prawda?

- Jeszcze nie mają mocy mówienia. Trudno utrzymać przepływ eteru.

Rozlega się stuk i walenie w blat stołu.

- Szybko! - krzyczy Mabel. - Moja matka jest u kresu sił. Nie wiem, jak długo utrzyma otwarty kanał komunikacji. Użyjmy kodu. Duchy, o duchy! Zaklinamy was, odpowiedzcie na nasze pytania. Jeden stuk oznacza „tak”, dwa - „nie wiemy”, trzy - „nie”. Rozumiecie?

Jeden stuk.

- Czy w tym pokoju jest ktoś, z kim chcecie rozmawiać? Stuk.
 - Czy między nami jest wasza matka? Stuk.
 - Kenneth? Duncan? To wy? - głos Elspeth Macfarlane drży z emocji.
- Znów pojedynczy stuk. Elspeth zanosi się gwałtownym szlochem.

*

Zanim Bóg rozdzielił Andrew Macfarlane'a i Elspeth Ross, wiele lat wcześniej sprawił, że się spotkali. Elspeth i jej siostra zostały zaproszone przez braci Johnstone'ów na wspólną wyprawę do Melrose Abbey by obejrzeć ruiny i, jak to ujął Petie Johnstone, „wyobrazić sobie, jak mnisi i mniszki spędzali tam czas”. Dziewczęta były przekonane, że nic z tego nie wyjdzie, lecz w nagłym przypiływie dobrego humoru (i ponieważ Johnstone'owie byli synami aptekarza i mieli widoki na przyszłość) ojciec wyraził zgodę. Kiedy w umówiony sobotni rano podksecytowane dziewczęta odsunęły zasłony, ujrzały dzień słotny i ponury. Ciężkie ołowiane chmury wisiały nad drzewami porastającymi stok wzgórza, a po bruku tuż przed oknem ich sypialni płynęły strumyki wody. Nie pozostawało nic innego, jak odwołać wycieczkę.

Później Malcolm Johnstone miał ochotę sam sobie dokopać. Powtarzał to za każdym razem, gdy opowiadał tę historię. Było nie było, to przecież on zaproponował, żeby wstąpić do kościoła na kazanie. Lepsze to niż nic, pomyślał wtedy. Szansa na spędzenie godziny obok Elspeth. A godzina to sześćdziesiąt minut okazji dotknięcia jej ręki, otarcia nogi o nogę czy powolnego manewrowania stopą, aż do zetknięcia z krawędzią jej pantofelka. Próbował wszystkiego. Po jego drugiej ręce Petie i Susan oddawali się temu samemu zajęciu. Z jedną zasadniczą różnicą. Kiedy palce Petiego dotknęły niby to przypadkiem palców Susan, dotyk został odwzajemniony (niby to przypadkiem). Potem było trzymanie się za ręce, ocieranie skóry o skórę. Czego Malcolm nie widział, zdradziły rumieńce na twarzy) brata. Petie był czerwony jak burak. Szczęśliwy gość.

Tymczasem Malcolm niczego nie zwojował. Elspeth ignorowała jego wysiłki ze stanowczością równie szokującą, co bolesną. Siedziała zasłuchana w słowa brodatego misjonarza. Zupełnie jakby rzucił na nią urok. Pochodził stąd, z Kelso nad Tweed, i zamienił blade i mdłe światło Szkocji na piekące słońce Indii. Choć nadal młody, spędził dziesięć lat, przechodząc najcięższe próby, miesiącami wędrując przez dżunglę i żyjąc pośród dzikich plemion, które czczą demony i wieszają u wejścia do chat pomalowane czaszki dzieci jako dekoracje.

Obojętna na niema obecność Malcolma, zaprawioną tęsknotą bliskości, Elspeth słuchała opowieści o ciemnych ludziach oddających cześć bożkom i zawierających sztuczkom lokalnych kapłanów, i zakochała się. W oczach wielebnego Macfarlane'a płonął taki ogień, że w ciągu paru chwil spopielił wizerunek Malcolma, przemieszany w jej umyśle z dźwięczeniem dzwonka u drzwi do sklepu Johnstone'ów, zapachem leków i perfumowanego mydła. Od pierwszej chwili wielebny był dla niej po prostu Andrew. Nawet gdy siedziała jeszcze w ławce, ignorując manewry Malcolma; nawet nim zdążyła zamienić z nim choćby słowo.

Andrew.

Andrew przeleżał trzy tygodnie w chacie dzikusa, prosząc Boga, by uwolnił go od majaków wywołanych atakiem malarii. Andrew widział tubylcze kobiety z Asamu, bezwstydnie odsłaniające własną nagość, i nakazał im się okryć. Andrew wyleczył je z choroby, czym przysporzył sobie śmiertelnego wroga w osobie miejscowego czarownika. Ten zebrał jad grzechotnika i potrząsając ogonem gada, usiłował rzucić klątwę na potężnego białego demona, który zniszczył jego prestiż. Andrew własnymi rękami ścinał drzewa w dżungli i zbudował kościół misyjny, który po raz pierwszy w historii głosił słowo boże w tym zapomnianym zakątku Imperium. Opowiadał o tym wszystkim z cudowną pokorą. To był jego obowiązek, sprawdzian siły chrześcijańskiej wiary, czyn naturalny u kogoś, kto miał szczęście narodzić się w wiedzy o boskim miłosierdziu. Kiedy skończył i poprosił obecnych o wspólne odśpiewanie krótkiego hymnu, Elspeth śpiewała tak głośno i entuzjastycznie, że ludzie siedzący z przodu odwrócili się w jej stronę. Później Malcolm snuł się smętnie przy wyjściu, a Elspeth stała przy pulpicie i przestępując z nogi na nogę, zadawała mówcy dziesiątki pytań, aż wreszcie spytała, czy nie miałby nic przeciwko zaproszeniu na herbatę do domu jej ojca. Kiedy następnej wiosny Petie i Susan brali ślub, Andrew i Elspeth Macfarlane'owie byli już na statku płynącym do Indii.

Początkowo radość przeważała nad rozczarowaniami. Niezlomna wiara Andrew czyniła świat miejscem pewnym i bezpiecznym. Jego surowe zasady i stanowcze stwierdzenia, co jest grzechem, a co jedyną drogą dla chrześcijanina, dawały jej siłę i zapewniały ochronę. Elspeth kochała jego spaloną słońcem skórę, surową patriarchalną twarz, nawet sposób, w jaki nocami oblewał go pot, gdy malaria przypominała o sobie kolejnym atakiem. W zaciszu małżeńskiej sypialni jej osiemnastoletnie ciało doznało objawienia. Mąż egzekwował swoje prawa gorliwie i namiętnie i gdyby nie jego zapewnienia, że tak powinno być, Elspeth uznałaby to za kwintesencję grzechu nieobyczajności.

Jej wiara w Andrew była tak mocna, że pozwoliła przełknąć rozczarowanie na wieść usłyszaną w gościnnym pokoiku pani Butler przy kościele św. Pankracego, że nie pojedą do Asamu. Spór Andrew z Towarzystwem Misyjnym zakończył się odwołaniem go z funkcji duszpasterza parafii w dżungli. Poza tym, jak tłumaczył jej łagodnie, tam nie miał już nic do zrobienia. Zadanie utrzymania myśli dzikusów przy Bogu należy do kogoś innego. Teraz obowiązek wzywa go gdzie indziej. Patrząc ponad czarnymi od sadzy dachami King's Cross, spowitymi londyńską mgłą podbarwioną zielenią, Andrew roztoczył przed Elspeth wizję innego miasta, jeszcze bardziej mrocznego. W slumsach Bombaju mieszkają dusze wołające o słowo Boga, dusze nie mające do zaspokojenia duchowych tęsknot nic prócz trzech milionów

hinduskich bożków o szatańskim pochodzeniu. Podczas serii wykładów w rodzinnym kraju Andrew zebrał wystarczającą sumę, by otworzyć misję w samym sercu slumsów, gdzie upodlenie i deprawacja nie mają sobie równych. Poprosił Elspeth, by przemyślała sprawę, zastanowiła się, jaki to zaszczyt nieść prawdziwe chrześcijaństwo w mieście, gdzie sekty czcicieli ognia rzucają swych zmarłych ptakom, a jezuicy duchowni, o prawie tak bałwochwalczych skłonnościach jak hindusi, wchodzą między biednych i potrzebujących, szerząc wypaczoną wersję nauk Pana. On, Andrew, wie, że czeka ich trudna droga, ale nigdy nie ośmieliłby się prosić Elspeth o towarzyszenie mu w tej podróży, gdyby nie wierzył bezgranicznie w jej hart ducha. Elspeth pochyliła przed nim głowę i oznajmiła, że pójdzie za nim wszędzie.

Pierwszy smak rozczarowania poznała kilka tygodni później w trakcie przechadzki po pokładzie parowca w drodze do Indii. Oślepiający blask Morza Czerwonego zmuszał do mrużenia oczu. Gumowe podeszwy jej butów piszczały przy każdym kroku. Mijała właśnie pasażerów pierwszej klasy spoczywających na składanych leżakach i troskliwie obsługiwanych przez młodych stewardów w nakrochmalonych białych uniformach. Kiedy pierwszy raz weszła po kładce na statek i otrzymała listę pasażerów, poczuła dreszcz na samą myśl, że będzie obracać się w towarzystwie tak interesujących i wysoko postawionych ludzi. Urzędnicy państwowi, oficerowie indyjskiej armii, cała arystokracja Imperium. Bardzo szybko dano jej jednak do zrozumienia wymowną ciszą, rozkładem miejsc przy stole i kwaśną uprzejmością, że wbrew temu, w co pozwalał jej wierzyć Andrew, żona misjonarza to niezbyt szanowana pozycja. Kabina drugiej klasy na prawej burcie statku, z gorszej strony, po której zawsze mocniej świeci słońce, naznaczyła ją jako niegodną wspólnych posiłków, a nawet rozmów z ludźmi wysoko urodzonymi czy bogaczami, którzy każdego wieczoru pojawiali się na kolacji w szykownych frakach i, biorąc w posiadanie salę balową, wirowali w tańcu z żonami i córkami w lśniących sukniach. Elspeth przechodziła właśnie obok stadka starszych memsahib, nadzorujących gromadkę pochłoniętych zabawą dzieci, gdy jej uszu dobiegła uwaga wypowiedana krystalicznie czystym angielskim akcentem, zuchwale głośna, bez troski o dyskrecję.

- Tam. To ona.

- Żona tego szkockiego misjonarzyny? Biedna mała. Ten człowiek wydaje się nieznośny.

- Na to wygląda. Arthur mówi, że gada jak najęty.

Te słowa nie powinny jej dotknąć, a jednak dotknęły. Dotąd wydawało jej się, że wszyscy widzą Andrew jak ona. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że może być nudny.

Oczywiście nie wspomniała mu o tym. A kiedy nocą leżała z szeroko otwartymi oczyma, grzebiąc wspomnienie tej chwili głęboko w sercu, powiedziała sobie, że to był test jej wiary, drobna próba zesłana przez Boga. Mimo to nie mogła zapomnieć słów tamtych kobiet. Wtedy jakaś jej cząstka odsunęła się na bok i zaczęła uważnie patrzeć.

Bombaj wywołał jeszcze większy wstrząs. Jej wyobrażenia na temat Orientu były bardzo mgliste: jakieś palmy kokosowe, kobiety w jaskrawych szatach. Wiedziała, że miasto będzie strasznym miejscem, ale wyobrażała sobie wszystkie jego okropności jako pasjonujące wyzwanie, któremu trzeba sprostać z zaciśniętymi zębami i modlitwą na ustach. Znikną w starciu z jej szkockim uporem i zdecydowaniem, a miasto przeobrazi się w harmonijny chrześcijański Wschód ciężkiej pracy i uśmiechniętych brunatnych twarzy, jaśniejących bożą światłością. Rzesze tragarzy na Apollo Bunder, setki żebraków szarpiących jej białą bawełnianą suknię, piekielny skwar i obce zapachy były dla niej niczym cios w twarz, wymierzony brudnym czarnym łapskiem. Idąc tuż za Andrew, coraz dalej i dalej, gdzie ulice zamieniały się w cuchnące zaułki, pomyślała, że zaraz zemdleje. I zemdlą pośrodku tłumu. Ocknęła się na zrujnowanym dziedzińcu, który przez następne trzydzieści lat miał być jej domem.

Przez długi czas egzystowała jak w półśnie. Całkowicie zdała się na Andrew. Myślała i działała według jego słów, prowadziła dom, mechanicznie stosując się do jego wskazówek. Na ile to było możliwe, nie dopuszczała do siebie przerażającego otoczenia, w jakim przyszło jej żyć. Trzymała je na odległość wyciągniętej ręki niczym powalane łachmany niesione do prania. Prawdziwe życie toczyło się tylko w jej wyobraźni, podtrzymywane zniszczonymi angielskimi książkami, kupionymi od handlarzy starzyzną na bazarze Crawford. W tajemnicy przed mężem czytała romanse, baśnie, powieści gotyckie (im bardziej osobliwe, tym lepiej), po czym odsprzedawała je kupcom handlującym książkami.

Kiedy zaszła w ciążę, Andrew złagodniał i pozwolił jej zgodzić służącą. Starsza kobieta pomagała przy gotowaniu i zamiatała podłogę w prowizorycznym kościele. Co niedziela Andrew stawał w drzwiach, gotów na powitanie kongregacji, która musiała się jeszcze zmaterializować. Nocą Elspeth koła cierpienie wspomnieniami szarych wzgórz i białych twarzy. Często nawiedzały ją myśli o Mal-colmie Johnstonie i wysokich szklanych słojach z miniaturowymi perfumowanymi mydełkami w środku, a wtedy po jej twarzy płynęły gorzkie łzy.

W trakcie narodzin Duncana w dusznej sali szpitala kobiecego Elspeth omal nie umarła. I choć Andrew chciał, by jak najszybciej wróciła do zajęć w misji, rekonwalescencja trwała dwa miesiące. Elspeth leżała przy oknie w pokoju na górze, z wysiłkiem karmiła dziecko i

przyglądała się życiu ulicy. Być może ten anielski dystans, wrażenie unoszenia się nad oglądanym światem pozwoliły jej pokochać Indie. Obserwowała ludzi pochłoniętych codziennymi sprawami, kupujących i sprzedających, gotujących posiłki, zebrzących o jałmużnę, piorących ubrania, kucających nad rynsztokiem przy myciu zębów, i wreszcie dostrzegła w Falkland Road coś bardziej złożonego niż ludzką ciżbę potrzebującą zbawienia. Dzień po dniu obserwowała ich coraz uważniej, widziała postacie dźwigające tace ze szklankami, cegły, bele bawełny, figurki bożków z papier mache i martwe ciała przystrojone kwiatami. Podziwiała bujność tego świata, obfitość rzeczy i spraw, o których nic nie wiedziała.

Gdy wyzdrowiała, Andrew nie posiadał się z radości. Elspeth z entuzjazmem rzuciła się w wir zajęć w misji i po raz pierwszy spróbowała zaprzyjaźnić się z ludźmi, pośród których żyli. Czowała, że kocha Andrew za to, że ją tu przywiódł, a on zabierał ją na wędrowkę po slumsach w poszukiwaniu kandydatów do nawrócenia.

- Co usiłuję dla was zrobić, ja, człowiek z dalekiej Szkocji? Tylko dźwignąć was z upadku! Wziąć was za rękę i pokazać właściwą drogę! Uszlachetnić wasze serca, tchnąć w nie moralne zasady, na których wspiera się szkocki charakter! Ślubuję wam to! Będę żył pośród was jako przykład prawości. Przyjdźcie do mojego kościoła, a gdy wyjdziecie z niego, ludzie powiedzą o was: dobry z niego mężczyzna, dobra z niej kobieta...

Czasem przechodnie przystawali i słuchali. Częściej po prostu szli dalej. Ponieważ Andrew mówił po angielsku, większość ludzi, do których usiłował trafić, nie rozumiała jego przesłania. Elspeth zwróciła mu na to uwagę, lecz Andrew niechętnie odnosił się do idei przyswojenia sobie miejscowego języka, nie mówiąc już o głoszeniu w nim nauk. Tłumaczył jej, że językowi angielskiemu moralność jest przyrodzona i że samo jego brzmienie prowadzi ku Bogu. Elspeth spytała, jak sobie radził wśród tubylców w Asamie. Odpowiedział, że liźnął trochę ich mowy, to oczywiste, ale kładł nacisk na nauczanie po angielsku. Angielski i Chrystus, Chrystus i angielski. Nierozłączna para.

Elspeth uważała tę metodę za niezbyt skuteczną. Jej złość budziło też coś innego. Do tej pory myślała, że w ich małżeństwie to Andrew jest otwarty, wtapia się w Indie, które ona tak od siebie odpychała. Teraz dostrzegła innego człowieka. Aroganckiego i ograniczonego. Z powodu mocno zakorzenionej tradycji religijnej Indie zawsze były dla misjonarzy twardym orzechem do zgryzienia. To nie Afryka, gdzie - jak słyszała - tubylcy masowo padali na twarz po jednym kazaniu. Do tej pory Andrew odniósł niewielki sukces. Kiedy Elspeth ponownie zaszła w ciążę (po prawie trzech latach w Bombaju), Niezależna Szkocka Misja dla Pogan miała na koncie zaledwie dwóch nawróconych. Obaj niedotykalni, pomagali dorywczo w zamian za jedzenie, a w niedzielę często trzeba było siłą wyciągać ich z pobliskiego sklepiku z

paan i wlec na mszę.

Andrew uznał, że drugi poród w Bombaju stanowi dla Elspeth zbyt wielkie ryzyko. A że nie mieli dość pieniędzy na podróż dla całej rodziny, ustalili, że pojedzie sama z małym Duncanem i zatrzyma się w Edynburgu u Gavinów, małżeństwa byłych misjonarzy. Tam miał przyjść na świat Kenneth. Kiedy Elspeth machała mężowi z pokładu parowca płynącego do Liverpoolu, czuła dreszcz podniecenia. Jedzie do domu! Starła się zachować pod powiekami wizerunek Andrew, ale często ginął, przyćmiony widokiem stadka delfinów czy skomplikowaną intrygą w powieści Marie Corelli, rozłożonej na kolanach.

Szkocja była cudowna. I obca. Jeszcze na statku Elspeth obawiała się, że kocha Szkocję za bardzo, by znów ją opuścić. Tymczasem po przyjeździe z najwyższym zdumieniem przekonała się, że jej częśćka zapuściła korzenie w slumsach Bombaju. Powrót do domu był niczym odwiedziny u samej siebie z czasów dzieciństwa. Naładowany emocjami i odrobinę zawstydzający. Pierwszy posiłek, złożony z pieczeni wołowej i ziemniaków, wycisnął jej łzy z oczu. A kiedy Susan i Petie przyjechali z wizytą, uściskała ich na powitanie tak mocno, że Petie spytał, czy chce już na samym początku wydusić z nich życie. Ojciec był zbyt chory, by przyjechać. Tydzień później siedziała przy nim w saloniku od frontu i znów płakała. Trzymała ojca za rękę, a on patrzył spłoszony przez okno i pytał już trzeci raz, czy jest panią Ferguson i czy przyniosła kolację.

Gavinowie znali Andrew z Asamu. Mówili o nim w sposób, który czasem budził jej niepokój. Pani Gavin pytała o jego silną wolę. W takim miejscu musi być przecież narażony na straszne pokusy. Elspeth odparła, że nigdy w życiu nie spotkała człowieka o równie żelaznej woli, na co pan Gavin prychnął nad herbatą. Parokrotnie mówił o pracy Andrew z upadłymi kobietami, jakby miał wątpliwości co do charakteru tego zajęcia. „Ale teraz Andrew ma Elspeth - strofowała go pani Gavin. - Ona jest jego siłą”.

Narodziny Kennetha były dla Elspeth niemal równie trudne, co Duncana. Lekarz w szpitalu oświadczył młodej matce, że może nie przeżyć kolejnego porodu. Doradził wstrzeźliwość. „To może być trudne dla męża - powiedział - ale jest przecież duchownym i kocha panią. Jestem pewien, że zrozumie”. Dali jej list z opisem jej nadwątłego zdrowia. Lekarz zerkał znad okularów, gdy przesuwiał go po blacie biurka w jej kierunku. „To powinno go przekonać” - dodał.

W drodze powrotnej do Indii z dwoma synami Elspeth poczuła, że wszystko się zmieniło. Dotąd krążyła wokół Andrew niczym satelita w polu oddziaływania gazowego olbrzyma. Poczawszy na pokładzie liniowca pierwszą falę bombajskich zapachów, odległą woń palonego drewna, niesioną wiatrem nad powierzchnią morza, wiedziała, że ten obraz jest

już nieprawdziwy. Indie są teraz częścią jej własnej orbity.

Nowe oblicze Elspeth zmieniło misję nie do poznania. Wbrew utyskiwaniom Andrew zatrudniła miejscowego nauczyciela języka i zaczęła wędrowkę po slumsach i burdelach, odkrywając dla siebie miejsce, w którym żyła. Wszędzie ogłaszała, że jeśli ktoś potrzebuje opieki medycznej, ma zwrócić się do jej męża, i że po niedzielnej mszy w kościele będą lekcje angielskiego. Po kilku miesiącach w misji tętniło życie. Paru młodych ludzi się nawróciło.

Sukces uradował ją i zaszokował. Dlaczego osiągnięcie celu okazało się takie proste? Ujrzała nowego Andrew, zagubionego Andrew, skrywającego bezideowość pod warstewką mocnych przekonań. Jej czujność rosła, wzmocniona jeszcze fizycznym dystansem, nakazanym w liście lekarza. Patrzyła, jak w miarę czytania twarz męża purpurowieje pod wpływem ledwo hamowanego gniewu. Żadne słowa nie były już potrzebne. W nocy czuła obok siebie jego napiętą, urażoną obecność. Próbowała go pocieszyć, ale odepchnął jej rękę. „To gorsze niż nic - mruknął. - Gorsze od tego, co było przed twoim przyjazdem”.

Zachowywał się tak, jakby to była jej wina, jakby zrobiła to celowo. Nie rozumiał, że ona też coś straciła. Zawsze łączyła ich cielesna bliskość. Używali ciał jako rękojmi związku; gdy on był zły, gdy ją dręczyły wątpliwości. Teraz ona też coś oplakiwała, choć ta jej cząstka, której wyznaczyła rolę obserwatora, odczuwała skrywaną ulgę, że nie musi naginać się do woli męża, gdy jej wiara w niego słabnie coraz bardziej. Czasem nie mogła tego znieść i przywoływała Andrew do siebie, ale zawsze kończyło się to źle - dotykaniami, uściskami, przeprosinami. Bycie razem stało się gorsze niż bycie samemu.

Przez parę lat wszystkie problemy zagłuszało nowe gwarne życie. Pod misją zawsze stał ogonek czekających na poradę medyczną, która w wykonaniu Andrew przybierała zazwyczaj formę wykładu na temat higieny osobistej. Kobiety z Falkland Road zaczęły traktować szkołę jak ochronkę dla dzieci. Wreszcie misja znalazła sobie niszę w ekosystemie ulicy. Elspeth uśmiechała się do jaskrawo ubranych matek, te uśmiechały się do niej. Pod uśmiechami kryła się wzajemna fascynacja. Elspeth zwróciła uwagę, jak patrzy na nie Andrew. Z udręką w oczach. Z wymuszonym potępieniem. Zastanawiała się, jaką grę prowadzi, na jaką próbę się wystawia.

Wydawało się, że przemoc chodzi za Andrew krok w krok. Kiedyś omal nie doprowadzi! do zamieszek, gdy grzmiał na widok muzułmańskiej procesji mijającej budynek misji. Innym razem na progu salonu Elspeth stanął młody angielski policjant. Przykro mu, że przeszkadza, ale jej mąż jest w areszcie. Awantura z katolickim księdzem. Gdy przyprowadził ją do kotwala, ten z trudem skrywał rozbawienie. Zawsze to samo. Andrew sam przeciw całemu światu. On ma rację, reszta się myli.

Duncan i Kenneth podrośli. Nadszedł czas wysłania ich do szkoły w Szkocji. Kiedy chłopcy znaleli do rozmiarów powiewających chusteczkami kropek na horyzoncie, w życiu Elspeth nie istniało już nic, co mogłoby odciągnąć jej uwagę od męża. Ale prawda była taka, że Elspeth się zakochała. Nie w innym mężczyźnie, lecz w innym sposobie myślenia, co było jeszcze gorsze. Stopniowo wizyty nauczyciela zaczęła uzupełniać głębszymi studiami. Wyprawy do muzeum i ruin wkrótce doprowadziły ją na wykłady i zapoczątkowały nocne czytanie pism. Zyskała hinduskich przyjaciół, chodziła na obiady do ich domów i czuła, jaką nieopisaną przyjemność daje jej siedzenie na ziemi i jedzenie palcami. Obserwowała obchody święta

Ganapatiego na plaży, gdzie nieprzebrany tłum czcicieli zanurzał jego ogromny posąg w oceanie. Zaglądała do wnętrza świątyń, usiłując dostrzec w ciemności figurki bóstw wysmarowane ghi. Któregoś roku w dniu Holi Andrew wyszedł na dziedziniec i stanął twarzą w twarz z własną, roześmianą od ucha do ucha żoną w mokrym, przylepionym do ciała ubraniu powalonym farbami. „Stajesz się jedną z nich! Ciągną cię w bagno!” - krzyczał.

Dla niej była to czysta magia. Świat, który odnalazła, przenikały tajemnice. Zawsze ciągnęło ją wszystko, co fantastyczne i osobliwe. Teraz odkryła, że ten świat różni się zupełnie od wyobrażeń Andrew o nim. Pewność jej męża, kiedyś tak pociągająca, wydawała się teraz dziecinnie arogancka. Jak śmiał? Jak mógł stawiać swoją księgę i czystość przeciw nieskończonym tajemnicom wszechświata?

Kiedy ich mała konstelacja się rozpadła, Andrew, zmuszony przez stronę przeciwną, zaczął mówić o nauce, racjonalnej religii oraz wyższości europejskiego umysłu nad azjatyckim. Chłopcy, gdy starczało pieniędzy na wakacyjny przyjazd, zastawali rodziców odnoszących się do siebie uprzejmie. Ale po ich wyjeździe życie wracało do stanu kontrolowanej wrogości, na czym ucierpiały interesy misji. Elspeth prowadziła własną działalność poza nią. Dlaczego miałyby zachęcać innych do wyznawania wiary, od której sama odchodzi? Ta myśl pierwszy raz zakiełkowała jej w głowie w trakcie jazdy rowerem po zatłoczonej ulicy. Przeszyło ją wtedy nagłe poczucie winy, strużki potu towarzyszące zdradzie spłynęły spod pach i między piersiami. Resztki sumienia żony misjonarza, uciekające przez pory jej skóry.

Pojąc tajemniczą doktrynę. Pojąc starożytną mądrość. Nie ona ją wymyśliła. I nie był to czysty hinduizm. Elspeth została przedstawiona grupie innych poszukiwaczy prawdy, ludziom, którzy jak ona wierzyli w cud, w mistyczną syntezę wszechrzeczy. Chodziła na wykłady, które urzekały ją równie mocno, jak przed laty kazania w kościele. Tyle że teraz słuchała opowieści o Wielkim Czystym Braterstwie Himalajskich Mistrzów, Panu Świata, Buddzie, Mahajanie, Manu, Maitreji. Pełen entuzjazmu Anglik w zwykłej białej kurcie i białych spodniach z

zapalem mówił o kluczu, który mogą zdobyć adepci tej nauki, kluczu osiągalnym tylko dzięki długiemu ezoterycznemu treningowi i surowej duchowej dyscyplinie. Ów klucz daje nieśmiertelność i szansę wejścia w krąg takich znakomitości, jak Cagliostro, Abraham, Lao-Cy, Mesmer i Platon. Od brzmienia samych imion kręciło się w głowie. Grek Hilarion. Cudowny Serpis i niebieskooki Koot Hoomi. Boehme i Salomon. Konfucjusz i syryjski Jezus. Wydaje się, że przez wieki mężczyźni i kobiety dążyli do poznania świata, uchwycenia tajnych znaczeń i hierarchii rządzących życiem. W dzisiejszych czasach Wschód i Zachód stapiała w jedno teozofia, naukowa duchowość, poszukująca jedynej prawdziwej mądrości, wiedzy o nadprzyrodzonych prawach rządzących wszechświatem.

Elspeth się nie przyłączyła. Jeszcze nie. To było za bardzo odległe od wszystkiego, co знаła. Przeskok od pustych białych ścian do zawiłych rzeźb. Od umiarkowania we wszystkim do radosnego nadmiaru. Skrywała swoje myśli przed Andrew. On skrywał swoje przed nią. I kiedy trwali w tym stanie, niezdolni do ostatecznego rozejścia, misja właściwie przestała istnieć. Nawróceni powrócili do starych wierzeń albo odeszli, wchłonięci przez bardziej dynamiczne kościoły działające wśród mieszkańców slumsów - przez baptystów albo luterńskiego pastora z Ameryki, którzy zainstalowali się przy Grant Road. Potem wybuchła wojna. Doszły ich wieści, że Kenneth i Duncan zaciągnęli się na ochotnika. Andrew był dumny. Elspeth czuła tylko gniew. Synowie spędzili większość swego życia z dala od niej, a teraz zabierani byli jeszcze dalej. Jej mali chłopcy z białymi chusteczkami w rękach, zagubieni pośród drobnych literek raportów. Nienawidziła tego z całego serca. Życie zredukowane do czarno-białych zwięzłych słów; ciała, które myła i przewijała, skrepowane irytująco abstrakcyjnymi pojęciami typu „akcja”, „front” i „ofensywa”.

Przez jakiś czas ona i Andrew znów wspólnie się modlili, co im się nie zdarzało, odkąd przestali dzielić łóżko. To był gest. Elspeth spędzała teraz wieczory w towarzystwie teozofów i innych poszukiwaczy prawdy. Medytowali o żołnierzach, usiłując roztoczyć wokół swoich bliskich tarczę energii psychicznej. Elspeth usłyszała o wojnie przerażające opowieści - że Niemcy są sługami Władcy o Czarnym Obliczu, nieprzejednanymi wrogami prawdy, że nieżyjący już podżegacz wojenny Bismarck naszpikował granice swego państwa magnetycznymi talizmanami, by zapobiec nadprzyrodzonemu oporowi wobec teutońskiej dominacji. Kiedy zaczęły napływać wieści o ofiarach, niektórzy spośród zaprzyjaźnionych teozofów zaczęli działać jako Niewidzialni Przyjaciele. Patrolowali odległy front w ciałach astralnych i prowadzili dusze zabitych ku nowym wcieleniom. Pełna złych przeczuć Elspeth usiłowała nawiązać kontakt z Kennethem i Duncanem. Jeden jedyny raz. Pierwszy i ostatni. Ale nie potrafiła wyjść z ciała, oderwać się od Bombaju. Może była to kwestia słabego

opanowania duchowej techniki, tłumaczyła sobie.

Telegramy nadeszły w niewielkich odstępach czasu. Kenneth pod Ypres. Duncan pod Loos. Tylko myśl o reinkarnacji pozwoliła jej to przetrzymać. Ktoś pokazał Elspeth Lives of Alcyone pana Leadbeatera z listą inkarnacji, sławnych wcieleń we wszechświecie od czterdziestu tysięcy lat przed Chrystusem do czasów współczesnych. Juliusz Cezar. Pani Besant. Wcielenia na Marsie, w Peru, na Księżycu. Świadomość ich nieograniczoności przyniosła ukojenie. Ten koszmar był po prostu zakończeniem jednej z wizyt jej synów. Spotkali się przedtem i spotkają potem, setki razy, w setkach form wędrujących w czasie i przestrzeni. Z dwoma telegramami na stole w salonie odkryła, że już się nie boi. Powiedziała Andrew, w co wierzy, spokojnie rozwijając ten wątek niczym dywan na stopniach, po których zejdzie niecierpliwie oczekiwany dygnitarz.

Andrew był wstrząśnięty. Powiedział, że zwiódł ją Szatan. Że nie są już mężem i żoną. Tego popołudnia przydźwigał stosy cegieł na podwórko, rozebrał się do koszuli i zaczął wznosić mur.

Kiedy Bobby zjawił się tu pierwszy raz, nie mógł się nadziwić władzy, jaką owa konstrukcja ma nad jego nowymi chlebobawcami. Kruszący się krzywy mur, zapadnięty pośrodku, z mężem po jednej i żoną po drugiej stronie, wydawał się mieć niedorzeczną, a jednocześnie mistyczną moc. Podejrzewał, że nawet wielebny nie potrafi wyjaśnić, jak powstał. Mur zrodziło cierpienie.

Chodziło o utrzymanie się na posterunku i odgrodenie się od Elspeth. Nikt go nie rozumiał. Kładąc cegły jedna na drugiej, Andrew czuł się jak ostatni człowiek na świecie. Fala plugastwa porwała nawet jego żonę. Nawet Elspeth.

O Boże.

Wszystkie jego słabości. Wszystkie poprzednie mury. Nie byłyby konieczne, gdyby nie upadał tak nisko i tak często. Nie miał pojęcia, jak widzą go inni, i niezbyt go to obchodziło. Liczyło się tylko to, co widzi Bóg. Andrew wiedział, co widzi gigantyczne niebieskie oko. Dziurawe wiadro. Ciekący worek ze skóry.

Przez chwilę rozważał ułożenie cegieł w kwadracie. Zbudować grobowiec i zamknąć się w nim. Nic takiego się jednak nie stało. Rozpacz jest jedną z rzeczy, które nie są Bogu miłe. Andrew zbudował więc mur do wysokości oczu, przeniósł resztę swoich rzeczy do pokoju na

poddaszu kościoła i zaczął obserwować, jak Elspeth stacza się do poziomu małąp.

Mógł położyć temu kres. Każde z nich mogło to zrobić, wyprowadzając się albo wracając do domu. Mógł narzucić jej swoją wolę, odcinając od pieniędzy przysyłanych przez siostrę (Susan i Petie wzbogacili się na sieci aptek). A jednak coś ich przed tym powstrzymywało. Żyjąc po przeciwnych stronach muru, zawiśli w stanie tymczasowości. Odsuwali w czasie ostateczny koniec.

Po stronie Elspeth panował ruch. Andrew ukradkiem obserwował przychodzących i wychodzących, czasem z okien pokoiku na górze, czasem stojąc na palcach za murem. Teozofowie zawsze chodzili grupkami, jakby musieli trzymać się razem. Choć ciągle widział te same twarze, zawsze występowały pod różnymi sztandarami. Córy Indii, Zakon Wschodzącego Słońca, Liga Uzdrawicieli, Liga Modlitwy, Braterstwo Sztuki. Tyle oszukaństwa. Tyle dezorientacji. Mężczyźni i kobiety Hindusi i Europejczycy. Wszyscy bezładnie przemieszani. Andrew nie wiedział, jak Elspeth może to znieść.

Nigdy nie miał szerokich horyzontów, I nie był z tego dumny. To oznaczało, że jego wiara jest chwiejna i słaba. Przez całe życie zdawał sobie sprawę, że gdyby wskazano mu drogę tylko raz, byłby zgubiony. Dziwaczne misteria odbywające się po drugiej stronie muru to dzieło Szatana, tego był pewien. Ale zawsze unikał nawet bardziej niewinnych form abstrakcji. Bezkres. Konglomerat. Różnorodność. Dla Andrew były to jedynie inne określenia Wątpliwości.

A kiedy upadł, upadł naprawdę nisko.

W chacie na zboczu wzgórza gdzieś w Asamie migocze światło. Przez szpary między bambusowymi palami żółty płomień sący się na zewnątrz. Andrew krąży w środku niespokojnie. Jego złane potem nagie ciało pozostawiło na prześcieradle brudny i mokry ślad. Popija wodę z dzbana na stole. Klęka do modlitwy. Pociera ręką o rękę, ostrymi paznokciami skrobie pokąsaną przez komary pierś. Każdy dotyk pali mu skórę. Tropikalny klimat okazuje szatańską złośliwość. W upale i wilgoci Europa się roztopia, a sługa boży staje się wrażliwym instrumentem - ociekającym potem nagim ciałem z falującym i naprężonym kutasem. Andrew tarza się po ziemi i jęczy. Ma dwadzieścia cztery lata. Kiedy przychodziły takie noce, poddawał się i w poczuciu winy ręcznie pozbywał się problemu. Dziś zza drzwi dobiega jakiś szmer. Ktoś go obserwuje. Andrew przepasuje się starą koszulą i otwiera. Staje twarzą w twarz z Sara, jedną z dziewcząt z misji. Filigranowa, o twarzy kotki, przytyka obie dłonie do ust, by stłumić chichot. Nie ma na sobie sukienki z zadrukowanego perkalu, stroju obowiązującego w misji, do którego noszenia on i Gavinowie nie mogą przyuczyć swoich podopiecznych. Kuca. Spódniczka z trawy tańczy wokół jej talii. Ciężkie mosiężne kolczyki wiszą w rozciągniętych

uszach. Poza tym Sara jest naga. Oczy Andrew błędzą po małych brodawkach jej piersi, wędrują w dół ku sromowi obramowanemu trawą. Nie wytrzymuje. Zaciska palce na ramieniu Sary i wciąga ją do środka.

To stało się raz, drugi, trzeci. Czwartego razu nie było. Andrew poczuł do siebie obrzydzenie. Musi z tym skończyć. Przysiągł sobie, że musi. Kalka miesiący później mała Sara toczy się między zabudowaniami misji, wygładzając wyblakłą różową sukienkę na rosnącym brzuchu. Andrew jej unika. Gavinowie wiedzą, że nie jest zamężna, ale złożyli to na karb jakiegoś uchybienia z jej strony, jakiegoś przypadkowego kontaktu poza misją, z kimś z jej plemienia. To się wymykało europejskiemu rozumieniu. „A może ona ma męża - głośno myślał któregoś dnia pan Gavin. - Kogoś, kto się nie nawrócił”. Nie zauważył spojrzeń rzuconych młodemu Macfarlane’owi przez inne dziewczęta z misji. Nie miał pojęcia, co słyszy jego młody asystent, gdy leży wieczorem na pryczy i modli się, wpatrzony w lepłą ciemność. Skrobanie do drzwi. Jak pazurki małych zwierzątek. Sara. I nie tylko ona. Wszystkie pragnęły dostąpić tej łaski. Stać się kobietą młodego białego kapłana.

Urodziła się dziewczynka. Sara podniosła małą do góry, gdy ojciec mijał je wielkimi krokami. Nie miał śmiałości spojrzeć jej w oczy. Dziecko miało jasną skórę. Andrew pomyślał, że Gavinowie musieli zwrócić na to uwagę. Ale milczeli. Dziewczynka była w misji przez cały czas. Bawiła się w piasku, klaskała pulchnymi rączkami. Oskarżała go.

Widział wioski w sąsiedztwie rozległych plantacji herbaty, gdzie całe rodziny mieszanych dzieci ustawiały się w szeregu, by popatrzeć na przejeżdżających misjonarzy. Chłopcy i dziewczynki w różnym wieku stali przed chatami, trzymając się za ręce. Każde z nich miało zdradzający wszystko haczykowaty nos albo odstające uszy zarządcy plantacji, inżyniera czy naczelnego lekarza okręgu. Szokująca rozmowa z jakimś mężczyzną w zatechłej palarni jednego z klubów w terenie. „Lżej spędzać samotne wieczory, no nie? Czy facet ma coś innego do roboty?”.

Ale nie on. On miał być lepszy.

Postanowił walczyć. Rzucił się w wir pracy, wpadł na pomysł budowy szpitala w misji. Cztery solidne ściany z cegły, wszystkie udogodnienia, budynek na tyle duży, by zaspokoić potrzeby całego okręgu. Jego myśli znalazły ujście. Pewnego wieczoru odwiedził go pan Gavin i zastał pod drzwiami dziewczęta. Trzy z nich zwinięte w kłębek na werandzie jak małe pieski. W środku Macfarlane najniewinniej w świecie pisał prośby o dotacje do przełożonych w Darjeelingu. Co one tam robiły? Czy jego pomocnik urządził sobie harem? Mina protegowanego przekonała pana Gavina, że nie jest tak źle, jak mu się wydaje, niemniej jednak złe wrażenie pozostało.

Któregoś dnia dochodzi do nieuniknionej rozmowy. Jadą po zaopatrzenie. Monsunowy deszcz ścieka z szerokich rond kapeluszy, intensywny zapach zielonej dżungli wdziera się w nozdrza. „To nie jest kraj dla samotnego mężczyzny. Być może nie to miejsce Bóg ci przeznaczył. Wracaj, Andrew. Znajdź sobie żonę. Masz nasze pełne poparcie. Muszę cię jednak uprzedzić, że Towarzystwo Misyjne może nie znaleźć dla ciebie innego miejsca w górach”.

Andrew upadł, ale się nie poddał. Wrócił do Ojczyzny i zaczął zbierać fundusze na otwarcie własnej misji. Jego wytrwałość została nagrodzona. W swej łasce Bóg zesłał mu żonę. Z wdzięczności Andrew postanowił poddać się próbie, ciężkiej próbie, by udowodnić, że w pełni zasłużył na ten dar. Ułożył dokładny plan. Wejdzie między nierządnicę, na swój dom wybierze najbardziej zdeprawowane miejsce. Opierając się pokusie, udowodni własną siłę i odkupi swą winę w oczach Pana. Kierował nim ten sam impuls, który każe mężczyznom dźwigać ciężary albo zgłaszać się podczas wojny na niebezpieczne misje. Nikogo się nie radził, nikt więc nie zadał mu pytania, czy to rzeczywiście hart ducha, czy raczej zwyczajne pragnienie ba-brania się we własnych słabościach.

Pojawiła się Elspeth. Szukając odpowiednich słów, zadawała pytania w kościele, po którym hulał wiatr. Otrzymał dotacje na misję w Bombaju. Oboje wydawali się częścią jednej i tej samej całości. Przestał być bezwartościowy. Skupił się na realizacji duchowego celu i świat mu się odwzajemnił. Zawarli ślub. Andrew kupił dwa bilety drugiej klasy na statek do Indii. Dopiero na miejscu, z rozhisteryzowaną młodą żoną w walących się murach domu przy Falkland Road, ocknął się, wziął głęboki oddech i spojrzał na swoje przedsięwzięcie z odpowiedniej perspektywy.

Prawdę powiedziawszy, był zagubiony. Nie wiedział, co robić. Czuł się zupełnie jak tyle razy przedtem w Asamie. Potrzebował przeciwnika, ciężkiej pracy, która pomogłaby mu dowiedzieć się czegoś o sobie. Zamiast tego ślizgał się po powierzchni niczym machający rękami łyżwiarz, odpychany przez miasto broniące dostępu do swego wnętrza. Problem stanowili ludzie. Andrew potrzebował ich do wykonania zadania, potrzebował obiektu, na którym mogłyby się skupić jego duchowe wysiłki. Tymczasem oni uparcie bronili się przed asymilacją. Mężczyźni i kobiety Bombaju, pozbawieni widoków na zbawienie, patrzyli albo nie patrzyli na nauczającego Andrew, żuli betel, przechodzili obok, rzucali uwagi, każdym przejawem rozbawienia czy obojętności zdając się ostentacyjnie demonstrować własną indywidualność. Jak mogli? To przecież rojna Azja, gdzie jednostka się nie liczy. Andrew krzyczał na ulicy na przestraszonych rikszarzy i czuł, że jego gniew jest odbiciem gniewu samego Boga. Odbierał to jako osobistą zniewagę. Rzecz była tym bardziej irytująca, że ci ludzie niewolniczo służyli innym siłom: pieniądзом, fałszywym religiom i własnej tradycji,

rzządzającym nimi białym. Zastanawiał się, czy brak mu czegoś, co mają inni, jakiegoś organu decydującego o skłonnościach przywódczych.

A może należał po prostu do pośledniejszego gatunku białych, którzy rozводnili swą drogocenną krew.

Wszystko się zazębiło. Obowiązek. Brak oparcia w misji. Sperma. Chichoczące tubylcze kobiety. Andrew chciał poznać dokładny kształt swego grzechu. Znalazł jego opis w naukowych opracowaniach. Andrew Macfarlane, osobnik o białej skórze, falistych włosach i średniodługiej głowie, spółkował z Sara o skórze żółtawej i egzotycznej urodzie, dziewczyną jednak niefortunnie krótkogłową. Ich córka była odstępstwem. Osobnikiem o niejasnej przynależności.

„W porównaniu z rodzicem reprezentującym wyższą rasę dzieci wykazują gorsze cechy. Mieszanie się ras, jeśli zachodzi powszechnie i w każdym pokoleniu, nieuchronnie pociąga za sobą obniżenie zdolności u następnych generacji. Efekt łączenia się osobników różnych ras jest gorszy niż efekt łączenia się dwóch osobników rasy wyższej”. Kogo sprowadził na ten świat? Nie pamiętał rysów twarzy tamtej dziewczynki. Powoli się zacierały, zastąpione twarzyczkami dwóch synków, których narodzin nie skaził upadek ojca. Byli jego dumą, choć czasem cena za to wydawała się zbyt wysoka. Wyrzeczenie się ciała żony było torturą. Mimo listu lekarza coś w zachowaniu Elspeth kazało Andrew przypuszczać, że i bez tego by się odsunęła. Falkland Road stała się miejscem najeżonym pułapkami.

„Oto cechy znamionujące rasową niższość: prostota i wczesne zrastanie się kości czaszki, szerokie otwory nosowe, kościorost kości nosa, wydatne szczęki, cofnięty podbródek, wczesne wyrastanie, rozmiar i trwałość zębów mądrości”.

Te pułapki to kobiece części ciała. Wysokie czoła. Oczy obrysowane czarnymi obwódkami. Piersi wciśnięte w obcisłe barwne bluzki. Odsłonięte brzuchy. Czerwone ruchliwe usta, otwarte, oczekujące.

„Płaskie i cofnięte czoło to także «niższa» cecha, choć z drugiej strony charakterystyczne dla negroidów wysokie czoło niekoniecznie oznacza wybitne zdolności intelektualne”.

Jego żona kwitła. Miała niespożyte siły. Wydawało się, że energia wprost ją rozpiera. Wyrzekła się go. A według prawa należała do niego. To było nie do zniesienia. Nie do zniesienia. Zazdrość Andrew zaczęła żyć własnym życiem.

„W miarę podbojów kolejnych części świata Europejczycy mieszały się ze wszystkimi znanymi rasami, co doprowadziło do powstania niezliczonej i problematycznej masy ludzi-krzyżówek, porównywalnych z naszymi bezpańskimi psami czy kotami”.

Pieprzenie. Nadaj realny kształt temu słowu czerwonymi ustami, mlaskaniem warg. Dysząca samogłoska spływa ze ściśniętego gardła. Pieprzyć. Pieprzenie.

„W trakcie badań nad kątem i kierunkiem waginy u negroidalnych kobiet oraz nad budową organów płciowych u mężczyzn wyraźnie widać...”

Pieprzenie. Dziwka, którą mijał pewnego ranka, uniosła różową spódnicę, by pokazać...

„(...) cykliczne pobudzenie ośrodków seksualnych...”

Misjonarz wędrujący pośród nierządnic. W dolinie czerwonych ust. Bez strachu.

„(...) wargi sromowe są spłaszczone i cienkie, upodabniając się do typu obserwowanego u samic małp człekokształtnych”.

Pieprzenie.

Misjonarz na dziewczynie z rozłożonymi nogami. Paznokcie wbite w brunatną skórę. Angielskie słowa. W odpowiedzi niezrozumiały bełkot. Krzyk. Cios pięścią. Za wszystkie te lata. Mocno. Jeszcze mocniej. Gdzieś tam jest jego biała żona, której nie może tknąć. Boże! O Boże!

Oderwali go od dziewczyny jacyś mężczyźni o brunatnej skórze, śmierdzący potem i czosnkiem. Uderzyli go w żołądek, rozcięli twarz, powlekli na ulicę i rzucili na stos odpadków. Półnagi, z gołymi stopami zanurzonymi w odchodach i gnijących skórkach pomarańczy, chwiejnym krokiem ruszył w poszukiwaniu spodni. Misjonarz ścigany spojrzeniami grupki dzieci ulicy.

Powiedział Elspeth, że to była awantura z hinduskimi bandziorami. Nie uwierzyła. Widział to. Mniej więcej w tym samym czasie zaczął poważnie zastanawiać się nad ideami zwolenników poliginii.

Może rzeczywiście na początku istniały jeszcze inne rodziny prócz stworzonej przez Adama i Ewę. Święty autor Genesis nie miał powodu zaprzętać sobie głowy tymi stworzeniami, żyły więc nie opisane i nie upamiętnione przez nikogo. Współczesne niższe rasy wykazywały tak odmienne i zróżnicowane cechy, że wniosek o ich pochodzeniu od tamtych niższych istot i przynależności do odrębnego gatunku nasuwał się niemal samorzutnie. A skoro tak, krzyżowanie się z nimi było w dwójnasób wbrew naturze, nie lepsze niż sodomia.

Jak nisko upadł! Większość autorytetów podzielała pogląd o nasilającej się tendencji do bezpłodności u osobników powstałych w wyniku krzyżówek. Przynajmniej tyle. Andrew wyobrażał sobie, jak jego żółtawa córka o wielkiej głowie rodzi młode w błocie dżungli, jak jego cechy rozmywają się coraz bardziej, aż ród przez niego zapoczątkowany kończy się narodzinami martwego potworka.

Tymczasem Elspeth oddalała się coraz bardziej. Przestała go pytać o zgodę w różnych

sprawach, z przypominającymi mały ludźmi rozmawiała szybko wyrzucanymi z gardła sylabami, których nie rozumiał. Nie dotykała go, za to huśtała na kolanach małej dzieci. Czuł się tak, jakby patrzył na żonę obcującą z psem albo koniem. Później uświadomił sobie, że wybuch wojny uchronił go przed czymś strasznym. Przelatywały mu wtedy przez głowę rozmaite myśli, obrazy krwi i zemsty ze Starego Testamentu. Kajzer je rozwiązał, a raczej skierował na inne tory. Karykatura w „Illustrated News”. Żądne krwi monstrum w spiczastym hełmie. Ludzie w Bombaju nigdy nie uosabiali sił ciemności w tak prostej i obrazowej formie. Andrew znienawidził Niemców z całego serca. Na jakiś czas stali się wyłącznym tematem jego ulicznych kazań. Przechodnie na bazarze patrzyli, jak z wysokości skrzyni po herbacie pomstuje na demonicznych Hunów, plując w zapamiętaniu śliną i wygrażając zaciśniętymi pięściami. Był nawet gotów przymknąć oczy na okultystyczne praktyki żony, tym bardziej że po raz pierwszy od lat uklękli razem do modlitwy.

Unoszony zapalem wojennym Andrew oczekiwał, że zostanie poproszony o ofiarę. Tęsknił za ofiarą. Ale brak wyobraźni sprawił, że choć Kenneth i Duncan walczyli we Francji, nawet mu przez myśl nie przeszło, by Bóg miał zażądać jego synów. Wprawdzie Abraham położył Izaaka na ołtarzu, lecz Pan powstrzymał jego rękę. Andrew nigdy nie dostąpił łaski takiej próby i nic nie powstrzymało niemieckich karabinów maszynowych. Telegramy zadały zbyt wielki ból, by zostawić miejsce na gniew. Kiedy Elspeth oznajmiła, że nie wierzy już w jego Boga, i opowiedziała bajeczkę o reinkarnacji i srebrzystych duchach, jakaś cząstka Andrew chciała wyciągnąć ręce i przytulić ją mocno. Byle tylko chłopcy wrócili. Byle tylko zbudować pomost nad przepaścią ziejącą między nim a światem.

Zamiast tego zbudował mur. Cegły, jedna na drugiej, spojone resztkami jego cnoty, przypominającej wróbla rozpaczliwie trzepocącego skrzydłami, gdy eksperymentator wypompowuje życiodajne powietrze ze szklanego pojemnika. Czuł, że nie ma wyboru. Mur dał Macfarlane'om złudzenie równowagi. Elspeth zyskała przestrzeń do prób połączenia się z synami na planie astralnym, a Andrew do rozmyślań o Bogu, winie i Rozumie. Powziął zamiar, którego realizacja miała mu wypełnić resztę czasu na ziemi. Badania fizjologicznych podstaw duchowości. Doszedł do przekonania, że wyjątkowa zdolność białego człowieka do wiary musi mieć swoje uzasadnienie w jakiejś właściwości umysłu albo ciała. Klucza do rozwiązania tej zagadki miała dostarczyć anatomia porównawcza. Andrew gorliwie przystąpił do badań.

Kiedy zjawił się chłopiec, Andrew był bliski obłędu, grzęznąc w statystyce i skalach pomiarowych. Usłyszawszy hałas na podwórku, wszedł z laboratorium i obserwował zza muru, jak Elspeth oprowadza młodego oberwańca w brudnym ubraniu khaki po swojej części misji. Później zauważył, że przydzieliła mu jakieś prace wokół domu. W jego sercu natychmiast

zakiełkowało podejrzenie. A kiedy odkrył, że mimo białej skóry i szlachetnych rysów twarzy dzieciak ma skażoną krew, wiedział już, że wszystkie najgorsze podejrzenia się sprawdziły. Elspeth stacza się coraz niżej. Zostanie obrabowana i oszukana. Napisał list, w którym wyłożył swoje zastrzeżenia, i wsunął go pod jej drzwi. Elspeth nie dała po sobie poznać, czy znalazła i przeczytała list. Chłopiec został.

Andrew szpiegował go zza muru. Obserwował, jak się krząta, wykonując zleczone prace. Czuł się jak nawiedzony przez ducha. Przyszło mu żyć blisko istoty, której bał się najbardziej - białej, ale nie białej, pośredniego stadium między jego nieżyjącymi synami a potworkowatą córką. Pewnego dnia chłopak naprawiał na podwórku krzesło. Z domu wyszła Elspeth. Stała za nim i z osobliwym uśmiechem patrzyła, jak pracuje. Prawie nieświadomie wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach. Chłopiec podniósł głowę i uśmiechnął się do niej. Andrew poczuł ściskanie w gardle. Tego popołudnia zawołał przybłędę i szorstkim głosem kazał mu pozamiatać swoją część podwórka.

Wkrótce uczył Roberta poprawnej angielszczyzny w mowie i piśmie oraz podstaw kultury. W ramach eksperymentu. Chciał się przekonać, jaki wpływ na zdolności intelektualne i moralne ma jego mieszane pochodzenie (o którym ze zrozumiałych względów chłopak mówił bardzo niechętnie). Występując w roli nauczyciela, uważnie obserwował swojego ucznia. Chłopiec był zadziwiająco bystry i chętny do nauki, niemal pazerny na wiedzę. Ku swemu niepomiernemu zdziwieniu Andrew nie szczędził mu pochwał i napomnień. Poza tym chłopiec pełnił funkcję posłańca, niebiańskiego łącznika między jego światem i światem jego żony.

Anioł, prawdziwy anioł.

*

Po deszczach nadchodzą chłody. Po chłodach upały. Przez rok, jaki minął od wizyty u pani Pereiry i nadejścia przyrządów pomiarowych wielebnego Macfarlane'a, ciało Bobby'ego twardnieje, a twarz staje się szczuplejsza. Kobiety z Falkland Road ciągle wołają go, gdy przechodzi obok, ale głosem już zmienionym. W ich nieprzyzwoitych żartach jest coś pożądanego, podszytego pragnieniem i taksowaniem. Bobby wyrósł ze starych ubrań i sprawił sobie nowe. Ubrania sprawiają mu przyjemność. Lubi dotykać czystej koszuli, lubi błysk spinki przy kołnierzyku. Akt wybierania krawata z kolekcji wiszącej na drzwiach szafy ma wartość rytuału. Kropki czy paski? Kim dzisiaj być?

Choć Bobby nadal mieszka w misji, wszyscy i tak wiedzą, że sługą Macfarlane'ów jest tylko z nazwy. Plotka głosi, że tych dwoje prawie się w nim zakochało. Cóż, nie są wyjątkiem. Nie miałabym nic przeciwko temu. Ani ja. Ach, czego bym go nauczyła, gdybym tylko miała okazję...

Przez ten rok Bobby był bardzo zajęty. Jego bombajskie interesy rozrosły się do znacznych rozmiarów. Co wcale nie oznacza, że jest bogaty. Bo kto jest w takim miejscu jak to? Ale Bobby ma chyba coś więcej niż bogactwo. Jest ustosunkowany. Nadal załatwia rozmaite sprawunki dla domów, ale po paan i butelki biegają już młodszy chłopcy. Bobby żyje z prowizji. Pośredniczy w interesach i oferuje trudno dostępne usługi osobom, które cenią dyskrecję i mają wypchany portfel. Czy gustujesz w Żydówkach madame Noor z Bagdadu (Habibi! Habibi!), w banalnych gejszach z Domu Japońskiego, czy szczególnych i bolesnych praktykach, jakie zapewnia tylko Błękitny Motyl, Bobby skieruje, gdzie trzeba. Chodzą słuchy, że sam nie gardzi małym zarobkiem na boku. Bóg jeden wie, ile ofert mu się trafia. Ale Bobby udaje, że go to nie interesuje, a ludzie udają, że mu wierzą.

Nikt nie zna jego przeszłości. I nie ma w tym nic dziwnego. Nikomu nie przyszłoby do głowy pytać Shyam Sena, czemu nie może wrócić do Kalkuty, albo podpytywać Tony'ego Chińczyka o poharatane palce. Niektóre sprawy są poufne. Ale Bobby ma cechę inną niż tajemniczość. Kiedy do kogoś mówi, przejmuje rytm głosu rozmówcy i pozę, rzuca uwagi skrojone na miarę poczucia humoru tej osoby. Mimo fanfaronady, urody i pewności siebie jest w Bobbym coś, co łaknie niewidzialności.

Zdolność Bobby'ego do mimikry pomaga mu w pracy. Potrafi rozśmieszyć szeregowców i kaprali naśladowaniem regionalnej wymowy. „Dobrze być, stary? Nie łamać się. A teraz do rzeczy, panowie. Znam wspaniałe miejsce i mogę was tam zaprowadzić, jeśli sobie tego życzyście...”. Bobby handluje silnie utrwalonymi stereotypami. Czasem snuje się w pobliżu ekskluzywnych miejsc, płacąc portierom, by go nie przeganiali. Jego rozmowy są

krótkie i raczej jednostronne. „Jak się pan dzisiaj ma, sir?” „Dobry wieczór, sir, czy mogę w czymś pomóc?”. Przy takich okazjach często się okazuje, że owszem, mógłby pomóc. Szczególnie późnym wieczorem przed Green czy Watson, albo w Byculla Club w dniu wyścigów.

Bobby jest duchem nawiedzającym brzegi morza światła elektrycznych. Krąży gdzieś na granicy percepcji, materializując się w swym kołnierzyku i krawacie niczym istota na wpół realna, wystarczająco eteryczna, by powierzyć jej swoje sekrety, które wraz z nią rozplyną się w świetle słońca. Bobby nigdy nie był w żadnym z obserwowanych miejsc. Bobby po prostu zaczepia ludzi, którzy stamtąd wychodzą. Ale Bobby zna jednego z kelnerów w Royal Bombay Yacht Club i kiedyś dzięki niemu mógł obejrzeć bal. Na trawniku płonęły pochodnie, sznury żarówek rozświetlały drewniane podium, na którym członkowie klubu tańczyli z żonami i narzeczonymi, tworząc wir białych pleców i ramion, z przejściem śledzony przez dwadzieścia par hinduskich oczu.

Czasem za dnia Bobby jest uczniem. Pod czujnym okiem wielbnego Macfarlane'a recytuje kluczowe daty. Bitwa pod Hastings. Magna Carta. Bezkrwawa Rewolucja i Wojna o Ucho Jenkinsa. Jego gramatyka łacińska jest już doskonała. W zamian za lekcje przyprowadza wielbnemu obiekty do fotografowania. Procedura jest za każdym razem taka sama. „Powiedz im, że nie zapłacę” - mówi wielbny. I płaci, ale tylko wtedy, gdy obiekt pochodzi z kasty lub grupy której jeszcze nie ma w kolekcji, i pozuje nago.

Bobby'ego ciekawi, co myśli Macfarlane o ulicznych przyjaciołach swojego ucznia. Albo o jego ubraniach, zachowaniu, chęci do nauki. W spojrzeniu wielbnego nie ma uczucia. Jest wyzwanie, 1 ocena.

Macfarlane jest zdumiony sposobem, w jaki Bobby studiuje jego księgi. Pewnego dnia ukradkiem zerka do notatnika, w którym prócz listy rzeczowników drugiej deklinacji i bitew angielskiej wojny domowej znajduje zapiski: „Eskimos, palearktyczny lub ugryjski, Chińczyk, Indianin północnoamerykański, Turek, Polinezyjczyk, Tehuelcze, Indianin z północnego-zachodu Ameryki...”. I tak dalej. Wszystkie rasowe podgrupy wyszczególnione przez Haddona. Są jeszcze inne rzeczy. Wykresy. Tabele z miejscem i częstotliwością występowania. Jego fascynacja klasyfikacją wydaje się równie silna, co u Macfarlane'a.

W trakcie lekcji nie pada ani jedno zbędne słowo. Obaj porozumiewają się między sobą za pośrednictwem dat, ciągu faktów, typologii. Choć Macfarlane powinien sobie pochlebiać, znajduje w tym coś osobliwego. Ma ucznia, w którego koncentracji wyczuwa jakiś głód, jakąś zachłanność. Coś agresywnego. Instynkt nakazuje się chronić. Wielbny ma niejasne wrażenie, jakby ktoś chyłkiem wysysał mu szpik z kości.

W trakcie wymiany informacji w pokoiku Macfarlane'a na poddaszu wisi coś złowrogiego. Bobby myśli o tym w kategoriach zabawy w wytrzymywanie cudzego spojrzenia. Kto pierwszy mrugnie powieką? Nie rozumie, skąd w nim ta wytrwałość, skąd dziwaczna fascynacja lekcjami z Macfarlane'em. Najbliżej mu do znalezienia odpowiedzi na to pytanie, gdy obserwuje swego nauczyciela przy fotografowaniu obiektów badań. Jak wielebny szponiastymi palcami ustawia modela, jak unieruchamia ciało na tle siatki, jak bierze pomiary. Szerokość miednicy. Kąt nachylenia piersi. Jak kalibruje dane, a potem wpisuje do notesu. Kiedy Macfarlane patrzy przez obiektyw aparatu, jego przygarbione ciało starego człowieka staje się masywnym i posiwiatym wehikułem dla oka, w którym ogniskuje się cała siła. Na jego twarzy zawsze maluje się wtedy napięcie. Pewnego dnia jedna z dziewcząt zaczyna się z nim droczyć. Dotyka się w różnych miejscach i wygina zalotnie. Wielebny odsuwa się od aparatu i wlepia w nią wzrok. Sprawia wrażenie przerażonego, niezdolnego do myślenia. Wreszcie Bobby wywleka stamtąd dziewczynę w obawie, że Macfarlane zaraz zrobi coś strasznego.

We wtorki i czwartki pani Macfarlane wprowadza Bobby'ego w tajniki naukowej duchowości. Towarzystwo Teozoficzne spotyka się w przestronnej sali, obwieszonej transparentami głoszącymi mądrość Mistrzów Himalajskich i szlachetność duchowych poszukiwań. Bobby przychodzi na spotkania razem ze swoją panią i wzbudza powszechny zachwyty. „Jego dusza prześwieca z wnętrza - szepczą między sobą panie i panowie w średnim wieku. - Na pewno będzie adeptem”. Bobby odkrywa, że ładni chłopcy zawsze odgrywali ważną rolę w życiu Towarzystwa Teozoficznego. Sam Nauczyciel, teraz podróżujący z cyklem wykładów po Europie, jest ponoć wyjątkowo przystojnym młodym mężczyzną.

Członkowie Towarzystwa śpiewają pieśni, kwestują i słuchają wykładów o znaczeniu piramid, autorytecie Wed we współczesnym świecie i potrzebie syntezy myśli Wschodu i Zachodu dla wyleczenia psychicznych ran pozostawionych przez wojnę. Czasem Bobby słucha z uwagą. Czasem po prostu rozgląda się wokół, nieodmiennie zadziwiony kongregacją, w której Hindusi i Europejczycy obcują z sobą bez zwracania uwagi na dzielące ich różnice. Atmosfera spotkań jest gorączkowa. Ludzkość od wieków poszukiwała klucza, ścieżki wiodącej ku Prawdzie. Nadchodzi czas spełnienia tych dążeń. W świecie

rozdartym przez wojnę, w którym wzmógł się ruch między żywymi i umarłymi, między tym, co niematerialne, a tym, co materialne w ciele fizycznym, nadchodzi chwila, gdy teozofowie poprowadzą ludzkość ku Szczęściu. Towarzystwo się rozrasta. Na spotkania przychodzi mnóstwo osób, prowadzący odczytują komunikaty z Australii, Holandii, Kalifornii, Brazylii. „Skierujcie swe myśli ku zachodowi - wzywa mówca z Adyaru. - Z wód Pacyfiku narodzi się przyszła rasa, która zajmie miejsce dzisiejszych indoaryjskich przywódców”.

Kiedy do zebranych zwraca się Niemka, na sali wybucha spór. „Frau Doerner przyjechała ze Szwajcarii” - przewodniczący stara się przekrzyczeć wrzawę. Frau Doerner jest wybitną nauczycielką rytmiki. I istotnie pochodzi ze Szwajcarii. Niektórzy uczestnicy spotkania na znak protestu wychodzą z sali, ale Frau Doerner dostaje zgodę na zabranie głosu. W trakcie przybliżania słuchaczom swej filozofii zmysłowego ruchu rytualnego i wyzwolenia Instynktu nerwowo skubie skrawek sari.

Polityka i duchowość uległy dziwnemu przemieszeniu. Na planie materialnym Kongres obiecał swaradź w ciągu roku. Co kilka tygodni kolejny strajk paraliżuje Bombaj. Robotnicy z fabryki, dokerzy i marynarze wychodzą na ulicę, a generalny hartal sprawia, że miasto zamiera na parę dni. Przywódcy polityczni kroczą ku teozofii, przysłuchując się wykładom o chemii okultystycznej i masońskich praktykach Chrystusa w Egipcie. Teozofów z kolei przekonuje się do działania na rzecz samostanowienia Indii, gdyż taką drogę wskazał Pan Świata pani Besant, gdy nieśmiertelny riszi Agastja (Himalajski Mistrz odpowiedzialny za Indie) umożliwił jej kontakt z Najwyższym w Siamabhali, sekretnej górskiej siedzibie Bractwa. Polityczna niezależność Indii oznacza duchową wolność dla świata. Proszę o drobny datek do puszki...

Bobby odkrywa, że jak na ludzi tak mocno skoncentrowanych na rozwoju umysłu i ducha, teozofowie znajdują zadziwiająco dużo czasu dla ciała. W trakcie pewnego popołudniowego przyjęcia, gdy inni stoją w swoich ceremonialnych szatach i popijają herbatę, potężna pani Croft (żona zastępcy inspektora robót publicznych) sprytnie zaciąga go do spizarni. Tam oznajmia, że jest bardzo wrażliwa na subtelną energię, dzięki czemu zna jego świętą misję. Ale Bobby nie musi się bać; jego sekret jest bezpieczny. Po tym zapewnieniu pani Croft rozpina bluzkę i odsłania piersi. „Namaść mnie, Czandra - dyszy. - Umieść swe usta na tych różowych aureolach”. Bobby, który oczyma wyobraźni widzi salę sądową i białych sędziów, mówi jej, że złożył ślub. „Jaki?” - pyta pani Croft. „Ktoś idzie - kłamie Bobby. - Lepiej niech się pani zapnie”. Przy innej okazji młody pan Avasthi natyka się na Bobby’ego w łazience i zastanawia się głośno, czy ten jeden jedyny raz zezwoliłby mu łaskawie na wyświadczenie pewnej szczególnej przysługi. Bobby pozwala panu Avasthiemu klęknąć, a potem ostrzega, że jeśli nie dostanie określonej sumy, powie wszystkim członkom Towarzystwa o ich umowie. Pan Avasthi płaci i ucieka. Później Bobby czuje wyrzuty sumienia. Pan Avasthi jest nieśmiały i pracuje jako urzędnik w portowym biurze. Niestety, w interesach nie ma miejsca na sentymenty.

Panią Macfarlane cieszy dociekliwość Czandry i wzruszająca chęć służenia mistrzom. Byłaby pewnie srodze zawiedziona, gdyby poznała jego motywy. Bobby przychodzi na spotkania Towarzystwa Teozoficznego w charakterze szpiega pani Pereiry Pani P. ma wielu

klientów wśród teozofów, a informacje o ich życiu osobistym, upodobaniach, uprzedzeniach, nadziejach i marzeniach są wielce przydatne w nawiązywaniu zadowolających kontaktów z zaświatami. Pani P. utrzymuje siatkę informatorów złożoną z szoferów, bagażowych w hotelach, pokojówek, służących i wachlarzowych. Bobby dołączył do nich tydzień po pierwszym seansie.

Zgodził się pracować dla pani P. pod warunkiem, że zdradzi mu tajemnice swojego warsztatu. Po długich i zażartych dyskusjach pani P. ustąpiła. Sapiąc i gderając, usiadła do stołu używanego w trakcie seansów i zademonstrowała Bobby'emu pewne techniczne aspekty działania medium, nieznane ogółowi zwykłych uczestników. Z nadzwyczajną u tak tłustej kobiety zręcznością pokazała, jak przechylić stół gwałtownymi skurczami karku, jak niepostrzeżenie wysunąć rękę spod ręki sąsiada i jak za pomocą różnych części ciała imitować klaskanie ducha. W ogólnym zarysie przedstawiła też korzyści wynikające z lekkiej konstrukcji stołu, gdy nadchodzi pora lewitacji. Z niejaką dumą odchyliła dywan i zaprezentowała przemyślny system dzwonków i włączników pomagających uzyskać efekty specjalne. Ożywiona tematem, przybliżyła nawet problem wytwarzania i przechowywania ekto plazmy (na szczęście obyło się bez demonstracji). Wtedy stało się jasne, dlaczego kobiety-media mają przewagę na tym polu. Pani P. wyjaśniła, że odeszła od manifestowania ekto plazmy, odkąd pewien sceptyk zmusił ją do wypicia filiżanki kawy przed zajęciem miejsca i muślin zabarwił się na brązowo. Bobby wyszedł od pani P. dobrze poinformowany, choć było mu nieco żal pani Macfarlane.

Z racji wyjątkowo płynnych zasad moralnych narzucanych przez rodzaj wykonywanego zajęcia Bobby często czuje się zagubiony. Choć Macfarlane'owie dali mu dom, nie jest z nimi do końca uczciwy. Nikt inny się nim nie interesuje. Nie należy do żadnej grupy żadnej bandy. Właściwie z nikim i niczym nie czuje się naprawdę związany. Bombaj jest wielkim miastem. Fale niepokojów budzą strach nawet świetnie wyszkolonych brytyjskich administratorów, których ostoją są mundury, kodeks honorowy i portrety króla. Trudno się dziwić, że czasem Bobby boi się własnego cienia i miewa powracające sny o pajęczynach i ucieczce przez las. Udręczony, odwiedza wtedy Shuchi. O rok starsza od niego, pracuje w Red House. Jeśli jest akurat wolna, kładzie się z Bobbym na łóżku, a potem przygląda mu się, gdy śpi. W spokojne wieczory Bobby idzie czasem do madame Noor, gdzie pracuje dziewczyna nazywana przez innych Gul. Madame Noor zwykła potrącać mu opłatę z prowizji, ale przestała. „Coś w życiu musi być za darmo” - stwierdza filozoficznie, pykając z fajki.

Pewnego ranka Bobby wychodzi z misji odebrać nowy garnitur. Przepęlnia go radość, nieco zmacona widokiem bohomasów wymalowanych czerwoną farbą na drzwiach kościoła. Sierp i młot. Wielebny Macfarlane nie będzie zadowolony. Od dawna podejrzewa żonę o bolszewickie sympatie i jest święcie przekonany, że nowe ugrupowania zdobywające w mieście coraz większą popularność są dziełem Szatana. Bobby wzrusza ramionami. To nie jego problem. Zapowiada się dobry dzień, za dobry, żeby go zepsuły humory szefa. Później wstąpi do Red House pokazać się Shuchi w nowym garniturze. Może nawet weźmie ją na przechadzkę. Wyobraża sobie dziewczynę ubraną jak Angielka: w długiej haftowanej sukni i dużym słomkowym kapeluszu. Koniecznie z parasolką. Rozbawiony tą myślą, wskakuje po schodkach do sklepu Shahida Khana, mija terminatorów zgarbionych nad maszynami do szycia i woła krawca, który popija herbatę na zapleczu.

Garnitur jest zachwycający. Shahid Khan podszył kremowe płótno żółtym jedwabiem i zrobił to za połowę ceny wyjściowej, która według niego pozwala zaledwie na przeżycie jednego dnia w tych strasznych czasach. Dwurzędowa marynarka leży jak ulał. Kieszenie z klapkami są skrojone w skos wedle najnowszej mody. Spodnie zakończone szerokimi mankietami opadają na skórzane buty Bobby'ego jak trzeba. Wniebowzięty klient płaci. Shahid Khan mówi mu, że godząc się na tak niewielką sumę, odejmuje własnym dzieciom jedzenie od ust. Mimo wszystko wygląda na zadowolonego. Każdego krawca cieszy, gdy uszyte przez niego ubranie świetnie się na kimś prezentuje.

Bobby postanawia przejść się po Hornby Road i obejrzeć wystawy europejskich sklepów. Przemyka ulicą, czując (co częściowo usprawiedliwia jego obecność w tym rejonie), że wygląda tysiąc razy lepiej niż wszyscy spoceni Anglicy czy parszywi Hindusi, między którymi musi torować sobie drogę. Przystaje przed wystawą z przenośnymi maszynami do pisania („lekkie i mocne, przydatne w podróży”). Ze sklepu, niosąc spory pakunek, wychodzi starszy biały mężczyzna w mundurze oficera piechoty.

- Dzień dobry - mówi.

- Dzień dobry - odpowiada zaskoczony Bobby.

- Co za potworny upał - ciągnie oficer. - Jest pan pewien, że nie potrzebuje kapelusza? Strasznie palące słońce. Trzeba uważać.

Bobby już ma zamiar się odezwać, ale mężczyzna, nie czekając na odpowiedź, rusza przed siebie, pogwizdując coś fałszywie. Zostawia Bobby'ego z zamętem w głowie. Ten dziwnie przyjacielski ton. Mężczyzna rzuca luźną uwagę do drugiego mężczyzny. Żadnego dystansu. Żadnej rezerwy. Kapelusz? I nagle wszystko staje się jasne. Ten oficer wziął go za Anglika. Dwaj Anglicy rozmawiają o pogodzie. Godzinę później Bobby wchodzi do Laidlaws i

kupuje olbrzymie topi w stylu Curzona, które wyrasta mu na głowie niczym klasyczny monument. Zamiast pójść na spotkanie z Shuchi, spędza popołudnie, wałęsając się po ulicach i uchylając hełm na widok Anglików. Niektórzy odpowiadają tym samym.

*

Po incydencie z kapeluszem Bobby zaczyna nową grę. Kręci się tam, gdzie można spotkać Anglików, i próbuje nawiązać z nimi rozmowę. Nie dla pieniędzy. Dla zabawy. Apollo Bunder świetnie się do tego nadaje. Kiedy do portu zawijają olbrzymie parowce, nabrzeże zapelnia się ludźmi, pośród których zawsze jest wielu nowo przybyłych potrzebujących pomocy. Lawirując między stosami worków pocztowych i oznaczonych kredą bagaży, Bobby wypatruje kandydatów. Unika witanych przez przyjaciół; poszukuje tych, którzy zmęczeni upałem i zdezorientowani, będą wdzięczni uczynnemu młodzieńcowi za przepłoszenie nachalnych naciągaczy i wskazanie dobrego hotelu.

Sedno sprawy tkwi w odpowiedniej historyjce. Każda historyjka jest odpowiednia, pod warunkiem, że jest skrojona na angielską modłę. A raczej, że dotyczy bycia Anglikiem. „Dzień dobry, nazywam się Walker, Peter Walker. John Johnson. Clive Smith. David Best, ale może mi pan/pani mówić Bestie. Wszyscy tak mnie nazywają. Pracuję w zakładach naftowych. W zakładach kauczukowych. W inspektoracie szkolnym. W domu towarowym. Odwiedzam kuchynia. Przyjaciela ze szkoły. A pan/pani?”

Wierzą mu. Słyszą akcent, widzą twarz, ubranie i z tych kawałków składają w wyobraźni obraz osoby. Po jakimś czasie nieliczni czują, że coś jest nie tak, coś im się nie zgadza. „Czy pan wychował się w koloniach, panie Best?”. Niezmiernie rzadko to przecucie przybiera konkretny kształt. Zresztą do tego czasu Bobby już odchodzi. Chyba że popełni błąd.

Jak wtedy z tamtą starszą kobietą i jej siostrzenicą. Bobby jest na nabrzeżu. Przygląda się przeładunkowi auta ze statku na nabrzeże. Wyprowadzony z klatki pojazd stoi na drewnianej platformie i błyszczy luksusem. Łańcuchy zamocowane pod platformą szarpia nią gwałtownie, gdy robotnicy portowi krzyczą coś do siebie i uruchamiają wciągarkę. Auto unosi się nad pokładem i kołysze niebezpiecznie w powietrzu. Wielki czarny cień sunie rozedrgany po nabrzeżu. Bobby słyszy nagle sapnięcie i widzi dwie Angielki umykające przed platformą.

- Moja walizka!

Bobby jednym susem rzuca się ku małej walizce, ratuje ją przed zmiążdżeniem, po czym wręcza starszej damie (nie zapomniawszy uchylić kapelusza). Ta posyła mu łaskawy uśmiech.

- Och, jaki pan uprzejmy młody człowieku.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Pani właśnie przyплыnęła?

- Tak. Na „Viceroyu”. Pan też? Nie widziałam pana na pokładzie.

- Och, nie. Czekałem na siostrę. Byłem przekonany, że przyplynie dzisiaj. Chyba coś mi się pokręciło. Nie mam głowy do dat.

- Wiem coś o tym. Biedactwo. Mam nadzieję, że siostra się pojawi.

Wkrótce Bobby przywołuje tragarzy i organizuje transport do hotelu Tadż Mahal. Kobiety wierzą mu bezgranicznie. Nigel Watkins, młodszy geodeta. Starsza pani drepcze wkoło, gubi rzeczy, znajduje je, boi się, że ktoś „czmychnie” z mniejszymi torbami, i nie szczędzi słów podzięki swemu białemu rycerzowi. Jej młoda towarzyszka, bardzo ładna, posyła mu spod runda kapelusza kuszące uśmiechy. Wszystko idzie dobrze. Może nawet za dobrze. Bobby nie zdążył się obejrzeć, a już jest w hotelu i idzie za swymi nowymi przyjaciółkami przez jeden z małych dziedzińców. „Musisz zostać z nami na herbacie, młodzieńcze. Odmowy nie przyjmujemy. Jestem pewna, że Virginia ma mnóstwo pytań o Bombaj”.

Kiedy kobiety rozlokowują się w pokojach, Bobby czeka przy stole pod ogromnym płóciennym parasolem i patrzy na szereg balkonów z kutego żelaza, otaczających ogród ze wszystkich stron. Miejsce wygląda jak więzienny dziedziniec. Słudzy śpią na matach przed drzwiami swoich chlebobawców albo gawędzą zbici w gromadkę. Bobby zaczyna się zastanawiać, czy któryś z mężczyzn, leniwie wsparty o balustradę, przypadkiem go nie rozpozna. To całkiem możliwe. Wiele osób zna Bobby’ego Pięknisia. Bobby jest coraz bardziej niespokojny; czuje się zagrożony. To chyba nie był dobry pomysł. W chwili gdy postanawia wstać i odejść, Angielki wracają. Virginia zaczyna mówić o tygrysach, zaklinaczach węży i innych rzeczach, które, jak słyszała, można znaleźć w Indiach. Bobby odpowiada w roztargnieniu. Tak, to prawda, skorpiony są niebezpieczne, ale jeśli pamięta się o wytrząsaniu butów każdego ranka, ukąszenie raczej nie grozi. Kelner przynosi herbatę. I mruga do niego. Bobby jest pewien, że mruga. Mężczyzna odchodzi. Wymyślnie zawiązany turban kołysze się na boki, póło jego właściciel nie znika w przejściu. Możliwe, że idzie do dyrektora hotelu, by donieść o oszuście w ogrodzie.

- Skąd pochodzi twoja rodzina, młody człowieku?

To ciotka. Filizanka z herbatą zawisa między spodeczkiem a brodą. Tej części historyjki Bobby nie opracował. Odpowiada bez namysłu.

- Z Londynu.

- Naprawdę? A z której części?

- Z... Ze wschodniej.

- Z East Endu? Zdziwiasz mnie. A dokładnie?

- Dokładnie?

- Tak, dokładnie skąd?

Bobby słyszał o East Endzie. To przeciwieństwo West Endu. Ale co do nazw

konkretnych miejsc na East Endzie, to nie zna ani jednej.

- Brighton - mówi zakłopotany. To zła odpowiedź. Obie kobiety patrzą na niego zdziwionym wzrokiem.

- Wydawało mi się, że mówiłeś o Londynie - rzuca siostrzenica z ową wdzięczną kokieterią, której miłe angielskie dziewczęta uczą się na pensji, by potem wykorzystać do usidlania mężczyzn.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Moi przodkowie stamtąd pochodzą. Ja wychowałem się głównie w Indiach.

- A mówiłeś, że przyjechałeś niedawno, by objąć posadę geodety. Mógł tak powiedzieć. Nie pamięta, co mówił.

- Och, musiała mnie pani źle zrozumieć. Jestem tu od dawna. No cóż, miło mi było panie poznać, ale na śmierć zapomniałem, że o trzeciej mam spotkanie. Muszę już iść.

Bobby wie, że zachowuje się dziwnie, ale nic na to nie może poradzić. Ciotka jednoznacznie odczytuje jego zakłopotanie. W jej głowie zapalają się ostrzegawcze światełka. Rozgląda się po ogrodzie, najwyraźniej w poszukiwaniu kogoś z personelu. Bobby wstaje. Kobietę ogarnia nagle podejrzenie.

- Virginia? Zostawiałam tu swoją niebieską torebkę? Jestem pewna, że miałam ją z sobą.

- Wydaje mi się, że zabrałaś ją na górę, ciociu Dorothy

Ciocia Dorothy przeszywa Bobby'ego ostrym spojrzeniem. Bobby z trudem wytrzymuje jej wzrok. Kobieta dostrzega napięcie na jego twarzy i bierze je za symptom winy.

- Panie Watkins, czy pan widział moją torebkę?

- Ależ skąd. A teraz, jeśli panie pozwolą...

- Kelner? Kelner!

Ciocia Dorothy jest przekonana, że odkryła spisek. Jej oczy miotają błyskawice. Do stołu zbliża się już dwóch czy trzech pracowników hotelu. Choć Bobby nie zrobił nic złego, nie potrafiłby naprędce wymyślić jakiegoś wyjaśnienia. Szura krzesłem po kamiennych płytach i ucieka.

- Stój, złodzieju! - krzyczy ciocia Dorothy głosem donośnym jak dzwon.

Bobby pędzi w stronę głównego wejścia. Szczęściem dla niego nikt w holu nie wykazuje się czujnością. Nie zatrzymywany, wypada na ulicę bez topi na głowie, które zgubił gdzieś między hotelowym ogrodem a holem. Biegnie w popołudniowym skwarze, póki nie czuje się bezpiecznie w płataninie uliczek. Później, ukryty w pokoiku Gul u madame Noor,

dochodzi do wniosku, że kapelusz to niewielka strata. Prawdziwi Anglicy raczej go nie noszą, chyba że podczas oficjalnych okazji. Po kilku dniach kupuje zwyczajne topi ze świńskiej skóry. O wiele mniej okazałe nakrycie głowy. Bobby zaczyna doceniać wartość ostrożności.

Na szczęście dla niego incydenty w rodzaju spotkania z Virginią i ciocią Dorothy należą do rzadkości. Pewnego razu urodzony w kraju urzędnik podatkowy pochyla się ku niemu i pyta: „Jesteś Hindusem, prawda?”. Najczęściej jednak Bobby może wymyślać na swój temat rozmaite historie, wskakując w nową tożsamość niczym w nową marynarkę Shahid Khana. Początkowo udawanie wychodzi dość marnie. Wkrótce Bobby orientuje się, że wygląd i akcent to nie wszystko. Istnieje na przykład kwestia zapachu. Na równi ze wszystkimi Bobby’ego zawsze zastanawiała nieubłagana wojna Anglików przeciwko kuchni, ich niewytłumaczalne upodobanie do pozbawionych smaku kawałków mięsa, warzyw bez przypraw i słodkich rezultatów łączenia mąki i tłuszczu. Rozmowa z pewnym marynarzem z okrętu wojennego pozwala mu odkryć efekt uboczny diety pozbawionej czosnku i cebuli. Bobby udaje wpływowego młodzieńca, dziedzica przedsiębiorstwa eksportowo-importowego w Edynburgu. Marynarz parska śmiechem i mówi mu szczerze, że z forszą czy bez, cuchnie jak miejscowy dzikus. „Jeśli czegoś z tym nie zrobisz, stary, do końca życia będziesz kawalerem”. Bobby jest zbyt zaintrygowany, by czuć do marynarza urazę. Jak pachnie Hindus? Jak pachnie typowy Anglik? To pytanie nie daje mu spokoju. Zaczyna unikać czosnku (przynajmniej przed wyjściem do miasta) i wdycha zapachy ludzi, których zagaduje na nabrzeżu. Ale to jeszcze za mało. Pewnego dnia w odruchu desperacji wręcza praczowi w Watson’s Hotel kilka monet, by pozwolił mu obwąchać stosy ubrań oddanych do prania. Choć mężczyzna uważa go za zboczeńca, przyjmuje pieniądze. Z twarzą zanurzoną w bieliźnie memsahib i brudnych koszulach sahibów Bobby wreszcie potrafi to nazwać. Zjętcałe masło. Może z domieszką surowej wołowiny. Ukryta woń Imperium.

Niektórzy unikają introspekcji. Jeśli Bobby ukrywa swoje „ja” przed innymi, przybiera coraz to nową postać, zmienia imiona i nie ujawnia motywów działania, to tak samo postępuje względem siebie. Tajemniczość każe domyślać się głębi. Tak właśnie myślą ludzie, patrząc na Bobby’ego. prostytutki, panie z Towarzystwa Teozoficznego, turyści i próżniacy zgromadzeni wokół kramu z paan są więźniami tego samego przeświadczenia: że intensywne wpatrywanie się w Bobby’ego pozwoli im dociec, co skrywa maska jego pięknej twarzy. To rodzaj uzależnienia. Jest dla nich udreką i czymś cennym. A jednak tej aury by nie było, gdyby Bobby sam wiedział, dlaczego robi to, co robi. To oczywiste tchórzostwo, ale wmawia sobie, że nie chce tego zrozumieć. Lepiej nie zastanawiać się nad życiem. Inaczej ryzykujesz, że nic z niego nie będziesz miał.

Bobby jest istotą ślizgającą się po powierzchni. Bibułką trzymaną pod słońce. Dąży ku przezroczystości, jakby po drugiej stronie, tej wewnętrznej, było coś godnego odkrycia. Może jest, a może nie. Może zamiast wyobrazać sobie głębię, ludzie, którzy niezbyt go znają, powinni uznać fakt, że skóra Bobby'ego nie jest granicą między rzeczami, lecz rzeczą samą w sobie, ekranem, na którym widać różne obrazy. Efemeryczne osobliwości. Świetlne złudzenia.

Stworzyć osobę z kawałków. Szmaciane ręce. Drewniana głowa. Kapelusz i zestaw zasłyszanych opinii. O tym, że w Indiach nie da się wyhodować dobrego trawnika. O pozytywnym wpływie gier zespołowych na moralność. O nikczemności Gandhiego i braku higieny w każdej sferze życia. Ułożyć je pojedynczo, jak przy stawianiu pasjansa. Nie ma znaczenia, czy się w to wszystko wierzy. Wiara to tylko wrażenie lekkiego ściskania w żołądku. Podczas stwarzania i ożywania swoich marionetek Bobby pojmuje, że w Anglikach jest coś zdumiewającego. Ich życie jest skonstruowane z ułożonych w odpowiednim porządku części, niczym parowóz czy parowiec. Zgodne ze strukturą sfery, do jakiej przynależą, jest niemal imponujące w swej niezmienności i surowej sztywności obowiązujących i przestrzeganych reguł. Imponujące w sensie, w jakim może imponować most wiszący czy wiadukt. Angielskie życie: ekspansywne, funkcjonalne i industrialne.

Bobby zmierza ku czemuś. Niepostrzeżenie, powoli, ale nieuchronnie. Punktem przełomowym jest wieczór, kiedy spotyka Philipsa, singapurskiego plantatora. Popycha ich ku sobie przeznaczenie. To Philips zagaduje Bobby'ego, nie odwrotnie. Zatrzymuje go na Marine Drive i prosi o ogień. Bobby wyciąga swoją nową zapalniczkę, mężczyzna osłania płomień dłońmi. Wywiązuje się luźna pogawędka typu „ładny dziś wieczór”. Przez chwilę stoją, zaciągając się dymem, wpatrzeni w ruchome światelka jednomasztowców z trójkątnymi żaglami na wodach Back Bay. Philips przedstawia się Bobby'emu, Bobby robi to samo. Bobby Flanagan z domu handlowego Johnson & Leverhulme w Kalkucie. Philips jest w drodze do domu, pierwszy raz od dziesięciu lat. I jeśli ma być szczery, bez urazy, nie ma o Bombaju najlepszego zdania. Bombaj nie umywa się do Singapuru. Tam dopiero jest życie! A przecież człowiek musi się zabawić! Na szczęście spotkał paru facetów, którzy zaprosili go na wieczór na turniej bilarda. Bobby musi znać to miejsce. Majestic. Sęk w tym, że on potrzebuje partnera. I choć to bardzo, bardzo niewłaściwe, ma pytanie: czy Bobby nie zechciałby...?

Philips ma denerwująco gładką twarz, okrągłą niczym pilica futbolowa. Włosy zaczesane na bok lśnią w księżycowej poświacie blaskiem płyty gramofonowej. Przyjął napuszoną pozę klubowego bywalca, z jedną ręką za plecami, jakby szykował się do rozpoczęcia recytacji. Człowiek z szelaku. Bobby nie jest przekonany do tej propozycji, ale coś w kombinacji połyskliwej powierzchni wody, rozświetlonej ulicy, absurdalnie świecących

włosów Philipa każe mu kiwnąć głową na zgodę. Łapią gharri i jadą w kierunku hotelu Majestic.

Bobby często kręcił się przy wejściu do Majesticu. To miejsce, gdzie zwyczajowo Hindusi nie są mile widziani, chyba że w roli służących. Co się tyczy bilardu, owo niepisane prawo jest bezwzględnie przestrzegane. Bobby przechodzi przez hol i wkracza do sali gier, gdzie wita go morze różowych twarzy na wpół pijanych mężczyzn w samych koszulach, którzy smarują końce kijów bilardowych kredą i pochłaniają wielkie ilości whisky z wodą sodową. Anglicy w chwili relaksu, rozładowujący swoje indyjskie frustracje i troski w alkoholowej rywalizacji. Bobby uświadamia sobie z przerażeniem, że nie będzie mógł stąd wyjść, póki wszystko się nie skończy.

Philips odnajduje mężczyzn, którzy go zaprosili. Po uściskach dłoni i kolejce drinków wśród innych par uczestników gry na tablicy pojawiają się „Philips i Flanagan”. Szczęściem dla Bobby’ego zasady bilardu są dość proste, a poziom cotygodniowych rozgrywek w Majesticu niski. Wkrótce krąży wokół zielonego stołu, słuchając opowieści rozbawionych Anglików o załatwionych interesach i przechytrzonych tubylcach. Teraz jego kolej. Wychodzi mu trudne uderzenie, po którym Philips klepie go plecach. Jego wielka dłoń niby to mimochodem ześlizguje się w dół ku pośladkom. Bobby odwraca się i widzi szelmowski uśmiech na twarzy partnera. - Cieszę się, że cię spotkałem, młody przyjacielu. Bobby potakuje bez słowa i wręcza mu kij.

Wygrywają pierwszą turę. Bobby wymyka się na balkon zapalić papierosa. Jest podniecony, napięty od tłumionej radości z udanej misji szpiegowskiej. Przejął od reszty graczy pewność siebie. Zatrzymuje przechodzącego kelnera, zdecydowanym głosem zamawia dżin z tonikiem i odczuwa przyjemność białego człowieka na widok głębokiego ukłonu składanego mu przez brązowego człowieka. Kiedy kelner wraca z drinkiem, Bobby sięga po szkło jedną ręką, drugą zaś trzyma za plecami, bezwiednie naśladując w tym Philipa. Kelner odchodzi. Bobby zostaje sam na sam z wirującymi w szklaneczce kostkami lodu. Ich lekki brzęk kojarzy się z brzękiem pieniędzy. Nagle przez gwar męskich rozmów dobiegających z sali bilardowej przebija kobiecy śmiech. Na jednym z sąsiednich balkonów przystanęła jakaś para. Mężczyzna coś mówi, rozbawiona kobieta odrzuca do tyłu głowę, smukłą białą dłonią pieszcząc kark swego towarzysza. Wyglądają, jakby łączyły ich serdeczne, ale nie zażyłe stosunki. Bobby odnosi wrażenie, że niezbyt dobrze się znają. Kobieta jest piękna. Ma odważnie krótką, ciemną fryzurę. Jej dopasowana suknia z jasnożółtego jedwabiu i odsłonięte ciało pobłyskują zmysłowo w świetle elektrycznych lamp. Wkłada papierosa do cygarniczki. Obecność kobiety wywiera tak wstrząsające wrażenie, że Bobby’emu brak tchu. Mężczyzna

jest dużo starszy, nieporuszony i sztywny. Jak mu się to udaje? Jak można być tak odpornym na operową prawie nagość tej kobiety? Na chwilę oczy ich obu się spotykają. Mężczyzna lekko skłania głowę, jakby w uznaniu niemego zachwyty Bobby'ego.

- Tu cię mam!

To Philips, błyszczący posłaniec, przyszedł zabrać Bobby'ego do środka na drugą rundę. Na dźwięk jego głosu kobieta odwraca się i przez moment Bobby patrzy jej w oczy. Są obojętne. Jej zuchwale piękna twarz nie zdradza najmniejszych uczuć, nawet próby oceny jego wyglądu. Bobby Piękniś nie nawykł do takiej obojętności. Przedmiot jego podziwu odwraca się wolno ku swemu towarzyszowi i prowadzi go do środka.

W drugiej rundzie Flanagan i Philips przegrywają z kretesem. Głównie z winy Flanagan, którego gra jest zenująco chimeryczna w porównaniu z dokonaniem w pierwszej rundzie. Philips jest pijany i pobłażliwy. Wołając „to ci pech!” albo „nie przejmuj się!”, opiera się o jednego ze służących, jakby ten był kolumną czy ścianą. Flanagan próbuje wymknąć się niepostrzeżenie, ale jego partner dopada go i przygwaźdza do ściany na głównych schodach hotelu, niepomny na przerażone spojrzenia kobiet i mężczyzn mijających ich w drodze do łóżek. Utarczka przeradza się w regularną szamotaninę. Kiedy Flanagan wybiega wreszcie z hotelu, ignorując oferowaną przez odźwiernego taksówkę, kłapa marynarki wisi mu w strzępach. A jednak tego wieczoru coś innego złożyło się w całość. Bobby Piękniś już wie, kim chce być.

*

Bobby'ego dręczą myśli o kobiecie z hotelu. Ten jej spokój, ta jej obojętność. Białe szczupłe plecy i owalna twarz. Zastanawia się, ile może mieć lat, i dochodzi do wniosku, że jest niewiele starsza od niego. Jak by to było stać z nią na balkonie? Jak by to było patrzeć na dymiące kominy dzielnicy fabrycznej i czuć obecność dziesiątek tysięcy ludzi, którzy nigdy nie zajdą tak wysoko?

Nie chce być dłużej Bobbym Pięknisiem. Przestaje odwiedzać Gul i Shuchi, i kiedy tylko to możliwe, wyrwa się poza Falkland Road ku lepszym rejonom miasta, gdzie wędruje pod arkadami i uchyla kapelusza, mijając białych. Szuka dziewczyny. Wyobraża sobie, że jest córką bogatego Anglika, i modli się, żeby ciągle była w Bombaju. Zagląda przez szyby do wnętrza Evansa & Frasera w nadziei, że kupuje tam stroje. Je lody w Corngalia's, marząc, by weszła i usiadła przy jednym z marmurowych stolików. Zaniedbuje obowiązki. Całkiem zapomina o usługach dla Elspeth Macfarlane. By zrekompensować wydatki, nagabuje ludzi na nabrzeżu i jako przewodnik pływa z turystami przez zatokę na Elephanta Island.

W drodze na wyspę siedzi w milczeniu, póki łódź nie zaczyna kluczyć między splątanymi namorzynami porastającymi brzegi. Po przycumowaniu odgania konkurentów i pomaga swojej grupie wspiąć się po krętych kamiennych schodach. Odzywa się dopiero wtedy, gdy trzeba pokazać jaskinie. Widok monumentalnych, wykutych w kamieniu twarzy zapiera turystom dech w piersiach. Ściskając w rękach przewodniki, milkną na dłuższą chwilę. Bobby prowadzi ich obok trójgłowego Siwy u wejścia i zatrzymuje się przed posągiem boga-hermafrodyty, pół mężczyzny, pół kobiety. Gdy turystki chichoczą, a turyści przerzucają się sprośnymi dowcipami, odsuwa się nieco, ale gdy nikt nie patrzy, ostrożnie dotyka kamienia na szczęście.

Zbyt pochłonięty własnymi sprawami, nie myśli o polityce i ledwo zauważa, że wokół niego narasta gorączka antybrytyjskiej agitacji. W salonie pani Macfarlane roi się od chłopców, którzy posłuchawszy wezwania, rzucili naukę w angielskich szkołach i oddali się sprawie wyzwolenia. Są schludni i poważni. Parsowie, muzułmanie i hinduiści z wyższych kast gromadzą się, by czytać na głos broszury i spierać się o ostatnie wypowiedzi Gandhiego, Patela i innych przywódców. Elspeth przynosi im herbatę, promieniając energią czerpaną z wydarzeń wokół niej. Kiedy Bobby wchodzi i wychodzi, czuje na plecach jej świdrujący wzrok. I nie wypowiedziane głośno pytanie: „Przyłączysz się do nas?”.

Bobby czuje niechęć młodych nacjonalistów do jego dobrze skrojonych garniturów i świeżo nabytego akcentu. Cóż za kontrast z ich indyjskimi czapeczkami Kongresu, białymi kurtami, płóciennymi spodniami oraz aczkanami z wysoką stójką, noszonymi z taką godnością

i dumą. Pewnego wieczoru, gdy wychodzi (zamierza stać przed Byculla i czekać na dziewczynę z hotelu), paru z nich zastępuje mu drogę. „Dokąd idziesz, bracie? Towarzyszu, nie zostaniesz z nami pracować dla kraju?” Bobby kręci przecząco głową i przepycha się między nimi. Kiedy odchodzi, spluwają na podłogę i mamroczą obelgi pod jego adresem. „Kundel, angielski lokaj”. „Przyjdzie taki dzień - woła za nim jeden z chłopców - że ty i tobie podobni zginiecie!”.

- Martwię się o ciebie, Czandra - mówi Elspeth, gdy któregoś ranka Bobby schodzi na śniadanie. - Tracisz z oczu właściwy kierunek.

Bobby wpatruje się w nią z niedowierzaniem. Elspeth ciągnie dalej:

- Powinieneś być dumny ze swego narodu. Pomyśl o jego przyszłości. Powinieneś być dumny z tego, kim jesteś.

- A kim jestem? - rzuca Bobby i nie czekając na odpowiedź, wychodzi, trzaskając drzwiami.

Idzie na plac, gdzie toczy się mecz hokeja na trawie. Drużyna młodych muzułmanów gra przeciwko drużynie pracowników kolei. Przy linii bocznej stoi grupa brytyjskich żołnierzy. Podają sobie butelkę i zagrzewają do walki anglo-hinduskich graczy.

- Dalej, Railway! Dalej! Dowalcie tym brudasom! Dobrze!

Dopingowani zawodnicy kolei dają z siebie wszystko, dumnie preżąc pierś. Bobby patrzy na nich z niesmakiem. Ich kibice odwróciliby się od nich natychmiast, gdyby grali z drużyną o jaśniejszej skórze. Prawdziwe kundele, które merdając ogonem, zadowolają się rzuconym ochłapem.

Pewnego wieczoru modlitwy Bobby'ego zostają wysłuchane. To ona! Wchodzi do Green's pod rękę ze słynnym dżokejem. Bobby czym prędzej rusza za nią. W drzwiach piorunuje wzrokiem odźwiernego, który przez chwilę zastanawia się, czy nie zastąpić mu drogi. W barze panuje nieopisany ścisk. Reprezentowane są wszystkie sfery bombajskiego towarzystwa. Od młodych mężczyzn z administracji państwowej, odważnie wkraczających do królestwa półświatka, po dwie rosyjskie dziwki, które w trakcie powolnego tańca baczny wzrokiem omiatają salę w poszukiwaniu wpatrzonych w nie mężczyzn. Dziewczyna i dżokej dołączają do liczego towarzystwa amatorów wyścigów, zgromadzonego przy najlepszym stole w lokalu. Reszta gości patrzy i podziwia. Dwaj kelnerzy w białych rękawiczkach kończą właśnie ustawiać piramidę z kieliszków. Trzeci otwiera butelkę Kruga, gotów zapoczątkować fontannę szampana. Główny bohater przyjęcia, pars, bogaty hodowca, najwyraźniej świętuje coś wyjątkowego. Kiedy pojawia się dziewczyna z dżokejem, wylewnie całuje ją w rękę, po czym robi im miejsce obok siebie. Jak na zawołanie strzela korek od szampana. Do wtóru oklasków kelner wchodzi na krzesło i zaczyna rozlewać.

Przy sąsiednich stołach, mniejszych księżycach krążących wokół centralnej planety, świecą pośledniejsze gwiazdy bombajskiego światła wyścigów: bukmacherzy trenerzy, hazardziści głodni poufnych wskazówek. Bobby zauważa grubego Anglika, który przygląda się wszystkiemu ze szczególnym zainteresowaniem. Siada przy nim i pyta, co się dzieje.

- Koń Gotówki znowu wygrał.

- Który?

- Który? Pot of Gold oczywiście. Mógłbyś zwolnić to miejsce? Czekam na kogoś.

- Już się robi. Ale proszę mi powiedzieć, czy Torrance na nim jechał? Szczęściarz z niego. Jego żona jest szalowa.

Grubas parska śmiechem.

- Tamta kobieta? Taka z niej żona jak ze mnie. Tylko nie rób sobie nadziei. Od razu widać, że cię na nią nie stać. Gzy teraz zechcesz odejść?

Bobby wstaje i dopycha się do kontuaru. Zamawia bezalkoholowego drinka i gapi się na niezonę Torrance'a. Jest jeszcze piękniejsza (o ile to w ogóle możliwe) niż wtedy. Krótkie włosy, obcięte z tyłu bardzo wysoko, opadają na twarz i odsłaniają szyję tak zmysłowo, że w swej białości wydaje się aż nieprzyzwoita. Gdy się śmieje i pije z towarzyszami zabawy, w jej oczach zapalają się figlarne iskierki.

- Bobby? Bobby! Co ty tu robisz?

Płaska jak naleśnik twarz belgijskiej klientki pani Pereiry. Tej młodej kobiety, która zawsze czeka na wieści o siostrze. Jak się nazywa? Ga - Gal - Gan... Gannay? Jest ożywiona, zaintrygowana i rozochociona. Machając ruchliwymi dłońmi, strzepuje popiół z papierosa i rozlewa ze szklaneczki krople dżinu. Bobby postanawia zaryzykować.

- Panna Garnier?

- Bobby! Nie przypuszczałam, że cię tu zobaczę. Nie w takim drogim miejscu!

- To samo mógłbym powiedzieć o pani. Jej twarz tężeje.

- Często bywam w Green's. Jestem Europejką.

- Zna tu pani wiele osób?

- Oczywiście - mówi panna Garnier ostrożnie. Bobby dostrzega cienie pod jej oczami.

- A tamtych, którzy siedzą z panem Gotówką?

- To dżokej Gotówki i Elvin, jeden z zarządzających gymkhaną.

- A ta kobieta z Torrance'em?

- Czemu o nią pytasz?

- Niech pani pilnuje swojego nosa.

Urażona panna Garnier układa usta w małe „o” i odwraca się na pięcie. Przeklinając się

w duchu, Bobby łapie ją za ramię. Panna Garnier kurczy się z bólu i obrzuca go wściekłym wzrokiem. Bobby przywołuje swoje najbardziej rozbijające spojrzenie.

- Przepraszam.

- Puść mnie.

- Przepraszam. Nie chciałem być niegrzeczny.

- Mam nadzieję.

Jej stanowczość słabnie. Bobby czuje, że jej ciało się rozluźnia.

- Puść mnie, proszę.

Bobby spełnia tę prośbę. Zamiast odejść, panna Garnier robi krok ku niemu. Jest złana jakimiś duszącymi perfumami o zapachu pomarańczy. Bobby cofa się. Walcząc o haust powietrza, opiera się o kontuar.

- Jesteś bardzo zepsuty - mówi panna Garnier. - Już bardzo zepsuty.

- Już?

Kobieta cmoka z dezaprobatą.

- Taki młody, a już taki zepsuty.

Pięści jego policzek, omal nie trafiając w oko trzymanym w dłoni papierosem. Uśmiecha się drapieźnie. Już ma coś powiedzieć, gdy pojawia się jakiś mężczyzna o rumianej, ospowatej twarzy i bezceremonialnie klepie ją w ramię.

- Chodź, Dianę czy jak ci tam. Nie mam całej nocy.

Posyła Bobby'emu nienawistne spojrzenie. Panna Garnier wzdyga się lekko na te słowa, ale zmusza się do uśmiechu.

- Oczywiście, kochanie. Już idę.

- Dianę, jak ona ma na imię? - pyta błagalnie Bobby. - Powiedz, jak ma na imię?

Panna Garnier spogląda na swego towarzysza, który puka w tarczę swojego zegarka. Potem odwraca się do Bobby'ego. Nagle wygląda na śmiertelnie znużoną, bliską załamania.

- Nazywa się Lily Parry. A ja nie jestem Dianę. Mam na imię Delphine.

Bobby kiwa głową. Panna Garnier powtarza swoje imię jeszcze raz, sylaba po sylabie. Delphine. Potem wychodzi, niemal wypychana z baru przez niecierpliwego mężczyznę. Kiedy znika Bobby'emu z oczu, znika też z jego pamięci. Jego myślami włada Lily Parry.

Jest doskonała, i nie tylko Bobby zdaje się tak uważać. W ledwo uchwytny sposób bar ciąży w jej kierunku. Na niej skupiają się spojrzenia wspartych o filary, wychylających się przez poręcze czy siedzących na krzesłach gości. Mężczyźni przy jej stole nachylają się ku niej niczym okryte smokingami stoki góry. Wokół głównej sali i na tarasie każdy dogodny punkt, w którym obserwator mógłby przystanąć i zapalić papierosa, jest już zajęty. Wydaje się, że

ściganie wzrokiem Lily Parry jest tu tak popularne, że niektórzy spośród chętnych, z braku wolnych punktów obserwacyjnych, zmuszeni są przemieszczać się po sali, co przy sobotnim ścisisku w Green's jest zdecydowanie gorszym wariantem.

Samej pannie Parry zupełnie to nie przeszkadza. Przyzwyczała się do życia w atmosferze nieustannego podziwu. Wkrótce ma nadzieję na bardziej wymierne efekty, jeśli tylko ten stary kutwa Gotówka dotrzyma słowa i sfinansuje jej rewię. Kiedy w drodze do damskiej toalety zaskakuje ją młodzieniec, który kłania się nisko, jest nie tyle zaskoczona samym ukłonem, ile jego zuchwałą teatralnością. Jakby ten młody człowiek się z niej naśmiewał. W drodze powrotnej znów się na niego natyka. I znów ten ukłon. Nie do wiary! Lily naturalnie go ignoruje.

Jej umiejętności w dziedzinie dawania ostrej odprawy najwyraźniej wymagają jeszcze szlif. W ciągu następnych dwóch czy trzech tygodni panna Parry bywa regularnie zaskakiwana w ten sam sposób. Epidemia ukradkowych ukłonów szerzy się w całym Bombaju. Kłaniający się młodzieniec zjawia się bez ostrzeżenia w Willingdon, w Yacht Clubie, pod arkadami Rampart Row. Wyskakuje nawet zza palmy, gdy Lily jedzie na przyjęcie. Panna Parry prowadzi bujne życie towarzyskie i gdziekolwiek jedzie, ludzi cieszy jej widok. Ale nawet schlebianie winno mieć swoje granice. I choć miody człowiek jest wyjątkowo przystojny, reprezentuje coś, czego ona nie zamierza do siebie dopuścić.

Na potrzeby kampanii swoich niezdarnych zalotów Bobby uruchomił całą siatkę informatorów. W służbę zostali wprzęgnięci służący, portierzy, odźwierni, właściciele dwukółek i legion małych chłopców. Szansę spotkania Lily oceniane są przy użyciu prostego fortelu - śledzi się ją od chwili wyjścia z domu, uroczej willi na Mallabar Hill, wynajętej jej przez kogoś z krewnych gubernatora. Co do historii, to jak donoszą źródła Bobby'ego, Lily Parry przyjechała do Bombaju dwa lata temu jako narzeczona pewnego urzędnika pracującego w głębi kraju. Zaręczyny szybko zostały zerwane. Niedługo potem, jak twierdzi jeden z recepcjonistów w Watson's, wyrosła na „najsławniejszą młodą damę w Bombaju”. Ta pozycja wydaje się bardzo lukratywna. Choć dżokej Teddy Torrance przeznacza większość pieniędzy z nagród na obsypywanie prezentami swojej Lily, jego podarunki nijak się mają do podarunków niejakiego pułkownika Marsdena, nie mówiąc już o prezentach od pana Barratta, rządowego dostawcy. I tak się fatalnie składa, że to jeszcze nie koniec listy. Końskie błahostki Torrance'a bledną przy hojnych podarkach Geblera, zakochanego w Lily niemieckiego armatora, a w porównaniu z szaleńczą szczodrością radży Amritpuru nie są nawet godne wzmianki. Od czasu do czasu nawet sir Parvez „Gotówka” Mistry ma swój udział w dobrym samopoczuciu panny Parry. Bobby dochodzi do wniosku, że gdyby był Torrance'em, czułby się zniechęcony.

Dziwnym trafem nie stosuje tej samej logiki względem siebie. Mimo iż poznał większość tego, co Falkland Road ma do zaoferowania w kwestii romantycznych przeżyć, zawsze (a przynajmniej jeszcze nie tak dawno temu) robił to bez zaangażowania. Miłość, prawdziwa miłość, nigdy tam nie gościła. Teraz, kiedy patrzy na roześmianą Lily Parry kontempluje jej cudowną szyję i karminowe usta o kształcie łuku Kupidyna, czuje, że to musi być miłość. I to, w jego przekonaniu, różni go od całej reszty. Wszyscy ci radzowie, dostawcy i inne stare pryki muszą wspierać starania o względy Lily podarunkami. W przeciwnym wypadku (to przecież logiczne) nie mieliby najmniejszych szans. Miłość nie jest dla nich. Są za głupi, żeby to zrozumieć. Tymczasem dla niego sprawa jest prosta. Musi tylko wystarczająco często rzucać się Lily w oczy, a reszta przyjdzie sama. Jego głowa pełna jest wyobrażeń o romantycznych przejażdżkach, tajnej mowie wachlarza, buduarach (cokolwiek to jest) i innych rzeczach wprost z przykurzonych powieści na półce pani Macfarlane.

Któregoś dnia w trakcie rutynowego podążania śladami Lily Bobby dochodzi do wniosku, że jego wybranka dojrzała do rozmowy. Teddy Torrance startuje w trzeciej gonitwie na Wicked Lady, drugim spośród najlepszych arabsów Gotówki. Tupet i łapówka utorowały Bobby'emu drogę do sektora cila członków klubu, gdzie Lily otacza grupka angielskich miłośników wyścigów, którzy jeden przez drugiego (jakżeby inaczej) starają się zwrócić jej uwagę. Gdy Lily poprawia na głowie nowy kapelusz, jeden trzyma jej kieliszek szampana, drugi parasolkę, trzeci torebkę. Cztery został wysłany na poszukiwanie lusterka, które po jego powrocie nie będzie już potrzebne, a piąty, mimo obecności rzeszy służących, uparł się, że sam przyniesie jej szklankę wody z lodem. Nagle Lily przypomina sobie, że powinna śledzić przebieg gonitwy. Nadąsana, że nikt z obecnych nie przypomniał jej o zbliżającym się biegu drogiego Teddy'ego, wiezie rój trutni na trybunę. Bobby idzie za nimi. Jest pewien swego. Shahid Khan uszył mu nowy garnitur, kopię ostatniego krzyku mody wypożyczonego mu chwilowo przez pracza z hotelu Tadż Mahal. Krawat (ze szkarłatnego jedwabiu) też jest nowy. Bobby'emu pozostaje jedynie wybrać stosowną chwilę. Czy może się nie udać?

Lily również musi wybrać - jedną spośród pięciu lornetek do obserwowania gonitwy. Kiedy wreszcie podejmuje decyzję, szczęśliwy właściciel wyróżnionej lornetki omal nie słabnie z wrażenia, a pokonani rywale próbują ukryć rozczarowanie, zazdrosnym wzrokiem obrzucając zwycięzcę i jego przyrząd. Na głównej trybunie powstaje gwar, który stopniowo obejmuje resztę tańszych miejsc dla tubylców, wzmaga się i rośnie. Bukmacherzy w pośpiechu przyjmują ostatnie zakłady, pustoszeją kioski z herbatą. Widzowie przeciskają się ku barierkom, chcąc być jak najbliżej linii startu. Bobby lokuje się kilka rzędów niżej w zasięgu wzroku Lily by patrząc na tor, widziała i jego.

Kiedy konie ruszają w tumanach wzbitego kopytami kurzu, wie, że mu się powiodło. Lily kieruje lornetkę na niego. Bobby uchyla kapelusza i patrzy na nią, nie zwracając najmniejszej uwagi na wyścig. Przez jakiś czas Lily znów go ignoruje. Ale kiedy Wicked Lady przybiega na metę jako czwarta, panna Parry wygląda, jakby powzięła postanowienie, że musi coś zrobić z maniakiem ukłonów. Odwraca głowę w stronę baru dla członków klubu i dyskretnie wymyka się swoim adoratorom, którzy machając programami i przekrzykując się nawzajem, przez moment zapominają o bożym świecie. Bobby idzie za nią z bijącym sercem. Lily mija wejście do baru i wielki kuchenny namiot. Kiedy znikają innym z pola widzenia, odwraca się gwałtownie. Jej oczy miotają błyskawice.

- Ej, ty! Co ty wprawiasz, do cholery?!

Bobby nauczył się na pamięć przemowy traktującej o błogosławionym blasku jutrzeńki i podobieństwie Lily do tego cudnego zjawiska. Nie chcąc, by jej podyktowane złością słowa wytrąciły go z rytmu, zaczyna mówić. Zwraca się do niej „serce moje” i składa ręce w geście znamionującym szczerą intencję.

- Zamknij się! - rzuca Lily warkliwie. - Liczysz na pieniądze? Bobby jest zdezorientowany.

- Pieniądze?

- Wiem, kim jesteś. Może ci się wydaje, że jesteś całkiem dobry, ale ja widzę cię na wylot. Znam ludzi w tym mieście. I tak nie uda ci się mnie zniszczyć swoimi opowieściami.

- Zniszczyć? Czemu miałbym cię niszczyć? Kocham cię. Teraz Lily jest zdezorientowana.

- O czym ty mówisz, na Boga? Powtarzam, że znam kogo trzeba i jeśli zajdzie taka konieczność, solidnie oberwiesz.

- Ale ja cię kocham, Lily. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką...

- Nie zaczynaj z tymi bzdurami. Jesteśmy tacy sami, ty i ja. I co z tego? Tylko tyle, że wiesz, przez co musiałam przejść, żeby się tu dostać. I musisz wiedzieć, że nie pozwolę się stąd ściągnąć. Nie wrócę tam, o nie. Czemu nie zostawisz mnie w spokoju? Odwróć się i odejź.

Zakłopotanie Bobby'ego sięga zenitu. Czy ona chce powiedzieć, że...? Nie, to niemożliwe. Nie ona.

- Ale ja cię kocham - powtarza. To bezpieczny punkt wyjścia. Przynajmniej tego jest pewien. Czując, że musi wypełnić wolną przestrzeń, próbuje dla odmiany: „Uwielbiam cię”. Potem: „Naprawdę”, co jednak nie brzmi zbyt przekonująco. Wreszcie urywa. Lily Parry chwyta jedną z lin dla zachowania równowagi i zanosi się śmiechem.

- No, dalej - mówi między jednym napadem śmiechu a drugim. - Powiedz to jeszcze raz.

- Kocham cię - powtarza Bobby, nagle nie dowierzając samemu sobie.

- Kochasz mnie? Och, mój drogi, naprawdę mnie kochasz? Chyba wszystko zaczyna się toczyć po jego myśli. Bobby otwiera ramiona.

- Nie ruszaj się, żołnierzu. Kochasz mnie? Mój ty biedaku. Biedne pół na pół. Nie masz pojęcia, o czym mówię, prawda?

- Wiem - protestuje Bobby bez przekonania. Pół na pół? Zaraz, zaraz. O co jej chodzi?

- Och, nie bój się - mówi Lily na widok jego miny. - Jesteś bardzo dobry. Bardzo przekonujący. Ich możesz oszukać - macha ręką w stronę trybuny głównej - ale ja jestem inna.

- Grzebie w torebce w poszukiwaniu papierosa. Zapala go. - Naprawdę nie rozumiesz? Sam ten pomysł. Łażenie za mną. Jakbym miała ci coś do zaoferowania. Bardzo to miłe, ale czego tak naprawdę chcesz? No, nie krępuj się, mów. - Patrzy na niego z osobliwą otwartością. Kiedy mówi, jej głos i doskonały angielski akcent, tak podobny do jego własnego, zmienia się, rozmywa, staje się chropawy i gorętszy. Północna oziębłość i gładkość znikają.

- Niczego - odpowiada Bobby, uporczywie trzymając się scenariusza. - Niczego nie chcę.

W tej samej chwili jej twarz powraca do poprzedniego wyrazu. Kiedy otwiera usta, znów jest panną Lily Parry, „najsławniejszą młodą damą w Bombaju”.

- Uciekaj, chłopcze - mówi. - Ale już. Spływaj i więcej nie wracaj. Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, tu czy gdzie indziej, powiem im o tobie. Wsadzą cię do więzienia. Nikt nie lubi kolorowych, którzy udają białych.

Przez moment Bobby się waha. Gorączkowo układa w myśli jakieś zdanie, które wszystko odmieni. Na próżno. Przygnębiony, zdruzgotany, uchyla kapelusza i odchodzi.

- Ej!

Na dźwięk jej głosu Bobby się odwraca.

- O co chodzi?

- Nie trzymaj tak głowy. To cię zdradza. Dwie podstawowe zasady: nigdy nie potrząsaj głową i nigdy nie pozwól, żeby cię zobaczyli, jak kucasz. Rozumiesz?

Bobby dziękuje jej niemym skinieniem głowy. Odchodzi, zostawiając za sobą piękną Lily Parry, która wypala ostatniego znalezionego w torebce papierosa. Do samego końca.

*

Oddalając się od toru wyścigowego, Bobby wmawia sobie, że Lily Parry nigdy nie istniała. Z każdym krokiem grzebie ją coraz głębiej. Stanowczo. Zdecydowanie. Wielka ręka odsuwa jej twarz, nie pozwala wydobyć się na powierzchnię. Następnego dnia, gdy odźwierny Gulab Miah pyta o uroczą memsahib, Bobby przyskakuje do niego i przysięga, że poderżnie mu gardło, jeśli jeszcze raz o niej wspomni. Gulab Miah kiwa nerwowo głową, a potem szczyrzy zęby za plecami odchodzącego Bobby'ego. Później, przy araku, na który chodzi po pracy, opowiada wszystkim kumplom, że księżciu Bobby'emu Piękniowi wreszcie powinęła się noga. I że on, Gul, zawsze chłopakowi powtarzał, że przyjdzie taki czas, ponieważ taka jest wola Boga.

Bobby nie myśli o Bogu. Myśli o Innych Rzeczach. Na gwałt potrzebuje pieniędzy, postanawia więc iść do pani Pereiry. Otwiera mu Mabel. Na jej ziemistej twarzy maluje się nietajona radość. Krząta się wokół niego. „Witaj, Bobby. Jak się masz, Bobby? Dawno cię nie było”. Jej matka jest w saloniku. Zanurzona w obszernym fotelu, pastwi się nad martwym naskórkiem swoich stóp. Na widok Bobby'ego przerywa zabiegi higieniczne i daje mu znak ręką, by usiadł.

- Szykownie wyglądasz. Dawno się nie widzieliśmy.

- Właśnie.

- Tylko tyle? Tylko „właśnie”? Taki elegancki chłopak i żadnej rozmowy? Nie wyglądasz na szczęśliwego, I wcale mnie to nie dziwi.

Mabel przynosi herbatę. Stawiając na stole pobrzękującą tacę, ociera się o nogę Bobby'ego niczym wielki kot. Bobby odsuwa się od okrytego zadrukowaną bawełną zadka. Szuka w kieszeni papierosów.

- O czym pani mówi?

- Nie ty jeden w Bombaju masz oczy i uszy. Tak się musiało skończyć. Co ty sobie wyobrażałeś? Taka bogata angielska dama i chłopak z ulicy; nawet jeśli ona jest... Co w tym śmiesznego?

Bobby wykrzywia twarz w gorzkim uśmiechu.

- Nic, amma, nic. Ma pani dla mnie jakąś robotę?

Pani Pereira chrząka. Kiedy Mabel nalewa herbatę, ona znajduje coś paskudnego na prawej pięcie i przystępuje do działania. W trakcie usuwania zgrubienia mówi Bobby'emu o panu Duttcie, teozofie, który z utęsknieniem czeka na wiadomość od zmarłego brata. Coś w sprawie tytułu własności domu. Pani P. nie oczekuje niczego szczególnego. Wystarczy garstka informacji o lokalnym kolorycie, co pomoże jej zdecydować, w jakiej formie objawi się zmarły

brat. Bobby zapisuje adres. Wydaje mu się, że zna tego mężczyznę. Widział go kiedyś, jak rozmawiał z panią Macfarlane. Przed wyjściem Bobby poznaje jeszcze nową sztuczkę pani P. Guzik ukryty pod dywanem, którym uruchamia się w sypialni gramofon z niebiańską muzyką. Trzeba tylko dopracować szczegóły, ponieważ igła czasem przeskakuje. Pani P. wierzy jednak, że to będzie strzał w dziesiątkę. Bobby zdawkowo chwali pomysł i mówi pani R, że przyjdzie za kilka dni.

Zadanie nie jest trudne. Przy następnym spotkaniu Bobby może już poinformować panią P, że brat pana Dutty zmarł w Kalkucie trzy lata temu i zabrał ze sobą do grobu tajemnicę dokładnej lokalizacji dokumentów dotyczących prawa własności jakiejś ziemi, zamurowanych gdzieś w starej rodzinnej rezydencji. Wygląda na to, że dokumenty są kluczem do przyszłej pomyślności materialnej pana Dutty i że to one raczej, a nie braterska miłość, budzą w nim tak gorące pragnienie nawiązania kontaktu z zaświatami. Bobby podaje jeszcze parę szczegółów, które Mabel sumiennie notuje w kartotece pana Dutty. Jej matka kiwa głową z uznaniem. Jedną ręką skrobie się w klatkę piersiową, drugą metodycznie napycha usta ryżem i dałem. Po opróżnieniu talerza szpera w obszernych fałdach sukni, z grubego zwitka wyłuskuje kilka zatłuszczonych banknotów i wręcza je gościowi.

Bobby ma pecha. Wychodząc od pani Pereiry, natyka się na pana Dutę we własnej osobie. Niezgrabnie próbują wyminąć się na wąskich schodach. Dutta w zakłopotaniu kiwa głową na powitanie, najwyraźniej usiłując odszukać go w zakamarkach pamięci. Bobby odpowiada ukłonem najkrótszym z możliwych, po czym oddala się szybko.

Nie przywiązuje wagi do tego spotkania, póki parę dni później nie staje twarzą w twarz z Elspeth Macfarlane. Pani Macfarlane wyrasta przed nim, gdy Bobby pędem przemierza salonik. To jego sposób na unikanie rozmów.

- Czandra, chcę z tobą porozmawiać. Bobby wzdycha i szura nogami.

- Jestem zmęczony, amma. Chcę iść na górę i położyć się.

- Popatrz na mnie.

Bobby patrzy. I boi się tego, co widzi.

- Mój znajomy twierdzi, że kręciłeś się koło jego domu, rozmawiałeś ze służbą.

- Nie.

- Czandra...

- No to co? Ja też mam tam przyjaciela. To... To czokidar.

- Rozumiem. Poza tym widział cię, jak wychodziłeś z mieszkania pani Pereiry. Nie wiedziałam, że odwiedzasz ją beze mnie. Popatrz na mnie.

Bobby podnosi wzrok.

- Poszedłem, żeby mi powróżyła. Chcę znać swoją przyszłość.

- Dlaczego mam wrażenie, że kłamiesz?

- Ja kłamię? Nie kłamię. Czemu miałbym panią okłamywać?

- Nie wiem, Czandra.

- Nie kłamię.

- Gniewam się na ciebie.

- Przepraszam, Ambaji.

- Za co?

Bobby milczy. Pani Macfarlane ciężko opada na krzesło.

- Przepraszasz? Co w twoim życiu każe ci przepraszać? Za co tak naprawdę przepraszasz?

- Jestem zmęczony, amma.

- Ty? O ósmej wieczorem? Przecież wstajesz o jedenastej. Bobby usilnie wpatruje się we własne stopy i słucha ulicznego zgiełku. Po chwili dociera do niego płacz pani Macfarlane.

- Czemu taki jesteś, Czandra? Przygarnęłam cię. Pomogłam ci, a ty... Co z tobą? Pan Dutta uważa, że go szpiegujesz. Powiedziałam mu, żeby nie przesadzał, ponieważ ty go nie szpiegujesz, prawda? Prawda, Robert? Co robisz? Co robisz w nocy?

Jej pytania spadają na niego kaskadą niczym woda z pękniętej tamy. Bobby stoi znieruchomiał. Tylko raz widział ją wcześniej płaczącą.

- Pan Dutta mówi, że pracujesz dla pani Pereiry. Myśli, że szpiegujesz go z jej polecenia, że szpiegujesz nas wszystkich dla Anglików i że ktoś powinien cię przytknąć. Mówi, że pani Pereira jest oszustką i że powiadomi policję. Powiedziałam mu, żeby nie był głupi. Pani Pereira jest wspaniała, ma ponadmysłowe zdolności. Pan Dutta mówi, że nawet jeśli nie wsadzą cię do więzienia, my i tak będziemy swoje wiedzieli i nie pozwolimy ci zaszkodzić naszej sprawie. Pani Pereira ma dar, Czandra. Ty też tak myślisz, prawda? Prawda?

Tu go ma. Powinien przytknąć, ale nie może. Żal mu jej. Żal kobiety z dwoma nieżyjącymi synami i pozostałych, którzy uparcie szukają kontaktu ze swoimi zmarłymi przy wydatnej pomocy stóp pani Pereiry.

- Pani Macfarlane, nie powinna pani więcej chodzić do pani Pereiry. To nie jest dobra... Nie dane mu jest skończyć. Elspeth wymierza mu policzek.

- Mnie też szpiegowałeś? Dlatego tu jesteś? Żeby szpiegować? Bobby nie może wydusić z siebie słowa. Próbuje ułożyć usta w „nie”. Pani Macfarlane mówi bardzo cicho:

- Możesz odejść. Zabierz swoje rzeczy i odejdz.

- Amma...

- Dla ciebie nie jestem amma.

- Pani Elspeth Macfarlane? Przepraszam, czy pani Macfarlane?

Za nimi stoi wyraźnie zakłopotany angielski kapitan policji w towarzystwie dwóch hinduskich policjantów. Elspeth odwraca się, zdziwiona ich obecnością w salonie.

- Pani Macfarlane, przykro mi, ale musi pani pójść z nami. Na mocy ustawy o obronie interesów Indii otrzymaliśmy rozkaz zastosowania wobec pani aresztu prewencyjnego.

*

Policjanci dają pani Macfarlane czas na zabranie paru ubrań, a potem prowadzą ją do ciężarówki. Z tyłu siedzi już trzech zatrzymanych Hindusów. Patrzą w milczeniu na gęstniejący tłum, który przygląda się aresztowaniu. Atmosfera grozi wybuchem. Bob-by widzi, jak brytyjski kapitan rozpiną skórzaną kaburę, by w razie potrzeby szybko sięgnąć po rewolwer.

Kiedy towarzyszący mu policjanci odpychają gapiów, kapitan pomaga pani Macfarlane wsiąść do ciężarówki. Wyjmuje jej z rąk torbę i prowadzi ku oblepionej brudem drewnianej ławce. Robi to z osobliwą uniżonością teatralnego biletera, który nagle stwierdził, że ma na sobie mundur. Cały czas podtrzymuje rozmowę, starając się pokryć zmieszanie. Zapewnia panią Macfarlane, że nic strasznego się nie stanie, że to tylko czterdzieści osiem godzin, osobiście o czymś zapewnia, za coś ręczy słowem honoru. Aresztantka ignoruje jego zabiegi. Siedzi sztywno wyprostowana i upina luźne siwe kosmyki, które wysunęły się z koka.

Wreszcie kapitan przestaje paplać i zeskakuje na ulicę, gdzie wygłasza krótką przemowę do tłumu. Gapie mają się rozejść, wracać do domu i pozwolić oficerom Jego Królewskiej Wysokości wypełniać swoje obowiązki. Potem wali ręką w bok auta i każe swoim ludziom wsiadać. Gdy kierowca zapuszcza silnik, Bobby biegnie na tył, ale mimo rozpaczliwego machania i wołania nie udaje mu się nakłonić Ambaji, by na niego spojrzała. W końcu któryś z policjantów wstaje i opuszcza brezentową plandekę. Ciężarówka rusza bardzo wolno. Kierowca nie przestaje trąbić i przednim zderzakiem ociera się o ludzką cizbę. Tłum rozstępuje się niechętnie. Po chwili auto roztapia się w ciemnościach.

Bobby znajduje wielebnego Macfarlane'a u wejścia do kościoła. Obrzuca surowym spojrzeniem grupkę chłopców, którzy kręcą się po drugiej stronie ulicy.

- Precz! - krzyczy do nich po angielsku. - Wynoście się! Bezbożna hołota!

- Wielebny - mówi Bobby błagalnym tonem - pani Macfarlane została aresztowana.

- Tak, widziałem. Precz! Wynoście się, zanim użyję pasa!

- Co zrobimy?

- Zrobimy? Nic, chłopcze. Ta kobieta zbiera, co posiada, trzymając z bolszewikami i satanistami. Gdzie byłeś? Czekałem na ciebie po południu. Miałeś mi pomagać przy eksperymencie.

Jeden z młodych ludzi rzuca kamieniem, który odbija się ze stukiem od drzwi kościoła.

- Imperialista! - krzyczy. - Sługus kapitalistów!

Wielebny Macfarlane sady wielkimi krokami na drugą stronę ulicy. Chłopcy pierzchają z kolejnymi komunistycznymi hasłami na ustach. Wielebny wraca czerwony na twarzy, bez tchu. Udaje mu się wymóc na Bobbym obietnicę pomocy jutro rano. Bobby wykorzystuje

pierwszą sposobność, by przeprosić wielebnego i pójść do siebie na górę.

Twarze ze zdjęć, setki twarzy z czasopism patrzą na niego z wysokości niczym gwiazdy z firmamentu. Bobby czuje się jak robak, który nigdy nie oderwie się od ziemi.

Martwi się o panią Macfarlane. Jest stara. Kocha go. Ale zaraz po jej powrocie stanie się bezdomny, więc może lepiej, że ją aresztowali. Czy to źle tak myśleć? Ma poczucie, że wszystko się zapada; że stoi na walącym się rusztowaniu. Coś takiego już go spotkało, tyle że wtedy przyszło nagle i nieoczekiwanie. Teraz coś z niego powoli uchodzi. Wycieka wszystko, co składa się na Bobby'ego Pięknisia. Zostaje tylko puste naczynie. Łupina. Kiedy nad ranem morzy go sen, wozacy już krążą po ulicach z dostawami wody.

Z nastaniem dnia sklepy w Bombaju pozostają zamknięte z wyjątkiem europejskich w Forcie. Ich właściciele ustawili ludzi na straży przy wejściu, by w razie czego zażegnali niebezpieczeństwo. Związki zawodowe ogłosiły jednodniowy strajk, wymierzony głównie w fabryki włókiennicze. Na ulicach gęstnieje tłum wzburzonych robotników. Panią Macfarlane i jej przyjaciół aresztowano, by uniemożliwić im udział w marszu i przemawianie do tłumu. Mimo fali zatrzymań miasto trwa przy swoim. Bobby spędza rano na mierzeniu z wielebnym kości podudzi. W roztargnieniu słucha o jego planach określania poziomu moralnego przedstawicieli ras północnych Indii na podstawie wagi przedniej części płatów czołowych (pomiar pośmiertny). Przez otwarte okno wdiera się ryk silników. Ulicą raz po raz przejeżdżają z łoskotem transportery wojskowe. Dowództwo rozmieszcza plutony brytyjskich żołnierzy w strategicznych punktach Bombaju.

W porze lunchu Falkland Road staje się fabryką pogłosek. Jej punktem centralnym jest stragan z paan. Strzykający czerwoną śliną nowinkarze opowiadają, że strajkujący robotnicy urządzili na placu wiec, rozpedzony jednak przez policję. Anarchiści chcieli podpalić jedną z fabryk „Gotówki” Mistry'ego, ale zostali zastrzeleni. A może to byli komuniści i udało im się uciec. Motilal Nehru wygłosi mowę. Jakaś kobietę rozjechał wojskowy pojazd. Gubernator opuścił miasto. Brytyjczycy użyją samolotów. Fanatyczni wyznawcy hinduizmu atakują muzułmanów w slumsach na przedmieściach.

Ludzie są rozgorączkowani, napięci. Kiedy Bobby wychodzi, czuje wiszącą w powietrzu atmosferę wrogości. Ci, którzy zawsze się z nim witali, teraz unikają jego wzroku. Poczucie zagrożenia wzmagą się po południu. Bobby rozpoznaje komunistów, którzy wczorajszego wieczoru rzucali kamieniami. Teraz kręcą się wokół misji i spoglądają w rozbite okno wielebnego Macfarlane'a.

O zmierzchu wyraźnie widać siup ognia nad slumsami w sąsiedztwie fabryk Taty. Falkland Road roi się od tłumu. Coś w tej falującej rzeszy ludzi uderza Bobby'ego. Na ich

twarzach nie ma ani radości, ani nadziei na dobrą zabawę. Ci ludzie są przyczajeni, na coś czekają. Mniej więcej godzinę po zachodzie słońca przechodzi tamtędy hałaśliwy pochód. Udekorowani girlandami zwolennicy satjagrahy wymachują rytmicznie pięściami do wtóru łoskotu bębnow i zawodzenia trąbek. Zostawiają za sobą ciżbę niespokojnych mężczyzn i chłopców szukających pretekstu do działania, czegoś, co przywiedzie dzień strajków do punktu kulminacyjnego.

Ktoś podpala stos odpadków na ulicy. Ludzie stoją wokół ognia, oblani blaskiem pomarańczowych płomieni. Z okna swojego pokoiku Bobby dostrzega wyjeżdżający z za rogu samochód. Za kierownicą siedzi biały. Zatrzymuje się, waha, po czym zawraca i odjeżdża tą samą drogą. Wokół ognia zbiera się coraz więcej ludzi. Bobby widzi mężczyzn z kijami w rękach, u jednego zauważa długi zakrzywiony nóż. Warkot ciężarówki pełnej policjantów przepłasza zgromadzonych. Śmieci się dopalają. Policjanci chodzą tam i z powrotem przez parę minut, kopią rozżarzone resztki i bacznie obserwują wysokie drewniane domy. Potem odjeżdżają.

Wszystko cichnie. Może dzisiejsza noc minie spokojnie. Bobby'ego nudzi siedzenie przy oknie. Potrzebuje powietrza, przestrzeni, żeby pomyśleć. Wkłada płócienną marynarkę, wiąże krawat i wychodzi. Na ulicy od razu czuje, że coś się zmieniło. Przechodnie mierzą go nieprzyjaznym wzrokiem, a raz czy dwa jacyś mężczyźni usiłują zagrozić mu drogę. Dają mu spokój, gdy się do nich odzywa albo gdy ktoś inny odciąga ich na bok i wyjaśnia, kim jest Bobby. Dzisiejszego wieczora w Bombaju niebezpiecznie wyglądać na Anglika.

Bobby wędruje w stronę Fortu. Tu ma ulice dla siebie. Okna biur są ciemne, szyny tramwajowe puste. Nawet paru żebraków i pedałujący co sił rowerzysta nie przeszkadzają mu wyobrazić sobie, że tak wyglądałaby chwila tuż po końcu świata. Bobby Piękniś - jedyny aktor. Cała reszta zeszła ze sceny. Zabawia się, usiłując stosownie do okoliczności zająć jak największą przestrzeń. Kroczy majestatycznie środkiem ulicy i rozkłada ręce. Chce być większy, niż jest. Bobby Piękniś. Pan Ostatnich Chwil Bombaju.

Wielkimi krokami przemierza opustoszałe miasto, aż dociera do Fontanny Flory. Zza palisady migoczących lamp gazowych wygląda mała, pretensjonalna, usmarowana rzeźba, stercząca w górę z makadamowej podstawy pokrytej smołą. Bobby podchodzi bliżej i odkrywa, że nie jest jedynym aktorem. W świetle latarni grają jeszcze dwie osoby dramatu: angielski chłopak i krowa.

- Boże wszechmogący! - bełkocze Anglik. - Co trzeba zrobić, żeby potraktowali cię po ludzku w tej dziurze? Co za obraza. Cholerna obraza.

Wygląda na to, że rozmawia z krową. Bobby ostrożnie podchodzi bliżej. Przystaje na

granicy kręgu światła. Chłopak chwieje się na nogach i szpera po kieszeniach. Znajduje płaską flaszkę, pociąga z niej spory łyk i najwyraźniej coś postanawia.

- Dobra, krowo. Skoro nie grasz fair, nie będę się cackać. Ostrzegam. Mówię do ciebie: sos chrzanowy i Yorkshire pudding.

Krowa patrzy na niego nieporuszona. Chłopak traci cierpliwość.

- Stek, idiotko! Duszony! Nie żartuję. Nie obchodzą mnie te wasze towarzystwa ochrony krów i cała reszta hinduskich fanklubów. Zjem cię, ty świńska krowo.

już ma zamiar zdzielić zwierzę w nos, gdy dostrzega Bobby'ego.

- Alleluja! - krzyczy. - Ktoś ze strunami głosowymi. Bridgeman jestem. To bydlę mnie wykończy. Nie wiesz przypadkiem, gdzie tu można kupić tarte?

Bobby z namysłem kiwa głową. Twarz Bridgemańna rozjaśnia się uśmiechem.

- Ha! - wrzeszczy jak ktoś, kto zdobył punkt w trudnej rozgrywce, i z radości klepie krowę po zadzie. - Zabierz mnie tam. Od razu. Mówiłeś, że jak się nazywasz, stary?

Bobby nie mówił. I wcale nie jest przekonany, że chce kogokolwiek dokądkolwiek prowadzić. Bridgeman wygląda żałośnie. Nie ma jeszcze dwudziestu lat. Jego szorstka skóra jest sina od wypitego za dnia alkoholu, a ubranie nosi zaschnięte ślady po jedzeniu. Nawet gdyby był trzeźwy, jego twarz nie budziłaby zaufania. Jest nalana, ciastowata, a małe oczka i świński nos pływają w niej niczym kluski w tłustej zupie. U pijanego Bridgemańna cała głowa pod grzywką prostych kasztanowatych włosów zdaje się niemile ruchliwa. Jak galareta. Rozchwiana. Niestala.

Ale Bridgeman ma pieniądze. I udowadnia to. Wyciąga z kieszeni plik banknotów i powiewa nimi zamasyście.

- Robert, przyjacielu - bełkocze - idziemy się zabawić. Wielki finał. Gdzie się podziało to przeklęte krówsko?

Bridgeman twardo upiera się, że krowa też powinna z nimi iść. Gdy orientuje się, że zwierzę gdzieś powędrowało, ma zamiar ruszyć na poszukiwania. W końcu akceptuje stratę i pozwala Bobby'emu prowadzić się w stronę dzielnicy czerwonych latarni. Po drodze gada jak najęty, budząc w Bobbym zdziwienie (siłą głosu, sprytem i całkowitą obojętnością na słuchacza) oraz przeczcucie nadejścia czegoś nieuchronnego.

Zanim docierają na koniec Esplanade Road, Bobby wie już prawie wszystko o Jonathanie Bridgemańnie, począwszy od przedwczesnych narodzin na podłodze stacji pocztowej w Biharze, a skończywszy na powodach, dla których tak spił się w Bombaju prawie osiemnaście lat później. Okazuje się, że jeśli chodzi o wiek, dzieli ich tylko miesiąc różnicy i że Bridgeman jest nałogowym pijakiem w drugim pokoleniu. Syn pary dyspomaników spędził

pierwsze lata dzieciństwa na plantacji herbaty swojego ojca pośród wzgórz w pobliżu Darjeelingu, pomagając mu w kłeceniu prowizorycznych kotłów destylacyjnych.

Kiedy matka Bridgema spadła z werandy i skrzyła kark (co nastąpiło, gdy Jonathan był jeszcze dzieckiem), jej pogrąony w żalobie mąż przysięgł sobie, że nigdy nie wyśle syna do szkoły w Anglii; co więcej - nigdy nie spuści z oka Jedynej Rzeczy, Jaka Mu Została. Tym sposobem w wieku dziesięciu lat Jonathan umiał jeździć konno, strzelać i świetnie mieszać dżin z tonikiem, ale nie umiał ani czytać, ani pisać. Jego ojciec zupełnie się tym nie przejmował. W jego mniemaniu to umiejętność czytania spowodowała zgon jego żony, która poślizgnęła się na egzemplarzu magazynu „Blackwood's”, beztrasko porzuconym na frontowych schodach.

W chwilach zdolności do działania Bridgeman senior całą energię poświęcał pędzeniu nowego gatunku alkoholu z liści herbaty. Po udoskonaleniu receptury ów eliksir miał wyprzeć szkocką whisky i zająć jej miejsce w sercu brytyjskiego pospólstwa, czyniąc swego twórcę niewiarygodnie bogatym. Niestety, czy to z racji błędów w procesie produkcji, czy może dlatego, że liście herbaty zupełnie się do tego nie nadają, większość partii Herbacianej Whisky Bridgema wywoływała ataki apopleksji albo czasową ślepotę. W końcu jej producent uzupełnił recepturę o ryż.

Podatny na napady depresji, podczas których strzelał na ośle do swoich pracowników z małokalibrowego karabinu używanego do polowań, pan Bridgeman wreszcie zrozumiał, że nawet dodanie ryżu nie uratuje go przed ruiną. Doznany zawód wywołał większe niż zazwyczaj przygnębienie. W wyniku negocjacji z okręgowym komisarzem policji (wspieranym przez pluton Gurkhów) uwolnił zakładników i oddał się pod opiekę Sióstr Mniejszych Pokutniczek, które prowadzą dyskretny zakład dla obłąkanych w Kalkucie. Mały Jonathan wylądował w pobliskiej szkole z internatem. Raz w miesiącu miał odwiedzać chorego ojca.

W ciągu paru lat Akademia Bradshawa dla Chłopców w Kalkucie wpoila młodemu Bridgemanowi podstawy wiedzy i zachowania. Jonathan nauczył się jeść z zamkniętą buzią, radzić sobie z rzymskimi cyframi i łacińskim alfabetem i siedzieć cicho nawet podczas długiego porannego nabożeństwa. Wszyscy spodziewali się, że wróci w góry i poświęci się mało wyszukanemu zajęciu; może włoży mundur i zostanie wysłany gdzieś daleko, gdzie brak oglady i rozwijający się alkoholizm nie narobią zbytniego zamętu. Nie wzięli pod uwagę cudownych zdolności uzdrowicielskich Sióstr Mniejszych i ich głównego psychiatry - matki przełożonej.

Siostra Agnes, zwalista słoweńska zakonnica z twarzą niczym wypolerowany orzech włoski i usposobieniem jucznego wielbłąda, nie chciała mieć do czynienia z obłąkanymi. Kierując się surowymi zwyczajami wyniesionymi z rodzinnej wioski w górach, wprowadziła

zimne kąpiele, odosobnienie i religijne reprimendy, które przynosiły szokujące rezultaty. Według powszechnej opinii (błędnej) siostra Agnes uzdrawiała swoich pacjentów śmiertelnym strachem. W rzeczywistości, gdy gwałtowne zmiany temperatury i barwna wizja męki piekielnej nie przynosiły pożądanych efektów, siostra uciekała się do walki zapaśniczej. Rozbierała się, nacierała oliwą i prowadziła najbardziej opornych podopiecznych na tyły klasztoru, gdzie dawała im wycisk, stosując chwyt i rzuty, które niegdyś uchroniły jej cnotę przed zakusami miejscowych pasterzy, oszalałych po paru miesiącach samotności na górskich halach.

Metoda siostry Agnes sprawdziła się na ojcu Jonathana. Po wołaniu o litość i złożeniu przyrzeczenia, że nigdy więcej nie tknie alkoholu, w cudowny sposób odzyskał zdrowie psychiczne. Nikt nie przypuszczał, że kiedykolwiek stamtąd wyjdzie, tymczasem krótko po piętnastych urodzinach syna Bridgeman senior zjawił się w szkole trzeźwy i porządnie ubrany. Oświadczył, że pragnie, by Jonathan kontynuował naukę, a potem studiował na jednym ze słynnych uniwersytetów. Był prawdziwie odmienionym człowiekiem. Dyrektor uściśnął mu rękę, uniósł brwi na widok wielkiego srebrnego krucyfiks na szyi (fanatyczne oddanie kościołowi rzymskokatolickiemu było efektem ubocznym kuracji siostry Agnes) i w duchu uśmieł się z ojcowskich nadziei. Ale Jonathan bardzo się postarał. Opanował wielosylabowe słowa, nabrał ogłady i rozumu, co zrobiło wrażenie nawet na jego najzacieklejszych krytykach w Akademii Bradshawa.

Niestety, lata smakowania herbacianego trunku nadszarpnęły zdrowie pana Bridgemana. Rok po wyjściu spod opieki sióstr zmarł. Po otwarciu testamentu okazało się, że połowę majątku zapisał siostrze Agnes, a drugą połowę (zadziwiająco dużą) swemu synowi. Majątkiem syna miał zarządzać radca prawny rodziny Bridgemanów w Londynie, niejaki pan Spavin.

- Dlatego tu jestem, stary - mówi Jonathan, serdecznie poklepując Bobby'ego po plecach. - Jutro rano płynę do Anglii. Ten Spavin ma się mną opiekować, póki nie skończę dwudziestu jeden lat. Nie wiem, co myśleć. Nigdy nie widziałem tego gościa. Jakiś przyjaciel mojego dziadka. A jeśli to stary tyran? Cholernie męczące żebrać za każdym razem o parę szylingów. I szczerze mówiąc, nie lubię samej nazwy kraju. Słyszałem, że tam jest potwornie zimno. Byłeś tam?

- Tak - odpowiada Bobby. - To znaczy nie. Nie byłem. Większość życia mieszkam tutaj.

- Hm... - Bridgeman kiwa mądrze głową. - Myślałem, że się tam urodziłeś. To zawsze widać.

- Nie masz żadnych krewnych?

- Żadnych, o których bym wiedział. Ostatni w rodzie. Strajk czy nie, to moja ostatnia noc na wolności i nie mam zamiaru siedzieć w hotelu. Moje rzeczy są już na statku. Do badania jutro rano nieważne, w jakim jestem stanie, no nie?

- Chyba nie.

- Jasne, że nie! I powiem ci, że moje jaja są jak dwa dojrzałe melony. Chciałem przelecieć w pociągu mieszaną siostrzyczkę, ale się nie dała. Powiedziała, że pociągnie za hamulec bezpieczeństwa. Zimna suka. A powinna być wdzięczna. Takim nie dogodzisz. Chcę dużej dziewczyny No wiesz, takiej z balastem z przodu i z tyłu. Takie lubię. Nie ma nic gorszego niż chuda dziwka, nie?

Kiedy skręcają w labirynt ciemnych uliczek prowadzących ku Falkland Road, Bobby rozgląda się wokół nerwowo. Ten Bridgeman to jego szansa. Na razie wszędzie panuje spokój. Nieliczni przechodnie obrzucają ich baczny wzrokiem. Bobby prezentuje udawaną obojętność, Bridgeman powoli i z namysłem stawia stopy. Dwaj pewni siebie angielscy chłopcy na przechadzce.

Duże dziewczyny można znaleźć w Goa House. Maria Francesca jest zaskoczona. Posyła Bobby'emu niespokojne spojrzenie, gdy Bridgeman z trudem drapie się po schodach i wchodzi do środka. Dziś są jedynymi klientami. Wszystkie lokatorki Goa House siedzą w salonie, popijają herbatę i zagryzają lepkimi słodyczami z kokosem. Rząd uśmiechniętych żujących buź. Na widok takiego wyboru pulchnych, odsłoniętych ciał Bridgeman klaszcze w ręce z radości.

Z miejsca ciągnie Terezę, bezsprzecznie największą spośród tutejszych miłośniczek dobrego jedzenia, za przesłoneż z koralików do jednej z sypialni. Bobby w zamyśleniu chodzi tam i z powrotem, paląc papierosa i jednym uchem słuchając opowieści Twinkle o kliencie, który zawsze przychodzi z mango.

- Oszalałeś? - pyta Maria. - Czemu przyprowadziłeś tego typu akurat dzisiaj? Ludzie łakną krwi, przecież wiesz.

- Nic się nie stanie - odpowiada warkliwie Bobby. - Po wszystkim zabiorę go do domu. Wszyscy musimy jeść - dodaje sarkastycznie, wskazując ogołocone tace po słodyczach. - Zresztą, czym jest życie bez ryzyka? - Lubi brzmienie tej frazy. Ma taki waleczny, podszyty przygodą wydźwięk. Znalazł ją w jednej z powieści pani Macfarlane.

Maria prycha drwiąco.

- Słuchaj, kokosie. Nie możesz zostawić tego Anglika samego, nawet jeśli poderżną ci za to gardło.

- Pieprz swoją matkę.

- Pieprzyłam wszystkich innych. Nie, odwołuję to. Nie kokos. Na zewnątrz też jesteś biały.

Maria mówi to z uśmiechem i Bobby przetyka zniewagę. Z sypialni dochodzi przejmujący krzyk rozkoszy, któremu wtórują profesjonalne tryle i ozdobniki w wykonaniu Terezy Po paru minutach Bridgeman wraca z błogim uśmiechem na twarzy.

- Drinka, stary? - pyta Bobby'ego, pociągając haust z flaszki. Jego poufały ton robi wrażenie na dziewczętach. Bobby Piękniś, tak ugrzeczniony, że nawet Europejczyk traktuje go jak swego. Bobby wypija odrobinę dla zachowania konwenansu. Czuje, jak trunek pali mu gardło. Nagle poraża go nieprzyjemna myśl.

- To chyba nie jest...?

- No nie - rzuca rozbawiony Bridgeman. - Herbaciana whisky? Od lat się jej nie robi. To moja receptura.

Bobby'ego nie uspokaja to wyjaśnienie. Ale Bridgeman jest w szampańskim nastroju. Nie zauważywszy że on jeden pije w tym towarzystwie, opróżnia do dna swoją flaszkę, po czym posyłając Marii zawadiacko taksujące spojrzenie, pyta, czy nie udziela rabatu wyjątkowym klientom. Choć mamrocze tak niewyraźnie, że Maria ma kłopoty z rozszyfrowaniem sensu jego słów, po chwili załapuje, o co chodzi. Bridgeman „chce jeszcze”, tym razem z nią. Następuje kolejne sypialniane interludium, akcentowane niezrównanymi okrzykami Marii. Maria gra dla galerii. Stosuje efektowne zmiany tonacji i wysokości jęków, co w salonie brzmi nadzwyczaj dobrze. „Zupełnie jak fabryczna syrena” - zauważa Tereza. Po chwili zapada cisza. Nie zawracając sobie głowy ubieraniem, Maria wychodzi z sypialni i oznajmia Bobby'emu, że jego przyjaciel zemdlał.

- Nie może tu zostać - mówi, przewracając oczami i kiwając pogardliwie małym palcem w stronę Terezy. Tereza odpowiada tym samym gestem. Wszystkie dziewczęta wybuchają śmiechem. Bobby wysyła jedną z nich po wodę.

Godzinę później obaj znów są na ulicy. Bobby podtrzymuje Bridgeman, którego krzepkie, postkopulacyjne, wilgotne ramię ciąży mu na plecach jak kłoda drewna.

- Chodzi o to - peroruje Bridgeman - że w starej Anglii jest inaczej niż tutaj.

Ulica jest pusta, ale Bobby czuje niepokój. W powietrzu czuć swąd spalenizny, a wychodząc z Goa House, omal nie potknęli się o pojedynczy but leżący na środku jezdni. Teraz, kiedy większość rupii tego pijanego durnia znalazła się w jego kieszeni, Bobby chce się go pozbyć. Postanawia, że kiedy znajdą się w pobliżu jakichś dużych hoteli, zostawi go.

Nic dane mu było zrealizować tego planu.

Kiedy Bridgeman snuje rozważania, czy góry w Anglii przypominają tutejsze, i

stwierdza, że na pewno nie mogą się z nimi równać, jeden z cieni przed nimi rozdziela się na kilka mniejszych. Każdy trzyma kij, butelkę albo nóż. Bobby oblewa się zimnym potem. Siedmiu, ośmiu mężczyzn? Nawet z odległości czuć od nich dym i arak. Ich herszt ma głowę owiniętą jakąś szmatą, w ręku dzierży żelazny pręt. Na twarzy ma ślady krwi, jakby walczył już dziś wieczorem. Gdy wychodzi z cienia, Bobby widzi po jego oczach, że jest pod wpływem bhang.

- Europejskie skurwysyny - rzuca.

Większość ludzi wykazuje głęboko zakorzoną dbałość o własne interesy, a Bobby ma tę cechę rozwiniętą w stopniu wyjątkowym. Decyzja porzucenia półprzytomnego Bridgemaną zajmuje mniej więcej tyle czasu, ile wędruje impuls nerwowy z mózgu do nóg.

Bobby zaczyna biec.

Za plecami słyszy wrzaski, głucho uderzenia, jakieś nieprzyjemne odgłosy. Przyspiesza.

Po chwili orientuje się, że nikt go nie ściga. Przystaje więc, pochyla się i opierając ręce o kolana, rozpaczliwie łapie powietrze szeroko otwartymi ustami. Gdy oddech znów staje się regularny, Bobby'ego dopada poczucie winy. Powinien zostać z Bridgemanem. Powinien stanąć do walki, dobyć rapiera i odeprzeć wroga. Wszystkich? Klnąc pod nosem, ściąga krawat i wkłada złożoną marynarkę pod pachę. Ostrożnie wraca tą samą drogą, którą biegł.

Mężczyźni zniknęli. Upewnia się o tym w pierwszej kolejności. Bridgeman został zaciągnięty w boczną uliczkę między wysoki dom i podwórko murarza. Leży na plecach z rękami ułożonymi sztywno wzdłuż ciała. Z daleka wygląda na spokojnego. Nie rusza się. Bobby odczekuje jeszcze kilka minut. Teraz jest pewien, że odeszli. Można bezpiecznie podejść.

Martwy Bridgeman nie wygląda lepiej niż żywy. Lewa strona twarzy jest zupełnie zmasakrowana, czarna i obrzmiała. Szczeka zdeformowana ciosem. Brudna koszula, przedtem pokryta zaschłymi resztkami jedzenia, teraz lśni niczym krwistoczerwony mundur. Bobby spogląda na niego z obojętnym współczuciem. Młody alkoholik w drodze do Anglii. Ostatnia szalona noc przed wyjazdem. Dziwna rzecz: mimo wszystko Bridgeman zdołał jakoś utrzymać w ręku flaszkę. Bobby schyla się i wyjmuje ją ze sztywnej dłoni. Obraca i widzi wygrawerowane z boku inicjały JPB. Znowu czuje się winny. Przez krótką chwilę.

Obok leży pusty portfel Bridgemaną. Bobby już chce odejść, bojąc się, by go nie przyłapano nad trupem, ale coś go zatrzymuje. Na ziemi spostrzega skórzaną saszetkę na dokumenty. W środku znajduje bilet na parowiec do Anglii, paszport na nazwisko Jonathan Pelchat Bridgeman i czysty arkusz papieru listowego z nagłówkiem: Spavin & Muskett,

Doradcy i Pełnomocnicy ds. Zobowiązań, Gray's Inn Road, London.

Bobby spogląda na fotografię w paszporcie. Ciemnowłosy młody mężczyzna wpatrzony w obiektyw z twarzą tak wyblakłą, że niemal bez wyrazu. Bardzo dalekie podobieństwo.

To mógłby być każdy.

Chowa dokumenty do kieszeni i rusza w kierunku misji. Pomysł dojrzewa, zanim Bobby dochodzi do końca ulicy. Już wie, co zrobi.

Wyczuwa zapach nafty. Bridgeman, ten prawdziwy Jonathan Bridgeman, znany tylko przez kilka godzin, rozplywa się w przestrzeni. Unicestwiony powraca w innej postaci. Bobby uśmiecha się szeroko. Jak łatwo strząsnąć z siebie jedno życie i zacząć nowe! Bardzo łatwo, gdy nic cię nie trzyma. Zdumiewają go ludzie, którzy potrafią umiejscowić siebie, przyklękając i napełniając rękę garstką ziemi. „Człowiek powstał z prochu” - twierdzi wielebny. Jeśli mężczyźni i kobiety powstałi z prochu, to on nie jest jednym z nich. Jeśli pod bosymi stopami czują puls ziemi i nazywają to domem, jeśli patrząc na znajomy krajobraz, widzą w nim swoje odbicie, to on nie jest jednym z nich. „Człowiek z ziemi” - mówi wielebny. „Ziemia z człowieka” - mówią Wedy. Słońce, księżyc i reszta stworzenia, powstałe z ciała Pierwotnej Ludzkiej Istoty. Ale Bobby czuje, że nie ma w nim ani odrobiny ziemi. Kiedy chodzi, jego stopy nie dotykają podłoża. Więc musi mieć inny rodowód, musi wywodzić się z jakiegoś innego elementu.

Kiedy skręca w Falkland Road, słyszy dźwięk przypominający szum deszczu między drzewami.

Na ulicy roi się od wzburzonych i rozkrzyczanych ludzi. Ich twarze barwy ziemi rozświetla wściekle pomarańczowy blask. Bobby jest tak pochłonięty własną transformacją, że dopiero pośrodku tłumu dostrzega źródło owego blasku.

Misja stoi w ogniu.

Płomienie pełzną po drewnianym froncie budynku niczym palce po instrumencie. Słychać trzaski, groźny łoskot. Lada chwila rozlegnie się huk, wszystko runie. Mowa olbrzymów. Bobby przepycha się do przodu, nagle przerażony perspektywą utraty tego miejsca, swojego pokoju z kolażem twarzy w półtonach, szafy z ubraniami, dobrze znanej drogi na dół do saloniku. Ogień strawił prawie do końca napis nad wejściem do misji. Można odczytać tylko kilka słów: „Czyż pozwolimy im umrzeć w ciemności, skoro sami poznaliśmy światło...”. Na czele ciżby ktoś macha czerwoną flagą własnej roboty. Smród nafty i dym wdzierają się w nos i usta Bobby'ego. Co powie pani Macfarlane? Po tym, co dla nich zrobiła, ile im dała miłości? A wielebny?

Jakby w odpowiedzi na to ostatnie pytanie okiennice na poddaszu kościoła otwierają się gwałtownie. Tłum faluje i postępuje bliżej. Ci z przodu stawiają opór, broniąc się przed bliskością szalejącego ognia. Ci z tyłu napierają. Bobby toruje sobie drogę łokciami. Czuje, jak jego twarz, twarz Bobby' ego, przypieka gorący podmuch. Las zaciśniętych pięści w górze. Skandowanie: „Spalić! Spalić!”. Rozświetlone pożarem twarze, wyszczerzone zęby, czerwone usta, otwarte w krzyku. Wielebny wychodzi chwiejnym krokiem na balkon niczym wizja wiecznego potępienia. Jego twarz i ubranie pokrywa sadza, włosy i broda tworzą wokół głowy płonąca siwą aureolę. Wielebny ma błędny wzrok, wykrzykuje coś w stronę tłuszczy ale jego słowa giną w huku płomieni. Na ten widok tłum się cofa. Niektórzy rzucają się do ucieczki. Skandowanie cichnie coraz bardziej, wreszcie ustaje. Wielebny trzyma w złączonych rękach stos czaszek. Na chwilę wszystko zamiera. Bobby zawsze będzie pamiętał tę scenę właśnie tak: nieruchomą i cichą jak na fotografii. Potem przy akompaniamencie przerażającego łoskotu balkon zapada się do środka i wielebny znika w płomieniach niczym stos gałganów.

Bobby przepycha się do tyłu. Chce czym prędzej wydostać się z tłumu. Nic tu po nim. Nic więcej go tu nie trzyma. Czuje, jak ziemia przesuwa się pod jego stopami szybko i bez oporu.

CZEŚĆ V

JONATHAN BRIDGEMAN

*

Jonathan Bridgeman stoi wsparty o balustradę na rufie SS „Loch Lomond” i obserwuje zostawiany przez statek ślad, przypominający linię namalowaną wapnem na czarnym tle. Choć przekracza kawałki, wielką czarną wodę, nie ma żadnych przykrych odczuć, żadnego wrażenia rozmywania się własnej kasty czy zalet. Tuż pod balustradą spieniona biel fosforyzuje jasnozielonym światłem, barwą zjaw albo radowego panaceum. Wieczorne powietrze jest gorące. Pod wyszorowanym pokładem pracowite turbiny napędzają gigantyczne śruby, które mącą wodę, powodują ruch miliardów świetlistych alg. Mienia się specjalnie dla niego, jakby chciały udowodnić, że woda też może być przeciwieństwem czerni, jeśli tylko zechce. Bridgeman uśmiecha się i stawia kołnierz marynarki, by osłonić twarz w trakcie zapalania papierosa.

Czarne kominy dalej będą wyrzucać z siebie kłęby smoliste czarnego dymu przesłaniającego gwiazdy, a pasażerowie parami będą przechadzać się po jasnych deskach pokładu. Statek pokona Morze Czerwone i przez Kanał Sueski wpłynie na wody Morza Śródziemnego, nazwanego tak, ponieważ jest centrum świata, ponieważ nad jego brzegami w wyniku wojen, ustanowionych praw i demokratycznych instytucji oraz uważnej obserwacji natury powstała Cywilizacja. Opuszczając Morze Śródziemne, czarno-żółtawy statek opłynie Cape Finisterre (finis term, kraniec świata), za którym hen daleko leży Anglia.

Och, mistyczny Zachód! Ziemia wełny, kapusty i lubieżnych dziewcząt o okrągłych oczach! Tamtejsze dziewczęta to naprawdę coś. Tak przynajmniej wynika z obserwacji Bridgema, poczynionych na pokładzie „Loch Lomond”. Obecność „wolnego mężczyzny”, na dodatek w tak dobrym gatunku (tak bardzo wolnego, tak bardzo męskiego), wprawiła wszystkie niefortunne łowczynie, nieszczęśnice bez pary po nieudanym sezonie łowieckim, w stan gorączkowego podniecenia. Ciągłe bez mężów, mimo pory zimowej spędzonej w Indiach, w Ojczyźnie mogą spodziewać się jedynie dalszego życia w panieństwie, póki nie zdecydują się na jakieś ustępstwa. Może nie musi być aż tak wysoki. Nie aż tak bogaty. Nie aż tak dobrze urodzony. Nie aż tak dobrze wychowany. Bridgeman, choć bardzo młody i w osobiście niedopasowanych ubraniach, wydaje się reprezentować sobą Coś Więcej. Jedna czy dwie Bez Pary okazują wyjątkową determinację, co zmusza Bridgema do blokowania krzesłem drzwi kabiny na noc. Mimo tych środków ostrożności z jego strony, zarówno panna Emily Howard, jak i panna Barbara Hollis gorąco ufają, że doszły z nim do porozumienia, a panna Amanda Jellicoe, która lepiej od nich poznała życie (i samego Jonathana), wierzy, że gdyby przyszło jej jutro umrzeć, umarłaby spełniona. Kiedy wolny mężczyzna przygląda się lśniącaemu w mroku śladowi statku, Amanda znów siedzi przy stole ze swoimi przyzwoitkami, państwem

Devereaux, którym nawet przez myśl nie przejdzie, że ich podopieczna jeszcze przed chwilą obściskiwala się z Jonathanem pod brezentem okrywającym szalupę ratunkową na niższym pokładzie, zamiast odpoczywać w kabinie. Pani Devereaux zauważa, jak dobrze Amanda wygląda, i dziewczyna ma nadzieję, że opiekunka nie dostrzeże wilgotnych plam na jej sukni i nie wyczuje chmury intensywnego męskiego zapachu, jaki z sobą przyniosła.

Amanda jest wyjątkiem. Jonathan stara się unikać takich spotkań z obawy przed zwróceniem na siebie uwagi. Większość czasu spędza w kabinie, a kiedy wychodzi na pokład, zasłania się książkami o najbardziej odstrasżających tytułach, jakie udało mu się wyszperać w bibliotece dla pasażerów. Niezmiernie rzadko trafia się żeński okaz Bez Pary, który ma wiele do powiedzenia, gdy na pytanie: „Co pan czyta?”, zadane z zalotnym trzepotem rzęs, pada odpowiedź: „Drugi tom Powstania Republiki Holandii Motleya”. Amanda, bystrzejsza od innych, pokryła swą ignorancję w kwestii siedemnastowiecznej historii mówieniem o wiatrakach, o swoim domu w Suffolk i pocztówką z jej rodzinnych stron, którą po prostu musiała pokazać mu po obiedzie.

Gdyby Amanda wiedziała, ile dla niego znaczy, pewnie zakreśliłaby się wokół niego jeszcze skuteczniej. Dla Jonathana jest pierwsza, jest objawieniem równym przekraczaniu granic czy ciemnej wodzie samej w sobie. Jej zapach, jej koloryt, nawet faktura jej włosów są dla niego maleńkimi zwycięstwami. Kiedy Jonathan stoi przy barierce, mając jeszcze w nozdrzach woń Amandy za każdym razem, gdy podnosi do ust papierosa, czuje się jak odkrywca.

Mimo usilnych starań Jonathan przekonuje się, jak trudno pozostać niezauważonym na pokładzie statku. Zawartość waliz przyniosła mu rozczarowanie. W jednej znalazł zakreślane butelki z jakimś brązowym alkoholowym płynem, w drugiej (znacznie mniejszej) trochę brudnych ubrań. Prócz rakiety tenisowej, strzelby, amunicji i czaszki jakiegoś jelenia to cały jego majątek. Po odsunięciu na bok butelek z trunkiem reszta leży w smętnym stosie na koi. Najgorsze, że ubrania zupełnie nie pasują. Poprzedni Bridgeman był szerszy w pasie, miał dłuższe stopy i krótsze ręce. Jego inkarnacja, która tak wielką wagę przywiązuje do stroju, przeżywa z tego powodu katusze. Ile można chodzić w tym samym smokingu z dziurą po papierosie w klapie, w spodniach z wywiniętym paskiem i postrzępionymi mankietami dyndającymi ohydnie powyżej kostek?

Trudne położenie wymusza na człowieku podjęcie rozpaczliwych kroków. Na szczęście Ganesh, młodszy steward, należy do grona wielbicieli Jonathana Bridgemana. W trakcie rozmowy za zamkniętymi drzwiami pozwolono mu uwierzyć, że na dodatek dobrze Bridgemana rozumie. Ten namówił go do pozyskiwania pewnych części stroju z garderoby

niektórych spośród lepiej wyekwipowanych pasażerów. Jakiś gors stąd, szelki stamtąd. Co więcej, uruchomili nawet system ryzykownych pożyczek. Dlatego młody Merriwether z Kerali czasem nie może znaleźć swojego drugiego płóciennego garnituru, a Dickie Carson zauważa na Bridgemanie smoking o uderzająco znajomym kroju. Ale ponieważ sam ma trzy, niczego nie podejrzewa, dzięki czemu Jonathan może czuć się przynajmniej stosownie (jeśli nie elegancko) ubrany.

Korzystanie z takiego systemu wypożyczania garderoby okazuje się na dłuższą metę kłopotliwe. Kiedy po minięciu Adenu Ganesh zaczyna domagać się pieniędzy i odciążenia od nadmiaru obowiązków przy obsłudze pasażerów, Jonathan musi wymyślić coś specjalnego. Największy kłopot to pieniądze. Choć niektóre usługi na statku są bezpłatne, a płacenia rachunku można jakoś uniknąć, przekupstwo wymaga gotówki. Jonathan ma nadzieję, że partie pokera, regularnie rozgrywane w maszynowni, pomogą mu rozwiązać problem. Ale gdy podczas drugiej wizyty jeden z palaczy przyłapuje go na oszustwie, sytuacja staje się na tyle groźna, że szefowi z trudem udaje się powstrzymać swoich chłopców przed uduszeniem smarkacza i wyrzuceniem go za burtę. Jonathan wychodzi z maszynowni z tak pokiereszowaną twarzą, że dopiero za Gibraltarem decyduje się opuścić kabinę. Poza tym przez resztę podróży co chwila nerwowo ogląda się za siebie, gdy przypadkiem zboczy z głównego pokładu.

Sztorm w Zatoce Biskajskiej staje się wybawieniem. Większość pasażerów, zamieniona w wymiotujące ludzkie wraki, jest zbyt pochłonięta własnym cierpieniem, by zwracać uwagę na sińce Bridgemana czy jego nagły powrót do podniszczonych ubrań. Nastrój na pokładzie „Loch Lomond” poprawia się dopiero na widok białych klifów Dover. Kilku wyjątkowo umęczonych chorobą morską pasażerów wznosi nawet okrzyki radości (choć angielski brzeg widać od dłuższego czasu). Wokół wywiązuje się ożywiona dyskusja o pięknie ojczystej ziemi i pierwszej rzeczy, jaką ludzie zrobią po zejściu na ląd. Amanda Jellicoe stoi u boku Jonathana wspartego o balustradę i pyta: „Nie cieszysz się, że wróciłeś?”. Jonathan odpowiada: „Tak”, ale w jego głosie brak przekonania.

Widok kredowych klifów obwiedzionych zielenią budzi w Jonathanie lęk. Dla otaczających go ludzi tak wiele znaczą. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że choć wręcz obsesyjnie szukał informacji o Anglii, nigdy tak naprawdę nie dawał im wiary. To miejsce pozostawało abstrakcją niczym hipoteza w filozofii czy problem w geometrii. „Wyobraźmy sobie sześcian wirujący wokół własnej osi...”. Wyobraźmy sobie Krainę Jezior, zalewiska w okolicach Norfolku czy białe klify wyrastające ponad zielonkawo-szarą wodą, nad którymi krążą mewy. Jonathan usiłuje czuć to, co czują inni, i nerwowo szuka odpowiedzi na pytanie, kim oto się stał.

*

Samuel Spavin przebiera po bujnej brodzie pięcioma długimi, białymi palcami, jego fotel wydaje z siebie czcigodne trzaski, wtrącając subtelny dźwiękowy ozdobnik do szczególnej melodii firmy Spavin & Muskett, na którą pracowały czas i tradycja. Za jego plecami wisi portret srogiego dżentelmena z epoki wczesnowiktoriańskiej w wysokim sztywnym kołnierzyku. Odwiedzający firmę często zauważają podobieństwo między panem Spavinem a mężczyzną na obrazie. Większość przyjmuje za pewnik, że model uwieczniony za biurkiem pełnym książek i dokumentów to przodek Spavina, dawno zmarły prawnik, którego mądrość i uczciwość stały się częścią profesjonalnej spuścizny firmy. Mimo dbałości o pozory podobieństwa pan Spavin nie jest spokrewniony z mężczyzną z portretu. Kupił ten obraz na wyprzedazy w początkach kariery, by stworzyć wrażenie trwałości i solidności, co tak kojąco wpływa teraz na nastrój jego klientów.

Dziś pan Spavin spogląda znad blatu swego biurka i czuje się mile zaskoczony. Nie przypuszczał, że to możliwe. Fakt, chłopak jest trochę zaniedbany, ale to w końcu sierota. A zaniedbanie, o czym pan Spavin jest głęboko przekonany, to nieodłączna i naturalna cecha sierot, jedna z tych rzeczy, które przydają sieroctwu szczególnego patosu. Spavin jest wielbicielem Dickensa, a wygląd Jonathana Bridgema idealnie pasuje do dickensowskiego wzorca sieroty. Odrobinę starszy niż w książkach. Chłopiec. Z pewnością byłoby o wiele pikantniej, gdyby to była ona. Jako prawnik, najbardziej dickensowska z dickensowskich postaci, pan Spavin ma zostać opiekunem Bridgema. Chwilę, w której życie odzwierciedla literaturę, trzeba smakować. Spavin potrząsa głową w niemym zachwycie nad własną uczuciowością. Tak głęboko rozumie te sprawy, że czasem opanowuje go myśl, czy nie minął się z powołaniem.

- Tu i tu.

Wskazuje miejsca na dokumencie, gdzie powinien znaleźć się podpis, i patrzy z pobłażaniem, jak Jonathan wykonuje jego polecenie. Robi to jakoś niepewnie, stawia litery powoli i z namysłem. Nie ulega wątpliwości, że na równi ze swoim patronem jest świadom doniosłości tej chwili.

- Jeszcze tutaj, chłopcze. Gotowe. Dokładnie tak, jak życzyłby sobie tego twój drogi zmarły ojciec.

Bridgeman kiwa głową. Jest przystojny, co zakrawa na cud. Spavin wraca w myślach do wspomnień sprzed wielu lat, gdy dziadek Bridgema, też Jonathan, przyszedł do biura ze swoim pożałuj Boże synalkiem i zakomunikował, że ma życzenie, by ulokować potomka w interesie herbacianym. Nawet najbardziej życzliwy obserwator (a za takiego Spavin ma honor

się uważać) nie znalazłby w Bridgemanie juniorze wielu przymiotów. Ordynarny i nieokrzesany brzydał o irlandzkiej fizjonomii. Stan nietrzeźwości (o jedenastej rano!) jeszcze pogłębił złe wrażenie. Kto by pomyślał, że z lędźwi takiego prostaka zrodzi się tak miła dla oka istota? Spavin nie pamięta, czy widział kiedyś tę nieszczęsną kobietę, która była matką siedzącego przed nim chłopca. Chyba nie. Małżeństwo zostało zawarte już w Darjeelingu. Sądząc z wyglądu Jonathana, musiała być wyjątkowo piękna. Jak przystało na człowieka o poetycznej wrażliwości, Spavin wierzy, że charakter ludzki objawia się w fizjonomii. Dwadzieścia lat temu stwierdził na poczekaniu, że ów bełkoczący tępak o kartoflanych rysach do niczego się nie nada. Ale chłopiec, który przed nim siedzi... Jaka cudowną kobietą musiała być jego matka!

- Masz fotografię swojej drogiej mamy, Jonathanie?

- Niestety, nie. Ojciec nie wierzył w fotografie.

- Nie wierzył? Rozumiem. Osobliwy pogląd.

- Zgadza się. Nie mam ani jednej. Ani jednej.

- Wielka szkoda.

Rzeczywiście, wielka szkoda. O ile Spavin pamięta, dziadek również nie grzeszył prezencją. Jaki byłby dumny na widok kontynuatora swego rodu! To przecież istny Apollo! Myśl o kontynuacji sprawia, że pan Spavin toczy okiem po własnej kancelarii, w której panuje profesjonalny nieład. Stosy dokumentów, na półkach książki oprawne w marokin, zapasy laku do pieczęci i czerwone wstążki tworzą jego świat. O tak, on dobrze wie, co to kontynuacja. Każdy aspekt jego egzystencji, od papieru listowego po regularny lunch z panem Muskettem o pierwszej w restauracji na rogu zaświadcza o jego zaszczytnej roli strażnika tradycji. On, Spavin, wnosi skromny wkład w obronę konserwatywnych wartości życia wielkiego narodu.

Co za ulga! Kiedy otrzymał telegram z informacją o jakichś kłopotach w porcie i zapytaniem, czy nie przesłałby paru gwinei potrzebnych do uwolnienia swego podopiecznego i zamknięcia formalności związanych z zejściem na ląd, poczuł nagły lęk. Czyżby syn okazał się równie beznadziejny jak ojciec? Mimo to, pamiętając o własnych zobowiązaniach, posłał pieniądze. Kiedy chłopak pojawił się w końcu u niego i opowiedział przejmującą historię, wszelkie obawy zniknęły. Jonathan został napadnięty w jakiejś ciemnej bombajskiej uliczce przez bandę rzeźmieszaków i choć dzielnie się bronił, powalając jednego czy dwóch, nie dał rady reszcie i stracił prawie wszystkie pieniądze przeznaczone na podróż. Nieporozumienie w sprawie smokingu wywołał prostoduszny i nadgorliwy hinduski steward. Podarował ubranie okradzionemu chłopcu, nie wspomniawszy, że należy ono do innego pasażera, pana Carsona, który wniósł skargę. Interwencja Spavina odniosła skutek. Pan Carson przyjął przeprosiny.

- Co ty byś beze mnie zrobił, chłopcze?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, proszę pana.

*

W Londynie ulice są wybrukowane złotem. Światło elektrycznych latarni odbija się w mokrych od deszczu chodnikach. Przechodnie zostawiają za sobą migocące wspomnienie ramion okrytych płaszczami przeciwdeszczowymi i obryzanych wodą nóg, sadzących naprzód wielkimi krokami. Przez Piccadilly przejeżdża strumień nowoczesnych pojazdów. Nawet wścibskie gołębie, tłuste i szare niczym szczury, drepczą majestatycznie, rozpięte imperialną dumą. W Londynie deszcz pada z różną intensywnością. Brudna woda płynąca w rynsztokach też jest godna uwagi, ponieważ to londyńska woda i niesie z sobą drobiazgi (ulotki, papierki po cukierkach i niedopałki papierosów), które układają się w lakoniczne komunikaty o tutejszym stylu życia i sposobie myślenia.

Jonathan kluczy między przechodniami i taksówkami. W uszach dźwięczy mu metaliczny plusk kropel rozbijających się o wielki czarny parasol. To odgłos tak różny od szumu indyjskiej nawałnicy, że nigdy nie pozwoli mu zapomnieć, co zrobił, jak się tu znalazł i jak w zawrotnym tempie zyskał nową tożsamość.

W Londynie są policjanci w niebieskich mundurach i czerwone autobusy z reklamami po bokach. W parkach widocznych pomiędzy wysokimi budynkami rozciągają się połacie soczyście zielonych trawników. Dopiero teraz Jonathan rozumie, co Brytyjczycy usiłowali bez powodzenia powielić w Indiach. Aksamitną zieleń pulsującą życiem. Jak wielką tęsknotę za ojczyzną musiały wyzwać w tych ludziach otwarte indyjskie przestrzenie, pokryte wypaloną słońcem roślinnością! W tym miejscu, w atmosferze ciężkiej od wilgoci, istnienie trawników wreszcie ma sens. W Londynie można strzepnąć krople deszczu z parasola i wejść do herbaciarni Lyonsa, gdzie bladolice dziewczęta w czarno-białych uniformach podadzą ciasteczka

równie wilgotne jak trawniki, do tego herbatę z mlekiem, chyba jedyną rzecz w całym mieście, która niewiele różni się od swojej indyjskiej odpowiedniczki. Kelnerki nazywane są nippies i Jonathan zastanawia się, czy ich przydomek nie wziął się przypadkiem od ich ściągniętych mizernych twarzy. Ten rodzaj angielskości jest dla niego całkiem nowy. Takich twarzy, zabiedzonych i nieszczęśliwych, Imperium nie eksportuje.

Na każdym kroku Jonathan natyka się na pierwowzory kopii, wśród których dorastał. W swoim naturalnym środowisku wszystkie absurdy Indii Brytyjskich nabierają sensu. Ciemne garnitury i wysokie kołnierzyki rzeczywiście bardzo się tu przydają. Solidne czarne drzwi wiodą z oświetlonych lampami ulic do zagraconych salonów owąskich oknach, przez które wpada chłodne i anemiczne londyńskie światło. Zagłębiony w skórzanym fotelu, Jonathan pojmuje wreszcie znaczenie słowa „przytulny”; pojmuje dyktaturę klimatu, który wymusza na

ludziach o przezroczystej skórze z siateczką niebieskich żyłek otaczanie się końskim włosiem, mahoniem, aspidistrami, pokrowcami na meble, historią, tradycją i świadectwami udziałowymi. Dochodzi do wniosku, że bycie Brytyjczykiem to przede wszystkim kwestia izolacji.

Pan Spavin wynajął dla niego pokój na poddaszu w Bayswater z małym okienkiem wychodzącym na dachy i kominy. Na krótko. We wrześniu Jonathan pójdzie do szkoły, gdzie przygotuje się do studiów. Mówi się o tym jak o wypalaniu garnka albo pokostowaniu mebla, ostatniej obróbce, której będzie poddany przed wystawieniem na sprzedaż. Zanim stanie się studentem Oksfordu, musi spędzić dwa semestry w warsztacie Chopham Hali.

Kiedy Jonathan pierwszy raz zostaje sam w pokoju, długo stoi i patrzy na pustą półkę nad kominkiem, czarne od sadzy palenisko, dywan i umywalkę, nad którą wisi upstrzone plamkami lustro. Do tej chwili nie zastanawiał się nad treścią swego nowego życia. Samo życie, angielskie życie, wystarczało w zupełności. Widok pustych miejsc czekających na wypełnienie powoduje nagły przyływ paniki. Jonathan przekręca klucz i ciężko opiera się plecami o drzwi. Zagrabił dla siebie to życie. Jest Anglikiem. Zauważa nowe rzeczy, które przedtem umknęły jego uwadze. Pusta szafka na książki obok łóżka. Ciemniejszy prostokąt na tapecie w miejscu, gdzie przedtem wisiała jakaś fotografia; gdzie powinna wisieć jakaś fotografia. Tylko jaka? Co powinna przedstawiać? Jonathan nie wie. Odpowiedź, jaka przysłaby do głowy innym, prawdziwym ludziom („Fotografia, którą lubię”), z całą pewnością nie stosuje się do jego osoby. Nie wydaje mu się, by mógł coś polubić bez uprzedniego sprawdzenia, czy to go nie zdradzi. Przede wszystkim jest teraz Anglikiem i powinien wykazać się gustem właściwym Anglikowi.

Ale co to właściwie znaczy?

Jonathan myśli o tym długo i intensywnie. Anglik powiesiłby rycinę o tematyce myśliwskiej, zdjęcie króla albo portret zmarłego krewnego, na przykład takiego starucha z bokobrodami, który wisi nad biurkiem pana Spavina. Z braku portretu Jonathan decyduje się na podobiznę króla, kupioną na straganie przy Berwick Street, i wkłada ją w pozłacaną ramkę. Przez pierwsze miesiące pośród trawników i smaganych deszczem ulic chodzi spać pod ręcznie barwionym wizerunkiem króla Jerzego V, z trudem opierając się pokusie zanoszenia modlitwy do sterczącej ciemnej brody z prośbą o wskazanie ścieżki ku własnej tożsamości.

Do września Jonathan nie ma nic do roboty. I całkiem mu to odpowiada. Myśl o Chopham Hali przyprawia go o dreszcze. Kiedy Brytyjczycy mówią o szkole, używają słów, jakich inni używają w odniesieniu do więzienia. Przejęty rolą patrona, Spavin prosi młodego Musketta, syna współnika, by pokazał Jonathanowi miasto. W stosownym czasie, po uprzejmej

wymianie liścików, na progu domu w Bayswater materializuje się złotowłosy młodzieniec w białym stroju do tenisa.

- Cześć - rzuca, zerkając z widocznym niesmakiem w stronę ciemnego holu. - Ty musisz być Bridgeman. Pomyślałem sobie, że możemy zagrać parę setów.

W oczekiwaniu na Jonathana Muskett przyjmuje hołdy od pani Lovelock. Gospodyni jest najwyraźniej pod wielkim wrażeniem młodzieńca. Płąsa wokół niego zaaferowana, co ma oznaczać szacunek i radość z wizyty takiego gościa. Muskett ignoruje ją, pochłonięty pogardliwym wydymaniem dolnej wargi na widok wystroju holu. Propozycję przejścia do frontowego saloniku i zajęcia miejsca w fotelu kwituje stwierdzeniem, że jeśli pani Lovelock nie zrobi to różnicy, wolałby postać. Jego dolna warga znów idzie w ruch, tym razem na widok Jonathana schodzącego z góry w brązowych butach.

- Nie masz tenisówek?

- Niestety, nie.

- No cóż... Kupimy po drodze.

Muskett prowadzi okrężną drogą przez Piccadilly, po czym obaj wchodzi na trawiasty kort, ukryty za domem stojącym po właściwej stronie Regent's Park. Jonathan ma na nogach nowiutkie białe tenisówki. Mokrą od potu ręką kurczowo ściska raketę. Rozgrywka z Muskettem okazuje się katastrofą. Jonathan beładnie miota się za piłką raz w lewo, raz w prawo, wpada na siatkę i ani razu nie odbija uderzenia przeciwnika. Po pewnym czasie złotowłosy młodzieniec baczny spojrzeniem obrzuca zdyszana postać po przeciwnej stronie kortu i wydawszy pełną ekspresji dolną wargę, pyta, czy Jonathan nie ma ochoty na przerwę. Ten kiwa głową w milczeniu.

- Wydawało mi się, że grasz. Wspominałeś o tym. Jonathan odpowiada coś wymijająco.

- Zaskoczyłeś mnie. Wy tam w koloniach zwykle jesteście wysportowani. Zdrowy pendzabski styl życia i takie tam.

Jonathan smętnie przypomina sobie brytyjsko-hinduski zwyczaj budowania kortów na każdym dostępnym skrawku ziemi, nawet w górzystych okolicach, gdzie ludzie wykuwali je w zboczach niczym dziniści wizerunki swoich świętych. Niepojęte, że nigdy nie grał w tenisa. Teraz nie potrafi wymyślić żadnego sensownego uzasadnienia porażki, oznajmia więc, że nadwreżył sobie rękę. Ma nadzieję, że to tłumaczenie wybawi go z opresji. Muskett najwyraźniej nie daje wiary jego słowom, jednak pokrywając niesmak uprzejmością, proponuje wypicie czegoś na tarasie.

Jonathan czuje się w obowiązku rozcierać od czasu do czasu nadgarstek, a Muskett snuje opowieści o przyjęciach, o bywalcach przyjęć, ich związkach z gospodarzami i swoich

związkach ze wszystkimi. Muskett ma pieniądze, samochód i zaproszenia Na Wieś na pięć kolejnych weekendów. Wieś to miejsce, gdzie Wszyscy spędzają czas, gdy nie chodzą na Przyjęcia albo na korty. Muskett opowiada o balu u lady Kynaston i u państwa Huntingtonów i o swoich zabawnych odżywkach na obiedzie u Waller-Waltonów. Na wszystkich trzech przyjęciach śmiertelnie się wynudził i spotkał te same osoby. Brakowało tylko tych, którzy zostali zaproszeni na bankiet do ambasady Szwecji. Muskett zaproszenia nie dostał i wcale nie żałuje. Spodziewał się, że tam będzie jeszcze nudniej (jak to zwykle w ambasadzie). I oczywiście wyszło na jego. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że było strasznie. Muskett zaliczył już dwa lata studiów na Uniwersytecie, ma długi, które spłaci jego staruszek, jest po słowie z Anną Waller-Walton i spodziewa się, że po studiach wyląduje w City. Jonathan domyśla się, że City nie jest przeciwieństwem Wsi, lecz tworem o wiele bardziej złożonym, mającym coś wspólnego z kontrolowanym przepływem kapitału, akcjami i lunchem.

Muskett przyrzeka, że wpadnie w przyszłym tygodniu, ale słowa nie dotrzymuje. Jonathan zdaje sobie sprawę, że oblał test i że jeszcze wiele musi się nauczyć, zanim będzie pasował do kręgów, w jakich obraca się młody Muskett. W notesie spisuje swoje słabe punkty: tenis, taniec, samochód. Większość kieszonkowego poszła już na ubrania, ale Jonathan zaczyna odkładać niewielkie sumy na lekcje. Tenis czy taniec? Lekcje tańca kosztują mniej, zwłaszcza w Shepherd's Bush u niejakiej madame Parkinson w poniedziałki wieczorem (tak przynajmniej wynika z anonsu zamieszczonego w „Post”). Madame Parkinson okazuje się płomiennorudą kobietą z francuskim akcentem, w którym nawet Jonathan rozpoznaje fałsz. „W lewo raz dwa, w prawo raz dwa, i z ghacją - ouil”. Wkrótce Jonathan zaczyna spędzać wieczory w Hammersmith Palais de Danse, gdzie w kłębach papierosowego dymu muzycy o błyszczących od brylantyny włosach niezmiernie gładko grają fokstrota, a ostrzyżone na chłopczyce młode kobiety najpierw pozwalają deptać sobie po palcach, a potem prowadzą go w ustronne i ciemne zakątki nad rzeką.

Stopniowo Jonathan wyzbywa się napięcia; jego zmysły dostrajają się do londyńskich odmienności. Ludzie mają tu inną przestrzeń osobistą niż w Bombaju, inny próg tolerancji na naruszenie prywatności, inne powody i sposoby okazywania gniewu. Jonathan jeździ metrem, powtarzając sobie, żeby nie wstrzymywać oddechu i przybierać ten sam obojętny wyraz twarzy co inni pasażerowie, objijający się o siebie w metalowej kapsule. Siedzi w kinie, skąpany w białym świetle, poruszony do głębi odgłosami wystrzałów czy skrzypiącej podłogi, wydobywanymi przez organistę z futurystycznej maszyny. Je lody, otoczony obściskującymi się parkami w ostatnim rzędzie, i czuje, jak przywiera do niego angielskość, jak oblepia mu skórę niczym miejski brud. Tego chciał. To mu wystarczy.

Wszystko urywa się nagle, gdy pani Lovelock napomyka panu Spavinowi o Palais. Spavin wzywa Jonathana do biura i oznajmia, że nie tego oczekiwał od swojego podopiecznego, Jonathan nie rozumie, czym zawinił, ale gorliwie przeprosza. Boi się, że wszystko zostanie mu odebrane. Pan Spavin uważa, że Jonathan jest niesubor-dynowany i że najlepiej będzie, jeśli wyjedzie do Chopham Hali natychmiast. Potrzeba mu dyscypliny. Dyscypliny i rygorów szkolnego życia. Nie ma co zwlekać. Pojedzie jutro rano pociągiem z dworca przy Liverpool Street.

*

Mówi się, że w momencie śmierci sir Peregrine Haldane usiadł w wielkim łożu w Chopham Hali i krzyknął: „Ukarz ich, Panie! Nie oszczędzaj!”. Później różnie interpretowano ostatnie słowa umierającego. Duchowny parafii w Chopham Constable (człowiek, którego sir Perry zawsze podejrzewał o wywrotowe, egalitarne poglądy) uznał je za proroctwo losów wszystkich bogaczy, po czym wygłosił płomienne kazanie o końcu mieszkańców Sodomy i Gomory. Anonimowy londyński pamflecista utrzymywał, że sir Peregrine „Syfileusz” Haldane wrócił we wspomnieniach do jednej z legendarnych orgietek z pięcioma ladacznicami. Tę opinię podzielała zresztą większość londyńskiego towarzystwa, mimo gorących protestów przyjaciół zmarłego, według których sir Peregrine chciał zawołać: „Ukarz mnie, Panie! Nie oszczędzaj mnie!”, ale agonia poplątała mu myśli.

Cokolwiek miało to znaczyć, po zapoznaniu się z ostatnią wolą sir Perry’ego nikt nie miał wątpliwości, że staruszek okazał skruczę. Poznawszy treść testamentu, Oliver de Tassle-Lacey, siostrzeniec i spadkobierca sir Perry’ego, uświadomił sobie, że jest zrujnowany. Ponieważ wiązał ogromne nadzieje ze spadkiem, nie pozostało mu nic prócz samobójstwa. Skoczył z łoża w Theatre Royal w trakcie przedstawienia „Aleksander i Poros” i nadział się na kopię trzymaną przez kogoś w orszaku. Połączenie fatalnej reputacji sir Peregrine’a z widowiskową śmiercią Olivera na kilka tygodni skupiło uwagę opinii publicznej na testamencie. To, że stary hulaka, zamiast przekazać dom i ziemię młodemu pokoleniu, postanowił ufundować szkołę dla „synów zasłużonej biedoty”, uznano za przejaw ekscentryzmu graniczącego z szaleństwem. A jednak na dworze królewskim niektórzy stwierdzili, że to wzruszający gest. Informację o ufundowaniu szkoły odczytano nawet królowi w trakcie jego porannego wypróżnienia.

Przez następne dwa stulecia z okładem w Chopham Hali zaszło wiele zmian. Pierwotny zapis uzupełniły kolejne darowizny. Był nawet czas, gdy szkoła stała się na tyle modna, że przyciągała synów późniejszej arystokracji. Niestety, tego sierpniowego popołudnia, gdy pociąg Jonathana wtacza się na śpiącą stacyjkę w Chopham Constable, te dni należą już do przeszłości. Chopham Hali sytuuje się gdzieś pośrodku wielkiej drabiny angielskich szkół prywatnych, o wiele niżej od wszystkich Harrowów, Etonów i Winchesterów, na tyle jednak wysoko w hierarchii społecznej, by miejscowi wieśniacy uchylali czapek przed nauczycielami i czasem za ich plecami spluwali.

Jonathanowi wydaje się, że Norfolk leży bardzo daleko od Londynu. Thukąc się przez równiną okolicę, przypomina sobie Pendżab. Pod wpływem wspomnień zaczyna czuć się nieswojo. Na widok czekającego na peronie Briggsa, woźnego w Chopham Hali, sztywnej

figury z bujną brodą i melonikiem na głowie, ma ochotę zostać w pociągu i spróbować szczęścia z Kings Lynn. Zbiera się jednak na odwagę, wysiada, daje się rozpoznać i już po chwili przemierza z Briggssem wioskę staromodną dwukółką.

Rozmowa się nie klei. Briggs rzuca coś o pogodzie, która jest całkiem znośna, zważywszy na okoliczności. Jakie okoliczności, Jonathan nie pyta, a Briggs nie uznaje za stosowne wyjaśniać. Pod bramę szkoły podjeżdżają w całkowitej ciszy.

Pierwsze wrażenie jest miłe. Teren jest rozległy, boiska do rugby i krykieta biegną w stronę Brand, niewielkiego strumyka stanowiącego wschodnią granicę parku. Od czasów sir Perry'ego elżbietańska budowla niewiele się zmieniła, choć kolejni dyrektorzy przydali szkole luksusu w postaci nowego internatu oraz sali gimnastycznej i kaplicy, zbudowanych pod jednym dachem. Owo architektoniczne curiosum w formie prostego wiktoriańskiego gotyku wywodzi się z teorii któregoś pedagoga, dotyczącej ścisłego związku między wielbieniem Boga a ćwiczeniami fizycznymi. Wprowadził on ją w życie przy udziale postępowego grona pedagogicznego i specjalnego funduszu.

Wieża kaplicy, walcowaty twór z nieco wygiętym i dziwacznie bulwiastym szczytem, to wszystko, co pozostało z szaleństwa sir Perry'ego. Powstała w apogeum wyczynów starego zboreźnika. Zamaskowana, przyporami i zwieńczona krzyżem, ciągle znana jest wśród wieśniaków jako Wielki Wał. Legenda głosi, że stanowi dokładne odwzorowanie ulubionego narzędzia sir Perry'ego, które uwiecznił, starając się o przychylność księżnej Devonshire.

Gdy Briggs wyjmuje walizę z dwukółki, Jonathan wchodzi do wyłożonego dębem holu i po raz pierwszy wciąga w nozdrza woń mydła karbolowego, błota i gotowanej kapusty, mieszanek zapachową charakterystyczną dla angielskiej szkoły z internatem. Na trzy tygodnie przed rozpoczęciem roku szkolnego panuje tu martwa cisza. Połączone nazwiska i gipsowe popiersia dawnych dyrektorów patrzą na Jonathana z przedziwnym spokojem, jakby strzegły zawieszenia broni. Jonathan przygląda się trofeom sportowym ustawionym na półkach przeszklonej szafy, aż Briggs kaszle mu głośno nad uchem i sugeruje, że może jednak powinni iść już na górę, zważywszy na okoliczności. Jonathan pnie się za starym sługą po schodach. Mijają szereg zamkniętych drzwi i obszerną, ponurą salę, służącą młodszym chłopcom do odrabiania lekcji. Wreszcie dochodzą do skrzydła, w którym mieściły się kiedyś pokoje gościnne rodziny Haldane'ów, a teraz znajdują się sale klas szóstych.

Drzwi. Kolejny pusty pokój czeka, by go czymś zapełnić.

Jonathan może się teraz rozpakować. Dyrektor oczekuje go za godzinę na herbacie. W szklarni. Po oznajmieniu tego Briggs stoi w drzwiach wyczekująco. Dopiero kiedy Jonathan wciska mu do ręki monetę, odchodzi, powłócząc nogami.

Szklarnie stoją na tyłach głównego gmachu i przypominają miniaturowy szklany pałac, lśniący w promieniach słońca. Jonathan jak zahipnotyzowany idzie ku nim przed trawnik. Osadza go w miejscu donośny wrzask.

- Chłopcze! CHŁOPCZE!

Jonathan odwraca się na pięcie i widzi poczerwieniałą twarz mężczyzny wychylającego się z okna na piętrze.

- Co ty wyprawiasz?!

- Idę...

- Co?

- Idę do...

- CO? Nigdzie nie powinieneś chodzić po trawie! Pamiętaj! Patrz, co narobiłeś!

Jonathan spogląda pod nogi i widzi, że jego buty zostały na pasiastym trawniku małe wgłębienia.

- Trawnik! - grzmi mężczyzna. - Tylko rodzice, nauczyciele i starsza służba! Wyjątek: starostowie klas w niedzielę! Wszyscy chłopcy ze starszych klas w Dniu Fundatorów między drugą a czwartą po południu! A teraz wynoś się stąd!

Jonathan ostrożnie wycofuje się na zwirową ścieżkę. Okno zamyka się z trzaskiem. Jonathan myśli nad czymś przez chwilę, po czym wyjmuje z kieszeni notes i pisze: „Dalsze potwierdzenie znaczenia trawników”. Angielskość wnika w jego skórę nieco głębiej.

Odnalezienie szklarni to jedno. Odnalezienie wejścia do środka to drugie. Konstrukcja składa się z trzech części. Każda z nich tonie w zieleni. Niektóre strefy są osłonięte przed światłem płóciennymi ekranami. W innych para wodna przesłania wszystko. Przez wysypane żwirem podłoże biegnie skomplikowany system rur pompujących ciepło. Wreszcie Jonathan dostrzega jakąś postać w żółtym kapeluszu. Idąc wzdłuż ściany, odkrywa drzwi i nagle trafia w sam środek pory deszczowej w Indiach, gdzie ciężkie i parne powietrze spowija człowieka niczym flanela.

Jonathan zastaje doktora Noble'a, dyrektora szkoły i miłośnika orchidei w jednej osobie, nad tworzeniem krzyżówek. Noble siedzi pochylony na ławce, przytrzymuje płatki soczyście czerwonego dendrobium i oblepioną pyłkiem wykałaczką pieszczotliwym ruchem przeciąga po organach rozrodczych kwiatu, jakby przełamywał opór tancerki rewiowej. Przesunięta na tył głowy panama z szerokim rondem odsłania kościstą czaszkę i pojedynczy kosmyk siwych włosów. Ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie, gdzieś na przedłużeniu

czubka długiego, wydatnego nosa, nie zauważa nadejścia Jonathana. Zadanie pochłania go całkowicie. Dopiero gdy transfer pyłku dobiega końca, doktor Noble rozprostowuje plecy i patrzy na nowego ucznia z błogim postkopulacyjnym uśmiechem.

- Bridgeman - mówi. - Prosto z tropików.

- Tak, proszę pana.

- Przyjechałeś niedawno z Azji jak moje nowe Paphiopedilum. - Wskazuje drewnianą skrzynkę u swych stóp. Obaj patrzą do środka. Jonathan widzi tylko mało obiecującą mieszaninę ziemi i kwiatowych bulw. To, co widzi doktor Noble, musi być naprawdę podniecające, gdyż wydaje on z siebie przeciągły jęk.

- Cudowne - mruczy.

- Tak, proszę pana.

- Chodź ze mną do alpinarium, gdzie, jak mniemam, pani Dodd zostawiła nam herbatę.

Torują sobie drogę przez masę zieleni. Orchidee są wszędzie. Rosną w długich skrzynkach, zwieszają się z koszyków, wiją się wokół pni i sztucznych podpórek z kory i drutu. Przybierają każdy wyobrażalny kształt i kolor. Ogromne woskowate kwiaty z płóściami się korzeniami, maleńkie gwiazdki, szpice, wachlarze, słupki i rozety, kwiaty w kształcie torebek i kwiaty z ostro zakończonymi ogonkami. Porastają obłożone mchem konstrukcje i pną się w górę nad głowami, tworząc labirynt korzeni powietrznych, które biją Jonathana po twarzy i wplątują się we włosy. Doktor Noble wydaje się bardziej przywódcą orchidei niż ogrodnikiem; przywódcą kontrolującym ich hordy siłą woli.

Rośliny w alpinarium rosną wokół niewielkich skałek. Temperatura jest o dobre dwadzieścia stopni niższa niż w strefie tropików za sąsiednimi drzwiami. Doktor Noble nalewa herbatę i objaśnia filozofię szkoły, którą da się streścić w trzech punktach: chłopcy powinni pilnie się uczyć, doskonalić umiejętności gier zespołowych i pod żadnym pozorem nie wolno im wchodzić do Blue Badger czy kawiarni U Edith, gniazd rozpusty w Chopham Constable. Opiekun Jonathana napomknął coś o jego skłonnościach do tego rodzaju miejsc i otrzymał zapewnienie, że Chopham Hali wyleczy chłopca z tej słabości. Po części oficjalnej następuje powrót do orchidei. Doktor Noble dzieli się z Jonathanem planami skrzyżowania pewnych wyjątkowo wymagających odmian orchidei Cattleya. Rezultaty ma zamiar zaprezentować w Kew, londyńskim ogrodzie botanicznym. Nową odmianę nazwie C.haldaniensis, a może C.emiline od imienia dziewczyny, którą poznał w Oksfordzie. Wzmianka o uniwersytecie naprowadza go znowu na temat edukacji Jonathana. Przerzuciwszy się na grekę, wygłasza orację w tym języku, po czym zawiesza głos, najwyraźniej oczekując odpowiedzi. Kiedy Jonathan przyznaje, że nie rozumie, słyszy, że to niezmiernie poważna sprawa. Rzecz cała

zostaje powtórzona po łacinie. Przez chwilę prowadzą sztywną konwersację, póki doktor Noble nie traci zainteresowania tematem wojowniczego charakteru Germanów i nie wraca do orchidei. Podczas ostatniej suszy stracił mnóstwo roślin. Największe spustoszenia dokonały się wśród tropikalnych epifitów. Gdy przystępuje do szczegółowego opisu strat, sprawia wrażenie, jakby miał się rozplakać. Bierze się jednak w garść, dolewa herbaty i stwierdza, że według niego najlepszy będzie dla Jonathana kurs historii.

- Na to powinienes się zapisać na uniwersytecie. Filologia klasyczna nie jest dla ciebie. Zdaję sobie sprawę, że możesz czuć się rozczarowany. Na krętej ścieżce życia spotkasz pewnie ludzi przekonanych, że znajomość starożytnych to znak rozpoznawczy dżentelmena. Okaż hart ducha i nie bierz sobie do serca tych opinii. Wierz mi, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Choć pszczoły w naszym ogrodzie przenoszą pyłek między różnymi kwiatami, nie widzimy, żeby dalej i ostróżki albo geranium i goryczka krzyżowały się z sobą. Dlaczego? Ponieważ mają zupełnie inną naturę. Z chłopcami jest tak samo. Każdy ma inną naturę. A twoja, panie Bridgeman, jest naturą historyczną. Jako baczni obserwatorzy świata uznajemy te ograniczenia za dobre, prawda? Gdyby nie one, kwiaty utraciłyby swoją tożsamość i w przyrodzie zapanowałby straszliwy zamęt, Jonathan zastanawia się przez chwilę nad słowami doktora.

- Historia jest w porządku, proszę pana.

- Takie podejście mi się podoba. A teraz możesz iść i rozpakować Swoje rzeczy.

*

Trzy tygodnie dzielące go od rozpoczęcia roku szkolnego Jonathan spędza w bibliotece albo asystując doktorowi Noble'owi w szklarniach. Posypuje piaskiem i pędzluje spróchniałe drewno, uczy się, jak zraszać rośliny tropikalne o wschodzie i zachodzie słońca. Wygląda na to, że Noble polubił nowego ucznia. A jeśli nie jest to sympatia, to przynajmniej zainteresowanie. Kiedy Jonathan śmieje się albo gestykułuje, doktor uważnie mu się przygląda. Jakby analizował w myślach jego rodowód, cofając się aż do form roślinnych, z których wziął początek.

Pewnego popołudnia Jonathan pomaga dyrektorowi przy mikroskopijnych nasionkach. Umieszcza je w galaretowatej mazi, pakuje do butelek z zatyczkami i mówi do nich tym samym, co on, pieścizotliwym tonem, tak różnym od szorstkiego tonu przybieranego przez doktora w rozmowach z ludźmi. Te orchidee będą prawdziwymi cesarzowymi. To królowe nocy, hurysy i boginie w jednym, zniewalające „Madonny dżungli o czarnych piersiach”. Noble chyba zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że obnaża przed chłopcem swoje wewnętrzne, pełne zmysłowości życie.

Wieczorem Jonathan spaceruje po terenie otaczającym szkołę i pali przemycone papierosy, ciasno spowity wakacyjną ciszą. Chopham Hali trwa w nerwowym oczekiwaniu. Pierwszego dnia roku szkolnego eksploduje życiem.

Z nastaniem świtu kaszłacy Briggs człapie w stronę frontowego wejścia. Przez godzinę jest jeszcze cicho. Potem w oddali narasta złowrogi turkot. Ku Chopham Hali zmierza kawaleria zmotoryzowana. Przed podjazdem zatrzymuje się konwój rodzicielskich aut, które wypływają z wnętrza srogich ojców, zapłakane matki w lisach, ich synów, szoferów, służących i psy w kłębowisku kijów do krykieta i mnóstwa pakunków. Po jakimś czasie ojcowie pakują matki z powrotem do samochodów i odjeżdżają. Żarty się kończą. Trzeba wciągnąć ciężkie walizy po schodach. Małych chłopców przegania się z sypialni do łazienki, do kaplicy, na śniadanie, do klasy, na apel, a starszych na boiska, na musztrę z drewnianymi karabinami albo ustawia się naprzeciw siebie, każąc siłować się i przepychać. Chaos nadzorują nauczyciele, których czarne czapki i togi upodabniają do stada kruków, oraz starostowie, sadyści w kamizelkach, wyczuleni na najdrobniejsze przejawy niesubordynacji. Jonathan wkrótce przekonuje się, że w tym zamkniętym świecie to oni są prawdziwymi przełożonymi i że on, nowy szóstoklasista, jest w tym gronie podejrzaną anomalią.

Internatem, w którym Jonathan ma zaszczyt zamieszkiwać, dowodzi niejaki Fender-Greene, jasnowłosy drab z rzadkim wąsikiem i jaskrawozielonym krawatem z jedwabiu, symbolami uprzywilejowanej pozycji. Wzywa Jonathana do swojego pokoju.

Najpierw miażdży mu dłoń w uścisku, po czym wygłasza krótką przemowę. Jej sens sprowadza się do stwierdzenia, że bez względu na to, jakie życie Jonathan wiódł do tej pory, teraz będzie częścią czegoś o wiele ważniejszego, w związku z czym musi stosować się do zasad obowiązujących w internacie. Fender-Greene bierze głęboki wdech i krzyczy: „Do mnie!”. W otwartych drzwiach staje zdyszany jedenastolatek z herbatą. Kiedy chłopiec ze szczękiem rozstawia filiżanki i spodeczki, Fender-Greene obrzuca go władczyim spojrzeniem.

- Świetny mały, co? Czyści też buty i robi wspaniałe omlety.

Po herbacie Fender-Greene przedstawia Jonathana reszcie mieszkańców internatu. Po prezentacji chłopcy biją mu brawo i śpiewają:

Niestraszne nam przeszkody,
niestraszne nam żywioły.
Cel jasny nam przyświeca:
rozdanie imię szkoły.

Fender-Greene i jego pomocnicy szybko tracą zainteresowanie jego osobą i zabierają się do znęcania nad małymi nowicjuszami. Jonathan wycofuje się w kierunku schodów.

Na górze zastaje ciemnowłosego młodzieńca, wygrywającego jakąś melodię na zdeformowanej gitarze. Przynależna mu część pokoju w nadprzyrodzony sposób zapelniła się książkami i zdjęciami oraz nietypowymi przedmiotami w rodzaju maszyny do pisania i brązowego popiersia mężczyzny o szpiczastej bródce. Na widok Jonathana chłopak przerywa grę i wyciąga dłoń na powitanie.

- Cześć. Jestem Gertler i jak się na pewno zorientowałeś, jestem Żydem.

- Bridgeman. Jak się masz?

- Nie musisz tego lubić, ale ja lubię - mówi Gertler, ponownie sięgając po gitarę.

- Mnie to nie przeszkadza.

- No to będzie nam łatwiej.

Gertler wraca do szarpania strun. Ćwiczy te same akordy i ze złością bije pięścią w pudło, gdy zawodzą go palce.

- A ty kim jesteś?

- Nie rozumiem.

- Przypuszczam, że anglikaninem. Jonathan kwituje te słowa milczeniem.

- Kto to? - pyta po chwili, wskazując głowę z brązu. Po twarzy Gertlera przebiega uśmiech.

- Towarzysz Władimir Iljicz Lenin. Ja też jestem komunistą. Jeśli chcesz, możesz zmienić pokój. Pewnie ci pozwolą, a mnie wszystko jedno. Fender-Greene i tak chce się mnie pozbyć. Stary Hoggart trzyma mnie tu tylko dlatego, że mam bogatego ojca.

- Skoro masz bogatego ojca, czemu jesteś komunistą?

- Równie dobrze mógłbyś spytać, czemu żyję. Wierzę, że wszyscy powinni być równi. Pieniądze nie powinny mieć znaczenia. Mają, a nie powinny. Niespodzianka, co?

- Niespodzianka?

- Takie słowa w ustach Żyda.

Jonathan nie rozumie. Gertler posyła mu szyderczy uśmiech.

- Ty w coś wierzysz?

- Nie - przyznaje Jonathan. Gertler prychnął i wraca do gitary.

I tak zaczyna się szkolne życie. Rok w Chopham Hali upływa Jonathanowi pod znakiem numerków i list. Szkoła jest fabryką wytwarzającą poczucie przynależności. Wszystko odbywa się w grupach, od porannego przysznica po pisanie rozprawek w trakcie wieczornego odrabiania lekcji. Każdy gest Jonathana w ciągu dnia jest ograniczony do funkcjonalnego minimum, wypracowanego w ciągu dwustu lat ewolucji szkoły. Ulepszona wersja systemu fabrycznej produkcji w wydaniu pana Taylora. Nawykły do całkowitej wolności, Jonathan często zastanawia się, ile jeszcze zdoła tu wytrzymać. W notesie zapisuje: „angielskość = identyczność” i „komfort jednostajności”.

Numerki i listy: lista obowiązujących w szkole zasad, lista nauczycieli, lista starostów, lista pierwszej jedenastki i piętnastki, lista szkolnych barw, lista miejsc zakazanych, lista dat angielskiej wojny domowej i lista jej przyczyn. Każdą z nich Jonathan powinien recytować na wezwanie. Czasem mu się udaje. Czasem nie. Kara, jaką ponosi za pomyłkę, jest znacznie łagodniejsza niż w przypadku pierwszoklasistów, którzy dostają różgi za nieopatrzne umieszczenie wąskiego złotego paska w barwach drużyny rugby średnich klas albo danie pierwszeństwa panu Russellowi przed panem Hoggartem w hierarchii grona pedagogicznego.

Pan Hoggart to ów krzykliwy mężczyzna z poczerwieniałą twarzą. Złe wrażenie po pierwszym zetknięciu z Jonathanem pozostało. A ponieważ pan Hoggart jest zwierzchnikiem internatu, stanowi to pewien problem.

- Bridgeman! Co to ma znaczyć?

- To, proszę pana? Buty, proszę pana.

- Buty, proszę pana? Buty! Nie! To wykroczenie! Naruszenie regulaminu!

- To lakierowana skóra, proszę pana. Kupiłem w Londynie.

- Regulamin szkoły! Strój! Wszelka ekscentryczność stroju jest niedozwolona. Mają zniknąć, Bridgeman. Zniknąć.

Przed poważnymi tarapatami ratuje Jonathana fakt, że mimo marnych osiągnięć, Gertler i tak jest zawsze gorszy od niego. Jonathan miewa problemy z mundurkiem, właściwą postawą, zaangażowaniem, zrozumieniem i innymi ważnymi przymiotami, dzięki którym internat odiera ataki barbarzyńskich hord oblegających twierdzę. Tymczasem Gertler aktywnie spiskuje, by barbarzyńców wpuścić. Podczas odrabiania lekcji czyta Marksa, odmawia udziału w zajęciach z przysposobienia wojskowego i choć zwolniony z nabożeństw, wszem i wobec głosi śmierć Boga i opanowanej przez upiory Europy. Tym ściągnął na siebie nienawiść Fender-Greene'a i stał się obiektem szykan ze strony pozostałych mieszkańców internatu (za cichym przyzwoleniem Hoggarta). Koledzy zalewają mu książki atramentem, pluja na jedzenie przed podaniem talerza, podstawiają nogę, a od czasu do czasu Fender-Greene znajduje powód, żeby zafundować mu chłostę. Za każdym razem nie posiada się z wściekłości, gdy Gertler reaguje śmiechem na świst różgi w powietrzu.

Jonathan skrzętnie notuje: „Dyscyplina uszlachetnia; szacunek dla religii, ale wiara nieobowiązkowa; sprawdzać talerz przed jedzeniem”, jego notatki dotyczą wszystkich sfer szkolnego życia, od zasad rugby po zasady przyrządzania kanapki z dżemem. Tydzień po tygodniu rozumie coraz więcej z otaczającego go świata, a białe plamy na mapie zapełniają się drózkami i punktami orientacyjnymi.

Kurs historii byłby dla Jonathana całkiem użyteczny. Pozwoliłby mu uzupełnić synchroniczne zrozumienie istoty angielskości zrozumieniem diachronicznym. Niestety, podczas sennych lekcji pan Fox, namiętny palacz fajki i niedzielny malarz, przedstawia historię nie tyle jako łańcuch zmian, ile wieczną powtarzalność. W jego ujęciu historia ojczystej wyspy to seria patetycznych obrazów, podniosłych momentów pozwalających zrozumieć sedno, zasady i aksjomaty stworzone przez ten naród. Od Drake'a klęczącego przed królową Elżbietą po zgromadzenie na polu Runnymede, od Wolfe'a w Quebecu po koronację Wiktorii na cesarzową Indii, pan Fox maluje przeszłość jako magmę potężnych, lecz nieefektywnych sił, które czasem nabierają przejrzystości, zastygając na moment w statycznym układzie połyskliwych twarzy i imponujących draperii. W modelu historii pana Foxa nawet ostatnia wojna, która zabrała jego uczniom wujków i starszych braci, podlega temu dualizmowi. Walka przypominająca sportową rywalizację, przeplatana długimi okresami wyczekiwania w błotnistych okopach. Bitwy i następująca po nich próba cierpliwości. Olejno-werniksowy patos zastygłych w bezruchu ciał. Maki na polach bitewnych Flandrii.

Historia, jak i dzień wręczania nagród, ma dawać impuls do dalszego działania, „do osiągnięcia sukcesów w świecie po ukończeniu szkoły”. A absolwenci Chopham Hali odnoszą sukcesy w dziedzinach tak różnych, jak bankowość czy prowadzenie rancza w Argentynie. Jednak wzniosłą tradycją szkoły, jeśli w ogóle można tu mówić o tradycji, jest przygotowanie chłopców do służby w koloniach. W porannych mowach Hoggart lubi wymieniać miejsca, w których służyli uczniowie. Złote Wybrzeże. Hongkong. Bengal. Birma. Kapsztad. Bermudy. Pod obcym niebem cnota wiedzy, cierpliwości i męstwa nabytego w grach zespołowych pomaga utrzymać brytyjską dominację w świecie. To dla Imperium trzeba popierać nowych starostów i dać z siebie wszystko, by w rozgrywkach pokonać chłopców Frobishera i Hawkinsa.

Nieobecność Bridgema na boisku szybko daje się zauważyć. W tym względzie idzie w ślady Gertlera. Jako ktoś, kto w Chopham Hali przygotowuje się tylko do pójścia na uniwersytet, Jonathan ma specjalny status, jednak ani Hoggart, ani Fender-Greene nie mają zamiaru mu tego uświadamiać. Jonathan wzbudza ich podejrzliwość. Jego jedynym plusem jest chęć do nauki, sama w sobie równie podejrzana. Jest w tym coś semickiego. Jakaś zachłanność i nadmierna gorliwość.

Z nadejściem ferii zimowych nad głową Jonathana gromadzą się chmury.

Sam Jonathan, nieświadom niczego, spędza pod okiem pana Spavina zimne i nudne Boże Narodzenie w Londynie. Czuje, że obawy pierwszych miesięcy są już za nim. Przestaje żyć w ciągłym strachu przed zdemaskowaniem. Staje się kimś, kogo udaje. Prawda jest tak niewiarygodna, że mimo dziwactw i sporadycznych potknięć Jonathana, nikt jej nie odkryje. Jonathan i jego cień zaczynają się schodzić.

*

Semestr wiosenny zaczyna się spokojnie. Przez kilka tygodni Jonathan jest zadowolony, nawet uradowany swoimi postępami. Starania o Oksford idą gładko. Prace egzaminacyjne zostają wysłane do dobrego przyjaciela doktora Noble'a, który w Barabbas College odpowiada za przyjęcie nowych studentów. „Omów błędy - jeśli takowe popełniono - w rozwiązywaniu kryzysu amerykańskiego w 1770 roku”. „Skomentuj następujące stwierdzenie: «Złoto, nie wojenne męstwo, legło u podstaw hiszpańskiej potęgi w XVI wieku»,. Wypływa sprawa greki (a raczej nieznamości greki). Temat zostaje omówiony i zamknięty. Krótkie oczekiwanie i wreszcie nadchodzi informacja, że kilku uczniów doktora, wśród nich Jonathan Bridgeman, spodziewanych jest w Barabbas wraz z początkiem semestru po świętym Michale. Zwyczajowa butelka czerwonego wina przechodzi z rąk do rąk i doktor Noble może już zasiać do pisania listów gratulacyjnych do rodziców i opiekunów.

Życie Jonathana jest lżejsze od powietrza. Jonathan wznosi się ku górze po łuku doskonałym. Pewnego popołudnia w drzwiach jego pokoju staje mały zadyszany posłaniec.

- Cześć, Bridgeman. Mam dla ciebie wiadomość.

Jonathan, grający rolę władczego ucznia starszej klasy, opuszcza książkę i wzdycha na znak niewysłowionej nudy.

- Czego?

- Dyrektor szkoły mówi, że przyjechała twoja stryjeczna babcia i czeka w jego gabinecie.

Jonathan chyba się przesłyszał.

- Kto?

- Twoja stryjeczna babcia, Bridgeman. Przepraszam, czy zrobiłem coś nie tak?

Gertler gwałtownie szarpie struny bałałajki.

- Co ci jest, Johnny?

- Nic.

- Nie wiedziałem, że masz babcie.

Jonathan też nie wiedział. Pan Spavin nigdy o niej nie wspominał. Był przekonany, że krewni nie żyją. Co powiedział tamten Bridgeman? „Ostatni z rodu, stary”. Jonathan wydaje z siebie jęk. Powinien być przygotowany na taką niespodziankę. Usiłując uporządkować myśli, wywleka chłopca z pokoju i ciągnąc go w stronę pokoiów dyrektora, każe powtórzyć, co mówił Noble. Słowo w słowo. Z przejścia brak mu tchu. Mały posłaniec skamle: „Nic, Bridgeman, nic, naprawdę”. Wleczony siłą, potyka się o własne nogi w wypolerowanych szkolnych trzewikach. „Bridgeman, to nie ja. Bridgeman, on naprawdę nic nie powiedział. Au!

Bridgeman, to boli”, i tak przez cały czas aż pod drzwi dyrektora, gdzie do Jonathana wreszcie dociera, że chłopiec rzeczywiście nic nie wie, a na dodatek jest tak przerażony, że lada moment zsika się w spodnie. Jonathan puszcza go wolno. Mały posłaniec zmyka co sił w nogach, rozcierając po drodze ramię.

Jonathan puka do drzwi i natychmiast tego żałuje. Gospodyni dyrektora prowadzi go wprost do salonu. Mózg i ciało Jonathana krzyczą: „Jeszcze nie! Za szybko!”. W salonie siedzi wiekowa dama, zakutana w przedwojenną krepe, w zapleśniałym kwiecistym kapeluszu na głowie przypominającej ziemniaka. Ta głowa i małe wąskie oczka były znakiem rozpoznawczym Bridgema. Tego prawdziwego.

- Dzień dobry, Jonathanie - mówi.

Wiele czasu minęło, odkąd poprzedni Jonathan Bridgeman gościł w jego myślach. Często wydaje mu się, że Bridgeman i on zawsze byli jedną i tą samą osobą. Obecność ciotki ojca z miejsca rozwiewa tę iluzję, a wraz z nią pozbawia go indywidualności, duszy, zdolności mowy i działania. Jonathan stoi w drzwiach salonu, niezdolny do zrobienia ani jednego kroku więcej. Otwiera i zamyka usta w daremnym wysiłku powiedzenia czegoś czarującego. Oczy utkwione w nim przypominają dwa czarne guziki.

- Dzień dobry - odpowiada w końcu. - Ciociu - dodaje.

- Ciociu Berthildo - mruczy ciotka nieprzyjemnie. - Nie pamiętasz mnie. Chodź i pocałuj mnie na powitanie.

Kiedy Jonathan pochyla się nad upudrowanym policzkiem, czuje stęchliznę bijącą od ubrań ciotki. Mimowolnie wyobraża sobie, że była w nich stopniowo mumifikowana. Owijano ją nową warstwą cieniutkiej zielonej tkaniny za każdym razem, gdy stara zaczynała się przecierać.

- Jonathan - mówi z niedowierzaniem w głosie - nie jesteś podobny do naszej rodziny. My, Bridgemanowie, mamy pełne twarze, dyrektorze. Saksońskie twarze.

- Fascynujące - mówi doktor Noble. - Napije się pani herbaty?

- Herbaty? Jak pan może? To przez nią jego ojciec... Taka tragedia. Herbata, też coś!

- Oczywiście. Bardzo przepraszam.

Dla doktora Noble'a wizyta ciotki jest niemal równie przykra, jak dla Jonathana. Do zapachu dochodzą jeszcze niezdyscyplinowane samogłoski ślizgające się po całym podniebieniu starszej damy i dziwaczny zwyczaj szeleszczenia sztywną suknią przez ciągle poruszenia w fotelu. Choć jest kobietą, nie przypomina kwiatu, nie mówiąc już o orchidei. Tak naprawdę jest raczej irytująca.

- Do matki też nie jesteś podobny - ciotka kontynuuje wątek rodzinny, przyglądając się

chłopcu, który po powitalnym całusie znów wycofał się ku drzwiom. - Sądząc z fotografii, nie była biedaczka zbyt urodziwa.

- Z fotografii? - powtarza Jonathan słabym głosem.

- Tak. Mam jedną ze sobą. - Ciotka zaczyna szperać w przepastnej torebce. Wyjmuje chusteczki, buteleczki z pastylkami, groźnie wyglądające nożyczki fryzjerskie oraz mnóstwo innych osobistych drobiazgów, które układa w mało apetyczny stos na okolicznościowym stoliku doktora Noble'a.

- O, mam.

Pokazuje zniszczony portret rodzinny. Młoda kobieta o ziemistej cerze kołysze na kolanach puciołowate niemowlę z głową jak kartofel.

Za fotelem stoi młody mężczyzna z niepewną miną. Jego głowa też przypomina kartofel. Guziczki oczu dziecka mają oskarżycielski wyraz.

- Byłeś milutki - mówi ciotka.

- Tak - chrypi Jonathan.

- Wiesz, właściwie to ja wychowałam twojego ojca. Byłam jego ulubioną krewną. Pewnie opowiadał ci jakieś historie?

Jonathan milczy, więc ciotka Berthilda opowiada jedną sama. Bridgeman senior siadał Nanie na kolanach, a Nana połała go dżinem ze swojej szklaneczki jak dorosłego.

- Czarujący obrazek - mówi doktor Noble. - Rodzina znowu razem. Muszę przyznać, panno Bridgeman, że jestem tym zaskoczony. Sprawami Jonathana zajmuje się doradca prawny.

Ciotka Berthilda robi przebiegłą minę.

- Tak - mówi.

Noble przybiera wyraz twarzy, który w „Przewodniku po mimice dla dżentelmenów” (gdyby takowy istniał) ilustrowałby hasło „krzywe spojrzenie”. Słychać szelest sukni. Ciotka Berthilda wierci się znacząco w fotelu.

- Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać z Jonathanem na osobności?

Z widoczną ulgą doktor Noble proponuje im spacer po terenie wokół szkoły. Starsza dama łapie Jonathana za ramię. Nawet na powietrzu roztacza wokół siebie zapach stęchlizny. Gdy są już w pewnej odległości od budynku, a dźwięk otwieranych przez gospodynię okien jest prawie niedosłyszalny, ciotka Berthilda zdradza cel swojej wizyty.

- Twój ojciec bardzo mnie lubił, Jonathanie. To naturalne, że mam dla ciebie wiele uczucia, choć nigdy się nie spotkaliśmy. Myślę o tobie jak o własnym dziecku. Co rodzina, to rodzina, prawda?

- Tak, ciociu Berthildo.

- Nana. Twój ojciec nazywał mnie Nana.

- Tak. Dobrze. Nana.

- Dobry chłopiec. Twój ojciec nie zniósłby tego, gdyby wiedział, jak mnie potraktowali. Mój brat, a twój dziadek, był okrutnym człowiekiem. Bardzo źle myślał o ludziach. To przecież było moje dziecko! Ile to już lat! Panu Coxowi i mnie - większość ludzi zna mnie jako panią Cox, choć nigdy nie wzięliśmy ślubu - dobrze szło z pensjonatem, póki on nie umarł. Prawda jest taka, Jonathanie, że nie powinni byli mnie posyłać w takie miejsce. Nie powinni. Wiesz, jak trudno dziś o dobrych stołowników. Pojawiasz się tu znikąd ze wszystkimi pieniędzmi, jakie zostawił ci ojciec, a mnie, jego ulubionej krewnej, nie stać nawet na trzymanie służącej, która przyszlaby raz w tygodniu i zmyła podłogi. - Ciotka zawiesza znacząco głos. - Mamy tylko siebie, Jonathanie.

Jonathan nie wierzy własnym uszom.

- Chcesz pieniędzy?

- Po co od razu tak obcesowo? Troszkę, żeby mogła zacząć od nowa. Kiedy zamykam oczy, widzę piękny mały domek na promenadzie na klifach i siebie, jak kołyszę swojego aniołka w ramionach.

- Nie mam pieniędzy. Pan Spavin nimi zarządza, póki nie skończę dwudziestu jeden lat. Ciotka Berthilda spluwa na ścieżkę.

- Samuel Spavin. Zawsze Samuel Spavin. Ten człowiek jest do mnie źle nastawiony, Jonathanie. To niedobry człowiek. Więc on ma twoje pieniądze, tak? A gdybyś zamienił z nim słówko, gdybyś mu wspomniał, że jestem twoją ciotką, a twój ojciec mnie kochał? Mógłbyś?

- Co to znaczy, że jest do ciebie źle nastawiony?

- Głupia sprawa, Jonathanie. Oni wszyscy są okrutnymi ludźmi.

- O czym ty mówisz?

- Wszystko, co zrobiłam, to przycisnęłam ją za mocno. Nie było powodu, żeby mnie wysyłać w takie miejsce!

W tym momencie Jonathan doznaje niewypowiedzianej ulgi. Bez względu na to, kim ciotka Berthilda jeszcze się okaże (a kilka ewentualności budzi jego niepokój), na pewno jest niespełna rozumu. Być może tego rodzaju konkluzję zawsze daje się łatwo wyczytać z twarzy. A może ciotka Berthilda jest po prostu spostrzegawcza. Tak czy owak, coś w Jonathanie nagle budzi jej podejrzliwość.

Nawet kiedy rzuca się na niego, Jonathan nie przestaje szczerzyć zębów. Ciotka jest szalona, więc nic mu nie grozi! Drap, Berthildo! Lamentuj, Berthildo! Ciotka złorzeczy coś bez

ładu i składu, zdumiewająco silnymi palcami szarpie mu skórę twarzy, a jej sztywna suknia oplątuje jego mundurek, wydając iście radiowe trzaski. Przez trawnik biegną z odsieczą nauczyciele i chłopcy. Kiedy dwaj trenerzy rugby konwojują ciotkę poza obręb szkoły, Berthilda miota zniewagi. W jednym z przeblysków świadomości, jakie zdarzają się szaleńcom, krzyczy: „To nie moja rodzina! To nie moja krew!”.

Doktor Noble pyta Jonathana, czy wszystko w porządku. Jonathan odpowiada, że tak i dziękuje za troskę. Doktor Noble mówi, że to (ma na myśli ciotkę Berthildę) bardzo przykre. Jonathan przyznaje mu rację. Po tej wymianie uwag doktor Noble uważa swój duszpasterski obowiązek za spełniony i umieszcza ciotkę Berthildę w torbie z tematami tabu, którą każdy Anglik dźwiga z sobą niczym listonosz. Tydzień później Jonathan dostaje list od pana Spavina. Pan Spavin radzi, by więcej nie kontaktował się z ciotką Berthilda. On ze swej strony kiedyś umieścił ją w pewnym zakładzie na półwyspie Gower. Píše, że to była nieprzyjemna historia. Może nie powinni byli wysyłać jej w takie miejsce.

Typowo angielski sposób działania: linearny i progresywny, napędzany tradycją i dobrymi manierami. Słuchaj rad, a będziesz ślizgać się po powierzchni w nieskończoność, z błogosławieństwem społeczeństwa. Zlekceważ je, a roztrzaskasz się o ścianę.

Podanie Paula Gertlera o przyjęcie do Cambridge zostało odrzucone.

Idą z Jonathanem zamarzniętą ścieżką nad rzeką. Pod stopami trzeszczy śnieg. Gertler przekonuje Jonathana, że to nie ma znaczenia, że wszystkie stare uniwersytety to elitarne instytucje. Jonathan mówi, że bardzo mu przykro. Gertler roztacza przed nim wizję świata po Rewolucji, kiedy to wszyscy ludzie pracy będą mieć dostęp do edukacji i zapewnioną opiekę państwa. Obaj wytrząsają papierosy z paczki i stoją zgarbieni z wolną ręką wciśniętą w kieszeń palta. Ich oddech tworzy z dymem papierosów białe pióropusze. Zima zdumiewa Jonathana. Srebrzysta warstewka na liściach i biała okrywa płaskich przestrzeni Norfolku utrudnia koncentrację na utopii Gertlera. W notesie w wewnętrznej kieszeni przybyły nowe hasła: „kolędy” i „jazda na łyżwach”.

- Mam samochód - mówi nagle Gertler bez związku z tematem. - Stoi zaparkowany w warsztacie.

- Żartujesz.

- Nie. To samochód mojego ojca. Pewnie nawet nie zauważył, że go nie ma.

- Co chcesz zrobić?

- Co powiesz na Londyn?

Po chwili Gertler już kładzie na kierownicy dłonie w wełnianych rękawiczkach. Ruszają opatuleni szalikami, w kapeluszach wciśniętych głęboko na oczy. Samochód jest

przestronny i okazały. Przedwojenny wolseley. Mężczyzna z warsztatu dostał od Gertlera gwineę za garażowanie. Teraz patrzy z założonymi rękami i nieodgadnioną twarzą, jak odjeżdżają. Reflektory tworzą na oblodzonej drodze dwa rozchwiane kręgi światła. To jedyne świetlne punkty w morzu ciemności. Jazda dostarcza wielu emocji. W pewnej chwili wpadają w poślizg i lądują na żywopłocie. W okolicach Colchester zaczyna padać śnieg. Kiedy docierają do rogatek Londynu, są przemarznięci i zmęczeni. Niskie domy z cegieł mijają w całkowitym milczeniu. Dopiero gdy przed nimi zaczynają majaczyć sylwetki coraz wyższych budynków, a ulice są coraz bardziej rozświetlone, odzyskują humor i zastanawiają się, co będą robić.

Kawa i kanapki na postoju gdzieś w Islington. A potem...

WEST

END!

tętniący życiem przez całą dobę. Parkują samochód obok pubu Coach and Horses, dają nura do baru, potem przepraszam, przepraszam,

z kufłami wysoko nad głową przeciskają się przez tłum, znajdują odrobinę miejsca pod filarem, mielibyście ochotę? nie, dzięki, jak chcecie, z powrotem na ulicy, ludzie w drzwiach, muzyka dobiegająca z suterenu, synkopujące dziewczęta z uśmiechem zapraszają do mieszkania przy Shepherd's Market, ale najpierw chcą iść gdzieś na drinka, na przykład do Egyptian Room, poczekacie na nas?, to bardzo nowoczesne miejsce, bardzo amerykańskie, och, zresztą, co wy możecie wiedzieć o Ameryce, a potem nagle znajdują się nie wiadomo jak obok dzwonu Matki Taylor, dziewczęta zniknęły portfel, kapelusz i inne rzeczy Paula też, ludzie odpłynęli z lodowato zimnych ulic niczym krew z otwartej rany.

Gertler krzyczy: „Do diabła z wami! Do diabła!” w stronę okien kościoła św. Jakuba. Aresztują ich, jeśli Jonathanowi, który pił z większym umiarem, nie uda się go przekonać, że muszą być w szkole na śniadaniu, a to znaczy, że muszą natychmiast jechać. „Chodź już, Paul, no chodź”. Jonathana nawiedza myśl, że z każdą minutą zwłoki gromadzi się nad ich głowami zła energia. Z perspektywy czasu będzie widział tę chwilę jako początek końca swojego przyjaciela. W drodze powrotnej do Soho Gertler zabawia się kopaniem kosza na śmieci, który z łoskotem toczy się po Beak Street. Jonathan wciska mu do ręki kluczyki i każe ruszać. Gertler posłusznie wykonuje polecenie.

Droga powrotna do Norfolk obfituje w chwile grozy. Gertler jest tak pijany, że głowa co chwila opada mu na kierownicę. Co parę minut są o włos od katastrofy - zderzenia z wozem mleczarskim czy skręcającą taksówką. Jonathan jest zdumiony, że w ogóle udało im się wyjechać z miasta.

- Wszyscy mnie nienawidzą - mówi Gertler gdzieś w Essex, gdy w końcu lądują na drzewie, Jonathan ma wrażenie, że stracił przytomność na parę sekund, może minutę, a kiedy otwiera oczy, Gertler wciąż mówi, jakby nic się nie stało. - Wszyscy. Jak myślisz, czemu? - pyta.

Z rozciętego czoła Gertlera krew płynie strużką do lewego oka. Szyba jest rozbita, przedni zderzak wolseleya zgruchotany, ale silnik

ciągle pracuje. Ani Gertler, ani Jonathan nie odnieśli poważniejszych obrażeń. Kilka minut później, mimo wiatru wdzierającego się do wnętrza przez puste miejsce po szybie i mimo zaschniętej krwi na twarzy Gertlera, wszystko mogłoby wydawać się snem.

Kiedy docierają do Chopham Constable, odświętnie ubrany mężczyzna z warsztatu zdziwionym wzrokiem patrzy na dwóch sponiewieranych chłopców w rozbitym samochodzie. Jonathan i Gertler zostawiają mu wóz i wędrują wzdłuż kruszącego się muru w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca, przez które mogliby się dostać na teren szkoły. Niedzielny poranek na wsi. Ptaki rozświergotane na wysoką nutę niczym orkiestra jazzowa. Jonathan jest już w połowie muru, gdy widzi jakąś postać obserwującą ich spomiędzy drzew. Cherubinkowata buzia okolona kasztanowatymi lokami, bystre, szelmowskie oczy. Nie ma najmniejszych wątpliwości. To Waller, internatowa kokota.

Gdy Gertler ląduje obok i przewraca się, mrużąc coś pod nosem, Jonathan wskazuje palcem w tamtym kierunku. Waller wie, że został zauważony, i daje nura w krzaki. Po chwili jego sylwetka miga już między drzewami. Gertler puszcza się w pogoń, wyrzucając z siebie stek przekleństw. Przerażony Jonathan patrzy, jak dopada młodszego chłopca i powala na ziemię. Zły pomysł. Bardzo zły pomysł. Waller jest protegowanym Fender-Greene'a, a Gertler okłada go bez opamiętania. Chłopiec wije się na ziemi w zbutwiałych liściach, pluje i charczy: „Dorwę cię, dorwę cię”, gdy Gertler klęczy mu na piersi i bije po twarzy. Jonathan rzuca się ku nim i odciąga przyjaciela. Obaj patrzą, jak Waller wlecze się w stronę szkoły z chusteczką przytkniętą do krwawiącego nosa. Kiedy jest już dość daleko, zaczynają obrzucać się oskarżeniami. Potem ramię w ramię, choć bez słowa, ciężkim krokiem wracają do internatu.

Kłopoty nie każą na siebie długo czekać. W porze lunchu zjawia się mały posłaniec i wzywa na spotkanie z Fender-Greene'em. Ten, dla podkreślenia powagi sytuacji, przyjmuje ich w swoim pokoju z okazałym złotym zegarkiem na ręce i w nowym krawacie. Szczęściem dla nich, mimo podejrzeń potrafi im udowodnić jedynie to, że naruszyli zasady. Chodzi o znęcanie się nad słabszymi. „Typowe dla ciebie, Gertler. Takie niechrześcijański e”. Jonathan jest skruszony, Paul obojętny. Utrata przywilejów i chłosta zdają się zamykać sprawę. Ale to tylko pozory. Jonathan dobrze wie, że skrzywdzili jednego z największych pupilków

Fender-Greene'a, chłopca, który pełni dla niego osobiste posługi i umie go zadowolić. Poza tym Waller nie jest zwyczajnym faworytem. To Theda Bara internatu, trująca egzotyczna roślina, która stała się już przyczyną wyrzucenia dwóch starszych chłopców. Toleruje się go ze względu na opiekę Fender-Greene'a i istnienie nagrody za zasługi dla szkolnego teatru, ufundowanej ostatnio (w wielkim pośpiechu) przez ojca.

Waller to niebezpieczny przeciwnik i w połączeniu z Fender-Greene'em nie można go lekceważyć. Jonathan na próżno usiłuje przestrzec Gertlera. Paul zachowuje się, jakby nie miał nic do stracenia. Przestaje chodzić na zajęcia, odmawia noszenia krawatu, a kilka następných dni spędza na opowiadaniu o stepach, wódce i upadku plutokracji, mieszając Rosję i komunizm, aż stapiają się w jedną całość, w wolny kraj, gdzie nie ma mrozu, szkoły i Fender-Greene'a. Gertler nigdy nie był w Rosji. Pojechałby jutro, gdyby tylko mógł. Jonathan słucha w milczeniu i stopniowo zamyka się w sobie. Przynajmniej jeden z nich powinien być czujny.

Pierwszy ruch Fender-Greene'a następuje parę dni później z samego rana. Jonathan stoi w łaźni, dygocząc pod leniwym strumieniem zimnej wody. Nagle spod sąsiedniego prysznica dobiega jakiś dźwięk. Jonathan odwraca się zaskoczony i widzi Wallera, który pojawił się znikąd, a teraz patrzy mu w oczy i mydli wzwidziony członek, lubieżnie wydymając wargi. Kiedy Jonathan mruga zalanymi wodą oczami, Waller podchodzi bliżej i robi ruch, jakby chciał go pocałować. Na wpół śpiący Jonathan gwałtownym ruchem odpycha od siebie chłopca i chwyta ręcznik. W samą porę. Do środka wpada Hoggart w towarzystwie dwóch starszych uczniów. Teraz widać jak na dłoni, że cała rzecz została ukartowana. Na widok Bridgemana i Wallera po przeciwnych stronach łaźni Hoggart jest wyraźnie rozczarowany. Mimo to wygłasza przemowę o Niemoralności, Czystości Obyczajów i Grzechu, machając Jonathanowi palcem przed nosem i osaczając cuchnącym oddechem. „Coś z tobą nie tak, Bridgeman, chociaż doktor Noble twierdzi inaczej. Coś nie tak”.

Gertlerowi dano trzy dni. W sobotę tuż przed lunchem Jonathan wpada do pokoju i widzi poszarzałego na twarzy przyjaciela klęczącego obok walizy. Pomagierzy Fender-Greene'a stoją mu nad głową. Gertler kładzie popiersie Lenina na bezładny stos ubrań i papierów.

- Sprawdź swoje rzeczy, Bridgeman - mówi Porter, wyższy z pomagierów. Po fasonie kamizelki i kształcie wąsów widać, że wzoruje się na swoim znakomitym przywódcy. - Na wypadek, gdyby ten cholerny żydek coś ci ukradł.

Jonathan patrzy na Gertlera. Ten wzrusza ramionami.

- Sprawdź, jeśli chcesz.

- Nie bądź idiotą.

Gertler ma zaczerwienione oczy. Wygląda, jakby niedawno płakał.

- Twoja strata - wtrąca Porter. Stojący przy oknie Manning parska śmiechem.

- Mówią, że ukradłem Wallerowi pięciofuntowy banknot z portfela - mruczy Gertler.

- My nic nie mówimy - rzuca szyderczo Manning. - Znaleźliśmy tę forszę u ciebie.

Przeklęty złodziej.

- Co teraz będzie? - pyta Jonathan.

- Już się stało. Briggs odwozi mnie na stację na pociąg o czwartej.

- Pomogę ci. Pójdę do doktora Noble'a. Gertler wygląda na śmiertelnie znużonego.

- To na nic - mówi.

Jonathan nalega. Pełen determinacji idzie w stronę kwater doktora Noble'a, lecz po drodze zwalnia kroku, waha się. To chyba nie było najmądrzejsze posunięcie. Może Gertler chce być outsiderem. Obnosi się z komunizmem jak z odznaką. Jego rodzina ma pieniądze. Na pewno nie spotka go nic złego. Jonathan nie chce zwracać na siebie uwagi. Powinien wtapiać się w tło, a nie wychylać bez potrzeby. Odczekawszy stosowną chwilę, wraca i oznajmia Gertlerowi, że doktor Noble nie zmieni zdania.

- Dzięki, że próbowałeś, Johnny - mówi Gertler. - Nie zapomnę o tym. - Daje Jonathanowi adres swojego ojca. Jonathan obiecuje, że napisze, choć dobrze wie (i czuje, jak od tej wiedzy coraz bardziej przewraca mu się w żołądku), że tego nie zrobi. On i Paul podróżują w różnych kierunkach. Jeden poza nawias, drugi ku harmonii z resztą. O wpół do czwartej stoją obok dwukółki. Briggs zaprzęga nieposłuszną starą szkapę.

- Zegnaj - mówi Gertler.

- Słuchaj, Paul... - zaczyna Jonathan. Chce mu powiedzieć o sobie, dać mu prawdę, z którą Gertler mógłby odjechać. Ale to wszystko jest zbyt skomplikowane, żeby teraz zacząć o tym mówić. - Powodzenia - rzuca wreszcie nieprzekonująco. Ściskają sobie dłonie.

- Pozdrów ode mnie Oksford. Powiedz im, że przyjadę ich spalić.

Po tych słowach Paul Gertler odjeżdża. Jonathan wraca do pokoju i tępo wpatruje się w puste biurko, opróżnioną do połowy półkę na książki. Rzadko bywał tak samotny jak teraz.

*

- Orchidee - mówi doktor Noble - mogą przybierać rozmaite formy.

Od wydalenia Gertlera upłynął tydzień. Jonathan oplata drutem drewniany kłoc. Szykuje podpórkę dla nowego epifitu.

- Przypominają kształtem wiele rzeczy - ciągnie Noble. - Tę cechę odzwierciedlają ich ludowe nazwy, oparte na widocznym podobieństwie albo na związku między kwiatem i innym aspektem natury. Na przykład Gołąb, Tygrys, zachwycający Ptak w Locie, różne odmiany Pantofelków, a przede wszystkim *Aceras anthropophorum*, *Orchidea Ludzka* z pękiem małych żółtych kwiatów, które kształtem przypominają ciało człowieka. Zupełnie jak korzeń mandragory, choć nie wiem, czy z tą orchideą też wiążą się podobne przesady, co z mandragorą.

Jonathan podaje mu sekator.

- Z drugiej strony, niektóre orchidee są mistrzyniami podstępu. *Orchidea miseczkowata* wabi owady wonią płci przeciwnej, więzi je i wypuszcza, dopiero gdy pokryją się jej pyłkiem. Kwiat w okrutny sposób wykorzystuje pragnienie małego owada dla własnych celów. Dekadenckie i urocze. Ale ponad nimi mamy ciebie, kochanie, elegancję i zepsucie w jednym.

Jonathan słyszy głuchy łoskot. Nieświadomie zrzucił doniczkę na drewnianą podłogę.

- Niezdara z ciebie, Bridgeman. - Noble potrząsa głową. Jonathan klęka, by pozbierać kawałki roztrzaskanej donicy. Gdy szuka ich przy nogach doktora, okrytych znoszonymi brązowymi trzewikami, uświadamia sobie, że ostatnie zdanie przemowy było skierowane do małej lokatorki skrzynki ustawionej naprzeciw nich, do orchidei o jaskrawych płatkach, na przemian żółtych i czerwonych.

- *Ophiys apifera*, powszechnie znana jako Pszczoła. Tak, kochanie. O tobie mówię. O twoich kształtach pszczoły, o twoim kuszącym żeńskim zapachu. Wystarczy, żeby omamić usychającego z miłości trutnia. Wystarczy, żeby wciągnąć go do środka.

Noble pochyła się teraz ku Jonathanowi.

- Nie rodzimy się, Bridgeman. Jesteśmy stwarzani. Nie marzyłem o losie pedagoga. Należę do pokolenia lat dziewięćdziesiątych. Byliśmy jak cieplarniane kwiaty. Sztuczny raj, egzotyka, odmienność. Ale kiedy stało się jasne, że wizerunku estety nie da się utrzymać, stanąłem przy tablicy. I jestem tu, panie Bridgeman. Jestem.

Noble znów skupia się na Pszczole. Z najwyższą uwagą głaszcze dolną krawędź kwiatu udającego owada.

- Po co dążyć do naturalizmu? Takie zadawaliśmy sobie pytanie. Prawdziwa sztuka nigdy nie powinna sobie zaprzeczać. A teraz zmiana tematu, Bridgeman. Pan Hoggart dał mi do

zrozumienia, że nie jest zadowolony z twojej obecności w internacie. Uważa, że ty i Paul Gertler macie zgubny wpływ na innych. Co ty na to?

- Nic nie zrobiłem, proszę pana. Paul też nie.

- Gertler wyjechał, Bridgeman. Może gdzie indziej znajdzie dla siebie miejsce. A co do nicnierobienia, w tym właśnie tkwi problem. Bezczytność prowadzi do wszelkiego zła. Jeśli mamy czas na rozmyślanie, stajemy się podatni na złe wpływy. Ciekawy z ciebie przypadek, Bridgeman. Przynajmniej dla mnie. Pan Hoggart najwyraźniej nie podziela mojego zdania. Musisz nauczyć się skrywać pewne rzeczy i starać się lepiej dopasować do otoczenia.

- Ja...

- Sugeruję krykieta. I powiem to panu Hoggartowi. Skoro masz już zagwarantowane miejsce na uniwersytecie, cel twojego pobytu w Chopham Hali został osiągnięty. Co wcale nie oznacza, że możesz spocząć na laurach. Dla swojego dobra musisz być skoncentrowany. W przeciwnym razie narażasz się na ryzyko, Bridgeman. Straszliwe ryzyko. Nadmierny introwertyzm. Gnuśność. To powszechny problem, dla którego system prywatnych szkół w Anglii znalazł w ciągu paru stuleci rozwiązanie. Tym rozwiązaniem jest krykiet, Bridgeman. Skup uwagę na kiju i piłce. Każdy element krykieta jest dowodem na wspaniałość tej gry: jasno określone i surowe zasady, długi czas trwania, paleta kolorów zredukowana do świata zieleni i bieli z pędzącą czerwoną piłką w centrum. Przejaw geniuszu, Bridgeman, dowód wyższej inteligencji! Krykiet to relikwiarz epoki, w której życie toczyło się wolniejszym tempem w harmonii z wibracją wyższych poziomów rzeczywistości, epoki, która pozwalała sobie na zgłębianie sedna czasu i przestrzeni. Krykiet w swej złożoności, w dekoracyjnej oprawie mógłby zostać uznany za ostatni przejaw baroku. Czy jest coś bardziej budującego? Gra niczym... niczym doskonały automat, ale automat natchnięty duchem. Gra, w której zawodnik i widz wychodzą poza własne „ja” i namacalną materię, wsłuchani w muzykę ciał niebieskich. Czy jest coś równie wspaniałego? To esencja życia!

Noble wzdycha i milknie, chowając twarz w dłoniach wspartych o roboczy blat. Po chwili daje się słyszeć cichy płacz. Jonathan patrzy na niego, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Chyba powinien odejść. Powoli wycofuje się na palcach. Doktor Noble ma wiele spraw do przemyślenia.

Jak na grę tak szlachetną, krykiet okazuje się fatalny w skutkach. Kiedy pierwszego słonecznego dnia semestru Jonathan wychodzi na boisko, oczy zaczynają mu łzawić, a z nosa cieknie bezbarwny, wodnisty śluz. Wkrótce i oczy, i nos czerwienieją od ciągłego pocierania, a rękawy białej koszuli stają się śliskie i wilgotne. Popołudnie jest dla Jonathana torturą. Nie sposób skupić uwagi na grze, kiedy ma się wrażenie, że wszystko dzieje się o mile stąd za

wodnistą przesłoną. Umieszczony w najdalszej części boiska, nie ma nic do roboty prócz uzalania się nad samym sobą. Kiedy po paru godzinach wołają go wreszcie do wybijania, zajęty myślami o własnym cierpieniu niemal nie zauważa, że pierwsza piłka trafia w paliki. Wracając do pawilonu, słyszy, jak drużyna przeciwna urządza mu hałaśliwą owację.

Katar sienny jest zupełnie nowym doświadczeniem. Przychodzi nagle, jakby angielska ziemia brała na nim odwet, wyraźnie dając do zrozumienia, kto jest u siebie, a kto tylko udaje i kogo zdradza reakcja ciała. Każde sobotnie popołudnie w semestrze budzi w Jonathanie śmiertelne przerażenie. Ukrywa się wtedy z książką gdzieś pod dachem, symuluje kontuzję ręki albo nagły atak gorączki (tu pomocne okazują się Indie). Jego boiskowe wyczyny są tak żalodne, że wejście do drużyny oczywiście mu nie grozi.

Krykiet jest potrzebny, ale dla niego niedostępny. Sytuacja bez wyjścia. Węzeł gordyjski przecina historię, pan Fox.

- Kopista, Bridgeman. Mnich w skrytorium. Będziesz uwieczniał wyniki.

I tak Jonathanowi przypada w udziale prowadzenie zapisu. Siada na stopniach przed pawilonem, z książką na kolanach i metalowymi tablicami u stóp. Pozostawiony w spokoju, czuje, że objawy alergii w tajemniczy sposób słabną. Zaczyna nawet lubić swoje nowe zajęcie. Oznaczanie postępów w grze to rodzaj medytacji. Odnalazł swoje miejsce w świecie krykieta. Ani dokładnie w centrum, ani poza nim; nie jest ani uczestnikiem, ani beznamiętnym obserwatorem. Jest pomniejszym bogiem, śledzącym poczynania innych z obojętną koncentracją i zapisującym rezultaty w księdze z tabelkami. Nie stając po niczyjej stronie, z dystansu obserwuje ludzkie zmagania i notuje ich rezultaty - wykluczony, spalony, wyłapany, zwycięskie szóstki i czwórki, dołączając sześć kropek domina za idealny rzut.

Każdy kolejny rzut piłki przybliży Jonathana do końca semestru letniego. Prócz wielkiej księgi wyników Jonathan ciągle prowadzi własne zapiski. Pierwszy notes jest już wypełniony. Drugi otwierają hasła: „biskopt”, „trzymiel”, „fair play” i „obsługa boiska sportowego”. Czasem oba procesy zapisu - sekretnego rozszyfrowywania świata i obiektywnej obserwacji dżentelmeńskiej walki na boisku - łączą się, tworząc abecadło zachowań, społeczny język, który można spisać, a potem odczytać ponownie, by w odległej przyszłości odtworzyć historię Chopham Hali z kropek i cyferek.

Czasem Jonathan myśli o Paulu. Nie napisał do niego po wydaleniu ze szkoły. Zastanawia się, czy nie poprosić doktora Noble'a o adres. Nie robi tego. Wmawia sobie, że to by mu zaszkodziło. Ma rację, choć nie jest to prawdziwy powód. Jonathan czuje, że zawiódł przyjaciela. Nie bronił go. Nie powiedział mu prawdy.

To uczucie pogłębia się pewnego wieczoru, gdy do drzwi pokoju Jonathana puka

Fender-Greene. Jego nadejście zwiastują piski i głuchy łomot dobiegający ze świetlicy dla młodszych chłopców, gdzie Fender-Greene goni i okłada swojego małego adiutanta. Potem słycać ciężkie kroki na schodach. Fender-Greene jest pijany. Wygląda jak lunatyk. Jedna strona koszuli zwisa wyciągnięta zza paska, tworząc wokół spodni pomiętą białą zasłonę.

- Johnny? Tu jesteś, Johnny.

- Czego chcesz?

- Johnny... Tu jesteś. Nic do ciebie nie mam, miły Johnny. Absolutnie nic.

Jonathan milczy.

- Żadnych pretensji, miły Johnny. Śliczny z ciebie chłopiec. Lubisz mnie, prawda? Lubisz mnie. - Dla utrzymania równowagi Fender-Greene opiera się o półkę nad kominkiem. - Słuchaj, Bridgeman, podejdź do mnie. Cudowny z ciebie gość. Zawsze tak ślicznie wyglądasz.

- Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Jesteś taki śliczny.

- Odpierdol się, Fender-Greene.

Fender-Greene robi krok naprzód, ale wyraz oczu Jonathana osadza go w miejscu. Przez chwilę stoi niezdecydowany na dywaniku przed kominkiem, chwiejąc się w przód i w tył.

- Jeszcze cię dorwę - mówi w końcu. - W przyszłym roku będę w Christ Church.

Po tych słowach wytacza się z pokoju.

W Dniu Fundatorów, w ostatnim dniu roku szkolnego, między godziną drugą a czwartą Jonathan przechadza się po trawniku. Tym razem nikt na niego nie krzyczy. Wokół kłębi się tłum chłopców i rodziców. Pobrękując filizankami, w myślach szeregują innych według hierarchii ważności. Pod czujnym okiem pani Dodd jej dziewczęta kursują między kuchnią i trawnikiem z tacami pełnymi kanapek z ogórkiem. Złożony z piątoklasistów kwartet smyczkowy rzępoli Mozarta pod pasiastą markizą. Wśród zgromadzonych nie ma pana Spavina, Jonathan może więc krążyć w tłumie sam, ciesząc się uczuciem zrzucania okowów, odchodzenia Chopham Hali w przeszłość, cegła po cegle. Naokoło rozbrzmiewa gwar rozmów. Choć doktor Noble wygłasza z podium przemowę o długiej drodze i przykładzie, Jonathan nie czuje potrzeby notowania. Te rzeczy już rozumie, już je sobie przyswoił. Wymyka się chyłkiem ze zgromadzenia i teraz stoi samotnie w holu z rękami w kieszeniach (wyzywająco, niezgodnie z regulaminem), przyglądając się spłowiałym fotografiom na wyłożonych dębową boazerią ścianach. Wybrańcy z przeszłości, zawodnicy drużyny rugby piłki nożnej, lekkoatleci. Krykiet. Fotografia z 1893 roku. Jest. Wysoki, zwalisty, niezgrabny, w białym stroju, z grubo ciosaną

twarzą. F. M. V Bridgeman. Ojciec. Jonathan odchodzi w pośpiechu i nie zauważa, że obok jedenastu spowitych w biel postaci stoi szczupły, blady chłopiec w szkolnym mundurku z okazałą księgą w skórzanej oprawie. Według opisu to R. A. Forrester, prowadził zapis wyników. Jeśli przyjrzeć mu się dokładniej, widać załzawione oczy, wyraźny objaw kataru siennego.

CZEŚĆ VI

BRIDGEMAN J.P. (BARAB.)

□

„Jego ojciec był... Zdaje mi się, że urzędnikiem kolonialnym. On ma chyba zamiar pójść w jego ślady, chociaż to jego wygłupianie się... Nie chce źle mówić o amatorskich przedstawieniach, ale trudno Snem nocy letniej budować imperium, prawda? Jasne, wiem, że się ze mną nie zgadzasz. Jak mógłbym... Tak, oczywiście, angielski charakter, oczywiście, tak, tak, dc tego zmierzałem. Ale przecież nie Szekspirem cywilizowaliśmy nieoświeconych Hindusów. W pewnym sensie może tak. Nie, no nie! Naprawdę, Willoughby, specjalnie udajesz tępego...

Harold twierdzi, że jest świetny. Tak, ma w sobie coś włoskiego. Taki marmurowy. Uhm. Gdzie? Na Christ Church Meadow. Harold wyglądał przez okno w dekoracjach, a gość przechodził obok. Jakby unosił się w powietrzu. Harold mówi, że to było jak sen...

Rozsądny? Dosyć rozsądny, ale znikąd. Kto ci powiedział? Ludzie Beaumonta pochodzą z te) części świata. Jesteś z okolic Lechladc, prawda, Boomer? Gdyby był kimś, Boomer by go znał. A nie zna, prawda? Jestem przeciw. Na wszelki wypadek. Myślę, że to fair. Nie, szczerze mówiąc, nie uważam, żeby był w typie „Satiriconu”. Mimo wszystko te obiadki są raczej... No właśnie. Kiedy ktoś jest wstawiony, byle co go nie zadowala. Jeśli to się będzie powtarzać...

Gdyby mnie ktoś pytał, musiałbym powiedzieć, że to rozwiązyły młody człowiek, choć trzeba mu oddać sprawiedliwość, że całkiem czysty. Nie jak reszta jego koleżków z tego budynku. Zupełnie jakby wychowali się w chlewie. Palcem nie kiwną, żeby coś koło siebie zrobić, nic powieszają marynarki, nie odstawiają filiżanki na tacę. Bałagan, jaki robi ten młody dżentelmen - nie twierdzą, że jest nieuprzejmy, o nic; ma maniery anioła - ale wchodzi tam raz i... Rozwiązyły? Cóż, nie pracujesz dla młodych panów tak długo jak ja, mnie wystarczy rzut oka. Powinieneś spytać tę małą rudą figlarę, która pomaga pani Parker w kuchni. Skąd wiem? Zapach pościeli... A kiedyś...

Całkiem dobry z historii. Tak, myślę, że to będzie jego specjalizacja. Choć muszę przyznać, że ma skłonności do romantyzowania. I osobliwe poglądy na temat cywilizacji. Rasistowskie, Willoughby, skoro o to pytasz. I podasz mi wreszcie tę maderę, czy mam przypuścić szturm na karafkę? Naprawdę tego chcesz?...

F.-G. twierdzi, że w collegeu nie był nawet w trzeciej jedenastce. Ani w piętnastce. Nie widzę najmniejszego powodu, żeby Jock miał go ściągać do Vincents. On nawet nie wiosłuje. Właśnie. O czym z takim rozmawiać?

Był wielki. Taaaki wielki. Zamknij się, Ethel. Przecież mówię. Ogromny. Nie wierzysz mi, Ethel Smith, ale ja go naprawdę widziałam...

Tak, moje serce, je vous jure. Cyril i Harold siedzieli cała noc nad ostatnimi zwrotkami sonetu czy czegoś podobnego - wszystko o nim. Tak, widziałam. Zgadzam się całkowicie. Czarujący. Cyril zaprosi go na herbatę. Uhm? Och, bardzo zabawny. Jest jeszcze kwestia nowych spodni Harolda. La-la mówi, że są śmieszne, ale według Harolda w semestrze letnim będzie na nie szal. Uszyli je błyskawicznie przy Turl...

Proszę pana? Proszę pana!”

Zamknąć oczy. Jak ciepło. Odpłynąć jeszcze na trochę.

- Proszę pana?

Słoneczny blask na żółtym kamieniu. Białe światło przenikające przez szkło. Zielona sylwetka araukarii w oknie.

- Proszę pana! Dwadzieścia pięć po siódmej.

- Wyjdź, Willis.

Zapach przepoconego ciała unosi się z pościeli. W ustach lekki metaliczny posmak. Czerwone wino. Przejście do pozycji pionowej nie będzie przyjemne. Dezaprobata Willisa sączy się pod koc niczym krople zimnej wody.

- Niech mi będzie wolno przypomnieć, że dziś rano urządzi pan śniadanie. Młodzi panowie niedługo przyjdą.

- Śniadanie? Niech to diabli!

Mimo wczesnego lata poranki w Oksfordzie są wilgotne. Nic dziwnego, że wychowanemu w tropikach panu Bridgemanowi dokucza chłód. Willis rozpałił mały ogień na kominku. Jego podopieczny wlecze się tam w szlafroku i staje obok z założonymi rękami. Służący szczeka miednicą i dzbankami z wodą, dając jasno do zrozumienia, że czas na mycie i golenie. Za pięć ósma pan Bridgeman siedzi już przy starym okrągłym stole nakrytym białym lnianym obrusem, na którym czekają filizanki, wysoki srebrny dzbanek z kawą i stojak z przegródkami na grzanki.

Dziesięć minut później pokój zasnuwa się błękitnym dymem z fajek. Willis nakłada bekon, jajka, siekaną jagnięcinę, kiełbaski i pieczone ziemniaki na talerze stadka młodych dżentelmenów pogrążonych w burzliwej dyskusji o wartości Middletona i Marlowe'a jako tragedio-pisarzy. Wszyscy ubrani są w spodnie z szarej flaneli, jasne koszule, kamizelki i marynarki z lekkiego szkockiego tweedu. Wszyscy krzyżują elegancko nogi. Od czasu do czasu pykają z fajek z korzeni wrzośca i używają ich dla podkreślenia co ważniejszych argumentów. Przypadkowemu obserwatorowi trudno byłoby ich rozróżnić.

Znawca dostrzegłby pewne charakterystyczne cechy wyróżniające tę grupę na tle ekosystemu uniwersytetu. Przewaga zamszowych butów. Jaskrawość krawatów, często

jedwabnych. Rzadko spotykana długość włosów, które w kilku przypadkach niebezpiecznie (skandal!) sięgają kołnierzyka. To atrybuty Estety. Okazy tego gatunku obecne na śniadaniu nie są jeszcze w pełni opierzone. To studenci pierwszego roku, ale za jakiś czas ci bardziej zdeklarowani porosną pierzem sportowych kapeluszy z szerokim rondem, powiewającymi spodniami i marynarkami o niecodziennym kroju i pochodzeniu. Statystycznie rzecz biorąc, przynajmniej jeden z nich zacznie używać perfum.

Większość (jeśli będzie upierać się przy swoich upodobaniach) przeżyje zdemolowanie pokoju i zagrabienie szerokich spodni przez Atletów. Atleta jest naturalnym wrogiem Estety. Postrzega Estetyzm jako chorobę, oznakę moralnej i umysłowej degeneracji. Zdarcie spodni z Estety i szturm na jego pokój jest uzasadnioną reakcją na tak oczywisty przejaw upadku, rodzajem okazania Estecie społecznej dezaprobaty i ostrzeżeniem, by więcej czasu spędzał na boisku rugby, a mniej nad dziełami Huysmansa. Jak dotąd, spośród przyjaciół Bridgema tylko Levine doświadczył podobnego losu (za szkicownik i prowokacyjnie żółte skarpetki w refektorium), choć pierwsza ósemka wyraźnie dała do zrozumienia, że ma chęć potraktować tak każdego studenta Barabbas College, który zagalopuje się na drodze ku artyzmowi. W otoczeniu panuje powszechna zgoda na agresję wobec Skrajnego Estetyzmu, z którym utożsamia się wszystko: i czarne msze, i japońskie tkaniny, i pornograficzne sztychy czy fragmenty dzieł Katullusa nie włączone do podręczników. Pokój nauczycielski milcząco popiera ten proceder.

Bridgeman wie o tym i żyje w paranoicznym niemal strachu przed pozbawieniem go modnych spodni. Mimo zamszowych butów, nosi krótkie włosy i krawat w możliwym do przyjęcia dyskretnym odcieniu burgunda. Przyjaciele Esteci stanowią zaledwie jedną z kilku grup, z którymi utrzymuje kontakt. A zakres kontaktów Bridgema jest niebywały. Dzisiaj wydaje śniadanie dla Levine'a i reszty członków Komitetu Aktorów Barabbas College. Został wybrany do roli Jagona w przygotowywanej inscenizacji „Otella”, w której Levine z usmarowaną na czarno twarzą zagra tytułowego Maura. Wieczorem je kolację w siedzibie studenckiego klubu dyskusyjnego, a jutro w Carlton Club z torysowskimi partyjniakami. Wczoraj był na pokazie działania radia, a w zeszłym tygodniu wysłuchał prelekcji pana Emila Coue o autosugestii i był w ratuszu miejskim na lekcji kapitana McLaglana z dziudżitsu (polecanej przez komisarza policji okręgu Oxfordshire).

Urozmaiconej działalności Bridgema przyświeca hasło „konwenans”. W miejscu, gdzie każdy głośno domaga się zauważenia, on robi dokładnie tyle hałasu, ile potrzeba, by się wpasować w otoczenie, i ani odrobiny więcej. W najnowszym wydaniu siebie samego postanowił kłaść nacisk na wszystko, co w jego rozumieniu słuszne, prawdziwe i angielskie.

Krzywo patrzy na wszelkie nowinki, boleje nad zanikiem norm społecznych. Ceni poezję z czasów Jerzego V, jest zwolennikiem torysów. O swojej rodzinie mówi niewiele, dając jedynie do zrozumienia, że pochodzi ze starego rodu dzierżawców z Gloucestershire. Pod każdym względem jest przeciętnym studentem.

Mimo to niektóre drzwi pozostają dla niego zamknięte. Większość jego kolegów oplata od chwili narodzin sieć symboli i powiązań tak gęsta i rozległa, że prawie niezauważalna. Bridgeman nie zna nikogo. I nikt nie zna Bridgema. Niespotykane, nawet karygodne. W przeciwieństwie do Bycia Znanym, co (przynajmniej w Gloucestershire) jest a priori jedyną możliwą formą egzystencji, Bycie Nieznanym wzbudza podejrzenia o fałsz, nakazuje zachowanie rezerwy i komplikuje związki z otoczeniem. Zawsze istnieje możliwość, że Bycie Nieznanym to nie przypadek. Mieszkańcy hrabstwa i ich synowie intuicyjnie wyczuwają poważny problem, coś mrocznego i potencjalnie groźnego na poziomie pozawerbalnym, co budzi w nich rodzaj pierwotnego lęku. Wolą unikać człowieka, który tak na nich działa. Miłośnicy polowań z Bullington Club uznają Bridgema za niegodnego zaufania. Nie dane mu też będzie nosić różowego fraka Bollinger Club czy błękitnego fraka „Satiriconu”. Jego wyobcowanie, pojawienie się w Oksfordzie bez stosunków towarzyskich i widomy brak zakorzenienia każe wielu ludziom dobrze się zastanowić. Nawet ci, którzy jak on pochodzą z kolonii i wiedzą coś o Indiach, oddaleniu i samotności, czasem wyczuwają w Bridgemanie podwójne dno. Co gorsza, mimo lata poświęconego heroicznym wysiłkom nauczania się gry w tenisa (a także francuskiego, Nowego Testamentu, palenia fajki i nazw angielskich ptaków), Bridgeman nie przybył do Oksfordu jako Atleta i doprawdy niewiele zrobił, żeby się nim stać.

To poważne zaniedbanie. Choć w powszechnym rozumieniu uniwersytet ma być instytucją gwarantującą świetne wykształcenie, tak naprawdę jest machiną, która formuje ludzkie charaktery. Różnica jest bardzo subtelna. Charakter to nie inteligencja. Sport prawie zawsze przynosi lepsze rezultaty w kształtowaniu młodych ludzi, a sportowcy (którzy potrafią siedzieć na koniu, stanąć przy karabinie maszynowym i pokazać tubylcom, gdzie ich miejsce) mają wyższą pozycję społeczną niż ci, którzy cytują poezję albo obliczają wartość współczynnika x. Za kredensem Bridgema leży wymięty egzemplarz najnowszego numeru uniwersyteckiego czasopisma „The Isis”. W rubryce „Idol” jak zwykle sylwetka sportowca. „Spędziwszy lata chłopięce na chodzeniu po drzewach i przepędzaniu kłusowników w pagórkowatym Shropshire, niezłomny Gerald Fender-Greene przybył do nas ze szkoły Chopham Hali, wylęgarni akademickich talentów... znany wszystkim jako F.-G.... Jego nienaganna prezencja... rzucająca się w oczy waleczność... dzielna postawa w meczach krykieta...” etc., etc. Oto charakter z prawdziwego zdarzenia. W tym samym numerze znajduje

się krótkie sprawozdanie z ubiegło tygodniowej debaty w studenckim klubie dyskusyjnym, poświęconej Amerykanom. Autor parokrotnie wspomina o pierwszym publicznym wystąpieniu J. P. Bridgema (Barab.), który w reakcji na wzmiankę pana Barkera o znaczeniu Ligi Narodów uraczył zgromadzenie przydługim i cokolwiek zbytecznym expose o misji białego człowieka, polegającej na „czynieniu sobie ziemi poddanej”. W przyszłości pan Bridgeman powinien reagować mniej histerycznie i dbać, by jego wypowiedzi miały związek z tematem dyskusji.

Tak, w Jonathanie Bridgemanie jest jakaś zajadłość. Jakieś wewnętrzne napięcie. W trakcie spotkania, gdy z wyschniętymi ustami i palcami nieświadomie błędzącymi wokół ciasnego kołnierzyka wstał i zaczął mówić o Ameryce, wkrótce przeszedł na temat Zachodu w ogólności, by zaraz potem skupić się na zderzeniu kolorów skóry, fali ruchów rasowych na obrzeżach ludzkości i bieli bieli bieli, póki nie uświadomił sobie, co wyprawia, i nie usiadł. Czasem t o wychodzi z niego nieświadomie. Poczucie winy. Musi się pilnować.

Rozmowa przy śniadaniu u Bridgema obraca się wokół teatru, propozycji uniwersyteckiego cenzora, by zakazać gramofonów nad rzeką, wiecznego dylematu: Turkish czy Virginian, i ostatniego figla spletanego studentkom (uwiązanie świni przy tylnym wejściu do jednego z żeńskich college'ów). Bridgeman jako gospodarz jest cennym elementem dyskusji, lecz kiedy goście wychodzą, siedzi wpatrzony w powalane talerze i puste filiżanki z martwym wyrazem twarzy.

W ciągu kilku minut pozostających do nadejścia Willisa, który zajmie się sprzątaniami, Bridgema ogarnia poczucie pustki. Jakby istniał tylko wtedy, gdy ktoś na niego patrzy. Maskę jego znieruchomiałej twarzy może kryć coś innego, lecz nikt nie ma do tego przystępu.

Taki stan trwa zaledwie chwilę.

Postać, która pojawia się na dziedzińcu, jest wesoła i beztroska. Z rękami głęboko w kieszeniach, fajką nonszalancko zwisającą z lewego kącika ust, zmierza ku portierni, gdzie przegląda swoją pocztę. Nic ważnego. Przypomnienie o niezapłaconych rachunkach uczelnianych, reklama nowo powstałego towarzystwa miłośników wspinaczki górskiej. Jedyna interesująca rzecz to liścik od duce oksfordzkich faszystów, który słyszał wystąpienie na spotkaniu w klubie i zaprasza mówcę na herbatę. Próżność mówcy zostaje mile połączona. Kiedy wędruje po Broad Street na wykład, jego myśli zaprzęta problem, czy faszyzm należy do tutejszej konwencji. Czasem widuje wieczorami oksfordzkich faszystów, jak idą na spotkanie w nienaganych czarnych mundurach. Levine twierdzi, że to spisek przeciw pralni. Czarny kołnierzyk można nosić przez wiele dni.

- Patrz, gdzie leziesz, do cholery!

Zamyślony Jonathan wpadł na wymizerowanego młodego mężczyznę, który kuśtykając o lasce, wychodził z Trinity College. Mruczy pod nosem przeprosiny i pospiesznie odchodzi. Zjawia. W Oksfordzie roi się od nich. Walczyli na wojnie i wrócili. Mieszkają tak daleko od centrum, na ile pozwala regulamin. Z resztą studentów niewiele mają wspólnego. Tworzą rodzaj równoległego uniwersytetu - posępnego, pogrążonego w mrocznych rozmyślaniach. Oba światy zajmują tę samą przestrzeń, prawie się nie stykając. Z jednej strony psikusy, jazz i koktajle. Z drugiej błoto i rozkładające się ciała. Całkowita nieprzystawalność.

- Kudłacz!

Duch rozplynął się w powietrzu. Otyły mężczyzna z bujną brodą toczy wokół gniewnym spojrzeniem. Grupka rozchichotanych studentów znika za rogiem.

Uśmiechnięty Jonathan przechodzi przez St Giles. Tam spotyka go coś niezwykłego. Niczym jedno z pomniejszych ciał niebieskich, których trajektorię oblicza się za pomocą suwaka logarytmicznego i tablic matematycznych, Jonathan - zabłąkana drobinka - wchodzi w kolizję z inną cząsteczką. To wydarzenie zmienia wszystko. Na zawsze.

Zaczyna się od dzwonka i skrzypienia łańcucha wołającego o naoliwienie. Zza gmachu Muzeum Ashmoleańskiego wyłania się rower, a na nim dziewczyna. Bridgeman uskakuje na bok. Przez chwilę ich spojrzenia się krzyżują. Jonathan widzi niebieskie oczy. Jego świat staje w miejscu. Rowerzystka ma na sobie akademicką togę, spod której wзира biała letnia sukienka. Na głowie słomkowy kapelusz z szerokim rondem, przystrojony kwiatami z żółtego jedwabiu. Gdy kołysząc się miarowo, zmierza w stronę Cornmarket, Jonathan umacnia się w przekonaniu, że jest piękna. W jego mózgu rozbrzmiewa muzyka, towarzysząca narastaniu płomiennego uczucia. Policzki dziewczyny pałają z wysiłku rumieńcem, a kiedy naciska pedały, pod białym płótnem jej sukienki wyraźnie zarysowują się uda. Na przemian prawe i lewe, prawe i lewe. Jej piękna, owalna twarz przypomina buzię lalki o cudownie subtelnych rysach. Jedwabisty blond lok opada na jedno oko. Bridgeman przystaje i bezceremonialnie wlepią w nią oczy. Istna muza. Róża herbaciana. Zielone wzgórze poprzecinane kamiennymi murkami, wierzba, puchar pełen owoców, zachód słońca... Na Bridgemaną spływa kaskada metafor. Pyka zawzięcie fajkę, oczarowany estetyzmem chwili. Ma przed oczami wzorzec, ideał, kwintesencję angielskiej dziewczyny.

Myśli o rowerzystce wygrywając z burzliwymi dziejami Półwyspu Apenińskiego. Treść wykładu wchodzi jednym uchem, a wychodzi drugim. Sojusze tworzą się i rozpadają, najeźdźcy plądrują miasta, co nie robi najmniejszego wrażenia na Bridgemanie, pochłoniętym

myślami o blond puklach i białej sukience, pod którą rysowały się uda, na przemian prawe i lewe, prawe i lewe. Zastanawia się, czy nie zacząć jej szukać. W Oksfordzie jest zaledwie kilka żeńskich college'ów. Poszukiwania nie trwałyby długo. Ale pomysł budzi niemiłe wspomnienia o wyczekiwaniu w ukryciu, kłanianiu się zza krzaków. Bridgeman tłumaczy sobie, że Oksford nie jest wielkim miastem i prędzej czy później znowu ją spotka. Na pewno.

Spotyka ją prędzej, niż się spodziewał. Wieczorem, po ostatnim przedstawieniu „Otella”. Od tygodnia udaje przyjaciela Levine'a, a potem patrzy, jak ten zmienia się w zielonookiego demona zazdrości, by wreszcie zadusić Percy'ego Twigga, wzruszającą (choć barczystą) Desdemonę. Mimo iż kierownictwo college'u nie zezwoliło, by rolę Desdemony odegrała kobieta, paru studentkom udało się wślizgnąć na przyjęcie urządzone przez aktorów, co przydało mu posmaku zakazanego owocu. Wszystko odbywa się w pokoju Levine'a, udekorowanym na modłę wenecką. Nastrój stwarzają głównie zwoje muslinu udrapowanego na podniszczonych meblach i ogromne misy z owocami stojące na kredensie. Sam Levine, by uwydatnić tragizm swojego bohatera, chodzi między uczestnikami przyjęcia w kostiumie. Jego ra-pier obija się o uda zebranych, którzy wystraszeni gubią krople cennych drinków. Odurzony szampanem i artystycznym sukcesem, Levi-ne całuje wszystkich z francuska w oba policzki. Po tych pocałunkach zostają im na twarzy wielkie czarne plamy. Jakiś mądrała z Balliol przekrzykuje niewenecki gramofon, dzieląc się z Jonathanem uwagami na temat roli. „Świetnie zagrałeś tę obłudę; aż ciarki chodziły po plecach”. I wtedy w drzwiach staje ona. Gdy zaczyna rozglądać się po pokoju, w Jonathanie budzi się na moment irracjonalna nadzieja, że dziewczyna szuka właśnie jego. Ale ona szybkim krokiem podchodzi do Levine'a i rzuca mu się na szyję.

- Kochanie!

- Kochanie!

- Byłeś...

- Wiem.

Jonathan uwalnia się od towarzystwa przemądrzałego cymbała i idzie w ich kierunku z zamiarem wymuszenia prezentacji.

- Naprawdę - mówi głośno dziewczyna. - Ta barbarzyńska szlachetność. Z samych trzewi.

Levine uśmiecha się głupawo i manipuluje przy gałce na rękojeści szpady.

- Jesteś dla mnie zbyt łaskawa, Star.

Jonathan staje u boku przyjaciela. Dziewczyna nie przestaje mówić o grze Levine'a. Ma na sobie jasnozieloną suknię i kilka rzeźbionych drewnianych bransoletek, które klekoczą przy

każdym gościu. Rozwodząc się nad „sugestywnością” Levine’a i jego „zrozumieniem czarnej duszy”, brzmi jak liczydło, co w oczach Jonathana tylko przydaje jej wdzięku. Mimo ciężkich od tuszu rzęs i powiek umalowanych pistacjowym cieniem nadal wygląda jak kwintesencja angielskości. Gruba warstwa białego pudru skrywa zdrową, zaróżowioną cerę. Jasne włosy nie są spłowiałe. Pulsują żółtym życiem niczym wrześnie pole kukurydzy, rozkołysane pole widziane w ciepłym świetle wieczoru, gdy znużeni żniwiarze mozolnym krokiem zmierzają do domów z kosami na plecach, pogwizdując. Tak, wiejskie powietrze... Jonathan siłą woli nakazuje sobie powrót z mentalnej wycieczki do Wessex i próbuje się skoncentrować. Levine pławi się w pochwałach i nie zwraca najmniejszej uwagi na przyjaciela. W końcu staje się jasne, że Jonathan sam musi zadbać o prezentację. Wyciąga więc rękę i mówi „dobry wieczór”.

Levine wygląda na poirytowanego.

- Co za brak kultury, Veenie - beszta go dziewczyna.

- Wybacz, Star. Jonathan Bridgeman - Astarte Chapel.

Oboje wymieniają uprzejme słowa powitania. Jonathan zdobywa się na pytanie.

- Astarte?

Dziewczyna wzdycha i odwraca się do Levine’a.

- Czemu oni zawsze to robią? Levine potrząsa głową.

- Każdy niesie jakiś krzyż.

Jonathan orientuje się, że zrobił coś złego, nie ma jednak pojęcia, na czym polegał jego błąd.

- Słuchaj, Veenie - zaczyna niespodziewanie Astarte - muszę pędzić. Wpadłam tylko na chwilę. Na pewno zaraz będzie tu portier i wpakujemy się w niezłą kabałę.

- Jasne, Star. Musisz uciekać. Jeśli nie, Jonathan zacznie nastawać na twoją cześć.

Prawdziwy z niego demon.

- Czyżby?

Astarte filuternie unosi jedną brew, całuje Levine’a na pożegnanie i wychodzi. Oblany rumieńcem Jonathan roziskrzonym wzrokiem odprowadza postać o pistacjowych powiekach, ze smugami sadzy na białym policzku.

- To było nie fair, Levine.

- Naprawdę? Wybacz.

- Nigdy nie mówiłeś, że znasz taką dziewczynę.

- Znam mnóstwo ludzi. Tak czy siak, ty też ją poznałeś. I powiedziałbym, że dałeś plamę.

- Co zrobiłem nie tak? Levine wzrusza ramionami.

- Jest bardzo drażliwa na punkcie swojego imienia. Każdy o to pyta. Ma tego dosyć.
- Bardzo dziwne imię.
- Uhm. To wina jej ojca. Profesor na wydziale antropologii. Nieźle stuknięty. Tak nazwać córkę...
- Ale co to znaczy?
- Astarte? Och, coś związanego ze starożytnością i antropologią. Czemu sam nie sprawdzisz?

□

Astarte - semickie bóstwo. Fenicka bogini miłości i płodności. Utożsamiana z babilońską Isztar oraz grecką Afrodytą. Jedna ze starożytnych Bogiń-Matek obok Kybele, Demeter i Ceres (zab.). W niektórych formach kultu oddaje się również cześć jej ukochanemu - męskiemu bóstwu. Ofiarna śmierć i wskrzeszenie jej męskiego partnera symbolizuje cykliczność odradzania się przyrody.

Encyklopedia zamyka się z trzaskiem. Jonathan odkłada ją na biblioteczną półkę. Z nastaniem pory egzaminów pokazało się słońce. Wszystkie miejsca przy długich rzędach stołów są zajęte. Studenci ostatniego roku pocą się nad korektą swoich prac dyplomowych. Bibliotekarz wspaniałomyślnie zezwolił na otwarcie okien. Z zewnątrz dochodzą fragmenty ożywionych rozmów. Każdy wybuch niepohamowanego śmiechu wzmaga ból na twarzach przykutych do krzeseł więźniów, Jonathan cieszy się, że może zejść po kamiennych schodach i wyjść na powietrze. Kiedy stoi na dziedzińcu biblioteki i pobrzękując monetami w kieszeniach, zastanawia się, jak spędzić popołudnie, widzi zgraję studentów pędzących w stronę Sheldonian Theatre. W przypiływie fantazji rusza za rozbawionym tłumkiem.

Zrobili kawał. W Sheldonian właśnie skończył się wykład. Słuchacze wychodzą z gmachu i przekonują się, że ktoś starannie wyłuskał rowery wszystkich studentek, okręcił drut wokół każdej ramy, przez co dodał kobiecym pojazdom brutalne męskie poprzeczki. Zgromadzony tłum ma darmowy spektakl z tuzinem zażenowanych kobiet usiłujących rozplatać rowery i jak najszybciej odjechać. Studenci gwizdzą i urządzają kocią muzykę. Gdy jedna z kobiet poddaje się i odjeżdża („po męsku”), wiwatują na jej cześć. „Dalej, panowie!” - wrzeszczy stado chłopców w blezerach i białych strojach do krykieta, trącąc się z radości, że kawał się udał. Jonathan się uśmiecha. W tej samej chwili widzi, że jedną z ofiar jest Astarte Chapel. Schylona, mocuje się z rowerem (tym rowerem). Na jej twarzy wypisana jest bezsilna złość. Los chce, że Astarte podnosi wzrok. Na widok głupawego uśmiešku Jonathana posyła mu druzgoczące spojrzenie, które mówi, że z największą rozkoszą uśmierciłaby go i użyła nim glebę, by zapewnić światu kontynuację pór roku.

Jonathan czym prędzej narzuca sobie zmianę wyrazu twarzy. Rozbawienie musi przejść w potępienie. Jego wysiłki kończą się na otwartych i dziwacznie wykręconych ustach. Przypomina ukąszonego przez węża nieszczęśnika, któremu jad sparaliżował mięśnie. Macha ręką, chcąc dać do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje, że potępia wszystko i wszystkich zamieszanych w majstrowanie przy rowerach. Kiedy uświadamia sobie, że musi wyglądać jak pomyleniec, robi mu się nieswojo. Przepycha się przez tłum, żeby jej pomóc.

- Na pewno uważasz, że jesteś strasznie dowcipny - prycha

Astarte.

- Ja naprawdę... - bełkocze Jonathan w podnieceniu. - Nie mam z tym... To straszne, okropne. Naprawdę. To nie ja.

- Ach tak - szydzi dziewczyna. - Rozumiem, że cię wrobili.

- Ale, Astarte...

Astarte Chapel nie interesują jego wyjaśnienia. Szarpnąwszy drut po raz ostatni, wyniosłe przekłada nogę przez siodełko i odjeżdża. Jonathan patrzy, jak jej sukienka fałduje się na udach. Targają nim sprzeczne uczucia. Wie, że to koniec, że Astarte nigdy mu nie wybaczy, że rozwiały się wszystkie jego nadzieje. Ale ta świadomość sprawia, że widok jej wściekle pedałującej postaci robi jeszcze większe wrażenie. Jakby odjeżdżała po Broad Street do innego świata, już na zawsze stracona, na zawsze nieosiągalna.

Sparaliżowany gwałtownymi uczuciami, nie zauważa, że z kieszeni wypadł mu egzemplarz Kwiatów zła (pożyczony od Levine'a).

- A co my tu mamy?

Jonathan odwraca się gwałtownie. A wydawałoby się, że gorzej już dzisiaj być nie może... Przed nim, na czele krykietowej zgrai, stoi

Gerald Fender-Greene. Między kciukiem i palcem wskazującym trzyma jego książkę w taki sposób, jakby miał do czynienia z cuchnącym łachmanem.

- Cześć, F.-G. - mówi Jonathan niepewnie.

- Zagraniczna szmira - rzuca Fender-Greene. Reszta drużyny usiłuje dojrzeć, co znalazł.

- Baudelaire - czyta jeden z nich na głos. Następuje przerwa. Informacja zostaje poddana analizie. Werdykt brzmi:

- Gorszyciel.

Atmosfera gęstnieje. Choć Atleci nie przywiązują wielkiej wagi do książek, zwłaszcza tych wywrotowych i dwuznacznych moralnie, które preferują Esteci, nazwisko Baudelaire'a jest okryte wystarczającą niesławą, by zrobić wrażenie. Jonathan zaczyna żałować, że na dzisiejszą popołudniową herbatkę w gronie Estetów nie wybrał czegoś innego.

- I jeszcze nadskakiwałeś - mówi Fender-Greene, jakby ogłaszał wyrok śmierci.

- Nadskakiwałem?

- Tej dziewczynie.

W tonie Fender-Greene'a jest cała zjadliwość, na jaką potrafi się zdobyć mężczyzna, prawdziwy mężczyzna o udach zawsze opiętych spodniami, wobec istoty, do której gołych nóg powietrze ma swobodny dostęp. Zapada milczenie. I nagle tuzin par oczu kieruje się ku

wąskiemu, skórzanemu paskowi podtrzymującemu dolną część garderoby Jonathana na jego pożałowania godnym, czytającym poezję ciele o niepewnej orientacji seksualnej. W głowach miotacza i łapacza kielkuje ta sama myśl: jeśli ten zniewieściały gość upiera się przy książkach francuzików i ślicznych przyjaciółeczkach, to jakim prawem nosi flanelowy symbol męskości? Doszło do zachwiania równowagi. Trzeba to ukrócić.

- Ściągnąć mu spodnie!

Trudno powiedzieć, czy okrzyk rozbrzmiewa pierwszy, czy też Jonathan go uprzedza. Jedno jest pewne. Jonathan Bridgeman daje popis umiejętności sprinterskich godzien reprezentanta uczelni w lekkiej atletyce. Zanim pierwsza jedenastka spostrzeża, co się święci, Jonathan mknie już po Broad Street. Zaczyna się pościg. Goniący wydają nieartykułowane wrzaski, wymachując kijami i ochraniaczami niczym pułkowym sztandarem. Przechodnie pierzchają na boki jak przed oddziałem szturmowym. Jonathan mknie teraz po Turl, klucząc między przestraszonymi ludźmi. Łokciem wgniata zgrzybiałego wykładowcę filologii klasycznej w drzwi pracowni krawieckiej. Za ledwie staruszkowi, który miota soczyste łacińskie przekleństwa, udaje się odzyskać równowagę, traci ją znów za sprawą hordy krykiecistów. Teczka z tłumaczeniami uczniów i rower z hukiem lądują na bruku. Po chwili w pogoń za łobuzami rzucają się dwaj rozwścieczeni ekswojskowi w melonikach, z każdym krokiem coraz bardziej zdyszani i coraz bardziej pąsowi na twarzy. Tuż za nimi biegnie stadko studentów żądnych widoku krwi. Nie zwalniając tempa, Jonathan przebiega przez High Street. Ledwo unika kolizji z taksówką i wozem z mlekiem. Ogląda się przez ramię i widzi, że krykieści, którzy trenują w pocie czoła specjalnie na takie okazje, regularnie odrabiają straty. Z policzkami czerwonymi od biegu i krzyku wyglądają jak banda wielkich, oszalałych dzieciaków. Ich twarze wyrażają tylko jedno - żądę pozbawienia Jonathana spodni. Jonathan wie, że niedługo go złapią. Nie umknie ostatecznemu upokorzeniu. Nie ma szans.

Ale los, który dzisiaj jest wyjątkowo niezdecydowany, znów płata mu figla. Jonathan ma przed sobą fatamorganę. Na rowerze uwolnionym już od drutu (z pomocą pospieszył przechodzący pastor) siedzi Astarte Chapel.

- Prędeej, Johnny! Wskakuj!

Jonathan nie wierzy własnym oczom. Ale jeśli życie go czegoś nauczyło, to tylko jednego - że wiara nie jest konieczna. Siada więc okrakiem na tylnym kole i umyka swoim prześladowcom, w euforii otaczając ramionami obiekt swoich pragnień, który uwozi go w dół High Street.

Gdy Jonathan lepiej poznaje pannę Astarte Chapel, wydarzenia tego dnia układają się w logiczną całość. Pozornie kombinacja zjadliwości i wspaniałomyślności wymyka się

jednoznacznej interpretacji. Jest zła? Wyrozumiała? Obojętna? Trudno odpowiedzieć na te pytania i wydaje się, że sedno rzeczy tkwi w owej trudności. Przynajmniej jeśli chodzi o samą Astarte, która uważa, że chłopców powinno się trzymać w niepewności. Kontakty z nią stanowią ciąg wzlotów i upadków, nieustającą szamotaninę od rozpaczki do nadziei, tak jakby nieznaną siłą ustawiała je zawsze w dwubiegunowym porządku. Jeśli Astarte pozwoli ci się trzymać za rękę, dwie godziny później wymierzy policzek. Jeśli przysięga, że nigdy więcej się do ciebie nie odezwie, jutro po południu na pewno stanie w twoich drzwiach gotowa na piknik. Skoro Jonathan się z niej śmiał, w naturalny sposób postanowiła go uratować i pozwolić się zabrać na herbatę.

Jak wszystkie dobrze wychowane angielskie panienki, Astarte nauczono przedkładać aktywa płynne i maniery nad urok osobisty. Ale wygląd Jonathana jest jej miły. Jego estetyzm też. Astarte jest owym niemal mistycznym tworem, o którym marzy w bezsenne noce każdy student-malarz czy poeta - pięknnością o artystycznej duszy. Jonathan przekonuje się o tym przy herbacie. W trakcie herbacianego rytuału Astarte (jak przy wielu innych okazjach) łączy cechy cyganerii z absolutną angielskością. Musi mieć stolik z ładnym widokiem. Nie bierze mleka. Nie ścisząc głosu, oświadcza, że wolałaby pić teraz aromatyczną herbatę w Paryżu. Wkłada do ust smakowite ciasteczko i gdy mówi: „Świetne”, wygląda jak mała dziewczynka z reklamy mydła Pears. Rozmawiają z Jonathanem o ważnych sprawach, a raczej to ona mówi, a on patrzy na jej poruszające się usta. Przez prawie godzinę podpira brodę rękami i bez słów zgadza się ze wszystkimi stwierdzeniami Astarte, walcząc z pokusą oddania się fantazjom inspirowanym jej oczami, włosami czy okruszkiem w kąciku ust.

Paryż mocno zaznacza się w monologu Astarte. Jej ojciec chciałby zrobić z niej kosmopolitkę, na co w tradycyjnym angielskim systemie edukacji nie ma miejsca. A dla kosmopolitów Paryż jest centrum świata. W tym roku Astarte spędzi tam całe lato. Oczywiście, była już w Paryżu, ale nigdy tak długo. Paryż, jak dowiaduje się Jonathan, to miejsce, gdzie panuje elan, esprit i parę innych rzeczy mających coś wspólnego z żywiołowością i siłą witalną. By żyć pełnią życia, nie można istnieć w oderwaniu od tej siły, którą współczesność trwoni i marnuje. Dzisiejszy człowiek jest zdegenerowany (wszystko przez podróże koleją i ilustrowane czasopisma), w związku z czym przywrócenie siły witalnej stało się zadaniem najwyższej rangi. W świetle tych faktów lato w Paryżu wydaje się szczególnie potrzebne. Astarte nazywa to swoją estetyką. Jonathan nigdy przedtem nie spotkał dziewczyny z estetyką stworzoną na własny użytek.

Wszyscy nazywają ją Star. Jonathan też nazywa ją Star. Star lubi szokować. Ale Jonathana nie szokuje pistacjowy cień na powiekach czy bransoletki (zrobione przez lud Fotse

w Afryce; prezent od ojca), lecz jej idee o degeneracji Europy. Nie pojmuję, jak ktoś o takim wyglądzie może mieć takie przekonania.

- Nie uważasz, że twoja... nasza cywilizacja ma wpływ na inne rasy?

- Och, Johnny, ty głuptasie! To właśnie cywilizacja stanowi problem! Tłamsi nas! Zapomnieliśmy, jak czuć. Straciliśmy kontakt z ziemią. Powinniśmy się wyzwolić z ograniczeń, wrócić do naszej pierwotnej jaźni i biegać nago po piaskach życia!

Okazuje się, że jest pewne miejsce na Côte d'Azur, gdzie można to robić. Star nigdy nie była na Côte d'Azur, ale Freddie, starszy brat Edie, mieszka tam w chłopskiej chacie. Tak naprawdę jest tam parę chat przekształconych w wille, w rustykalnym i prymitywnym stylu. Edie pojechała tam zeszłego lata i biegała nago z jednym z przyjaciół Freddiego. Jonathan musi obiecać, że nie powie rodzicom Edie, u których prymitywizm budzi ostry sprzeciw. Jonathan obiecuje, co mu przychodzi tym łatwiej, że nie zna nikogo, o kim opowiada Astarte.

Star odchodzi równie nagle, jak się pojawiła. Jonathan próbuje powiedzieć, jak mu przykro w związku z tą historią z rowerami, a wtedy Star całuje go w oba policzki, życzy miłego lata i wybiega z herbaciarni. Dzwoneczek nad wejściem dźwięczy jeszcze po zamknięciu drzwi. Jonathan zastanawia się, czy zrobił coś nie tak, ale nic mu nie przychodzi do głowy. Star nie wyglądała na urażoną. Wydawała się zadowolona. Jonathan wraca do college'u. Oszołomiony i radośnie podniecony. W połowie drogi przypomina sobie o krykiecistach i przyspiesza kroku. Dopiero w swojej kwaterze czuje się bezpiecznie.

Nazajutrz idzie do college'u Star, by zostawić dla niej liścik. Od portiera dowiaduje się, że panna Chapel wyjechała na wakacje i wróci do Oksfordu dopiero we wrześniu. Wiadomość wywołuje wstrząs. Jonathan czuje się dotknięty i oszukany. Star dała mu przedsmak czegoś i natychmiast to odebrała. Ciężkim krokiem wraca do Barabbas College i siada niepokieszony w ogrodzie. Patrzy, jak uczelniany zółw majestatycznie wędruje po trawniku. Tej nocy ma koszmarne sny. Prześladowają go zawodnicy krykieta. Setki, legiony młodych mężczyzn w białych flanelach ścigają go po ulicach. Wizja jest wyjątkowo sugestywna i wraca w ciągu kolejnych nocy niczym wyświetlany na okrągło film grozy, który straszy i za dnia. Jonathan przestaje wychodzić na ulicę z obawy przed spotkaniem z Fender-Greene'em. Kiedy czuje, że stare kamienne mury zaczynają go przygniatać, wsiada w pociąg do Londynu i spędza weekend na wędrowce między pubami i nocnymi klubami w oparach alkoholu. Choć rozpoczyna na West Endzie, jakaś siła pcha go coraz bardziej na wschód i południe, tak że kończy wieczór pod stołem w mordowni Fishy Mitten niedaleko nabrzeża wschodnioindyjskiego. Tam wreszcie zaznaje błogosławieństwa kamiennego snu.

Tydzień później waliza Jonathana zostaje umieszczona w pociągu do Londynu. Zaczyna się nuda letnich wakacji. Pan Spavin interesuje się planami Jonathana na przyszłość. Uważa, że jego podopieczny powinien rozbudzić w sobie zamiłowanie do pracy. Pracę w Paryżu (propozycja Jonathana) odrzuca jako niepraktyczną. Argumenty o walce z postępującą degeneracją Europejczyków zupełnie go nie przekonują. Co chłopiec ma zamiar robić? Oświadczył, że już nie chce pracować w koloniach. Do armii raczej się nie nadaje. Zostaje prawo. To oczywiste. Jonathan powinien zdobyć doświadczenie na tym polu, a tak się składa, że firma Spavin & Muskett potrzebuje w biurze pomocnika. A skoro tak, rozwiązanie nasuwa się samo.

Pogrzebanemu za życia w księgach i rejestrach Jonathanowi dni płyną niemiłosiernie wolno. Kiedy nosi akta z pokoju do pokoju, w wyobraźni biega nago na Côte d'Azur. Wzdryga się na samą myśl, czego Star dopatrzyłaby się w kancelarii Spavin & Muskett: cywilizacji w najgorszym wydaniu. Podwładni to blade cienie ludzi, mówiące tylko o futbolu i pieniądzach. Obaj współpracownicy, rumiani i skostniałi w rutynie, wydają się pozbawieni żaru emocji. Jonathan pilnie ich obserwuje z nadzieją, że uda mu się odkryć choć jeden ukryty impuls. Nie znajduje żadnego. Pan Muskett od czasu do czasu pokrzykuje na maszynistki, ale to raczej objaw przejedzenia i braku ruchu niż żywiołowej manifestacji nordyckiej duszy. Nadchodzi sierpień. Tłuste trzmielce objają się o brudne okna, a prawo stopniowo wysysa z Jonathana życie, aż jego skóra staje się żółtawa, przybierając odcień aktów prawnych i testamentów.

Pewnego popołudnia wpada do biura młody Muskett, ubrany jak zwykle w strój do tenisa. Stanąwszy tak, by jego profil wyglądał jak najkorzystniej, kołysze się na piętach i opowiada o cudownych wakacjach na czterech kółkach. „Gazowanie po Kornwalii”, jak to ujmuję. Gazowanie po Kornwalii w wolseleyu przyjaciela. Jest w Londynie przejazdem. W czasie upałów nie daje się tu wytrzymać. Zupełnie nie wie, jak Bridgeman to znosi. Sam na szczęście nie musi długo się tu męczyć, ponieważ jutro wyjeżdża do wiejskiej rezydencji na Côte d'Azur. Znekana mina Jonathana mówi sama za siebie. „Biedny Bridgeman! - śmieje się Muskett. - Biedny Bridgeman z powalonymi atramentem palcami. Całe lato tyrać dla mojego tatusia! Więcej szczęścia następnym razem, stary”.

Po tej wizycie biura firmy Spavin & Muskett stają się piekłem. Jonathana zżera zazdrość, dręczą obrazy podsuwane przez wyobraźnię:

Star i Muskett dochodzą do porozumienia ze swoją pierwotną jaźnią w drugiej co do ważności części Francji. Jedna z maszynistek próbuje mu ulżyć. Przy szafie z materiałami piśmiennymi tłumaczy, że nawet nie wiadomo, czy tych dwoje się zna. Mimo jej szczyrych

wysiłeków Jonathan jest niepoczyszony Do chwili rozpoczęcia nowego semestru z podejrzeń
rodzi się wizja o wyrazistości filmowego obrazu: Star i Muskett są kochankami, których
romans i namiętność kwitną w romantycznej scenerii francuskich plaż.

*

Po powrocie do Oksfordu Jonathan ma wrażenie, że wszystko wygląda inaczej. A może nic się nie zmieniło. Trudno powiedzieć... W kinie przy George Street ciągle można oglądać Rudolfa Valentino, tyle że w innym filmie. Szaleństwo na punkcie „kudłacza” minęło i brodaci mężczyźni znowu mogą spokojnie chodzić po ulicach bez obawy przed kpinami. Ktoś zapoczątkował modę na swetry wkładane przez głowę. Jakiś przedsiębiorczy obywatel wynajął autobus, który jeździ po centrum z jego nazwiskiem wymalowanym na boku. Pojawiły się nowe twarze. Przejęci młodzieńcy pytają o drogę do miejsc, na które właśnie patrzą, przed którymi stoją. Choć nowi, wyglądają zupełnie jak ci, których zastąpili.

Jonathan słucha opowieści o pieszych wycieczkach w okolicach Berna, o zwiedzaniu kościołów we Włoszech. Ktoś żeglował po Morzu Karaibskim. Ktoś był w Nowym Jorku. Jonathan nie przyznaje się, że pracował w biurze. Woli dawać do zrozumienia, że wciągnął go wir modnych i owianych mgiełką tajemnicy londyńskich przyjęć. Chyba jednak nie brzmi przekonująco. Trzeciego dnia po rozpoczęciu semestru, gdy wraca z księgarni z przewodnikiem do gry w mahjonga pod pachą, dostrzega Astarte Chapel, pedałużącą po High Street, całą w jasnych żółciach. Woła za nią. Astarte ogląda się i macha mu z pewnym wahaniem.

- Star, wróciłaś!

- Oczywiście, cheri. Jak widzisz.

W ciągu lata dorobiła się dziwnego akcentu. W miejsce burzy włosów pojawiła się surowa, geometryczna fryzurka. Star jest doskonale zharmonizowana. Nawet jej buty są bladożółte.

- Cudownie! Dobrze się bawiłaś?

Star wzdycha i przewraca oczami, jakby chciała pokazać niemożliwość wyrażenia słowami radości trzech ostatnich miesięcy. Wyobraźnia podsuwa Jonathanowi przykry obraz młodego Musketta.

- Byłaś w Paryżu?

- Oni, clieri - Star śmieje się melodyjnie. - Przepraszam. Odzwyczaiłam się od mówienia po angielsku. Byłam. Było bosko.

- Nie pojechałaś na południe?

- Och, pojechałam. Na parę tygodni. Zatrzymałam się u Freddiego.

- Ach tak. - Wyobraźnia Jonathana podsuwa mu pastelową impresję jej nagiej sylwetki nad brzegiem morza, lecz on natychmiast odsuwa od siebie ten obraz. Star rozgląda się wokół niecierpliwie, jakby szukała znajomych, z którymi jeszcze się nie witała. Potem wzdycha.

- Więc jak, cheri, przyjdiesz?

- Gdzie?

- Na wykład mojego ojca. Będzie mówił o swoich Afrykanach.

Oczywiście, że Jonathan przyjdzie. Star idzie obok niego, prowadząc rower po chodniku. Rozmawiają o pracy profesora Chapela z ludem Fotse, który zamieszkuje odległe i trudno dostępne rejony Afryki Zachodniej.

- Muszą być cudownie prymitywni.

- Tak, co za wstyd. Biedacy. Większość z nich nawet nie nosi ubrań, chyba że gdzieś się wybierają. Tylko mnóstwo koralików i te cudowne bransoletki. - Star porusza rękami. Bransoletki wydają dźwięk, który tak kocha.

- A ja myślałem, że lubisz prymitywizm.

- Dziwny z ciebie chłopak! Fotse to dzikusy! W życiu nie widzieli wanny. Tata musi brać składaną, gdy do nich jedzie. Traktują go jak wielkiego wodza. Widocznie robi na nich wrażenie...

Przez resztę drogi do auli rozmawiają o szczególnej roli Fotse w życiu profesora Chapela. Profesor musi być popularnym wykładowcą. Sala jest nabita młodymi antropologami. Ci, dla których nie starczyło miejsc, obsiedli przejścia i parapety. Star ma efektowne wejście. Ze wszystkich stron spada na nią deszcz powitań, a na Jonathana grad zazdrosnych spojrzeń. Jonathan siada obok niej w pierwszym rzędzie na krześle, które ze smętnym uśmiechem zwalnia dla niego jakiś młody wykładowca. Przez chwilę czuje, że życie wynagradza mu lato spędzone w firmie Spavin & Muskett. Sadowiąc się wygodnie, zakłada nogę na nogę i wyrównuje szwy spodni, po czym rzuca ukradkowe spojrzenia na Star. Jej oczy obrysowane są czarną obwódką jak u Tutenchamona. Star prezentuje jeszcze większy estetyzm, niż to Jonathan zapamiętał; bardziej wyrafinowany i świadomy. Jonathan opędza się od natrętnych myśli o południu Francji.

Gdy Jonathan pogrąża się w bolesnej zadumie o Cap d'Antibes, drzwi się otwierają i do auli wpada profesor Chapel. Klucząc między słuchaczami, zmierza ku podium dla mówcy. Star macha ręką i szepcze: „Cześć, tato”. Profesor okazuje się człowiekiem o imponującej posturze. Nie jest wysoki, lecz masywny, z szeroką klatką piersiową i wydatnym brzuchem, rozsadzającym wygniecioną tweedową marynarkę. Całość wieńczy potężna głowa o wyrazistych rysach i zdecydowanej minie. Profesor wita córkę ojcowskim uśmiechem i rzuca Jonathanowi groźne spojrzenie, usiłując go sobie przypomnieć. Potem grzebie w teczce w poszukiwaniu notatek, wydaje z siebie głośne: „Aha!”, gdy je wreszcie znajduje, wyciąga grzebień, wyczesuje parę jasnych włosów z łysiejącej czaszki, bębni palcami w pulpit i

zaczyna.

Społeczne zwyczajy ludu Fotse s złoŹone i niejasne. Fotse hoduj kozy w suchym i górzystym regionie, a poniewaŹ ich ziemia leŹy z dała od tradycyjnych szlaków handlowych, prawie nie maj kontaktu ze światem zewntrznym. Zachowali, co profesor podkreśla z niekłaman satysfakcj, niemal cał swoj pierwotność. Fotse Źyj w osobnych domostwach składajcych si ze stoŹkowatych chat. KaŹde z podwórek otaczaj małe spichlerze i spiŹarnie. Nagromadzenie spiczastych dachów czyni z siedzib Fotse glinian, kryt strzech afrykañsk wersj zamków nad Loar. Profesor odbył trzy podróŹe do kraju Fotse i za kaŹdym razem ten widok sprawiał mu wiele przyjemności. Wokół domostw rozciągaj si najpierw pola prosa, za nimi o wiele rozleglejsze tereny pastwisk i zagrody, do których zagania si na noc kozy, główne Źródło bogactwa Fotse.

U Fotse panuje matriarchat. Miody wojownik dziedziczy po braciach matki. W zaleŹności od tego, do której z czterech męskich społeczności naleŹy spokrewniony męczyzna (pełni one waŹn, choć nie do koñca jasn rolę w kulturze Fotse), ziemia lub kozy mog być przekazywane midzy męczyznami nie połączonymi wizami krwi. Czasem Fotse dziedziczy po młodszej siostrze ojca, choć nadal nie wiadomo, w jakich okolicznościami. MoŹliwe, Źe ta informacja jest przykładem poczucia humoru Fotse, którzy zabawili si kosztem badacza zbierajcego dane.

Profesor raz po raz podkreśla, Źe jego opis jest dalece uproszczony. Mimo intensywnych studiów nad systemem dziedziczenia u Fotse, cigle nie daje si go rozszyfrować. Sedno problemu tkwi w pojęciu „Fo”, kluczowym dla zrozumienia sposobu, w jaki Fotse postrzegaj świat. Samo słowo „Fotse” jest połączeniem „Fo” i „Tse” i oznacza: „ludzie, którzy mówią/praktykuj Fo”. Choć Fotse uŹywaj słowa „Fo” dla określenia swojego jzyka, powszechnie odnosi si ono do handlu wymiennego i negocjacji, odbywajcych si po śmierci jednego z członków społeczności.

Zgodnie ze zwyczajem, kozy, ziemię i dobytek zmarłego Fotse rozdziela si midzy dwunastu bliskich krewnych. Podział traktowany jest z najwyŹsz powag. Czść przypadajc kaŹdemu spadkobiercy wylicza si bardzo dokłdnie (przodkowie Fotse zostawili wskazówki co do wielkości udziałów). Przy obowizujcych zasadach zdarza si, Źe beneficjanci otrzymuj abstrakcyjne ilościami dóbr, na przykłd trzy czwarte byka albo jedn trzeci Źony. Przez wieki ziemia Fotse, zwiszcza ta, na której stoj ich domostwa, była dzielona tyle razy, Źe pojedyncze parcele zajmuj nie wicej niŹ dwie-trzy stopy kwadratowe. To samo dotyczy innych dóbr. Zwyczaj Fo nakazuje łczyć te małeñkie czstki w rozmiary bardziej uŹyteczne: całe Źony, pola, które da si orać, i tak dalej, na drodze negocjacji. PoniewaŹ na spadkobiercach

zmarłego Fotse mogą ciążyć zobowiązania podzielenia się zyskiem z własnymi krewnymi, którzy również mają jakieś zobowiązania, negocjacje stają się piekielnie skomplikowane. Dodatkową komplikacją jest zamiłowanie Fotse do spekulacji.

W trakcie Fo (które w praktyce trwa nieprzerwanie, gdyż większość spraw spadkowych ciągnie się ponad rok, a poszczególni Fotse są zazwyczaj uwikłani w kilka równoległych negocjacji) dopuszczalne jest wszczęcie „Gofa” - „przyszłego Fo”. To system zakładów opartych na spodziewanych efektach przyszłych Fo i składanie obietnic zamiany jakiegoś kawałka ziemi czy określonej liczby kóz. Jeśli jakiś Fotse przypuszcza, że po upływie trzech pór deszczowych jego sąsiad odziedziczy kawałek ziemi, którym on sam jest zainteresowany, w zamian za nią może zaoferować określoną lub nieokreśloną liczbę kóz (abstrakcyjne części kóz bądź ich ekwiwalent w towarach również wchodzi w rachubę), w zależności od wysokości plonów prosa lub z zastrzeżeniem, że na mocy innej transakcji Fo nie będzie musiał pozbywać się kawałka ziemi, do którego zamierza przyłączyć grunt będący przedmiotem transakcji Gofa.

Same przyrzeczenia Gofa również podlegają wymianie. Zazwyczaj fortuny Fotse powstają raczej na drodze łączenia obietnic niż gromadzenia samych dóbr. W legendzie Fotse naciągacz o imieniu Lifi wykazuje tyle sprytu w manipulowaniu transakcjami Gofa, że często wchodzi w posiadanie wszystkich stad Fotse i całej ich ziemi, choć zazwyczaj traci je znów z powodu słabości do piwa z prosa. Treścią najważniejszego cyklu pieśni Fotse (wykonanie go w całości zajmuje plemiennym bardom około trzech tygodni) jest wyliczanie kolejnych transakcji, dzięki którym Lifi zdobywa rękę księżniczki niebios imieniem Neshdaqa, mając minimalne udziały w ukochanej łaciatej jałowce jej wuja. Zobowiązania Fo i stadia negocjacji znajdują dokładne odbicie w układzie paciorków w naszyjnikach Fotse, w ich kolorach i kształtach. Między poszczególnymi rejonami istnieją drobne różnice we wzornictwie. W efekcie Fotse tworzą barwne widowisko, zwłaszcza podczas pogrzebów.

Profesor Chapel uważa, że Fo jest przyczyną, dla której prymitywni Fotse zrobili tak niewielki postęp technologiczny i społeczny. Negocjacje Fo pochłaniają tyle czasu, że wszystko inne schodzi na dalszy plan. Całkowity brak pojęcia praktyczności w kulturze Fotse skazuje ich lud na niechybne wyginięcie. Kiedy profesor zaczyna opisywać ceremonię zaślubin (Fotse uznają małżeństwo za jedną z form Gofa), Jonathan ukradkiem spogląda na Star. Star ma zamknięte oczy. Zasnęła.

Myśli profesora też błędzą gdzie indziej. Tyle już razy powtarzał „Wprowadzenie do organizacji życia społecznego ludu Fotse”, że kiedy odczytuje słowa z poźółkłego

maszynopisu, w wyobraźni oddaje się przyjemnym skojarzeniom, które prowadzą go w czasy młodości, heroiczne czasy, gdy antropologia jako dyscyplina naukowa była jeszcze w powijakach. Pojawiające się myśli i obrazy nie mają nic wspólnego z Fotse czy ich zwyczajami. To wspomnienia i wrażenia wywołane z zakamarków pamięci powtarzaniem znajomych słów. Tak jakby ktoś uwolnił ładunek zgromadzony w baterii. Są żywe, natychmiastowe i machinalne. Kiedy przychodzą, profesor czuje osobliwe skręcanie w żołądku. Nawet lubi to uczucie.

Psychologia nigdy nie leżała w sferze zainteresowań Henry'ego Chapela. Gdyby się nią interesował, na pewno pokusiłby się o szukanie w dzieciństwie przyczyn swoich zachowań. Jako dziecko wyrzucał grzechotkę z wózka sto razy z rzędu i za każdym razem czuł taką samą radość, gdy niania podnosiła ją i dawała mu do rączki. Powrót grzechotki wyzwalał euforię, dreszcz wywołany przewidywalnością tego, co nastąpi, i panowaniem nad sytuacją. Później były przyborniki do szycia, których zawartość wyrzucał i układał na nowo po swojemu: niebieskie guziki w jednej przegródce, naparstki w drugiej. Jeszcze później nastął czas kolekcjonowania monet, znaczków, motyli i bardziej oryginalnych rzeczy w rodzaju odcinków biletów czy pestek czereśni. W przeciwieństwie do innych dzieci, mały Henry nie emocjonował się samym gromadzeniem, nie dążył do skompletowania zbioru. Największą przyjemność sprawiały mu powtarzalne czynności, układanie znaczków czy obracanie srebrnej dolarówki, by zaślniła w świetle. Zawsze odczuwał tę samą przyjemność. Zawsze wracało do niego to samo szczęście i podniecenie, jakie towarzyszyło mu za pierwszym razem. Zanieść kasetkę z monetami do salonu. Wyjąć jednodolarówkę lewą ręką, nie prawą... Jak pięknie błyszczy! Jak miło ze strony wuja Alfreda, że ją przywiózł! W wieku dziesięciu lat Henry wypracował już sobie setki rytuałów. Każdy z myślą o wzbudzeniu tego dreszczyku, każdy odprawiany z jednakowym religijnym oddaniem.

Okoliczności (w głównej mierze brak głowy do matematyki) przeszkodziły dorastającemu Henry'emu w realizacji planów. Nie został fizykiem. Zainteresował się różnymi kulturami i ludami. Wobec społeczeństw stosował tę samą zasadę sztywnej klasyfikacji, jaką miał nadzieję stosować w badaniach gwiazd albo cząstek elementarnych. Właściwie nie robiło mu to różnicy. Przyjemność dopasowywania bogactwa przejawów życia do jasno sformułowanych teorii była taka sama bez względu na obiekt badań.

Srebrna dolarówka... Pestka czereśni... Solenoid... Mieszkaniec Andamanów...

Aha!

Wezwał go Oksford, a potem wezwała Afryka, choć nabrała znaczenia dopiero wtedy, gdy wyeksplloatował Oksford. Umysły takie jak profesor Chapel szybko zaczynają się dusić,

żyjąc w jakimś miejscu przez dłuższy czas. Kiedy gdzieś coś się przypomina i wystarczy ruch, zapach, słowo lub strzęp melodii, by minione doznania wróciły w pełni, często ulega się pokusie wykonania jakiegoś gestu, wymówienia jakiegoś słowa albo noszenia w kieszeni starej, stęchłej chusteczki, by to wszystko przywołać. Jeśli trzykrotne stuknięcie laską w krawężnik przed Worcester College daje człowiekowi poczucie szczęścia, bo przypomina mu popołudnie, kiedy otrzymał posadę stałego wykładowcy, naturalną tendencją jest stukanie laską w krawężnik za każdym razem, gdy się mija ten gmach. A jeśli od takich skojarzeń gęsto na każdym kroku, przejście Beaumont Street może trwać godziny.

Poetyczni Francuzi w takim stanie nie wstawali z łóżka, ale Cha-pel jest twardszy od nich. Potrafi się kontrolować, chyba że działa na niego wyjątkowo silna podnieta. Zazwyczaj rytuały profesora umykają uwadze innych. Nieliczni dostrzegli, że w sklepie z serami profesor za każdym razem pogwizduje „Ode do radości” (erotyzm, zapach cheddara, intymne chwile, 1899) albo że zanim przejdzie przez ulicę przed Christ Church, zawsze czeka, aż przejadą trzy samochody (ulga, straszny wypadek, nieuważny mężczyzna, 1908). Ale tylko nieliczni. Są jednak mniej dyskretne miny pamięci zakopane w różnych częściach miasta. Ile razy wchodzi do budynku Barabbas College, czuje nieodpartą chęć pieszczot (inaczej tego nazwać nie można) z pierwszą z brzegu ciemnowłosą osobą, ponieważ to miejsce przypomina mu coś, co zaszło podczas zjazdu studentów w 1902 roku. Jest taki zakątek w parku uniwersyteckim, gdzie w 1897 trafił na migdałacą się parkę. Odkrywszy w sobie niezdrową fascynację tym miejscem, teraz nie chodzi tam w ogóle.

To był ciężki okres w jego życiu. Kiedy policjant omal go nie przyłapał ze spuszczoneymi spodniami, Henry Chapel wiedział, że musi coś z tym zrobić. Oksford stał się dla niego swego rodzaju palimpsestem. Za każdym razem, gdy szedł ulicami, jakaś siła kazała mu odczytywać przebieg wszystkich poprzednich wędrówek, co układało się w ciąg drobnych rytuałów, kaskadę tików, pomrukiwań i nagłych gestów, które skłoniły pokój nauczycielski do postawienia diagnozy o przepracowaniu. Chapel czuł się jak w potrzasku i zaczął marzyć o ucieczce do nie zapisanego niczym miejsca, wobec którego odczuwałby błogosławioną i doskonałą obojętność.

Afryka!

Pomysł odwiedzenia ludów, których zwyczaje zgłębiał, nigdy nie przyszedł mu do głowy. Ale badania terenowe stawały się modne, a żadne miejsce nie wydawało się równie białą kartą, jak pustynne obszary na północ od Oil Rivers w Brytyjskiej Afryce Zachodniej.

O Fotse wzmiankował kiedyś francuski misjonarz, poza tym był to lud całkowicie nieznany nauce. Ślęcząc nad mapą, Chapel odkrył (ku swej niezmiernej radości), że ziemia

Fotse absolutnie z niczym mu się nie kojarzy. Większą część mapy pokrywały białe plamy. Z nadejściem letnich wakacji Chapel wyruszył w podróż.

To było wiele lat temu. Mimo surowości życia Fotse, Chapel odnalazł w Afryce to, czego szukał. Wszystko było nowe. Wszystko było kojąco nieznanne. Tubylcy powitali go tłumnie pod rozłożystym drzewem rosnącym w środku wioski. W niczym nie przypominali wykładowców zaludniających pokój nauczycielski, studentów wypełniających sale wykładowe, bywalców herbatek, parafian czy publiczności teatralnej. Ich ziemia rozciągała się aż po horyzont. Czerwonawa i obca. Po powrocie do Oksfordu na semestr jesienny czuł się odświeżony. A raczej Oksford nabrał świeżości. Efekt oczyszczenia trwał kilka lat. Kiedy Chapelowi znów się pogorszyło, wrócił do badań w terenie. I tak ustalił się pewien rytm, który tylko raz zakłóciła wojna. Co kilka lat profesor spędzał wakacje na ziemi Fotse, sporządzając notatki i unikając picia niegotowanej wody, którą z uporem maniaka mu oferowano, mimo jego tłumaczeń, że może się od niej rozchorować.

Podczas czwartej wizyty doznał olśnienia, które przyniosło mu sławę oraz opinię jednego z najwybitniejszych afrykanistów jego pokolenia. Chodziło o wodę. Sprawa urosła do rangi absurdu. Gdziekolwiek się zjawiał, Fotse pędzili do niego z tykwami i przekrzykując się, namawiali, by wziął, wypił, zaspokoił pragnienie. Przy pierwszej wizycie profesor uznał to za przejaw tradycyjnej gościnności. Odmówił wtedy uprzejmie, co kosztowało go wiele trudu. Stopniowo odkrywał, że płyn w podsuwanych mu tykwach i pucharach był jeszcze brudniejszy niż woda, której używali Fotse. Tak jakby wieśniacy specjalnie ją zanieczyszczali. Na jakiś czas popadł w paranoję. Dopiero za czwartym razem, gdy podsunęto mu dzban z zielonkawo-brunatnym szlamem z niezidentyfikowaną substancją pływającą na powierzchni, zapytał przez tłumacza o powód takiego zachowania.

Odpowiedź brzmiała: „Gofu”.

Długie godziny trwało przepytywanie, zanim do profesora dotarło znaczenie tego słowa. Stopniowo, tydzień po tygodniu poznawał prawdę. Okazuje się, że kiedy przyjechał po raz pierwszy i jego obecność została zaakceptowana, plemię bardzo nisko oceniło szansę jego przeżycia. Starszyzna Fotse uznała, że choroba, gorąco albo atak lamparta zabiją białego człowieka w ciągu kilku tygodni. Co do tego panowała całkowita zgoda, tym bardziej że w przeszłości zawsze takie było zakończenie. Na tej podstawie i w obliczu faktu, że przybysz najwyraźniej nie należy do żadnego klanu i z nikim nie łączą go żadne więzi (przybył bez kóz, bez kobiet i synów, na czele kolumny tragarzy Hausa), Fotse oszacowali wartość jego ubrań i reszty dobytku, po czym przeliczyli wszystko na symboliczne ilości kóz, żon i prosa. W oczekiwaniu na rychłą śmierć gościa Fotse rozdzielili Fo między znaczniejszych członków

starszyny plemiennej i czym prędzej przystąpili do zakładów Gofa.

Doznali rozczarowania, kiedy Chapel wyjechał żywy. Gofa (jak to zawsze z Gofa bywa) rozrosło się w masę przyrzeczeń, które objęły znaczną część ich ziemi i mienia. W grę wchodziły ogromne bogactwa, a że na dodatek doszło do zatargu między przywódcami dwóch konkurujących klanów, którzy inaczej oszacowali wartość butów z cholewami należących do Chapela, sprawa nabrała politycznego wydźwięku. I póki profesor pozostawał przy życiu, nie dawała się rozwiązać. Kiedy wrócił po dwóch latach, Fotse zgotowali mu entuzjastyczne przyjęcie. Nie był to wcale (jak twierdzi profesor w popularnych wspomnieniach Parę miesięcy w chacie bez kanalizacji, napisanych po dwóch pierwszych podróżach) spontaniczny wybuch radości wywołanej powrotem wielkiego wodza, lecz ulga, że sporne transakcje, które stały się jęczącą raną w społeczności Fotse, wreszcie mają szansę na ostateczne rozstrzygnięcie. I znów Fotse doznali rozczarowania. Przez kilka kolejnych lat napięcie między klanami z południa i północy narastało. Doszło do rozłamów, a tym samym wzrosła liczba potencjalnych beneficjentów. W rezultacie (co ujawnił zakłopotany informator) prawie każdy na ziemi Fotse nabył prawo do niewielkiej, jednorazowej korzyści materialnej po śmierci Chapela. Na tym nie koniec. Transakcje związane dotyczące pastwisk nad rzeką w południowej części krainy Fotse dodatkowo skomplikowały sprawę. Wyczekiwana z utęsknieniem masowa dystrybucja dóbr mogła dojść do skutku pod warunkiem, że Chapel umrze na jedną z licznych lokalnych chorób przenoszących się przez wodę (zawiłości transakcji pastwiskowej dotyczyły oszacowania liczby kóz padłych od takich chorób f powiązania jej z kontrowersyjną wartością butów. Za punkt odniesienia przyjęto rozmiary kawałka skóry potrzebnej do zrobienia takich butów, co wyraziło się jedną szesnastą krowy).

Odkrycie, że wszyscy usiłują zarazić go bilharcją z powodu butów z cholewami, podziałało deprymująco. Profesor nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Większość niuansów Gofa jakoś mu umknęła. Przez jakiś czas dręczyła go myśl, że zostanie zamordowany. Spał z rewolwerem pod poduszką. Zastanawiał się, czy nie wyjechać, ale tłumacz odradził. Przekonał profesora, że nikt nie żywi do niego urazy. W gruncie rzeczy jest wśród Fotse popularnym człowiekiem, a pragnienie, by zmarł powalony gorączką, to wyłącznie sprawa transakcji między nimi i nie ma najmniejszego wpływu na wzajemne stosunki. Tłumacz przypomniał mu, że dla Fotse zabicie go byłoby czynem niehonorowym. To uspokoiło profesora. Trochę.

Choć morderstwo nie wchodziło w rachubę, tłumacz przyznał, że częstowanie brudną wodą uznano za dopuszczalną formę naciągania reguł. Nikt tak naprawdę nie spodziewał się śmierci profesora. Przez lata nieświadomie pochłoniął w jedzeniu mnóstwo zanieczyszczonej wody, a nic mu nie było. Chodziły słuchy, że pewni spekulanci z Klanu Jaszczurek robią

światne interesy na zakładach, że profesor przeżyje długie lata w doskonałym zdrowiu. Wystarczy pilnie baczyć na różne znaki. Ofiarowanie mu na obiad siekanych organów rozrodczych samca wielbłąda oznacza pozytywną zmianę. Gdzie kiedyś była woda, wkrótce będą gruczoły, które dadzą mu siłę prokreacji. Profesor Chapel, flegmatyk z natury, rozumiał zasadę oddzielania interesów od emocji. Przetrwał więc burzę i wrócił do Oksfordu pod koniec lata, by przemyśleć swoje odkrycie.

Najbardziej uderzyło go nie samo Gofu, które uważał za stratę czasu, lecz fakt, że Fotse byli świadomi przenoszenia chorób przez wodę. W rezultacie powstała Magia i medycyna u Fotse, praca zaliczana do klasycznych dzieł wczesnej antropologii. Do czasu kolejnej podróży profesor był już akademicką legendą, komplementowaną przez kolegów po fachu, otaczaną przez studentów i uhonorowaną Medalem Pargettera za Zasługi nad Badaniem Ludów Prymitywnych.

Nieco upiększony obraz wspaniałej kariery zawsze zbiega się w czasie z ostatnim fragmentem wykładu o organizacji życia społecznego Fotse i przypomina profesorowi, że pora kończyć. Kończy tym samym co zawsze akcentem (podniosły ton, kilka śmiałych gestów zapożyczonych od Europejczyków z południa). Otrzymuje uprzejme, ale entuzjastyczne oklaski, co wśród antropologów uchodzi za przejaw najwyższego zachwytu. Potem, jak zwykle, otacza go wianuszek zapaleńców żądnych odpowiedzi na szczegółowe pytania. Córka ściska go i pragnie przedstawić jednego z kolegów. Kolega, o którego chodzi, ma całkiem niezłą prezencję. Przynajmniej nie wygląda na Żyda i nie używa różu jak większość wysoce nieodpowiednich dla Astarte okazów, które ona bez przerwy ciąga za sobą.

- Tatusiu - zaczyna Astarte serdecznie - to Jonathan Bridgeman. Jest bardzo, ale to bardzo zainteresowany twoją pracą.

- Naprawdę? - pyta młody człowiek, który jak większość kolegów Astarte okazuje się nieco roztargniony. - Tak, naturalnie. Jestem zainteresowany.

Chapel wyciąga rękę. Wymienia z Bridgemanem mocny uścisk. W przypiływie dobroduszości zaprasza córkę i jej przyjaciela na lunch.

Jonathan nie pamięta, żeby kiedykolwiek był tak szczęśliwy. Star i ojciec rozmawiają, a raczej mówią jedno do drugiego. Ich myśli biegną oddzielnymi, choć zadziwiająco podobnymi torami. Restauracja obraca się wokół ich konwersacji. Pozostałe stolilci zataczają kręgi niczym pomniejszych satelity w planetarium. Rozmowa jest pełna imion i nazw. Nazwy miast; imiona ludzi, których spotkała Astarte, i tytuły książek, które przeczytał jej ojciec; mozaika porażająca

rozmiarem i złożonością. Tyle zrobili, tyle zobaczyli, tyle wiedzą. Tyle mają do powiedzenia przy stole.

Kelner pędzi do stolika z bułkami i kompletem sztucców. Odsyłają go z powrotem bez przerywania potoku słów. Jonathan czuje, że znalazł się w sanktuarium, w którym wszystko jest jasne i proste, a jego mieszkańcy żyją z dala od reszty sąsiadów. Z Chapelami wszystko wydaje się proste. Chcesz listę win? Jest lista win. Chcesz przyjęcie? Jest przyjęcie. Chcesz jechać do Francji? Przed tobą otwiera się ścieżka, na której wszystko odbywa się automatycznie.

Jonathan stwierdza, że antropologia jest najwyższym przejawem cywilizacji. Wykład profesora Chapelę, łatwość porównywania zwyczajów Fotse ze zwyczajami Trobriandczyków, Indian Hopi, Inuitów i plemion z gór Karen w Birmie reprezentuje kres długiej podróży, trudnej drogi ku niebotycznym wysokościami, z których można wreszcie obserwować świat i zamieszkujących go ludzi. Wtedy ma się do dyspozycji całą ziemię. Czy jest coś lepszego niż spoglądanie z wysokości na pierwotne doliny? Czy jest lepsze świadectwo własnej pozycji w świecie, dotarcia do końca własnej podróży?

Słuchając Chapelów, naśladuje ich pozy, rozkoszuje się ich swobodą. Słyszy swój angielski głos, proszący Star o podanie sosu chrzanowego, i z niejakim zdziwieniem śledzi ruch jej palców zaciskających się na niewielkiej miseczce i unoszących ją ku niemu.

Lunch kończy się zdecydowanie za szybko. Zostają puste talerze, filiżanki po kawie i zużyte serwetki. Jonathan żegna się z profesorem ceremonialnym „do widzenia”. „Do widzenia” skierowane do Star trwa dłużej i trudniej je powiedzieć. Star całuje go w policzek i obiecuje odezwać się za dzień-dwa. Jonathan wraca do Barabbas College niczym zwycięski książę. Świątuje sukces, spijając Levine'a w barku. Wieczorem obsługa prosi, żeby wyszli. Inaczej zapłacą grzywnę.

Nazajutrz rano skacowany Jonathan czeka na kolejny odcinek swojego nowego życia. Ale Star nie dzwoni. Następnego dnia też nie. Nie dzwoni do końca tygodnia. Wreszcie Jonathan idzie do jej college'u, gdzie dowiaduje się, że panny Chapel już tu nie ma. Postanowiła przerwać studia i założyć w Londynie firmę projektującą wnętrza.

Jonathan stoi osłupiały. Znowu mu to zrobiła. Projektowanie wnętrz? W trakcie lunchu nie wspomniała o tym ani słowem. Taka ważna decyzja - zostawić uniwersytet, zostawić jego... Całkowita odmiana. I nic nie powiedziała. Jonathan daremnie odgrzebuje wspomnienia z restauracji. Daremnie szuka w pamięci jakiejś wzmianki o dywanach czy podgrzewanych wieszakach na ręczniki, czegokolwiek, co mogłoby zapowiadać to wydarzenie. Mówiła dużo o paleniu, które właśnie rzuciła, i o wibracyjnym pasie odchudzającym, na który namawiała ją

przyjaciółka. O projektowaniu wnętrzu ani słowa. Jonathan zachodzi w głowę, czy bliskość odczuwana podczas lunchu była tylko złudzeniem.

Nie widzi Star przez prawie pięć miesięcy. Bez niej czuje pustkę. Jego życie biegnie utartym torem: wykłady, picie, spotkania w klubie dyskusyjnym i obiady, ale jest jałowe, pozbawione sensu. Aż pewnego popołudnia Star staje w drzwiach jak gdyby nigdy nic, jakby rozstali się zaledwie wczoraj czy przedwczoraj. Nadstawia policzek do pocałowania i pyta, czy Jonathan ma zamiar stać tu przez cały dzień, czy też włoży kapelusz i zabierze ją na herbatę.

Jonathan wkłada kapelusz.

Na pierwszy rzut oka widać, że Londyn jej służy. Star ma na sobie komplet, który przypomina dzieło precyzyjnej maszyny, a nie krawca. Szttywna ciemnoszara materia tworzy formę o nienagannych kantach i nienagannej gładkości dokładnie tam, gdzie trzeba. Piękna, znudzona twarz Star, wyrastająca znad kołnierza, przybrała charakterystyczny londyński wyraz, uzyskiwany jedynie dzięki ekspresji ust. Tę londyńską minę naśladowe większość nadążających za modą studentów (z Jonathanem włącznie), ale rzadko kiedy widać ją w tak doskonałym wydaniu, Jonathan wie, że Star obracała się w najlepszym towarzystwie.

Sprawdzają się najgorsze obawy Jonathana. Kawiarnia nie spełnia oczekiwań Star. Choć to ta sama kawiarnia, do której zabrała go w zeszłym roku i której wystrój ani trochę się nie zmienił, teraz wydaje się zagracona niepotrzebnymi dekoracjami w złym guście, a na domiar złego nieznośnie zatłoczona „motłochem”. Słowa „motłoch” Star używa, czyniąc je przeciwieństwem „ludzi”. Na to miano zasługują jedynie osoby z jej najbliższego otoczenia. O ludziach mówi, wymieniając ich tylko z imienia, szczególnie jeśli są znani. Jonathan słucha z namaszczeniem o Davidzie - przedsiębiorczym dramaturgu, Johnie - dowcipnym młodym polityku i Pamelii - cudownej aktorce z teatru muzycznego. Nie pyta, czemu Star wyjechała z Oksfordu. Przynajmniej to jest dla niego oczywiste.

Nagle Star przerywa potok imion. Z udawaną obojętnością pyta Jonathana, jak układa mu się z jej tatą. Jonathan zachodzi w głowę, czy Star interesuje się jego życiem bardziej, niż daje po sobie poznać. Na samą myśl przepelnia go szczęście. Pozbawiony jej towarzystwa, dokonał mądrego posunięcia. Przykleił się do profesora Chapela. Jest stałym słuchaczem jego wykładów, siada z przodu, zadaje szczegółowe pytania, materializuje się po wykładzie przy pulpicie, by sprawdzić pisownię albo wyjaśnić wątpliwości dotyczące bibliografii. Trud się opłacił. Najpierw przyszła nagroda w postaci krótkiej rozmowy, potem przechadzki po Parks Road.

Sporą część wolnego czasu spędzał w Uniwersyteckim Muzeum Przyrodniczym nad kolekcją Pitta-Riversa, skarbnicą eksponatów zgromadzonych przez antropologów,

archeologów i podróżników. Mahoniowe gabloty pękają w szwach od natłoku przedmiotów o różnym przeznaczeniu. Jonathan wypełnił notes tasiemcowatą listą, na której znalazły się: nasiona o magicznej mocy, narzędzia chirurgiczne, chińskie żetony do gry, rogate czaszki Nagów, bawoli róg, wisiołek ladacznicy, hełm ze skóry jeźźówki, zrobiony przez tubylców z Wysp Gilberta, wiedźma w butelce z Gloucestershire, kościany gwizdek Arapahów, komplet sikhijjskich czakr z metalu, marokańskie kafle, norweska pułapka-samostrzał na wilki, maczuga do polowań na foki z penisa morsa, kupieckie ozdoby, odważniki, bransoletki, bumerangi, naszyjniki, peruwiańskie węzłki, kości do gry, talia kart z liści palmowych, kolczyki, kanoe, wojenna flaga z Beninu, taboret z Ashanti, kaduceusz, ochraniacz na penis, tabakierki, przybrudzone pióra, imbryczki, kadzielnice, koronki, szpulki, chińskie pałeczki do jedzenia, łyżki, wachlarze, maty, maski, mandoliny, cytry i trzonki do siekiery, azerskie kilimy, perskie kobierce, turkmeńskie szkatułki, dagestańskie samowary, garnki z Anatolii, kapelusze z Astrachania, gruziński krzyż, laotański Budda, linga, różaniec, naparstki, dzwonki, kule do muszkietu, raki, słupy totemiczne i astrolabium, maoryska maczuga wojenna i grzechotka syberyjskiego szamana. Aby ułatwić porównanie, wszystkie przedmioty ułożono według kryterium przeznaczenia, co pozwala prześledzić wzajemne wpływy, rodzime cechy, przebieg szlaków handlowych i dziedziczenie tradycji. Cały świat stłoczony w jednym pomieszczeniu. Cały świat czekający, aż Jonathan odnajdzie w nim ład i usytuuje siebie samego.

- Twój ojciec i ja świetnie się rozumiemy - mówi Jonathan. - Antropologia to fascynująca dziedzina.

- Cieszę się. Powinieneś się tego trzymać. Pasuje ci to.

- Dziękuję. Co to znaczy, że mi pasuje?

- Tatuś mówi, że jesteś do niego podobny. Poważnie podchodzisz do ras, pochodzenia i przedmiotów.

- Naprawdę?

- A tak nie jest?

- No, jest. Ale wcale nie musi.

- Co masz na myśli?

- Jeśli tobie się to nie podoba.

- Oczywiście, że mi się podoba. Tatuś wychował mnie tak, żeby mi się podobało.

Zwyczajnie i tak dalej - uwielbiam to.

Jonathan uśmiecha się. Co za ulga! Coś w ich rozmowie naprowadza Star na temat Wystawy Imperium zorganizowanej w Wembley (to część Londynu). Star zamierza ją zwiedzić w ten weekend z przyjacielem poetą. Przyjaciel ma ochotę poobserwować motłoch.

Jonathan nie chce dać po sobie poznać zazdrości o poetę i z ożywieniem opowiada o morfologii kultury i roli prymitywnych praktyk w zrozumieniu współczesnej cywilizacji. Star rewanżuje się opisem mieszkania w Mayfair, które udekorowała na modłę wschodnioafrykańskiego domku myśliwskiego, pełnego bambusa i skór zebr. Jonathan rozwodzi się nad ważnością dziedziczenia w formowaniu narodowego charakteru, a potem myśli głośno, czy Wystawa Imperium nie byłaby dobrą okazją do zgłębienia tego problemu. Kiedy Star się tam wybiera? Star marszczy brwi i mówi, że nie wie. To zależy od Selvyna, tego poety. Mieszkanie należy do jego matki. Tak się poznali. Wembley to dziwne miejsce. Nigdy tam nie była. Nikt z jej znajomych też nie. Jonathan znów deklaruje zainteresowanie wystawą. I znów Star go nie zaprasza. Jonathanowi pozostaje tylko prowadzić z samym sobą debatę o ewolucji cech kulturowych i roztrząsać dylemat, czy rozwinęły się niezależnie od siebie, czy też pochodzą z jednego źródła. Zdążył zdefiniować zaledwie kilka podstawowych pojęć, kiedy Star przypomina sobie, że ma wizytę u fryzjera, i wstaje od stolika. Na widok jego przygnębionej miny ciężko wzdycha.

- Och, Jonathan, jaka szkoda, że jesteś taki nudny. To psuje twoją urodę.

Na ulicy Star przywołuje taksówkę i każe kierowcy wieźć się na stację.

- Zobaczymy się za parę dni - mówi.

Jonathan markotnie kiwa głową, pogrążony w smętnych rozważaniach o poniesionej klęsce. I wtedy Star całuje go w usta. Szybko, jakby w roztargnieniu. Zanim Jonathan zdołał wydusić z siebie słowo czy oddać jej pocałunek, Star siedzi już w taksówce. Kiedy odjeżdża, Jonathan nie wie, czy się cieszyć, czy smucić. Pocałowała -go-. Tej nocy nie może spać. Jest nudny czy ładny? A może i jedno, i drugie?

Czy to jakiś problem? Czy powinien się zmienić? Wczesnym rankiem w sobotę, ciągle zdezorientowany, wsiada w pociąg do Paddington. Ma nadzieję, że na wystawie natknie się niby przypadkiem na Star.

Wembley okazuje się cichym przedmieściem niskich domków z cegły, ciągnących się wzdłuż torów Metropolitan Railway. Rzeka zwiedzających płynie ze stacji w stronę nowego stadionu, współczesnej wersji rzymskiej areny, gdzie mogłyby się odbywać wyścigi zmotoryzowanych rydwanów czy pojedynki gladiatorów na pistolety maszynowe. Wokół rozciąga się betonowa kraina fantazji. Rodziny popijają herbatę przy betonowych kioskach, siedzą na betonowych ławkach, ich psy obsikują betonowe podstawy lamp ustawionych po obu stronach szerokich betonowych deptaków. Tłum, przytłoczony wszechobecnością surowej, bezpostaciowej szarości, niezbyt chętnie zażywa relaksu w tak surowym otoczeniu. Strzałki wskazują drogę do Pałacu Techniki, Pałaców Sztuki i Przemysłu oraz Gmachu tego

Królewskiej Mości, potężnych hangarów górujących nad mniejszymi pawilonami, z których każdy poświęcony jest jednej kolonii Imperium. Jonathan spędza przedpołudnie na oglądaniu poszczególnych wystaw. Zatrzymuje się na dłużej przy Chinkach wyrabiających wachlarze i kanadyjskim Inuicie udającym patroszenie wypchanego renifera. W końcu, wsparty o ogrodzenie, przygląda się grupie posepnych Murzynów w szortach khaki, skupionych wokół ogniska przed chatą o stożkowatym dachu. Napis głosi:

WIOSKA FOTSE

ZIEMIA FOTSE

BRYTYJSKA AFRYKA ZACHODNIA

Jonathan patrzy zakłopotany na przykucniętych mężczyzn, na ich obojętne twarze i podarowane przez rząd Jego Królewskiej Mości szorty. Więc to oni są obiektem badań profesora Chapela? Zawsze myślał o Fotse jak o czymś nieokreślonym. Stanowili zbiór pewnych cech, zwyczajów i przedmiotów oderwanych od rzeczywistych ciał. Jako tacy wydawali się nawet godni podziwu: strażnicy przeszłości, kultywujący starożytną mądrość. A tu nagle przerażająca czerń. Jeden z mężczyzn daje mu ręką znak (na pewno wbrew regulaminowi). Reszta odwraca się w jego stronę. Jonathan widzi zaczerwienione gałki oczne, zmatowiałą skórę, czarną jak sadza, mamroczące usta pełne żółtawych zębów, rysy twarzy ordynarne i odrażające. Wykręca się na pięcie i czym prędzej odchodzi, zadowolony z kołnierzyka pijącego w szyję i błysku wypolerowanych butów na chodniku. Jest zły na Star. To przez nią się tu znalazł. Plemiona i geneza człowieka? Kiepski żart. Dlaczego musi tyle czasu spędzać na myśleniu o dzikusach, żeby ją zadowolić? Zupełnie jakby po wypróżnieniu analizował zawartość muszli klozetowej.

W tym nastroju dołącza do ludzi zdążających na stadion, by obejrzyć Pochód Imperium. Na trybunach pustki. Jonathan siedzi sam, od najbliższego widza oddziela go długi betonowy łuk. Na arenie orkiestra wojskowa gra marsza, potem do mikrofonu podchodzi mężczyzna w czarnym krawacie. Jego zwielokrotniony echem głos niesie się po stadionie. „Oto rodzinne przyjęcie Imperium Brytyjskiego! - zaczyna. - Pierwsze rodzinne przyjęcie od czasów Wielkiej Wojny, kiedy to świat otwierał w zdumieniu oczy, że Imperium z setkami języków i ras ma jedno serce i duszę. Witajcie!” Odpowiadają mu skape oklaski.

Spiker schodzi z podium. Żołnierze i skauci przedstawiają narodziny Imperium, ciągnąc na środek areny ogromną platformę z postacią Britannii. Potem obrazują rozrost Imperium w asyście prawdziwych mieszkańców nowo zdobywanych terytoriów. Maoryscy

wojownicy odprawiają rytualne haka, by za chwilę poddać się skautom przebranych za oficerów marynarki. Zulusi biegają wkoło z dzidami i tarczami, potem padają na ziemię, pokonani przez sławną kawalerię królowej Wiktorii. Kawaleria zatacza koła wokół stadionu i strzela ślepych nabojami niczym uczestnicy rodeo na Dzikim Zachodzie.

Zbliża się finałowy numer pokazu. Parada obrazująca dzisiejsze oblicze Imperium. I nagle z bijącym sercem Jonathan dostrzega Star.

Siedzi w łożu w pewnej odległości przed nim w towarzystwie szczupłego ciemnowłosego mężczyzny, który opiera rękę o tył jej krzeselka. Jonathan nie widzi ich twarzy. Kiedy poddani Imperium defilują, pozdrawiając widzów (każda grupa niesie symbole umożliwiające jej zidentyfikowanie), przechodzą dokładnie u stóp obserwowanej pary. Jonathan ma wrażenie, jakby cały spektakl był przeznaczony wyłącznie dla tych dwojga, jakby składano im hołd, który mogą przyjąć lub odrzucić wedle uznania. Wyobraźnia Jonathana zmienia niewidoczną twarz Star w jedną olbrzymią gałkę oczną, chciwie pochłaniającą barwne obrazy. Kiedy pojawia się kontyngent indyjski, Jonathan opuszcza stadion.

Po powrocie do Oksfordu dręczą go wspomnienia wieśniaków Fotse. Chce się od nich uwolnić, broni im dostępu do własnego życia. Dlaczego nie dają mu spokoju? Nadal chodzi na wykłady profesora Chapela, ale teraz czuje się tam nieswojo. Kiedy profesor mówi o tabu i zwyczajach małżeńskich, Jonathan rozgląda się po sali w strachu, że napotka wzrok albo uśmiech kogoś, kto w i e, kto dobrze wie, że jego skażoną krew przywołuje czerń i dzikość. Star go nie odwiedza. Jedynym łącznikiem z nią jest ojciec. Stopniowo Chapel wprowadza Jonathana w krąg swoich najzagorzalszych wielbicieli. To młodzi zapaleńcy, którzy odwiedzają jego przestronny dom w północnym Oksfordzie, by w ogrodzie toczyć burzliwe dyskusje przy kieliszku sherry. Mimo uczestnictwa w antropologicznych dysputach Jonathan czuje, że powinien zrobić coś więcej. Udowodnić swoją lojalność.

W brytyjskiej polityce wrze. Kraj przeżywa pierwszy rok pod rządami socjalistów. Przyjaciele Jonathana są wstrząśnięci. Macdonald i jego szajka już podpisują traktaty z Sowietami. To jawne narzędzia w rękach bolszewików. Tylko patrzeć, jak obalą podstawy brytyjskiej demokracji. W najbliższych miesiącach rozwiążą armię, zmuszą przemysł do przyznania wysokich podwyżek, przeprowadzą czystkę wśród urzędników państwowych i doprowadzą do upadku Imperium. Prawomyślni Anglicy muszą położyć temu kres. Jonathan włącza się do walki. Gardłuje w świetlicy dla studentów pierwszych lat, bierze udział w głośnych wiecach w miejskim ratuszu. Związek Obywateli obwiesza salę flagami. Z gramofonu płyną dźwięki hymnu „Jeruzalem” * [przyp.: Hymn oparty na poemacie Williama Blake’a, często śpiewany przez Brytyjczyków przy okazji patriotycznych zgromadzeń (przyp.

tłum.).], zagłuszając odgłosy bijatyki gospodarzy spotkania z wichrzycielami. Jonathan śpiewa na cały głos. Teraz nikt nie weźmie go za kogoś innego niż za Brytyjczyka z krwi i kości.

Pewnego ranka profesor mówi mu, że Star wyjechała do Paryża i że zastanawia się nad przeprowadzką do Francji na stałe. Jonathan popada w przygnębienie. Kiedy jeden ze znajomych z kręgów politycznych proponuje mu wspólny wyjazd do Londynu na mityng, Jonathan wyraża zgodę w nadziei, że to odwróci jego myśli od Star. Wsiada do pociągu z barwną grupą studentów, wiklinowym koszem z prowiantem i wielkim Union Jackiem, pożyczonym ze studium wojskowego w rodzimym college'u. Kiedy dojeżdżają do Paddington, prowiantu już nie ma, a po korytarzu przed ich przedziałem walają się puste butelki po szampanie. Część towarzystwa intonuje pieśni żeglarskie, co wyprowadza z równowagi konduktora, który grozi, że spíše ich nazwiska.

Ze stacji jadą taksówką na East End. Czynnzowe kamienice przy Marylebone Road i Regent's Park przechodzą w czarne od sadzy kamienice w Islington. Stopniowo domy stają się coraz nędzniejsze, a ulice coraz węższe. Wreszcie docierają do Whitechapel - dzielnicy żydowskiej. Naprzeciw szpitala przy Mile End Road zgromadził się tłum złożony z paruset osób. Wokół prowizorycznego podium wiszą flagi. Z podium przemawia kobieta z zadartym nosem. Trzyma w górze zdjęcie premiera i demaskuje go jako Szczurołapa* [przyp.: Aluzja do bohatera starej niemieckiej bajki, który uwolnił mieszkańców Hameln od inwazji szczurów. Oczarowane dźwiękami fletu gryzonie wyszły za nim z miasta, wskoczyły do rzeki i utopiły się (przyp. tłum.).] narzędzie żydowsko-bolszewickiego spisku. Przyjaciele Jonathana klaszczą i wiwatują. Jonathan też klaszcze i wiwatuje, a potem patrzy na nazwy sklepów za podium: „Silver - koszerne delikatesy”, „Piekarnia u Blooma”, i wyobraża sobie mędrców Syjonu spiskujących między kiełbasami i workami z mąką. Na podium wchodzi teraz starsza kobieta w takim samym mundurze jak jej poprzedniczka. Mówi o potrzebie odbudowania marynarki wojennej oraz konieczności solidarnego przeciwstawienia się wpływom międzynarodowej finansjery żydowskiej. Wygraża pięścią. W jednym z okien na piętrze pojawia się jakaś twarz i natychmiast znika. Aktywiści partii faszystowskiej rozdają ulotki reklamujące wieczornicę z tańcami, a członkowie ugrupowania o nazwie Liga Brytyjskich Robotników sprzedają książki na straganie. Na obrzeżach tłumu nieliczni policjanci bez przekonania próbują powstrzymać demonstrantów przed blokowaniem ulicy. Nim kobieta dochodzi do konkluzji, już ich nie widać.

Gdy trzeci mówca, weteran wojenny z rzędem medali na piersi, nawołuje tłum do obrony narodu przed zagraniczną konkurencją, nagła fala ludzka popycha Jonathana ku podium. Słychać krzyk. Nad jego głową zatacza łuk butelka. Z tyłu wybuchła bijatyka. Podczas

gdy niektórzy próbują się wycofać, inni na nich napierają, by się przyłączyć do rozróby. Jeden z przyjaciół Jonathana w przerażeniu szarpie go za rękaw. Drugą ręką przyciska rozciętą skroń. Przez krótką chwilę tylko oni dwaj są jedynym nieruchomym punktem w całej kotłowni. Odepchnięci przez czarne koszule z kijami i pałkami, torują sobie drogę w stronę podium. Mówców otacza zgraja mężczyzn. Część w mundurach, część z opaskami na ramieniu z napisem „Siły porządkowe”. Jonathan wydostaje się z tłumu. Kiedy odwraca głowę, widzi czerwoną flagę powiewającą nad samym centrum bitwy. Szturm przypuszcza kolejna grupa - młodzi mężczyźni w czapkach, samych koszulach i czerwonych krawatach.

Jonathan czmycha w boczną uliczkę. Przestraszony chłopiec z Oksfordu pędzi za nim. Zgiełk i zamęt nikną nagle jak ucięte nożem. Obaj biegną, aż demonstracja zostaje daleko za nimi. Nikt ich nie ściga.

Godzinę później członkowie oksfordzkiej wyprawy piją piwo w zaciszu pubu Bloomsbury i opowiadają niestworzone historie o zamieszkach oraz liczbie agitatorów, którym dali odpór. Powoli piszą na nowo swoje role, zmieniają się w kogoś innego. Kiedy docierają do college'u, są już bohaterami, niezłomnymi łucznikami o walecznym sercu. Tylko Jonathan milczy. Paraliżuje go wspomnienie tego, co zobaczył, nurkując w boczną uliczkę. Na czele szturmującej grupy stał Paul Gertler.

Długi i powolny proces zdrady zapoczątkowanej w dniu wyrzucenia Paula ze szkoły znalazł dziś kulminację. Jonathan chce biec z powrotem, wyjaśnić Paulowi, że wcale tego nie chciał, że nie czuje do niego nienawiści, nie chce, żeby zginął czy zniknął. „To tylko pozory, Paul; to tylko gra”. Ciągle ma przed oczami twarz przyjaciela, jego przerażenie na swój widok, a potem ból, gniew i odrazę błyskawicznie po sobie następujące. Samotność przytłacza go niczym rzeczywisty ciężar.

Po demonstracji Jonathan zarzuca politykę. Za trudno się w tym wszystkim połapać. W październiku, obrzucona błotem plotek o szpiegach i moskiewskim złocie, Partia Pracy przegrywa wybory. Oksford wydaje westchnienie ulgi. Zdecydowane zwycięstwo konserwatystów przywróciło niebiosom Boga, a światu właściwą hierarchię. Pewnego ranka, krótko po rozpoczęciu nowego semestru, obok dzbanka z kawą Willis kładzie zaproszenie. Selwyn Tredgold ma przyjemność prosić Jonathana Bridgema na cocktail party i czytanie poezji w mieszkaniu lady Tredgold w Mayfair. Na odwrocie jest kilka pospiesznie nabazgranych słów: „Przyjdź, kochany - A.”. W tej samej chwili wszystkie postanowienia Jonathana - zapomnieć o niej, skoncentrować się na nauce - ulegają przedawnieniu.

Wieczorem w dniu przyjęcia Jonathan zjawia się pod wskazanym adresem. Szef domowej służby prowadzi go przez chromowany korytarz, który zdobią imponujące trofea myśliwskie. Z błyszczących ścian zwieszają się rogi, kły, poroża jeleni i całe zwierzęce łby. Nad drzwiami zatłoczonego salonu szczyrzy zębiska goryl. Jonathan oddaje lokajowi płaszcz i wchodzi do środka. Powietrze jest szare od dymu papierosowego. Zwierzęce motywy zdobnicze i figurki (wszystko według pomysłu Star) widać jak przez mgłę. Jakby się patrzyło na kadr z filmu grozy. Od gości bije wyszukana elegancja. Jest wiele twarzy znanych z kronik filmowych i plotkarskich rubryk w ilustrowanych tygodnikach. Jediną osobą, którą Jonathan zna osobiście, jest Levine. Wciśnięty między wypchane żyrafałtko a kompozycję karłowatych palm, usiłuje przekonać sławnego dyrektora teatru do wystawienia jego sztuki. Jonathan przystaje na chwilę obok nich. „Lekka komedia idealnie pasuje do naszych czasów - klaruje Levine. - Napisałem coś w rodzaju jeu d'esprit. Akcja rozgrywa się w akademii dobrych manier dla dziewcząt. Są dwie pary bliźniaczek...”. Dyrektor teatru jest pod wrażeniem. Przeczując sukces, Levine ciągnie swoją opowieść, kwitując obecność Jonathana machnięciem ręki.

Nagle Jonathan widzi Star. Pędząc ku niemu, omal nie przewraca kelnera z tacą pustych szklaneczek po whisky z wodą sodową.

- Bogu dzięki, że jesteś! - syczy. - Umieram z nudów. Selwyn będzie czytał swoją elegię. Zaprosił mnóstwo krytyków, wydawców i ludzi. A może to eulogia? Mniejsza z tym. Marzy o spotkaniu z tobą. Idziemy do niego. Gdzie twój drink?

Jonathan nie ma drinka, więc Star wręcza mu koktajl, coś nowego, amerykańskiego, z mnóstwem dżinu. Nie pytając, co u niego, nie zdradzając ani słowem, jak minęło jej ostatnie pół roku, holuje Jonathana w stronę Selwyna, który wsparty o wielki fetysz z kości słoniowej rozmawia z grupką literackich znakomitości. Gdy Star i Jonathan stają obok, Selwyn robi kwaśną minę. Nie sprawia wrażenia, że marzy o spotkaniu z Jonathanem. Star przedstawia ich sobie. Selwyn rzuca zdawkowe: „Jak się masz?” i lekko dotyka palców Jonathana swoimi palcami.

- Ważne - podejmuje przerwany wątek, zwracając się znów do kobiety o haczykowatym nosie, przystrojonej w jedwabny turban monstualnych rozmiarów - by wyzbyć się nadziei. Jeśli tego nie zrobimy, negujemy czasy, w jakich przyszło nam żyć. Doświadczamy fatalnych następstw przeszłości. Czy jest dla nas jakaś nadzieja?

Słuchacze wydają z siebie pomruk aprobaty. Selwyn zagłębia się w temat. Mówi o potrzebie nowego modelu człowieka, nowego modelu społeczeństwa i nowego modelu sztuki, oferując siebie i swoją poezję jako „prototyp”, Jonathan po raz pierwszy ma okazję przyjrzeć się rywalowi z bliska. Selwyn jest niski i śniady. Przypomina dzikusa. Kiedy mówi, pomaga

sobie wolnymi gestami chudych rąk. Braki w prezencji nadrabia wyjątkową pewnością siebie. Promieniując nią na cały salon, urabia słuchaczy, jak chce. Wszystkim wydaje się oczywiste, że jest wielkim pisarzem.

Star nie przejawia zainteresowania przemową Selwyna. Sączy drinka i roztargnionym spojrzeniem ogarnia salon. Jonathanowi wydaje się piękniejsza niż kiedykolwiek. Ma upudrowaną twarz i ponętnie umalowane usta. Odslaniająca plecy suknia z tkaniny imitującej tygrysią skórę zaskakująco kontrastuje z angielskim różem jej własnej skóry. Efekt przyprawia o zawrót głowy. Wygląda jak dziewczyna atakowana przez dzikie bestie. Po jakimś czasie Star odciąga Jonathana od literatów i wreszcie pyta, co porabiał „w starym nudnym Oksfordzie”. Selwyn zdaje się nie zauważać, że zniknęli. Jonathan uświadamia sobie, że nie odezwał się do Star ani słowem, prawie na nią nie patrzył, kiedy stali obok. W nagłym przypływie entuzjazmu rączy ją opowieściami o przyjaciółach z college’u. Skupia się na rzeczach zabawnych i interesujących, naśladując jej zwyczaj nazywania ludzi tylko z imienia i starając się unikać tematów, które mogłyby ją nudzić. Przez jakiś czas nawet mu się udaje, ale imiona jego kolegów nie dorównują imionom jej przyjaciół. Wkrótce Star zaczyna nerwowo manipulować przy naszyjniku i zwracać tęskny wzrok ku pustej szklaneczce.

Na środek salonu wychodzi szykowna kobieta i dzwoni małym, srebrnym dzwoneczkiem. To lady Tredgold prosi swoich gości o uwagę i ogłasza nadejście głównego wydarzenia wieczoru. Jej syn przeczyta teraz fragment utworu „Zmierzch kontynentu”, który niebawem ukaże się w druku. Selwyn wchodzi na rzeźbiony podnózek z drewna. Teatralnym gestem wyciera okulary w metalowej oprawie i zakłada na nos. Z kieszeni marynarki wyjmuje notes, chrząka i zaczyna deklamować donośnym, nosowym głosem:

Hej!

Hej!

Złowróźbny Mars

Przesłania

Sierp

Księżycy

Uzbrojeni, okrutni

Ludzie

Nowej epoki

Wykujmy

Nasze miecze

Na nowo

Hej!

W salonie panuje nastrój powagi. Kilku młodych mężczyzn przybrało pozę najwyższego skupienia. Zasłonili oczy, kostkami palców wwiercają się w skronie. Selwyn wczuwa się w rolę coraz bardziej, jego głos drży z emocji.

Ludzie epoki

Elektryczności

Les heaux, les dynamistes

Wyszydźmy

Wyśmiejmy

Kołtuńskich

Tradycjonalistów

Krytyków

Niech zapłaczą

Hej!

Po odważnej wzmiance o krytykach Selwyn zawiesza głos i omiata salon baczny spojrzeniem. Star jest nieporuszona.

- Zawsze ich upchnie w swoich wierszach - szepcze do Jonathana. - Ponoć lubią wiedzieć, że o nich myśli. - W miarę jak Selwyn łaje i wyśmiewa następne grupy społeczeństwa, Star zaczyna się niecierpliwić.

- Wiesz - mówi teraz głośno - on ma świetny wzrok. Okulary nosi, żeby robić wrażenie.

Parę osób odwraca głowy. Jonathan zauważa, że Star zaczęła nieco bełkotać. Kiedy Selwyn diagnozuje niepoetyczne klasy społeczeństwa, które nie są godne „Lizać butów/ synom jutra/ świetlistym/ i nowym”, Star wzdycha ciężko i przestępuje z nogi na nogę. Wreszcie wychodzi z salonu. Wraca w towarzystwie kelnera, usiłującego otworzyć nową butelkę szampana. Przy ostatniej zwrotce: „Nadchodzi zmierzch Europy/ rozbijmy nasze liry/ Hej!”, Star strzela korkiem, który przelatuje tuż obok głowy recytatora i trafia w ścianę. Selwyn robi nagły unik, traci równowagę i spadając z podnóżka, potraça matkę. Lady Tredgold posyła Star mordercze spojrzenie. Jej policzki i czoło płoną wszystkimi barwami świętego oburzenia, od

ciemnego fioletu po karmazyn.

- Mój Boże! - woła Star.

W salonie panuje martwa cisza. Poeci georgiańscy którzy na znak protestu wobec użycia wolnego wiersza ruszyli do wyjścia, wracają, by sprawdzić, co się dzieje. Ktoś zaczyna klaskać i przerywa, wystraszony miną lady Tredgold. Star podaje Jonathanowi butelkę i zakłada obie ręce do tyłu.

- Jonathan - mówi z przyganą w głosie - nie powinieneś dawać mi takich rzeczy do otwierania. Strzelają bez ostrzeżenia.

Lady Tredgold przenosi bazylijski wzrok ze Star na Jonathana. Potem znów na Star. Niełatwo ją wyprowadzić w pole. Domyśliwszy się, że fortel zawiódł, Star wrywa Jonathanowi szampana. Potem łapie płaszcz, łapie Jonathana za rękę i rusza ku wyjściu. Gdyby Jonathan był odrobinę mniej skonfundowany, ich odwrót przebiegłby bez zakłóceń. Ale on nie jest pewien, dlaczego wychodzą, i trochę się ociąga. Selwyn pojawia się na frontowych schodach, gdy oboje usiłują złapać taksówkę. Star rzuca w niego butem.

- Wynoś się! - krzyczy.

Selwyn schodzi niżej. Jest wściekły.

- Dlaczego to zrobiłaś? Nie mogę w to uwierzyć. Widziałaś, że ludzie wychodzą? To była moja chwila. To miał być mój sukces de scandale, a ty mi go zabrałaś. Teraz wszyscy mówią o tobie, ty... ty... suko!

Jonathan robi krok naprzód.

- Nie mów tak do niej.

- Mogę mówić, jak mi się podoba.

- Żądam przeprosin.

- Nic z tego.

Jonathan rzuca spojrzenie na Star. Dziewczyna nie zwraca na nich uwagi. Stoi na ulicy i macha na przejeżdżające samochody butem, który jej został. Kiedy Jonathan odwraca się do Selwyna, ten uśmiecha się szyderczo.

- Rozczarujesz się.

- Nie rozumiem.

- Rozczarujesz się nią.

- Zamknij się, Selwyn! - wrzeszczy Star. Obok niej zatrzymuje się taksówka. - Świnia z ciebie - dodaje i wsiada. Jonathan chce do niej dołączyć.

- No, dalej! - woła za nim Selwyn. - Leć za nią! Obieca wszystko, a potem nie pozwoli się dotknąć.

- Jak śmiesz! - krzyczy Star i wysiada.
- Nie mów tak do niej - powtarza Jonathan.
- Nie zrobi tego z tobą, Bridgeman. Jest zimna. Nie pozwoli ci się tknąć.
- Świnia! - krzyczy Star.
- Cholerna cnotka. Nawet ręką...
- Świnia!
- Suka!
- Świnia!

Dopiero pojawienie się na schodach czwartej osoby kładzie kres awanturze.

- Selwynie Arthurze Tredgold, wracaj natychmiast!

Wstyd, jaki przynosi jej syn, awanturując się na ulicy niczym członek klasy robotniczej, wywołuje na twarzy lady Tredgold fioletowy rumieniec, który ociera się o granice widzialności. Jej posągowa sylwetka budzi lęk. Selwyn wygląda, jakby uszło z niego powietrze.

- Dobrze, mammo.

Korzystając ze sposobności, Star i Jonathan wskakują do taksówki i krzyczą na kierowcę, by jechał najszybciej, jak może. Kiedy są już bezpieczni, wybuchają śmiechem. Co za ulga! Star całuje go w policzek.

- Naprawdę, Jonathan, nie mogę cię zabrać. Jego serce wlatuje ponad dach taksówki.

Po tym wydarzeniu Jonathan widuje ją prawie codziennie. Star przyjechała do Oksfordu pomieszkać trochę z ojcem. Twierdzi, że Londyn ją zmęczył. Według Levine'a Londyn też ma jej trochę dosyć. „Sprawa Tredgolda” to zaledwie jedno ogniwo w łańcuchu podobnych incydentów. Londyński świat sztuki nie przepada za bohema, chyba że czyta o niej i że bawią się w nią cudzoziemcy.

- Wiesz, Johnny - mówi Levine - to nie jest dziewczyna dla ciebie. Za swobodna. Zobacz, co zrobiła z biednym Treddersem. To cień człowieka, zrozpaczony cień. Usycha z tęsknoty, nie może pracować.

Porządny z ciebie facet. Czemu nie znajdziesz sobie skromnej i przyzwoitej dziewczyny, która jeździ konno i może ci partnerować w brydżu? Zapomnij o Astarte Chapel. Fakt, jest niezła, ale skończy u boku jakiegoś cudzoziemca. Zapamiętaj moje słowa.

Jonathan mówi Levine'owi, żeby pilnował swojego nosa. Rozstają się w gniewie.

Według Jonathana Star jest idealną dziewczyną dla niego. Na dodatek pierwszy raz wydaje mu się, że ona czuje to samo. Pomaga jej załatwiać sprawunki na Cornmarket, gdzie ścigają go zazdrosne spojrzenia młodych mężczyzn. Wspaniała nagroda! W kolejce po bilety

przed kinem przy George Street Star pozwala mu trzymać się za rękę. Siedząc w ostatnim rzędzie, całują się. Na urodziny daje mu lakierowane spinki do mankietów w kształcie murzyńskich jazzmanów - saksofonisty i trębacza.

To ważne urodziny. Jonathan kończy dwadzieścia jeden lat. Jest pełnoletni. Pan Spavin podejmuje ostatnią próbę namówienia go do zajęcia się prawem, ale ostatecznie przyznaje, że przegrał. W trakcie rzeczowej rozmowy w kancelarii wygłasza kazanie o roztropności, przezorności, zapobiegliwości i spodziewanych wysokich notowaniach akcji pewnej kanadyjskiej firmy pozyskującej drewno. Potem przekazuje Jonathanowi odziedziczoną sumę - kilkaset funtów. Kiedy wymieniają uścisk dłoni, Jonathan unika jego spojrzenia. Czuje się winny z powodu tamtego Bridgema, który anonimowo stracił życie w Bombaju.

Poczucie winy nie trwa długo. Znika bez śladu w drodze powrotnej do Oksfordu. Jonathan urządza urodzinową kolację w apartamencie w hotelu Randolph. Astarte Chapel jest honorowym gościem. Otoczona nadskakującymi jej studentami, bryluje w towarzystwie, jakby to były jej urodziny. Po przyjęciu pijany Jonathan odprowadza ją do domu. Manewruje tak, by znaleźli się w strefie bezpiecznego cienia. Początkowo Star opiera się jego pocałunkom, potem zarumieniona i zdyszana odsuwa jego rękę. Ale między jednym a drugim jest chwila, o którą Selwyn Tredgold byłby dziko zazdrosny.

W tym semestrze Jonathan jest zwycięskim bohaterem. Świat leży u jego stóp. Widzi swoją przyszłość jako złotą nić ciągnącą się aż po horyzont. Popołudniami, kiedy powinien przygotowywać się do egzaminów końcowych, wypełnia czas i przestrzeń obrazami pełnych zachwyty twarzy interesująco urządzonych wewnątrz i Astarte Chapel, dumnej, lecz uległej u jego boku. Bardzo dobrze sypia. Kiedy Chapelowie zapraszają go do siebie na Boże Narodzenie, uważa to za znak.

*

W wiejskim kościele Jonathan gorliwie śpiewa kolędy. W ustach czuje jeszcze słodki smak najlepszego porto profesora. „Myyy trzej królowie...”. W środku świece i witraże, na zewnątrz rześkie powietrze wigilii Bożego Narodzenia w Cotswold. Przed nim jeszcze trzy dni raj. Nieskazitelnie biały skrzypiący śnieg okrywa łagodne zbocza wzgórz, te same, które oglądały dziesiątki pokoleń angielskich kobiet i mężczyzn ściskających dłonie swojego pastora. Star, „Gwiazda cudowna”, idzie obok niego ścieżką. Z jej ust buchają kłęby pary. Przez wilgotną rękawiczkę Jonathan czuje ciepło jej ręki. Kiedy profesor zasypia przy kominku, oboje wślizgują się do pogrążonego w ciemnościach lodowatego hangaru, rozpalają koks w koszu, zestawiają wiklinowe krzesła i wsłuchują się w szemranie rzeki po drugiej stronie drzwi. Potem rozsuwają poły płaszczy, rozpinają guziki, uwalniają rozgrzaną skórę spod warstw ubrań. Ręce Star sięgają do wnętrza spodni Jonathana. Jonathan zadziera jej halkę, całuje jej twarz, ucho, szyję. Star ociera się o niego coraz mocniej, ściska udami jego udo, wije się i jęczy. „O tak - dyszy, gdy czubki palców Jonathana zagłębiają się w nią - tak, wielki ogierze, zrób to, zrób ze mną rożka z dżemem, kochanie!”. Jonathan, z twarzą zanurzoną w jej piersiach, nie słyszy nic prócz szumu krwi. „Hm?” - sapie, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Star gubi rytm. „Nic takiego. Nie przestawaj. To jak... jak piosenka - jęczy. - Nie przestawaj, proszę”. Jonathan nie przestaje. Podnosi wzrok i patrzy na jej twarz, która w słabym świetle mieni się czerwienią i złotem. Star ma zaciśnięte powieki. To go niepokoi. Jakby nie była z nim, jakby wyobrażała sobie... Ale Jonathanowi nie jest dane dokończyć tej myśli. Nagle zamknięte oczy otwierają się szeroko. Star nieruchomieje w jego ramionach. „O Boże - mówi - to mój ojciec”. Ma rację. Ojciec wola ją w ogrodzie. Jego głos słychać coraz bliżej.

Reakcja Jonathana i Star jest błyskawiczna. Kilka chwil później już kompletnie ubrani znajdują się w połowie drogi do domu. Na ich twarzach doszukać się można jedynie anielskiej niewinności. Profesor chyba niczego nie zauważył.

- Tu jesteś, Astarte. Co, u licha, robiłaś w hangarze? Przykro mi, ale porywam pana Bridgema. Musimy omówić parę spraw.

- Myślałam, że śpisz, tato.

- Spałem. Ale teraz przyszedł czas na interesy. Idziemy, chłopcze.

Jonathan niechętnie daje się prowadzić do gabinetu. Profesor chodzi tam i z powrotem z udręczoną miną. W tych dniach trudno nawet o spokojną drzemkę. Ostatnio znów jest gorzej. Świat wypełnia się analogiami, łańcuchem podobieństw i znaczeń, które uniemożliwiają wykonanie najprostszej czynności bez rozpraszania uwagi. Chęć zajęcia miejsca za biurkiem wywołuje kaskadę skojarzeń i zmusza do serii na wpół bezwiednych rytuałów. Jonathan patrzy

osłupiały, jak profesor, mamrocząc coś pod nosem, wprawia w ruch stary drewniany globus w kącie gabinetu. Ściąga z półki oprawione roczniki „Puncha”, czyta na głos trzy polityczne dowcipy, rozgarnia płonące drwa w kominku, podejmuje zawstydzająco nieudaną próbę dotknięcia palców u nóg, zakręca globusem przeciwnie do ruchu wskazówek zegara i pospiesznie, jakby w poczuciu winy, opada na krzesło. Po paru minutach ustawiania przedmiotów na biurku w rzędy i odkładania ich na poprzednie miejsce, podnosi wzrok i przyciska palce do skroni.

- Co to ja chciałem powiedzieć?

- Nie wiem, panie profesorze. Profesor Chapel marszczy brwi.

- Masz rozpięty rozporek. Jonathan pąsowieje i zapina, co trzeba. Mars na czole profesora jeszcze się pogłębia.

- Myślałem o czymś, Bridgeman. Uważam cię za wyjątkowo inteligentnego i pojętego młodzieńca.

- Dziękuję panu.

- Jesteś nam bliski. Nie tylko mnie, ale i mojej córce.

Serce Jonathana zaczyna walić jak oszalałe. Czyżby chodziło o jego zamiary wobec Star?

- Czuje, że rozumiesz sens mojej pracy i że byłbyś doskonałym...

- Tak, panie profesorze?

- ...towarzyszem w długiej podróży. Bridgeman, nadszedł czas kolejnego wyjazdu do krainy Fotse. Mam zamiar wyjechać latem, po zakończeniu semestru. To będzie długa wyprawa, ponad pół roku. Chciałbym, żebyś był moim asystentem.

- Pańskim asystentem?

- Zgadza się. To jest, jeśli Astarte mi cię użyczy.

Profesor wybuchają śmiechem. Jonathan mu wtóruje, pokrywając nagły przypływ lęku. Kraina Fotse? Przypominają mu się mężczyźni o zaczerwienionych oczach, przycupnięci przed chatą na Wystawie Imperium. Nagle gabinet wydaje mu się wilgotny i chłodny.

- I co ty na to, mój chłopcze?

Co on na to? Nic mu nie przychodzi do głowy.

- Dziękuję, panie profesorze.

- W takim razie jesteście umówieni. Wracaj do tego, co wam przerwałem. Na pewno nie zamierzaliście pływać łódką, prawda? Nie teraz. Jest środek nocy.

Jonathan wychodzi z gabinetu w stanie kompletnego oszołomienia. Kraina Fotse? Tak jakby ziemia przechylała się na boki, by strącić go w miejsce, do którego (czuje to wyraźnie)

nie może jechać. Rozgląda się za Star. Chce jej powiedzieć, co się stało. Ale Star już śpi. Przez ponad godzinę Jonathan siedzi samotnie w hangarze, wsłuchany w plusk rzeki ginącej w czerni nocy.

W ostatnim dniu roku siedzą oboje na ławce w ogrodzie Barabbas College. Warden zaprosił ich na przyjęcie. Kwartet smyczkowy gra Haydna. Jonathan się uśmiecha. Star macha nogą. Precyzja muzyki trafia do nich obojga. Wkoło goście z kieliszkami szampana w rękach toczą optymistyczne rozmowy. Profesor jest gdzieś w środku, w bezpośredniej bliskości bufetu. Wszyscy z niecierpliwością czekają, aż wybije północ, kiedy to służby odpalą pierwsze fajerwerki i zacznie się pokaz sztucznych ogni. Od tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego dzieli ich niespełna minuta.

- Och, Star - mówi Jonathan.

- Och, Johnny - mówi Star.

- Jestem taki szczęśliwy.

- Naprawdę?

- Czemu pytasz? Ty nie jesteś?

- Oczywiście, że jestem. Słuchaj. Zbliża się.

Ludzie zaczynają odliczać: „Trzydzieści... dwadzieścia...”. Wrzawa rośnie, gdy goście wysypują się z budynku. Szef służby przykłada niezgrabnie na jedno kolano i osłania dłonią zapalniczkę. Po chóralnym: „Zero!” odpala. Rakietę strzela w górę i eksploduje białą kaskadą ognia nad kaplicą. Słychać wiwaty i brawa. Jonathan bierze Star w ramiona. Wokół nich goście poklepują się po plecach i wymieniają energiczne uściski dłoni. Star nigdy nie była równie piękna.

- Kocham cię - mówi Jonathan i całuje ją. - Kochanie, to cudownie - mruczy Star.

- Tak? Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście, Johnny. Myślę, że to absolutnie cudowne.

- Więc zgadzasz się?

- Na co?

- Ale idiota ze mnie. Wszystko mi się poplątało. Wyjść za mnie. Wyjdiesz za mnie?

- Och, Johnny, najdroższy.

- Więc wyjdiesz za mnie?

Star patrzy na fajerwerki, które wzlatują w niebo, patriotycznie rozpryskując się na czerwone, białe i niebieskie rozety.

- To chwila bliska doskonałości, nie sądzisz? My w ogrodzie, fajerwerki, przyjęcie i wszystko wokoło.

- Powiedz tak, Star. Po prostu powiedz tak.

- Cóż, Johnny... Chodzi o to, że znowu wyjeżdżam.

Jonathan jest zdruzgotany.

- Wyjeżdżasz?

- Nie patrz tak na mnie. Wracam do Paryża. Jest tam pewna wspaniała Amerykanka, pani Amelia DeForrest z Chicago. Zakładamy wspólny interes. Ona ma mnóstwo pieniędzy i bardzo chwali moje projekty. Powiedziałam, że pozwolę jej zająć się tkaninami, reszta będzie należała do mnie.

- Interes?

- Tak, zgadza się. Interes. Naprawdę, Johnny chciałabym, żebyś nie mówił tego takim tonem, jakby chodziło o coś nieprzyzwoitego. Mnóstwo dziewcząt się tym zajmuje.

- Wybacz. Kiedy... Kiedy jedziesz?

- Niedługo. Za miesiąc, może za dwa. Ty i tata możecie odwiedzić mnie w drodze do Fotse.

- Jak możesz... Po tym wszystkim... Myślałem... Mówiłaś, że...

- Jakiś ty słodki. Taki nadaśany i zawiedziony. To, że będę w Paryżu, wcale nie oznacza, że o tobie zapomnę. Przecież jesteś taki śliczny. I taki grzeczny.

- Ale ja chcę być z tobą.

- Możesz być ze mną po powrocie z Afryki. Kiedy skończysz pomagać tacie, powinieneś przyjechać do Paryża. I zostać. Tam jest o wiele lepiej niż w Londynie. Ludzie mają wyśmienity gust. No i te cudowne nocne kluby... Nie musisz kłaść się spać, jeśli nie masz ochoty.

- Zastanowisz się nad tym, co ci powiedziałem?

- Jasne, Johnny. Jestem wzruszona. A teraz musimy poszukać taty. Rano Jonathanowi pęka głowa, a wspomnienia z przyjęcia są tak niewyraźne, że nie pamięta, czy powinien się cieszyć, czy smucić. Powiedziała, że go kocha, czyż nie? Tak czy siak, są po słowie. On i Astarte Chapel są praktycznie zaręczeni. To chyba tajemnica. W takich sprawach dyskrecja jest tradycją. Ale to wcale nie znaczy, że nie może podzielić się tą informacją z przyjacielem. Kilka dni po Nowym Roku Jonathan je lunch z Levine'em.

Na początku nowego semestru cały uniwersytet już wie: Bridgeman jest zaręczony z panną Chapel. To nie wszystko. Będzie asystentem jej sławnego ojca na następnej wyprawie. Zwykły student! Trudno powiedzieć, co budzi większą zazdrość wśród koterii młodych

naukowców z otoczenia profesora: praca czy dziewczyna. W bibliotece słyszy się kąśliwe uwagi. Ludzie, których Jonathan uważał za swoich przyjaciół, traktują go jak powietrze. „To cena sukcesu, stary - twierdzi Levine. - Nie możesz oczekiwać, że innych uszczęśliwi coś takiego”. Mówi tonem człowieka doświadczonego. Jego sztuka będzie wystawiona w Londynie. Uniwersyteckie sfery teatralne jawnie okazują piekącą zazdrość.

Kiedy czasopismo studenckie drukuje karykaturę Jonathana w wielkim kotle, otoczonego zgrają szczerzących zęby kanibali, jego obawy znikają. Jest sławny. „Elegancik” Bridgeman Afrykański. Kochanek i odkrywca. Wycina rysunek i posyła Star, która odpisuje, że narysowali mu za duży nos. Nadchodzi dzień, w którym Jonathan odprowadza ją na dworzec Waterloo. Całują się cnotliwie. Jonathan obiecuje, że zobaczą się w czerwcu, kiedy z jej ojcem będą przejeżdżać przez Paryż w drodze na statek płynący z Marsylii. Smagany wiatrem, ale dumny, stoi na peronie jeszcze długo po odjeździe pociągu. Inni ludzie musieli zauważyć, że miota nim wielka namiętność, że jest bohaterem gorącego romansu. Ku jego rozczarowaniu, pasażerowie szukający swoich wagonów okazują całkowitą nieczułość wobec jego przeżyć.

Po wyjeździe Star trzeba zabrać się do pracy. Przygotowania do końcowych egzaminów walczą o pierwszeństwo z nauką hausa, języka Fotse. Jonathan uczy się podstawowych, użytecznych zwrotów („Gdzie jest konsul?” „Chciałbym na obiad jagnięcinę”) i spędza kilka wieczorów nad jedynym znanym słownikiem języka Fotse (własnością profesora Chapela), skompilowanym przez ojca Antoine’a Bertranda, dziewiętnastowiecznego francuskiego jezuitę, ściętego później przez jednego z miejscowych emirów. Wygląd manuskryptu każe przypuszczać, że już w trakcie pisania Bertrand obawiał się o swoje

bezpieczeństwo. Charakter pisma jest trudny do odczytania, a dobór przykładów tak cudaczny, że dla potrzeb nauki języka tekst wydaje się całkiem bezużyteczny. Zdania obracają się głównie wokół szans i możliwości, jedna strona dotyczy czarnej magii: „Opanował mnie zły duch / dobry duch/ duch nienarodzonego cielęcia / gza / akacji...”. Jest coś deprymującego w krainie, w której człowiek może zostać opanowany przez ducha jakiegoś krzewu. Jonathan przepisuje te wyrażenia do notesu, takiego samego, jakiego kiedyś używał do zapisywania obserwacji na temat istoty angielskości.

On i profesor Chapel nie będą jedynymi członkami ekspedycji. Pewnego wieczoru zostaje zaproszony przez nowych kolegów: doktora Morgana i doktora Gittensa na obiad przy stole dla wykładowców w Jesus College. Jego krótka studencka toga marnie prezentuje się na tle obfitych fałd szat starszych uczonych, którzy chyłą głowy w trakcie dziękczynnej modlitwy. Siedząc między dwoma młodymi wykładowcami, Jonathan jest spięty. Patrzy na długie stoły refektarza i czuje na sobie spojrzenia studentów, którzy szepczą między sobą i pokazują go

jeden drugiemu.

Morgan jest uprzejmy i przystępny. Rosły Walińczyk o zapadłych policzkach bardziej przypomina farmera niż naukowca, i nic dziwnego. Specjalizuje się w rolnictwie. Nalewa Jonathanowi szklaneczkę bordo i chwali urodę krów odmiany Herefordshire, wśród których upłynęło mu dzieciństwo: ich odporność, łagodne białe mordy, cudowną właściwość zamieniania zielonej trawy w chude czerwone mięso. To jego pierwsza podróż do Afryki, gdzie ma nadzieję z bliska przyrzeć się bydłu krótkorogiemu i rolnictwu ludu Fotse. Gittens też będzie pierwszy raz w Afryce. Nie jest tak miłym towarzyszem jak Morgan. Specjalista w dziedzinie obrzędów inicjacyjnych, nieprzychylnie odnosi się do udziału Bridgema w wyprawie. „Ile masz lat? - pyta. - Co opublikowałeś?”. Kiedy Jonathan odpowiada, że nic, Gittens prycha pogardliwie. „Pozwolisz, że spytam - mówi zgryźliwie - co właściwie będziesz robił w krainie Fotse?”. Jonathan nie ma gotowej odpowiedzi.

Tymczasem profesor Chapel ma jasną wizję roli swojego asystenta. Ekspedycje pełnią ważną funkcję. Są pretekstem do ucieczki z Oksfordu. Ale ich przygotowywanie jest męczące, dlatego powinno być komuś zlecone. Jonathan ma zorganizować podróż, sprzęt i zapasy. Profesor wysyła go do Walters & Co. przy Turl, by zamówił lampy sztormowe, namioty, wiklinowe kosze oraz przenośne umywalki. Jonathan kupuje łóżka polowe z zielonego brezentu, cynowe miednice, siekierki i składane stołki, mydło do prania, komplety sztućców, noże w pochwie i wyposażenie kuchni, które zajmuje cztery stalowe skrzynie. Do tego dochodzi jeszcze namiot kuchenny i wodoszczelna apteczka, pełna małych buteleczek z miksturami mającymi leczyć skutki niestrawności. Dla siebie Jonathan kupuje koszule khaki, krótkie spodnie i sztylpy, parę wysokich butów, dwa komplety bielizny z cieniutkiej wełny, korkowy hełm do noszenia w obozie i kapelusz z szerokim rondem na polowania. Na ladzie rośnie stos sprawunków. Sprzedawca wysyła swoich pomocników po następne arkusze papieru pakowego. Sugeruje Jonathanowi, że powinien zadbać o własne zdrowie. Za jego namową Jonathan dokupuje flanelowy pas przeciw cholerze, chroniący brzuch przed nadmierną wilgocią, i ochraniacz na grzbiet, zapobiegający szkodliwemu działaniu promieni słonecznych. Apteczka zostaje uzupełniona bandażami i termometrem. Na koniec Jonathan wybiera ciemne okulary w metalowej oprawce. Zakłada je i patrzy na swoje odbicie w lustrze. Wygląda groźnie i tajemniczo. Jak mucha.

Dzień przed egzaminem końcowym jedzie do Londynu, gdzie kupuje sportowe strzelby i amunicję. Patrząc, jak sprzedawca odlicza naboje na ladzie z drzewa tekowego, po raz pierwszy uświadamia sobie, co robi. Wszystko, czego chciał, to komfortowe życie w Anglii, życie przedstawione na kartkach pocztowych przypiętych nad umywalką w Bombaju. Teraz to

porzuca. W imię czego? Powtarza sobie znowu - dla Astarte Chapel. Po omówieniu sprawy dostarczenia broni jedzie taksówką na Regent Street i kupuje pierścionek zaręczynowy. Skoro wyjeżdża do Afryki, będzie miał przynajmniej powód, żeby wrócić.

Egzaminy mijają nie wiedzieć jak. Jonathan nie potrafi skupić się na rekonkwiescie czy splądrowaniu Rzymu. Za parę dni zobaczy Star! Gryzmoli odpowiedzi na kartkach, nie przejmując się zbyt treścią ani tym, czy daty odpowiadają opisywanym wydarzeniom, czy też wymyślił je, pochłonięty studiowaniem cen biletów i rozkładu rejsów. Czasem zupełnie odpływa myślami. Wysokie sufity sal egzaminacyjnych przenoszą go daleko stąd, wyobrażnia podsuwa obrazy, o których sądził, że zniknęły na zawsze: mroczne pałacowe korytarze, zapach dżinu i soku z limonki. Oksford wydaje się tymczasowy i bardzo kruchy. Po ostatnim egzaminie porywa go tłum studentów obrzucających się mąką i popijających szampana wprost z butelki. Z uniwersytecką czapką w ręce Jonathan biegnie brukowanymi ulicami. Mijane budynki wydają mu się równie nierzeczywiste, co teatralne dekoracje.

*

Pociąg sunie przez hrabstwo Kent, zielone i radosne jak hymn. Profesor siedzi z gazetą złożoną na kolanach i uśmiecha się szeroko jak uczeń.

- Jedziemy, co, Bridgeman? Nareszcie jedziemy!

Między Waterloo i Dover to jedyne słowa, które powtarza w regularnych odstępach czasu. „Jedziemy, Bridgeman. Jedziemy”. Za każdym razem zaciera wtedy ręce. Wreszcie Jonathan czuje, że powinien coś powiedzieć.

- Widać, że jest pan bardzo zadowolony z wyjazdu, panie profesorze.

Chapel posyła mu zgorzone spojrzenie.

- Zadowolony? - powtarza takim tonem, jakby było w tym coś zdrożnego.

W Dover czekają na nich Gittens i Morgan. Przez kilka godzin cała czwórka nadzoruje pakowanie bagaży ekspedycji do wielkich klatek. Morgan zaofiarował się, że odeskortuje ładunek do Marsylii, ale Gittens jedzie z nimi do Paryża, co skutecznie psuje Jonathanowi humor. Kiedy biega po składzie celnym ze spisem ładunków i konosamentem, Gittens śledzi każdy jego ruch z protekcjonalnym uśmieszkiem w kąciu ust. Na promie rozmawia tylko z profesorem Chapellem i rozmyślnie obcina Jonathana za każdym razem, gdy ten chce do nich dołączyć. Zanim dopływają do Calais, wyraźnie daje do zrozumienia, że uważa go za gorszego od siebie, bardziej za ordynansa profesora niż akademickiego kolegę.

W porcie znudzeni francuscy urzędnicy ledwo rzucają okiem na dokumenty. Przez wysoką halę odpraw kierują ich w stronę dworca, skąd odjeżdża ekspres do Paryża. Odnajdują wagon przesłonięty kłębami pary. Ledwo zajmują miejsca w przedziale, gdy rozlega się przeciągły gwizd. Wraca rytm przerwany na jakiś czas przez prom. Za oknami migają kobierce rozległych pól. Gittens rozprawia o architekturze Notre Dame, potem rzuca nazwisko antykwariusza sprzedającego książki przy rue Saint-Jacques. Najwyraźniej chce się pochwalić znajomością Paryża, miasta, w którym był „wiele, wiele razy”. Profesor Chapel słucha z zainteresowaniem. Zirytowany Jonathan idzie do wagonu restauracyjnego.

Zjawia się kelner, by przyjąć zamówienie. Gdy tylko Jonathan otwiera usta, gładko przechodzi na angielski. Whisky z wodą sodową podaje mu niemal natychmiast. Jest w jego twarzy coś niepokojącego. Jonathan potrząsa kostkami lodu w szklaneczce i słucha cichego gwaru rozmów. Za oknem przesuwają się pola. Jonathan sączy whisky. Pasażerowie rozmawiają. Od czasu do czasu Jonathan rzuca okiem na kelnera, w którego zachowaniu nie ma niczego dziwnego. A jednak Jonathan czuje się coraz bardziej nieswojo. Być może nie ma to nic wspólnego z kelnerem. Być może chodzi o coś więcej. Może to melodia francuskiej mowy, może nieznaną francuską czcionką na karcie dań, wspartej o podstawkę na stole. Gdy

dojeżdżają do Paryża, mijając na przedmieściach domy o szarych dachach, niepokój Jonathana przeradza się w paranoiczny strach.

Star nie witała ich na Gare du Nord. Dla Jonathana to nawet lepiej. Pochłonięty zmaganiem z atakiem paniki („wdech, wydech, wdech, wydech...”), nie poradziłby sobie z przywitaniem kobiety, którą chce poślubić. Biorą taksówkę na rue du Faubourg Saint-Honore i meldują się w hotelu Bristol. Mimo wysokich cen profesor zawsze się tu zatrzymuje. W recepcji czeka na nich wiadomość od Star. Będzie jutro na śniadaniu. Gdy Gittens i profesor podziwiają gobeliny w holu, Jonathan oświadcza, że źle się czuje i zje u siebie. Po dotarciu do pokoju zamyka drzwi na klucz i pada na łóżko.

Chce spać. Ale sen nie przychodzi. W pokoju panuje zaduch. Okazałe meble i bogato zdobione ściany działają przygnębiająco. Jonathan ochlapuje twarz w umywalce i otwiera okna, wpuszczając do środka odgłosy ulicy.

Pukanie do drzwi. Wchodzą dwaj kelnerzy. Nakrywają stół białym wykrochmalonym obrusem i podają późny obiad. Po ich wyjściu Jonathan zabiera się do zupy cebulowej i kawałka ryby w nieznanym tłustym sosie. Jedzenie jest dobre, ale jego doskonały smak wydaje się częścią problemu. Zdesperowany Jonathan wkłada marynarę i wychodzi na zalaną światłem ulicę. Wokół żywego ducha. Tylko nieprzerwany strumień czarnych aut. W Haussmannowskich fasadach gmachów ministerstw i firm gdzieś widać oświetlone okna pracujących do późna urzędników, ale nawet ten milczący przejaw życia wydaje się bardzo odległy. Samochody i budynki są niczym pancerze czy tarcze separujące go od ludzkiego ciepła. Jonathan machinalnie idzie przed siebie wśród bezosobowych przestrzeni. Po drodze spotyka tylko dwóch żandarmów, którzy przyglądają mu się tak uważnie, że pod wpływem ich wzroku zawraca do hotelu.

Kiedy nazajutrz rano schodzi do restauracji, Star już tam siedzi. Jonathan spędził tyle czasu na myśleniu o niej, że jej obecność jest dla niego wstrząsem. Jest tak realistyczna, tak intensywnie cielesna, jak widok człowieka po amputacji lub kogoś bardzo sławnego. Obok niej siedzi ojciec pochłonięty lekturą porannej prasy. Star nadstawia policzek do pocałowania. Sprawdzają się przewidywania Jonathana. Stała się doskonałą paryżanką. Trzyma w dłoni małą filiżankę z kawą, pali jasnozielonego papierosa w długiej cygarniczce. Rozmowa się nie Idei. Definitywnie kończy ją pojawienie się Gittensa, który przysuwa krzesło z drugiej strony Star i momentalnie wdaje się z nią w pogawędkę. „Cudowny ranek. Masz szczęście, że tu mieszkasz”. Zaraz potem nachyla się ku niej i mówi poufałym tonem, że od czasu, gdy widział ją po raz ostatni, „wyrosła na zachwycającą młodą kobietę”.

- A kiedy to było? - pyta Jonathan przez zaciśnięte zęby. Gittens przybiera wesołkowaty

ton lekkoducha.

- Dość dawno. Przynajmniej parę lat temu.

Profesor przytacza jakąś informację z „Le Monde”, co zmusza Gittensa do poświęcenia mu nieco uwagi. Ciągłe jednak bombarduje Star uśmiezkami. Właściwie czemu nie mieliby spędzić dzisiejszego dnia na zwiedzaniu? Mogliby pochodzić po muzeach. „Świetna myśl” - mówi profesor.

I tak zaczyna się ranek poświęcony objaśnieniom. Gittens sprawia wrażenie, że przygotowywał się na to całe życie, że celem jego pojawienia się na ziemi było oprowadzenie towarzystwa po frapujących zakątkach Luwru. Idzie od wystawy do wystawy i deklamuje fragmenty bedekera z oczyma wyrażającymi zachwyt dla wspaniałości zachodniej cywilizacji. Informacje ubarwia osobistymi dygresjami, a wszystko po to, by dowieść, że jest nie tylko uczonym, ale i wrażliwą duszą, człowiekiem, który w innych okolicznościach równie dobrze mógłby zostać artystą. Renesansowa Madonna „promieniuje nadziemskim pięknem”. Wyobrażenie Męki Pańskiej „pozwała nawiązać kontakt z wyższym poziomem jaźni”.

Te erudycyjne popisy są oczywiście skierowane do Star. Ta wygląda, jakby wysiłki Gittensa bardzo jej schlebiały. Jonathan cierpi. Gdy mijają galerię za galerią, powraca wczorajsza panika. Jonathan wlecze się za Star i Gittensem, czując, że obrazy napierają na niego, a razem z nimi niekończąca się parada królów i bohaterów, upozowanych na ludzi świadomych własnej wielkości. Jonathan zaczyna rozumieć, skąd ta udręka od chwili postawienia stopy na francuskiej ziemi. Jest tu obcy. Nawet jako Bridgeman jest obcy. A dalej jest inny kraj i inna stolica z galerią, bibliotekami i alejami, przy których stoją domy o wysokich pokojach. Ta myśl powoduje zamęt w głowie, budzi przerażenie.

Sprawy przybierają zły obrót. Profesor porzuca ich dla eksponatów z Egiptu. Gittens bierze Star za łokieć i prowadzi ku wizerunkom nagości. Wygląda na to, że wszystko mu jedno, czyja to nagość, byle była. Umieszcza Star przed różnymi obrazami Wenus, dziewcząt z haremu, nimf spływających z niebios niczym deszcz kwiatów. Na dłużej zatrzymuje się przed wyjątkowo blahym obrazem Fragonarda, na którym grupka nagich dziewcząt o obfitych kształtach zażywa kąpieli w rzece. Wszystkie mają złociste włosy i różową skórę.

Zwróciwszy uwagę na ich „czarujące pozy” i „porażającą doskonałość techniki autora”, Gittens nachyla się do ucha Star i mówi coś półgłosem o wyuzdanej zmysłowości sztuki. Jonathan, który potrzebuje pretekstu, by wkroczyć do akcji, decyduje, że nadszedł odpowiedni moment.

- Słuchaj, Gittens, wystarczy tego dobrego.

- O co ci chodzi? - pyta Gittens.

- Chodzi o to, że dżentelmen się tak nie zachowuje.

- Och, Johnny - wtrąca Star - nie bądź taki angielski. Angielski? Angielski? Jonathan musi usiąść. Kręci mu się w głowie, sala wiruje coraz prędzej i prędzej, a on wraz z nią...

Kiedy otwiera oczy, w polu jego widzenia jest parę głów. Star, Gittens, strażnik w mundurze, jakiś mężczyzna o czarnych gładkich włosach i nabłyszczanych wąsach. Jonathan leży na zimnej marmurowej posadzce. Ktoś poluzował mu kołnierzyk. Star mówi coś szybko po francusku do kogoś niewidocznego dla Jonathana. Gittens patrzy na niego ze szczerą troską na twarzy.

- Już dobrze, stary? Straciłeś przytomność.

*

Jonathan siedzi wsparty o wezgi łóżka obłożone poduszkami. Tak, czuje się już o wiele lepiej. Dziękuje. Lepsze samopoczucie zawdzięcza głównie Star, która przyszła go odwiedzić. Wyciągnięta w ciężkim, połączonym fotelu, pali papierosa i wypuszcza dym przez otwarte okno. Jonathanowi przywraca siły nie tyle jej obecność (choć bardzo miła sercu), ile sposób, w jaki Star mówi o Gittensie.

- Boże, Johnny, co to za nudziarz! Nawija i nawija jak belferka! Nic dziwnego, że zemdleł. Kusilo mnie, żeby zrobić to samo. A jaki jest przekonany o swoim znawstwie. A te jego muśnięcia i gorące oddechy na mojej szyi... Quelle hoireur!

- Przez moment myślałem, że...

- Jak mogłeś! On nie jest w moim typie! No widzisz! Uśmiechasz się. Nie jesteś aż taki chory. Prawdę powiedziawszy, wyglądasz już całkiem dobrze.

- Już mi lepiej. Nie wiem, co się stało.

- To przez tę podróż. Tak przypuszczam. Ja też nie znoszę podróży. Całe towarzystwo z Montparnasse nie znosi podróży. I z Saint-Germain. Chociaż jeśli jesteś Cole Porterem, Agą Khanem czy kimś takim, pewnie zawsze latasz samolotem. Powiedziałam tacie i doktorkowi Gittensowi, że ten wieczór jest tylko nasz. Twój i mój. Gittens był wstrząśnięty. Tłumaczył, że nie miał pojęcia, że jesteśmy przyjaciółmi; że gdyby wiedział... i takie tam. Wierzę mu. Paryż tak działa na wielu ludzi, którzy nie są do niego przyzwyczajeni. Nadmiernie pobudza.

Star zostawia Jonathana, żeby się ubrał. Gdy wiąże krawat, Gittens wsuwa głowę przez drzwi i pyta o samopoczucie. Trwa krótka wymiana zdań. Pod koniec rozmowy Jonathan jest przekonany, że zupełnie źle go ocenił. W gruncie rzeczy bardzo przywoity z niego człowiek. Pogwizdując, czyści szczotką marynarkę i ostrożnie wkłada pierścionek zaręczynowy do wewnętrznej kieszeni. Małe kwadratowe pudełeczko wyraźnie odznacza się na piersi, więc przekłada je do lewej kieszeni. Teraz doskonale. Jonathan jest pokrzepiony na duchu, spokojny i gotów na wszystko.

Star czeka w holu, ubrana w popielatą suknię wieczorową z lśniącej tkaniny. Na rękach pobrzękują bransoletki Fotse. Włosy okalają jej twarz z precyzją widywaną na ilustracjach do reklam. Kiedy mówi: „Dziś, drogi Johnny, ty i ja będziemy się świetnie bawić”, brzmi to jak gwarancja udzielana przez producenta. Taksówka wiezie ich w stronę Montmartre’u wzdłuż zatłoczonych kawiarenek na chodnikach. Paryż nagle się zaludnił. Na ulicach roi się od sprzedawców papierosów, mężczyzn na rowerach, elegantek z małymi pieskami na rękach, ludzi wszelkiego autoramentu spieszących dokądś, wylewających się z bogato dekorowanych stacji metra niczym nowo zbawione chrześcijańskie dusze. To miasto wydaje się zupełnie inne

od sieci pustych ulic, którymi wędrował wczoraj wieczorem. Jest ludne, tętni życiem.

Star każe kierowcy zatrzymać się na rogu. Prowadzi Jonathana w boczną ulicę ku drzwiom obwieszonym latarniami z czerwonego papieru. Odchylają przesłonę z koralików i wchodzi do mrocznej, niskiej sali. Za kontuarem mężczyźni z warkoczykami siekają warzywa, wrzucają do rondli i od czasu do czasu mieszają. Wokół pełno pary. Rojno jak w ulu. W mroku widać stoliki ustawione ciasno jeden przy drugim. To pierwsza chińska restauracja, do jakiej Jonathan zawitał, i ani trochę mu się nie podoba.

- Naprawdę będziemy tu jeść? - pyta. To nie jest wymarzone miejsce na romantyczną kolację.

- Oczywiście. Smażone mięso z ryżem i cebulką. Czy to nie cudowne?

Jonathan nie jest tego pewien. Niewielka salka jest zatłoczona i zadymiona. W porównaniu z resztą gości on i Star są przesadnie wystrojeni. Kelner podaje im duże niebiesko-białe półmiski z potrawą, którą trudno włożyć do ust bez oblania się sosem. Zaszuszy Chińczyk przy sąsiednim stoliku puszcza do Jonathana oko i unosi w górę kciuki. Star jest w swoim żywiole. Je z łokciami na blacie, rzucając Jonathanowi szerokie uśmiechy między jednym kęsem a drugim. Jonathan uśmiecha się do niej i raz po raz dotyka pudełeczka z pierścionkiem w kieszeni. Może teraz? Nie. Lepiej poczekać na stosowniejszy moment.

- A teraz - anonsuje Star, gdy przez zasłonę z koralików wychodzą na ulicę - czas na prawdziwą zabawę.

Łapią taksówkę i jadą w stronę rue Pigalle, gdzie zaczyna się strefa niskich, sypiących się budynków. Wygląda na to, że prawie w każdym mieści się bar albo kabaret. W powietrzu unosi się zapach benzyny. Ulicą płynie żądny wrażeń tłum. Pijani wytaczają się z lokali na chodniki, krzykliwie ubrane prostytutki stoją zbite w gromadki. W autach siedzą napuszeni alfonsi w smokingach, z papierosem w zębach. Całe miejsce pulsuje życiem i światłem. Nieświadomie Jonathan powraca do młodszej wersji samego siebie. Poprawiając krawat, usiłuje odnaleźć w tej krzątaninie jakiś ład. Wśród białych twarzy trafiają się ciemne: zawodzący latynoscycy grajkowie, pary dobrze ubranych Murzynów zachowują się tak, jakby chodnik należał tylko do nich. Jonathana przechodzi dreszcz. Usiłuje strząsnąć z siebie stare wspomnienia. Wzniósł się już ponad tamto. Pierścionek w kieszeni przypieczętuje ten fakt. Dlaczego Star przywiozła go między tych ludzi? Czarni mężczyźni z laseczkami i w jedwabnych koszulach to zły omen.

Taksówka zatrzymuje się naprzeciw małego baru Le Grand Duć. Nad wejściem lśni trójkątny znak z czerwonym napisem BRICKTOP!

- Jestem dumna z tego odkrycia - mówi Star. - Mało kto zna to miejsce. A Brick jest

cudowna.

Odźwierny w uniformie wita ich, gdy wchodzą do środka. Lokal jest niewielki. Na sali stoi zaledwie tuzin, może trochę więcej stolików. Bar jest pod jedną ze ścian. Na środku śpiewa rudowłosa kobieta. Akompaniują jej dwaj mężczyźni, jeden na fortepianie, drugi na bębnach. Większość stolików jest zajęta, ale kelner prowadzi ich do wolnego stolika w kącie. Jonathan rozgląda się niepewnie. Wszyscy w Le Grand Duć - piosenkarka, muzycy, personel i goście - są czarni.

- Hm, Star - szepcze zdesperowany - to lokal dla Murzynów.

- Tak, kochanie. Chłopcy z Oksfordu są tacy spostrzegawczy. Halo, Brick! Brick, moja droga!

Star macha do pieśniarki, która posyła jej całusa.

- Co my tu właściwie robimy?

- Świątujemy, Johnny. Nie patrz tak na mnie.

Zamawiają szampana. Jonathan walczy z narastającą falą złego nastroju. Jakby na złość piosenkarka intonuje smutną pieśń:

Czemu ludzie wierzą w znaki?

Czemu ludzie wierzą w znaki?

Pohukiwanie sowy zwiastuje czyjąś śmierć...

Kobieta ma amerykański akcent. Wokół nich rozwlekły amerykański angielski miesza się z francuskim. Jonathan zastanawia się, skąd wzięli się ci ludzie, skąd jest wyniosły dyrektor czy młody pomocnik kelnera, którego głowa raz po raz pojawia się w drzwiach kuchni, Jonathan czuje się zagrożony, osaczony. Tak jakby Afryka już sięgała po niego, zanim na dobre zadomowił się w Europie.

Sen o mętnej wodzie to kłopoty u drzwi

Sen o mętnej wodzie to kłopoty u drzwi

Twój mężczyzna odejdzie i nigdy nie wróci...

Kobieta przy sąsiednim stoliku gwizdże na znak aprobaty. Rzuca spojrzenie na Star i mówi coś do swojej przyjaciółki, która wybucha śmiechem. Jonathan piorunuje je wzrokiem, lecz Star • zahipnotyzowana muzyką - zdaje się niczego nie zauważać.

- Nie czujesz ukłucia w sercu? To takie smutne. Od razu wiadomo, ile wycierpieli.

- Kto?

- Murzyni, głuptasie. Nie to, co ty czy ja. Najgorsze, co nam się przytrafiło, to nie zagrzana woda do porannej kąpieli.

Kiedy twój mężczyzna wraca do domu zły i mówi, że się starzejesz

Kiedy twój mężczyzna wraca do domu zły i mówi, że się starzejesz

To znak, że już kto inny robi dla niego rożki z dżemem...

Co powiedziała? Rożki z dżemem? Wracają wspomnienia z hangaru, jęki Star w ciemnościach. Od jak dawna tu przychodzi? Gdy Jonathan zmagają się z jakąś myślą, z nagłym podejrzeniem, do środka wchodzi grupka eleganckich białych. Bricktop jak na zawołanie zmienia ton na lżejszy, w ślad za nią pianista. Atmosfera staje się pogodniejsza, Jonathan obserwuje białe towarzystwo. Rej wodzi para: drobna blondynka i jej dużo starszy mąż, który tocząc promiennym wzrokiem dokoła, zdaje się mówić: „Patrzcie na moją żonę, jaka czarująca, jaka oryginalna...”. Najwyraźniej pokazują Le Grand Duć przyjacielom. Bricktop staje przy ich stoliku i śpiewa specjalnie dla nich.

- Mają w sobie coś, prawda? Coś, co my utraciliśmy.

Wygląda na to, że Star ma wielką ochotę na rozmowę o Murzynach. Jonathan kurczowo ścisną pudełeczko z pierścieniem w kieszeni. Teraz albo nigdy.

- Star, kochanie. Chcę cię o coś spytać.

- Tak, Johnny?

- Chodzi o to, Star, że znamy się od dość dawna i wiesz, jak bardzo cię...

- Hej, skarbie! Miałem nosa, że znajdę tu swoją lubą!

W jednej chwili gibki jak kot mężczyzna sadowi się na krześle obok Star. Obejmuje ją ramieniem, przyciąga ku sobie i całuje w usta. Jonathanowi opada szczeka. On ją całuje. Ten mężczyzna. Całuje Star. I jest (nie, to niemożliwe; to się nie dzieje naprawdę) - czarny.

Czarny jak noc, jak smoła, węgiel, sadza, lukrecja i garnitury mistrzów ceremonii pogrzebowych. Czarny jak Biblia. Jego skóra lśni w blasku świec jak wypolerowane drewno. Z czarnymi rękami kontrastują różowe wnętrza dłoni. Grube usta przyciska do ust Star. Całuje ją, całuje Star. Całuje. Star. Czarny mężczyzna. Star.

- Star? - zaczyna Jonathan. Jego głos jest słaby i daleki.

- Sweets, co ty tu robisz? - głos Star rwie się z emocji. Jest wzburzona.

- Skarbie - mówi Sweets z wyrzutem - chciałem cię zobaczyć. A niby po co włączyłbym się po tym wielkim mieście po zmroku?

Jonathana zaczyna boleć szczęka. Ciągłe ma otwarte usta. Roześmiany Sweets odwraca się ku niemu i wyciąga czarno-różową dłoń. Tryska humorem, jest pewny siebie.

- Elvin T. Baker do usług, ale prawie wszyscy nazywają mnie Sweets. Jesteś przyjacielem mojej małej gwiazdeczki?

Jonathan siedzi znieruchomiał. Nie podaje mu ręki. Dobry nastrój Sweetsa gdzieś się ulatnia.

- Sweets, mówiłam ci, żebyś się nie pokazywał, kiedy mój ojciec jest w mieście.

- To twój ojciec? Trochę za młody, żeby być czymś tatusiem.

- Nie wygłupiaj się. To Jonathan. Mój... Mój przyjaciel. - Star wygląda na upokorzoną.

- Star, co to za człowiek? - pyta Jonathan.

- O! - wtrąca Sweets podniesionym głosem. - Chcesz wiedzieć, kim jest ten człowiek? Jest jej facetem. Oto kim jest.

- Sweets! - Star prawie krzyczy. Wszystko odbywa się teraz w zwolnionym tempie. Jonathan zauważa szczegóły: zwężone oczy Sweetsa, diamentowe spinki przy mankietach, krój doskonale uszytego garnituru. I inne rzeczy: głowy zwracające się w ich stronę, by śledzić awanturę, rudowłosa piosenkarka dająca znak odźwiernemu.

- Johnny... - zaczyna Star. - Posłuchaj. Jonathan podnosi się z krzesła.

- Co ty wyprawiasz? Co robisz z tym... z tym...

- Szczeniaku, powiedz słowo na M, a już po tobie - cedzi przez zęby Sweets. - Nie jesteś na angielskiej herbatce.

- Sweets! - krzyczy Star. A potem: - Johnny!

Jonathan idzie do wyjścia. Star za nim.

- Johnny, zaczekaj!

Jonathan się odwraca.

- Chciałam ci powiedzieć, Johnny. Naprawdę chciałam. Nie wiedziałam, że tu przyjdzie.

- Co to znaczy „nie wiedziałas”? On jest... On jest czarny, na Boga! Co cię z nim łączy? Nie możesz być... O Boże, jesteś. Od kiedy?

- Od jakiegoś czasu.

- Nie wierzę. Co by powiedział twój ojciec? Star wygląda na pewną swoich racji.

- Nie obchodzi mnie, co myśli mój ojciec, i szczerze mówiąc, jeśli dalej będziesz się tak zachowywać, twoje zdanie też przestanie mnie obchodzić. Och, Johnny. Lubię cię, wiesz, że cię lubię. Tyle że... Cóż, Sweets jest inny. Gra na fortepianie. Powinieneś posłuchać, jak gra. Jest cudowny. Taki inny. Egzotyczny. Silny. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak on.

- Inny? Inny niż kto? Niż ja?

Star patrzy na niego z politowaniem.

- Tak, Johnny, niż ty. Daj spokój. Znam cię, Johnny. Czuję, że wszystko o tobie wiem. Gloucestershire, Chopham Hali, Oksford, bla bla bla. Jesteś słodki, ale dokładnie taki, jak wszyscy. Robisz to samo, co inni, i mówisz to samo, co inni. Wiem, że gdybym z tobą została, wzięlibyśmy ślub i mieszkalibyśmy na wsi, mielibyśmy konie i ogród różany i powoli byśmy marnieli, aż stalibyśmy się parą starych głupców w tweedach, którzy cuchną psią sierścią i uprzykrzają sobie życie.

- Ale Star, przecież jesteś Angielką. Myślałem, że właśnie tego chcesz.

- Kiedy to powiedziałam?

- Że jesteś Angielką? Po prostu jesteś, to wszystko.

- Nie, o życiu na wsi. Nigdy tego nie powiedziałam. Ja tego nie chcę. Ty tego chcesz. Jesteś najbardziej konwencjonalną osobą, jaką znam, Johnny. Myślę, że to w porządku, ale to nie dla mnie. Ty lubisz przestrzegać reguł, robić wszystko jak należy. Ja chcę się wyrwać z tego kręgu. To mnie przytłacza. Droga życiowa wyznaczona urodzeniem, trzymanie się jej od urodzenia przez małżeństwo po śmierć, jakby ktoś cię postawił na torach. Ja chcę pasji, pierwotnych emocji. Chcę mieć styczność ze źródłem wszystkiego. Nie rozumiesz? Sweets jest... Jonathan, on się wychował na ulicy. Zna życie. Kiedyś kogoś zastrzelił. A jego rodzina była bardzo, bardzo biedna. Murzynom takie rzeczy się przytrafiają. Dlatego Murzyni mają duszę.

- Ale ja też mam duszę - Jonathan zajakuje się z przejęcia.

- Niezupełnie, Johnny. My, Anglicy, mamy duszę, dlatego chodzimy w niedzielę do kościoła, ale brak nam ducha. Sweets mi to kiedyś wyjaśnił. Chodzi o muzykę, o cierpienie. I ma to coś wspólnego z jedzeniem, ale to trochę inna sprawa. Tak czy siak, ty tego nie masz, a Sweets ma.

- Jasne, że mam - rzuca Sweets. Podeszedł do nich i teraz stoi obok Star, obejmując ramieniem jej nagie plecy. Jonathan patrzy na czarną skórę stykającą się z białą, jakby oczekiwał, że ten dotyk spali

Star na popiół.

Podchodzi jeszcze kierownik lokalu. Mierzy Jonathana krytycznym spojrzeniem.

- W porządku, Sweets?

- Pewnie, Gene. Wszystko okay.

- Dobrze. Kiedy załatwisz swoje... hm... osobiste sprawy, bądź tak dobry i siadź do fortepianu. Jackson musi gdzieś zadzwonić.

- Jasne, Gene. Jasne.

- Star... - Jonathan jest zrozpaczony. - Musisz mnie wysłuchać.

- Przenosi wzrok na Sweetsa. - Zostawisz nas na chwilę samych?

- Idź, Sweets - mówi Star. - Poradzę sobie.

- Okay, skarbie. - Sweets odchodzi wolno w stronę zespołu i zajmuje miejsce przy fortepianie.

- Star, a gdybym ci powiedział, że nie wiesz o mnie wszystkiego?

- Nie utrudniaj, Johnny.

- Star, posłuchaj. Gdybym ci powiedział, że nie jestem tym, za kogo mnie uważasz? Że ja też dorastałem na ulicy. Że też robiłem różne rzeczy.

- Ale to nie byłaby prawda. Wiem, że twoi rodzice mieszkali w koloniach. Wiem, że tam bywa trudno, ale to i tak się nie liczy.

- Nie o to mi chodzi. Nie nazywam się Jonathan Bridgeman. Nie jestem nawet... Star, kochałaś mnie bardziej, gdybym był taki jak Sweets?

- Ale nie jesteś. Johnny, nie wiem, o czym mówisz.

- Gdybym nie był taki angielski. Taki biały.

- Ale jesteś, Johnny.

- Nie jestem, Star. Kocham cię. I chociaż nie jestem taki czarny jak on, jestem czarniejszy, niż ci się zdaje. Naprawdę. Mam ducha, Star. Mam.

- Nie masz. Robisz z siebie głupka. Twoje gierki niczego już nie zmieniają. Przykro mi. Podjęłam decyzję. Nie chciałam cię zranić, ale stało się. Najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz. Sweets jest porywczy.

- Star...

- Johnny, proszę... Idź już.

Star patrzy na niego błagalnie. Półprzytomny Jonathan odwraca się na pięcie i wychodzi na ulicę. W ślad za nim biegną wesołe dźwięki fortepianu.

Jeśli ułożyło się sobie życie jak drabinę (na czubku coś promiennego i białego, na samym dole lepka czerń), dochodzi do katastrofy, gdy ktoś tę drabinę kopnie. Jonathanowi zawalił się świat. Błąka się po Montmartrze, obojętny na krzyki i propozycje pod swoim adresem. Z trudem odróżnia chodnik od rynsztoka.

Tak się dzieje. Ta straszliwa nieokreśloność dopada człowieka, gdy narusza się granice. Pigment sączy się przez skórę niczym atrament przez bibułkę. Nie sposób wtedy stwierdzić, co

ma wartość, a co nie.

„Jesteś najbardziej angielski ze wszystkich, których znam”. A to dobre. Jonathan wybuchą niepohamowanym śmiechem. Śmieje się długo, aż zgięty w pół opiera ręce na kolanach i spazmatycznie łapie powietrze. Przechodnie szerokim łukiem omijają szaleńca zarykującego się ze śmiechu na ulicy.

Kiedy Jonathan podnosi wzrok, stoi przed nim olbrzym w astrachańskiej czapie. Od wywiniętych nosków wysokich czerwonych butów po kaftan z baraniej skóry na potężnych barach, jego postać robi piorunujące wrażenie.

- Kabaret, monsieur? - pyta. - Kabaret Russe?

Czemu nie. Jonathanowi i tak wszystko jedno. Może wejść do środka, usiąść przy stoliku naprzeciw trzeszczącej sceny obwieszanej długimi srebrnymi serpentynami zastępującymi kurtynę i patrzeć na taniec olbrzymów, patrzeć, jak przyklękają, a potem wyrzucają wysoko w powietrze stopy w czerwonych butach. Etnograficzna doskonałość. Kwintesencja kozaczyzny zredukowana do trzydziestosekundowego pokazu, formy łatwo przyswajalnej nawet dla najbardziej pijanego czy tępego turysty. Jedna wódka. Za chwilę druga. Kontury się zacierają. Co było nieruchome, zaczyna się poruszać. Co stałe, traci formę, konsystencję, daje początek nowym twórcom... A co ze Star? Robił wszystko jak należy, uformował się doskonale. Stał się wzorcem idealnego mężczyzny dla niej. I po co? Żeby na końcu drogi natknąć się na Sweetsa, zobaczyć czarną rękę na jej ramieniu. Czy jest za późno na zmianę? Może powinien wrócić do poprzedniej inkarnacji? A może zostać przy obecnej? Czy czerń Sweetsa jest kolejną powłoką, którą mógłby przywdziać?

Tancerze kończą występ. Rozlegają się pierwsze takty walca. Vo-lez-vous danser, m'sieu? Przed Jonathanem stoi blade uśmiechnięta tleniona blondynka o wielkich, smutnych oczach, obrysowanych czarną kredką. Zapadnięte policzki każą przypuszczać, że dawno nie jadła do syta. Ma na imię Sonia. Jeśli Jonathan chce, może jej dać napiwek na koniec każdego numeru. Szurając nogami po parkiecie, trzymają się siebie kurczowo niczym para tonących. Sonia mówi o gwiazdach filmowych, o swojej rodzinie, która przed rewolucją była bardzo bogata. Biała Rosjanka. To ci dopiero! Biała Rosjanka! Rozumiesz? Oczywiście, że nie rozumiesz, co mnie tak bawi. Sonia zostawia Jonathana, który zrywając boki ze śmiechu, opiera się o filar dla utrzymania równowagi. Daje znak porządkowym, że nie jest groźny, że nie muszą interweniować. Za chwilę sam się uspokoi.

Jonathan wraca do stolika. Rzęsiste brawa towarzyszą pojawieniu się na scenie drobnego człowieczka o nieokreślonej powierzchowności. W białym krawacie i fraku nie wygląda ani na eleganta, ani na obszarpańca. To tylko kostium, ubranie robocze. Oświetlony

reflektorem, który rzuca jasną, rozedrganą plamę na srebrne tło z serpentyn, staje wyprostowany jak struna i wygłasza napuszone wprowadzenie w języku, którego Jonathan nie rozumie (rosyjski?). Następuje chwila ciszy. Człowieczek odwraca się plecami do widzów, po czym gwałtownie okręca się na pięcie. Nad górną wargą ma doklejony wąsik. Przybierając pozę bardzo ważnej osobistości, może króla, może polityka, przemawia do zgromadzonych. Słychać śmiech. I głosy sprzeciwu. Człowieczek znów się odwraca i pokazuje twarz już bez wąsika. Piskliwym głosem wyrzuca z siebie parę słów, strojąc niemiłosierne miny.

Jonathan nie rozumie, o czym mowa, ale nie może oderwać oczu od człowieczka na scenie. Postacie zmieniają się jak w kalejdoskopie. Jedna mówi barytonem. Druga ma na głowie małą czapkę i udaje zawadiakę. Każda z nich istnieje przez kilka chwil, przez minutę. Z pojawieniem się nowej znika poprzednia. Człowieczek stapia się z tymi postaciami tak doskonale, że jego indywidualność jest niedostrzegalna. Mimo wypitej wódki Jonathan czuje dojmujący chłód. Patrzy z przejęciem na kolejne wcielenia i modli się w duchu, żeby to nie była prawda, żeby się okazało, że coś przeoczył. Ale od tego nie da się uciec. Pomiędzy kolejnymi wcieleniami, w momencie, w którym jedna postać znika, ustępując miejsca drugiej, twarz imitatora jest martwa niczym pozbawiona wyrazu maska.

CZEŚĆ VII
IMITATOR

*

Liniowiec dopływa do portu. Jego dziób wbija się czarnym klinem między budynki barwy gliny, przez co wydają się jeszcze bardziej niepozorne. Pośród szeregu blaszanych dachów jest obcym ciałem, mającym w sobie coś złowieszczonego. Wraz z pojawieniem się statku kobiety ruszają na nabrzeże. Niektóre pchają ręczne wózki, inne niosą misy pełne bananów, orzeszków ziemnych i wędzonych ryb, zawiniętych w liście palmowe. Robotnicy portowi formują żywy łańcuch. Ogniwo po ogniwie worki i skrzynki wędrują do magazynów. Kobiety tymczasem rozkładają swoje ładunki na ziemi i kucają obok. Gdy biali ludzie wysiadają z szalupy, na nabrzeżu działa już regularny targ, do którego dołączają żebracy, psy oraz policjanci, pałkami torujący przejście do komory celnej. Przybysze mrużą oczy przed słońcem. Miejscowe kobiety udają, że na nich nie patrzą, ale w głębi duszy cieszy je widok plam potu pod pachami świeżych koszul i nerwowe rozglądanie się wokół w obawie przed kontaktem wzrokowym z tubylcami.

Jonathan patrzy na Afrykę i robi mu się nieswojo. Odnajduje w niej coś znajomego. Daszek tropikalnego hełmu przesłania mu część pola widzenia. Wzdłuż nabrzeża cumują wysłużone frachtowce. Z przepastnych wnętrz wypluwają towary w puszkach oraz blachę falistą, zwalniając miejsce dla oleju palmowego, tytoniu i beli bawełny. Tragarze zwijają się jak w ukropie. Wbiegają jeden za drugim po niestabilnej kładce i zrzucają ładunek w czeluście statku, poganiani przez nadzorców z listą towarów i rewolwerami w kaburach. Przed jednym ze statków kontyngent żołnierzy z Indii Zachodnich czeka na rozkaz zaokrętowania. Ponad nimi góruje pobielony fort, w którym przetrzymywano niewolników. Patronuje mu święty Jakub, choć równie dobrze mógłby to być święty Jerzy czy Jan; jeden z tych angielsko brzmiących świętych o surowych zasadach moralnych, który w walce dał świadectwo odwagi. Z kruszącego się muru wystaje lufa sześciocalowego działa wycelowanego w morze. Poszczególne składniki tej scenerii są dla Jonathana nowością, choć panująca tu atmosfera wydaje mu się znajoma. Po latach spędzonych w Europie wrócił do świata rozdartego na dwoje. Jedna część tkwi zasklepią w przeszłości, druga rwie naprzód. Jonathan zna logikę, jaka się za tym kryje. Ma to zakodowane z tamtego życia.

W komorze celnej antropolodzy czekają na sprawdzenie dokumentów. Tymczasem urzędnicy uwijają się przy ogromnym transporcie alkoholu. Zapach dżinu z paru przypadkowo rozbitych butelek wypełnia duszną, zatłoczoną halę. Rozstrojony Jonathan przygląda się krzątaniu. Przedmioty, z którymi się w Anglii oswoił, rejestry, poduszeczki do pieczętek, mundury, znów pojawiają się w nieznanym środowisku. Parasole chronią ludzi przed słońcem, nie przed deszczem, twarze ich właścicieli to nic niemówiące czarne zera wystające znad

sztynnych kołnierzyków.

Profesor przechadza się po hali, stukając w skrzynki laską i wchodząc tragarzom w drogę. Morgan, któremu wypływający spod korkowego hełmu pot zalewa oczy, nachyla się do Gittensa.

- Popatrz na Bridgemana.

Gittens patrzy na Bridgemana. Obiekt obserwacji wałęsa się po hali przygnębiony i posepny.

- Racja, nie jest sobą.

- Widzę. To trwa od tygodni. Może powinniśmy coś powiedzieć?

- Co na przykład?

- Nie wiem. Zapytać go, co się dzieje.

Gittens rzuca mu miazdzące spojrzenie. Morgan unosi ręce w geście oznaczającym, że przyjmie wszelkie możliwe zarzuty pod swoim adresem: oskarżenie o sentymentalizm, wścibstwo czy zniewieściałość. W trakcie podróży z Marsylii Gittens dał mu wyraźnie do zrozumienia, czego mu brak. Na przykład wycucia. I powściągliwości. Wychodzi na to, że najlepiej nie pytać Bridgemana, co się dzieje.

Jakiś przekupień staje przed nimi z koszem pełnym niewielkich drewnianych figurek. Kiedy obaj machają odmownie ręką, idzie naprzykrzać się Bridgemanowi.

- Figurka, panie?

Jonathan spogląda na rzeźby. To postacie Anglików, mali kolonia-liści w białych mundurach i monstualnych hełmach na głowie. Ich oczy, usta i nosy są przesadnie wielkie i wyraziste. Sztynni i wyprostowani wyglądają niezmiernie oficjalnie.

- Ile?

Mężczyzna podaje cenę. Jonathan targuje się i po paru minutach w jego torbie lądują dwie figurki. Sprzedawca odchodzi, a Jonathan wraca do negocjacji z urzędnikami i pilnowania rozładunku bagaży ekspedycji.

Od tygodni jest nieobecny duchem. Pochłaniają go myśli o Star. Jego wewnętrzny projektor wyświetla mu na okrągło scenę w barze: Sweets siada, całuje Star. Siada. Całuje Star. Siada, całuje, siada, całuje. Te same kadry powtarzane do znudzenia. Jonathan nie potrafi uporządkować zamętu myśli wywołanego tym pocałunkiem. Wciśnięty w fotel umysłu, z drżącymi kolanami wspartymi o czerwony plusz oparć rzędu przed nim, zmuszony mrużyć oczy, chciałby opuścić widownię, ale przygważdża go do miejsca ta bezładna ciżba ludzka.

W trakcie podróży statkiem większość czasu spędzał na leżaku. Zza ciemnych okularów wpatrywał się w Atlantyck. Każdego dnia przesiadywał na pokładzie godzinami i tak

długo obserwował linię zetknięcia wody i nieba, aż wyparł ją ze świadomości, a jego świat stał się jednolitą, ruchomą szarą masą. Wieczorami stał przy balustradzie i patrzył na nęcącą toń rozkołysanej wody uderzającej o burzę.

Wsparty o tę samą balustradę, obserwował profesora Chapela w trakcie porannej przechadzki. Władcza, imponująca postać wypinała brzuch i rozchyłała nozdrza niczym wrota. Profesor przypominał właściciela ziemskiego, który w swej łaskawości wpuszcza świeże powietrze, by poswawoliło we włóściach jego płuc. Kiedy zdjął panamę, żeby otrzeć z potu łysiejącą czaszkę, ta zajaśniała oślepiającym blaskiem. Kiedy wiatr rozwiał mu resztki siwych włosów, te utworzyły wokół głowy aureolę. Stanąwszy twarzą w twarz z tak jawnym świadectwem niezwykłości, Jonathan nabrał otuchy. Miał przed sobą mądrego, dobrego człowieka. Ciągłe był jego asystentem. Obaj byli na najlepszej drodze do poszerzenia granic antropologii. Czy mógłby marzyć o bardziej chlubnym celu?

Ale bez Astarte antropologia wydaje się mniej kusząca niż przedtem. Obrany kurs budzi wątpliwości, igła kompasu drga i wiruje wokół tarczy. Jonathan szuka w pamięci, co czytał o podróżnikach, o tym, jak radzą sobie z osamotnieniem. Star była ostatnim kawałkiem jego układanki. Dopiero z nią Jonathan Bridgeman byłby całością.

Po załatwieniu formalności związanych z odprawą Jonathan chowa do kieszeni formularze opatrzone nieczytelnymi pieczęciami licznych urzędników i rusza przez halę w poszukiwaniu reszty. Czekają na niego w towarzystwie wysokiego młodego Murzyna bez butów, w białych szortach, fezie i białym chałacie z wysokim kołnierzykiem.

- To Famous - oznajmia profesor.

- Famous - potwierdza mężczyzna z uśmiechem. - Wielki boy w ICR. Kierować trzy małych boy. Przyjechać zabrać was do ICR.

Imperial River Club przeżywał na pewno lepsze dni, ale trudno jednoznacznie stwierdzić, kiedy to było. Bungalow, stojący na spękanej ziemi w samym środku parceli położonej powyżej poziomu delty rzeki, może poszczycić się podjazdem oznaczonym pomalowanymi na białą kamieniami, masztem z wypłowiałym Union Jackiem na szczycie oraz parą miniaturowych armat umieszczonych po obu stronach frontowej werandy, których rdzewiejące lufy wycelowane są w miasto. Od plaży dzieli go mniej więcej pół mili. Wystarczająco daleko, by stłumić odgłosy z nabrzeża i targu; za blisko, by uchronić przed odorem ścieków, który wdziera się przez okna w dni, kiedy wiatr nie wieje od morza. Smród po części tłumaczy odosobnienie tego miejsca. Smród oraz fakt, że kierownictwo nigdy nie

zdobyło się na posadzenie wokół drzew, które dawałyby schronienie przed piekącym nieznośnie słońcem. W wietrzne dni drobny piasek przesypuje się po podłodze, gromadzi w kątach i wzlatuje w górę, by osiąść na powierzchni drinków.

Sami członkowie klubu tworzą gromadę niepoprawnych indywiduów, traktujących przybyszów niemiłą mieszanką zazdrości i lekceważenia. Lekceważenie to uniwersalna postawa, jaką wobec nowicjuszy przyjmują starzy wyjadacze w koloniach. Zazdrość to produkt lokalny. Jej przedmiot może być różny: psychika przybysza, jeszcze nie zmęczona wiecznymi upałami, albo wnętrzości wolne od nieokiełznanych afrykańskich bakterii. Czasem wygląd, czasem żona, a czasem zwykła umiejętność cieszenia się życiem na wybrzeżu, która u członków Imperial River Club dawno zanikła. Zazdrość towarzyszy im od zawsze, a wraz z nią obietnica przyjemności, jakiej doznają, wyzbywszy się jej. Prędzej czy później nowicjusz stanie się starym wyjadaczem, tak samo ogorzałym i zgorzkniałym jak cała reszta. Owa schadenfreude ujawnia się szczególnie podczas pogrzebów. W ciągu miesiąca odbywa się ich kilka. Kiedy ktoś rozstaje się z życiem (na tym wybrzeżu ludzie nie umierają, lecz rozstają się z życiem, co zakłada pewną dozę ich winy i moralnej ułomności, sugeruje uleganie słabościom), członkowie klubu piją więcej niż zwykle i oddają się rozważaniom o znakach zwiastujących nieszczęsny koniec oraz o tym, co nieboszczyk zaniedbał. Gdyby brał więcej chininy, bardziej dbał o siebie, nie zadawał się z tyloma miejscowymi dziewczętami albo po prostu po trzeciej kolejce przerzucał się na wodę sodową...

Jako uczeni, antropolodzy podlegają szczególnie krytycznemu osądowi. Uwagi na ich temat padają głównie w prywatnych rozmowach, goście mogą więc rozłokować się w pokojach bez szczególnych przykrości ze strony starych wyjadaczy. Jest jeszcze tyle do zrobienia. Ładunek wyprawy pozostał w magazynie na nabrzeżu. Trzeba zdobyć kilka pozwoleń i skontaktować się z kilkoma urzędami. Wkrótce pod siedzibę klubu zajężdża w służbowym aucie jakiś oficjel. Przedstawia się jako Smith i pokazuje Jonathanowi przepustkę opatrzoną mnóstwem pieczęci i podpisów niezmiernie ważnych osobistości. „Posiadacz tego dokumentu - głosi napis - może przebywać w każdym wybranym przez siebie miejscu i nosić każdy mundur wedle uznania. Wszystkie osoby podlegające prawu wojskowemu zobowiązane są do okazania mu wszelkiej pomocy”.

- Z jednej strony ciebie to nie dotyczy - oznajmia Smith - ale z drugiej tak.

Smith zamyka się na chwilę w pokoju razem z profesorem. Po wyjściu kładzie plik papierów na stole w palarni.

- Wszystko dla ciebie - zwraca się do Jonathana. - Baw się dobrze u Fotse. Na razie, mały!

Wkrótce z pokoju wychodzi profesor. Ma poważną minę. Jonathan podnosi wzrok znad półki z powieściami sensacyjnymi przesyconymi stęchlizną, Gittens i Morgan znad stołu bilardowego.

- Wydaje się - zaczyna profesor - że od czasu mojego ostatniego pobytu sporo się zmieniło. Rząd zaczął utrzymywać kontakty z Fotse.

- Kontakty? - pyta Gittens.

Obaj z Morganem wydają się zmartwieni. Kontakt to jedna z ich zmór. Jeśli tubylcy zaczną utrzymywać kontakt ze światem zewnętrznym, czy ich życie pozostanie, jakie było? Czy będzie co badać?

- Myślałem - zaczyna Morgan z właściwą sobie refleksyjną powolnością - że są względnie pierwotni.

- Myślę, że nadal są - odpowiada profesor. - Względnie. Tyle że administracja na północy chce zrobić spis ludności przed wprowadzeniem podatku od chaty. Pewne kroki w tym kierunku już poczyniono, ale oni chcą, żebyśmy zrobili coś więcej.

Gittens jest oburzony.

- To przecież nie nasze zadanie.

- Zgadza się, ale oni twierdzą, że patriotycznym celem badań etnograficznych jest gromadzenie informacji, które pozwolą Brytyjczykom usprawnić rządy. Trudno polemizować z tak sformułowanym poglądem. Najwyraźniej brak im pieniędzy albo ludzi, albo mają inne problemy. Czy nam się to podoba, czy nie, taki jest warunek otrzymania zezwolenia na podróż do ziem - Fotse. Gittens, ty i tak nie musisz się o to martwić. Spisem ludności zajmie się Bridgeman.

- Ja? - pyta osłupiały Jonathan.

- Aha - mówi Gittens. - W takim razie wszystko w porządku.

- Bridgeman, wszystkie papiery są tutaj. Mają specjalny system. Różnokolorowe kartki czy coś podobnego. Musisz tylko wypełnić odpowiednie formularze. - Na widok przerażonej miny Jonathana klepie go po plecach. - Przynajmniej mają lód - mówi, patrząc na szklaneczkę dzinu z tonikiem, który ogrzewa mu się w dłoni. - W IRC zawsze jest lód.

Jonathan spogląda ponuro na plik papierów. Gittens próbuje dodać mu otuchy.

- Wiedziałem, że to jakiś podejrzany facet. Zauważyłeś, że był ubrany jak oficer belgijskiej marynarki?

Profesor rozpiera się w jednym ze skrzypiących trzciniowych foteli w świetlicy.

- A tak na marginesie, zaprosiłem dziś resztę uczestników naszej wyprawy na kolację - oznajmia. - Powinni być lada chwila.

- Resztę uczestników, profesorze?

- Tak - odpowiada Chapel, strzepując owada z okularów. - Dwóch gości z Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Jadą z nami opracowywać mapy. Kolejny warunek uzyskania zezwolenia. Rząd chce pomiarów regionu zamieszkanego przez Fotse.

Towarzysze profesora słyszą o tym po raz pierwszy. Gittens unosi brew

- Jakich pomiarów?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że oni to panu objaśnią.

- Myślałem - wtrąca Morgan - że ziemia Fotse nie należy do nas i tam pomiarów nie robimy.

- Nie bądź głupi - warczy Gittens. - Oczywiście, że jest nasza. Tyle że nie pod naszą bezpośrednią kontrolą. Rządzimy przez lokalnych emirów, co wcale nie oznacza, że nie możemy sporządzać map tych terenów.

- Myślałem, że to sprawa francuskich...

- Ech, polityka, polityka - wzdycha Chapel. - Ci ludzie jadą z nami, żeby się rozejrzeć. Zobaczyć, jak ta ziemia wygląda. Polityka nie ma z tym nic wspólnego.

- Świetnie pan to ujął, profesorze - mówi Gittens z zachwytem.

- „Jak ta ziemia wygląda”. Świetnie.

Temat wydaje się zamknięty. Wszyscy rozchodzą się do swoich pokoi przebrać się do posiłku. O zachodzie słońca wylęgają na werandę, by słuchać odległego huku fal i czekać niecierpliwie, aż steward, sędziwy tubylec z plemiennymi bliznami na policzkach, skończy nakrywać do stołu. Gdy światło dnia niknie, z wnętrza klubu dobiegają krzyki, którym wtóruje śmiech. Na werandę wypada Famous, a za nim żylasty Europejczyk z rzyżym wąsem, wymachujący rakieta tenisową.

- Sławny, tak? - krzyczy i okłada Afrykanina rakieta. - A z czego słyniesz, co?

- Proszę, panie, proszę... - powtarza Famous, starając się unikać ciosów.

- Nie rozumiesz, czarnuchu? - śmieje się mężczyzna. - Pytałem - płask! - z czego - płask! płask! - słyniesz?

Widok Famousa obrywającego w tyłek rakieta budzi powszechne rozbawienie. Nieszczęśnik podryguje komicznie i nieskładnymi zdaniem błaga o litość. Członkowie klubu wychodzą na zewnątrz, ciekawi przyczyn zamieszania. Nagle Jonathan znajduje się pośród dziko rechoczących mężczyzn, którzy tworzą krąg wokół oszołomionego sługi. Cofa się o krok, umożliwiając Famousowi ucieczkę.

- Dobry wieczór - rzuca rudzielec. Jego londyński akcent wywołuje na twarzy profesora chwilowy grymas. - Jesteście pewnie resztą wyprawy. Nędzne miejsce, co? - Wyciąga dłoń. -

Marchant. George Marchant.

Rozpoczyna się prezentacja. Gittens zachęca profesora, by powtórzył swój dowcip z „jak ta ziemia wygląda”. Wtedy na werandzie pojawia się ktoś jeszcze. Wszystkie głowy zwracają się w jego kierunku. Nie chodzi tylko o imponujący wzrost nowo przybyłego (przechodząc przez drzwi, musiał się schylić). Jest w nim coś, co sprawia, że cichną wszelkie rozmowy’.

- Dobry wieczór, panowie - odzywa się mężczyzna. Jego głos jest matowy i jednostajny. Marchant rozkłada szeroko ręce niczym zapowiadacz w cyrku.

- Pozwólcie, że przedstawię. Kapitan Gregg.

- Już nie kapitan, Marchant. Tylko pan.

Gregg wymienia uściski dłoni z uczestnikami wyprawy. Wszystkie spojrzenia wędrują ku jednemu punktowi. Tuż poniżej kości policzkowej Gregga widnieje głęboka dziura gruba na palec, której brzegi otacza nieregularna blizna. Jest w tym małym kraterze coś nieprzyzwoitego i fascynującego zarazem. Niektórym kojarzy się z odbytem, innym z gwiazdą. Gregg ma zupełnie przeciętne rysy i niczym by się nie wyróżniał, gdyby nie to coś na policzku, co czyni jego twarz niepokojąco ruchliwą. Wygląda, jakby w każdej chwili miała zostać we-ssana w czeluść krateru wraz z resztą głowy. Gittens, który spędził wojnę przy biurku w Oksfordzie, wprowadza kombatanski nastrój.

- Gdzie pan służył? - pyta.

- Francja. Artyleria polowa.

Kiedy Gregg postępuje krok naprzód i znajduje się w kręgu światła rzucanego przez lampy oliwne, Jonathan widzi jego oczy: przenikliwe, kalkulujące oczy celowniczego, nawykłe do kalibrowania cudzych ust i rąk.

Przy stole rozmowa toczy się o mapach. Tak jak antropolodzy, Gregg i Marchant dopiero co przyjechali. Konkretnie z Persji, gdzie brali udział w ekspedycji prowadzącej pomiary wokół Morza Kaspijskiego. „Jakie pomiary?” - pyta Gittens. „Bardzo podobne do tych, które będziemy robić tutaj - odpowiada Marchant. - Pomiary terenów, których map jeszcze nie ma”.

W trakcie obiadu Gregg prawie się nie odzywa. W przeciwieństwie do Marchanta, który gada jak najęty. Zachęcany przez Gittensa, trąkocze o wilgotnym upale i suchym upale, o lwach i futbolu, o królu i niewygodach w Persji, które - czego jest pewien - nawet w polowie nie dorównają temu, co ich czeka w krainie Fotse. „Latryny - mówi ponuro. - Wszystko jest mniej lub bardziej kwestią latryn”. Parę razy Gregg przerywa Marchantowi, by sprostować informację albo ukrócić co bardziej chęłpliwe uwagi.

- Sporządzanie map terenów, do których jeszcze map nie ma, to z całą pewnością pożyteczne zajęcie - wzdycha Gittens w pewnym momencie rozmowy. - Ale ja ciągle mam wątpliwości co do natury waszej pracy. Dlaczego kraina Fotse?

Marchant posyła mu znaczące spojrzenie.

- Skoro chcą mieć mapę, dotrzemy tam i zrobimy im mapę.

- Naukowa ciekawość, doktorze Gittens - wtrąca Gregg. - Czy może być ważniejszy cel?

- Absolutnie nie - odpowiada Morgan. - Prawda, profesorze?

Wszyscy patrzą na szczyt stołu. Ale profesor Chapel nie odpowiada. Zasnął pochylony na krześle. Tłuste policzki zwisają mu po obu stronach wysokiego, sztywnego kołnierzyka. Ma twarz człowieka, który nie musi (nareszcie!) niczego z niczym kojarzyć, co sprawia mu niewysłowioną ulgę.

*

Następny tydzień mija na targach z kupcami i łechtaniu próżności gubernatora przy stole. W chwilach spokoju Jonathan z ociąganiem przekopuje się przez papiery. Nie wygląda to zachęcająco. Trzy strony zajmuje sama lista zapisków, jakie powinien sporządzić, jeden komplet dokumentów dla wodza okręgu, drugi dla wodzów w poszczególnych wioskach, trzeci dla rady starszych w każdej wiosce, różnokolorowe pokwitowania dla konkretnych rejonów, różniące się kształtem karteczki dla kobiet i dla mężczyzn... Wszystkie przygotowania do wyjazdu do Afryki, od godzin spędzonych w uniwersyteckiej bibliotece po rozmowy z profesorem Chapelem (i wcześniejsze zajęcia: lekcje historii, pomiary głów, recytowanie poezji...), ukształtowały w wyobraźni Jonathana ten sam budujący obraz samotnego podróżnika, heroicznie wpisującego angielski charakter w rzeczywistość nieznanego lądu. Zamiast tego ma być kimś w rodzaju nadzorca podatkowego. Coś poszło nie tak.

Pozostaje jeszcze kwestia samych Afrykanów. Podając mu posiłki, ścieląc jego łóżko czy wioząc go do portu, przestają być po prostu wyznawcami egzotycznych wierzeń czy elementami obcych struktur społecznych. Te abstrakcyjne istoty oddychają, jedzą, rozmawiają, śmieją się. Ich śmiech zamiera, gdy Jonathan wchodzi do pokoju. O to mu chodziło, do tego dążył. To przecież widoma oznaka, że jest panem. Dlaczego więc nie potrafi spojrzeć swoim sługom prosto w oczy? Dlaczego żałuje, że nie może powiedzieć tym ludziom, których twarze stają się nagle poważne i nieodgadnione: „W porządku, ja tylko udaję. Śmiejcie się, jeśli chcecie...”. Dlaczego?

Tego ranka, gdy ekspedycja wyrusza w dalszą drogę, Jonathan wstaje bardzo wcześnie. Klucząc między skorupami orzechów kokosowych, kawałkami drewna wyrzuconymi na brzeg i rozwłóczonymi wokół, idzie na plażę. Rybacy wypływają długimi pirogami na połów. Gwałtownie zanurzają wiosła, po czym wyciągają je z wody płynnym, lecz zdecydowanym ruchem. Powoli łodzie pokonują linię groźnie piętrzących się fal przybrzeżnych. Rybacy zarzucają sieci, dopiero gdy stają się ledwo widocznymi punkcikami na horyzoncie. Wiatr niesie ku brzegowi strzępki pieśni, którą zagrzewają się do pracy. Jonathan siedzi na piasku w miejscu, gdzie plaża opada stromo ku wodzie. Przez godzinę obserwuje kraby rozmiarów kciuka, uwijające się na styku lądu i morza. Plaża ciągnie się na mile. Kraby operują na całej jej długości. Strefa metropolitalnej krzątaniny przecinająca na dwoje strefę spokoju. Jest coś kojącego w ich małym światku na pograniczu dwóch wielkich światów; coś, czego Jonathan nie chce zostawić. Kiedy rusza z powrotem do Idubu, Famous nawołuje go przed bungalowem, a zniecierpliwieni antropolodzy czekają na werandzie.

Parowiec już jest. Przycumował na rzece, dwie mile od brzegu morza. Jego wygląd nie

budzi zaufania. Prostokątny, płaskodenny kadłub z marnym dachem, kiedyś pomalowany na biało, po latach służby pokryty rdzą. W wielkim kole doczepionym do rufy niektóre łopatki noszą ślady sztukowania. Z kotła wyrastają dwa wąskie kominy, sterczące nad pomostem sternika. A pomost to zbita z desek buda, do której wchodzi się po drabinie. Ledwo czytelny napis na burcie głosi, że poczciwa łajba zwie się „Nelly”.

Prawie cały pokład zajmują klatki z ładunkami i skrzynie. Członkowie ekspedycji z trudem znajdują miejsce na rozwieszenie hamaków. Jonathan ląduje obok silnika. Załoga - milczący kapitan i trzech usmolonych pomocników - obserwuje pasażerów z ospałą obojętnością. Palacz od czasu do czasu dorzuca do kotła szufłę węgla i puka w szybki wskaźników.

Niektórzy członkowie klubu pofatygowali się odprowadzić swoich gości. Kiedy dziób „Nelly” zwraca się w górę rzeki, żegnają ich okrzykami pełnymi otuchy. Jonathana, który zdjął kapelusz, ostrzegają gwałtownymi gestami. Jonathan odpowiada machnięciem, udając, że nie rozumie, o co chodzi. Famous salutuje mu na pożegnanie. Jego głowę zdobi paradnie wielki hełm.

Oddalają się od morza coraz bardziej. „Nelly” płynie teraz szeroką deltą, omijając mielizny i skały. Stopniowo delta zwęża się do rozmiarów pojedynczego koryta. Brzegi leniwie płynącej rzeki porastają gęste lasy. Od czasu do czasu można dostrzec jakieś wioski. Na widok „Nelly” podekscytowana dzieciarnia wiosłuje ku nim w pirogach albo skacze z drzew do wody, fikając w powietrzu koziołki.

- No to niedługo ujrzymy kanibali - zagaduje Marchant, szczerząc zęby do Jonathana.

- Fotse są rolnikami - prostuje Morgan.

- Tak ci powiedzieli? Nabrali cię. Założę się, że za naszymi plecami będą gotować w kotłach swoje babcie.

- Nie, naprawdę... - zaczyna Morgan, ale nie kończy. Dopiero teraz orientuje się, że to był dowcip. Marchant wznosi oczy ku niebu.

Na takich rozmowach upływa kilka kolejnych wschodów i zachodów słońca. Marchant usiłuje namówić Morgana do gry w karty, ale rozbija się o jego sumienie nonkonformisty* [przyp.: Nonkonformista - tu: angielski protestant nie należący do anglikańskiego Kościoła państwowego (przyp. tłum.)]. Profesor drzemie na pasiastym leżaku, tej części ekwipunku wyprawy, o którą najbardziej troszczył się od samego Dover. Gregg, nieszczęśliwy, gdy nie ma przed sobą dali, w którą mógłby się wpatrywać, wdrapuje się na pomost sternika. Siada oparty plecami o drewnianą konstrukcję i pali papierosa za papierosem, osłaniając je dłońmi jak wartownik w trakcie nocnej służby.

- Nie jest zbyt rozmowny, co? - zauważa Gittens piątego dnia, wskazując brodą dach łajby, a tym samym Gregga. Marchant przysuwa się bliżej.

- Nie słyszy większości tego, co mówisz. Na wojnie uszkodził sobie bębenki. Kiedyś pod Beaumont-Hamel strzelaliśmy z ośmiocalowych dział przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy. Po tym wszystkim na tydzień ogłuchliśmy, a jemu już tak zostało. Mówi, że wszystko brzmi jak świst. - Marchant przybiera znaczącą minę. - Jak dźwięk nadlatującego pocisku. Gittensa ogarnia niepokój.

- To dziwne.

- Bardzo dziwne. Doprowadza go do szału.

- Byłeś z nim we Francji?

- Byłem jego sierżantem sztabowym.

- I ciągle jesteście razem.

- Cóż... - Marchant zawiesza głos dla zwiększenia efektu. - Po tym, co się widziało i co się robiło, jedyni ludzie, z którymi da się pogadać, to, no wiesz...

- Naprawdę? To znaczy, tak, racja. Oczywiście. Tak. - Gittens zastanawia się nad tym, co przed chwilą usłyszał. - A co konkretnie?

- Wojna. Dla mnie osobiście to bardzo trudne, ale kapitan... Powiedzmy, że był w swoim żywiole.

- Ach, tak. - Spłoszony Gittens rzuca nerwowe spojrzenie na dach, jakby oczekiwał, że w każdej chwili może się pod Greggiem załamać.

Początkowo na rzece panuje spory ruch. Tuziny parowców takich jak „Nelly” kursują w górę i w dół rzeki, załadowane towarami albo ludźmi. Na dachu jednego z nich, którym płyną posepni żołnierze w mundurach khaki, tkwi karabin maszynowy. „Nelly” cumuje przy faktoriach - skupiskach chat wzniesionych wokół magazynów i sklepików; raz przerywa podróż w lokalnej mieścinie, gdzie wąskie uliczki oplatają gliniany meczet. Stopniowo ruch zanika i rejs staje się monotony. Każdy zakręt rzeki przypomina poprzedni, a wzdłuż obu brzegów ciągnie się jednostajna wstęga zieleni.

Zielsko wkręca się w łopatki koła. „Nelly” osiada na mieliźnie i załoga spycha ją na głębszą wodę za pomocą długich drewnianych dragów. Już ponad tydzień Jonathan leży w hamaku i, wsłuchany w nieregularny turkot silnika, usiłuje odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie czuje i o czym myśli. Nie potrafi odnaleźć drogi do własnego wnętrza, motywy nawet najprostszych działań wymykają się jego introspekcji niczym senne widzenie. Nie wiedząc, co robić, nie robi nic. Jak cała reszta. Powoli parada dni traci dotychczasowy rytm. Czas przybiera bardziej nieuchwytną formę. Rzeczy się powtarzają. Dźwięki posuwają go

naprzód lub cofają.

Minuty czy godziny? Profesor śpi. Gregg pali. Żadnych niespodzianek. Z wyjątkiem brzegu. Jonathan spodziewa się, że lada chwila pochłonie go gęstwa drzew; że ujrzy dziewicze serce nieznanego kontynentu. Tak to wygląda, kiedy płynie się w górę afrykańskiej rzeki. Ale zamiast zamknąć go w uścisku, lasy na brzegach rzedną. Nad Jonathanem otwiera się niebo, a przed nim przestrzeń porośnięta niskimi akacjowymi zaroślami. Osad na brzegach jest coraz mniej. Europejskie faktorie dzieli coraz większa odległość, tubylcze osady są coraz mniejsze i nędzniejsze. Monotonia życia na łodzi ma jedną pozytywną stronę: daje wrażenie poruszania się po linii prostej jednostajnym ruchem z punktu wyjścia w miejsce gwarantowanego przeznaczenia. Ale i to mija. Linia wody odsłania inny, całkowicie nieznanymi wymiar, w którym wszystko jest nieprzewidywalne.

Któregoś dnia docierają do rozwidlenia rzeki. „Nelly” wpływa na przewężone nagle koryto, zaledwie dwa razy szersze od niej samej. Z każdą godziną woda robi się bardziej mulista i płytka. Widać, że już niedługo nie da się po niej płynąć. Po zachodzie słońca, w miejscu, gdzie rzeka zamienia się w błotnistą breję, przed „Nelly” wyrasta rozpadający się drewniany pomost. Jego niebezpiecznie poprzeczone filary przypominają rozchwiane zęby.

Brzeg tętni życiem. Dźwięk silnika zwabił na nabrzeże setki obdartusów, którzy składają ręce i wołają coś do białych przybyszów. Ciemności za ich plecami rozświetla blask obozowych lamp. W nozdrza Jonathana uderza gryzący zapach dymu i smród odchodów.

Zbity z tropu profesor każe przycumować do przeciwległego brzegu, co nie powstrzymuje paru mężczyzn przed wejściem do rzeki i podpłynięciem do „Nelly”. Próbuje dostać się na pokład. Załoga spycha ich z powrotem do wody pełnej odpadków i śmieci. Odpływają, dopiero gdy Gregg strzela z rewolweru ponad ich głowami.

- Gdzie jesteśmy? - pyta Gittens żalnym tonem.

- Na końcu rzeki - mówi Morgan. Marchant spluwa.

- Raczej na końcu cholernego świata.

Nikt nie ma ochoty zejść na ląd. Uzbrojeni, spędzają pełną napięcia noc, zmieniając się na warcie. Dwa razy spokój zakłóca im donośny huk. Według Gregga to strzały z karabinu. „A to oznacza - konkluduje - że są tu inni biali”. Nikogo szczególnie ta informacja nie uspokaja.

Powoli większość gapiów znika z nabrzeża. Podróżnicy zostają, przycupnięci w mroku, wsłuchani w szmery czynione przez niewidzialne postacie. Nie sposób ocenić, ile osób obozuje w pobliżu. Z ostatniej wyprawy profesor pamięta, że była tam nieduża faktoria, której

właściciel sprzedał mu zepsutą peklowaną wołowinę.

Z nastaniem dnia ich oczom ukazuje się osobliwy widok. Faktoria zniknęła, jeśli (co szeptem sugeruje Marchant) w ogóle tam była. Zamiast niej widać lichą wioseczkę i nędzną ruinę wielkiej szopy krytej żelaznym dachem. Drewniany krzyż od frontu wskazuje, że to kościół. Obok parkują dwie ciężarówki załadowane gigantycznymi szpulami kabli. W promieniu pół mili rozciąga się prowizoryczne obozowisko, po którym uwija się mrowie ludzi. Gotują, piorą, czerpią wodę albo zwyczajnie stoją, zbici w bezładne gromady. Na dużej przestrzeni teren został całkowicie pozbawiony roślinności. Zebrano wszystko, co nadawało się na opał.

Etnografowie ruszają na poszukiwanie kogoś kierującego tym bałaganem. Z rewolwerami i strzelbami gotowymi do strzału ostrożnie wchodzą na teren obozowiska. Wokół nich natychmiast gromadzi się tłum. Choć nie ma w nim otwartej wrogości, czuć napiętą uwagę, niemą uporczywość spojrzeń, która budzi przerażenie Jonathana. Najwidoczniej inni czują to samo, gdyż mocniej zaciskają dłonie na broni i gorączkowo rozglądają się na boki. Trudno dopatrzeć się tu jakiegoś porządku, oznaki, że stoi za tym jakaś legalna cywilna władza. Kiedy niewiele brakuje, by stracili resztki zimnej krwi, od strony ciężarówek dobiega ich głos z wyraźnym obcym akcentem.

- Hej! Biali! Chodźcie tutaj!

Jest ich dwóch. Eino - jasny blondyn, Martti - ciemnowłoso. Ich twarze pokryte są pęcherzami po oparzeniach słonecznych, a nazwiska pokonują nawet najbardziej zahartowanego etnolingwistę w grupie. Od tygodnia tkwią pośrodku tego chaosu i najbardziej ze wszystkiego interesuje ich, czy Anglicy przywieźli im ryby.

- Ryby? - pyta profesor.

- Śledzie - mówi Martti.

- W puszkach - wyjaśnia Eino. - Mamy trunek, ale potrzebujemy śledzi.

- Mamy śledzie? - profesor kieruje pytanie do Jonathana. Jonathan sprawdza listę zapasów.

- Nie, panie profesorze. Nie mamy śledzi.

- A niech to! Myśleliśmy, że macie śledzie - rzuca Martti.

- Bardzo mi przykro - mówi profesor.

- W takim razie opony - podsuwa z nadzieją Eino.

- Do ciężarówek - dopowiada Martti. - Przywieźliście opony?

- Nie - mówi profesor. - Nie sądzę. Nawet nie wiedzieliśmy, że tu są ciężarówki.

Przecież tu nie ma dróg.

- Myli się pan - to znów Eino. - Są drogi. A może macie dla nas coś innego? Jakież zapasy? Listy?

- Jonathan, mamy? Jonathan kręci przecząco głową.

- Więc to tak - wzdycha przybity Eino.

- Pozwoli pan, że spytam... - mówi profesor. - Co wy tu właściwie robicie?

Zdzierając z nosa płat obłazącej skóry, Eino wskazuje szpule z kablem.

- Telefon - wyjaśnia. - Zakładamy linię telefoniczną. Wzdłuż drogi.

Antropolodzy nie wierzą własnym uszom. Marttiego i Eino cieszy taka reakcja. Z zapalem opowiadają, jak ważna jest ich praca, ponieważ pewnego dnia cały świat zostanie połączony w jedno; i jaka trudna, ponieważ tubylcy, nie rozumiejąc jej sensu, kradną przewody dla miedzianych drutów, a słupy wyciągają z ziemi na opał. Być może nie zbiją tu obaj majątku. Może lepiej będzie wrócić do Finlandii. Popsuły im się ciężarówki, a oni muszą tu tkwić i czekać na parowiec z częściami zamiennymi, listami i zapasami żywności. Myśleli, że parowiec Anglików to ich parowiec, ale się pomylili. „I wychodzi na to, że jeszcze tu sobie poczekamy” - kończy Martti.

- A ci wszyscy ludzie... Skąd się tu wzięli? - pyta profesor. Finowie wruszają ramionami.

- Niektórzy przyjechali budować drogę. Reszta z innych powodów. Profesor kręci głową i zwraca się do swoich towarzyszy:

- Ostatnim razem tego nie było. Było naprawdę spokojnie.

- Sądzi pan, że tak będzie wszędzie? - pyta niespokojnie Morgan.

- A władza? - chce wiedzieć profesor. - Dlaczego nie ma tu przedstawiciela władzy?

- Jest w kościele - wyjaśnia Eino. - Musi go pan porządnie trzepnąć. On wstaje dopiero po drugiej. Najlepiej trzy razy.

Po bliższych oględzinach okazuje się, że kościół zamieniono w dom. Choć większość ścian się rozsypała, część budynku, gdzie kiedyś stał ołtarz, została naprawiona, a dziury w dachu załatane słomianymi plecionkami. Resztę przekształcono w dziedziniec z paleniskiem i licznymi garnkami. W kącie stoi rower z łańcuchem przeżartym rdzą.

- Halo! - woła profesor, stając przed wejściem.

Ze środka dobiega kaszel i bezcielesny angielski głos:

- Odechrzań się. Nie widzisz, że myślę?

- Słucham?

- Przyjacielu, czy nazywasz się Johnnie Walker?

- Nie, proszę pana. Chapel. Profesor Henry Chapel z uniwersytetu w Oksfordzie.

- Skoro nie jesteś Johnnie Walkerem, nie mam najmniejszej ochoty z tobą gadać. Zjeżdżaj.

Po chwili słycać głuchy odgłos ciężkiego przedmiotu spadającego na ziemię. Zaraz potem jęk.

- Na pomoc! - zawodzi płaczliwie ten sam głos. - Przewróciłem się na bok i zleciałem z łóżka.

Nazywa się Short i reprezentuje tu cholerny rząd i wszystko inne. Jeśli chcą mu bruździć, to on gotów wyjść na zewnątrz i się bić. Jego bojowy zapal studzi wiadro rzecznej wody wylanej na głowę. Po tym zabiegu Short przedstawia sobą żalony widok. Mętne, rozbiegane oczy, skóra pokryta na przemian sińcami i śladami po ukąszeniach owadów. Jest młodym mężczyzną, niewiele starszym od Jona-thana, lecz whisky i gorączka uczyniły z niego ruinę człowieka. Spogląda na krąg otaczających go antropologów i wykrzywia usta w uśmiechu, odsłaniając pocerniałe zęby.

- Jezu - mamrocze. - Jesteście prawdziwi. A ja myślałem, że mam przywidzenia.

Podróżnicy pomagają mu wrócić do łóżka, po czym odbywają naradę na dziedzińcu. Niezdolność Shorta do działania stanowi wielki problem. Jako administrator okręgu, powinien pomóc im znaleźć tragarzy i poinformować o obecnej sytuacji w krainie Fotse. Na wybrzeżu mówiono o eskorcie, może nawet o oddziale West African Frontier Force albo miejscowej policji. Tymczasem Short, który najwidoczniej nie rozumie, kim są, wydaje się niezdolny do samodzielnego zatroszczenia się o jedzenie dla siebie, nie mówiąc już o udzieleniu pomocy ich wyprawie. Jonathan teraz rozumie, dlaczego spis ludności spadł na niego.

Po powrocie na „Nelly” odkrywają, że ktoś dobrał się do jednej z klatek z zapasami żywności. Załoga niczego nie zauważyła. Gregg zarządza całodobową wachtę. Resztę dnia spędzają na sporach, co dalej.

O zachodzie słońca nad obozem rozlega się przenikliwe zawodzenie. Niektórzy zgromadzili się na wieczorną modlitwę. Rozłożyli maty na spękanej od słońca ziemi i biją pokłony z twarzami zwróconymi w stronę Mekki. Gittens, wsparty o poręcz, patrzy na zrujnowany kościół i wykrzywia twarz.

- Wydaje się, że misjonarze dużo tu nie zwojowali.

Z nadejściem zmierzchu w niebo wzbijają się chmary moskitów. Teraz widać, kto tak naprawdę jest władcą tej ziemi. Unoszą się nad każdą angielską głową, otaczając ją niczym mali Apacze pociąg towarowy. Siadają na odsłoniętych częściach rąk, wciskają się pod nogawki szortów i koszule, powodując szal drapania i nieskutecznego smarowania maścią o cytrynowym zapachu. Uciekając przed inwazją skrzydlatych natrętów, Jonathan wlecze się do

kościola, by posiedzieć z Shortem. Short leży na łóżku polowym i mamrocze coś do siebie. W rzadkich przebłyskach świadomości udaje mu się nawet prowadzić rozmowę, choć raczej pozbawioną sensu.

- Wiesz - powtarza bez przerwy - od dwóch lat nie widziałem białej kobiety. Co ty na to, Johnny?

*

Na „Przystani Shorta” wyprawa spędza dwa ponure tygodnie. Mieszkańcy obozowiska chodzą za nimi krok w krok, zebrząc o pieniądze i jedzenie. Przy pierwszej próbie naboru tragarzy omal nie dochodzi do rozruchów. Bezładny tłum setek mężczyzn kłębi się wokół ciężarówek Finów, które służą członkom ekspedycji za prowizoryczną mównicę. Uwięziony na rozchwianej platformie auta, Jonathan kurczowo chwyta się żelaznego szkieletu i bezskutecznie usiłuje zapanować nad śmiertelnym przerażeniem.

Co wieczór nadlatują owady, fundując godzinę piekła każdemu, kto nie siedzi dostatecznie blisko gryzącego ognia. Co wieczór też Finowie puszczały płyty z muzyką symfoniczną i strzelają na postrach w stronę każdego, kto podejdzie zbyt blisko ciężarówek. Mimo ich czujności, w obozowisku widuje się kobiety z miedzianymi bransoletkami na kostkach, zrobionymi ze skręconych kawałków drutu. Ich dzieciom wiszą u nadgarstków maleńkie miedziane talizmany.

Czasem Jonathan odwiedza Shorta. Chwile, gdy Shortowi rozjaśnia się w głowie, wykorzystuje na wytłumaczenie mu, że jest naukowcem, który podróżuje do krainy Fotse. „Kiepska sprawa” - to cały komentarz Shorta, który zaraz powraca do Johnnie Walkera i majątku członków drużyny krykieta hrabstwa Kent. Ten temat bardzo mu leży na sercu. Choć Short umiera, przebywanie z nim przynosi Jonathanowi ukojenie. A już na pewno woli jego towarzystwo niż tę szczególną część każdej nocy, która przyprawia go o dreszcz - stanie na warcie. W samotności na pokładzie „Nelly”, w bliskości brzegu, po którym kręcą się bezgłośnie Afrykanie, osobiste punkty orientacyjne Jonathana znikają jeden po drugim. Po kwadransie odczuwa niepewność, po półgodzinie własną kruchość. Pod koniec dwugodzinnej wachty granice jego wewnętrznego świata przestają istnieć. Jonathan czuje wtedy, że się zatracą, a może nie tyle zatracą, ile całkowicie rozprasza w ciemnościach; że gubi stałe punkty odniesienia, że nie ma pojęcia, kim jest, gdzie jest, dlaczego jest i czy w ogóle ma jeszcze prawo myśleć o sobie w kategoriach rodzaju męskiego. Kiedy popada w taki stan, nie ma już dla niego odwrotu. Każdy zmiennik zastaje go wtedy jęczącego, z szeroko otwartymi oczyma, uczonego strzelby jak talizmanu. Jego towarzysze są oczywiście za dobrze wychowani, by poruszać z nim ten temat, ale jego stan budzi ich troskę.

Tymczasem ktoś zdołał wreszcie dotrzeć z wieściami do miejscowego emira. Przysypiający Jonathan siedzi właśnie na dziedzińcu kościoła i słucha strzępków bełkotliwej opowieści o osiągnięciach przedwojennych krykieistów, gdy odległe zawodzenie trąbek oznajmia przybycie El Hajj Idrisa Abd’Allahi, który - choć Niewolnik Boga - jest dziedzicznym władcą rozległych równin na północ i wschód od rzeki. Aby je przemierzyć

konno, potrzeba dziesięciu dni.

Orszak emira robi wrażenie. Za forysiami w zawojach barwy indy-go podąża straż przyboczna w kolczugach, otaczająca emira i jego dworzan, od których bije w oczy biel i złoto. Profesor, który z powodu niedyspozycji Shorta reprezentuje i siebie, i rząd Jego Królewskiej

Mości, podejmuje przybyszów ucztą. Po zakończeniu ceremonii prezentacji antropologów i królewski dwór zasiadają do wspólnego posiłku, złożonego z pieczonej kozy i brytyjskich konserw. Największy zachwyty budzą brzoskwinie w syropie. Naukowcy obdarowują emira podarunkami (więcej puszek z brzoskwiniami, komplet do herbaty i parasol). Obie strony wymieniają komplementy. Rozmowa o interesach zaczyna się dobrze po północy.

Brzoskwinie nie skruszyły emira. „Nie - mówi - wy nie chcecie iść do Fotse”. „Chcemy” - upiera się profesor. „Nie chcecie - twierdzi emir, żywo popierany przez swoich ministrów. - Fotse są brudni. To niewierni, a ich kobiety są prostytutkami”. „Mimo wszystko - przekonuje profesor - chcemy do nich iść. I zapłacimy”. „Nie idźcie - mówi emir. - Oni są biedni. Tam jest susza. Kobiety Fotse zarażą waszą skórę i intymne części, bo ich mężczyźni śpią ze zwierzętami”. „Mimo wszystko...” - powtarza profesor.

Towary okazują się bezużyteczne. Emir życzy sobie zapłaty w międzynarodowych środkach płatniczych. Suma zaproponowana przez profesora zostaje odrzucona. Nawet podwojona, ciągle jest nie do przyjęcia dla emira. Rozmowy trwają już parę godzin. Kiedy ogień ledwo się już żarzy, a szarawy świt odsłania pogrążonych we śnie ludzi, Gittens nieświadomie przerywa impas zapaleniem papierosa. Emir daje do zrozumienia, jak bardzo by go zadowolili srebrna papierośnica Gittensa. „Zlitujcie się - jęczy Gittens - to prezent od mojej matki”. „Mimo wszystko...” - mówi profesor.

Kiedy papierośnica staje się już własnością emira, ten łaskawie wyraża zgodę, by człowiek imieniem Yusef, jeden z jego wodzów, zaprowadził ich do krainy Fotse. Emir przystaje również na sprzedaż wyprawie niektórych wielbłądów po okazyjnej cenie, co oznacza, że Yusefowi pozostaje zwerbować tylko osiemdziesięciu tragarzy.

Profesor dostaje w podarunku służącego. Człowiek, który kiedyś służył w domu Europejczyka w sąsiednim okręgu, zostaje wynajęty jako kucharz. Obie strony porozumiewają się też co do tego, że bracia Yusefa będą strzec karawany. Pod koniec tygodnia ekspedycja wyrusza w ostatni etap podróży, zostawiając za sobą Finów siedzących na platformach ciężarówek i Shorta na łóżku polowym z flaszką i fasolą w puszkach. Profesor Chapel siedzi na rozkołysanym wielbłądzim grzbiecie gdzieś pośrodku rozciągniętej kolumny ludzi i zwierząt.

*

Dzień po dniu kolumna posuwa się w górę nowo położonej zwirowej drogi. Wygląda jak podłużna biała szrama na czerwonej ziemi. Poganiacze szarpią lejce swoich złośliwych wielbłądów. Złani potem tragarze dźwigają na głowach lżejsze ładunki - zamknięte na kłódkę skrzynki, namioty, cenny leżak profesora. Nocą Jonathan zasypia do wtóru ich smutnych pieśni. Usadowieni wokół ogniska tragarze śpiewają o brzemieniu ładunków i tęsknocie za domem. Kiedy Jonathan budzi się tuż przed świtem, oni są już na nogach. Rozdają kopniaki zwierzętom i w ponurym nastroju zabierają się do zwijania obozu. Pewnego dnia na horyzoncie zarysowuje się jakaś postrzępiona linia. Każdego ranka jest coraz wyraźniejsza. To pierścień wzgórz, które znaczą granice ziemi Fotse.

Droga kończy się gwałtownie w miejscu, gdzie grupa pięćdziesięciu albo i więcej mężczyzn z kilofami i walcami pracuje przy rozbijaniu ziemi i wyrównywaniu powierzchni. Niedaleko stoją wojskowe namioty z brezentu.

- Fotse - wyjaśnia Yusef. - Rząd przywiózł ich, żeby budowali drogę.

- Ci ludzie to Fotse? - pyta osłupiały Morgan. - A gdzie ich naszyjniki Fo? Gdzie ich grzebień?

Robotnicy są ubrani jak wszyscy wieśniacy Hausa, bez jakichkolwiek oznak przynależności plemiennej. Nadzorca potwierdza, że zostali przywiezieni z ziemi Fotse do przymusowej pracy. Etnografowie wypytywają ich przez chwilę, ale Fotse niechętnie odpowiadają nawet na najbardziej podstawowe pytania o imię i przynależność klanową. Nadzorca, Joruba z wybrzeża, jest zdumiony, że ekspedycja zmierza ku ziemi Fotse. „Pokażcie im broń - radzi. - Wtedy będą was szanować”. Profesor mówi mu, żeby nie był śmieszny, że Fotse to bardzo spokojni ludzie i radośnie go powitają, ponieważ na ich ziemiach jest wodzem. Nadzorca przyjmuje te słowa z całkowitą obojętnością. Bardziej go interesuje, czy mają dżin. Przydałby się mały dowód wdzięczności za to, że pozwolił im rozmawiać z robotnikami.

Każdego dnia ekspedycja przybliżyła się do linii wzgórz. Ziemia jest coraz twardsza i coraz bardziej spękana. Siedząc w kołyszącym się siodle, Jonathan patrzy przez zmrużone powieki na rozedrgany z gorąca świat na krawędzi wyparowania. Stopniowo teren się podnosi, a wokół pojawia się coraz więcej głazów. Wędrując wyschniętym korytem rzeki, wkraczają do doliny. Z obu stron otaczają ich strome zbocza obrosnięte powyginanymi krzewami, które uczone są skał niczym kleszcze krowiej skóry. Coraz trudniej posuwać się naprzód. Mozolnie pną się po stromych stokach. Wielbłądy opierają się i szarpią uzdy. Wreszcie oczom ekspedycji ukazuje się pierwsza zagroda Fotse. Grupka stożkowatych chat, do której prowadzi ścieżka usiana wyschniętymi ludzkimi odchodami. Zagrodę, usytuowaną w strefie cienia

rzucanego przez potężną skałę, otacza szachownica pól poprzedzielanych rzecznymi kamieniami. Tu i ówdzie w ziemi tkwią pale z przywiązanymi do nich znakami i talizmanami: zawinięta w trawę czaszka zwierzęcia dla ochrony przed zarazą, sznury koralików i pajęczych jaj, oznaczające pozycję tej parceli w negocjacjach Fo. Antropologów przejmuje radość, która zaraz zmienia się w rozczarowanie. Gospodarstwo jest opustoszałe.

Tak samo jest z drugim, trzecim i każdym następnym. Profesor, który oczekiwał grupki rozradowanych kobiet, intonujących tradycyjne pieśni powitalne, nie potrafi tego wyjaśnić. Tego wieczoru rozbijają obóz głęboko na terenach Fotse, nie ujrawszy ani jednego Fotse. Na noc każą Yusefowi rozstawić wzmocnione straże. O zachodzie słońca Jonathan spogląda na przebytą równinę i zadaje sobie pytanie, kiedy znów ją ujrzy.

Nazajutrz rano ich podróż dobiega końca. Pod wyniosłą skałą, zwaną przez Fotse „Grzbietem Jaszczurki”, leży zagroda Daou, najważniejszego tutejszego wodza. Jego pola opadają ku wyschniętemu korytu rzeki, usianemu płaskimi kamieniami. Tuż za nim wznosi się następne skalne urwisko, naszpikowane grotami, w których Fotse składają swoich zmarłych. I znów historia się powtarza. W gospodarstwie wodza nie ma najmniejszych oznak życia. Zagroda dla kóz jest pusta. Białym ludziom cisza zaczyna dzwonić w uszach. I wtedy Gregg dostrzega jakiś ruch na samej górze. Podaje lornetkę Chapelowi.

- Chowają się w jaskiniach - stwierdza.

- Dobry Boże... - szepcze przejęty profesor. - Dlaczego? Nakazuje rozbić obóz. W towarzystwie Gittensa i Gregga, w eskorcie dwunastu ludzi Yusefa, wspina się po zboczu. Jonathan patrzy, jak powoli pną się ku jaskiniom, a potem schodzą. Profesor jest wstrząśnięty.

- Dacie wiarę? - grzmi. - Kazali mi odejść! Swojemu największemu wodzowi! A przecież dzięki moim pracom są znani w świecie!

- To lekka przesada, profesorze - uśmiecha się Gittens.

- Mam dość pańskich złośliwości! - wybucha profesor.

- Odejść? - pyta ostrożnie Morgan.

- Wygląda na to - stwierdza Gittens - że mają kiepską opinię o białych. Myślą, że zabierzemy ich do pracy dla rządu.

- Ale przecież mieli być pierwotni - Morgan z pretensją w głosie zwraca się w stronę profesora, jak człowiek, który stracił na giełdzie z powodu fałszywej informacji. Grzebie w plecaku, po czym wyciąga sfatygowaną książkę. - Pozwoli pan, że zacytuję pańskie słowa: „Fotse są łagodnymi, radosnymi ludźmi, niemal nie tkniętymi przez niszczący wpływ współczesności, ich pasterski...”.

- Tak, tak - przerywa profesor. - Co mogę na to poradzić, skoro rząd się do nich wtrąca?

Wiecie, jak bardzo chcą zagonić tubylców do pracy. Próbowałem im to tłumaczyć, ale co ich obchodzi nauka! Z nimi da się rozmawiać tylko o przeklętych podatkach.

- Skoro chcą, żebyśmy odeszli - wtrąca Jonathan - może powinniśmy odejść?

Wszyscy patrzą na niego jak na szaleńca.

- Przestańcie skakać sobie do oczu - mówi Marchant - i patrzcie.

Z wylotów jaskiń na całej długości skalnego grzbietu wyłaniają się Fotse. Setki Fotse ze stadami kóz. Jakby zrodzili się ze skal, w których spoczęli ich przodkowie.

*

Biali ludzie patrzą na Daou. Widzą wymizerowanego Fotse siedzącego na rzeźbionym drewnianym stołku. Fantazyjne nacięcia na twarzy giną w zmarszczkach. Ciężar różnokolorowych naszyjników Fo na piersi zdaje się ciągnąć go ku ziemi. Żony przycupnięte za nim wedle starszeństwa, podszczypują się, a każda cichcem wkłada sąsiadce termity we włosy.

Daou patrzy na białych mężczyzn i widzi kłopoty. Jego ludzie szepczą między sobą. Zakładają się o nowo przybyłych. Ktoś musi kultywować tradycję. Pewne rzeczy trzeba robić, nawet jeśli sprawiają przykrość. Daje znak deklamatorowi, który występuje naprzód i zapoznaje wszystkich z królewską genealogią wodza. Wylicza posiadłości jego zmarłego ojca, dzieci i najbardziej udane transakcje. Przechodzi do ojca jego ojca, potem do ojca ojca jego ojca, aż cofa się do zamierzchłej przeszłości spowitej mrokiem dziejów. Po każdych paru generacjach przychodzi czas na łyk pokrzepiającego napoju.

W miarę jak naszyjniki Fo splątują się jeden z drugim, a łańcuch długów i zobowiązań staje się coraz bardziej pogmatwany, nawarstwiają się zmartwienia władcy Fotse. Kiedy Daou słucha o swoim pochodzeniu, cień wielkiego zbrocza stopniowo się wydłuża. Wkrótce ogarnia go wraz z jego ludźmi. W chwili gdy deklamator wymienia imię pierwszego przodka, już tylko biali i ich słudzy znajdują się w strefie światła. Nieco drżącym głosem Daou oznajmia gościom, że teraz ich kolej. Wypychają na środek najmłodszego z nich, który intonuje pieśń w swoim języku.

Jonathan śpiewa (fałszując na melodię „Land of Hope and Glory”): „Syn Je-re-my’ego Cha-pe-la, mą-dre-go i silnego...”. Swój poemat profesor starannie napisał na papierze maszynowym. Składa się z parunastu zwrotek, referujących dzieje rodu Chapelów wstecz do siedemnastego wieku i małorolnych gospodarzy z okolic Wiltshire. W trakcie występu Jonathana profesor pęka z dumy. Reszta intensywnie wpatruje się w czubki swoich butów. Kiedy pieśń dobiega końca, Fotse szemrają coś między sobą zakłopotani.

- Trochę za krótkie - mówi półgłosem Gittens. - Chyba myśla, że istniejemy od niedawna.

Choć Daou daje odczuć białym, że ich genealogia jest pożałowania godna, ostatecznie jest zadowolony, że nie przybyli tu zabrać więcej ludzi do pracy, i pozwala im rozbić obóz nad rzeką. Następne dni upływają na organizowaniu życia w obozie i płaceniu należności nadprogramowym tragarzom. Tak się fatalnie składa, że większość tragarzy chce odejść. Nie

lubią Fotse, którzy są niewierni i jedzą zakazane pożywienie.

Któregoś ranka Yusef oznajmia, że chce odejść razem z innymi. Po tym oświadczeniu przed namiotem Jonathana dochodzi do awantury. Krzyki budzą go z koszmarne go snu, w którym ciemne, skaliste zbocze groziło runięciem na jego łóżko.

- Co się dzieje? - pyta, wycierając z namiotu i przecierając oczy. Nie dostaje odpowiedzi, ponieważ Marchant wyłania się ze swojego namiotu, wymachując rewolwerem.

Yusef dygocze, przekonany, że Marchant zaraz go zastrzeli. Reszta tragarzy rzuca się naprzód z nożami i maczetami. W zamieszaniu Marchant strzela na postrach w powietrze. Do południa niewielu udaje się przekonać, żeby zostali. Mówią, że to inni boją się zanieczyszczenia, ale oni sami nie. Nie są przesadni. Są dzielnymi ludźmi. Ale są także biedni i chcą więcej pieniędzy. Profesor nie ma wyjścia. Musi dać, ile chcą.

Przez kilka następnych godzin w dolinie niesie się radosna pieśń wspomagana klaskaniem. Odgłosy odchodzącej kolumny Yusefa i tragarzy działają na wszystkich deprymująco. Nikt nie odzywa się do Marchanta, który chwyta za łopatę i wynosi się poza obręb obozu, by wykopać pierwszą latrynę.

Przez długi czas Fotse unikają białych. Wokół obozowiska nie ma wścibskich obserwatorów, nikt tamtędy nie przechodzi. Owa wrogość wzmacnia napięcie wśród członków ekspedycji. I choć profesor utrzymuje, że to niepotrzebne, Gregg i Marchant postanawiają trzymać straż.

Którejś nocy Jonathan siedzi przed swoim namiotem. Przypatrując się Greggowi, który robi obchód obozu ze strzelbą w zagięciu ręki, dostrzega na skałach pojedyncze migoczące światełka. Stopniowo dołączają do nich następne, aż zbocze jarzy się od nich jak kopiec termitów. Przez następne godziny światełka nie znikają. Jonathan patrzy jak zahipnotyzowany. Jego pusty notes leży nietknięty na kolanach.

Kolejnej nocy światełka znów się pojawiają. Grupują się wokół wylotów jaskiń, w których Fotse składają swoich zmarłych. Do obozu dochodzą niskie, regularne dźwięki bębnow. Jeden po drugim zaintrygowani biali wychodzą z namiotów. Zapatrzony w świetliste punkciki profesor wygląda na poruszonego.

- Nigdy przedtem tego nie robili - mówi. - Zbliżanie się do jaskiń po zmroku było tabu.

- A czy jest coś, co robili przedtem i co nadal robią? - pyta szydyczko Marchant.

Profesor z trudem hamuje wybuch.

- To szczyt wszystkiego - pryska śliną ze wzburzenia. - Bezczelny z pana typ.

Marchant wykonuje nieprzyzwoity gest (Jonathan widział go już wiele razy, ale dla profesora Chapela jest zupełną nowością). Od tej chwili ekspedycja nieodwołalnie dzieli się na

dwa stronnictwa. Gregg i Marchant przenoszą swoje namioty na jedną stronę ognia, profesor, Gittens i Morgan na drugą. A raczej to tragarze przenoszą wszystkie namioty. Biegając tam i z powrotem, starają się spełnić sprzeczne żądania obu grup.

Po inauguracyjnej wymianie obelg konflikt przebiega w tradycyjnie angielski sposób. Wojujące strony przestają zauważać swoją obecność, kulturalnie unikają kontaktu wzrokowego, rozmów i jednoczesnego przesiadywania w latrynach, przy ognisku i przy stole w namiocie jadalnym. Trwa lodowate milczenie, przerywane jedynie lakonicznymi zdaniami i wydawaniem poleceń. Ponieważ nikt nic nie mówi, Jonathan błędnie zakłada, że spór się skończył. Choć zmiany w rozstawieniu namiotów wprawiają go w zakłopotanie, sam zostaje na starym miejscu, czym nieświadomie wzbudza w towarzyszach podejrzenia. Zwłaszcza Gittens przygląda mu się dziwnie na drugi dzień. Wieczorem, gdy Jonathan przynosi w pobliżu ognia dwa składane krzesła, profesor nie chce z nim usiąść, wymawiając się ochotą na przechadzkę.

Tej nocy Jonathan nie może spać. Wokół wylotów jaskiń znów drgają światełka. Niepokojące dudnienie bębnow wypełnia duszny namiot. Po północy Jonathan postanawia wyjść na zwiady. Nie tyle chce zobaczyć, co robią Fotse, ile boi się, co będzie, jeśli tego nie sprawdzi. Powraca uczucie z wachty na „Nelly”. Oszaleje, jeśli nie nada swoim obawom konkretnych kształtów. Z ociąganiem ubiera się i rusza w stronę zbocza.

Mijając latrynę, zauważa jakąś postać manipulującą przy szortach.

- Mówiłem! Mówiłem! Dokąd się wybierasz?

To Gittens. Przysysa się do Jonathana w przekonaniu, że odkrył jakiś spisek. „Oszalałeś!” - krzyczy wojowniczo, gdy Jonathan wyjaśnia mu, dokąd idzie. Jednak podejrzenia wygrywiają ze strachem. „Idę z tobą - postanawia. - Myślę, że to w porządku. Mam broń”. Maca w poszukiwaniu pasa, klnie i wraca po niego do latryny.

Kierują się ku miejscu, skąd dobiega dudnienie bębnow. Księżyc oświetla im drogę. Rytm uderzeń sprawia, że przyspieszają kroku. Nie sposób ocenić, ile osób wali w bębny. Wydaje się, że setki. W miarę zbliżania się do jaskiń Jonathan i Gittens stąpają coraz ostrożniej. Łączy ich świadomość, że naruszają pewne granice. Gittensowi, mirno naukowej praktyki, dźwięk bębnow nadal kojarzy się z rysunkiem wielkiego kotła w „Boy’s Journal”. Ponuro patrzy na własne nogi, żałując, że to, co wystaje z luźnych szortów, nie jest odrobinę mniej pulchne i mniej białe. Niepokój Jonathana ma swoje źródło w czym innym. Jonathan boi się wejść w strefę światła i poczuć na sobie spojrzenia Fotse. Boi się tego, co mogliby zobaczyć.

U podstawy urwiska, przed grotami zmarłych, paręset kobiet i mężczyzn Fotse tworzy nieregularny krąg wyznaczony zapalonymi pochodniami. Po jednej stronie siedzą bębniarze, zaledwie sześciu. Na gigantycznym podwójnym bębnie wybijają miarowe bum! bum!,

przeplatane łomotem przypominającym odgłos maszyny do szycia. Przewrócony na bok bęben, którego obciągnięte skórą wołową membrany mają rozmiar siedzącego człowieka, stanowi centralny punkt zgromadzenia. Wolną przestrzeń przed bębnami zajmuje grupka tańczących kobiet. Ich nagie ramiona i nogi lśnią od potu. Talizmany i bransolety na rękach uderzają o siebie miarowo. Jonathan czuje nagłe ukłucie w sercu. Ten dźwięk przypomina mu Star. Kobiety stoją w rzędach twarzą do bębniarzy. Zbliżają się do nich parami. Machają ramionami i mocno tupiąc, wzbijają tumany kurzu. Obecność Jonathana i Gittensa, którzy przycupnęli za skałą, zostaje dość szybko odkryta przez najbliższych siedzących Fotse. Wieść o nich szybko rozchodzi się w tłumie, ale taniec trwa nadal. Powoli obaj nabierają pewności siebie i cał po cał przysuwają się coraz bliżej. Wyżsi o głowę od mężczyzn Fotse, wyglądają jak białe maszty na tyłach tłumu.

Taniec trwa. Pierwsza para kobiet zbliża się ku bębnom, po czym ustępuje miejsca następnej. Rytm staje się szybszy, tempo uderzeń zwiększa się dwukrotnie, basowa membrana dudni i mruczy jak niezadowolony olbrzym. Kobiety jedna po drugiej gubią krok, kręcą się w kółko z rozpostartymi ramionami, zataczają się, trzęsą i podrygują w transie.

I nagle muzyka się urywa.

Na chwilę zapada martwa cisza. Kobiety przybierają nowe pozy, miotają się na prawo i lewo do wtóru jęków i krzyków. Każdą z nich zasiedla inna istota; jedna z tancerek kuśtyka i grozi wszystkim palcem, druga lubieżnie pociera dłońmi pośladki. Niektóre z nowych wcieleń są komiczne, inne groźne.

- No tak, przodkowie - mówi Gittens autorytatywnym tonem. - Według relacji naocznych świadków...

Jonathan trąca go łokciem i wskazuje gromadkę tancerek, których ruchy różnią się od reszty.

- A one?

Nowo przybyłe postacie są napuszone. Zasiedlone przez nie kobiety chodzą paradnym krokiem, sztywno wyprostowane, machając zamasyściami rękami lub trzymając je złączone z tyłu. Jedna ściska w dłoni jakiś kwadratowy przedmiot, wali w niego i pokazuje widzom. Reszta przytyka do ramion kije i mierzy z nich jak ze strzelby.

- Mój Boże - szepcze z przejęciem Gittens. - To chyba my.

Nikt w krainie Fotse nie wie, kiedy przybyły do nich pierwsze europejskie duchy. Obce duchy przybywały do nich już wcześniej, część z pustyni, część aż z wybrzeża, ale nigdy nie

było ich tyle i nigdy nie okazywały takiej złości. Niektóre, jak Massa-Missi, wrzeszczą i wydają rozkazy. Inne, jak Sahjat, zasiedlają ludzi i próbują ich porwać. Są brutalne i nieprzewidywalne. Dla wielu Fotse to znak, że stare czasy minęły, a nowe będą bardzo trudne.

W przeszłości żaden Fotse nie opuszczał swoich ziem. A jeśli byli tacy, wędrowali na równiny i przepadali tam na zawsze. Teraz są Fotse, którzy odeszli i wracają z dziwnymi opowieściami o podróżach po wodzie albo kopaniu pod ziemią. W każdej z tych opowieści główną rolę odgrywają biali ludzie. Duchy białych każą im wznosić ogromne spichlerze i zarzynać jeden drugiego, jak nowożeniec zarzyna kozy przed uczną weselną. Jakimś sposobem te duchy musiały wejść w mężczyzn Fotse, gdy spali, i przybyły razem z nimi.

Zmiany musiały przyjść w ślad za duchami Europejczyków. Chyba że jest na odwrót; że to duchy przyszły w ślad za zmianami. To jedno z pytań, które dręczą starszą Fotse, dyskutującą o nowych czasach w cieniu drzew owocowych. Co przyszło pierwsze: duchy czy zmiany? Przedtem nikt nie mówił w ten sposób; nie było mowy o nowych czy starych czasach, ponieważ takie rzeczy po prostu nie istniały. Czas to był czas. Ludzie żyli jak ich przodkowie. Jedli tylko czyste części zwierząt i zbierali proso po złożeniu odpowiedniej ofiary. Unikali stosunków seksualnych, póki ich nowo narodzone dziecko nie zostało odstawione od piersi, a kiedy przychodził na to czas, zawierali Fo. Przodkowie nagradzali ich posłuszeństwo właściwą kolejnością pór roku i plonami, którymi mogli wykarmić więcej dzieci. Dzieci dorastały, potem umierały i same stawały się przodkami, nadzorującymi zmiany pór roku. I tak odziedziczona po przodkach siła Fotse rosła, czyniąc ich świat mistycznym perpetuum mobile.

Teraz machina się zepsuła. Teraz są stare czasy i nowe czasy.

Może to misjonarz przywiodzi z sobą przeszłość i przyszłość w skórzanych torbach przy siodle, kiedy przejeżdżał przez ich krainę i mówił o wzniosłym bogu, o martwym bogu i końcu czasu. Nie zostawił po sobie prawie nic więcej prócz idei początku i nieuchronnego końca. Kazał ludziom myśleć o własnym końcu i gdzie się znajdują, gdy czas przestanie istnieć. Zamiast pytać przodków: „Co powinniśmy robić?”, ludzie zaczęli pytać: „Co jest dla mnie dobre? Co się ze mną teraz stanie?”.

Przybyli rządowi ludzie i dali Daou magiczny kij ze srebrnym okuciem, a innym wodzom kije z okuciami z brązu. Wodzowie byli dumni, ale w zamian za kije rząd zabrał z sobą wielu mężczyzn Fotse. Niektórych nie było przez długi czas. Nie mogli zebrać plonów, a ich żony uciekły z innymi.

Ludzie zaczęli mówić: „Kiedyś żyło się całkiem inaczej”.

Biali ostrzegali ich przed czarami, co było zupełnie naturalne. Szamani i zaklinacze deszczu robią to samo. Nikt w krainie Fotse nie lubi tych, którzy rzucają uroki, ale oni są.

Każdy ma zawistnych sąsiadów, co jest wystarczającym powodem, by stawiać swoją zagrodę z daleka od reszty. Jeśli uroki fruwią w powietrzu przez cały czas, trudno oczekiwać czegoś innego.

Jeśli twoja brzemienne koza umiera albo twoje dziecko ukąsi wąż, można spytać wyroczni, kto za to odpowiada, i zmusić winowajcę do wynagrodzenia straty. Czary można zneutralizować albo skierować z powrotem ku temu, kto je rzucił. Talizmany chronią przed czarami. Tylko w najpoważniejszych przypadkach, kiedy wrogość innych przywodzi ludzi na skraj śmierci, magia staje się sprawą publiczną.

Niektórzy pytali: „A jeśli nowe czasy przynieśli czarownicy? Jeśli przewrotni ludzie połączyli siły i zmienili wszystko na gorsze? Czy nie lepiej wytepić ich raz na zawsze i żyć w świecie wolnym od czarów? Może wróci sam czas, bez podziału na stare i nowe?”.

Te myśli budzą strach, pełno w nich zmian i zamętu. Pojawiły się wraz z nowymi czasami. Ostatnio wróżbiarze mają mnóstwo pracy. Codziennie ujawniają nowych czarowników, których ludzie traktują bardzo surowo.

Są Fotse, którzy myślą o czarach inaczej. Świat poza granicami ich krainy jest całkiem pogmatwany. Czary są tam na porządku dziennym, złe jest dobre, a ludzie chodzą do góry nogami. Że w świecie zewnętrznym panuje zło, o tym wiedziało się od zawsze. Teraz podróżujący Fotse potwierdzają, że im dalej jedziesz, tym jest gorzej, aż docierasz do zimnego kraju, gdzie żyjący tłoczą się na kupie, a martwi leżą na otwartych przestrzeniach.

Kto przybywa z dalekiego świata, by zabierać mężczyzn Fotse? Czyje uprzykrzone duchy tak kierują kobietami przy wielkim bębnie, że nawet gdy w desperacji tańczą przed jaskiniami zmarłych, przodkowie niezmiernie rzadko zabierają je z sobą, zostawiając we władaniu tupiącego Sahjata i Massa-Missi?

Kto mógłby być bardziej przewrotny niż biali ludzie?

Przed świtem Jonathan i Gittens wracają do obozu. Nie bardzo wiedzą, jak wytłumaczyć to, co widzieli. Jonathan jest zaniepokojony, ale Gittens odczuwa ulgę. „Świętują - mówi. - To ich sposób na uczczenie naszego przybycia”.

Kiedy opowiadają o wszystkim profesorowi Chapelowi, ten okazuje wielkie niezadowolenie. Ignoruje relację podekscytowanego Gittensa na temat tańca obrazującego opętanie i wygłasza płomienną przemowę, w której roi się od słów i wyrażeń typu „eskapada”, „skandaliczny” i „czy to się komuś podoba, czy nie”. Wszelkie kontakty z Fotse powinny być usankcjonowane przez niego. On kieruje tą ekspedycją i nie pozwoli, by podważano jego

autorytet. Z przeciwnej strony paleniska dobiega głośny, bezczelny śmiech Marchanta. W bezsilnej wściekłości profesor zwraca się do Jonathana.

- A jeśli o ciebie chodzi, to zdaje mi się, że miałeś coś do zrobienia - rzuca warkliwie. -
Czy nie czas, żebyś przestał pałętać się po obozie i ruszył w teren?

*

Następnego dnia Jonathan wyrusza w teren. Z trzema tragarzami, którzy niosą jego papiery i sprzęt obozowy, przekracza wyschłe koryto poniżej zagrody Daou. Tragarze nazywają się Idris, Ali i Danjuma. Kiedy wydaje im polecenia, uświadamia sobie, że się ich boi. Rozmawiają między sobą przyciszonymi głosami w języku hausa, obserwując go z beznamiętnym wyrazem twarzy. Są pierwszymi tubylcami, którymi przyszło mu samodzielnie kierować. Odczuwa ulgę, że opuszcza strefę cienia rzucanego przez zbocze, ale jak zabrać się do spisu ludności, pozostaje dla niego tajemnicą. Większość rządowych instrukcji dotyczy rad wioskowych, pomniejszych wodzów i spisów w języku arabskim, ale ponieważ Fotse (wysoce zdecentralizowani i mniej lub bardziej wolni od czyjegokolwiek nadzoru) nie żyją w wioskach, nie mają jasnego systemu lokalnych rządów i nie piszą po arabsku, żadnej z nich nie da się tu zastosować. Dopóki Gregg i Marchant nie skończą pomiarów, nie będzie dokładnych map krainy Fotse. Jedynymi nośnikami informacji są naszyjniki, które rejestrują transakcje Fo, ale Fotse niszczą je po sfinalizowaniu sprawy. Spytany, iloma ludźmi rządzi, Daou zazwyczaj mówi „sto i dziesięć”, co jest u Fotse zwyczajowym określeniem na „całkiem dużo”. Jak wykazały badania nad matematyką Fotse (Chapel 1913), potrafią wyrażać wielkie liczby i abstrakcyjne wartości ułamkowe. Jonathan odnosi więc wrażenie, że wódz po prostu nie ma ochoty na współpracę. Jego deklamator szacuje liczbę poddanych wodza na „tyle dzikich kóz, ile wdrapuje się na Grzbiet Jaszczurki”, co i tak Jonathanowi niewiele mówi. Kiedy deklamator pyta retorycznie, czemu ktoś miałby być na tyle głupi, żeby liczyć dzikie kozy na Grzbiecie Jaszczurki, Jonathan nie potrafi mu odpowiedzieć.

Zaczyna od pierwszej zagrody, na jaką się natyka, i oznacza ją na liście numerem jeden. System nie jest jednak najlepszy.

Mieszkańcy przeważnie chowają się przed nim. Wysyła wtedy swoich ludzi, by przetrząsali spichlerze, zagrody dla zwierząt albo pobliskie zarośla. Tragarze wypełniają zadanie bez entuzjazmu i zwykle wracają z poszukiwań sami. Jonathan zaczyna szacować liczbę mieszkańców jednej zagrody na podstawie liczby misek do jedzenia. Kiedy znajdują się właściciele, czasem ze strachu nie mogą wykrztusić słowa. Przytuleni do siebie w obejściu, potrafią tylko rozpaczliwie błagać, by wrócił na swoje ziemie. Jeśli udaje mu się ich uspokoić, często nie rozumieją, czego od nich chce, albo podają mu wymyślone liczby („Trzy? Widzę przynajmniej dziesięć”). Bywa, że usiłują go przekupić, oferując kozie mięso i piwo z prosa, albo szeptem każą swoim dzieciom uczeplić się jego szortów i głośno płakać. To ostatnie działa. Jeśli jest coś, czego Jonathan nie może znieść, to szarpanie ubrań przez szlochające dzieci. Wtedy zazwyczaj odchodzi i sam wpisuje liczby, które wydają się najbardziej prawdopodobne.

Pod koniec pierwszego tygodnia ma na koncie trzynaście zagród.

Próbuje różnych sposobów, by jego wizyty przebiegały mniej dramatycznie. Uśmiecha się. Śpiewa. Daje dzieciom kolorowe formularze do zabawy i nie prosi o zwrot. Ale ani ludzie nie boją się mniej, ani jego praca nie staje się przyjemniejsza. Jego słudzy nienawidzą Fotse i czują wstręt przed ich dotykaniem. Boją się chorób i zanieczyszczenia. Kiedy wywlekają opornych rolników z kryjówek, demonstrują obrzydzenie brutalnością. Jonathan najpierw rozkazuje, potem prosi, wreszcie błaga o łagodne traktowanie Fotse, ale Idris, Ali i Danjuma nic sobie z tego nie robią. Kiedy Idris bije kogoś z mężczyzn w tył głowy na oczach jego żony i dzieci, Jonathan wie, że dłużej nie wytrzyma.

Tego wieczoru rozbija obóz w cieniu rozłożystego drzewa. Kiedy tragarze zasypiają, siada na trzeszczącym krześle i próbuje myśleć.

Wie, że dotarł do kresu czegoś. Ta świadomość powoduje wstrząs. Jakby skakał do basenu z wysoka i dotknął dna rękami.

Po co ma to robić?

Z upływem godzin upał słabnie. Ziemia i ciało Jonathana oddają ciepło, aż do chwili, w której Jonathana przenika nagły chłód. Uderza go myśl, że głębia, której dotknął, to on sam.

Po co liczyć Fotse? Kto byłby na tyle pokrecony? Jonathan oczywiście wie, po co - w imię Boga i Anglii, Imperium i Cywilizacji, Postępu i Nowoczesności, Moralności i Honoru. Ma to wszystko zapisane w swoich notatnikach. Ale to jest na kartkach notatników, nie w nim. On sam nie dba o żadne z tych słów. Nie czuje ich i właśnie ten brak jest wyłożonym kafelkami dnem basenu. Jonathan Bridgeman dociera do tego miejsca, ale głębiej nie potrafi. Gdyby te słowa coś dla niego znaczyły, miałby wolę liczyć Fotse i zbierać dane o nich.

Ale on nie czuje tych słów.

Wraz z chłodem nocy nadchodzi użalanie się nad sobą. Jonathan zaczyna mrużyć pod nosem. To miała być przygoda. Bridgeman uznałby to za przygodę. Byłby już imperialnym bohaterem. Dzielny i mądry Beau Bridgeman z krainy Fotse, najbardziej angielski w Afryce.

Co on tu robi?

Odkąd stał się Jonathanem, próbował unikać takich myśli. Wmawiał sobie, że pierwowzór i następca pasują do siebie idealnie. Kiedykolwiek opadały go wątpliwości, czym prędzej je rozpraszał.

Kim byłby gdzie indziej?

Khwaja-sara, zonglującym nowymi wcieleniami jak kuglarz. Jonathan nauczył się tej sztuczki. Ludzie zwracają uwagę na zewnętrzne formy - szerokość mankietów, brzmienie wargowo-zębowego, szczelinowego „w”. Stanie się kimś innym to tylko kwestia zmiany

krawca i pamiętania, by dotykać dolną wargą krawędzi górnych zębów. Łatwe; chyba że metamorfoza jest bezwiedna, że palce tracą oparcie i człowieka ogarnia strach przed nieuchronnym upadkiem. Wtedy metamorfoza jest ucieczką; biegiem, któremu towarzyszy groźba, że kiedy się przystanie, wrócą podejrzenia, że nikt nie biegnie. Nikt. I nikt się nie zatrzymuje. Że nikogo tam nie ma.

Noc działa przygnębiająco. Przez chwilę Jonathan zastanawia się, czy nie odstrzelić sobie łba bronią myśliwską. Przynajmniej umarłby jak Bridgeman. Eleganckie, angielskie rozwiązanie, choć wymaga zdjęcia butów i skarpetek. Kiedy schyla się i zaczyna rozwiązywać sznurowadła, uświadamia sobie, że siłą woli, jakiej wymaga samobójstwo, była jedną z cech Bridgemana, nie jego. W odruchu rozpacz sięga do kieszeni koszuli khaki i z sekretnego miejsca na sercu wyjmuje pierścionek zaręczynowy dla Star. Miotając przekleństwa, wyrzuca go jak najdalej od siebie.

Kiedy się odwraca, napotyka mętne spojrzenia trzech zaspanych tragarzy. Usiłując zapanować nad sobą, każe im wracać do namiotu. Sam chwiejnym krokiem idzie do swojego.

Rano już wie. Nie chce kontynuować spisu, ale nie chce też wracać do obozu. Postanawia robić wszystko, co do tej pory, z jednym wyjątkiem: zamiast wchodzić na teren zagród, będzie je omijał i wpisze do notesu wymyślone dane. Kiedy pierwszy raz okrąży zagrodę w odległości paruset jardów, Idris i reszta patrzą na niego dziwnie, ale nic nie mówią. Po jakimś czasie akceptują to jako nową praktykę, ani mniej, ani bardziej cudaczną niż wszystko, co im kazano robić do tej pory. Jonathan wędruje więc zygzakami po krainie Fotse i stopniowo zatracą poczucie kierunku.

Nie prosi tragarzy o pomoc. A oni jej nie proponują. Po jakimś czasie zaczyna rozpoznawać punkty orientacyjne. Wydaje mu się, że krąży w kółko. Wszystkie zagrody wyglądają tak samo: niewielki krąg stożkowatych chat wokół centralnego placu. Po trzydziestej zlewają się w jedno.

Można je odróżnić jedynie po kapliczkach. Każda zagroda ma swoją, czasem na placu, czasem na polach, gdzie bożki opiekują się plonami. Stoją pod osłoną maleńkich strzech. Przybierają rozmaite formy: kamień, rzeźba w drewnie, malowane i niemalowane, bezkształtne gliniane bryły ze skorupkami wciśniętymi w miejsce oczu i ust. W jedną z nich wciśnięto kawałeczki niebieskiego kafla, który musiał przywędrować tu przez pustynię z kimś z północy. W innej znalazł się kawałek oksydowanego metalu, który okazuje się zamkiem pistoletu skałkowego. Jego drewniane łożysko wyjadły termity. Wszystkie bożki są wysmarowane mieszaniną kolorowych proszków, mleka i piwa z prosa, ofiarowaną przodkom. Gdy Jonathan staje przed brzuchatą figurką z kokiem na głowie i zastanawia się, czy już ją widział, dochodzą

go trzaski gramofonu. Jest niedaleko obozu.

*

Pod nieobecność Jonathana obsesja Marchanta na punkcie latryn okazuje się usprawiedliwiona. Oryginalny model (zwykły rów) wkrótce zostaje zastąpiony wersją numer dwa, a potem wersją numer trzy. Wersja numer trzy to starannie dopracowany model: dwie drewniane deski z otworami (pilot i strzelec), osłonięte ze wszystkich stron drzewem i brezentem, z zamykanymi drzwiczkami od frontu. Choć pierwotnym zamiarem Marchanta było całkowite rozdzielenie toalet, rzeczywistość go przerosła. Uczestników wyprawy dopadła choroba i przez dziesięć dni nikt nie jest sobą.

Choroba objawia się straszliwym, szarpiącym wewnątrz bólem i gwałtownym rozwolnieniem, co oznacza, że obie deski są okupowane niemal bez przerwy. W myśl zasady „szczęśliwi, którzy posiadają”, żaden użytkownik nie pali się do odstąpienia swego miejsca rozszalałym kolegom. Walenie do drzwi, zniewagi, a nawet groźby stają się chlebem powszednim. Kulminacją szybko postępującego zdziczenia obyczajów jest moment, w którym Gregg strzałem z rewolweru gruchocze zamknięcie drzwi w części dla strzelca, wywleka stamtąd przerażonego Gittensa, a sam barykaduje się w środku. Marchant koi mu nerwy, śpiewając przez ścianę stare, sentymentalne pieśni wojskowe. Po tym zdarzeniu za zgodą wszystkich członków ekspedycji osłony zostają rozebrane, a latryny ogłoszone strefą neutralną. Obserwatorzy Fotse donoszą Daou, że nawet podczas choroby żaden z białych nie pomyślał o załatwieniu swoich potrzeb w krzakach. (Dziwni z nich ludzie!). Najwyraźniej wartość duchowa owych desek ma coś wspólnego z pokutą.

Choroba mija. U jej białych i wycieńczonych ofiar zostaje wzajemna niechęć. Marchant i Gregg wracają do pomiarów terenu. Powoli pokrywają abstrakcyjną siatką coraz większy obszar wokół zbrocy.

Poirytowani odkrywają, że pod ich nieobecność w pobliżu obozu kręcą się jacyś Fotse. Głównie dzieci, ale czasem przychodzi też paru bezczelnych młodzików, którzy apatycznie przyglądają się obozowemu życiu.

Pewnego ranka z namiotu Marchanta wyskakuje jakiś chłopiec, a za nim Marchant w samym ręczniku. Uciekinier ma przewagę paru jardów. Po kilku krokach Marchant rezygnuje z pościgu.

- Dasz wiarę? - zasapany zwraca się do Gittensa. - Ten mały czarnuch ukradł mój pędzel do golenia!

Po tym incydencie nie spuszczaają oka z obozowego sprzętu i wznawiają nocne warty. Mimo wzmożonej czujności giną im osobiste rzeczy. Profesor traci sznurowadła, Gittens scyzoryk i pudełeczko z pastą do butów. Niektóre z rzeczy ukradzionych przez Fotse nie mają

żadnej wartości materialnej. Morgan natyka się na dwóch mężczyzn, którzy grzebią w stosie odpadków przy namiocie kuchennym. Innego chłopca przyłapuje obok latryny, jak na czworakach zbiera włosy i kawałki obciętych paznokci u nóg.

Kiedy Jonathan wraca do obozu, zastaje wszystkich uczestników wokół ognia. Słuchają zdartej płyty Morgana z walijskimi pieśniami religijnymi. Paranoja wywołana ostatnimi wypadkami pokonała awersję. Mają przy sobie prawie wszystkie strzelby. Część oparłi o krzesła, część trzymają-na kolanach i gładzą je od czasu do czasu, jakby się chcieli upewnić, że ciągle tam są. Zapada zmierzch. Wszyscy łączywie zaciągają się papierosowym dymem. Początkowo miał to być sposób na odstraszenie owadów, ale z czasem przekształcił się w nałóg o zgoła histerycznej intensywności.

Zadają mu parę pytań („Cholernie ciężko, co? Miałeś jakieś kłopoty?”), ale nie wydają się zainteresowani odpowiedziami. Opanowani zwątpieniem, dbają głównie o własne problemy. Rozmowa kręci się wokół okropności tutejszego klimatu i degeneracji Fotse, którzy zawiedli nadzieje antropologów. Do Jonathana te uwagi dochodzą z bardzo daleka; jakby dotyczyły wspomnień, zapisków z miejsca, o którym coś wie i z którym czuł się kiedyś związany, ale teraz nie potrafi go sobie przypomnieć, umiejscowić w chaosie pamięci.

- To nie jest Afryka, jaką znałem - wzdycha profesor. - U Fotse udawało mi się zrzucić z siebie cały bagaż trosk współczesnego człowieka.

- Brzemie cywilizowanego społeczeństwa - dopowiada Gittens.

- Co za porąbane miejsce - mówi Marchant. - Kurewski upał, pełno pieprzonych much, a te czarnuchy gorsze niż Cyganie...

Profesor krzywi się.

- Wolałbym, żeby... - urywa nagle. - O co właściwie chodzi?

Głos zabiera Gittens.

- Chyba rozumiem, co pan miał na myśli, profesorze. To jakby wyprawa do naszej odległej przeszłości.

- Kurewsko prymitywnej - rzuca Marchant.

- Pierwotnej - poprawia Morgan.

- To musiało być takie nieskażone miejsce - mówi Gittens w zadumie. - Eden. I pomyśleć, że za dziesięć lat nic z tego nie zostanie...

- Płakać nie będziemy - stwierdza Marchant.

- Nic na to nie poradzimy - ciągnie Gittens. - To cena, jaką płacimy za postęp.

Reszta potakuje filozoficznie.

- Proponuję - zaczyna profesor - skupić się na gromadzeniu eksponatów. Jeśli ocalimy,

co się da, z przedmiotów, które wytwarzają...

Gittens i Morgan przyjmują pomysł z entuzjazmem.

- Rozmowy nie przyniosły...

- Właśnie - przerywa im cierpko profesor. - Kiedyś Fotse byli raczej gadatliwi.

Morgan zastanawia się głośno, czy nie powinni spróbować jeszcze raz z wywiadami.

Ale w skrytości ducha liczy, że reszta nie przychyli się do jego pomysłu.

Gittens, którego umiłowana teoria o szlachetnych dzikusach doznała w ciągu ostatnich tygodni uszczerbku, nie ma najmniejszej ochoty na ponowne rozmowy z Fotse. Szybko zmienia temat.

- Dziesięć lat? To pewne?

- Tak twierdzi urzędnik w biurze gubernatora - odpowiada profesor. - Mają szczegółowy plan. Kiedy skończą budowę sieci dróg w tym okręgu, chcą umieścić Fotse w pobliżu głównych skrzyżowań. W ciągu pięciu najbliższych lat nic się nie wydarzy, ale poradził mi, żeby brać, co się da. Powiedziałem, że to skandal, a on poczęstował mnie argumentem, którego można się było spodziewać: „Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”.

- A co, jeśli Fotse nie zechcą się przenieść? - pyta Jonathan.

- Przypuszczam, że władze są przygotowane na protesty. W takich przypadkach użycie przymusu często bywa konieczne.

Morgan zastanawia się przez chwilę nad tymi słowami.

- To w ich najlepszym interesie. Z ekonomicznego punktu widzenia takie rozwiązanie ma sens. Ich plony są żałosne. Jeśli pokazać im, jak siał, przenieść tam, gdzie jest lepsza gleba, to kto wie... Może za dwadzieścia lat będą sprzedawać swoje plony. Gdyby ich kozy skrzyżować z-europejskimi, miałyby większą masę. I dawałyby więcej mleka...

- Musisz mówić o kozach? - wzdycha Gittens. - Mam nadzieję, że już nigdy w życiu nie zobaczę ani jednej.

- Według mnie kozy to całkiem interesujące zwierzęta - oznajmia Morgan sucho.

Jonathan ma pytanie.

- Nie uważasz, że lepiej dać im spokój?

- Kozom? - rzuca szyderczo Marchant.

- Fotse.

Wszyscy spoglądają na Jonathana z niedowierzaniem.

- Nie wiem, do czego zmierzasz - zaczyna Gittens oficjalnym tonem - ale to typowa dla ciebie postawa, Bridgeman. I wiem, że nie jestem odosobniony w swojej opinii.

Profesor marszczy brwi.

- Teraz widzę, że zaproszenie cię do udziału w wyprawie było błędem. Nie włożyłeś w nią serca. Nie masz chęci do pracy. Nie udzielasz się. Twój główny problem, Bridgeman, to brak ducha współpracy.

- Ducha współpracy?

Morgan rzuca mu spojrzenie pełne politowania.

- Nie lubisz działać w zespole, prawda?

Jonathan patrzy na nich i słyszy szelest trawy kołysanej wiatrem.

- Nie lubię. Może macie rację.

Mimo dość wczesnej pory wymyśla jakieś usprawiedliwienie i idzie do namiotu. Noc mija mu na balansowaniu między dwoma stanami - bezsennością pełną surrealistycznych wizji, w których cisza grozi wybuchem, i czymś, o czym trudno powiedzieć, czy jest jawą, czy snem. Jonathan czuje, że wszystkich ludzi i wszystkie obiekty w otaczających go ciemnościach łączy siatka kabli i drutów, tworzących jeden mechanizm. Za każdym razem, gdy zmienia pozycję albo podnosi rękę do twarzy, wprawia w ruch inne rzeczy; wywołuje kaskadę efektów sięgających spraw ostatecznych. Czasem to on pod ich wpływem porusza ramionami czy powiekami bez udziału własnej woli. Gdyby mógł się uwolnić z tej plątaniny, byłoby z nim dobrze. Gdyby przynajmniej udało mu się odkryć zasadę działania tego systemu, mógłby się od niego uniezależnić. Oczyma wyobraźni widzi chaty Fotse zrównywane z ziemią; ich samych, jak poboczem nowych dróg wędrują ku nowym siedzibom. Wczesnym rankiem przeszłość wydaje się jeszcze bardziej zawikłana niż przyszłość. Tłumione dotąd myśli przybierają konkretny kształt. Co by było, gdyby dawno temu się zagubił? Gdyby zgubił samego siebie i nigdy nie mógł się odnaleźć?

Z nadejściem dnia Jonathan oznajmia profesorowi, że chce od zaraz kontynuować spis, i opuszcza obóz. Profesor mówi, że może zabrać tylko dwóch tragarzy. Część uciekła i w obozie brakuje rąk do pracy. Jonathan skwapliwie godzi się na dwóch. Rusza w górę wyschłego koryta rzeki za zagrodą Daou. Nie wie, dokąd zmierza. Wie tylko, że nie może zostać.

Jonathan trzyma się koryta rzeki. Wędruje drogą pasterzy, klucząc między głazami i kępami twardej, kłującej trawy. Choć mija kilka zagród, nie zatrzymuje się przy nich ani na chwilę. W pierwszym odruchu sięga po notes, ale nie potrafi zmusić się do napisania czegokolwiek.

Kiedy słońce staje w zenicie, pasterski szlak skręca w stronę pasma ciągnącego się na mile z północy na południe. Przez resztę dnia wąskie koryto rzeki biegnie niemal u jego stóp.

Jonathan rozbija obóz między dwoma gigantycznymi głazami. Z nadejściem nocy, która zawsze spada na ziemię Fotse z kliniczną precyzją, ściana skał, górująca nad nim przez cały dzień, zaczyna go przygniatać. Kiedy patrzy, jak Idris przygotowuje kolację, wydaje mu się, że masyw stopniowo potężnieje. Kiedy idzie spać, nie jest już tego pewien. Teraz odnosi raczej wrażenie, że skały kondensują się, gęstnieją.

Kolejny dzień marszu u podnóża masywu przytlacza Jonathana jeszcze bardziej. Tej nocy nie może spać. Słyszy jakieś hałasy na obrzeżach obozu, najpierw na jednym krańcu, potem na drugim. Wydaje mu się, że widzi jakieś postacie krążące wokół jego namiotu. Zamiast rozchylić wejście albo wyjść na zewnątrz z rewolwerem, znieruchomiały leży pod przepoconym kocem z szeroko otwartymi oczyma i rękami wzdłuż ciała i myśli: „Niech przyjdą”.

Nie przychodzą. Rano Jonathan orientuje się, że tragarze uciekli. Ich koce ciągle leżą przy żarzącym się ogniu. Jonathan nawołuje przez dłuższą chwilę, ale odpowiada mu cisza. Kiedy snuje przypuszczenia, co się mogło stać, świat zaczyna skakać mu przed oczami. Manierka, z której pociąga łyk słonawej wody, ciąży mu niemiłosiernie, a światło, sączące się przez szkła okularów słonecznych, staje się nieprzyjemnie jaskrawe. Otumaniony, próbuje zwinąć obóz. Odkrywa jednak, że złożenie namiotu jest bardzo skomplikowane. Roluje go i usiłuje wcisnąć do pokrowca. Bez powodzenia. Jonathan opada z sił. Pałeta się po obozie, rozrzucając rzeczy; a kiedy w bezsilnej wściekłości wzywa służących, potrafi myśleć tylko o szaleńczym pulsowaniu w głowie. Powoli zdaje sobie sprawę, że to gorączka. Ciągle jednak czuje impuls do dalszego marszu, nawet jeśli przyjdzie mu wędrować samotnie.

Sprzętu jest zdecydowanie za dużo dla jednej osoby. Część ekwipunku Jonathan układa na stosie pod drzewem. Reszty nawet nie rusza z miejsca. Pakuje do plecaka konserwy, podnosi z ziemi koc, bierze strzelbę. To najważniejsze rzeczy. Obóz zdaje się odmawiać mu wsparcia. Wstrząsany dreszczami Jonathan wlecze się ku ścieżce, by kontynuować wędrówkę. Tylko dokąd właściwie szedł? Ubite gliniaste podłoże przechodzi w piarg, po którym coraz trudniej stąpać. Jonathan ledwo stawia jedną stopę przed drugą. Słoneczny żar leje się z nieba wprost na jego odsłoniętą głowę (Gdzie jest kapelusz? Czyżby go upuścił?), aż wreszcie tak mieni mu się przed oczami i kręci w głowie, że musi na chwilę usiąść. Zanim się spostrzeża, już leży na ziemi i tępo wpatruje się w niebo, mając w polu widzenia gałąź drzewa, która przypomina pęknięcie na błękitnej szybie.

Jonathanowi wydaje się, że umiera.

Na jego pokrytym kurzem ciele nie ma ani jednej kropli potu. Wstrząsają nim dreszcze, fale zimna przechodzą od rąk i nóg ku żołądkowi, wywołując mdłości. Zaczynają się

halucynacje. Wysoko na stoku przywarł do skal stary mężczyzna w czerwonych butach i czerwonym kapeluszu. Wizja Jonathana nabiera intensywności. Starzec niczym pająk przesuwa się po skalnej ścianie głową w dół. Czasem wczepia się w skałę i posypuje dłonie białym proszkiem czerpanym z woreczka zawieszzonego u pasa. Czasem nonszalancko zwisa na jednej ręce nad urwiskiem, mając pod stopami jedynie kilkaset stóp powietrza. Porusza się szybko i po linii prostej. Czerwień jego butów i kapelusza jest tak intensywna, że aż nieprawdopodobna... Następny obraz, jaki ukazuje się oczom Jonathana, to twarze Fotse, szczelnie wypełniające błękitną przestrzeń nad jego głową. Mężczyźni o zamazanych oczach i skomplikowanych spiralnych bliznach. Wyciąga się do niego wiele rąk, blizny wirują mu przed oczami, usiłuje się, ale jedyne, na co potrafi się zdobyć jego ciało, to kolejny napad dreszczy. Ktoś podaje mu wodę. Błękitne okno nieba kołysze się raz w lewo, raz w prawo, raz w lewo, raz w prawo - do wtóru niskich głosów, intonujących w kółko tę samą pieśń. Słońce nieznosnie pali mu skórę. Niebo podskakuje i drga, póki w jednej chwili nie znika z pola widzenia. Teraz jest już tylko chłód i ogień migający na kamieniu. Jonathan wie - to jedna jedyna pewna rzecz - że jest teraz pod ziemią.

Fotse niosą go do wnętrza ziemi i układają w miejscu, gdzie pod nogami chrzęszczą kamienie, a sufit przypomina kopułę. W świetle ognia Jonathan widzi na ścianach jaskini tysiące czerwonych odcisków dłoni. Nagle widok przesłaniają mu nisko pochylone nad nim głowy. Jedna z nich w czerwonej czapce. Należy do starca, który potrząsając kościaną grzechotką i rozczapierzając kończyny jak pająk, półgłosem szepcze mu coś do ucha. Do Jonathana wyciąga się wiele rąk. Powoli zaczynają go rozbierać. Jonathan czuje palce rozpinające mu guziki, zdejmujące pasek przy szortach. Nie ma siły protestować, gdy łapią go za kostki i rozsuwają nogi; gdy obce palce pocierają i szczypią każdy skrawek jego ciała, rozchylają pośladki, unoszą mosznę, otwierają usta; gdy zagłębiają się w nos i uszy, odsuwają napletek, podnoszą ręce i przesuwiają się po włosach. Przez cały czas miga mu przed oczami wyrazista twarz starca w czerwonej czapce. Słyszy klekot grzechotki i intonowanie, milknące na krótko, by powrócić ze zdwojoną mocą. Ręce smarują go od stóp do głów gliną, która w miarę wysychania tworzy kaolinowy pancierz na skórze. Zęby Jonathana zgrzytają o twardą krawędź glinianej miseczki. Ktoś unosi mu głowę i poi jakimś gorzkim płynem, który strużką cieknie po brodzie.

Jonathan opada z powrotem na ziemię.

A potem wzbija się pod sklepienie jaskini, podczas gdy jego ciało tarza się w pyłe, wiję, zgrzyta zębami z bólu, którego tak naprawdę nie czuje, ponieważ jego duch wyrывa się z ciemnego łona jaskini przez wylot w Grzbiecie Jaszczurki i szybuje daleko, coraz dalej, coraz

szybciej, aż zagajniki na ziemi upodabniają się do spadających gwiazd. I wtedy lot, równie nagle, jak się rozpoczął, zostaje przerwany. Duch Jonathana zawisa przez moment nad obozem ekspedycji i widzi posępne twarze wpatrzone w ogień. Te twarze drgają i zamazują się, gdy jakaś siła wzywa go do powrotu i włacza przez czubek głowy do wnętrza ciała, teraz uwięzionego w twardej glinianej skorupie, wewnątrz której wszystko jest płynne, bezkształtne i zmienne.

Jonathan leży tam wiele godzin, a może dni. Wypalone pochodnie zastępowane są nowymi, a odcisnięte dłonie poruszają się po stałej orbicie jak gwiazdozbiory w planetarium. Czasem zjawiają się młodzi adepci, by go nakarmić. Łyżeczka za łyżeczką podają mu owsiankę, a potem porcję gorzkiego lekarstwa. Jonathan patrzy na sklepienie pokryte odciskami rąk i czuje, jak skała oddycha. Na dźwięk głosu starca odkrywa, że może odwracać głowę, a jego ręce słuchają poleceń. Czuje podłogę, na której leży, słyszy chrzęst dotykanych kamyków. Palcami trafia na jakiś ostry przedmiot. Podnosi go ku oczom i rozpoznaje kawałek kości. Co za dziwne uczucie: móc latać, być zamkniętym w glinianej skorupie i leżeć na dywanie z kości, wyściełającym potężną, żywą skałę.

Ludzie przychodzą i odchodzą, ale starzec jest przy nim cały czas. Potrząsa grzechotką, monotonnym głosem intonuje pieśni, niestrudzenie odprawiając swój prosty rytuał w skalnej niszy, w której mieści się ołtarzyk zastawiony najrozmaitszymi przedmiotami. W tykwach są jeszcze kleiste resztki ofiarnego napoju. Są kute noże z mosiądzu, wiązki ziół, czaszka psa owinięta wyschlą trawą. Wnętrze niszy jest tak obficie spryskane kredą, krwią i piwem z prosa, że na pierwszy rzut oka trudno dostrzec inne przedmioty: scyzoryk, podręczne lustro, puste puszkę po fasoli i dwie lalczki, o których istnieniu zupełnie zapomniał. To kupione w porcie figurki kolonialistów o długich nosach i w bulwiastych kapeluszach. Wszystko skradzione z obozu i przyniesione do grot zmarłych.

Przychodzą młodzi mężczyźni. Klękawszy przed starcem, przekazują wiadomości, w zamian otrzymując błogosławieństwa. Jonathan obserwuje to wszystko i coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że znalazł się w tajnej siedzibie sztabu, że ołtarz jest wojskową mapą spornego terytorium, a natłok przedmiotów magiczną siecią triangulacyjną krainy Fotse, jego własnego ciała i jaskiń. Starzec zauważa, że Jonathan się ocknął, i z miejsca przerywa rytuał, jakby to była zwyczajna czynność, jakby naprawiał narzędzia albo przygotowywał posiłek. Zaczynają rozmawiać. Choć trudno o całkowite porozumienie, choć ich kontakt jest fragmentaryczny i rozmowa się rwie, Jonathan powoli zaczyna rozumieć, co starzec ma mu do

powiedzenia: przy ich rozmowie obecni są wszyscy zmarli i usłyszą każde słowo.

Jonathan siada i wypija trochę wody. Przez chwilę milczą obaj, wsłuchani w oddech skały. Potem starzec opowiada mu o przodkach, którzy przestali wychodzić z jaskiń i prowadzić kobiety podczas ceremonii. Czas rozpadł się na „przedtem” i „teraz”, a wszystko z winy czarowników. Mówi, jaki piękny byłby świat bez czarów, które niszczą życie spokojnych ludzi; jak ludzie wyobrazili sobie to piękno i połączyli się - mężczyźni z różnych klanów i rodów, w różnym wieku, członkowie tajemnych stowarzyszeń - w nowe stowarzyszenie, najbardziej tajemne z tajemnych, które przybrało miano od twardej trawy o szerokich źdźbłach, zwanej przez Fotse „igłą”. Podziemna część trawy-igły nie ma ani początku, ani końca; to niewidoczna płatanina łyka, które wypuszcza pędy tak ostre, że potrafią przeciąć skórę, jeśli człowiek jest na tyle głupi, by na nie stąpnąć. To samo dzieje się ze stowarzyszeniem igły. Nie ma ani głowy, ani środka. Wzrasta pod ziemią Fotse, lecz kiedy nadejdzie czas, wystrzeli na powierzchnię i unicestwi czary raz na zawsze.

Starzec mówi do Jonathana, który to zapada w sen, to się budzi. Wraz z napływającymi falami gorączki na przemian traci i odzyskuje świadomość. Stopniowo dociera do niego, co starzec chce mu powiedzieć. U czarowników wszystko jest na odwrót. Dla nich dobro jest złe, a złe dobre. Najwyższy czas na zniszczenie czarów. Czarownicy, których Fotse chce unieszkodliwić, obozują w dolinie. Z nastaniem dnia wszyscy biali będą martwi.

Starzec mówi coś jeszcze. Czarownicy mają na ciele znaki, które niezawodnie zdradzają ich złą naturę. Obejrzał ciało Jonathana w poszukiwaniu takich znaków i nie znalazł ani jednego. Choć ze skórą wywróconą na drugą stronę i ze strzelbą, która wypuszcza na odległość małe, twarde przedmioty powalające ludzi, wygląda jak czarownik, w jego przypadku wygląd jest mylący. Zdarza się czasem, że ktoś da się zwieść towarzyszom podróży, nie odczyni uroków albo zaśnie w niebezpiecznym miejscu, a wtedy jego ciało zasiedlają duchy.

W sposób najłagodniejszy z możliwych starzec uświadamia Jonathanowi, że został opętany przez ducha Europejczyka. Już niedługo stowarzyszenie igły wyrośnie spod ziemi, zabije tamtych białych i zmiele ich kości na proszek, ale w jego wypadku nie będzie to konieczne. Zamiast tego starzec wygoni z niego ducha (co, niestety, będzie bolesne).

Jonathana ogrania strach. Błaga starca, by tego nie robił. „Proszę... Nie jestem zły. Nie jestem czarownikiem. Jeśli wygonisz ze mnie tego ducha, nic nie zostanie”. Stary człowiek klepie go uspokajająco po plecach i podaje tykwę z gęstym, gorzkim napojem.

Po pierwszym łyku wnętrzości Jonathana łapie gwałtowny skurcz. Wymiotuje. Starzec znów każe mu pić. Jonathan znów wymiotuje. Wszystko powtarza się do chwili, aż Jonathan

ma wrażenie, że patrzy na swoje zaślinione dłonie z bardzo daleka. Odległość zwiększa się raptownie, jakby jego ciało wyciągało się pod sklepienie jaskini. Potem dzieje się z nim coś niepokojącego. Choć nadal jest w jaskini i leży w środku konturu postaci obwiedzonego przez starca kredą, jednocześnie wylatuje przez ujście jaskini w dół zbiega ku obozowi białych ludzi. Ziemia miga mu pod stopami, gdy przelatuje nad nią biały jak kość lśniąca w księżycowej poświacie.

Siedzą na ziemi pokrytej popiołem i patrzą na niego szklanymi oczyma. Łyżka za łyżką wkładają jedzenie do wielkich ust i od czasu do czasu drapią się żółtawymi paznokciami. Za profesorem leży arka przedmiotów martwych, stos skrzynek, które w ciągu ostatnich tygodni on i Gittens ostrożnie i skrupulatnie zapełniali. Wzięli wszystko, co się dało zabrać z ziemi Fotse: garnki na wodę, motyki, kości do wrózenia, naszyjniki Fo... Czego się nie dało wziąć, utrwalił na fotografiach. Klisze zapakowali razem z przedmiotami. Ze światłem w nich uwiecznionym są ostatnim świadectwem z ginącego miejsca, które w ich oczach jest już historią.

Jonathan unosi się nad obozem i patrzy. Widzi skradających się wojowników. Rząd ruchliwych czarnych pleców dążących ku jednemu punktowi, ku pomarańczowej kuli ogniska. Widzi białych w trakcie jedzenia. U nich rzeczywiście wszystko jest na opak.

Starzec potrząsa grzechotką i intonuje pieśni, a młodzi adepci, przytrzymując pacjentowi ręce i nogi, smarują mu twarz i barki popiołem. Potem rozgrzewają w ogniu metalowe głośnie. Tak trzeba, ponieważ rzecz dotyczy skóry, która potrafi zwieść, jeśli przestrzeń i czas nie są w niej utrwalone tak, by człowiek nigdy nie zbiegł z drogi. Tego nie da się zrobić bez bębnow. Duchy komunikują się za pośrednictwem określonych dźwięków. Bębny dudnią więc i łomoczą coraz donośniej, coraz intensywniej. Nad głową pacjenta krąży maska podawana z rąk do rąk, by zachęcić ducha do wyjścia. Rozżarzone głośnie raz za razem dotykają różnych miejsc na jego ciele: krzyża, karku, ud, ramion i klatki piersiowej. Każde dotknięcie rozgrzanego metalu nadaje Jonathanowi właściwy kierunek, wiąże go nierozzerwalnie z czasem i z miejscem, w którym powstają znaki. Odtąd już gdziekolwiek się znajdzie i gdziekolwiek zaśnie, nigdy się nie zagubi.

Przy każdym dotknięciu rozgrzanego metalu Jonathan wrzeszczy wniebogłose. I znów wlatuje nad ziemię, która jest teraz świadkiem krwawych scen. Widzi drewnianą konstrukcję i rozpostarte na niej ciała Tdrisa, Alego i Danjumu z rozprutymi brzuchami, z wnętrznościami

rozwłóczonymi w poszukiwaniu magicznych substancji. Teraz jakaś siła kieruje go ku dolinie, gdzie setki postaci skradają się w ciemnościach, gdzie igły wylaniają się spod ziemi i dążą w stronę ognia czarowników.

Jonathan czuje, że duch rozluźnia uścisk. Rozszalały i nienasycony rozrywa mu teraz ciało, szarpie na strzępy, rozrzuca na wszystkie strony kęsy mięsa spływające krwią. Wraz z Jonathanem kawałkowany jest cały świat. Z gardła Jonathana znów wydobywa się krzyk. Bez odpowiedniej osłony rzeczywistość jest nie do zniesienia. Przed Jonathanem otwiera się otchłań. Wszystko, co dotąd utożsamiał z sobą, wyszarpięto z niego. Pozostał jedynie straszliwy beład rodem z koszmarnego snu.

Wojownicy wbiegają w krąg ognia. W konfrontacji z ich magiczną bronią kule białych zamieniają się w wodę. Napastnicy unoszą i opuszczają ramiona, sieką i tną. Ostrza zgrzytają o kości, przecinają ścięgna, wypruwają wnętrzności, które wylewają się przez rozcięte koszule khaki na nogi w workowatych szortach. Głowa Gregga z wykrzywioną twarzą leży na boku w popiele. Profesor nie ma już żadnych skojarzeń. Z jego rozłupanej czaszki wypłynął mózg, a twarz jest bezforemną miazgą. Gittens błaga, Morgan ma ironiczną minę, a Marchant przeklina, gdy napastnicy patroszą jednego po drugim. Po wschodzie słońca w dolinie panuje grobowa cisza. W jaskiniach umarłych też.

*

Tydzień po tygodniu Fotse przyzwyczajają się do życia bez czarów. Ludzie wracają do codziennych zajęć. Rolnicy na pola, kowale do kuźni, Daou do mediacji między skłóconymi żonami, a bard do pracy nad cyklem pieśni opiewających zwycięstwo dobra nad złem.

Nadchodzą deszcze. Pustynia okrywa się dywanem pięknych, choć efemerycznych kwiatów. Fotse oddają się spekulacjom na temat długości okresu kwitnienia i następnych plonów prosa. Deszcze się kończą. Nad ziemię Fotse nadlatuje harmatan. Mężczyznom Fotse piasek zgrzyta w zębach. Kobiety Fotse czują ból w plecach od ciągłego schylania się i wymiatania piasku naniesionego do chat. Miejsce poniżej zagrody Daou, gdzie był obóz czarowników, jest tylko wspomnieniem. Został po nim zaledwie ciemniejszy ślad po ognisku. Większość rzeczy białych poszła z dymem, ale kilka pozostałości trwa nadal - wybielona czaszka ułożona na ołtarzu w grotach, zmatowiały teodolit dodany do kapliczki.

Choć duchy Europejczyków przegnano z ziemi Fotse i przodkowie znowu prowadzą kobiety w ich tańcu, wydaje się, że rany czasu się nie zaleczyły. Nadal istnieją stare czasy i nowe czasy. Mędrcy twierdzą, że po niebie nad Grzbietem Jaszczurki ciągle płyną białe chmury, a dzikie psy ciągle nawołują się po nocach. Te rzeczy są widomą oznaką ciągłości. A jednak zmiana zdaje się dotyczyć wszystkiego, nawet chmur i psów. Być może czas, raz przerwany w jednym punkcie, już nigdy nie wróci do poprzedniego stanu.

W dole siatka dróg podpełza coraz bliżej, rodząc wiosło betonowych domków o płaskich dachach, w których nikt jeszcze nie mieszka.

12 stycznia

Ministerstwo do spraw Kolonii do Rządu Jego Wysokości na Oil Coast

101. Prosimy o informacje o miejscu pobytu wyprawy Chapela na ziemię Fotse.

14 stycznia

Rząd Jego Wysokości na Oil Coast do Ministerstwa do spraw Kolonii

214. Treść 101 niejasna. Ekspedycja Chapela przebywa u Fotse od czerwca.

16 stycznia

Ministerstwo do spraw Kolonii do Rządu Jego Wysokości na Oil Coast

105. Dotyczy 214. Ekspedycja oczekiwana w Londynie. Mają spóźnienie. Czekamy na informacje. Pilne.

4 lutego

Rząd Jego Wysokości na Oil Coast do Ministerstwa do spraw Kolonii 245. Dotyczy 105. Żadnych wieści o ekspedycji Chapela.

5 lutego

Ministerstwo do spraw Kolonii do Rządu Jego Wysokości na Oil Coast 114. Dotyczy 245. Oczekujemy informacji o ekspedycji Chapela. Sprawa najwyższej wagi.

1 marca

Rząd Jego Wysokości na Oil Coast do Ministerstwa do spraw Kolonii 287. Dotyczy 114. Z żalem informujemy, że członkowie ekspedycji Chapela zostali zamordowani na ziemiach Fotse. Policja rozpoczyna dochodzenie. Czekamy na dalsze wskazówki.

Rozbity zegarek, starannie zawinięty w bibułę, zostaje przesiany do ambasady brytyjskiej w Paryżu i za jej pośrednictwem przekazany pannie A. Chapel. Jego nadejście maćci radosną uroczystość ogłoszenia zaręczyn panny Chapel z nowym nababem Fatehpuru, poznanym w trakcie przyjęcia na jachcie w Nicei. Parowiec mozolnie płynie w górę rzeki z żołnierzami piechoty. Jego ładunek na przemian drzemie i beznamiętnie oddaje się hazardowi, póki nie zostanie wysadzony na ląd przy nabrzeżu w mieście zwanym teraz Przystanią Shorta. Miasto tętni życiem. Ściągnęli tu przybysze z głębi kraju, skuszeni jasnymi światłami i pensją. Na rogu fryzjer goli klienta, na schodach drewnianego budynku sądu siedzi paru pijaków.

Wzdłuż głównej drogi, która biegnie z miasta na północ, stoją słupy telegraficzne. Na poboczu odpoczywają robotnicy. Patrzą na przemieszczaną artylerię, zaprzęgnięte muły, koła dział wzbijające czerwony pył.

Wielbłąd łypie na Jonathana złym okiem. Idąc obok zwierzęcia, Jonathan musi pamiętać, by nie znaleźć się w zasięgu jego nóg. Obaj mozolnie pną się łagodnymi nawietrznymi stokami wydm, a potem schodzą stroną zawietrzną, brnąc po kostki w osypującym się piasku.

Jonathan ma przed sobą długi szereg brnących przez wydmy wielbłądów powiązanych razem postronkiem. Ich garby kołyszą się przy każdym kroku. Ten ruch karykaturalnie podkreślają jeszcze toboły umieszczone na ich grzbietach. Poganiacze ciągną za uździenice. Pieśniami i przyjaznym pokpiwaniem przekonują swoje wielbłądy do dalszego marszu.

Za każdym razem, gdy Jonathan poprawia kaptur swojego burnusa, by osłonić oczy przed słońcem, wsuwa rękę pod spód i przeciąga palcami po bliźnie na szyi. Teraz podróż jest dla niego wszystkim. Nie myśli o celu wędrówki. Dziś spędzi noc pod wysokim sklepieniem nieba. Jutro wyruszy dalej.